ŚWIATOWY BESTSELLER
JUŻ W POLSCE!

KRISTIN HANNAH

MIŁOŚĆ POKAZUJE NAM, KIM CHCEMY BYĆ.
WOJNA POKAZUJE, KIM JESTEŚMY.

Słowik

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Podziękowania

KRISTIN HANNAH

Słowik

Z angielskiego przełożyła
Barbara Górecka

Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
THE NIGHTINGALE

Wydawcy
Grażyna Woźniak
Agnieszka Koszałka

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Hanna Śmierzyńska

Korekta
Jan Jaroszuk
Krystyna Śliwa

Copyright © 2015 by Kristin Hannah
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Barbara Górecka 2016

Wszystkie postaci w tej książce, wyjąwszy osoby publiczne, są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żyjących czy zmarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Piotr Trzebiecki

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-372-9

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dla Matthew Sheara. Przyjaciela. Mentora. Mistrza.
Brakuje mi Ciebie.
I dla Kaylee Nova Hannah,
najnowszej gwiazdy w naszym świecie.
Witaj, maluchu.

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

1

9 kwietnia 1995 roku
Wybrzeże Oregonu

Jeżeli moje długie życie czegoś mnie nauczyło, to tego, że miłość pokazuje nam, kim chcemy być, wojna zaś – kim jesteśmy. Dzisiejsi młodzi chcą wiedzieć wszystko o każdym. Wydaje im się, że rozwiążą problem, gadając o nim. Ja pochodzę z dyskretniejszego pokolenia. Rozumiemy wartość zapominania, urok ponownego odkrywania.

Mimo to ostatnio coraz częściej przyłapuję się na tym, że wspominam wojnę, moją przeszłość i ludzi, których zagubiłam.

Zagubiłam.

Brzmi to tak, jakbym zostawiła gdzieś moich bliskich; może porzuciła ich w miejscu, do którego nie przynależą, i zawróciła, zbyt zdezorientowana, by móc odnaleźć własne ślady.

Nie są zagubieni. Nie znajdują się w lepszym miejscu. Oni odeszli. Zbliżając się do kresu swoich dni, wiem, że niepowodzenia, jak i żal z ich powodu osiadają w DNA na zawsze i stają się częścią nas samych.

Postarzałam się w ciągu miesięcy minionych od śmierci męża i wystawionej mi lekarskiej diagnozy. Poorana zmarszczkami skóra wygląda jak woskowany papier siłą rozprostowany do ponownego użycia. Oczy często mnie zawodzą – w ciemności,

gdy błyskają przednie reflektory, kiedy pada deszcz. Ta zawodność postrzegania działa mi na nerwy. Być może dlatego oglądam się za siebie. Przeszłość ma klarowność, jakiej brakuje mi w teraźniejszości.

Chcę sobie wyobrażać, że kiedy odejdę, będzie panował pokój, że zobaczę wszystkich, których kochałam i straciłam. A wreszcie, że będzie mi wybaczone.

Plotę głupstwa, prawda?

Mój dom, zbudowany ponad sto lat temu przez potentata w handlu drewnem i nazwany przez niego „Szczytami”, jest teraz wystawiony na sprzedaż, a ja szykuję się do wyprowadzki, ponieważ mój syn uważa, że tak będzie lepiej.

Syn stara się mną opiekować, okazać, jak bardzo mnie kocha w tym najtrudniejszym czasie, nie sprzeciwiam mu się więc zbytnio. Co za różnica, gdzie umrę? W gruncie rzeczy do tego się to sprowadza. Miejsce mojego zamieszkania nie ma już znaczenia. Pakuję do pudeł życie w nadmorskiej części Oregonu, gdzie osiedliłam się blisko pięćdziesiąt lat temu. Niewiele chcę zabrać ze sobą. Ale jest taka jedna rzecz…

Sięgam po wiszącą rączkę opuszczającą schodki na górę. Rozkładają się od sufitu jak dżentelmen uprzejmie wyciągający rękę.

Chwiejne stopnie drżą pod stopami, kiedy wspinam się ostrożnie na strych cuchnący kurzem i pleśnią. Nade mną kołysze się goła żarówka na długim kablu. Pociągam za sznurek włącznika.

Czuję się jak w ładowni starego parowca. Ściany obite szerokimi, chropawymi deskami, wszędzie pełno srebrzystych pajęczyn, zwłaszcza między wyschniętym drewnem. Dach jest

tak spadzisty, że mogę stanąć wyprostowana jedynie pośrodku pomieszczenia.

Spostrzegam bujany fotel, którego używałam, kiedy wnuki były jeszcze małe, obok starą kołyskę i sponiewieranego konia na biegunach, krzesło odnawiane przez moją córkę, zanim zachorowała. Wzdłuż ściany stoją oznakowane pudła: „Boże Narodzenie", „Dziękczynienie", „Wielkanoc", „Halloween", „Naczynia stołowe", „Sport". Przechowywanych w nich przedmiotów praktycznie już nie używam, ale żal mi się z nimi rozstać. Według mnie przyznanie, że nie będę już więcej ozdabiać choinki, byłoby aktem rezygnacji, a zresztą nigdy nie umiałam się pozbywać rzeczy. W rogu stoi to, czego szukam: zabytkowy, oklejony podróżnymi nalepkami kufer.

Z wysiłkiem ciągnę ciężką skrzynię na środek strychu, dokładnie pod wiszącą żarówkę. Klękam, lecz w pół ruchu przerywa mi ból w kolanach, więc tylko przysiadam lekko na piętach.

Po raz pierwszy od trzydziestu lat unoszę wieko kufra. W wyjmowanej górnej części znajdują się pamiątki po dzieciach, z okresu niemowlęcego i nie tylko. Malutkie buciki, zabawki, rysunki kredkami, świadectwa szkolne, zdjęcia ze szkolnych przedstawień.

Wyjmuję tę część i odstawiam na bok.

Na dnie kufra panuje bałagan. Oprawione w skórę dzienniki, paczka przewiązanych niebieską satynową wstążeczką zżółkłych pocztówek, kartonowe pudełko z wgniecionym rogiem, seria cienkich tomików poezji Juliena Rossignola, duże pudło po butach z setkami czarno-białych fotografii.

Na wierzchu wyblakły, pożółkły kartonik.

Podnoszę go drżącymi rękami. To *carte d'identité*, dokument tożsamości z czasów drugiej wojny. Patrzę na mały prostokąt paszportowej fotografii młodej kobiety. „Juliette Gervaise".

– Mamo?

Słyszę kroki syna na trzeszczących schodach, moje serce bije w ich rytmie. Czy wołał mnie już wcześniej?

– Mamo? Nie powinnaś wchodzić na strych. Cholera… Te schodki się chwieją. – Syn staje przy mnie. – Wystarczy upadek i…

Muskam nogawkę jego spodni i lekko kręcę głową. Nie mogę podnieść wzroku.

– Nie… – szepczę. Tylko tyle mogę wykrztusić.

Syn klęka, potem siada. Czuję zapach jego wody po goleniu, subtelny, a zarazem ostry, korzenny, zmieszany z wonią papierosowego dymu. Przed domem wypalił papierosa; pozbył się tego nawyku dziesiątki lat temu, a teraz do niego powrócił, po mojej ostatniej diagnozie. Nie ma sensu wyrażać dezaprobaty. Syn jest lekarzem. Wie, co robi.

Instynkt podpowiada mi, żeby wrzucić dokument z powrotem do kufra i zatrzasnąć wieko. Czyniłam tak przez całe życie.

Teraz jednak umieram. Nie tak szybko, to prawda, ale i nie powoli, co skłania mnie do spoglądania na minione życie.

– Mamo, ty płaczesz.

– Tak?

Chciałabym wyznać mu prawdę, ale nie mogę. Ta niemożność wprawia mnie w zakłopotanie i zawstydza. W moim wieku nie powinnam się bać niczego – a już na pewno własnej przeszłości.

– Chcę zabrać ze sobą kufer – mówię tylko.

– Jest za duży. Przełożę rzeczy, które chcesz z niego wyjąć, do mniejszego pudła.

Uśmiecham się na tę próbę decydowania za mnie.

– Kocham cię i znowu jestem chora. Z tych powodów pozwoliłam ci sobą rządzić, ale pamiętaj, że jeszcze nie

umarłam. Chcę zabrać ze sobą ten kufer.

– Co z tych gratów może ci być potrzebne? To tylko nasze rysunki i inne starocie.

Gdybym dawno temu wyznała mu prawdę albo więcej piła, tańczyła i śpiewała, to może ujrzałby mnie zamiast zwyczajnej, uzależnionej od niego mamusi. Syn kocha moją niepełną wersję. Zawsze wydawało mi się, że właśnie tego chciałam – być kochaną i podziwianą. Teraz myślę, że wolałabym, aby mnie dobrze poznano.

– Uznaj to za moją ostatnią wolę.

Widzę, że chciałby zaprotestować, lecz boi się, że głos odmówi mu posłuszeństwa. Odchrząkuje.

– Już dwukrotnie pokonałaś chorobę. Teraz też ją pokonasz.

Oboje wiemy, że to nieprawda. Jestem osłabiona i marnie się czuję. Bez pomocy medycyny nie mogę jeść ani spać.

– Oczywiście.

– Chcę tylko, żebyś była bezpieczna.

Uśmiecham się. Amerykanie potrafią być tacy naiwni.

Kiedyś podzielałam jego optymizm. Myślałam, że świat jest bezpiecznym miejscem. Ale to było bardzo dawno temu.

– Kim jest Juliette Gervaise? – pyta Julien, ja zaś, słysząc z jego ust to nazwisko, doznaję lekkiego wstrząsu.

Zamykam oczy i w półmroku cuchnącym stęchlizną i dawno minionym życiem mój umysł podąża w przeszłość wzdłuż niewidzialnej linii przemierzającej kontynenty i lata. Wbrew woli – a może zgodnie z nią, kto to może wiedzieć? – zanurzam się we wspomnienia.

2

W całej Europie gasną światła. Nie ujrzymy ich już za naszego życia.
SIR EDWARD GREY O PIERWSZEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Sierpień 1939 roku
Francja

Vianne Mauriac wyszła z chłodnej, wykończonej stiukiem kuchni na podwórze od frontu. W ten piękny słoneczny poranek wszystko w Dolinie Loary rozkwitało. Lekki wietrzyk trzepotał białą pościelą na sznurze, stary kamienny mur odgradzający teren posesji od drogi porastała gęstwina pnących czerwonych róż. Pośród kwiatów uwijały się pracowite pszczoły, z oddali dochodził miarowy stukot kół pociągu. Po chwili rozległ się jasny dziecięcy śmiech.

Sophie.

Vianne się uśmiechnęła. Jej ośmioletnia córeczka biegała prawdopodobnie po domu, bawiąc się z ojcem w berka i przeszkadzając mu w przygotowaniach do sobotniego pikniku.

– Twoja córka jest prawdziwym tyranem – powiedział Antoine, stając w progu.

Podszedł do niej. Wypomadowane czarne włosy lśniły matowo w promieniach słońca. Dziś rano zajmował się stolarką – papierem ściernym przecierał krzesło, i tak już gładkie niczym satyna – i nadal twarz i ramiona miał pokryte

cieniutką warstewką drzewnego pyłu. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, wysokim i barczystym, o ogorzałej cerze i mocnym, ciemnym zaroście, który często musiał golić.

– Kocham cię, Vi – szepnął, obejmując ją i przyciągając do siebie.

– Ja też cię kocham.

W jej świecie była to najprawdziwsza prawda. Kochała w tym mężczyźnie wszystko – jego uśmiech, ciche mamrotanie podczas snu, wybuchy wesołości po kichnięciu i wyśpiewywanie arii operowych pod prysznicem.

Zakochała się w nim przed piętnastu laty na boisku szkolnym, nawet nie wiedząc, czym jest to uczucie. Był jej pierwszą i największą miłością, pierwszym kochankiem, to z nim przeżyła wszystko pierwszy raz – czuły pocałunek i intymny dotyk. Wcześniej, zanim go poznała, była chudą, niezgrabną, nerwową dziewczyną, skłonną do jąkania w często dopadającym ją lęku.

Nie miała matki.

„Odtąd będziesz dorosła”, powiedział do Vianne ojciec, wchodząc wraz z nią po raz pierwszy do domu, w którym teraz była. Miała czternaście lat, oczy czerwone i zapuchnięte od płaczu z nieutulonego żalu. W jednej chwili rodzinny dom letniskowy zamienił się w rodzaj więzienia. Mama nie żyła ledwie od dwóch tygodni, gdy tata zrezygnował z bycia ojcem. Kiedy tu przyjechali, nie trzymał jej za rękę ani nie opierał dłoni na jej ramieniu, nie podał jej nawet chusteczki, by osuszyła łzy.

„A-ale je-jestem jeszcze dzieckiem”, wyjąkała.

„Już nie”.

Spojrzała na młodszą siostrę, czteroletnią Isabelle, która nadal z upodobaniem ssała kciuk i nie miała pojęcia, co się

dzieje. Nieustannie pytała, kiedy mama wreszcie wróci do domu.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich wysoka chuda kobieta z haczykowatym nosem i czarnymi, małymi jak paciorki oczami.

„To te dziewczynki?" – zapytała.

Ojciec skinął głową.

„Nie sprawią kłopotu".

Wszystko stało się tak szybko, że Vianne niewiele zrozumiała. Tata porzucił swoje córki jak brudną bieliznę i zostawił je pod opieką nieznajomej. Różnica wieku między nią i siostrą była tak duża, że wydawało się, iż pochodzą z różnych rodzin. Vianne pragnęła pocieszyć małą – zamierzała to zrobić – ale pogrążona w otchłani bólu nie była w stanie myśleć o kimkolwiek innym, zwłaszcza o dziecku tak niecierpliwym, nieposłusznym i głośnym jak Isabelle. Nadal pamiętała pierwsze dni pobytu w tym domu: ciągły wrzask Isabelle i madame spuszczającą jej lanie. „Na miłość boską, Isabelle, przestań się wydzierać. Rób, co ona ci każe". Jak grochem o ścianę. Siostra nie słuchała nikogo.

Vianne była tym wszystkim bezgranicznie przygnębiona. Żałoba po zmarłej matce, ból wywołany porzuceniem przez ojca, nagła zmiana warunków życia, przygniatająca samotność, która dręczyła także małą Isabelle, to było dla niej zbyt wiele.

Antoine ją uratował. W pierwsze lato po śmierci mamy stali się nierozłączni. Chłopak był dla niej ucieczką. W wieku szesnastu lat zaszła w ciążę, jako siedemnastolatka była już mężatką i panią Le Jardin. Dwa miesiące później poroniła i zatraciła się na pewien czas. Inaczej nie dało się tego wyrazić. Wpełzła w głąb swej żałoby i zbudowała wokół siebie kokon, niezdolna przejąć się nikim ani niczym, a zwłaszcza marudzącą, wiecznie zapłakaną kilkuletnią siostrą.

To jednak stare dzieje. Nie chciała tego wspominać w ten piękny sobotni poranek. Przytuliła się do męża.

– Jestem już gotowa – zawołała córeczka, podbiegając do nich. – Chodźmy!

– No cóż – powiedział Antoine z szerokim uśmiechem. – Skoro księżniczka jest gotowa, to pora ruszać.

Rozbawiona tymi słowami Vianne wróciła do domu i sięgnęła po wiszący na haczyku przy drzwiach słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Mając rudawoblond włosy, porcelanową cerę i błękitne oczy, zawsze chroniła się przed silnym słońcem. Umieściła go starannie na głowie, chwyciła koronkowe rękawiczki oraz kosz piknikowy i pośpieszyła za Antoine'em i Sophie, którzy znajdowali się już za bramą.

Dogoniła ich na drodze gruntowej przed domem, tak wąskiej, że zmieściłby się na niej ledwie jeden samochód. Dalej rozciągały się zielone pola, gdzieniegdzie poprzetykane czerwienią maków i błękitem chabrów. Okolicę porastały rzadkie kępy drzew. W tym zakątku Doliny Loary uprawiano raczej pszenicę niż winorośl. Chociaż do Paryża były tylko dwie godziny jazdy pociągiem, miało się wrażenie przebywania w całkiem innym świecie. Nawet w lecie odwiedzało to miejsce niewielu turystów.

Niekiedy drogą z warkotem przejeżdżał samochód, rowerzysta lub wóz ciągniony przez wołu, na ogół jednak byli całkiem sami. Mieszkali o półtora kilometra od Carriveau, miasteczka liczącego niespełna tysiąc mieszkańców, znanego głównie jako przystanek na trasie pielgrzymki do świętej Joanny d'Arc. W okolicy nie było zakładów przemysłowych, zatem brakowało miejsc pracy. Zatrudnienie dawało głównie lotnisko wojskowe, będące dumą Carriveau. Jedyne takie w promieniu wielu kilometrów.

W miasteczku wąskie brukowane uliczki wiły się między niedbale przylegającymi do siebie zabytkowymi budowlami z wapienia. Od murów odpadały kawały tynku, bluszcz zakrywał wszechobecne symptomy rozkładu, niewidoczne, ale zawsze wyczuwalne. Miasteczko rozrastało się w chaotyczny, nieuporządkowany sposób – krzywe uliczki, nierówne stopnie schodów, ślepe zaułki – od setek lat. Kamienne budynki ożywiały plamy koloru: czerwone daszki w obramowaniu czarnego metalu, balkony z kutego żelaza ozdobione pelargoniami w glinianych donicach. Wzrok napotykał wszędzie rozmaite pokusy: piętrzące się na ozdobnej tacy pastelowe makaroniki, wiklinowy kosz pełen szynek, serów i *saucisson*, skrzynki kolorowych pomidorów, ogórków i bakłażanów. W słoneczny poranek kawiarnie pękały w szwach. Wokół okrągłych metalowych stolików siedzieli mężczyźni, pijąc mocną kawę, paląc skręcane ręcznie papierosy w brązowej bibułce i głośno się spierając.

Typowy dzień w Carriveau. Monsieur LaChoa zamiatał ulicę przed swoją *saladerie*, madame Clonet myła wystawę sklepu z kapeluszami, a grupa wyrostków spacerowała po miasteczku, kopiąc kamyki albo kapsle i podając sobie palonego na spółkę papierosa.

Po wyjściu z miasteczka skręcili w kierunku rzeki. Znaleźli płaskie, porośnięte gęstą trawą miejsce nieopodal wody i w cieniu kasztanowca rozłożyli koc, na którym Vianne postawiła kosz z jedzeniem. Wyjęła z niego chrupiącą bagietkę, gomółkę tłustego śmietankowego sera, dwa jabłka, pokrojoną cieniutko jak papier szynkę z Bayonne i butelkę bollingera rocznik 36. Nalała mężowi kieliszek szampana i usiadła przy nim, a Sophie pobiegła nad rzekę.

Dzień spędzili w cieple, słońcu i zadowoleniu. Rozmawiali, śmiali się, jedli i pili na łonie natury. Dopiero późnym

popołudniem, gdy Sophie rozsiadła się z wędką nad rzeką, Antoine zaś zajął się splataniem dla niej wianka ze stokrotek, zauważył z pozoru obojętnie:

– Hitler wkrótce wciągnie nas wszystkich w swoją wojnę.

Wojna.

Ostatnio wszyscy tylko o niej mówili, ale Vianne nie chciała tego słuchać. Szczególnie w tak piękny letni dzień.

Osłoniła dłonią oczy i rozejrzała się za córką. Za rzeką rozciągała się żyzna Dolina Loary. Nie było widać murków ani parkanów, a jedynie kilometry bezkresnych zielonych pól, kępy drzew, niekiedy kamienne domostwo lub stodołę. W powietrzu unosiły się maleńkie białe płatki, lekkie jak kłaczki bawełny.

Wstała i klasnęła w dłonie.

– Chodź, Sophie. Pora wracać do domu.

– Nie możesz tego bagatelizować, Vianne.

– Mam się martwić na zapas? Po co? Jesteś tu, by nas chronić.

Uśmiechając się może nieco zbyt beztrosko, spakowała kosz piknikowy i wraz z rodziną ruszyła w kierunku traktu.

W niespełna pół godziny dotarli do solidnej drewnianej bramy Le Jardin, kamiennego jednopiętrowego wiejskiego domu, od trzystu lat będącego w posiadaniu jej rodziny. Wiek pokrył go tuzinem odcieni szarości, okna z niebieskimi okiennicami na obu poziomach wychodziły na sad. Bluszcz oplatał gęsto dwa kominy i dachówki poniżej. Z pierwotnej parceli pozostało tylko trzy hektary. Sto zostało rozprzedane w ciągu dwóch wieków, kiedy rodzinna fortuna topniała. Według Vianne trzy hektary całkowicie wystarczały. Nie wyobrażała sobie, na co mogłaby potrzebować więcej ziemi.

Dokładnie zamknęła drzwi wejściowe. W kuchni z okapu nad płytą zwisały miedziane i żeliwne rondle i patelnie. U belek pod sufitem suszyły się grube pęki lawendy, tymianku i rozmarynu.

Miedziany zlew, któremu wiek nadał zielonkawą patynę, był dostatecznie duży i głęboki, by móc w nim wykąpać małego psa.

Tynk na wewnętrznych ścianach tu i tam poodpadał, odsłaniając farbę z dawno minionych lat. Salon był eklektyczną mieszanką mebli i tkanin – tapicerowana kanapa, dywany z Aubusson, zabytkowa chińska porcelana, perkal i grubo tkany len. Niektóre z wiszących na ścianach obrazów były znakomite, może nawet cenne, inne ewidentnie wyszły spod pędzla amatora. W sumie dawało to dość chaotyczne i niepozbawione zgrzytów wrażenie minionej fortuny i dawnych gustów, czyniąc pokój przytulnym mimo śladów zużycia.

Vianne przystanęła na chwilę, spozierając przez przeszklone drzwi na podwórze od tyłu, gdzie Antoine bujał Sophie na huśtawce, którą dla niej zmajstrował.

Powiesiła słomkowy kapelusz na wieszaku przy drzwiach i założyła fartuch, wiążąc go starannie w talii za plecami. Podczas gdy ojciec z córką bawili się na podwórzu, przygotowała kolację. Różową polędwicę wieprzową owinęła grubymi plastrami bekonu, związała sznurkiem, obsmażyła na gorącym tłuszczu i wstawiła do piekarnika. Podczas gdy polędwica się piekła, Vianne przyrządziła resztę kolacji. Punktualnie o ósmej zaprosiła rodzinę do stołu i z uśmiechem nasłuchiwała tupotu stóp, ożywionych nawoływań i skrzypienia krzeseł, gdy głodni zajmowali miejsca.

Sophie zasiadła u szczytu stołu, w wianku ze stokrotek uplecionym przez ojca nad rzeką.

Vianne postawiła pachnący kusząco półmisek. Pieczeń w chrupiącym bekonie z jabłkami glazurowanymi w gęstym sosie z czerwonego wina otoczona wianuszkiem pieczonych ziemniaków. Do tego miska zielonego groszku skąpanego w maśle doprawionym świeżym estragonem z ogródka. I oczywiście bagietka, którą Vianne upiekła rano.

Jak zwykle Sophie paplała przez całą kolację. Pod tym względem przypominała ciotkę Isabelle, bo tej też usta się nie zamykały.

Kiedy w końcu przyszło do deseru – *île flottante*, czyli wysepek pieczonych bez pływających w gęstym sosie waniliowym – wokół stołu zapadło pełne zadowolenia milczenie.

– Cóż, pora pozmywać naczynia – powiedziała wreszcie Vianne, odsuwając pusty talerzyk po deserze.

– Ojej, mamo – jęknęła Sophie.

– Żadnego marudzenia – rzekł surowo Antoine. – Jesteś już na to za duża.

Jak co wieczór matka z córką przeszły do kuchni, gdzie stanęły na swoich miejscach – Vianne przy miedzianym zlewie, Sophie przy kamiennym blacie – i zabrały się jedna do zmywania, druga do wycierania talerzy. Z salonu doleciała słodka, ostra woń papierosa, którego Antoine zawsze wypalał po kolacji.

– Tata nie roześmiał się dzisiaj ani razu, kiedy opowiadałam zabawne historie – poskarżyła się Sophie, gdy Vianne ustawiała talerze na wiszącej na ścianie drewnianej suszarce. – Coś go chyba gryzie.

– Nie śmiał się? No tak, to z pewnością powód do zaniepokojenia – odparła matka z udawaną powagą.

– Tata martwi się wojną.

Wojna. Znowu.

Vianne żartobliwie wygoniła córkę z kuchni. Na piętrze w pokoju Sophie przysiadła na szerokim łóżku i słuchała paplaniny małej, która przebierała się w piżamę i szykowała do snu.

Matka nachyliła się i pocałowała córkę na dobranoc.

– Boję się – wyznała Sophie. – Czy będzie wojna?

– Nie martw się tym – odparła Vianne. – Tata nas obroni. – Mówiąc to, przypomniała sobie inną chwilę, kiedy matka tak samo ją zapewniała, że nie ma się czego obawiać.

To było wtedy, kiedy jej ojciec wyruszył na wojnę.

Sophie nie wydawała się przekonana.

– Ale…

– Żadne ale. Wszystko będzie w porządku. A teraz śpij.

Ponownie ucałowała córkę w policzek.

Zeszła na parter, stamtąd zaś do ogrodu. Wieczór był ciepły, powietrze przesycał słodki zapach jaśminu. Antoine siedział w niewygodnej pozycji na ogrodowym krześle z kutego żelaza, wyciągnąwszy przed siebie długie nogi.

Stanęła za nim i położyła mu dłoń na ramieniu. Wypuścił kłąb dymu i zaraz znów zaciągnął się głęboko papierosem. Potem podniósł na nią wzrok. W nikłym świetle księżyca jego twarz wydawała się blada i mizerna. Niemal obca. Sięgnął do kieszonki kamizelki i wyjął z niej złożoną we czworo kartkę papieru.

– Zostałem zmobilizowany, Vianne. Jak większość mężczyzn w wieku od osiemnastu do trzydziestu pięciu lat.

– Zmobilizowany? Ale… jak to? Przecież nie ma wojny. Nie rozumiem…

– We wtorek mam się stawić w jednostce.

– Ale… ale… jesteś listonoszem… – zaprotestowała bezradnie.

Przytrzymał ją wzrokiem i nagle zabrakło jej tchu.

– Jak się okazuje, teraz jestem żołnierzem.

3

Wojna nie była Vianne całkiem obca. Nie znała, rzecz jasna, bitewnego zgiełku, jęków rannych, dymu i krwi, ale jej następstwa – tak. Chociaż przyszła na świat w czasach pokoju, to jej najwcześniejsze wspomnienia dotyczyły właśnie wojny. Pamiętała, że mama płakała, żegnając się z tatą. Pamiętała ciągłe uczucie głodu i zimna. Niemniej najbardziej zapamiętała to, jak odmieniony wydał jej się ojciec po powrocie do domu, jak utykał, wzdychał i niewiele mówił. Zaczął wtedy pić i trzymać się na uboczu, niemal całkiem ignorując rodzinę. Później doszły jeszcze gwałtownie zatrzaskiwane drzwi, zażarte kłótnie przechodzące w niezręczne milczenie, śpiący w osobnych pokojach rodzice.

Ojciec, który wyruszył na wojnę, nie był tym, który z niej powrócił. Starała się mu przypodobać, aby nadal ją kochał, co więcej, starała się nadal kochać jego, lecz na próżno. Odkąd wywiózł ją do Carriveau, zajęła się własnym życiem. Wysyłała ojcu pocztówki na Boże Narodzenie i urodziny, lecz nigdy nie otrzymała od niego nic w zamian, rzadko też rozmawiali ze sobą. Zresztą, co niby mieliby sobie powiedzieć? W przeciwieństwie do Isabelle, która ciągle tęskniła, Vianne szybko zrozumiała – i zaakceptowała – że wraz ze śmiercią mamy jej rodzina rozpadła się bezpowrotnie. Ojciec nie zamierzał dłużej pełnić obowiązków rodzicielskich wobec córek.

– Wiem, jak bardzo wojna cię przeraża – powiedział Antoine.

– Linia Maginota wytrzyma – odparła, starając się nadać głosowi przekonujący ton. – Na święta będziesz już z powrotem w domu. – Linię Maginota stanowił ciągnący się przez wiele kilometrów system betonowych bunkrów, zapór i przeszkód, zbudowany wzdłuż granicy francusko-niemieckiej po Wielkiej Wojnie dla obrony granic kraju. Niemcy nie mieli szans go sforsować.

Antoine wziął ją w ramiona. Woń jaśminu upajała i Vianne w nagłym przebłysku pojęła, że odtąd jego zapach już zawsze będzie jej się kojarzył z tym pożegnaniem.

– Kocham cię, Antoine. Oczekuję, że wrócisz do mnie i do domu.

Później nie mogła sobie przypomnieć, jak wrócili do budynku, wspięli się po schodach na górę i rzucili na łóżko, nawzajem pomagając sobie w rozbieraniu. Pamiętała jedynie, że leżała naga w jego objęciach, przygnieciona jego słodkim ciężarem, kiedy kochał się z nią tak jak nigdy dotąd, pokrywając jej twarz i szyję krótkimi, gorączkowymi pocałunkami i ucząc się dłońmi na pamięć jej ciała.

– Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje, Vianne – powiedział potem, kiedy leżeli zdyszani, obejmując się.

– Nie jestem – wyszeptała zbyt cicho, by ją usłyszał.

Rano Vianne chciała zatrzymać Antoine’a w łóżku przez cały dzień, a może nawet przekonać go, że powinni spakować walizki i nocą uciec jak złodzieje.

Tylko dokąd? Wojna zawisła nad całą Europą.

Kiedy po skończonym śniadaniu wzięła się do zmywania, poczuła narastający w głębi czaszki ból.

– Wyglądasz smutno, mamo – zauważyła Sophie.

– Jak mogę być smutna w piękny, letni poranek, kiedy idziemy odwiedzić naszych najlepszych przyjaciół? – Vianne uśmiechnęła się nieco zbyt ostentacyjnie.

Dopiero po wyjściu z domu, gdy przystanęła na chwilę w cieniu jabłoni, zorientowała się, że jest boso.

– Mamo – rzuciła niecierpliwie Sophie.

– Już idę – zawołała i pobiegła za córką, mijając po drodze przerobiony na szopę na narzędzia ogrodnicze stary gołębnik i pustą stodołę. Sophie otworzyła tylną furtkę, wbiegła na sąsiednie, dobrze utrzymane podwórze i ruszyła w kierunku niedużej kamiennej chaty z niebieskimi okiennicami.

Zastukała raz i nie czekając na odpowiedź, wpadła do środka.

– Sophie! – krzyknęła Vianne ostro, ale córka nawet się nie obejrzała. Dobre maniery nie były konieczne w domu najlepszych przyjaciół, a ona przyjaźniła się z Rachel de Champlain od piętnastu lat. Poznały się miesiąc po tym, jak ojciec Vianne porzucił córki w Le Jardin.

Stanowiły wówczas niezłą parę: Vianne drobna, nerwowa i blada, a Rachel wysoka jak chłopak, z gęstymi brwiami i tubalnym głosem. Zanim się poznały, obie były odludkami. W szkole stały się nierozłączne i od tamtej pory się przyjaźniły. Razem poszły na uniwersytet, a potem zostały nauczycielkami. W jednym czasie zaszły w ciążę. Obecnie uczyły w sąsiednich klasach w miejscowej szkole.

W otwartych drzwiach ukazała się Rachel z nowo narodzonym synem Arielem na rękach.

Wymieniły spojrzenia, w których były ich wszystkie niewypowiedziane obawy i lęki.

– Nie sądzisz, że ta sytuacja domaga się wina? – zagadnęła Rachel.

– Co najmniej.

Vianne weszła za przyjaciółką do niewielkiego, jasnego wnętrza lśniącego czystością. Stół zbity z grubych, licho oheblowanych desek, pośrodku którego królował wazon łąkowych kwiatów, otaczały krzesła, każde z innej parafii. W kącie jadalni stała skórzana walizka, a na niej leżała brązowa fedora, ulubiony kapelusz Marca, męża Rachel. Młoda matka jedną ręką nalała dwa kieliszki białego wina i wyjęła z kredensu ozdobną paterę z *canelés*. Wzięły to wszystko i wyszły przed dom.

Wzdłuż żywopłotu z ligustru rosły krzewy pnących róż. Na nierównym, wyłożonym łupkiem tarasie stał stolik i cztery lekkie krzesła. Z gałęzi kasztanowca zwieszały się zabytkowe latarnie.

Vianne sięgnęła po *canelés*, odgryzła kawałek kruchego ciasteczka przełożonego kremem waniliowym i usiadła.

Rachel zajęła miejsce naprzeciw niej, trzymając na kolanach smacznie śpiące niemowlę. Zapadła cisza wypełniona obawą i lękiem.

– Zastanawiam się, czy mały rozpozna kiedyś ojca – przerwała milczenie Rachel, spoglądając na synka.

– Wrócą odmienieni – mruknęła Vianne posępnie. Jej ojciec brał udział w bitwie nad Sommą, gdzie straciło życie ponad milion żołnierzy. Nieliczni, którzy powrócili do domów, przynieśli ze sobą pogłoski o potwornościach popełnianych przez Niemców.

Rachel oparła sobie dziecko na ramieniu i delikatnie głaskała je po pleckach.

– Marc nie umie zmieniać pieluch. Mały Ari uwielbia spać w naszym łóżku. Więc w sumie wyjdzie nam to na dobre.

Vianne poczuła, że się uśmiecha. Niewinny żarcik poprawił jej humor.

– Antoine strasznie chrapie. Teraz nareszcie się wyśpię.

– Na kolację będziemy mogły jadać jajka w koszulkach.

– I będzie tylko połowa prania. – Vianne próbowała ciągnąć wymianę żartów, ale głos jej się załamał. – Nie jestem dostatecznie silna, Rachel.

– Ależ jesteś, przekonasz się. Razem przez to przejdziemy.

– Zanim poznałam Antoine'a…

– Wiem. – Rachel zbyła ją machnięciem ręki. – Wiem. Byłaś chuda jak szczapa, z nerwów zaczynałaś się jąkać i miałaś uczulenie na wszystko. Wiem, byłam wtedy przy tobie. Ale to już dawno minęło. Będziesz silna. A wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

Uśmiech spełzł z twarzy Rachel.

– Wiem, że jestem duża: posągowa, jak lubią mnie nazywać sprzedawcy pończoch i biustonoszy, ale czuję się… zagubiona. Więc sprawa wygląda tak, moja droga Vi, że czasem będę się musiała na tobie oprzeć. Oczywiście nie całym ciężarem.

– Czyli nie możemy się załamać jednocześnie.

– Otóż to – odrzekła Rachel. – Taki mamy plan. To jak, przejdziemy teraz na koniak czy na dżin?

– Jest dziesiąta rano.

– Masz rację. Oczywiście. Zatem koktajl French 75.

Kiedy Vianne obudziła się we wtorkowy poranek, promienie słońca wlewały się do sypialni, lśniąc na polerowanym drewnie.

Antoine siedział przy oknie w fotelu na biegunach; sam go zrobił z drewna orzechowego, kiedy Vianne była w drugiej ciąży. Przez cztery lata ów nieużywany fotel boleśnie z nich drwił. Vianne nazywała je w duchu latami poronień. Pustki w krainie obfitości. Trzy stracone życia w ciągu czterech lat,

przerwane bicie maleńkich serduszek, posiniałe rączki. A potem cudownym zrządzeniem losu jedno dziecko przeżyło. Sophie. Chropawa powierzchnia fotela skrywała smutne duchy, ale i dobre wspomnienia.

– Może powinnaś pojechać z Sophie do Paryża – zagadnął, gdy Vianne usiadła wyprostowana. – Julien na pewno się wami zaopiekuje.

– Mój ojciec dosyć jasno wyraził swoje zdanie na temat mieszkania z córkami. Nie spodziewam się, żeby mnie przyjął z otwartymi rękami. – Vianne odsunęła cienką pikowaną narzutę i postawiła bose stopy na wytartym chodniku.

– Poradzisz sobie?

– Obie z Sophie sobie poradzimy. Zresztą i tak szybko wrócisz do domu. Linia Maginota wytrzyma. I powszechnie wiadomo, że Niemcy nie mogą się z nami równać.

– Tylko szkoda, że ich broń może. Podjąłem z banku wszystkie oszczędności. W materacu leży schowane sześćdziesiąt pięć tysięcy franków. Korzystaj z nich mądrze, Vianne. Razem z twoją nauczycielską pensją powinno ci starczyć na długo.

Poczuła przypływ paniki. Niewiele wiedziała o sytuacji materialnej rodziny. To Antoine zajmował się finansami.

Powoli wstał i wziął ją w ramiona. Zapragnęła zabutelkować poczucie bezpieczeństwa, jakie ją ogarnęło w tej chwili, by napoić się nim później, kiedy będą ją dręczyły samotność i lęk.

Zapamiętaj tę chwilę, myślała gorączkowo. Blask słońca na zmierzwionych włosach Antoine’a, miłość wyzierającą z jego piwnych oczu, spękane wargi, które całowały cię w ciemności przed niespełna godziną.

Z otwartego okna dochodził miarowy, powolny stukot końskich kopyt, klap-klap-klap, zmieszany z metalicznym turkotem wozu podskakującego na nierównej drodze.

To zapewne pan Quillian udawał się z kwiatami na targ. Gdyby Vianne stała przy furtce, zatrzymałby się i wręczył jej jeden z nich, zapewniając, że nie może się on równać z jej urodą, ona zaś uśmiechnęłaby się, podziękowała i zaproponowała mu kieliszek wina.

Niechętnie wysunęła się z ramion męża. Podeszła do drewnianej umywalni, nalała do miski letniej wody z niebieskiego porcelanowego dzbanka i obmyła twarz. We wnęce służącej za garderobę, osłoniętej grubą złoto-białą kotarą, założyła biustonosz, obszyte koronką reformy i pas do pończoch. Naciągnęła cienkie jedwabne pończochy i starannie przypięła je do pasa, a następnie włożyła odcinaną w pasie bawełnianą sukienkę z dekoltem w karo. Gdy wyszła zza kotary i rozejrzała się, Antoine'a już nie było.

Znalazła torebkę i ruszyła do pokoju Sophie. Był równie mały jak sypialnia rodziców, ze spadzistym belkowanym sufitem, podłogą z szerokich desek i oknem wychodzącym na sad. Metalowe łóżko, nocna szafka z lampką, pomalowana na niebiesko dwudrzwiowa szafa na ubrania. Na ścianach wisiały rysunki Sophie.

Vianne otwarła okiennice, wpuszczając słoneczne światło.

Jak zwykle w czasie upalnych letnich miesięcy, Sophie skopała z siebie cienką kołdrę i zrzuciła ją na podłogę. Spała przytulona policzkiem do różowego pluszowego misia, którego nazwała Bébé.

Vianne wzięła zwierzątko do ręki i przyjrzała się jego sfilcowanemu pyszczkowi. W ubiegłym roku Bébé popadł w zapomnienie i kurzył się na półce przy oknie, bo jego pani zajęła się nowymi zabawkami.

Teraz Bébé powrócił.

Vianne nachyliła się, żeby pocałować córkę w policzek.

Sophie przetoczyła się na plecy i zamrugała.

– Mamo, nie chcę, żeby tatuś wyjeżdżał – szepnęła. Wyciągnęła rękę i praktycznie wyrwała matce misia.

– Wiem – odrzekła Vianne, wzdychając. – Wiem…

Podeszła do szafy i wyjęła z niej ubranko marynarskie, ulubiony strój Sophie.

– Czy mogę wziąć wianek, który tata dla mnie uplótł?

Przywiędły wianek ze stokrotek leżał na nocnej szafce. Vianne ostrożnie założyła go Sophie na głowę.

Wydawało się, że dziewczynka jest spokojna, do momentu gdy wbiegła do salonu i ujrzała Antoine'a.

– Tatusiu? – Sophie dotknęła niepewnie zwiędłych stokrotek. – Nie wyjeżdżaj…

Antoine ukląkł i objął córeczkę.

– Muszę być żołnierzem, żeby bronić ciebie i mamy. Chcę, żebyście były bezpieczne. Ale wrócę, nim się obejrzysz.

Głos mu się załamał.

Sophie wysunęła się z jego objęć. Wianek na jej głowie przekrzywił się na bok.

– Obiecujesz, że wrócisz do domu?

Ponad ramieniem córki Antoine spojrzał w zmartwione, niespokojne oczy żony.

– Tak – powiedział po długiej chwili.

Sophie skinęła głową.

W milczeniu wyszli z domu. Trzymając się za ręce, ruszyli trawiastym zboczem w kierunku starej stodoły. Wyżej na wzniesieniu trawa sięgała do kolan. Krzewy bzu, wielkie niczym wozy z sianem, wyznaczały granice posiadłości. Trzy małe białe krzyże przypominały o straconych przez Vianne dzieciach. Dziś ani razu nie spojrzała w ich stronę. W sercu czuła już wystarczający ciężar, nie chciała do niego dokładać tamtych przykrych wspomnień.

W stodole stał ich stary zielony renault. Kiedy zajęli już w nim miejsca, Antoine uruchomił silnik, wycofał wóz ze stodoły i zjechał koleinami pełnymi zeschłej trawy do traktu. Vianne wyglądała przez zakurzone okienko, obserwując, jak przed oczami migają znajome krajobrazy zielonej doliny – pokryte czerwoną dachówką chaty z kamienia, pola pszenicy, winnice, rzadkie laski.

Stanowczo zbyt szybko dojechali do stacji kolejowej opodal Tours.

Na peronie tłoczyli się młodzi mężczyźni z walizkami, żegnające ich kobiety i płaczące dzieci.

Nowe pokolenie mężczyzn wyruszało na kolejną wojnę.

Nie myśl o tym, powtarzała w duchu Vianne. Nie przypominaj sobie, jak to było ostatnim razem, gdy wracali do domów, kuśtykając, bez rąk i nóg, z poparzonymi twarzami.

Ściskała dłoń męża, gdy szedł po bilety i prowadził je do pociągu. Również w dusznym wagonie trzeciej klasy, w którym ludzie tłoczyli się jak sardynki w puszce, siedziała sztywno wyprostowana, z torebką na kolanach, nie wypuszczając ani na moment ręki Antoine'a.

U celu podróży wysiadło jeszcze kilkunastu mężczyzn. Vianne, Sophie i Antoine ruszyli wraz z nimi w dół brukowanej ulicy uroczego miasteczka nieróżniącego się specjalnie od większości osad w Turenii. Jak to możliwe, że zbliża się wojna i w zabytkowych murach tej prześlicznej, ukwieconej miejscowości zbierają się żołnierze, by ruszyć do walki?

Antoine pociągnął Vianne za rękę; ruszyła za nim bez pośpiechu. Kiedy się właściwie zatrzymała?

Przed nimi wznosiła się nowo postawiona żelazna brama, za którą stały rzędy baraków. Tymczasowe koszary.

Brama otworzyła się szeroko. Na powitanie nowo przybyłych wyjechał żołnierz na koniu, z twarzą pokrytą kurzem

i czerwoną od upału. Skórzane siodło skrzypiało przy każdym poruszeniu. Ściągnął wodze i wierzchowiec stanął w miejscu, rzucając łbem i głośno parskając. Nad nimi przeleciał z warkotem aeroplan.

– Słuchajcie mnie, ludzie! – zawołał jeździec. – Zanieście papiery do porucznika przy bramie. No, dalej. Ruszajcie się!

Antoine pocałował Vianne z czułością, od której zachciało jej się płakać.

– Kocham cię – szepnął z ustami na jej ustach.

– Ja też cię kocham – odrzekła, ale słowa, zawsze wydające się tak podniosłe, nagle spowszedniały. Czymże była miłość w obliczu wojny?

– Ja też cię kocham, tatusiu. Ja też! – krzyknęła Sophie, rzucając się ojcu na szyję. Wszyscy troje objęli się po raz ostatni, po czym Antoine się cofnął.

– Do widzenia – powiedział.

Vianne nie mogła wydobyć głosu z krtani. Patrzyła, jak mąż się oddala, wtapia w tłum rozgadanych, wybuchających rubasznym śmiechem młodych mężczyzn, w końcu niknie jej z oczu. Ogromna żelazna brama zamknęła się ze zgrzytem, szczęk metalu jeszcze długo odbijał się echem w dusznym, rozgrzanym powietrzu. Vianne i Sophie zostały same na środku pustej ulicy.

4

Czerwiec 1940 roku
Francja

Średniowieczna wiejska rezydencja wyrastała na zielonym, porośniętym lasem wzniesieniu. Przypominała dekorację z wystawy cukiernika, zamek zrobiony z karmelu, z oknami z cukrowej glazury i okiennicami barwy kandyzowanych jabłek. Daleko w dole w błękitnej tafli jeziora odbijały się pierzaste chmury. Starannie utrzymane ogrody umożliwiały mieszkańcom rezydencji – a co ważniejsze, ich gościom – przechadzanie się po ścieżkach i prowadzenie wytwornych rozmów.

W oficjalnej jadalni Isabelle Rossignol siedziała sztywno wyprostowana przy nakrytym białym obrusem stole, zapewniającym miejsce co najmniej dwudziestu czterem biesiadnikom. Pomieszczenie utrzymane było w jasnych barwach. Ściany, posadzka i sufit zostały wyłożone ręcznie obrobionym kamieniem w odcieniu ostrygi. Łukowe sklepienie miało w najwyższym punkcie blisko siedem metrów wysokości. Dźwięki w tej zimnej sali rozbrzmiewały donośniej, schwytane w pułapkę tak samo jak siedzące tu osoby.

Madame Dufour stała u szczytu stołu, ubrana w surową czarną suknię bez śladu dekoltu. Jedyną jej ozdobą była brylantowa broszka (jedna porządna sztuka, moje panie, za to starannie dobrana; wszystko świadczy o nas, a nic nie

przemawia tak głośno jak tandeta). Szczupłą twarz z tępo zakończonym podbródkiem okalała burza ondulowanych loczków mająca sprawiać, jak się zdawało, wrażenie młodości, lecz bez specjalnego sukcesu.

– Sztuka polega na tym – mówiła dźwięcznym, wyrobionym głosem – by wykonać zadanie cicho i dyskretnie.

Każda z dziewcząt przy stole była ubrana w szkolny mundurek składający się z granatowego, dopasowanego żakietu i wełnianej spódnicy. W zimie była to zaleta, jednak dziś, w upalne czerwcowe popołudnie, pozostawanie w tym stroju przeradzało się w mękę. Isabelle czuła, że spływa potem, którego woni nie zdoła zabić żadna ilość lawendowego mydła.

Spojrzała na nieobraną pomarańczę leżącą pośrodku talerza z limuzyjskiej porcelany. Po obu jego stronach spoczywały sztućce: widelec do sałaty, widelec do drugiego dania i takiż nóż, łyżka, nożyk do masła, widelec do ryby. A to jeszcze nie wszystko.

– Teraz – powiedziała madame Dufour – wybierzcie odpowiednie sztućce, tylko spokojnie, proszę, po cichu, i obierzcie owoc ze skórki.

Isabelle wzięła do ręki widelec i spróbowała wbić jego ostre zęby w twardą skórkę, ale pomarańcza wyśliznęła się jej z palców, spadła z talerza i potoczyła po stole, z hałasem obijając się o zastawę.

– Cholera – mruknęła dziewczyna, chwytając owoc, zanim stoczył się na podłogę.

– Słucham? – Madame Dufour już stała przy niej.

Isabelle podskoczyła na krześle. Na Boga, ta kobieta porusza się jak żmija w trawie.

– Przepraszam, madame – bąknęła, kładąc pomarańczę z powrotem na talerzu.

– Panno Rossignol – powiedziała madame. – Czemu należy przypisać, że choć od dwóch lat zaszczycasz swoją obecnością nasze mury, tak mało zdołałaś się nauczyć?

Isabelle ponownie dźgnęła owoc widelcem. Tym razem wprawdzie bez gracji, za to skutecznie. Uśmiechnęła się do madame.

– Na ogół, proszę pani, niezdolność ucznia do nauki oznacza niezdolność nauczyciela do uczenia.

Wszystkie siedzące przy stole panny aż sapnęły.

– Ach tak – wycedziła madame. – Czyli to przez nas wciąż nie udaje ci się poprawnie zjeść pomarańczy.

Isabelle znów zaatakowała owoc, ale za mocno i za szybko. Srebrne ostrze noża ześliznęło się po porowatej skórce i z brzękiem uderzyło w talerz.

Ręka madame Dufour wystrzeliła jak wąż, palce zacisnęły się wokół nadgarstka Isabelle.

Reszta uczestniczek lekcji zamarła, wytrzeszczając oczy, by nic nie stracić z tej sceny.

– Uprzejma rozmowa, dziewczęta – napomniała madame, uśmiechając się blado. – Nikt nie chce siedzieć przy obiedzie obok milczącego posągu.

Panienki posłusznie rozpoczęły ciche rozmowy o rzeczach, które nie interesowały Isabelle. Uprawie ogrodu, modzie, pogodzie. Tematy odpowiednie dla kobiet.

– Uwielbiam koronki z Alençon, a ty? – Isabelle dosłyszała stonowany głosik swej sąsiadki i ledwie powstrzymała się od krzyku.

– Panno Rossignol – powiedziała madame. – Proszę udać się do madame Allard i powiadomić ją, że nasz eksperyment dobiegł końca.

– A co to znaczy?

– Ona będzie wiedziała. Proszę iść.

Isabelle zerwała się szybko od stołu w obawie, że madame może zmienić zdanie.

Twarz nauczycielki aż skurczyła się na głośny zgrzyt, jaki wydały nogi krzesła przesuwające się po kamiennej posadzce.

– Tak naprawdę nie lubię pomarańczy – oznajmiła Isabelle z uśmiechem.

– Doprawdy? – zdziwiła się sarkastycznie madame.

Isabelle pragnęła wybiec z tej duszącej ją sali, ale miała już wystarczające kłopoty, więc zmusiła się do godnego damy kroku, z wyprostowanymi plecami, ściągniętymi ramionami i wysoko uniesionym podbródkiem. Przy schodach, po których uczono je stąpać z trzema książkami na głowie, by umiały zachować dystyngowaną postawę, rozejrzała się dyskretnie na boki, a stwierdziwszy, że jest sama, zbiegła na dół.

Na korytarzu zwolniła, znów prostując plecy. Gdy dotarła pod drzwi gabinetu dyrektorki, oddychała już miarowo i spokojnie.

Zapukała.

Usłyszawszy „proszę wejść”, nacisnęła klamkę.

Madame Allard siedziała za mahoniowym, intarsjowanym biurkiem. Na kamiennych ścianach wisiały średniowieczne gobeliny, łukowate okno z szybkami w ołowianych ramkach wychodziło na tak wyraźnie wymodelowane ogrody, że więcej miały wspólnego ze sztuką niż z naturą. Nawet ptaki rzadko się tu zapuszczały; zapewne wyczuwały dławiącą atmosferę i leciały dalej.

Isabelle usiadła, po czym o sekundę za późno uświadomiła sobie, że nikt jej tego nie zaproponował. Zerwała się z miejsca.

– Przepraszam, madame.

– Usiądź, Isabelle.

Usłuchała, krzyżując nogi w kostkach, jak przystało damie, i składając ręce na podołku.

– Madame Dufour poleciła mi przekazać, że eksperyment dobiegł końca.

Madame sięgnęła po jedno z wiecznych piór oprawione w szkło z Murano i zaczęła postukiwać nim lekko w blat biurka.

– Dlaczego się tu znalazłaś, Isabelle?

– Bo nie cierpię pomarańczy.

– Słucham?

– I gdybym miała zjeść pomarańczę, a szczerze mówiąc, madame, nie widzę powodów, dla których miałabym to robić, skoro mi nie smakują, to użyłabym rąk, jak to czynią Amerykanie. I wszyscy inni ludzie. Widelec i nóż do pomarańczy?

– Miałam na myśli to, dlaczego znalazłaś się w naszej szkole?

– Ach… to. No cóż, zostałam wydalona ze szkoły przy klasztorze Najświętszego Serca w Awinionie. Za nic, pozwolę sobie dodać.

– A siostry od Świętego Franciszka?

– No tak… One miały powód, żeby mnie wydalić.

– A jeszcze wcześniejsza szkoła?

Isabelle milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Masz już prawie dziewiętnaście lat. – Madame odłożyła wieczne pióro.

– Tak, madame.

– Myślę, że już czas, abyś odeszła.

Isabelle zerwała się z krzesła.

– Mam wrócić na lekcję obierania pomarańczy?

– Znów mnie nie zrozumiałaś. Miałam na myśli to, że powinnaś opuścić szkołę, Isabelle. Najwyraźniej nie interesuje cię to, czego tutaj uczymy.

– Jak poprawnie zjeść pomarańczę, kiedy posypać serem potrawę i kto jest ważniejszy: drugi syn księcia czy córka, która

nie ma prawa dziedziczyć, a może ambasador nieliczącego się kraju? Madame, czy pani nie wie, co się dzieje na świecie?

Isabelle mogła być upchnięta głęboko na prowincji, a i tak wiedziała. Nawet tutaj, zabarykadowana żywopłotami i nakazami manier, wiedziała, co dzieje się we Francji. Nocami w swej klasztornej celi, gdy koleżanki leżały już dawno w łóżkach, słuchała BBC na przemyconym radiu. Francja przyłączyła się do Wielkiej Brytanii i wypowiedziała Niemcom wojnę. W całym kraju mieszkańcy gromadzili zapasy żywności, zakładali na okna zaciemnienie i uczyli się żyć w mroku jak krety.

Przygotowywali się i zamartwiali, a potem… nic.

Miesiącami nie działo się nic.

Na początku wszyscy rozmawiali o Wielkiej Wojnie i stratach, jakie dotknęły niemal wszystkie rodziny, lecz wraz z upływem miesięcy, gdy o wojnie jedynie się mówiło, Isabelle usłyszała z ust nauczycielek określenie „dziwna wojna". Prawdziwej grozy zaznały inne kraje Europy – na przykład Polska.

– Czy w czasie wojny dobre maniery nic nie znaczą, Isabelle?

– Już teraz są bezużyteczne – odparła impulsywnie dziewczyna i od razu pożałowała niewczesnej szczerości.

– Nasza szkoła od początku nie była dla ciebie odpowiednim miejscem, ale… – Madame wstała z miejsca.

– Ojciec umieściłby mnie wszędzie, byle się mnie pozbyć – przerwała Isabelle. Wolała wypalić prawdę, niż usłyszeć kolejne kłamstwo. Od ponad dekady tułała się po rozmaitych klasztorach i szkołach z internatem i wiele się nauczyła, przede wszystkim tego, że musi polegać na sobie. Na ojca i siostrę z pewnością nie mogła liczyć.

Madame przyjrzała się Isabelle. Nozdrza leciutko jej się rozszerzyły, co wskazywało na uprzejme, acz bolesne

niezadowolenie.

– Strata żony to cios dla mężczyzny.

– Podobnie jak dla córki utrata matki. – Isabelle uśmiechnęła się buntowniczo. – W gruncie rzeczy straciłam oboje rodziców, czyż nie? Jedno zmarło, a drugie odwróciło się ode mnie. Nie umiem orzec, co zabolało mnie bardziej.

– Na miłość boską, Isabelle, czy zawsze musisz mówić wszystko, co masz na języku?

Isabelle słyszała te krytyczne słowa przez całe życie i nadal nie rozumiała, dlaczego powinna uważać na to, co mówi. I tak nikt jej nigdy nie słuchał.

– Wyjedziesz jeszcze dzisiaj. Wyślę telegram do twojego ojca. Thomas odprowadzi cię na stację.

– Dzisiaj? – Isabelle zamrugała nerwowo. – Ale… Tata mnie nie chce.

– Cóż. To się nazywa konsekwencje – odparła madame. – Może teraz zauważysz, że powinny być brane pod uwagę.

Isabelle znów siedziała sama w pociągu, zmierzając ku nieznanemu przeznaczeniu.

Patrzyła przez brudne okno na rozciągający się za nim zielony krajobraz: pola uprawne i łąki, czerwone dachy domostw, kamienne murki i mosty, wozy konne.

Wszystko wyglądało tak jak zawsze, i to ją zaskoczyło. Zbliżała się wojna, więc można by przypuszczać, że kraj ulegnie jakiejś zmianie – drzewa uschną, trawa zżółknie, ptaki przestaną śpiewać. Z pełznącego do Paryża pociągu widziała jednak, że wszystko było najzupełniej zwyczajne.

Wreszcie, sapiąc i zgrzytając, pociąg dotarł na ogromny Gare de Lyon. Isabelle sięgnęła po niedużą walizkę i położyła ją sobie

na kolanach. Kiedy przyglądała się wysiadającym, powrócił do niej problem, którego dotąd starała się unikać.

Tata.

Pragnęła wierzyć, że ojciec serdecznie powita ją w domu, że w końcu otworzy ramiona, wypowie jej imię w ten kochający sposób jak przedtem, kiedy mama swoją obecnością spajała ich razem niczym klej.

Opuściła wzrok na porysowaną walizkę.

Jaka mała.

Większość dziewczyn, z którymi uczęszczała do rozmaitych szkół, przyjeżdżała z kolekcją waliz i kufrów, opasanych skórzanymi pasami z solidnymi mosiężnymi sprzączkami. Nad biurkami wieszały obrazy, na nocnych szafkach ustawiały fotografie i sentencje w ramkach, w szufladach trzymały albumy ze zdjęciami.

Isabelle miała jedną fotografię kobiety, którą chciała pamiętać i nie mogła. Gdy próbowała przywołać wspomnienia, przychodziły do niej jedynie zamazane obrazy płaczących ludzi, kręcącego głową lekarza i matki mówiącej coś o trzymaniu się mocno ręki starszej siostry.

Jak gdyby to mogło w czymś pomóc. Vianne porzuciła ją równie szybko jak ojciec.

Isabelle uświadomiła sobie, że tylko ona nie opuściła jeszcze wagonu. Chwyciła walizkę w dłoń obleczoną rękawiczką, wstała i wyszła z przedziału.

Na peronach roiło się od ludzi. Lokomotywy stały, dysząc i wypuszczając kłęby dymu, który wisiał pod wysokim łukowym sklepieniem. Z oddali doleciał ostry gwizd. Wielkie żelazne koła zaczęły się obracać. Płyty pod stopami dziewczyny zadrżały.

Jej ojciec wyróżniał się nawet w zbitym tłumie.

Kiedy ją zobaczył, po jego twarzy przemknął widoczny cień rozdrażnienia, szybko zastąpiony wyrazem ponurej rezygnacji.

Był wysoki, mierzył co najmniej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, ale mocno się garbił. Ponoć za sprawą Wielkiej Wojny, tak to zapamiętała Isabelle. Szerokie barki opadały apatycznie, jakby był zbyt przygnębiony, by myśleć o odpowiedniej postawie. Rzednące włosy posiwiały i były w nieładzie. Do tego nos boksera i wąskie, zaciśnięte usta. W ten upalny letni dzień miał na sobie wymiętą białą koszulę z podwiniętymi rękawami i wystrzępionym kołnierzykiem, byle jak zawiązany krawat i sztruksowe spodnie, które wyraźnie domagały się prania.

Próbowała wyglądać… dojrzale. Być może tego właśnie od niej oczekiwał.

– Isabelle.

– Tato. – Mocno ściskała walizkę w obu dłoniach.

– Wyrzucili cię z kolejnej szkoły.

Bez słowa skinęła głową i przełknęła ślinę.

– Jak mam ci znaleźć nowe miejsce w tych niespokojnych czasach?

Pora wyjawić swoje plany.

– Chciałabym… zamieszkać z tobą, tato.

– Ze mną? – Irytacja i zaskoczenie. Lecz czy chęć zamieszkania z ojcem nie jest czymś zwykłym u córki? Postąpiła krok w jego stronę.

– Mogłabym pracować w księgarni. Nie będę ci przeszkadzać.

Odetchnęła głęboko i czekała. Dźwięki nagle stały się głośniejsze. Słyszała kroki pasażerów, chrzęst kół pociągu, trzepot gołębich skrzydeł, płacz niemowlęcia.

Ależ oczywiście, Isabelle.

Witaj w domu.

Ojciec westchnął, odwrócił się na pięcie i ruszył.

– No – burknął przez ramię – idziesz czy nie?

Isabelle leżała na kocu rozłożonym w słodko pachnącej trawie, mając przed sobą otwartą książkę. Gdzieś w pobliżu brzęczała pszczoła, pracowicie zbierając pyłek z kwiatu; w panującej ciszy brzmiało to jak warkot malutkiego motocykla. Dzień był upalny. Od powrotu do Paryża minął tydzień. Bo nie był to powrót do domu. Wiedziała, że ojciec nie przestaje kombinować, jak by się jej pozbyć, ale w tak piękny dzień, gdy powietrze przesycała woń wiśni i świeżej, soczystej trawy, nie chciała o tym myśleć.

– Za dużo czytasz – powiedział Cristophe, żując łodyżkę perzu. – Co to jest, powieść o miłości?

Przetoczyła się na bok, bliżej niego, zatrzaskując książkę. Była o Edith Cavell, pielęgniarce z czasów wojny 1914 roku.

– Mogłabym być bohaterką wojenną, Cristophe.

Roześmiał się.

– Dziewczyna? Bohaterką? Absurd.

Isabelle poderwała się z koca, chwytając kapelusz i białe dziecięce rękawiczki.

– Nie wściekaj się – powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. – Po prostu jestem zmęczony gadaniem o wojnie. A faktem jest, że kobiety na froncie są bezużyteczne. Waszą rolą jest wiernie czekać na nasz powrót.

Oparł policzek na dłoni i zerkał na nią spod jasnej, opadającej na oczy czupryny. Ubrany w rozpinany blezer i luźne białe spodnie, wyglądał właśnie na tego, kim rzeczywiście był – studentem renomowanego uniwersytetu, nienawykłym do żadnego rodzaju pracy. Wielu mężczyzn w jego wieku rzucało studia i na ochotnika wstępowało do wojska. Ale nie Cristophe.

Isabelle wspięła się na wzgórze i przeszła przez sad do trawiastego wzniesienia, gdzie zaparkował swego panharda z odkrytym dachem.

Siedziała już za kierownicą i miała włączony silnik, gdy ukazał się Cristophe z pustym koszem piknikowym. Jego konwencjonalnie przystojna twarz była spocona.

– Najlepiej rzuć go do tyłu – powiedziała z szerokim uśmiechem.

– Nie będziesz prowadziła.

– Wygląda na to, że będę. A teraz wsiadaj.

– To mój wóz, Isabelle.

– Cóż, by pozostać precyzyjną, a wiem, jak ważne są dla ciebie fakty, Cristophe, to wóz twojej matki. A ja uważam, że pojazd kobiety powinna prowadzić kobieta.

Stłumiła uśmiech, gdy przewrócił oczami, mruknął „wspaniale” i nachylił się, żeby postawić kosz za siedzeniem Isabelle. Następnie poruszając się bez pośpiechu, by postawić na swoim, obszedł samochód od przodu i zajął miejsce pasażera.

Ledwo zdążył zatrzasnąć drzwi, gdy wrzuciła bieg i wcisnęła gaz. Samochód wahał się przez moment, po czym wystrzelił naprzód, szybko nabierając prędkości i zostawiając za sobą kłąb dymu i kurzu.

– Chryste, Isabelle, zwolnij!

Przytrzymując jedną ręką słomkowy kapelusz, drugą zacisnęła mocniej na kierownicy. Prawie nie zwalniając, mijała kolejnych kierowców.

– Chryste, zwolnij! – powtórzył, wyraźnie spanikowany.

Przecież musiał wiedzieć, że go nie posłucha.

– W dzisiejszych czasach kobieta może iść na wojnę – przemówiła, gdy gęstniejący ruch w Paryżu zmusił ją do zmniejszenia prędkości. – Mogłabym na przykład prowadzić

ambulans. Albo pracować nad złamaniem tajnych szyfrów. Bądź oczarować wroga i nakłonić go do wyjawienia mi tajnych planów. Pamiętaj, że gra…

– Wojna to nie gra, Isabelle.

– Owszem, zdaję sobie z tego sprawę, Cristophe. Jeśli jednak do niej dojdzie, to mogę się na coś przydać. To chciałam powiedzieć.

Na ulicy admirała de Coligny musiała gwałtownie zahamować, żeby nie zderzyć się z ciężarówką. Z muzeum Luwru wyruszał konwój, zmierzając w stronę Comédie Française. Ciężarówki były właściwie wszędzie, a umundurowani żandarmi kierowali ruchem. Wokół licznych budowli i pomników ustawiono osłony z worków z piaskiem, aby uchronić je przed atakiem, który wszakże nie następował, odkąd Francja przystąpiła do wojny.

Dlaczego było tu tylu policjantów?

– Dziwne – mruknęła, marszcząc brwi.

Cristophe wyciągnął szyję, by zobaczyć, co się dzieje.

– Wywożą skarby z Luwru – domyślił się.

Isabelle dostrzegła lukę między pojazdami i przyśpieszyła. Po chwili parkowała już przed należącą do ojca księgarnią.

Pomachała Cristophe’owi na pożegnanie i wbiegła do sklepu. Był długi i wąski, zastawiony wysokimi pod sufit regałami z książkami. Wraz z upływem lat ojciec starał się powiększyć zasoby, wstawiając do księgarni regały wolno stojące. W rezultacie tego „ulepszenia” powstał przedziwny labirynt. Można było w nim krążyć, zagłębiając się coraz dalej w czeluście sklepu. Na samym końcu stały książki dla turystów. Niektóre regały były dobrze oświetlone, inne znajdowały się niemal w półmroku. Nie sposób było doprowadzić oświetlenia do każdego zakamarka i niszy. Niemniej ojciec Isabelle doskonale wiedział, gdzie znaleźć każdą pozycję.

– Spóźniłaś się – mruknął, podnosząc głowę znad zawalonego papierami biurka. Niedawno musiał mieć do czynienia z prasą drukarską, bo czubki palców były ubrudzone na grafitowo. Przypuszczalnie drukował jeden ze swych tomików poezji, których nikt nigdy nie kupił. – Wydaje mi się, że chłopcy są dla ciebie ważniejsi niż praca.

Isabelle przycupnęła na taborecie przy kasie. W ciągu przemieszkanego z ojcem tygodnia nauczyła się mu nie sprzeciwiać, choć przychodziło jej to z dużym trudem. Postukiwała stopą ze zniecierpliwienia. Słowa, zdania – usprawiedliwienia – domagały się ujścia. Trudno było powstrzymywać się od powiedzenia mu, co czuje, lecz wiedziała, jak bardzo jej ojciec pragnie, by odeszła, więc trzymała język na wodzy.

– Słyszysz to? – zapytał nieco później.

Czyżby zasnęła?

Usiadła wyprostowana. Nie dosłyszała kroków ojca, który stał teraz przy niej, marszcząc brwi.

W księgarni rozlegał się dziwny dźwięk. Z sufitu opadał pył, regały lekko skrzypiały, co przypominało szczękanie zębami. Za oprawionymi w ołów szybkami okien wystawowych przemykały cienie. Setki cieni.

Ludzie? Tak wielu naraz?

Ojciec ruszył do wejścia. Isabelle zsunęła się z taboretu i poszła za nim. Gdy otworzył drzwi, zobaczyła biegnący całą szerokością ulicy tłum.

– Co się dzieje? – wymamrotał ojciec.

Isabelle przecisnęła się obok niego i wepchała w ludzką ciżbę.

Jakiś mężczyzna wpadł na nią z taką siłą, że się zatoczyła, i pognał dalej, nie tracąc czasu na przeprosiny. Ludzie mijali ją coraz szybszym biegiem.

– O co chodzi? Co się stało? – zapytała zdyszanego mężczyznę, który starał się wydostać z tłumu.

– Niemcy zbliżają się do Paryża – odrzekł. – Musimy uciekać. Walczyłem w tamtej wojnie. Wiem, co mówię.

– Niemcy w Paryżu? – parsknęła z niedowierzaniem. – To niemożliwe.

Mężczyzna odbiegł, kołysząc się na boki i wymachując rękami.

– Musimy jakoś dostać się do domu – powiedział ojciec, starannie zamykając drzwi księgarni.

– To nie może być prawda – wybąkała.

– Rzeczy najgorsze zawsze są prawdziwe – mruknął ponuro. – Trzymaj się blisko mnie – dorzucił i wmieszał się w tłum.

Isabelle jeszcze nigdy nie widziała takiej paniki. Zewsząd słychać było zatrzaskiwanie drzwi, warkot silników, krzyki i nawoływania. Ludzie wrzeszczeli do siebie i wyciągali ręce, starając się utrzymać razem w tej ciżbie.

Isabelle też pilnowała się, by być blisko ojca. Uliczne pandemonium spowalniało posuwanie się do przodu.

Na peronach metra było pełno ludzi, pociągi nie jeździły, dlatego całą drogę musieli pokonać pieszo. Gdy w końcu dotarli do domu, zapadał wieczór, a ojcu tak mocno trzęsły się ręce, że nie był w stanie otworzyć bramy do kamienicy, w której mieszkali. Kiedy mu się to wreszcie udało, nie skorzystali z rozklekotanej windy, tylko wbiegli schodami na czwarte piętro.

– Nie zapalaj światła – rzucił szorstko ojciec, otwierając drzwi.

Isabelle weszła za nim do salonu, stanęła przy oknie, ostrożnie uchyliła zaciemniającą żaluzję i wyjrzała na ulicę.

Z oddali nadciągał wibrujący dźwięk. W miarę jak narastał, szyba zaczęła drżeć, grzechocząc jak kostki lodu w szklance.

Usłyszała wysoki, jękliwy głos, jakby syreny, a po sekundzie ujrzała na niebie czarną flotyllę nadlatującą niczym klucz gęsi w regularnej formacji.

Samoloty.

– Bosze – szepnął ojciec, używając pogardliwej nazwy wroga.

Niemcy.

Niemieckie samoloty lecące nad Paryżem. Jękliwy dźwięk się wzmógł, przypominał teraz wysoki kobiecy krzyk i raptem gdzieś niedaleko – może w Drugiej Dzielnicy, pomyślała – wybuchła bomba w upiornym rozbłysku jaskrawego światła i w niebo strzeliły płomienie.

Rozległ się ryk syren przeciwlotniczych. Ojciec zaciągnął żaluzje i zasłony, wyprowadził ją z mieszkania i sprowadził schodami na dół. Sąsiedzi robili to samo; taszcząc ciepłe okrycia, dzieci i zwierzęta, schodzili na parter i niżej wąskimi schodami do piwnicy. Tam usiedli stłoczeni w ciemności i czekali. Cuchnęło stęchlizną, potem i strachem, zwłaszcza nim. Bombardowanie wciąż trwało, wysoki jęk i niski huk na przemian, piwnica drżała, tynk osypywał się ze ścian i sufitu. Niemowlę zaczęło płakać i nie chciało się uspokoić.

– Uciszcie, do cholery, to dziecko – warknął męski głos.

– Staram się, proszę pana. Mały się boi.

– Wszyscy się boimy.

Wydawało się, że minęła wieczność, nim wszystko ucichło. To było prawie gorsze od hałasu. Co zostało z Paryża?

Kiedy syreny oznajmiły koniec nalotu, Isabelle czuła się kompletnie odrętwiała.

– Isabelle?

Chciałaby, żeby ojciec wziął ją za rękę i pocieszył, choćby tylko na moment, ale on już odwrócił się ku ciemnym, krętym

schodom piwnicznym i ruszył nimi na górę. Znalazłszy się w mieszkaniu, Isabelle od razu podbiegła do okna i przez szparę w zaciemnieniu spróbowała wypatrzeć wieżę Eiffla. Wciąż stała, górując nad ścianą gęstego czarnego dymu.

– Nie stawaj przy oknie – ostrzegł ojciec.

Powoli odwróciła się do niego. Pokój rozświetlał jedynie promień jego latarki, brudnożółta smuga w ciemności.

– Paryż nie upadnie – powiedziała.

Ojciec milczał z posępną twarzą. Czy myślał o Wielkiej Wojnie i o tym, co widział w okopach? Może znów odezwał się ból w jego ranie, obudzony hukiem spadających bomb i sykiem płomieni.

– Idź do łóżka, Isabelle.

– Myślisz, że to możliwe, bym zasnęła, gdy dzieje się coś takiego?

Westchnął:

– Przekonasz się jeszcze, jak wiele rzeczy jest możliwych.

5

Rząd podle ich okłamał. Zapewniał wielokrotnie, że Linia Maginota utrzyma Niemców z dala od Francji.

Kłamstwa.

Ani beton i stal, ani francuscy żołnierze nie mogli powstrzymać marszu Hitlera, a rząd chyłkiem, po złodziejsku, wymknął się nocą z miasta. Mówiło się, że jest teraz w Tours, gdzie władze układają dalszą strategię obrony, tylko co ona da, skoro Paryż lada moment wpadnie w łapy najeźdźców?

– Jesteś gotowa?

– Nigdzie nie jadę, tato. Już ci mówiłam. – Ubrała się do podróży, tak jak prosił: w czerwoną letnią sukienkę w groszki i pantofle na płaskim obcasie.

– Nie wracajmy znów do tego, Isabelle. Humbertowie wkrótce tu po ciebie przyjadą. Zawiozą cię do Tours. Stamtąd musisz już sama przedostać się do domu siostry. A Bóg świadkiem, że zawsze byłaś mistrzynią w takich eskapadach.

– Więc mnie wyrzucasz. Znowu.

– Dość tego, Isabelle. Mąż twojej siostry walczy na froncie. Została sama z córką. Zrobisz, jak mówię. Wyjedziesz z Paryża.

Czy wiedział, jak ją rani? Czy go to obchodziło?

– Nigdy nie przejmowałeś się mną i Vianne. A ona ma mnie w nosie tak samo jak ty. Nie pojadę do niej.

– Pojedziesz.

– Chcę zostać w mieście i walczyć, tato. Chcę być jak Edith Cavell.

– A pamiętasz, jak skończyła twoja bohaterka? – zapytał, przewracając oczami. – Niemcy ją rozstrzelali.

– Proszę cię, tato.

– Powiedziałem: dość. Widziałem, do czego są zdolni, Isabelle. Ty jeszcze tego nie wiesz.

– Skoro to takie straszne, powinieneś wyjechać ze mną.

– I zostawić mieszkanie i księgarnię na ich łasce? – Złapał ją za rękę i pociągnął z impetem na klatkę schodową. Zawadzała walizką to o ścianę, to o poręcz schodów, słomkowy kapelusz na jej głowie niebezpiecznie się przekrzywił.

Niebawem, ciągnięta przez ojca, znalazła się w alei de La Bourdonnais.

Chaos. Tłumy. Tumany pyłu. Ulica była jak zziajany ludzki smok, ludzie sunący naprzód w chmurach kurzu. Ryczały klaksony, rozlegały się krzyki o pomoc, dzieci płakały, powietrze przesycał odór potu i krwi.

Wyładowane skrzyniami i tobołami auta blokowały jezdnię. Ludzie wlekli ze sobą wszystko, co miało choćby dwa kółka i na co dało się załadować dobytek: wozy, rowery, większe i mniejsze wózki ręczne, a nawet dziecięce.

Ci, którzy nie mieli już benzyny albo w ogóle nie posiadali auta czy nawet roweru, szli pieszo. Setki, tysiące objuczonych kobiet i dzieci podążało naprzód, trzymając się za ręce, dźwigając torby, walizki, kosze piknikowe, klatki do przenoszenia zwierząt domowych.

Najstarsi i najmłodsi zostawali z tyłu.

Isabelle nie chciała dołączać do bezradnego, pozbawionego nadziei tłumu kobiet, dzieci i starców. Podczas gdy młodzi walczyli – i ginęli – na froncie, ich rodziny kierowały się na południe lub zachód, choć nie wiadomo, co kazało im myśleć, że właśnie tam będzie bezpieczniej. Armia Hitlera zajęła już Czechosłowację, Polskę i Belgię.

Ogarnął ich tłum.

Jakaś kobieta wpadła na Isabelle, wymamrotała słowa przeprosin i powlokła się dalej.

– Mogę się tutaj przydać. – Isabelle wciąż starała się przekonać ojca do zmiany decyzji. – Proszę cię. Będę pielęgniarką albo kierowcą ambulansu. Umiem bandażować, potrafię nawet zszyć ranę.

Obok nich niecierpliwie zatrąbił klakson.

Ojciec spojrzał ponad ramieniem córki i twarz mu pojaśniała. Odmalował się na niej wyraz ulgi, którą Isabelle rozpoznała; ojciec wiedział, że zaraz się jej pozbędzie. Znowu.

– Są już – powiedział z ożywieniem.

– Nie odsyłaj mnie. Proszę.

Przepchnął się wraz z nią przez ludzkie kłębowisko do miejsca, gdzie parkował zakurzony czarny samochód. Do dachu przytroczony był zapadnięty materac oraz wędki i klatka z królikiem. Niedomykająca się klapa przeładowanego bagażnika została przywiązana pasami. Wnętrze wypełniały byle jak poupychane walizy, kosze i lampy.

Siedzący za kierownicą pan Humbert ściskał ją tak mocno, aż mu palce pobielały, jakby się spodziewał, że auto w każdej chwili może skoczyć naprzód niby rączy koń. Był to pulchny mężczyzna, całymi dniami przesiadujący w swoim sklepie rzeźniczym nieopodal księgarni. Jego żona Patricia była mocno zbudowaną, rumianą kobietą o z grubsza ciosanym wiejskim wyglądzie. Paląc papierosa, wyglądała przez okno z taką miną, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Humbert opuścił szybę i wystawił twarz.

– Dzień dobry, Julien. Jest gotowa?

– Tak. – Ojciec skinął głową. – Dzięki, Édouardzie.

Patricia nachyliła się do okna, by dorzucić od siebie:

– Jedziemy nie dalej niż do Orleanu. I płacimy pół na pół za benzynę.

– Oczywiście.

Isabelle czuła, że nie może wyjechać z miasta. To było tchórzliwe. Złe.

– Tato…

– Do zobaczenia – uciął tak stanowczo, że zrozumiała, iż nie ma wyboru. Skinął głową w stronę samochodu, więc ruszyła ku niemu odrętwiała.

Gdy otworzyła tylne drzwi, ujrzała trzy małe, umorusane dziewczynki skłębione jak szczenięta w koszyku, chrupiące herbatniki, popijające wodę z butelek i bawiące się lalkami. Nie miała najmniejszej ochoty się do nich przyłączać, mimo to przesunęła je nieco na siedzeniu, usiadła między tymi obcymi jej ludźmi pachnącymi lekko kiełbasą i serem i zatrzasnęła drzwi.

Obróciwszy się w tył, patrzyła na ojca przez szybę. Wpiła się w niego wzrokiem, ale nie dał po sobie poznać, że to widzi, świadczyło o tym jedynie lekkie skrzywienie kącików ust. Ludzkie mrowie okrążało go jak woda obmywająca skałę, aż wreszcie w tylnej szybie widziała tylko ścianę obcych, udręczonych uciekinierów.

Usiadła prosto i spojrzała przed siebie. Za oknem po swojej stronie ujrzała młodą, przestraszoną kobietę z niemowlęciem przy piersi. Auto poruszało się powoli, niekiedy zatrzymując się na dłuższy czas. Isabelle obserwowała swoich rodaków i rodaczki przepływających obok niej, zmęczonych, wylęknionych i zdezorientowanych. Od czasu do czasu ktoś z niemym błaganiem uderzał pięścią w maskę lub bagażnik samochodu. Pomimo duchoty w środku okna były szczelnie zamknięte.

Najpierw czuła smutek z powodu odesłania, lecz teraz zapłonął w niej gniew, gorętszy nawet niż powietrze w tym zaśmiardłym aucie. Była już zmęczona ciągłym rozporządzaniem nią. Najpierw porzucił ją ojciec, potem odsunęła się Vianne. Zamknęła oczy, żeby ukryć napływające do oczu łzy. W półmroku cuchnącym kiełbasą, potem i dymem, ściśnięta obok kłócących się ze sobą dziewczynek, przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy została odesłana.

Długa jazda pociągiem… Isabelle skulona obok Vianne, która tylko albo siąkała nosem, albo płakała, albo udawała, że śpi.

Potem madame patrząca na nią z góry chłodnym wzrokiem. „Nie sprawią kłopotu”.

Chociaż była wtedy jeszcze bardzo mała, ledwie czterolatka, uznała, że wie, co znaczy samotność, ale była w błędzie. W ciągu trzech lat spędzonych w Le Jardin miała przynajmniej siostrę, chociaż prawie wcale jej nie widywała. Z okna na piętrze spoglądała na Vianne i jej koleżanki, modląc się, by ktoś o niej pamiętał, zajął się nią, a gdy Vianne poślubiła Antoine’a i zwolniła Madame Zarazę (nazwisko, rzecz jasna, nieprawdziwe, ale nader stosowne), Isabelle cieszyła się, że będzie częścią rodziny. Radość nie trwała długo. Kiedy Vianne poroniła, natychmiast pożegnała się z siostrą. Trzy tygodnie później, w wieku siedmiu lat, Isabelle znalazła się w swojej pierwszej szkole z internatem. Dopiero wtedy poznała prawdziwą samotność.

– Ty. Isabelle. Zabrałaś jedzenie? – zapytała znienacka Patricia, odwracając się na siedzeniu i świdrując dziewczynę wzrokiem.

– Nie.

– Wino?

– Wzięłam pieniądze, ubrania i książki.

– Książki – prychnęła lekceważąco Patricia i odwróciła się. – Na pewno ci pomogą.

Isabelle znów wbiła wzrok w okno. Jakie jeszcze błędy popełniła?

Płynęły godziny. Samochód powoli, z męczącymi przerwami, pokonywał drogę na południe. Isabelle była wdzięczna losowi za wszechobecny kurz. Pokrył boczną szybę, zasłaniając widok na tragiczną, przygnębiającą scenerię.

Tłumy. Wszędzie. Przed nimi, za nimi, obok nich, tak gęste, że zamochód mógł tylko posuwać się małymi skokami. Przypominało to jazdę wśród rojących się pszczół, które rozstępowały się na chwilę, po czym znów zbijały w ciasną gromadę. Słońce paliło, jakby chciało ukarać ludzi, zmieniając wnętrze dusznego pojazdu w piekarnik, lejąc żar na głowy ludzi wlokących się drogą… dokąd? Nie wiedzieli, co dokładnie zdarzyło się za nimi ani gdzie jest bezpiecznie przed nimi.

Wóz nagle skoczył naprzód i zarył w miejscu. Isabelle uderzyła o przednie siedzenie. Dzieci natychmiast zaczęły płakać i wołać mamę.

– Cholera – wymamrotał pan Humbert.

Patricia chrząknęła z dezaprobatą.

– Dzieci! – syknęła kątem ust.

Stara kobieta łupnęła pięścią w maskę, mijając samochód.

– No to koniec, moja droga – powiedział Humbert. – Skończyło nam się paliwo.

Patricia łowiła ustami powietrze niczym ryba wyrzucona na piasek.

– Co?

– Zatrzymywałem się po drodze wszędzie, gdzie była szansa je dostać. Sama wiesz. Nie mamy już więcej benzyny i nie wiadomo, skąd ją wziąć.

– Ale… co my teraz poczniemy?

– Znajdziemy jakiś nocleg. Może uda mi się namówić brata, żeby po nas przyjechał. – Humbert ostrożnie uchylił drzwi pojazdu, żeby nie uderzyć nikogo z przechodzących obok, i wysiadł na zakurzoną drogę. – Widzisz? Proszę. Do Étampes już niedaleko. Dostaniemy tam pokój i coś do jedzenia, a rano wszystko będzie wyglądało lepiej.

Isabelle drgnęła i usiadła wyprostowana. Musiała zasnąć i coś jej umknęło. Czy Humbertowie zamierzali porzucić samochód?

– Sądzą państwo, że dojdziemy pieszo do Tours?

Patricia obróciła się ku niej. Wyglądała na równie wyczerpaną upałem jak Isabelle.

– Może któraś z twoich książek ci pomoże. Z pewnością zabranie ich było mądrzejszym wyborem niż zaopatrzenie się w wodę i prowiant. Chodźcie, dziewczynki. Wysiadamy.

Isabelle sięgnęła po umieszczoną przy stopach walizkę. Wyciągnięcie jej spod sterty innych bagaży wymagało sporego wysiłku. Z głuchym jękiem determinacji wydobyła ją i stanęła na drodze.

Błyskawicznie otoczyła ją rzeka ludzi, popychając, napierając i klnąc.

Ktoś próbował wyrwać jej walizkę. Isabelle wyszarpnęła ją i przycisnęła do siebie. Minęła ją kobieta prowadząca rower obładowany dobytkiem. Rzuciła Isabelle spojrzenie wyzbyte nadziei, z ciemnych oczu wyzierało wyczerpanie.

Ktoś ją popchnął, zachwiała się i omal nie upadła. Jedynie zbita masa ciał przed nią powstrzymała upadek na kolana,

w kurz i brud. Ktoś przeprosił, Isabelle już miała odpowiedzieć, gdy wtem przypomniała sobie o Humbertach.

Przepchnęła się na drugą stronę samochodu, nawołując: „Panie Humbert! Panie Humbert!”.

Nie było odpowiedzi, a jedynie nieprzerwane szuranie niezliczonych stóp.

Zaczęła wołać panią Humbert, ale jej głos zginął w panującym rozgardiaszu i hałasie. Ludzie wciąż na nią napierali, poszturchiwali. Gdyby upadła, z pewnością zostałaby stratowana. Zginęłaby w masie spoconych ludzkich ciał.

Mocniej chwyciwszy gładką rączkę walizki, przyłączyła się zatem do maszerrujących w kierunku Étampes.

Po paru godzinach, gdy zaczęło się ściemniać, wciąż jeszcze mozolnie szła. Bolały ją stopy, liczne pęcherze piekły przy każdym kroku. Tuż przy niej wytrwale maszerował głód, szturchając kościstym łokciem, ale cóż mogła na to poradzić? Spakowała się na wizytę u siostry, niekończącego się exodusu nie było w planie. Miała ze sobą ulubioną *Panią Bovary* i powieść, którą wszyscy czytali – *Przeminęło z wiatrem* – oraz trochę ubrań, lecz nie wzięła wody ani jedzenia. Spodziewała się, że cała podróż zabierze najwyżej kilka godzin. Nie przypuszczała, że przyjdzie jej iść piechotą do Carriveau.

Na szczycie niewielkiego wzniesienia przystanęła. W świetle księżyca widać było tysiące wędrowców, przed nią, za nią, obok niej, napierających niezmordowanie. W końcu, nie mając wyboru, ruszyła w dalszą drogę. Setki tułaczy postanowiło odpocząć w tym miejscu. W rowach wzdłuż drogi i na polach rozłożyły się kobiety i dzieci.

Na drodze co rusz można się było natknąć na porzucone auta i dobytek, przedmioty zgubione, zapomniane, zbyt ciężkie, by je dalej dźwigać. Na trawie, pod drzewami, w zaroślach leżały pogrążone we śnie postacie tulące do siebie dzieci.

Ledwie trzymając się na nogach, Isabelle dotarła do skraju miasteczka Étampes. Przed nią tłum nieprzerwanie posuwał się naprzód.

Ale ona wiedziała.

Nie znajdzie tam miejsca na spoczynek ani niczego do jedzenia. Uchodźcy, którzy byli przed nią, przewalili się przez miasteczko jak szarańcza, ogołacając sklepy z towarów. Nie posili się tu i nie przenocuje. Pieniądze na nic się nie zdadzą.

Co więc powinna zrobić?

Ruszyć na południowy zachód, w kierunku Tours i Carriveau. Bo gdzieżby indziej? Jako dziewczynka studiowała mapy tego regionu, planując powrót do Paryża. Znała tę okolicę, musiała tylko sobie ją przypomnieć.

Oderwała się od tłumu zmierzającego w kierunku widocznych w oddali, oświetlonych blaskiem księżyca budynków z szarego kamienia i ruszyła doliną. Wszędzie wokół ludzie siedzieli lub spali na rozłożonych na trawie kocach. Słyszała szepty i szmery. Setki, tysiące ludzi. Na odległym skraju pola znalazła wydeptaną ścieżkę biegnącą na południe wzdłuż niskiego kamiennego muru. Weszła na nią i wreszcie była sama. Przystanęła, napawając się uczuciem samotności i spokoju. Po chwili podjęła marsz. Po kilometrze dotarła do rzadkiego lasku.

Stopniowo gęstniał. Zabrnęła w niego już dosyć głęboko, usiłując nie myśleć o bolących stopach, ssaniu w żołądku i suchości w gardle, gdy raptem poczuła dym.

I woń pieczeni. Głód sprawił, że przestała się mieć na baczności. Ujrzawszy pomarańczowy poblask ognia, ruszyła w tamtą stronę. W ostatniej chwili uświadomiła sobie grożące jej niebezpieczeństwo i stanęła. A pod jej stopą trzasnęła gałązka.

– Równie dobrze możesz tu podejść – powiedział męski głos. – Nawet słoń poruszałby się ciszej.

Isabelle zdrętwiała. Wiedziała, że postąpiła głupio. Samotnej dziewczynie mogło się tu przytrafić coś paskudnego.

– Gdybym chciał cię zabić, już byłoby po tobie.

Była to szczera prawda. Gdyby chciał, mógłby wcześniej podkraść się do niej w ciemności i poderżnąć jej gardło. Zatraciła ostrożność, zaślepiona głodem i upojona aromatem pieczystego.

– Możesz mi zaufać.

Wpatrywała się w ciemność, usiłując sobie wyobrazić mężczyznę. Daremnie.

– Powiedziałby pan tak samo, gdyby było odwrotnie.

– Tak. – Śmiech. – A teraz chodź tu wreszcie. Piekę właśnie królika.

Ruszyła po trawiastym zboczu w kierunku ogniska. Jasny blask księżyca osrebrzał pnie otaczających ją drzew. Poruszała się ostrożnie, gotowa pierzchnąć w każdej chwili. Zatrzymała się pod ostatnim drzewem dzielącym ją od ogniska.

Siedział przy nim młody człowiek oparty o gruby pień, z jedną nogą wyciągniętą przed siebie, drugą zgiętą w kolanie. Był prawdopodobnie starszy od niej o kilka lat.

Trudno było przyjrzeć mu się dokładnie w pomarańczowej poświacie. Miał zapuszczone, rozczochrane włosy, chyba czarne, lecz na pewno od dawna nie widzące mydła ani grzebienia, i ubranie tak obszarpane i połatane jak u uchodźców wojennych, którzy niedawno włóczyli się po Paryżu, zbierając niedopałki, makulaturę oraz puste butelki, żebrząc o jakieś ciuchy bądź jałmużnę. Był blady i wymizerowany jak ktoś, kto nigdy nie wie, kiedy znów coś zje.

A jednak proponował jej posiłek.

– Mam nadzieję, że jest pan dżentelmenem – powiedziała, trzymając się w mroku.

Mężczyzna zbył te słowa śmiechem.

Isabelle zbliżyła się ostrożnie do ogniska.

– Siadaj – powiedział nieznajomy.

Usiadła naprzeciw niego na trawie. Nachylił się i podał jej butelkę wina. Pociągnęła długi łyk, tak długi, że zaśmiał się, gdy oddała mu flaszkę i otarła brodę grzbietem dłoni.

– Niezła z ciebie pijaczka.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Uśmiechnął się.

– Gaëton Dubois. Przyjaciele mówią na mnie Gaët.

– Isabelle Rossignol.

– A, słowik.

Wzruszyła ramionami. Słyszała to już niezliczoną ilość razy. Jej nazwisko faktycznie znaczyło „słowik". Całując córki na dobranoc, mama nazywała je swoimi słowiczkami. Było to jedno z niewielu wspomnień Isabelle o niej.

– Dlaczego wyjechałeś z Paryża? Taki młody mężczyzna jak ty powinien zostać i walczyć.

– Otworzyli więzienie. Widocznie lepiej było nas wypuścić, abyśmy walczyli za Francję, niż trzymać za kratami, gdy Niemcy nacierają.

– Byłeś w więzieniu?

– Czy to cię przeraża?

– Nie. Tylko… zaskakuje.

– Powinnaś się bać – powiedział, odgarniając z czoła niesforny kosmyk brudnych włosów. – Teraz jednak jesteś ze mną bezpieczna. Mam inne sprawy na głowie. Najpierw sprawdzę, co u mamy i siostry, a potem znajdę jednostkę, do której będę mógł wstąpić. Chciałbym zabić tylu tych sukinsynów, ilu zdołam.

– Masz szczęście – odrzekła, wzdychając. Dlaczego mężczyźni na całym świecie mogli tak łatwo robić, co chcą, a dla kobiet było to takie trudne?

– Chodź ze mną.

Isabelle wiedziała, że nie wolno mu wierzyć.

– Zapraszasz mnie tylko dlatego, że jestem ładna, i masz nadzieję, że jeśli zostanę, to prędzej czy później wyląduję z tobą w łóżku – odparła.

Popatrzył na nią uważnie. Ogień trzaskał i syczał, gdy tłuszcz skapywał w płomienie. Gaët pociągnął łyk wina z butelki i podał ją Isabelle. Ich ręce na moment się zetknęły.

– Gdybym chciał, to już teraz byłbym z tobą w tym, jak mówisz, łóżku.

– Nie dobrowolnie – powiedziała, przełykając ślinę i odwracając wzrok.

– Dobrowolnie – zapewnił takim tonem, że poczuła gęsią skórkę i na moment zbrakło jej tchu. – Ale nie to miałem na myśli. Poprosiłem, żebyś poszła ze mną walczyć.

Isabelle poczuła coś tak nowego, że nie umiała tego określić. Wiedziała, że jest piękna. Często jej to mówiono. Widziała, jak mężczyźni gapią się z nieskrywanym pożądaniem na jej włosy, zielone oczy, pełne wargi, a zwłaszcza na piersi. W oczach kobiet również widziała odbicie swojej urody, na przykład u koleżanek ze szkoły, które nie chciały, by przebywała zbyt blisko ich chłopaków, i przyklejały jej etykietkę aroganckiej, zanim jeszcze powiedziała bodaj słowo.

Uroda stała się kluczem do oceniania jej przez innych, więc podczas dorastania starała się zwracać na siebie uwagę na inne sposoby. Co nie znaczy, że była niewiniątkiem. W końcu dobre siostry od Świętego Franciszka wydaliły ją ze szkoły za całowanie się z chłopcem podczas mszy.

Ale teraz było inaczej.

Gaët zauważył jej piękno nawet w tak marnym świetle, tyle że na tym nie poprzestał i zajrzał także do jej wnętrza. Był wystarczająco bystry, by dostrzec, że Isabelle oferuje światu coś więcej niż tylko ładną buzię.

– Mogłabym się na coś przydać – rzekła ze spokojem.

– Pewnie, że byś mogła. A ja mógłbym nauczyć cię posługiwania się nożem i bronią palną.

– Najpierw muszę zajrzeć do Carriveau i sprawdzić, jak sobie radzi moja siostra. Jej mąż jest na froncie.

Gaët popatrzył na nią z powagą wypisaną na twarzy.

– Zatem odwiedzimy twoją siostrę w Carriveau i moją matkę w Poitiers, a potem ruszamy na wojnę.

W jego ustach zabrzmiało to jak zapowiedź przygody w rodzaju ucieczki z domu, by przyłączyć się do trupy cyrkowej, gdzie spotkają połykaczy ognia i kobiety z brodami.

Właśnie na to czekała przez całe dotychczasowe życie.

– Czyli mamy plan – powiedziała, nie potrafiąc ukryć uśmiechu.

6

Rankiem Isabelle obudziły promienie słońca przeświecające przez szeleszczące nad jej głową listowie.

Usiadła, obciągając sukienkę tak podkasaną w czasie snu, że odsłoniła sprzączki białego koronkowego pasa i nieodwracalnie zniszczone jedwabne pończochy.

– Nie zapisuj tego na mój rachunek – usłyszała męski głos.

Spojrzała w bok i zobaczyła zbliżającego się do niej Gaëtona. Po raz pierwszy ujrzała go wyraźnie. Był wysoki, cienki niczym wykrzyknik i ubrany w łachy wyglądające jak wyciągnięte ze śmietnika. Pod wystrzępioną czapką jego twarz była chuda, o ostrych rysach, nieogolona, z szerokimi brwiami, wystającym podbródkiem i głęboko osadzonymi, ocienionymi długimi gęstymi rzęsami szarymi oczami o przenikliwym, jakby głodnym spojrzeniu. Wczoraj myślała, że nieznajomy spogląda tak na nią. Teraz ujrzała, że patrzy tak na świat.

Isabelle wcale się go nie bała. Była inna niż siostra, podatna na strach i panikę. Co nie znaczy, że była głupia. Jeśli miała ruszyć z nim w dalszą podróż, to najpierw należało wyjaśnić parę spraw.

– Zatem byłeś w więzieniu – zaczęła.

Spojrzał na nią, unosząc ciemną brew, jakby chciał spytać: „Co, jednak się boisz?”.

– Dziewczyna taka jak ty nie ma o tym pojęcia. Mógłbym ci powiedzieć, że było tam jak w lochu Jeana Valjeana, a ty uznałabyś to za romantyczne.

Wiecznie słyszała tego rodzaju gadanie. Wiązało się z jej urodą, jak większość drwiących uwag. Ładna blondynka musiała przecież być płytka i niezbyt rozgarnięta.

– Kradłeś jedzenie, żeby wyżywić rodzinę?

Uśmiechnął się krzywo, jeden kącik ust unosząc wyżej niż drugi

– Nie.

– Jesteś niebezpieczny?

– To zależy. Co myślisz o komunistach?

– A… Czyli byłeś więźniem politycznym?

– Coś w tym rodzaju. Ale jak powiedziałem, taka miła dziewczyna jak ty nie ma pojęcia o przetrwaniu w takim miejscu.

– Byłbyś zaskoczony, o jakich rzeczach wiem, Gaëtonie. Istnieją różne rodzaje więzień.

– Czyżby, ślicznotko? A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Jakie przestępstwo popełniłeś?

– Wziąłem rzeczy, które nie były moje. Czy taka odpowiedź wystarczy?

Złodziej.

– I zostałeś przyłapany?

– Najwidoczniej.

– To niezbyt uspokajające, Gaëtonie. Czy byłeś nieostrożny?

– Gaët – powiedział cicho, podchodząc bliżej.

– Jeszcze nie wiem, czy zostaniemy przyjaciółmi.

Dotknął jej włosów, owijając ich pasemko wokół brudnego palca.

– Zostaniemy. Możesz być pewna. A teraz ruszajmy.

Gdy wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać z ziemi, w pierwszej chwili chciała odmówić, ale tego nie zrobiła. Wyszli z lasu i dotarli z powrotem do drogi, ponownie wtapiając się w tłum uciekinierów, który rozstąpił się tylko na tyle, by mogli się

włączyć, i zamknął wokół nich jak zaciśnięta pięść. Isabelle jedną ręką trzymała się kurczowo Gaëtona, w drugiej ściskała rączkę walizki.

Szli tak wiele kilometrów.

Wokół nich dogorywały samochody. Łamały się koła ręcznych wózków. Ustawały konie i nie dawały się ruszyć z miejsca. Isabelle była coraz bardziej otępiała i zmęczona upałem, kurzem i pragnieniem. Obok niej wlokła się kobieta płacząca łzami czarnymi od kurzu. Po chwili została z tyłu, zastąpiona przez starszą panią w futrze pocącą się obficie i obwieszoną chyba całą biżuterią, jaką miała.

Słońce pięło się coraz wyżej na niebie, prażąc niemiłosiernie. Dzieci płakały głośno, ich matki ciszej. Dokoła unosił się nieprzyjemny odór potu i niemytych ciał, ale Isabelle tak do niego przywykła, że już go nie czuła.

Dochodziła trzecia po południu, najgorętsza pora dnia, kiedy dogonił ich oddział francuskich żołnierzy uzbrojonych w karabiny. Szli bezładnie, w beznadziejnym zobojętnieniu. Za nimi jechał czołg, zgniatając na miazgę dobytek porzucony na drodze. Na jego pancerzu kuliło się kilku żołnierzy, bladych, z nisko zwieszonymi głowami.

Isabelle wyrwała się Gaëtonowi i przepchnęła przez ciżbę, pomagając sobie łokciami.

– Idziecie w złym kierunku! – krzyknęła. Zaskoczyło ją ochrypłe brzmienie swojego głosu.

Gaëton szarpnął jednego z żołnierzy za ramię tak mocno, że omal nie wepchnął go pod wolno pełznący czołg.

– Kto walczy za Francję?

– Nikt. – Żołnierz z przekrwionymi oczami potrząsnął głową. Isabelle ujrzała błysk metalu, gdy Gaëton przystawił mężczyźnie nóż do gardła. Ten spojrzał obojętnie i rzekł: – No, dalej. Zrób to. Zabij mnie.

Isabelle odciągnęła Gaëtona. W jego oczach dostrzegła tak straszliwą furię, że aż się przeraziła. Widziała, że mógłby to zrobić, że bez wahania rozpłatałby tamtemu gardło. Otworzyli więzienia, pomyślała. Czy Gaëton był kimś więcej niż złodziejem?

– Gaët? – zagadnęła.

To go otrzeźwiło. Pokręcił głową, jakby chciał sobie w niej przejaśnić, i opuścił nóż.

– Kto za nas walczy? – zapytał z goryczą, ocierając spocone czoło.

– My będziemy – odrzekła. – Już wkrótce.

Za nimi zatrąbił samochód. I jeszcze raz. Isabelle go zignorowała. Samochody przestały być uprzywilejowane na drodze, nieliczne, które wciąż miały paliwo, posuwały się zdane na łaskę i niełaskę piechurów, jak szczątki zatopionego statku w nurcie błotnistej rzeki.

– Chodźmy. – Pociągnęła Gaëta za sobą, byle dalej od zdemoralizowanych niedobitków.

Szli nadal, trzymając się za ręce, lecz wraz z upływem godzin Isabelle zauważyła w Gaëtonie zmianę. Odzywał się rzadko i już się nie uśmiechał.

W każdym mijanym po drodze miasteczku tłum rzedniał. Ludzie odłączali się w Artenay, Saran, Poupry, z błyskiem desperacji sięgając do torebek, kieszeni i portfeli w nadziei, że ich pieniądze okażą się jeszcze coś warte.

Isabelle i Gaëton szli dalej. Wieczorem zatrzymali się na nocleg w pobliskim lasku, a rano znowu ruszyli w drogę. Trzeciego dnia marszu Isabelle była odrętwiała z wyczerpania. Jej stopy pokryły się ropnymi pęcherzami, czyniąc każdy krok męczarnią. Odwodnienie przyprawiało ją o okropny, pulsujący ból głowy, a w żołądku ściskało z głodu. Kurz piekł w oczach, oblepiał gardło, tak że nieustannie kasłała.

Chwiejnie minęła świeżo wykopany na poboczu drogi grób zaznaczony krzyżem z byle jak zbitych kijków. Potknęła się o coś – martwego kota – i zatoczyła się w przód, omal nie padając, lecz Gaëton ją przytrzymał.

Kurczowo chwyciła jego rękę i z uporem wlokła się dalej.

Ile czasu minęło, kiedy coś dosłyszała?

Godzina? Dzień?

Pszczoły. Brzęczały dokoła głowy, trzeba by je odgonić. Oblizała wyschnięte wargi, przypominając sobie urocze dni w ogrodzie, gdy pracowite owady uwijały się wśród kwiatów.

Nie.

To nie pszczoły.

Znała ten dźwięk.

Przystanęła, marszcząc czoło. Rozproszone myśli nie dawały się zebrać. Co takiego starała się sobie przypomnieć?

Dźwięk narastał, wypełniał powietrze i nagle pojawiły się samoloty, sześć albo siedem, jak czarne krzyżyki na tle czystego błękitnego nieba.

Isabelle osłoniła oczy dłonią, obserwując, jak samoloty nadlatują coraz bliżej, coraz niżej…

– To Niemcy! – krzyknął ktoś rozpaczliwie.

W oddali kamienny most eksplodował fontanną ognia, odłamków kamieni i dymu.

Maszyny zniżyły lot nad tłumem ludzi.

Gaëton pchnął Isabelle na ziemię i nakrył ją własnym ciałem. Świat stał się dźwiękiem: rykiem silników lotniczych, terkotaniem karabinów maszynowych, gwałtownym biciem serca, krzykami rannych. Pociski darły trawę, ryjąc w niej koleiny, ludzie krzyczeli i płakali. Na oczach Isabelle jakaś kobieta wyleciała w górę jak szmaciana lalka, z głuchym łupnięciem runęła na ziemię i znieruchomiała.

Drzewa łamały się i padały, ludzie jęczeli. Buchnęły płomienie. Gryzący dym wypełnił powietrze.

A potem nagle… cisza.

Gaëton stoczył się z Isabelle.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Odgarnęła włosy z twarzy i usiadła.

Wszędzie widać było skulone ciała, płonęły drzewa i trawa, kłębił się czarny dym. Ludzie krzyczeli, płakali, umierali.

– Pomocy – zaskrzeczał stary mężczyzna.

Isabelle podpełzła do niego na czworakach. Zbliżywszy się, zobaczyła, że ziemia jest czerwona od jego krwi. Z rozerwanej na brzuchu koszuli wylewały się krwawe wnętrzności.

– Może jest gdzieś lekarz – wymamrotała. Nic innego nie przyszło jej do głowy. I wtedy usłyszała to znowu. Niskie, równe buczenie.

– Wracają. – Gaëton pociągnął ją i pomógł wstać. Pośliznęła się na lepkiej od krwi trawie i omal nie upadła. Niezbyt daleko od nich uderzyła bomba, eksplodując ogniem. Obok martwej kobiety Isabelle ujrzała płaczące niemowlę w brudnej pieluszce.

Chwiejnie ruszyła ku niemu. Gaëton szarpnął ją za ramię.

– Muszę mu pomóc…

– Twoja śmierć nic mu nie pomoże – warknął, ciągnąc ją tak mocno, że zabolało. Ogłuszona powlokła się za nim. Kluczyli pomiędzy wrakami samochodów i trupami. Ciężko ranni błagali o pomoc, ale nic nie można było dla nich zrobić.

Na skraju miasteczka Gaëton wepchnął Isabelle do małego kamiennego kościółka. W środku byli już inni ludzie kucający w kątach, leżący między rzędami ławek, obejmujący bliskich.

Samoloty zaryczały nad nimi, prując z karabinów maszynowych. Witrażowe okna rozprysły się, kolorowe odłamki zasypały kamienną posadzkę, tnąc skórę i mięśnie

pechowców znajdujących się na ich drodze. Trzask drewna, w powietrzu kłęby kurzu. Pociski pomknęły przez kościół, przygważdżając ramiona i nogi leżących na podłodze. Ołtarz rozpadł się na kawałki.

Gaëton coś do niej mówił, a ona odpowiedziała, przynajmniej tak jej się wydawało, choć nie była pewna. Zanim zdążyła się nad tym zastanowić, kolejna bomba nadleciała z wizgiem, który bardziej wyczuła, niż usłyszała, i wybuchła, roznosząc dach kościoła.

7

Budynek szkoły podstawowej nie był duży według miejskich standardów, jednak dosyć obszerny, dobrze wyposażony i z pewnością wystarczający uczniom z gminy Carriveau. Wcześniej mieściły się w nim stajnie zamożnego właściciela ziemskiego, stąd kształt litery „U” z centralnym dziedzińcem jako miejscem dla powozów i dostawców. Miał szare kamienne ściany, jasnoniebieskie okiennice i drewniane podłogi. Dwór, do którego kiedyś przynależał, runął pod ogniem artyleryjskim w czasie Wielkiej Wojny i nigdy nie został odbudowany. Jak wiele innych szkół w małych francuskich miasteczkach, ta również znajdowała się na skraju miejscowości.

Vianne siedziała za stolikiem w swojej klasie, patrząc na jasne twarze dzieci i ocierając usta wymiętą chusteczką. Na podłodze przy każdej ławce leżały obowiązkowe maski gazowe. Obecnie dzieci wszędzie je ze sobą nosiły.

Grube ściany z kamienia i otwarte na oścież okna pomagały ograniczyć dokuczliwość słońca, ale i tak panował duszny upał. Bóg świadkiem, że i bez niego trudno było się skoncentrować na nauce. Wieści z Paryża były przerażające. Wszyscy mówili tylko o ponurej przyszłości i strasznej teraźniejszości. Linia Maginota została przerwana. Niemcy zajęli Paryż. Francuscy żołnierze ginęli w okopach i dezerterowali z frontu. Vianne od trzech dni, a ściśle biorąc od chwili, gdy zadzwonił jej ojciec, nie zmrużyła oka. Isabelle znajdowała się Bóg wie gdzie między Paryżem a Carriveau, a Antoine nie dawał znaku życia.

– Kto chciałby odmienić czasownik *courir*? – zapytała zmęczonym głosem.

– Czy nie powinniśmy się raczej uczyć niemieckiego?

Dopiero po chwili dotarł do niej sens pytania. Uczniowie, nagle zainteresowani, wyprostowali się w ławkach; ich oczy zabłysły.

– Słucham? – spytała i odkaszlnęła, by zyskać na czasie.

– Chyba powinniśmy uczyć się niemieckiego, a nie francuskiego.

To był Gilles Fournier, syn rzeźnika. Ojciec i trzej starsi bracia poszli na wojnę, zostawiając sklep na głowie matki i najmłodszego syna.

– I strzelania – dorzucił François, gorliwie kiwając głową. – Moja mama mówi, że my też powinniśmy umieć strzelać do Niemców.

– A moja babcia jest przkonana, że wszyscy powinniśmy wyjechać – wtrąciła Claire. – Pamięta ostatnią wojnę i uważa, że będziemy głupi, jeśli zostaniemy.

– Niemcy nie zdołają przejść przez Loarę, prawda, pani Mauriac?

W pierwszym rzędzie pośrodku siedziała Sophie, wychylając się do przodu z szeroko otwartymi oczami. Ona także niepokoiła się docierającymi do miasteczka pogłoskami. Przez dwa wieczory z rzędu płakała w łóżku, zanim nie zasnęła, zamartwiając się o tatę. Do szkoły zabierała ze sobą Bébé. Obok Sophie siedziała równie przestraszona Sarah, jej najlepsza przyjaciółka.

– To normalne, że się boimy – uspokajała Vianne. To samo powiedziała wczoraj córce i sobie, ale słowa brzmiały dziwnie pusto.

– Ja się nie boję – oświadczył buńczucznie Gilles. – Mam nóż. Zadźgam każdego brudnego szwaba, który pokaże się

w Carriveau.

– To oni tu przyjdą? – Oczy Sarah zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Nie – zaprzeczyła Vianne. Nie było to łatwe, ją samą strach dławił za gardło. – Francuscy żołnierze, wasi ojcowie, stryjowie i bracia, to najdzielniejsi ludzie na świecie. Jestem pewna, że kiedy tu rozmawiamy, oni zaciekle bronią Paryża i Tours, i Orleanu.

– Ale Paryż jest opanowany przez Niemców – zauważył przytomnie Gilles. – Co się stało z francuskimi żołnierzami na froncie?

– W czasie wojen stacza się bitwy i potyczki. Muszą więc zdarzać się porażki. Ale nasza armia nie pozwoli Niemcom zwyciężyć. Nigdy się nie poddamy. – Zbliżyła się do rzędów ławek. – Także my, choć zostaliśmy w domach, mamy ważną rolę do odegrania. Musimy być odważni i silni i nie tracić wiary w zwycięstwo. Musimy wieść normalne życie, na ile się da, żeby nasi ojcowie, bracia i… mężowie mieli do czego wrócić. Rozumiecie?

– A co z ciocią Isabelle? – zapytała Sophie cienkim głosikiem. – Dziadek powiedział, że już dawno powinna tu być.

– Mój kuzyn też uciekł z Paryża – wtrącił François. – I też jeszcze tu nie dotarł.

– Wujek mówił, że na drogach panuje bałagan.

Rozległ się dzwonek i uczniowie zerwali się z miejsc jakby podrzuceni sprężynami. W mgnieniu oka wojna, naloty i strach zostały zapomniane. Dla tych ośmio- i dziewięciolatków skończyły się lekcje w upalny letni dzień, i tylko to się liczyło. Śmiejąc się, nawołując, popychając i krzycząc jedno przez drugie, dzieci wybiegły ze szkoły.

Vianne powitała dzwonek z ulgą. Na litość boską, była zwykłą nauczycielką. Skąd miała wiedzieć, jak tłumaczyć

niebezpieczeństwa i grozę wojny? Jak mogła uśmierzyć dziecięcy lęk, skoro własny dławił ją za gardło? Zajęła się doprowadzaniem klasy do porządku; odłożyła podręczniki do szafy, wytarła gąbką tablicę, ustawiła równo ławki. Kiedy wszystko było już jak należy, schowała przybory do pisania i papiery do skórzanej torby na ramię i z dolnej szuflady biurka wyjęła małą torebkę. Założyła słomkowy kapelusz, przypięła go szpilkami do włosów i opuściła klasę.

Kroczyła cichymi korytarzami, machając do koleżanek, które jeszcze były w swych klasach. Część sal została zamknięta, bo nauczyciele mężczyźni zostali zmobilizowani.

Przystanęła przy klasie Rachel, patrząc, jak przyjaciółka kładzie synka do wózka i podjeżdża do drzwi. Rachel planowała wziąć dłuższy urlop, żeby zająć się Arim, ale wojna pokrzyżowała te plany. Nie mając innego wyjścia, musiała zabierać dziecko ze sobą do szkoły.

– Wyglądasz tak, jak ja się właśnie czuję – zagadnęła Vianne przyjaciółkę. Ciemne, kręcone włosy Rachel z powodu potu napuszyły się jak strzecha.

– To nie może być komplement, ale jestem ich tak spragniona, że ci wybaczam. Nawiasem mówiąc, ubrudziłaś się kredą na policzku.

Vianne byle jak otarła twarz i nachyliła się nad wózkiem. Niemowlę smacznie spało.

– Jak się czuje mały?

– Jak na dziesięciomiesięczne dziecko, które powinno siedzieć w domu z mamą, a zamiast tego tłucze się w upale po mieście i przez cały dzień słucha wrzasków dziesięciolatków, znakomicie. – Rachel z uśmiechem odgarnęła z czoła wilgotny strąk włosów. – Czy w tym, co powiedziałam, było za dużo goryczy?

– Nie więcej niż w tym, co słyszę od innych.

– Ha! Gorycz ma swoje zalety. Zwłaszcza tobie mogłaby się przydać. Całe to twoje uśmiechanie się i udawanie, że wszystko jest w porządku, działa mi na nerwy.

Rachel ostrożnie sprowadziła wózek po trzech kamiennych schodkach na ścieżkę biegnącą ku trawiastemu boisku, niegdyś będącemu padokiem. Pośrodku niego bulgotała i tryskała wodą licząca czterysta lat fontanna.

– Szybciej, dziewczynki! – zawołała Rachel do Sophie i Sarah, które przysiadły na ławce. Usłuchały natychmiast i trzymając się za ręce, żwawo ruszyły przodem przed matkami, gadając bez ustanku z nachylonymi do siebie głowami. Drugie pokolenie najlepszych przyjaciółek.

Skręciły w alejkę łączącą się z ulicą Victora Hugo na wysokości bistra, gdzie staruszkowie siedzieli przy okrągłych metalowych stolikach, pijąc kawę, paląc i rozprawiając o polityce. Vianne ujrzała przed sobą trzy wynędzniałe kobiety, kuśtykające w obszarpanym odzieniu z twarzami żółtymi od kurzu.

– Biedaczki – mruknęła Rachel półgłosem. – Hélène Ruelle mówiła mi dziś rano, że wczoraj przed północą do Carriveau dotarło kilkunastu uchodźców. Wieści, jakie przynieśli, były niewesołe. Oczywiście Hélène zawsze koloryzuje.

W zwykłych okolicznościach Vianne nie odmówiłaby sobie skomentowania plotkarskiej natury Hélène, ale tym razem dała sobie spokój. Wedle słów taty Isabelle wyjechała z Paryża przed kilkoma dniami, a mimo to nadal nie dotarła do Le Jardin.

– Martwię się o Isabelle – powiedziała przygnębionym tonem.

Rachel wzięła ją pod rękę.

– Czy pamiętasz pierwszą ucieczkę twojej siostry z internatu w Lyonie?

– Miała siedem lat.

– A mimo to dotarła aż do Amboise. Sama. Bez grosza przy duszy. Przespała w lesie dwie noce i przekonała konduktora, żeby wpuścił ją bez biletu do pociągu.

Vianne niewiele pamiętała z tamtych czasów, nie licząc własnej rozpaczy. Po stracie pierwszego dziecka popadła w przygnębienie. Rok straty, mawiał Antoine. Ona również tak o tym myślała. Kiedy Antoine oznajmił, że zabiera Isabelle do Paryża, do taty, Vianne poczuła – niech jej Bóg wybaczy – wielką ulgę.

Czy mogło być dla kogokolwiek zaskoczeniem, że Isabelle uciekła ze szkoły z internatem, do której została wysłana? Vianne po dziś dzień czuła palący wstyd, że tak potraktowała młodszą siostrę.

– Miała dziewięć lat, gdy po raz pierwszy dotarła do Paryża – przypomniała Vianne, próbując znaleźć pociechę w rodzinnych opowiastkach o wyczynach Isabelle. Jej siostra była twarda, bystra i odznaczała się wielką determinacją. Już od najmłodszych lat.

– O ile dobrze pamiętam, dwa lata później wyleciała, bo uciekła ze szkoły, żeby zobaczyć wędrowny cyrk. A może za to, że spuściła się po prześcieradle z okna sypialni na drugim piętrze? – Rachel się uśmiechnęła. – Chodzi mi o to, że jeśli tylko Isabelle będzie tego chciała, to tu przyjedzie.

– Niech Bóg ma w opiece każdego, kto spróbuje jej w tym przeszkodzić.

– Będzie tu lada dzień, zobaczysz. No, chyba że spotkała po drodze księcia na wygnaniu i bez pamięci się w nim zakochała.

– Tak, jej to mogłoby się przydarzyć.

– Widzisz? Już ci lepiej. – Rachel uściskała przyjaciółkę. – Chodź do mnie, napijemy się lemoniady. To najlepsze na taki upał.

Po wczesnej kolacji Vianne położyła Sophie do łóżka, a sama zeszła na dół. Za bardzo się martwiła, żeby usnąć. Panująca w domu cisza przypominała, że żaden gość nie zastukał dzisiaj do jej drzwi. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Rozmowa z Rachel uspokoiła ją wprawdzie, ale nie na długo. Wciąż martwiła się o Isabelle i miała złe przeczucia.

Wstała, usiadła, znowu wstała, podeszła do drzwi wejściowych, otworzyła je.

Z pozoru bezkresne pola ciągnęły się pod powleczonym purpurą i różem wieczornym niebem. Na dziedzińcu rysowały się znajome kształty wypielęgnowanych jabłoni rosnących między domem a oplecionym winoroślą i pnącymi różami kamiennym murem, za którym była droga do miasteczka i hektary pól z rzadka przetykane kępami pokrzywionych drzewek. Po prawej rósł gęstszy las, do którego za młodych lat wymykali się często z Antoine'em w poszukiwaniu samotności.

Antoine.

Isabelle.

Gdzie oni byli? Czy mąż walczył na froncie? Czy siostra podążała pieszo z Paryża?

Nie myśl o tym.

Musiała się czymś zająć. Najlepszy będzie warzywnik. Skieruje jej myśli na spokojniejsze tory.

Znalazła stare ogrodowe rękawiczki, włożyła kalosze i ruszyła do warzywnika założonego na płaskim kawałku terenu między szopą a stodołą. Na starannie wytyczonych grządkach rosły ziemniaki, cebula, marchew, brokuły, fasola, groch, ogórki, pomidory i rzodkiewki. Na wzniesieniu przy stodole Antoine posadził w rzędach krzewy malin i porzeczek. Uklękła na żyznej czarnej ziemi i zaczęła pielić chwasty.

Wczesne lato było zwykle dobrą zapowiedzią. Oczywiście zawsze coś mogło pójść nie tak z powodu kapryśnej pogody, ale jeśli regularnie wykonywało się ogrodnicze prace, pieląc i przerywając zbyt gęsto wschodzące rośliny, można było liczyć na piękne plony. Vianne zawsze pilnowała, żeby grządki były równe i wypielęgnowane. Wierzyła, że ogród odwdzięczy się jej za troskę i poświęcony czas. Praca w nim zawsze napełniała ją spokojem.

Ostrzeżenie, że dzieje się coś złego, zaczęło docierać do niej stopniowo. Najpierw usłyszała trudny do określenia dźwięk, wibrujący, głuchy pomruk. Potem napłynęły zapachy niepasujące do słodkiej woni ogrodu, gryzące i ostre, kojarzące się z rozkładem.

Vianne otarła pot z czoła, świadoma, że rozmazuje po nim czarną ziemię, i szybko wstała z kolan. Wetknęła brudne rękawiczki do kieszeni spodni i ruszyła w kierunku domu. Zanim tam doszła, ukazała się trójka kobiet przypominających cienie i stanęła ciasno zbita na drodze przed jej bramą. Staruszka w łachmanach kurczowo trzymała się młodej kobiety z dzieckiem na ręku i nastolatki z pustą ptasią klatką w jednej ręce i łopatą w drugiej. Wszystkie miały szkliste, rozgorączkowane oczy, młoda matka wyraźnie drżała. Ich twarze były spocone, a spojrzenia zrezygnowane. Staruszka wyciągnęła przed siebie puste, brudne ręce.

– Ma pani trochę wody? – zapytała dziwnie obojętnie. Bez przekonania.

– Oczywiście. – Vianne pośpiesznie otworzyła furtkę. – Może panie wejdą do środka i odpoczną?

Staruszka pokręciła głową.

– Jesteśmy przed tamtymi. Dla tych z tyłu nic nie zostaje.

Vianne nie zrozumiała, ale nie było to ważne. Widziała, że kobiety ledwie trzymają się na nogach z głodu i wyczerpania.

– Chwileczkę. – Pobiegła do domu i spakowała trochę chleba, marchwi i kawałek sera. Wszystko, czym mogła się podzielić. Napełniła wodą butelkę i prędko wróciła do kobiet. – Niewiele tego – powiedziała tonem usprawiedliwienia.

– To więcej, niż miałyśmy, odkąd wyszłyśmy z Tours – powiedziała bezbarwnym głosem młoda kobieta.

– Były panie w Tours? – zdziwiła się Vianne.

– Pij, Sabine. – Staruszka przytknęła butelkę do warg młodej. Vianne już miała spytać, czy nie spotkały po drodze Isabelle, gdy wtem stara powiedziała ostro: – Już tu są.

Młoda matka jęknęła i mocniej przytuliła dziecko, które było takie ciche i miało maleńkie piąstki, takie sine… Vianne zabrakło tchu.

Dziecko było martwe.

Dobrze znała te pazury żalu, które nie chciały puścić, tę bezdenną szarość wypaczającą umysł tak, że matka trzymała się nadziei jeszcze długo po tym, gdy ta odeszła.

– Niech pani wejdzie do domu – powiedziała staruszka do Vianne. – I dobrze zarygluje drzwi.

– Ale…

Kobiety odstąpiły, a raczej odskoczyły od bramy, jakby oddech Vianne stał się nagle trujący.

I wtedy zobaczyła wypełzającą z pól na drogę czarną bezkształtną masę.

Poprzedzał ją przenikliwy, wiercący w nosie odór potu i brudu. Kiedy masa nieco się zbliżyła, zaczęła rozpadać się na poszczególne ciemne kształty. Na polach i na drodze mrowili się ludzie i chwiejnie, kuśtykając, podążali prosto do niej. Niektórzy pchali rowery, wózki dziecięce i taczki. Psy ujadały, dzieci płakały. Słychać było kasłanie, chrząkanie i jęki. Parli nieubłaganie naprzód, przez pole i dalej drogą, nadciągali, potrącając się i przepychając, a ich głosy narastały.

Vianne nie była w stanie pomóc im wszystkim. Wpadła do domu i zamknęła za sobą drzwi na zasuwę. Przebiegła przez pokoje, szczelnie zamykając okiennice i pozostałe wyjścia. Skończywszy, z bijącym sercem, stanęła niepewnie na środku pokoju na parterze.

Dom nieznacznie się zatrząsł. Okna zabrzęczały pod ciosami pięści w drewniane okiennice. W powietrzu zatańczył kurz z belek pod sufitem.

Ktoś zaczął łomotać do drzwi, raz za razem, coraz bardziej natarczywie. Vianne wzdrygała się za każdym uderzeniem.

Ze schodów zbiegła Sophie z Bébé w objęciach.

– Mamo!

Vianne otworzyła szeroko ramiona przed córką. Objęła ją i razem słuchały walenia. Czyjaś pięść rąbnęła w drzwi kuchenne. Miedziane patelnie i rondle zabrzęczały dźwięcznie niczym kościelny dzwon. Uszu Vianne doleciało poskrzypywanie pompy przy studni. Ludzie czerpali wodę.

– Zaczekaj tu na mnie – powiedziała Vianne półgłosem. – Usiądź na kanapie.

– Nie zostawiaj mnie!

Vianne oderwała córkę od siebie i zmusiła ją, by usiadła. Chwyciła pogrzebacz ze stojaka przy kominku i ostrożnie wspięła się po schodach na piętro, gdzie podkradła się do okna w sypialni i wyjrzała zza zasłony, pilnując się, by nikt jej nie zobaczył.

Na podwórzu były dziesiątki ludzi, głównie kobiet i dzieci, poruszających się jak wataha głodnych wilków. Ich głosy stapiały się w jeden desperacki jęk.

Vianne szybko się cofnęła. Co będzie, jeżeli drzwi nie wytrzymają? Taki tłum jest w stanie wyważyć drzwi i okna, nawet zburzyć ściany.

Przerażona zbiegła na dół, wstrzymując oddech, dopóki nie ujrzała Sophie na kanapie. Vianne usiadła przy córce i mocno ją przytuliła. Dziewczynka skuliła się jak wtedy, gdy była jeszcze malutka. Vianne głaskała jej kręcone włosy. Lepsza matka, silniejsza, opowiedziałaby teraz dziecku pocieszającą historię, ale Vianne tak się bała, że głos odmówił jej posłuszeństwa. Po głowie tłukła jej się tylko modlitwa bez końca i początku. Proszę, błagam, proszę…

– Prześpij się, Sophie. Jestem tu przy tobie – powiedziała, tuląc ją jeszcze mocniej.

– Mamo – szepnęła córka ledwo dosłyszalnie, zwłaszcza w tym hałasie. – A jeśli tam jest ciocia Isabelle?

Vianne popatrzyła z góry na skurczoną ze strachu i zmęczenia twarz Sophie.

– Niech Bóg ma ją w opiece – wymamrotała. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

Na widok domu z szarego kamienia Isabelle poczuła przypływ obezwładniającego znużenia. Ramiona jej opadły, pęcherze na stopach piekły. Gaëton otworzył furtkę. Zaskrzypiała i przekrzywiła się, zwisając na jednym zawiasie.

Wsparta na nim Isabelle chwiejnie podeszła do drzwi. Zastukała dwukrotnie, krzywiąc się z bólu za każdym razem, gdy spękane kostki uderzały w drewno.

Nikt nie otwierał.

Uderzyła obiema pięściami i chciała zawołać siostrę po imieniu, ale z obolałego gardła wydobył się tylko niezrozumiały skrzek.

Zrozpaczona, cofnęła się chwiejnie, omal nie upadając na ziemię.

– Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie można przenocować? – zapytał Gaëton, podtrzymując ją ramieniem.

– W altanie w ogrodzie.

Obszedł wraz z nią dom. W ocienionej jaśminem altanie Isabelle usiadła na ławce. Niemal nie zauważyła, że Gaëton zniknął, by po chwili powrócić z letnią wodą, którą wypiła z jego złożonych dłoni. Nie zaspokoiła pragnienia. Wnętrzności skręcał głód, bolało ją całe ciało, pokancerowana twarz paliła. Mimo to, gdy Gaëton chciał się znowu oddalić, przytrzymała go, mamrocząc niewyraźnie, prosząc, żeby jej nie zostawiał, więc usiadł przy niej i objął ją ramieniem. Po chwili delikatnie ściągnął ją z ławki na trawę i położył się obok niej. Leżeli wpatrzeni w gęstwinę zarośli okalających altanę. Zapach jaśminu, róż i rozgrzanej po upalnym dniu ziemi oszałamiał. Nie sposób było jednak zapomnieć, przez co dziś przeszli i jakie okropieństwa ich jeszcze czekają.

W Gaëtonie zaszła zmiana, gniew i bezsilna wściekłość zmazały uśmiech z jego ust i współczucie z oczu. Od nalotu bombowego prawie się nie odzywał, a kiedy coś mówił, jego głos był napięty i oschły. Oboje wiedzieli już, czym jest wojna i co ze sobą niesie.

– Byłabyś bezpieczna u siostry – zagadnął.

– Nie chcę być bezpieczna. A moja siostra mnie nie chce.

Obróciła się, żeby spojrzeć mu w oczy. Blask księżyca przesączał się przez listowie, tworząc koronkowe wzory na ścianach altany. Widziała jego błyszczące oczy i usta, nos i broda kryły się w cieniu. Znowu wyglądał inaczej, jakby zdążył się postarzeć w ciągu zaledwie trzech dni. Cuchnął potem, krwią, błotem i śmiercią, zresztą tak samo jak ona.

– Słyszałeś o Edith Cavell? – zapytała.

– Czy sprawiam na tobie wrażenie człowieka wykształconego?

– Tak – odrzekła po krótkim namyśle.

Milczał tak długo, że zrozumiała, iż udało jej się go zaskoczyć.

– Wiem, kim była. Uratowała życie setkom alianckich lotników. Zasłynęła powiedzeniem, że „patriotyzm nie wystarczy". To kobieta, która jest twoją bohaterką, bo została rozstrzelana przez wroga.

– To kobieta, która wszystko zmieniła – odrzekła Isabelle, studiując jego twarz z uwagą. – Liczę, że ty, przestępca i komunista, pomożesz mi zrobić coś pożytecznego dla kraju. Choć być może naprawdę jestem tak narwana i stuknięta, jak mówią.

– Kto tak mówi?

– Wszyscy. – Umilkła, zastanawiając się, czy postępuje słusznie. Przyrzekła sobie nigdy nikomu nie ufać, a jednak Gaëtonowi zaufała. Może dlatego, że traktował ją inaczej niż inni, z powagą. – Zabierzesz mnie ze sobą. Tak jak obiecałeś.

– Czy wiesz, jak się pieczętuje takie umowy?

– Jak?

– Pocałunkiem.

– Przestań żartować. Mówię poważnie.

– A czy jest coś poważniejszego niż pocałunek u progu wojny? – Uśmiechnął się, ale niezbyt wesoło. W jego oczach znowu płonął gniew, co ją nieco speszyło, przypominając, że naprawdę niczego o nim nie wie.

– Pocałuję mężczyznę, który będzie dość odważny, by zabrać mnie ze sobą na wojnę.

– A ja myślę, że nic nie wiesz o całowaniu – odparł z westchnieniem.

– Ciekawe, co ty wiesz – rzuciła, odwracając się, by nie mógł jej pocałować. Chcąc być nonszalancka, przetoczyła się jednak z powrotem i poczuła na rzęsach jego oddech.

– Chcę cię zabrać ze sobą – szepnął. Powoli objął ręką jej kark i delikatnie przyciągnął do siebie. – Jesteś pewna? – zapytał z wargami tak blisko jej ust, że owionął ją ciepłym oddechem.

Nie wiedziała, czy pytanie dotyczy wyruszenia na wojnę, czy też zgody na pocałunek, lecz w tej chwili nie miało to znaczenia. Isabelle wymieniała już pocałunki z chłopcami, ale były zdawkowe, nieważne. Nigdy przedtem, ani razu, nie pragnęła go naprawdę.

– Tak – wyszeptała, podając mu usta.

Pocałunek utworzył szczelinę w pancernej skorupie otaczającej jej poranione serce. Po raz pierwszy czytane ukradkiem romanse nabrały sensu i Isabelle uświadomiła sobie, że krajobraz kobiecej duszy może ulec równie szybkiej zmianie jak ogarnięty wojenną pożogą świat.

– Kocham cię – szepnęła. Nie wypowiadała tych słów od ukończenia czwartego roku życia, kiedy to zapewniała o miłości własną matkę. Miłosna deklaracja Isabelle sprawiła, że rysy Gaëtona stwardniały. Obdarzył ją uśmiechem tak wymuszonym i fałszywym, że się spłoszyła. – Co? Czy zrobiłam coś złego?

– Nie. Oczywiście, że nie – odparł.

– Mamy szczęście, że natrafiliśmy na siebie – powiedziała.

– Nieprawda, Isabelle. Możesz mi wierzyć. – Ponownie ją pocałował, tym razem z większym żarem.

Poddała się cudownemu wrażeniu, pozwoliła sobie zapomnieć o całym wszechświecie. W końcu się dowiedziała, co to znaczy całkowicie komuś wystarczać.

Kiedy Vianne ocknęła się ze snu, najpierw uderzyła ją cisza. Z oddali dochodził śpiew ptaka. Leżała nieruchomo,

nasłuchując. Obok niej Sophie cichutko pochrapywała przez sen.

Vianne podeszła do okna i odsunęła zaciemnienie.

Jej oczom ukazały się połamane gałęzie jabłoni. Furtka wisiała krzywo na jednym zawiasie. Pole naprzeciwko domu było stratowane i gładkie jak stół. Fala uchodźców pozostawiła za sobą bałagan – walizki i toboły, futra i płaszcze, pościel i połamane wózki.

Vianne zeszła na parter i ostrożnie odsunęła zasuwę. Chwilę wytężała słuch, a gdy nie usłyszała najlżejszego dźwięku, nacisnęła klamkę i nieco uchyliła drzwi.

Ogród warzywny został doszczętnie ogołocony. Co tylko nadawało się do zjedzenia, zostało wyrwane z ziemi i zabrane. Na zrytych butami grządkach walały się strzępy łodyg i naci.

Cały jej wysiłek poszedł na marne. Zdruzgotana obeszła dom dokoła; tam także ludzka szarańcza dokonała wielu zniszczeń.

Już miała wracać do środka, gdy raptem usłyszała jakiś dźwięk. Miauczenie…? A może kwilenie niemowlęcia?

Niepokojący odgłos rozległ się ponownie. Czy ktoś zostawił tu małe dziecko?

Ostrożnie, na palcach, przekradła się do stojącej w cieniu krzewów róż i jaśminu altany.

Na ziemi leżała skulona Isabelle w podartej na strzępy sukience, z pokaleczoną i posiniaczoną twarzą. Lewe oko spuchło tak, że nie dawało się otworzyć, do rękawa przypięta była kartka papieru.

– Isabelle!

Siostra obróciła głowę, by spojrzeć na nią zdrowym okiem.

– Vi – wychrypiała z trudem. – Dzięki, że mnie nie wpuściłaś.

Vianne podbiegła i uklękła przy niej.

– Jesteś cała w siniakach, pokrwawiona… Co się stało?

Isabelle przez chwilę zdawała się nie rozumieć.

– A… tak. To nie moja krew. W każdym razie większość. – Rozejrzała się półprzytomnie dokoła. – Gdzie jest Gaët?

– Kto?

Siostra z trudem podniosła się z ziemi i zachwiała tak, że omal znów nie upadła.

– Czy on mnie zostawił? No tak. – Zaczęła płakać. – Porzucił mnie.

– Chodź – powiedziała Vianne łagodnie. Podtrzymując siostrę pod ramię, zabrała ją do chłodnego wnętrza domu, gdzie Isabelle skopała z nóg pochlapane krwią pantofle z takim rozmachem, że uderzyły o ścianę i potoczyły się po podłodze. Potem pozwoliła zaprowadzić się do łazienki ukrytej pod schodami, zostawiając za sobą krwawe odciski stóp.

Podczas gdy Vianne grzała wodę i szykowała wannę, Isabelle usiadła na podłodze z wyciągniętymi nogami, mamrocząc do siebie i ocierając łzy, które na jej twarzy zamieniały się w błoto.

Kiedy kąpiel była gotowa, Vianne pomogła siostrze się rozebrać. Ta zachowywała się biernie jak dziecko, pojękując tylko i krzywiąc się z bólu.

Vianne rozpięła guziki czerwonej niegdyś sukienki i ostrożnie zsunęła ją z ramion Isabelle. Koronkowa bielizna dziewczyny była miejscami poplamiona krwią. Vianne rozpięła i zdjęła jej gorsetową górę.

Zaciskając zęby, Isabelle weszła do gorącej wody.

– Połóż się.

Dziewczyna usłuchała. Vianne zaczęła polewać jej głowę ciepłą wodą, pilnując, żeby nie dostała się do oczu. Myjąc brudne włosy i posiniaczone ciało Isabelle, wciąż mówiła do niej równym, śpiewnym głosem, by ją uspokoić.

Pomogła siostrze wyjść z wanny i osuszyła jej ciało miękkim białym ręcznikiem. Isabelle patrzyła na nią pustym wzrokiem, z półotwartymi ustami.

– Chcesz spać? – zapytała Vianne.

– Spać – powtórzyła bełkotliwie Isabelle, zwieszając ze znużeniem głowę.

Vianne przyniosła siostrze nocną koszulę pachnącą lawendą oraz wodą różaną i pomogła założyć. Isabelle zamykały się oczy, gdy prowadziła ją do sypialni na górze i nakrywała cienkim kocem. Sen przyszedł natychmiast, nim dotknęła głową poduszki.

Isabelle obudziła się w ciemności. A przecież pamiętała światło dnia.

Gdzie była?

Usiadła tak prędko, że zakręciło jej się w głowie. Parę razy płytko odetchnęła, po czym rozejrzała się po otoczeniu.

Sypialnia na piętrze w Le Jardin. Jej dawny pokój. Nie wspominała go miło. Ileż razy Madame Zaraza zamykała ją tutaj „dla jej własnego dobra”?

– Nie myśl o tym – powiedziała na głos.

Przypomniała sobie coś jeszcze gorszego: Gaëtona. Ostatecznie jednak ją porzucił. Poczuła głębokie, tak dobrze jej znane rozczarowanie.

Czy niczego się w życiu nie nauczyła? Ludzie odchodzili. Przecież wiedziała. A zwłaszcza od niej. Włożyła luźną niebieską podomkę, którą Vianne zostawiła przewieszoną przez oparcie krzesła. Potem wąskimi schodami o niskich stopniach zeszła na dół, przytrzymując się żelaznej poręczy. Każdy krok był dla niej małym zwycięstwem nad bólem.

Na dole panowała cisza, z wyjątkiem trzeszczących dźwięków dobiegających z cicho grającego radia. Była prawie

pewna, że to jedna z piosenek miłosnych Maurice'a Chevaliera. W takim czasie…

Vianne krzątała się po kuchni ubrana w skromną żółtą sukienkę przewiązaną grubym fartuchem i kwiecistą chustkę na głowie. Obierała ziemniaki, co jakiś czas zaglądając do perkoczącego żeliwnego rondla.

Unoszący się z niego aromat sprawił, że Isabelle poczuła ślinę w ustach.

Vianne skoczyła i odsunęła od stołu krzesło.

– Chodź, siadaj.

Isabelle padła na siedzenie. Vianne postawiła przed nią przygotowany zawczasu talerz z pajdą jeszcze ciepłego chleba, trójkątem sera, kilkoma plastrami szynki i plamą konfitury z pigwy.

Isabelle ujęła chleb w czerwone, podrapane dłonie i uniosła go do twarzy, wchłaniając drożdżowy zapach. Ręce jej drżały, gdy smarowała kromkę konfiturą i kładła na wierzch ser. Z brzękiem odłożyła nóż i odgryzła najlepszy kęs w swym dotychczasowym życiu. Chrupka skórka w połączeniu z mięciutkim miąższem, kremowym serem i kwaskową pigwą mogła przyprawić o zawrót głowy. W mgnieniu oka pożarła resztę, ledwie zauważając filiżankę czarnej kawy, którą siostra postawiła w tym czasie przed nią na stole.

– Gdzie jest Sophie? – zapytała z pełnymi ustami. Nie mogła się oderwać od jedzenia, nawet kosztem dobrych manier. Sięgnęła po brzoskwinię, poczuła w dłoni jej aksamitną dojrzałość i wgryzła się w nią łapczywie. Żółty sok pociekł jej po brodzie.

– Bawi się z koleżanką z sąsiedztwa, Sarah. Pamiętasz moją przyjaciółkę Rachel?

– Pamiętam.

Vianne nalała sobie trochę kawy, podeszła z nią do stołu i usiadła naprzeciw siostry.

Isabelle odbiło się i zakryła usta dłonią.

– Przepraszam.

– Myślę, że można przymknąć na to oko – powiedziała Vianne z uśmiechem.

– To nie znasz madame Dufour. Za coś takiego walnęłaby mnie cegłą. – Isabelle westchnęła. Rozbolał ją brzuch i poczuła nudności. Otarła wilgotną brodę serwetką. – Jakie wieści z Paryża?

– Na wieży Eiffla powiewa flaga ze swastyką.

– A co u taty?

– W porządku, jak twierdzi.

– Głowę daję, że martwi się o mnie – rzuciła Isabelle z goryczą. – Nie powinien mnie odsyłać z Paryża. Ale czy kiedykolwiek było inaczej? Zawsze mnie odsyłał.

Wymieniły spojrzenia. Porzucenie było jednym z niewielu wspólnych wspomnień, ale Vianne nie chciała teraz do tego wracać.

– Słyszeliśmy, że na drogi wyległo dziesięć milionów takich jak ty.

– Tłumy nie były najgorsze – odparła Isabelle. – Szły głównie kobiety i dzieci oraz starcy i bardzo młodzi chłopcy. Ginęło się w tej masie.

– Dzięki Bogu, to już minęło – powiedziała Vianne. – Trzeba się koncentrować na tym, co dobre. A kto to jest Gaëton? Mówiłaś o nim w gorączce.

Isabelle w zamyśleniu podrapała się po grzbiecie dłoni, zbyt późno spostrzegając, że zdarła sobie świeży strup. Pociekła strużka krwi.

– Może ma coś wspólnego z tym – bąknęła Vianne, gdy milczenie się przedłużało. Z kieszeni fartucha wyjęła zmiętą

kartkę papieru. Był to liścik przypięty do rękawa sukienki Isabelle, upstrzony brudnymi, krwawymi odciskami palców. Na nim zaś jedno zdanie: „Nie jesteś gotowa”.

Isabelle jakby ktoś wyszarpnął dywan spod nóg. Poczuła się zraniona do głębi, choć wiedziała, że to dziecinna, przesadna reakcja. Chciał ją zabrać ze sobą do chwili pocałunku. Potem musiał w niej wyczuć jakiś brak.

– Właściwie nikt – mruknęła ponuro, mnąc kartkę i wsuwając ją do kieszeni. – Taki tam czarnowłosy chłopak, który łże jak pies. W sumie nic szczególnego. – Spojrzała siostrze w oczy. – Pójdę na wojnę. Nie obchodzi mnie, co ludzie o tym pomyślą. Będę jeździła ambulansem albo zwijała bandaże. Wszystko mi jedno.

– Na miłość boską, Isabelle! Paryż został zajęty. Niemcy kontrolują miasto. Co smarkata osiemnastolatka może z tym zrobić?

– Nie będę się chowała na wsi, kiedy wróg niszczy Francję. I spójrzmy prawdzie w oczy, nigdy nie otaczałaś mnie przesadnie siostrzaną opieką. – Jej poobijana twarz zadrżała. – Odejdę stąd, jak tylko nabiorę sił i będę mogła chodzić.

– Tutaj będziesz bezpieczna, Isabelle. Tylko to się liczy. Musisz zostać.

– Bezpieczna? – Ton Isabelle był jak splunięcie. – Według ciebie to jest najważniejsze? No więc posłuchaj, co widziałam po drodze. Wojska francuskie uciekające przed wrogiem. Niemców mordujących niewinnych ludzi. Może ty potrafisz się na to wypiąć, ale ja nie.

– Zostaniesz tu i będziesz bezpieczna. Nie będziemy o tym dłużej rozmawiać.

– A kiedy byłam z tobą bezpieczna? – palnęła Isabelle, widząc w oczach siostry, jak bardzo ją tym zraniła.

– Byłam młoda. Próbowałam zastąpić ci matkę.

– Och, błagam, tylko nie zaczynaj od kłamstwa.

– Po tym, jak straciłam dziecko…

Isabelle odwróciła się i pokuśtykała do okna, zanim zdołało się jej wyrwać coś niewybaczalnego. Splotła dłonie, by powstrzymać ich drżenie. To dlatego nie chciała się widywać z siostrą, latami trzymała się z dala od tego domu. Było między nimi zbyt wiele bólu. Nastawiła głośniej radio, żeby zagłuszyć myśli.

– Mówi do was marszałek Pétain… – zatrzeszczał męski głos.

Isabelle zmarszczyła czoło. Pétain był bohaterem wojennym, ukochanym przywódcą Francuzów. Nastawiła radio jeszcze głośniej.

Obok niej stanęła Vianne.

– …objąłem kierownictwo rządu francuskiego…

Dalsza część zdania utonęła w trzaskach.

Isabelle niecierpliwie pacnęła aparat.

– …nasza dzielna armia, która walczy z bohaterstwem godnym jej długich tradycji wojennych przeciwko przeważającym siłom wroga…

Trzaski. Isabelle znów walnęła radio, warcząc:

– Szmelc.

– …w tej bolesnej godzinie moje myśli towarzyszą nieszczęsnym uchodźcom, którzy wylegli na drogi, znosząc niewysłowione cierpienia. Wyrażam im moje najgłębsze współczucie i zrozumienie. Ze złamanym sercem oświadczam wam dzisiaj, że konieczne jest zaprzestanie dalszej walki.

– Zwyciężyliśmy? – zapytała Vianne.

– Ciii – syknęła Isabelle.

– …zwróciłem się wczoraj do przeciwnika z pytaniem, czy jest gotów porozmawiać ze mną jak żołnierz z żołnierzem o zawieszeniu broni, żeby omówić honorowe zakończenie wrogich działań.

Radio trzeszczało, wypluwając kolejne frazy o „dniach próby”, „panowaniu nad gniewem” i „losach ojczyzny”. Następnie padło słowo, którego Isabelle nigdy nie spodziewała się usłyszeć we Francji.

Kapitulacja.

Na obolałych stopach pokuśtykała do ogrodu, chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza, bo zabrakło jej tchu.

Kapitulacja. Francji. Przed Hitlerem.

– To musi być najlepsze wyjście – usłyszała spokojne słowa siostry.

Kiedy Vianne wyszła za nią do ogrodu?

– Przecież wiesz, kim jest marszałek Pétain. To niekwestionowany bohater. Skoro on mówi, że musimy zaprzestać oporu, to musimy. Jestem pewna, że dogada się z Hitlerem. – Vianne spróbowała objąć Isabelle.

Ta odskoczyła jak oparzona. Na myśl o uspokajającym uścisku Vianne poczuła mdłości. Odwróciła się z trudem i spojrzała siostrze prosto w oczy.

– Nie dogadasz się z ludźmi pokroju Hitlera!

– O, ty wiesz lepiej niż nasi bohaterowie? – zaperzyła się Vianne.

– Wiem, że nie powinniśmy się poddać!

Vianne syknęła z dezaprobatą.

– Skoro sam marszałek Pétain uważa, że kapitulacja jest dla Francji najlepsza, to z pewnością tak jest. Koniec, kropka. Przynajmniej wojna się skończy i nasi mężczyźni bezpiecznie wrócą do domów.

– Jesteś głupia.

– No i dobrze – odwarknęła Vianne i poszła do domu.

Isabelle osłoniła dłonią oczy i spojrzała w jasne, bezchmurne niebo. Ile czasu upłynie, zanim na czystym nieboskłonie pojawią się ciemne sylwetki niemieckich samolotów?

Nie wiedziała, jak długo stała w ogrodzie, wyobrażając sobie najgorsze i wspominając, jak Niemcy otworzyli ogień do bezbronnych kobiet i dzieci, a pola spłynęły krwią.

– Ciociu Isabelle?

Cichy, nieśmiały głosik doszedł ją jakby z oddali. Powoli się odwróciła.

W tylnych drzwiach stała śliczna dziewczynka. Miała porcelanową cerę jak jej matka i wyraziste oczy jak u ojca, które z daleka wydawały się czarne jak węgle. Z taką urodą mogłaby wyjść prosto ze stronic baśni o Kopciuszku lub Królewnie Śnieżce.

– To niemożliwe – powiedziała Isabelle. – Ty nie możesz być Sophie! Kiedy cię ostatni raz widziałam… ssałaś swój kciuk.

– Teraz też czasem to robię – wyznała Sophie z konspiracyjnym uśmiechem. – Nie powiesz nikomu?

– Ja? Jestem świetna w dochowywaniu tajemnicy. – Isabelle podeszła do dziewczynki, myśląc: moja siostrzenica. Rodzina. – Powiedzieć ci mój sekret, żeby było sprawiedliwie?

Sophie entuzjastycznie pokiwała głową. Oczy jej się rozszerzyły.

– Mogę stać się niewidzialna.

– Nieee.

– Zapytaj mamę. – Isabelle dostrzegła zbliżającą się Vianne. – Wymykałam się przez okna, wślizgiwałam do pociągów, uciekałam z klasztornych lochów. A to wszystko dlatego, że potrafię znikać.

– Isabelle – powściągnęła ją surowo Vianne.

– Naprawdę? – zaciekawiona Sophie zadzierała ku niej głowę.

– Łatwo jest zniknąć – Isabelle zerknęła na siostrę – kiedy nikt nie patrzy.

– Ale ja patrzę – zawołała Sophie. – To czy możesz teraz zniknąć?

– Jasne, że nie! – roześmiała się Isabelle. – Magia działa najlepiej, kiedy nikt się jej nie spodziewa. Zgodzisz się ze mną, prawda? A teraz może byśmy zagrały w warcaby?

8

Kapitulacja była gorzką pigułką, ale marszałek Pétain to człowiek honoru. Bohater ostatniej wojny z Niemcami. Owszem, był już stary, ale Vianne, jak wielu innych, wierzyła, że pozwala mu to lepiej ocenić zaistniałe okoliczności. Marszałek wymyślił sposób szybkiego zakończenia wojny, żeby nie ciągnęła się latami jak poprzednia, a mężczyźni mogli wrócić do domów.

Vianne rozumiała to, co nie mieściło się w głowie Isabelle: Pétain skapitulował w imieniu Francji, aby ocalić życie wielu ludzi i to, jak żyli. Co prawda warunki kapitulacji były trudne. Francja została podzielona na dwie z grubsza równe części. Strefa okupowana, obejmująca północną część kraju i regiony nadmorskie (w tym Carriveau), miała znaleźć się pod zarządem Niemców. Środek kraju, tereny poniżej Paryża i aż do linii wybrzeża, miał stać się strefą wolną (nominalnie), zarządzaną przez nowo utworzony rząd z Pétainem na czele, ściśle współpracujący z Niemcami, a mający siedzibę w Vichy.

Natychmiast po kapitulacji zaczęło brakować żywności. Szare mydło stało się nie do zdobycia. Na kartki żywnościowe nie można było liczyć. Telefony i poczta zaczęły działać zawodnie. Okupanci skutecznie ograniczali komunikację między miastami i miasteczkami. Korespondencję można było wysyłać jedynie na oficjalnie wydawanych niemieckich pocztówkach. Ale nie to było dla Vianne najgorsze.

Isabelle stała się niemożliwa we współżyciu. Vianne przyłapywała ją wiele razy na nieruchomym gapieniu się w niebo, jakby zbliżało się stamtąd jakieś straszliwe niebezpieczeństwo.

Siostra była w stanie rozmawiać wyłącznie o potwornościach Niemców i ich determinacji, by pozbawić Francuzów wszystkiego, a zwłaszcza życia. Wyrażała się przy tym bez ogródek, a ponieważ Vianne nie chciała tego słuchać, publiką i nieodłączną towarzyszką Isabelle stała się Sophie. Ciotka napełniała główkę nieszczęsnego dziecka okropnymi obrazami tego, co z pewnością niedługo się stanie; Sophie miała nawet przez to koszmary. Vianne obawiała się zostawiać je razem, więc wzorem poprzednich dni zabrała je ze sobą do miasta, żeby kupić trochę żywności na kartki.

Od dwóch godzin stały w kolejce do rzeźnika i niemal przez cały ten czas Isabelle narzekała. Najwyraźniej stanie po zakupy w sklepie nie miało dla niej sensu.

A teraz nagle powiedziała:

– Vianne, spójrz tam. Mój Boże…

I z większym naciskiem:

– Vianne, patrz!

Tamta odwróciła się, chcąc uciszyć siostrę, i wtedy ich zobaczyła.

Niemców.

Wzdłuż ulicy niósł się odgłos zatrzaskiwanych okien i drzwi. Ludzie rozpierzchli się tak szybko, że Vianne dopiero po chwili skonstatowała, iż stoi na chodniku sama, jedynie z córką i siostrą. Złapała Sophie i pociągnęła ją pod zamknięte drzwi sklepu.

Za to Isabelle buntowniczo wyszła na jezdnię.

– Isabelle – syknęła Vianne, ale siostra nie posłuchała. Zielone oczy miotały błyskawice, bladą, delikatną twarz wykrzywiała

nienawiść.

Zielona ciężarówka na czele zahamowała przed dziewczyną. Z tyłu żołnierze siedzieli na ławkach naprzeciw siebie, trzymając karabiny między kolanami. Byli młodzi, starannie ogoleni, w nowiutkich hełmach, niektórzy mieli medale lśniące na szarozielonych mundurach. Najbardziej rzucał się w oczy ich młody wiek. To byli zwykli chłopcy, nie żadne potwory. Wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co ich zatrzymało. Na widok stojącej na jezdni Isabelle zaczęli się uśmiechać i machać do niej na powitanie.

Vianne podbiegła, chwyciła siostrę za rękę i odciągnęła ją na bok.

Kolumna wszelkiej maści wozów terenowych, motocykli i ciężarówek okrytych siatkami maskującymi mijała je z dudnieniem. Za nią brukowanymi uliczkami z łoskotem przejechały czołgi. A po nich nadeszła piechota.

Wkroczyła do miasta w dwóch długich kolumnach.

Isabelle zuchwale ruszyła równo z nimi aż do ulicy Victora Hugo. Niemcy machali do niej jak turyści, a nie najeźdźcy, którzy dokonali podboju.

– Mamo, nie pozwól cioci chodzić samej – poprosiła Sophie.

– Cholera. – Vianne chwyciła córkę za rękę i pobiegła za siostrą. Dogoniły ją przy następnej przecznicy.

Plac, zazwyczaj pełen ludzi, całkiem opustoszał. Tylko paru mieszkańców odważyło się zostać, gdy niemieckie pojazdy stanęły przed budynkiem merostwa.

Pojawił się oficer, a przynajmniej Vianne uznała go za oficera, gdyż ostrym tonem zaczął wykrzykiwać rozkazy.

Żołnierze okrążyli duży, brukowany plac, biorąc go niejako w posiadanie. Opuścili francuską flagę i zastąpili ją barwami Trzeciej Rzeszy: wielką czarną swastyką w białym kręgu na czerwonym tle. Kiedy ich flaga wzniosła się na szczyt masztu,

żołnierze trzasnęli obcasami, wyrzucili w przód prawe ramiona i wrzasnęli „Heil Hitler!”.

– Gdybym miała broń – wycedziła Isabelle – pokazałabym im, że nie wszyscy z nas chcieli się poddać.

– Cicho – szepnęła Vianne błagalnie. – Przez ten twój ozór jeszcze stracimy życie. Chodźmy stąd.

– Nie. Chcę…

– Dosyć tego! – Vianne rozeźliła się nie na żarty. – Przestań ściągać na nas uwagę. Zrozumiano?

Isabelle po raz ostatni spojrzała z nienawiścią na maszerujących żołnierzy, po czym pozwoliła Vianne odciągnąć się z placu.

Skręciły z głównej ulicy w wąski zaułek, który prowadził do uliczki na tyłach sklepu modystki. Wciąż słyszały śpiew żołnierzy. Potem zaś padł strzał. I drugi. Ktoś przeraźliwie krzyknął.

Isabelle stanęła jak wryta.

– Ani się waż – syknęła Vianne. – Idziemy!

Przemykały bocznymi ulicami, chowając się we wnętrzach bram, gdy tylko usłyszały głosy. Droga przez miasteczko zabrała im tym sposobem sporo czasu, ale w końcu dotarły do traktu, w milczeniu minęły cmentarz i wreszcie były w domu. Znalazłszy się w środku, Vianne szybko zamknęła drzwi na zasuwę.

– Widzisz? – odezwała się natychmiast Isabelle, jakby tylko na to czekała.

– Idź do swojego pokoju – powiedziała Vianne do Sophie, siląc się na spokój. Wolała, żeby córka nie słyszała tego, co zamierzała powiedzieć Isabelle. Potem zdjęła kapelusz i odstawiła pusty koszyk na zakupy. Ręce drżały jej ze zdenerwowania.

– Przybyli tu z powodu lotniska – powiedziała Isabelle. Zaczęła nerwowo spacerować po pokoju. – Nie przypuszczałam, że stanie się to tak szybko, nawet mimo kapitulacji. Nie wierzyłam… Myślałam, że nasi będą walczyć, tak czy siak. Byłam pewna…

– Przestań obgryzać paznokcie. Zaraz zaczną ci krwawić.

Z długimi do pasa jasnymi włosami nieporządnie zaplecionymi w warkocze, z których wymykały się splątane kosmyki, i pokaleczoną, wykrzywioną z wściekłości twarzą Isabelle przypominała wariatkę.

– Hitlerowcy już tu są, Vianne. W Carriveau. Ich flaga wisi na merostwie, tak jak na Łuku Triumfalnym i wieży Eiffla. Nie upłynęło pięć minut, odkąd tu są, a już padł strzał!

– Wojna się skończyła, Isabelle. Tak powiedział marszałek Pétain.

– Wojna się skończyła? Skończyła?! Przecież widziałaś ich tam, z karabinami, flagami i niemiecką butą! Musimy uciekać, Vi. Zabierzmy Sophie i wyjedźmy z Carriveau.

– I dokąd pojedziemy?

– Dokądkolwiek. Może do Lyonu. Do Prowansji. Jak się nazywała ta miejscowość w departamencie Dordogne, gdzie urodziła się mama? Brantôme. Mogłybyśmy odnaleźć jej przyjaciółkę, tę Baskijkę, jak jej tam było? Pani Babineau. Może by nam pomogła.

– Przyprawiasz mnie o ból głowy.

– Ból głowy to najmniejszy z twoich problemów – warknęła Isabelle, nerwowo przemierzając pokój.

– Nie zrobisz niczego głupiego ani szalonego, rozumiesz?

Isabelle jęknęła sfrustrowana i pomaszerowała na górę do pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi.

Kapitulacja.

To słowo utkwiło jej w głowie. Tej nocy, przewracając się bezsennie w łóżku w pokoju gościnnym, czuła się tak przygnębiona i zniechęcona, że nie mogła jasno myśleć.

Czy jej przeznaczeniem było spędzić wojnę w tym domu? Czy jak bezwolna, posłuszna dziewczynka miała prać, sprzątać i wystawać w kolejkach po racje żywności? Czy miała się biernie przyglądać, jak nieprzyjaciel robi z Francją, co chce?

Zawsze, odkąd pamiętała, czuła się samotna i sfrustrowana, lecz nigdy uczucia te nie były aż tak dojmujące. Tkwiła przykuta na wsi, bez przyjaciół i nie mając nic do robienia.

O nie!

Musi być coś, co mogłaby zrobić. Nawet tu i teraz.

Trzeba ukryć cenne rzeczy, pomyślała.

Tylko to przyszło jej do głowy. Niemcy zaczną rabować kosztowności, nie miała co do tego złudzeń, przeczeszą wszystkie domy w miasteczku i okolicy. Jej rząd, choć podszyty tchórzem, też to wiedział. Dlatego wywieziono skarby z Luwru i na ścianach słynnego muzeum zawieszono kopie dzieł sztuki.

– Marny plan – mruknęła pod nosem, ale był lepszy niż nic.

Nazajutrz Isabelle zabrała się do jego realizacji zaraz po wyjściu Vianne i Sophie do szkoły. Nie posłuchała siostry, która kazała jej iść do miasteczka po żywność. Nie mogłaby znieść widoku najeźdźców, a przez jeden dzień z powodzeniem można się obyć bez jedzenia. Przeszukała dom, otwierając wszystkie szafy, komody i szuflady, szperając pod łóżkami. Wszystkie wartościowe przedmioty ułożyła na drewnianym stole w jadalni. Było tego całkiem sporo. Koronki po prababce, srebrny komplet do przypraw – solniczka i pieprzniczka, ozdobny półmisek z limuzyjskiej porcelany z pozłacanym brzegiem, należący kiedyś do ciotki, kilka małych obrazów impresjonistów, duży obrus z cienkiej koronki z Alençon barwy kości słoniowej, kilka albumów fotografii, oprawna w srebrną

ramkę fotografia Vianne, Antoine'a i malutkiej Sophie, sznur pereł matki, suknia ślubna Vianne, a to jeszcze nie wszystko. Isabelle zapakowała co mogła do obitego skórą na krawędziach drewnianego kufra, który następnie zaciągnęła po zdeptanej trawie do stodoły, krzywiąc się za każdym razem, gdy ciężka skrzynia uderzała o pień lub zgrzytała na kamieniach. Gdy dotarła z nią na miejsce, była zlana potem i ledwie dyszała.

Stodoła okazała się mniejsza, niż zapamiętała. Strych na siano, niegdyś jedyne miejsce na świecie, gdzie czuła się szczęśliwa, był w rzeczywistości niskim, ciasnawym poddaszem, na które wchodziło się po chwiejnej drabinie. Przez szpary w dachu widać było wąskie fragmenty nieba. Ileż godzin spędziła tutaj, za jedyne towarzyszki mając książeczki z obrazkami i udając, że komuś na tyle będzie na niej zależało, by przyjść tutaj jej poszukać? Daremnie czekając na siostrę, która wiecznie gdzieś wychodziła z Rachel lub Antoine'em.

Odsunęła od siebie to wspomnienie.

Środek stodoły miał nie więcej niż dziesięć metrów szerokości. Pradziadek przeznaczył go na garaż dla automobili, kiedy rodzina miała jeszcze pieniądze. Obecnie stał tam jedynie stary renault. Po bokach walały się części traktorów, pokryte pajęczyną drewniane drabiny i zardzewiałe maszyny rolnicze.

Isabelle zamknęła wrota i podeszła do auta. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się ze skrzypieniem. Isabelle wsiadła, zapaliła silnik, ruszyła kawałek i zatrzymała samochód.

Ukazała się klapa w podłodze. Miała około półtora metra długości i nieco ponad metr szerokości i była zbita z desek połączonych skórzanymi paskami. Ktoś, kto o niej nie wiedział, nie byłby w stanie jej dostrzec, zwłaszcza teraz, kiedy była pokryta grubą warstwą kurzu i starego siana. Isabelle namacała metalowe kółko, pociągnęła klapę do góry, oparła ją o brudny zderzak samochodu i zajrzała w duszny mrok.

Chwyciwszy za pasek, przyciągnęła kufer do otworu, włączyła latarkę, wsunęła ją pod pachę i powoli zaczęła schodzić po drabinie, ciągnąc za sobą ciężką skrzynię. Po chwili stanęła na dole, a skrzynia za nią huknęła o twarde podłoże.

Ukryta pod podłogą piwnica wydała jej się znacznie mniejsza niż w dzieciństwie, podobnie jak strych. Miała trzy na trzy i pół metra, z półkami pod jedną ścianą i starym materacem pod drugą. Półki dźwigały kiedyś antałki na wino, ale teraz stała na nich tylko samotna stara latarnia.

Zaciągnęła kufer w kąt i wróciła do domu. Zabrała trochę weków, koce, lekarstwa i bandaże, myśliwską strzelbę ojca i butelkę wina i zaniosła to wszystko do piwnicy.

Kiedy wspięła się z powrotem, zastała w stodole Vianne.

– Co ty tu, u licha, robisz?

Isabelle wytarła zakurzone ręce o spraną bawełnianą sukienkę.

– Chowam twoje kosztowności, zapasy jedzenia i inne potrzebne rzeczy na wypadek, gdyby trzeba się było ukrywać przed Niemcami. Zejdź na dół i sama zobacz. Wydaje mi się, że wykonałam dobrą robotę. – Zeszła z powrotem po drabinie, a za nią siostra. Zapaliła latarnię i z dumą pokazała Vianne wszystko, co zgromadziła na półkach.

Vianne podeszła prosto do szkatułki po matce i uchyliła wieczko.

W środku znajdowały się naszyjniki, broszki i kolczyki, głównie niedrogie komplety. Na samym dnie na aksamitnej podkładce spoczywał sznur pereł po babce, która miała je na sobie w dniu ślubu, potem zaś przekazała swej córce, a ich matce.

– Być może przyjdzie taki dzień, że będziesz musiała je sprzedać – zauważyła Isabelle.

– To nasze dziedzictwo, Isabelle – odparła Vianne, zamykając wieczko. – W dniu swojego ślubu Sophie założy te perły, a jeszcze wcześniej ty. Nigdy ich nie sprzedam. – Westchnęła zniecierpliwiona i zapytała: – Czy udało ci się dostać w miasteczku coś do jedzenia?

– Nie byłam w sklepie. Zajmowałam się tym. – Isabelle zatoczyła łuk ramieniem.

– Oczywiście schowanie pereł po mamie jest ważniejsze niż nakarmienie siostrzenicy. No wiesz, Isabelle. – Vianne wspięła się po drabinie, okazując swój niesmak cichymi parsknięciami.

Isabelle też wyszła z piwnicy i przestawiła renaulta na poprzednie miejsce nad klapą. Potem ukryła kluczyki za obluzowaną deską w kącie i po chwili zastanowienia unieruchomiła wóz, zdejmując kopułkę rozdzielacza. Ukryła ją razem z kluczykami.

Gdy w końcu wróciła do domu, Vianne smażyła ziemniaki na żeliwnej patelni.

– Mam nadzieję, że nie jesteś głodna – mruknęła.

– Nie jestem. – Wyminęła Vianne, unikając jej wzroku. – Aha, w prawym górnym rogu za obluzowaną deską schowałam kluczyki do wozu i kopułkę rozdzielacza. – W salonie włączyła radio i siadła przy nim, mając nadzieję złapać wiadomości BBC.

Rozległy się nieprzyjemne trzaski, a potem nieznany jej głos oznajmił:

– Tu BBC. Mówi do was generał de Gaulle.

– Vianne! – krzyknęła Isabelle w stronę kuchni. – Kto to jest generał de Gaulle?

Vianne weszła do pokoju, wycierając ręce w fartuch.

– O co py…

– Ciii! – uciszyła ją Isabelle.

– …przywódcy przez wiele lat stojący na czele francuskiej armii utworzyli rząd. Pod pretekstem, że nasza armia została

pokonana, rząd ten zawarł porozumienie z nieprzyjacielem, mając na celu zakończenie działań zbrojnych.

Isabelle wpatrywała się nieruchomo w drewnianą skrzynkę. Człowiek, o którym nigdy nie słyszała, przemawiał bezpośrednio do narodu francuskiego, mówił nie o ludziach, ale do nich, spokojnym, beznamiętnym tonem.

– Użyli pretekstu klęski. Wiedziałam! – emocjonowała się Isabelle.

– …prawda, że siły wroga są przeważające, w powietrzu i na lądzie. Czołgi, samoloty, taktyka dowódców niemieckich wprawiły naszych generałów w osłupienie, z którego nie zdołali się jak dotąd otrząsnąć. Czy jednak ostatnie słowo zostało już powiedziane? Czy zgasła wszelka nadzieja? Czy klęska jest ostateczna?

– Mój Boże – szepnęła Isabelle. Na takie słowa czekała. Jeszcze nie wszystko stracone, trzeba zaangażować się w walkę. Kapitulacja nie była ostateczna.

– Cokolwiek się wydarzy – mówił spokojny głos – płomień francuskiego oporu będzie płonął i nie zagaśnie.

Łzy płynęły po twarzy Isabelle, ale tego nie zauważyła. Francuzi się nie poddali. Teraz musiała jedynie wymyślić, jak odpowiedzieć na to wezwanie.

Dwa dni po zajęciu Carriveau Niemcy zwołali zebranie mieszkańców na późne popołudnie. Obecni powinni być wszyscy. Żadnych wyjątków. Mimo to Vianne musiała stoczyć z Isabelle prawdziwą bitwę, by skłonić ją do pójścia. Siostra jak zwykle uważała, że zasady jej nie dotyczą, i poprzez odmowę chciała wyrazić swój sprzeciw. Jakby hitlerowcy przejmowali się tym, co narwana osiemnastolatka myśli o ich okupacji.

– Zaczekaj tu – powiedziała Vianne z irytacją, gdy w końcu udało jej się wywlec siostrę z domu. Ostrożnie przymknęła popsutą furtkę, której klamka cicho kliknęła.

Po chwili na drodze ukazała się Rachel z niemowlęciem na ręku i Sarah przy boku.

– To Sarah, moja najlepsza przyjaciółka – powiedziała Sophie, zerkając w górę na Isabelle.

– Isabelle – ucieszyła się na jej widok Rachel. – Dobrze cię znowu widzieć.

– Czyżby? – odparła cierpko dziewczyna.

– To było dawno temu – powiedziała Rachel łagodnie. – Byłyśmy młode, głupie i strasznie samolubne. Przykro mi, że źle cię traktowałyśmy. Nie zwracałyśmy na ciebie uwagi. To musiało być dla ciebie bolesne.

Isabelle zbita z tropu otworzyła usta i znów je zamknęła. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co powiedzieć.

– Chodźmy – rzuciła Vianne, zirytowana tym, że Rachel powiedziała siostrze to, na co ona nie potrafiła się zdobyć. – Nie możemy się spóźnić.

Nawet o tej porze dnia było niezwykle gorąco i już po chwili Vianne poczuła, że zaczyna się pocić. W miasteczku dołączyły do ponurego tłumu zmierzającego w stronę merostwa. Sklepy po obu stronach brukowanej ulicy były zamknięte, tak samo okna domów, choć to oznaczało, że po powrocie mieszkańcy zastaną w nich okropną duchotę. Większość wystaw sklepowych świeciła pustkami, co zbytnio nie zaskakiwało. Szkopy żarły ponad miarę, czego przygnębiającym świadectwem były fury jedzenia, jakie zostawiali na talerzach w lokalach. Było to okrutne i bezmyślne w sytuacji, gdy wiele matek zaczynało liczyć słoiki w piwnicach, kombinując, jak ich drogocenną zawartość rozdzielić między dzieci. Hitlerowska propaganda atakowała z wystaw sklepów i ich ścian, plakaty

ukazywały uśmiechniętych niemieckich żołnierzy otoczonych francuskimi dziećmi. Hasła im towarzyszące miały nakłonić Francuzów do zaakceptowania ich okupantów i stania się przykładnymi obywatelami Rzeszy.

Gdy tłum zbliżył się do merostwa, szemrania ucichły. Wchodzenie jak zaganiane stado owiec tam, gdzie okien i drzwi pilnują uzbrojone straże, coraz bardziej zakrawało na duży błąd.

– Nie powinnyśmy tam wchodzić – powiedziała Isabelle.

Stojąca między siostrami Rachel, która znacznie górowała nad nimi wzrostem, uciszyła ją zniecierpliwionym syknięciem. Poprawiła dziecko na ręce i pogłaskała je uspokajająco.

– Wezwano nas tutaj.

– Tym większy powód, żeby się ukryć – odparła Isabelle.

– Ja i Sophie wchodzimy do środka – oznajmiła Vianne, choć sama też miała złe przeczucia.

– To może się źle skończyć – mruknęła Isabelle.

Jak ogromna stonoga tłum zaczął wpełzać do wielkiego holu. Cenne tkaniny pochodzące z czasów monarchii, kiedy Dolina Loary stanowiła królewskie tereny łowieckie, do niedawna wiszące na ścianach, teraz zniknęły bez śladu, zastąpione swastykami, plakatami propagandowymi – „Zaufaj Rzeszy!” – i ogromnym portretem Hitlera.

Pod portretem stał mężczyzna w czarnym mundurze z czerwoną wstążeczką Krzyża Żelaznego i licznymi odznakami, w bryczesach i lśniących czarnych oficerkach. Na lewym rękawie miał czerwoną opaskę ze swastyką.

Kiedy hol się wypełnił, żołnierze zamknęli dębowe drzwi, które zaskrzypiały na znak protestu. Człowiek w czarnym mundurze wyrzucił prawe ramię w faszystowskim pozdrowieniu i zawołał „Heil Hitler!”.

Mieszkańcy Carriveau zaszemrali między sobą. Co innego mogli zrobić? Kilka osób mruknęło w odpowiedzi „Heil Hitler”. W sali rozniósł się zapach dymu papierosowego, pasty do butów i potu.

– Jestem sturmbannführer Weldt z Geheime Staatspolizei, czyli tajnej policji państwowej. W skrócie gestapo – zaczął oficer po francusku z silnym niemieckim akcentem. – Jestem tu, żeby dopilnować wypełniania postanowień rozejmu w imieniu mojej ojczyzny i führera. Ci, którzy będą przestrzegać ustalonych zasad, nie mają się czego obawiać. – Odchrząknął i ciągnął stalowym głosem: – A oto zasady. Wszystkie odbiorniki radiowe mają zostać niezwłocznie przekazane do merostwa, podobnie jak broń, amunicja i materiały wybuchowe. Wszystkie sprawne pojazdy mechaniczne zostaną zarekwirowane. Okna należy wyposażyć w żaluzje zaciemniające i skrupulatnie ich używać. Z dniem dzisiejszym zostaje zarządzona godzina policyjna od 21.00. Po zmierzchu zakazuje się używania oświetlenia. Żywność zarówno importowana, jak i produkowana na miejscu będzie pod naszą kontrolą – urwał i powiódł wzrokiem po zebranych. – Jak widzicie, nie jest to wcale takie straszne. Będziemy żyć w harmonii, tak? Ale wiedzcie jedno. Każdy akt sabotażu, szpiegostwa lub oporu spotka się z natychmiastową surową reakcją. Karą za wymienione przestępstwa jest śmierć przez rozstrzelanie. – Z kieszeni spodni wyjął paczkę papierosów i włożył jednego do ust. Zapalając go, wodził wzrokiem po zgromadzonych, jakby chciał zapamiętać każdą twarz. – Jeszcze jedno: choć wielu waszych łachmaniarskich, tchórzliwych żołnierzy wraca do domów, informuję was, że ci, których wzięliśmy do niewoli, pozostaną w obozach jenieckich na terenie Rzeszy.

Tłum zaszemrał, zaszurał stopami. Vianne spojrzała na szeroką twarz Rachel, na którą wystąpiły plamy, wyraźna

oznaka zaniepokojenia.

– Marc i Antoine wrócą, zobaczysz – powiedziała z przekonaniem.

– Możecie odejść, jestem pewien, że się zrozumieliśmy – ciągnął sturmbannführer. – Dzisiaj do godziny 20.45 będą tu moi oficerowie, aby odebrać od was skonfiskowane przedmioty. Nie spóźniajcie się. I jeszcze jedno… – Uśmiechnął się dobrodusznie. – Nie narażajcie życia dla radia. Cokolwiek zatrzymacie, choćbyście nie wiem jak ukryli, my to znajdziemy, a wtedy… śmierć. – Oznajmił to tak pogodnie, z miłym uśmiechem, że początkowo do niewielu dotarło znaczenie tych słów.

Ludzie stali jeszcze przez chwilę, niepewni, czy faktycznie mogą już wyjść. Nikt nie chciał uczynić pierwszego kroku, żeby się nie wyróżnić, po czym nagle wszyscy ruszyli naraz jak stado zwierząt i wylali się na plac przed budynkiem.

– Sukinsyny – mruknęła Isabelle przez zęby, gdy nieco się oddaliły.

– Myślałam, że strzelby myśliwskie pozwolą nam zatrzymać – powiedziała Rachel, zapalając papierosa i głęboko się zaciągając.

– Ja nie oddam broni, zapewniam cię – rzuciła mściwie Isabelle. – Ani radia.

– Cicho bądź… – przestraszyła się Vianne.

– Generał de Gaulle uważa…

– Nie chcę słuchać tych głupot. Musimy położyć uszy po sobie i czekać na powrót naszych mężczyzn – powiedziała twardo Vianne.

– O Boże – odparła Isabelle z politowaniem. – Wydaje ci się, że twój mąż coś na to poradzi?

– Nie – warknęła Vianne jadowicie. – Na pewno ty poradzisz, razem z twoim de Gaulle’em, o którym nikt nigdy nie słyszał.

A teraz chodźmy. Podczas gdy ty będziesz układać plan ocalenia Francji, ja muszę zająć się ogrodem. Chodź, Rachel, zostawmy cymbałów samym sobie.

Trzymając Sophie za rękę, ruszyła szparkim krokiem. Nie oglądała się, żeby sprawdzić, czy siostra idzie za nią. Wiedziała, że kuśtyka z tyłu na wciąż obolałych stopach. W zwykłych okolicznościach Vianne dotrzymałaby jej kroku z prostej uprzejmości, ale teraz była zbyt poirytowana, żeby się nią przejmować.

– Twoja siostra może mieć trochę racji – zauważyła Rachel, gdy mijały normański kościół na skraju Carriveau.

– Jeżeli weźmiesz jej stronę, to naprawdę się pogniewamy, Rachel.

– Mimo to twierdzę, że ona może mieć trochę racji.

– Tylko czasem jej tego nie powtarzaj – powiedziała Vianne ze znużeniem. – Już teraz trudno z nią wytrzymać.

– Powinna dostać lekcję dobrego wychowania.

– Ty jej daj. Jest wyjątkowo odporna na wszelkie próby poprawienia jej czy przemówienia do rozumu. Uczęszczała do dwóch szkół dla panien z dobrych domów i wciąż nie potrafi powstrzymać języka, nie mówiąc o prowadzeniu uprzejmej rozmowy. Dwa dni temu zamiast iść do sklepu po żywność, zebrała w domu cenne przedmioty i urządziła dla nas kryjówkę. Tak na wszelki wypadek.

– Może powinnam pójść w jej ślady. Choć niewiele tego.

Vianne zacisnęła wargi. Nie było sensu dłużej o tym rozmawiać. Niedługo wróci Antoine i pomoże wziąć Isabelle w karby.

Pożegnała się z Rachel przed bramą Le Jardin.

– Mamo, dlaczego musimy oddać im nasze radio? – zapytała Sophie. – Przecież to radio tatusia.

– Wcale nie musimy – wtrąciła Isabelle, która właśnie doczłapała do nich. – Dobrze je ukryjemy.

– Wykluczone – krzyknęła Vianne ze złością. – Zrobimy, jak mówili, i będziemy siedzieć cicho, a wkrótce wróci Antoine i już on będzie wiedział, co robić.

– Witaj w średniowieczu, Sophie – rzuciła Isabelle kąśliwie.

Jej siostra ze złością szarpnęła furtkę, o sekundę za późno przypomniawszy sobie, że popsuli ją uciekinierzy. Furtka przeraźliwie zaskrzypiała i omal nie zerwała się z jedynego zawiasu. Vianne z trudem udała, że nic się nie stało. Pomaszerowała do domu, otworzyła drzwi i zapaliła lampę w kuchni.

– Sophie – poprosiła, zdejmując słomkowy kapelusz. – Nakryj do stołu, dobrze?

Zignorowała niechętne mamrotanie córki, spodziewała się bowiem protestu. W ciągu zaledwie kilku dni Isabelle zdołała nauczyć siostrzenicę kwestionowania autorytetów.

Vianne zabrała się do gotowania. Kiedy zupa ziemniaczana na słoninie stała już na ogniu, zaczęła sprzątać kuchnię. Oczywiście Isabelle gdzieś przepadła, nie kwapiąc się do pomocy. Wzdychając, Vianne nalała wody do zlewu i zaczęła zmywać naczynia. Była tym tak pochłonięta, że dopiero po chwili zwróciła uwagę na stukanie do drzwi. Przygładziwszy włosy, przeszła do salonu, gdzie zastała Isabelle z książką w ręce. Ona haruje w kuchni, a siostra sobie czyta. Oczywiście.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytała Isabelle.

Vianne pokręciła głową.

– Może lepiej nie otwierać – powiedziała Isabelle. – Udawajmy, że nikogo nie ma w domu.

– Przecież światło się pali. To pewnie Rachel, może czegoś potrzebuje.

Stukanie rozległo się ponownie.

Potem klamka opadła i drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem.

Tak, to Rachel. Kto inny wchodziłby tak…

Do jej domu wszedł niemiecki żołnierz.

– O, bardzo przepraszam – odezwał się okropną francuszczyzną.

Zdjął czapkę, włożył pod pachę i uśmiechnął się. Był przystojnym mężczyzną, wysokim, barczystym, wąskim w biodrach, o bladej cerze i jasnoszarych oczach. Vianne oszacowała, że mógł być mniej więcej w jej wieku. Polowy mundur był nienagannie wyprasowany i wyglądał na nowy. Pod wysoko zapinanym kołnierzem wisiał Krzyż Żelazny. Miał na szyi futerał z lornetką, a u szerokiego skórzanego pasa kaburę. Vianne zerknęła mu przez ramię i dostrzegła stojący na poboczu drogi motocykl z koszem, na którym był zamontowany karabin maszynowy.

– Mademoiselle. – Skłonił lekko głowę, trzaskając obcasami.

– Madame – poprawiła, pragnąc by jej głos brzmiał pewnie, ale nawet ona słyszała w nim strach. – Madame Mauriac.

– Jestem kapitan Wolfgang Beck. – Wręczył jej urzędowo wyglądające pismo i znów trzasnął obcasami. – Słabo mówię po francusku. Proszę mi wybaczyć. – Gdy się uśmiechał, na jego policzkach ukazywały się wyraźne dołeczki.

– Nie znam niemieckiego – bąknęła Vianne, obracając kartkę w dłoniach.

– Czego pan chce? – zapytała Isabelle ostrym tonem, stając obok siostry.

– Pani dom jest bardzo piękny i stoi blisko lotniska. Ile macie sypialni?

– Bo co? – zapytała Isabelle, a Vianne w tej samej chwili odpowiedziała:

– Trzy.

– Będę kwaterował w to miejsce – oznajmił kapitan niezdarnie po francusku.

– Kwaterował? – zdziwiła się Vianne. – To znaczy… będzie pan tu mieszkał?

– Tak, proszę pani.

– Kwaterował? Pan? Mężczyzna? Hitlerowiec? Nie, nie! – Isabelle kręciła głową. – Wykluczone!

Uśmiech nie znikał z twarzy oficera.

– Była pani w mieście – zwrócił się do Isabelle. – Widziałem panią, jak wjeżdżaliśmy.

– Zauważył mnie pan?

– Jestem pewien, że każdy pełnokrwisty mężczyzna w naszym pułku zwrócił na panią uwagę. – Uśmiech stał się szerszy.

– Ciekawe, że wspomina pan o krwi – wycedziła Isabelle.

Vianne szturchnęła ją pod żebro.

– Przepraszam, kapitanie. Moja młodsza siostra bywa nieuprzejma. Chodzi o to, że jestem mężatką, mój mąż przebywa na froncie, mieszkam tu tylko z siostrą i córeczką, więc sam pan widzi, jak niewłaściwe byłoby przebywanie pana z nami pod wspólnym dachem.

– A zatem woli pani zostawić mi dom. To musi być dla pani trudna sytuacja.

– Zostawić? – powtórzyła Vianne, nie pojmując sensu jego słów.

– Nie zrozumiałaś pana kapitana – wtrąciła Isabelle, mierząc go twardym spojrzeniem. – On chce się tu wprowadzić, zająć twój dom, a to pismo to nakaz rekwizycji, który mu na to pozwala. I rozejm Pétaina, oczywiście. Mamy do wyboru albo dać mu pokój, albo wynieść się z domu, który od pokoleń należy do naszej rodziny.

– Tak to, niestety, wygląda. – Oficer miał lekko zakłopotaną minę. – Obawiam się, że wielu mieszkańców Carriveau ma podobny problem.

– Jeśli opuścimy dom, to czy go odzyskamy? – chciała wiedzieć Isabelle.

– Nie wydaje mi się.

Vianne odważyła się postąpić krok w jego stronę. Może jednak zdoła się z nim porozumieć.

– Przypuszczam, że mój mąż na dniach się tu pojawi. Czy nie mógłby pan zaczekać do jego przybycia?

– Niestety, jestem tylko kapitanem Wehrmachtu, a nie generałem… Nie wydaję rozkazów, lecz je wykonuję. A otrzymałem rozkaz zakwaterowania tutaj. Zapewniam jednak, że jestem osobą cywilizowaną.

– Wyjedziemy – oznajmiła Isabelle.

– Wyjedziemy? – zapytała Vianne z niedowierzaniem. – Przecież to jest mój dom. Czy mogę – zwróciła się do kapitana – liczyć, że będzie się pan zachowywał jak człowiek honoru?

– Oczywiście, madame.

Vianne spojrzała na siostrę, która wolno pokręciła głową.

Vianne wiedziała, że nie ma wyboru. Przede wszystkim musi zapewnić bezpieczeństwo Sophie, póki Antoine nie wróci z frontu. Niech on się zajmie tą niedogodnością. Skoro rozejm został podpisany, mąż będzie w domu lada dzień.

– Na parterze jest nieużywany pokój. Będzie tam panu wygodnie.

– Dziękuję pani. – Kapitan skinął głową. – Przyniosę swoje rzeczy.

– Czyś ty oszalała? – zapytała Isabelle, gdy tylko drzwi się za nim zamknęły. – Nie możemy mieszkać pod jednym dachem z hitlerowcem!

– Powiedział, że jest z Wehrmachtu. Czy to to samo?

– Mało mnie obchodzi ich schemat organizacyjny! Nie wiesz, do czego oni są zdolni, Vianne. Ja wiem, bo widziałam. Musimy opuścić dom. Przeniesiemy się obok, do Rachel. Możemy zamieszkać u niej.

– Dom Rachel jest za mały, nie pomieści nas wszystkich. A zresztą nie zostawię domu na pastwę Niemców.

Na to Isabelle nie znalazła odpowiedzi.

Niepokój sprawił, że Vianne poczuła znajome swędzenie w okolicy krtani. Dawny nerwowy nawyk drapania powrócił.

– Ty możesz wyjechać, ale ja muszę czekać na Antoine'a. Skapitulowaliśmy, więc niebawem wróci do domu.

– Vianne, proszę cię…

Rozległo się głośne stukanie do drzwi.

Vianne chwiejnie podeszła i drżącą dłonią nacisnęła klamkę.

W drzwiach stał kapitan Beck z wojskową czapką pod pachą i małą skórzaną walizką w ręku.

– Witam ponownie – rzucił niemal poufale.

Vianne bezwiednie podrapała się po szyi. Pod spojrzeniem tego mężczyzny czuła się dziwnie bezbronna.

– Tędy, panie kapitanie.

Powiodła wzrokiem po salonie dekorowanym przez trzy pokolenia mieszkających tu kobiet. Ściany koloru świeżo upieczonej brioszki, złotawe sztukaterie, posadzka z szarego kamienia, przykryta dywanem z Aubusson, obite wzorzystym materiałem ciężkie meble, porcelanowe lampy, grube złotoczerwone zasłony, kosztowne bibeloty z czasów, gdy ród Rossignolów był zamożny i zajmował się handlem. Do

niedawna ściany zdobiły cenne obrazy. Obecnie zostało trochę malowideł bez wartości. Cenniejsze Isabelle ukryła w stodole.

Vianne zaprowadziła kapitana do niewielkiego pokoju pod schodami. Po lewej znajdowała się dobudowana na początku dwudziestego wieku łazienka. Przystanęła, zanim chwyciła za klamkę. Za plecami słyszała jego oddech.

Otworzyła drzwi. Ukazał się dość wąski pokój z dużym oknem obramowanym sięgającymi podłogi niebieskoszarymi zasłonami. Na malowanej komodzie były niebieska misa i dzban. W kącie stara dębowa szafa z lustrzanymi drzwiami. Przy podwójnym łóżku stał nocny stolik, na nim zabytkowy zegar z pozłacanego brązu. Ku zaskoczeniu Vianne wszędzie walały się ubrania Isabelle, jakby siostra pakowała się na długie wakacje. Vianne zebrała je pośpiesznie z przepraszającym uśmiechem.

Kapitan postawił walizkę na podłodze. Vianne uśmiechnęła się blado z czystej uprzejmości.

– Nie musi się pani obawiać – powiedział łagodnie. – Upominano nas, żebyśmy się zachowywali przyzwoicie. Moja matka też by tego żądała, a szczerze mówiąc, boję się jej bardziej niż dowódcy. – Powiedział to tak zwyczajnie, że Vianne poczuła się zaskoczona.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć temu obcemu, ubranemu jak wróg, a wyglądającemu jak młody mężczyzna, którego mogłaby spotkać w miejscowym kościele. I jaka była cena za powiedzenie czegoś niewłaściwego?

– Przepraszam panią za wszelkie niedogodności – dodał kapitan.

– Mój mąż niebawem będzie w domu.

– Wszyscy mamy nadzieję być niebawem w domu.

Jeszcze jedna zwykła uwaga. Vianne skinęła uprzejmie i zostawiła go samego, zamykając za sobą drzwi.

– Powiedz, że on nie zostanie. – Isabelle podskoczyła do niej, gdy tylko przekroczyła próg.

– Twierdzi, że zostanie – odparła Vianne ze znużeniem, nerwowo poprawiając włosy. Uświadomiła sobie nagle, że cała drży. – Wiem, co czujesz wobec tych całych hitlerowców. Proszę bardzo, ale zadbaj, by on się o tym nie dowiedział. Nie pozwolę ci narażać Sophie twym dziecinnym buntem.

– Dziecinnym buntem! Czy ty…

Drzwi do salonu uchyliły się, uciszając Isabelle.

Kapitan Beck ruszył ku nim swobodnym krokiem, szeroko się uśmiechając. Potem zauważył radio i przystanął.

– Nie martwcie się, panie. Z przyjemnością dostarczę wasze radio do komendantury.

– Naprawdę? – zapytała drwiąco Isabelle. – Uważa pan to za uprzejmość?

Vianne poczuła ucisk w piersi. Isabelle aż gotowała się w środku. Zbladła, zacisnęła wargi, oczy jej się zwęziły. Piorunowała nimi Niemca, jakby chciała go zabić wzrokiem.

– Ależ oczywiście – odparł, jakby nieco zdezorientowany. Nagłe milczenie nie robiło na nim wrażenia. Niespodziewanie oznajmił: – Ma pani piękne włosy, panienko. – Gdy Isabelle się najeżyła, upewnił się pośpiesznie: – To dopuszczalny komplement, prawda?

– Tak pan uważa? – wycedziła Isabelle.

– Całkiem urocze – zapewnił Beck z miłym uśmiechem.

Isabelle pomaszerowała do kuchni i po chwili wróciła z nożycami do drobiu.

– Czy zostałem źle zrozumiany? – Jego uśmiech zbladł.

– Isabelle, nie rób tego – powiedziała Vianne w tej samej chwili, gdy siostra, patrząc ponuro na kapitana Becka, ujęła w dłoń pasmo swych jasnych włosów, obcięła je i wyciągnęła rękę do Niemca.

– To musi być *verboten* posiadać coś pięknego, prawda, kapitanie?

Vianne gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

– Proszę wybaczyć. Niech pan nie zwraca na nią uwagi. To tylko głupia, zadufana dziewczyna!

– Nie – zaprzeczył Beck krótko. – Ona jest gniewna. A gniewni ludzie popełniają na wojnie błędy i giną.

– Tak jak i zwycięzcy – warknęła Isabelle.

Beck się roześmiał.

Isabelle wydała dźwięk, który praktycznie był warknięciem, i obróciła się na pięcie. Odeszła, tupiąc na schodach, i zamknęła się w pokoju, trzasnąwszy drzwiami z taką siłą, że dom zadrżał w posadach.

– Radziłbym porozmawiać z siostrą – powiedział Beck. Patrzył na Vianne tak, jakby oboje się rozumieli. – Takie… teatralne zachwanie w niewłaściwym miejscu mogłoby się naprawdę źle skończyć.

Vianne zostawiła go w salonie i poszła na górę. Isabelle siedziała na łóżku Sophie i trzęsła się z gniewu.

Na szyi i policzkach wciąż widać było ślady zadrapań, świadczące o tym, co przeszła. Nierówno obcięte włosy dopełniały żałosnego widoku.

– Co ty sobie właściwie myślałaś, na Boga?

– Mogłabym go zabić w czasie snu, zwyczajnie poderżnąć mu gardło.

– I wydaje ci się, że nikt nie szukałby kapitana, który otrzymał skierowanie na kwaterę w naszym domu? Isabelle, oprzytomnij! – Odetchnęła, by uspokoić rozedrgane nerwy. – Wiem, że między nami są trudne, niezałatwione sprawy. Wiem,

że w dzieciństwie źle się do ciebie odnosiłam, ale byłam zbyt młoda i przerażona, aby ci pomóc. Tata potraktował cię jeszcze gorzej. Teraz jednak nie chodzi o nas, nie możesz się zachowywać impulsywnie jak mała dziewczynka. Chodzi o moją córkę, a twoją siostrzenicę. Obie musimy ją chronić.

– Ale…

– Francja skapitulowała, Isabelle. Z pewnością nie umknęło to twojej uwadze.

– Przecież słuchałaś generała de Gaulle'a. Powiedział…

– Kim jest generał de Gaulle? Dlaczego mamy go słuchać? Marszałek Pétain jest bohaterem wojennym i naszym przywódcą. Musimy ufać naszemu rządowi.

– Żartujesz, Vianne? Rząd w Vichy kolaboruje z Hitlerem. Jak możesz nie widzieć tego niebezpieczeństwa? Pétain popełnił błąd. On się myli. Czy należy ślepo podążać za przywódcą?

Vianne powoli przysunęła się do siostry, trochę się jej teraz bojąc.

– Nie pamiętasz ostatniej wojny – powiedziała ściskając dłonie, by powstrzymać ich drżenie. – Ale ja pamiętam. Pamiętam, ilu ojców, braci i stryjów nie wróciło do domów. Pamiętam płacz dzieci z naszej klasy, kiedy telegram przynosił złe wieści. Pamiętam mężczyzn wracających z frontu o kulach, ich puste, podpięte od spodu nogawki, mężczyzn bez rąk, z poranionymi, na zawsze zniekształconymi twarzami. Pamiętam, jaki tata był przed wojną i jak bardzo się zmienił po powrocie; pił, trzaskał drzwiami i krzyczał na nas, a potem zamknął się w sobie i przestał się odzywać. Nie zapomniałam opowieści o tym, co działo się nad Sommą i pod Verdun, gdzie setki tysięcy Francuzów zginęły w okopach, które spływały krwią. I o potwornościach dokonywanych przez Niemców, bo tego nie można wyrzucić z pamięci. Oni byli okrutni, Isabelle.

– Właśnie o to mi chodzi. Musimy…

– Byli tacy, ponieważ z nimi walczyliśmy. Pétain ocalił nas od przeżywania tego ponownie. Zapewnił nam bezpieczeństwo. Zatrzymał wojnę. Teraz Antoine i wszyscy nasi mężczyźni powrócą do domów.

– Do świata, w którym trzeba wrzeszczeć „Heil Hitler”? – zadrwiła Isabelle. – „Płomień francuskiego oporu będzie płonął i nie zagaśnie”. Tak powiedział de Gaulle. Musimy walczyć wszelkimi dostępnymi metodami. Za Francję, Vi. Żeby pozostała Francją.

– Dość tego – odparła Vianne. Zbliżyła twarz do głowy siostry, jakby chciała szepnąć jej coś do ucha lub ją pocałować, lecz zamiast tego powiedziała spokojnym, równym głosem: – Zajmiesz pokój Sophie, a ona przeniesie się do mnie. I pamiętaj, że mógł nas zastrzelić. Zabić nas i nikt by się tym nie przejął. Nie prowokuj tego żołnierza w moim domu.

Widziała, że jej słowa trafiły do celu. Isabelle zesztywniała.

– Spróbuję trzymać język za zębami.

– Lepiej tak zrób, zamiast próbować.

9

Vianne zamknęła drzwi i oparła się o nie, próbując uspokoić nerwy. Za plecami słyszała Isabelle przemierzającą pokój z taką wściekłością, że aż drżały deski podłogi. Jak długo Vianne stała tam sama, usiłując odzyskać panowanie nad sobą? Strach dławił ją za gardło, miała wrażenie, że walczy z nim już od wielu godzin.

W zwykłych czasach mogłaby znaleźć w sobie siłę, żeby porozmawiać z siostrą bez emocji, powiedzieć to, co już dawno winno być powiedziane. Jak bardzo jest jej przykro za to, że tak źle traktowała ją jako małą dziewczynkę. Może zdołałaby sprawić, że Isabelle by zrozumiała?

Po śmierci mamy Vianne poczuła się taka bezradna. Kiedy ojciec odesłał je, aby w tym miasteczku żyły pod surowym spojrzeniem zimnych oczu kobiety, która nie okazywała cienia uczucia, Vianne… uwiędła.

W innym czasie może zdołałaby podzielić się z Isabelle tym, jak mocno przeżyła śmierć mamy, jak odrzucenie przez ojca złamało jej serce. Albo jak odniósł się do niej, gdy miała szesnaście lat i przyjechała do niego w ciąży i zakochana… a została siarczyście spoliczkowana i nazwana bezwstydnicą. I jak Antoine silnie odepchnął ojca i oznajmił: „Zamierzam ożenić się z Vianne”.

I odpowiedzią taty: „Doskonale, to ją bierz. Możesz mieć też jej dom. Ale będziesz musiał zabrać także jej rozwrzeszczaną siostrę”.

Vianne zamknęła oczy. Nie cierpiała o tym myśleć, przez lata odsuwała od siebie te wspomnienia i praktycznie się ich pozbyła. Teraz jednak wróciły z całą mocą. Postąpiła z Isabelle tak, jak ich ojciec postąpił z nimi. Tego najbardziej żałowała.

Obecny czas jednak nie sprzyjał naprawianiu szkód.

Teraz musiała uczynić wszystko, co w jej mocy, by chronić Sophie, nim Antoine wróci do domu. I to Isabelle będzie musiała wbić sobie do głowy.

Westchnąwszy, zeszła na dół, żeby dokończyć kolację.

Zupa ziemniaczana bulgotała nieco zbyt gwałtownie, więc zdjęła pokrywkę i postawiła garnek na mniejszej fajerce.

– Madame? Jak pani poczuwanie?

Wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu. Kiedy zdążył tu wejść? Zaczerpnęła tchu i przygładziła włosy. Jego francuski był naprawdę fatalny. Użył oczywiście nieodpowiedniego wyrażenia.

– Dziękuję.

– Pachnie wybornie – pochwalił, podchodząc bliżej.

Odłożyła drewnianą chochlę na podstawkę.

– Czy mogę zobaczyć, co pani gotuje?

– Ależ proszę – odrzekła, udając tak jak on, że nadal ma tu coś do powiedzenia. – To zwykła zupa ziemniaczana.

– Moja żona, niestety, nie jest zbyt dobrą kucharką.

Stał teraz tuż za nią, tak jak stawał Antoine; głodny mężczyzna zaglądający łakomie do garnka.

– Jest pan żonaty – zagadnęła, dziwnie tym uspokojona, choć nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego.

– I dziecko wkrótce będzie. Planujemy nazwać je Wilhelm, choć mnie wtedy tam nie będzie, więc oczywiście matka zdecyduje.

To było takie… ludzkie. Vianne lekko obróciła głowę, by na niego zerknąć. Był niemal jej wzrostu, i to ją speszyło, bo

patrząc mu prosto w oczy, poczuła się jakoś bezbronna.

– Z boską pomocą wszyscy szybko wrócimy do domu – powiedział.

On też tego chce, pomyślała z ulgą.

– Jest pora kolacji, panie kapitanie. Przyłączy się pan do nas?

– Będę zaszczycony. Choć, co miło pewnie będzie pani usłyszeć, przez większość wieczorów będę pracował do późna i jadał kolację z kolegami. Będę też często wyjeżdżał. Moja obecność nie będzie dla pani uciążliwa.

Vianne zostawiła go w kuchni i zaniosła sztućce do jadalni, gdzie omal nie zderzyła się z Isabelle.

– Nie powinnaś z nim przebywać sam na sam – syknęła gniewnie siostra.

– Chyba pani nie sądzi, że mógłbym korzystać z waszej gościnności, a potem was skrzywdzić? – rzekł kapitan, wchodząc do pokoju. – Przyniosłem paniom wino. Czarujące sancerre.

– Przyniósł nam pan wino – powtórzyła Isabelle głucho.

– Jak każdy uprzejmy gość.

Vianne miała złe przeczucia, lecz nie mogła nic zrobić, aby powstrzymać Isabelle przed wypaleniem:

– Słyszał pan może o Tours, panie kapitanie? Gdzie wasze samoloty strzelały do niewinnych kobiet i dzieci, które nie miały dokąd uciekać, i zrzucały na nas bomby?

– Nas? – powtórzył, poważniejąc.

– Byłam tam. Widzi pan chyba ślady na mojej twarzy.

– Ach – bąknął Niemiec. – To musiało być bardzo nieprzyjemne.

Isabelle skamieniała. Zielone oczy zapłonęły ogniem nienawiści.

– Nieprzyjemne… – wycedziła.

– Pamiętaj o Sophie – upomniała ją Vianne równym, wypranym z emocji tonem.

Isabelle zacisnęła wargi, po czym rozciągnęła je w sztucznym uśmiechu.

– Proszę, panie kapitanie, wskażę panu pańskie miejsce.

Po raz pierwszy od co najmniej godziny Vianne odetchnęła z ulgą. Powoli ruszyła do kuchni, żeby nalać zupę na talerze.

W milczeniu podała kolację. Atmosfera przy stole była ciężka jak ołów, sprawiając, że wszyscy czuli się niezręcznie, a nerwy Vianne napinały się do ostateczności. Słońce z wolna zachodziło, nadając niebu za oknami czerwonawy kolor.

– Może trochę wina, panienko? – Beck zwrócił się do Isabelle, unosząc wyczekująco butelkę z rekomendowanym sancerre.

– Skoro zwykłe francuskie rodziny nie mogą sobie pozwolić na jego picie, panie kapitanie, to jak miałoby mnie smakować?

– Łyczek z pewnością by…

Isabelle skończyła zupę i wstała od stołu.

– Proszę mi wybaczyć, ale skręca mnie w żołądku.

– Mnie też – dołączyła Sophie i z nisko zwieszoną głową podążyła za ciotką z jadalni jak szczeniak za przewodnikiem stada.

Vianne siedziała sztywno z łyżką uniesioną nad talerzem. Zostawiły ją samą z tym człowiekiem.

Ledwie była w stanie oddychać. Ostrożnie oparła łyżkę o brzeg talerza i otarła usta serwetką.

– Proszę wybaczyć mojej siostrze, panie kapitanie. Jest impulsywna i krnąbrna.

– Moja córka jest taka sama. Spodziewamy się po niej samych kłopotów, gdy podrośnie.

To tak zaskoczyło Vianne, że aż zwrócila się ku niemu.

– Ma pan córkę?

– Giselę – odrzekł z uśmiechem. – Ma sześć lat, a matka już nie potrafi jej nakłonić do najprostszych obowiązków, na przykład mycia zębów. Woli budować zamki, niż czytać książki – westchnął.

Ta familiarność ją krępowała. Usiłowała wymyślić odpowiedź, lecz była nazbyt spięta. Zanurzyła więc łyżkę w zupie i znów zaczęła jeść.

Kolacja zdawała się ciągnąć w nieskończoność, milczenie ciążyło jej jak kamienna płyta. Toteż ledwie z ust gościa padło uprzejme: „Dziękuję, kolacja była pyszna”, zerwała się i zaczęła sprzątać ze stołu.

Na szczęście nie poszedł za nią do kuchni. Został przy stole, popijając przyniesione wino, które, jak wiedziała, smakowało jesienią – gruszkami i jabłkami.

Kiedy skończyła myć naczynia i je wycierać, zapadł już wieczór. Wyszła przed dom i stanęła pod rozgwieżdżonym niebem, aby nieco ochłonąć. Na szczycie kamiennego muru poruszył się jakiś cień, prawdopodobnie kot.

Za plecami usłyszała kroki i trzask zapałki, a zaraz potem doleciał ją zapach siarki.

Cofnęła się cicho, pragnąc wtopić się w cień. Jeśli będzie dostatecznie zwinna i cicha, być może zdoła wemknąć się do domu tylnymi drzwiami, nie ściągając na siebie jego uwagi. Nastąpiła obcasem na gałązkę, usłyszała trzask i zastygła.

Niemiec wychynął z cienia.

– A więc pani również lubi światło gwiazd. Przepraszam, że przeszkodziłem – zagadnął.

Nie śmiała się poruszyć.

Zbliżył się i stanąwszy obok, jakby był u siebie, rozejrzał się po ogrodzie.

– Można by pomyśleć, że nie toczy się wojna – rzekł w zamyśleniu.

W uszach Vianne zabrzmiało to smutno i przypomniała sobie, że na swój sposób ich losy są podobne, gdyż oboje zostali oddzieleni od bliskich.

– Pański… przełożony… wspomniał, że wszyscy jeńcy wojenni pozostaną w Niemczech. Co to dokładnie oznacza? Co będzie z naszymi żołnierzami? Nie zdołacie przecież pojmać ich wszystkich.

– Nie wiem, proszę pani. Niektórzy wrócą. Wielu nie.

– No proszę. Jakaż urocza chwilka intymności między dwojgiem nowych przyjaciół. – Głos Isabelle był twardy jak stal.

Vianne wzdrygnęła się przestraszona, że została przyłapana na staniu tu z Niemcem, wrogiem, mężczyzną.

Isabelle pojawiła się przed nią jasno oświetlona blaskiem księżyca, w kostiumie barwy karmelu, z małą walizką w jednej ręce i najlepszym kapeluszem starszej siostry w drugiej.

– Masz mój kapelusz – na tyle zdobyła się Vianne.

– Być może będę długo czekała na pociąg. A twarz mam nadal pokancerowaną po niemieckim nalocie. – Wykrzywiła się do kapitana w namiastce uśmiechu.

– Mają panie z pewnością wiele do omówienia. Pozwólcie zatem, że się oddalę. – Beck krótko, energicznie skłonił głowę i wrócił do domu, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Nie mogę tu zostać – oświadczyła Isabelle.

– Oczywiście, że możesz.

– Nie interesuje mnie zaprzyjaźnianie się z wrogiem, Vi.

– Do diabła, Isabelle. Nie waż się…

Isabelle postąpiła krok naprzód i rzekła twardo:

– Prędzej czy później narażę ciebie i Sophie na niebezpieczeństwo. Wiesz o tym. Powiedziałaś mi, że

powinnam chronić siostrzenicę. Tylko tak mogę to zrobić. Czuję, że jeśli zostanę tu dłużej, to eksploduję!

Gniew Vianne minął, zastąpiony ogromnym zmęczeniem. Zawsze dzieliło je z gruntu to, że Vianne przestrzegała zasad, a Isabelle się przeciw nim buntowała. Nawet w dzieciństwie, po śmierci mamy, odmiennie wyrażały uczucia. Vianne stała się milcząca, próbując udawać, że odrzucenie przez ojca wcale jej nie obeszło, Isabelle natomiast dostawała napadów złości, uciekała z domu i domagała się od wszystkich uwagi. Mama twierdziła, że pewnego dnia siostry staną się najlepszymi przyjaciółkami. Jeszcze nigdy ta przepowiednia nie wydawała się dalsza od prawdy.

W jednym Isabelle miała rację. Vianne byłaby wiecznie niespokojna, co jej siostra może powiedzieć lub zrobić w obecności kapitana, a szczerze mówiąc, nie miała na to siły.

– Jak pojedziesz?

– Pociągiem. Przyślę ci telegram po dojechaniu na miejsce.

– Uważaj na siebie. Nie rób głupstw.

– Ja? Przecież mnie znasz.

Vianne mocno objęła siostrę, a potem pozwoliła jej odejść.

Droga do miasteczka była tak ciemna, że Isabelle nie widziała własnych stóp. Panowała nienaturalna cisza, jakby natura wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jakieś wydarzenie, dopiero w pobliżu lotniska zrobiło się głośniej. Za ogrodzeniem z drutu kolczastego jeździły motocykle i ciężarówki, słychać było tupot podkutych butów na ubitej ziemi.

Nagle, jakby znikąd, pojawiła się ciężarówka z zamalowanymi przednimi reflektorami i Isabelle musiała gwałtownie uskoczyć do rowu.

W miasteczku było niewiele lepiej. Uliczki tonęły w mroku z powodu nieczynnych sklepów, zgaszonych latarń i zaciemnionych okien. Cisza była groźna i niepokojąca. Kroki Isabelle rozbrzmiewały nienaturalnie głośno. Z każdym była coraz bardziej świadoma, że jest przecież godzina policyjna, a ona właśnie ją narusza.

Skręciła w boczny zaułek, wymacując drogę wzdłuż murów i wystaw. Gdy tylko usłyszała głosy, zamierała, kuląc się w ciemności, dopóki nie powróciła cisza. Droga na dworzec leżący na skraju Carriveau zdawała się nie mieć końca.

– Halt!

Isabelle usłyszała rozkaz w tej samej chwili, gdy zalało ją białe światło latarki. Aż się skuliła z przestrachu.

Niemiecki żołnierz zbliżył się do niej z karabinem w rękach.

– Młoda dziewczyna – powiedział – ty wiesz o godzinie policyjnej, tak?

Wyprostowała się powoli, patrząc mu śmiało w oczy, choć wcale tak się nie czuła.

– Wiem, że nie wolno nam przebywać o tej porze na zewnątrz. Ale to sytuacja wyjątkowa. Muszę natychmiast jechać do Paryża. Mój ojciec jest ciężko chory.

– Gdzie twój ausweis?

– Nie mam.

Niemiec mocniej ujął karabin.

– Nie ma podróży bez ausweisu.

– Ale…

– Wracaj, dziewczyna, do domu, zanim stanie ci się krzywda.

– Ale…

– No już, bo zmienię zdanie i ty iść ze mną na posterunek.

Isabelle chciało się wrzeszczeć z frustracji. Z wysiłkiem zmusiła się do opanowania i posłuchała go bez dalszego sprzeciwu.

Wracając do domu, nie próbowała nawet kryć się w cieniu. Niemal pragnęła zostać ponownie zatrzymana, bo mogłaby przynajmniej wykrzyczeć stek wyzwisk, które kotłowały się w jej głowie.

Jej życie nie mogło przecież tak wyglądać. Schwytana w potrzask w jednym domu z hitlerowcem, w miasteczku, które poddało się Niemcom bez cienia protestu. Vianne nie była osamotniona w chęci udawania, że Francja nie skapitulowała ani nie została podbita. Właściciele sklepów i kawiarń w Carriveau szczerzyli się do Niemców, nalewali im szampana i sprzedawali najlepsze kawałki mięsa. Pozostali, przeważnie wieśniacy, wzruszali ramionami i zajmowali się swoimi sprawami. Owszem, mamrotali z dezaprobatą, zerkali spode łba i podawali błędne informacje, gdy zostali o coś zapytani, lecz poza tymi drobnymi przejawami buntu nie robili nic. Nic dziwnego, że niemieckich żołnierzy rozdymała arogancja. Zajęli miasto bez walki i, niech to szlag trafi, tak było w całej Francji.

Lecz Isabelle nie mogła zapomnieć krwawych obrazów spod Tours.

Z impetem zatrzasnęła drzwi do pokoju na piętrze, który kiedyś, gdy mieszkała tu jako dziecko, należał do niej. Po chwili doleciał ją zapach dymu z papierosa, co wprawiło ją w taką złość, że znów miała ochotę się rozwrzeszczeć.

Siedział tam sobie na dole, paląc papieroska. Kapitan cholerny Beck z tą swoją twarzą jakby ciosaną w kamieniu i fałszywymi uśmiechami, który mógłby wyrzucić je z domu, kiedy tylko by zechciał. Z byle powodu albo i bez. Frustracja Isabelle przerodziła się w ślepy gniew, jak ukryta w jej wnętrzu bomba, która musi eksplodować. Jeden fałszywy ruch – albo słowo – i wybuchnie.

Isabelle pomaszerowała do pokoju Vianne i z impetem otworzyła drzwi.

– Żeby wyjechać z miasta, trzeba mieć dokument – warknęła gniewnie. – Dranie nie pozwalają nam nawet wsiąść do pociągu, żeby zobaczyć się z rodziną.

– A więc tak – rzekła z ciemności Vianne.

Isabelle nie potrafiła ocenić, czy w jej głosie brzmiała ulga, czy też rozczarowanie.

– Jutro rano pójdziesz do miasteczka. Postoisz w kolejkach, gdy ja będę w szkole, i kupisz co tam będzie można dostać.

– Ale…

– Żadnych ale. Jesteś tu i zostaniesz, więc przydaj się na coś. Chcę móc na ciebie liczyć.

Przez tydzień Isabelle starała się dobrze zachowywać, ale osobnik mieszkający z nią i siostrą pod jednym dachem czynił to omal niemożliwym. Nie sypiała po nocach i leżąc w ciemności, wyobrażała sobie najgorsze.

Tego ranka wstała na długo przed świtem, nie próbując się oszukiwać, że zdoła jeszcze zasnąć. Obmyła twarz i włożyła zwykłą kretonową sukienkę. Schodząc na dół, zawiązała cienką różową chustkę na wlosach, które przycięła na chłopczycę.

Vianne siedziała na kanapie, robiąc na drutach w świetle starej lampy naftowej. Wydawała się blada i zmęczona, prawdopodobnie i ona niewiele spała w tym tygodniu. Zaskoczona podniosła wzrok na siostrę.

– Wcześnie dziś się obudziłaś.

– Czeka mnie długi dzień stania w kolejkach. Równie dobrze mogę zacząć o świcie – odparła Isabelle. – Pierwsi w kolejce dostają najlepszy towar.

Vianne odłożyła robótkę i wstała. Wygładziła sukienkę (kolejna wskazówka, że on był w domu – żadna z nich nie

schodziła na dół w nocnym stroju) i poszła do kuchni, skąd wróciła po chwili z kartkami aprowizacyjnymi.

– Dzisiaj wydają mięso.

Isabelle wzięła od niej kartki i wyszła z domu, zanurzając się w mrok zaciemnionego świata.

Świtało, gdy podążała drogą w stronę Carriveau. W blasku jutrzenki miasteczko wydawało się zarazem znajome i całkowicie obce. Kiedy szła obok lotniska, z rykiem silnika minął ją zielonkawy samochód ze znakami podwójnej błyskawicy na tablicy rejestracyjnej.

SS. Już o nich słyszała.

Na lotnisku panował zwykły ruch. Ujrzała czterech strażników, dwóch przy niedawno wzniesionej bramie wjazdowej i dwóch przy drzwiach budynku. Poranny wietrzyk poruszał hitlerowskimi flagami. Kilka samolotów stało w gotowości do startu, żeby zrzucać bomby na Anglię i inne kraje Europy. Wartownicy krążyli na tle czerwonych tablic ostrzegawczych w dwóch językach: VERBOTEN i WSTĘP WZBRONIONY POD KARĄ ŚMIERCI.

Nie zwalniała kroku.

Pod sklepem rzeźnika stały już w kolejce cztery kobiety. Zajęła miejsce na końcu.

Przypadkiem zauważyła przy krawężniku kawałek kredy. Od razu wiedziała, do czego mogłaby go użyć.

Rozejrzała się dyskretnie, ale nikt nie zwracał na nią uwagi, bo też kto miałby to robić o tej porze? Co innego za dnia, kiedy wszędzie kręcili się niemieccy żołnierze. Spacerowali po miasteczku dumni jak pawie, kupując wszystko, co tylko wpadło im w oko. Byli butni, głośni, skorzy do wybuchów śmiechu. Nadskakująco uprzejmi, otwierali kobietom drzwi i salutowali na powitanie, ale Isabelle nie dała się zwieść.

Nachyliła się, chwyciła kredę i schowała ją szybko w kieszeni. Posiadanie jej wydawało się ekscytująco niebezpieczne. Czekając na swoją kolej, niecierpliwie postukiwała stopą o chodnik.

– Dzień dobry – powiedziała, podając żonie rzeźnika, starszawej siwiejącej kobiecie o wąskich wargach, kartkę żywnościową.

– Mogę dać kilo nóżek, tylko to nam zostało.

– Kości?

– Niemcy zabierają lepsze mięso. I tak ma panienka szczęście. Wieprzowina jest dla Francuzów niedostępna, jak wiadomo, ale oni nóżek nie chcieli. Bierze panienka czy nie?

– Ja wezmę – odezwał się ktoś z tyłu.

– I ja! – zawołała jeszcze inna kobieta.

– Dobrze, biorę – powiedziała śpiesznie Isabelle i wzięła niedużą paczkę zawiniętą w papier.

Mocno ściskając wiklinowy koszyk ze zdobytym skarbem, skręciła za róg w wąski, kręty zaułek. Z ulicy wydawał się kończyć ślepo, donikąd nie prowadząc. Miejscowi poruszali się po takich uliczkach z łatwością żeglarzy znających krętą rzekę. Isabelle szła pewnym krokiem. Sklepiki w zaułku były zamknięte.

Na plakacie naklejonym na brudną szybę wystawową modystki widniał starzec z ogromnym zakrzywionym nosem, wyglądający chytrze i groźnie, z workiem pieniędzy w rękach. Za nim pokotem leżały skrwawione ciała. Isabelle przeczytała napis dużą czcionką: *Juif* – Żyd – i przystanęła.

Wiedziała, że nie powinna się zatrzymywać. Ostatecznie była to tylko propaganda wroga, toporna próba oskarżenia Żydów o wszelkie zło tego świata, w tym o tę wojnę.

Mimo wszystko nie mogła przejść obok takiej podłości obojętnie.

Spojrzała w lewo. O niecałe dwadzieścia metrów stąd przebiegała główna ulica miasteczka, La Grande, po prawej był skręt w boczny zaułek.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej kredę. Upewniwszy się, że jest sama, narysowała na plakacie ogromne V, jak *victoire* – zwycięstwo, zamalowując przy tym jak najwięcej obrazka.

Czyjaś ręka chwyciła ją za nadgarstek tak mocno, że aż cicho krzyknęła. Kreda upadła na bruk, potoczyła się po nim i zniknęła w szparze między kocimi łbami.

– Panienko – powiedział mężczyzna, popychając ją na szybę wystawową i przyciskając jej policzek do zamalowanego plakatu, tak że nie mogła mu się przyjrzeć – czy wie panienka, że to jest *verboten*? I że grozi za to kara śmierci?

10

Vianne przymknęła powieki i pomyślała: „Śpiesz się do domu, Antoine”.

Tylko na to sobie pozwoliła, na jedno małe błaganie. Jak mogła sama poradzić sobie z tym wszystkim – z wojną, kapitanem Beckiem, Isabelle?

Pragnęła marzyć na jawie, udawać, że jej świat wciąż stoi prosto i wcale nie przewrócił się na bok, że zamknięte drzwi do pokoju gościnnego na parterze nic nie znaczą, że Sophie śpi w łóżku matki, ponieważ obie zasnęły podczas czytania bajki, że Antoine wyszedł z domu tego mglistego poranka, żeby narąbać drewna na opał, choć do zimy było daleko. Wkrótce stanie w drzwiach i powie, że teraz wychodzi roznosić pocztę, tak jak zwykle. Może potem opowie jej o egzotycznym stemplu na liście z Afryki lub Ameryki i zainspiruje do wymyślania związanej z nim romantycznej historii?

Odłożyła robótkę do koszyka, wciągnęła kalosze i wyszła narąbać drewna. Niebawem znów nadejdzie jesień, a po niej zima. Zniszczenie ogrodu przez uciekinierów uświadomiło, na jak cienkiej nici zawisła obecnie jej egzystencja. Podniosła wysoko siekierę i opuściła z całym impetem.

Chwyć. Podnieś. Równo. Rąb, powtarzała w duchu jak zaklęcie.

Każde uderzenie wibrowało boleśnie w ramionach i barkach. Pot ściekał po plecach, moczył włosy.

– Proszę pozwolić, że zrobię to za panią.

Zastygła z siekierą w górze.

Beck stał nieopodal w bryczesach i lśniących oficerkach, bez kurtki od munduru, a jedynie w cienkim podkoszulku. Blade policzki miał zaczerwienione po porannym goleniu, jasne włosy mokre. Krople skapywały z nich na podkoszulek, tworząc skomplikowane wzory.

Poczuła się niezręcznie w zwykłej podomce i roboczych butach, z włosami nakręconymi na wałki. Opuściła siekierę.

– To zajęcie dla mężczyzny. Pani jest za delikatna na rąbanie drewna.

– Dam sobie radę.

– Oczywiście, ale po co? Proszę iść, zająć się córką. Mogę zrobić dla pani taki drobiazg. W przeciwnym razie matka przetrzepałaby mi skórę.

Chciała odejść, ale tkwiła jak wmurowana w miejscu, więc podszedł i łagodnie wyjął siekierę z jej rąk. Odruchowo ją przytrzymała.

Ich spojrzenia spotkały się i też nie chciały się rozstać.

Rozluźniła uchwyt na trzonku i zrobiła krok do tyłu tak gwałtownie, że aż się zachwiała. Przytrzymał ją za rękę, by nie upadła. Wymamrotała podziękowanie, odwróciła się i odeszła, starając się trzymać tak prosto jak tylko mogła i nie przyśpieszać kroku. Mimo to, gdy wreszcie dotarła do drzwi, czuła się tak, jakby przybiegła tu z Paryża. Przy szopie ze złością zrzuciła z nóg kalosze. Nie potrzebowała uprzejmości od intruza, który kwaterował w jej domu.

Zatrzasnęła za sobą drzwi i poszła do kuchni nastawić wodę. Potem od schodów zawołała Sophie na śniadanie.

Musiała powtórzyć jeszcze dwa razy – i zagrozić konsekwencjami – zanim córka zwlokła się z góry, rozczochrana i z ponurym wzrokiem. Znowu miała na sobie strój marynarski. Antoine’a nie było w domu od dziesięciu

miesięcy, Sophie dawno wyrosła z tego ubrania, ale nie chciała przestać go nosić.

– Wstałam – oznajmiła, podeszla do stołu, powłócząc nogami i zajęła swoje miejsce.

Vianne postawiła przed nią miskę papki z mąki kukurydzianej. Dziś rano postanowiła zaszaleć i położyła na wierzchu czubatą łyżkę konfitury z moreli.

– Mamo? Nie słyszysz? Ktoś puka do drzwi.

Vianne pokręciła głową – w uszach miała jedynie walenie siekiery – i poszła otworzyć.

W progu stała Rachel z dzieckiem na ręku i Sarah u boku.

– Będziesz dziś uczyć z włosami na wałkach? – zapytała.

– Och! – Vianne poczuła się jak idiotka. Co się z nią dzieje? Czekały ją ostatnie zajęcia przed wakacjami. – Chodź, Sophie. Spóźnimy się! – Szybko sprzątnęła ze stołu. Sophie wylizała miskę, więc Vianne włożyła naczynie do zlewu i zalała wodą. Później dokładnie je umyje. Nakryła garnek z papką i odstawiła na półkę słoiczek z konfiturami. Potem pobiegła na górę, żeby się przebrać.

Błyskawicznie odwinęła włosy i rozczesała je w falistą fryzurę. Chwyciła słomkowy kapelusz, rękawiczki i torebkę i wybiegła z domu. Rachel z dziećmi czekała przy bramie.

Kapitan Beck stał obok szopy, niedbale trzymając na ramieniu siekierę. Biały, miejscami mokry od potu podkoszulek przylepił się do muskularnej klatki piersiowej, ukazując bujne owłosienie.

– Witam – powiedział Niemiec.

Vianne czuła, że Rachel taksuje go spojrzeniem.

Beck opuścił siekierę.

– To pani przyjaciółka?

– Rachel – zwięźle przedstawiła ją Vianne. – Moja sąsiadka. A to pan kapitan Beck. Kwateruje u nas…

– Witam – powtórzył Niemiec, uprzejmie skłaniając głowę.

Vianne lekko popchnęła Sophie w plecy i wyszły przed bramę. Po chwili dołączyła do niej Rachel, a dziewczynki jak zwykle pobiegły przodem.

– Przystojny – rzuciła przyjaciółka, gdy mijały lotnisko, na którym jak zwykle uwijali się żołnierze. – Tego mi nie mówiłaś.

– Tak?

– Jestem dziwnie pewna, że też to zauważyłaś, zatem nie udawaj. Jaki on jest?

– Niemiecki.

– Żołnierze kwaterujący u Claire Moreau wyglądają jak kiełbachy z nogami. Słyszałam, że chlają wino jak opętani i chrapią jak wieprze. Myślę, że jesteś szczęściarą.

– Chyba raczej ty, Rachel. Nikt się do ciebie nie wprowadził.

– Bieda w końcu na coś się przydała. – Przyjaciółka wzięła Vianne pod rękę. – Nie rób takiej przygnębionej miny. Podobno mają rozkaz, żeby zachowywać się „przyzwoicie".

– W zeszłym tygodniu – Vianne popatrzyła na Rachel z rozpaczą – Isabelle obcięła sobie włosy na oczach kapitana i oznajmiła, że uroda zapewne jest *verboten*.

Rachel nie całkiem udało się stłumić uśmiech.

– To wcale nie jest śmieszne – żachnęła się Vianne. – Naraziła nas na niebezpieczeństwo. On mógł nas przecież zastrzelić.

– Możesz z nią porozmawiać – powiedziała Rachel już bez uśmiechu.

– O tak, mogę. Tylko kiedy ona kogokolwiek posłuchała?

– To boli – jęknęła Isabelle.

Mężczyzna szarpnięciem odciągnął ją od wystawy i powlókł za sobą, nie zwracając uwagi, że dziewczyna obija się boleśnie

o mury domów. Gdy noga wykręciła jej się na kocich łbach i Isabelle omal nie upadła, ścisnął ją mocniej za ramię i podtrzymał.

Dziewczyno, myśl, nakazywała sobie w duchu. Nie ma munduru, czyli pewnie jest z gestapo. To nie była dobra wiadomość. Widział, jak zamalowywała plakat. Czy kwalifikuje się to jako akt sabotażu, szpiegostwa albo oporu przeciwko okupacji niemieckiej?

Trudno to przecież porównać z wysadzeniem mostu lub sprzedaniem tajemnic Brytyjczykom.

Rysowałam sobie tylko kredą… To miał być wazon z kwiatami… Żadne V, tylko zwykły wazonik, który głupia dziewczyna rysowała na jedynym kawałku papieru, jaki miała pod ręką. Nigdy nawet nie słyszałam o generale de Gaulle'u.

A jeśli jej nie uwierzą?

Mężczyzna zatrzymał się przed dębowymi drzwiami z kołatką w kształcie lwiego łba pośrodku.

Cztery razy uderzył nią w drzwi.

– D-dokąd mnie pan prowadzi? – Czy to tylne wejście do kwatery gestapo? O przesłuchujących krążyły pogłoski mrożące krew w żyłach. Ponoć byli bezwzględni i sadystyczni, lecz nikt nie wiedział tego na pewno.

Drzwi uchyliły się nieco, ukazując starego mężczyznę w berecie. Z mięsistych warg zwisał mu ręcznie skręcany papieros. Na widok Isabelle stary zmarszczył brwi.

– Puszczaj – warknął prześladowca Isabelle i starzec odstąpił na bok.

Isabelle została wciągnięta do tak zadymionego pokoju, że oczy ją zapiekły, gdy się rozglądała. Była w nieczynnej pasmanterii, w której sprzedawano niegdyś przybory do szycia, wstążki, guziki, tasiemki i czepki. Przez smugi dymu dostrzegła puste oszklone witrynki i leżące w kącie metalowe wieszaki na

nakrycia głowy. Okno od ulicy zostało zamurowane, a drzwi wychodzące na ulicę La Grande były od wewnątrz zamknięte na solidną zasuwę.

W pomieszczeniu znajdowało się czterech mężczyzn: stojący w kącie wysoki, szpakowaty, w łachmanach, młody chłopak i przystojny młodzieniec w zmechaconym swetrze, znoszonych spodniach i zdartych skórzanych butach siedzący przy okrągłym kawiarnianym stoliku.

– Kogoś tu przyprowadził, Didier? – zapytał stary, który im otworzył.

Isabelle wreszcie zobaczyła swego prześladowcę – był wysoki, potężnie zbudowany, z nalaną twarzą, wyglądał jak cyrkowy siłacz.

Wyprostowała się jak tylko mogła, ściągnęła ramiona i dumnie uniosła podbródek. Wiedziała, że w swej skromnej sukience wygląda jak dziewczynka, ale nie chciała pokazać po sobie, że się boi.

– Przyłapałem ją na bazgraniu po szwabskich plakatach – wyjaśnił dryblas, który ją przyprowadził. Didier.

Isabelle próbowała ukradkiem zetrzeć kredę z dłoni.

– Co masz do powiedzenia? – zapytał szpakowaty ze swojego kąta. Robił wrażenie szefa.

– Nie mam kredy.

– Widziałem ją, jak bazgrała.

Isabelle postanowiła zaryzykować.

– Pan nie jest Niemcem – zwróciła się do osiłka. – Jest pan Francuzem, mogę się założyć. A pan – powiedziała do starego – jest rzeźnikiem. – Chłopaka pominęła i zwróciła się do przystojnego młodzieńca w znoszonym ubraniu: – Wygląda pan na głodnego i ma na sobie ubranie po bracie albo coś, co pan ściągnął komuś ze sznura na pranie. Komunista.

Mężczyzna wyszczerzył się do niej i wyraźnie rozluźnił.

Isabelle najbardziej niepokoił ten w kącie. Szef. Postąpiła krok w jego stronę.

– Pan mógłby być jednym z tych Aryjczyków. Wygląda pan na takiego, który zmusza innych do posłuszeństwa.

– Znam go, odkąd pamiętam, panienko – powiedział rzeźnik. – Walczyłem u boku jego ojca, a także panienki, nad Sommą. Panienka nazywa się Isabelle Rossignol, prawda?

Milczała. Czy to pułapka?

– Brak odpowiedzi – odezwał się młody bolszewik. Wstał i podszedł do niej. – Dobra postawa. Dlaczego rysowałaś V na plakacie?

Isabelle zachowała milczenie.

– Nazywam się Henri Navarre – przedstawił się, stając tak blisko, że mógłby jej dotknąć. – Nie jesteśmy Niemcami ani nie współpracujemy z nimi. – Przyjrzał się Isabelle z namysłem. – Nie wszyscy zachowują się biernie. A teraz powiedz, dlaczego znakowałaś ich plakaty?

– Tylko to wpadło mi do głowy – odrzekła niechętnie.

– To znaczy?

– Słuchałam w radiu przemówienia de Gaulle'a.

Henri spojrzał znacząco na szpakowatego. Obserwowała, jak mężczyźni porozumiewają się bez słów. I pod koniec tej niemej rozmowy już wiedziała, kto tu jest szefem: przystojny komunista. Henri.

– Gdybyś mogła zrobić coś… więcej, podjęłabyś się tego? – zapytał w końcu Henri, zwracając się do niej.

– Co pan ma na myśli? – odpowiedziała pytaniem.

– Jest pewien człowiek w Paryżu…

– Właściwie grupa ludzi, z Muzeum Człowieka… – poprawił osiłek.

Henri powstrzymał go uniesieniem dłoni.

– Nie wyjawiamy więcej, niż musimy, Didier. No więc jest pewien człowiek, drukarz, który z narażeniem życia powiela ulotki, a my je potem rozprowadzamy. Może gdyby udało się nam pobudzić do działania więcej Francuzów, pokazać im, co się dzieje, nasze szanse by wzrosły. – Sięgnął do przewieszonej przez oparcie krzesła skórzanej torby i wyciągnął z niej plik papierów. Oczom Isabelle ukazał się nagłówek: „Niech żyje generał de Gaulle!”.

Treścią był list otwarty do marszałka Pétaina, potępiający kapitulację. Ostatnie zdanie brzmiało: „Popieramy generała de Gaulle’a”.

– I co ty na to? – zapytał cicho Henri. Tych kilka słów zawierało zew do boju, na który Isabelle tak długo czekała. – Zajmiesz się ich kolportowaniem?

– Ja?

– Jesteśmy komunistami i radykałami – oznajmił Henri. – Pilnie nas obserwują. Ty jesteś młodą dziewczyną, i do tego ładną. Nikt nie będzie cię podejrzewał.

– Dobrze, zrobię to. – Isabelle nie okazała wahania.

Mężczyźni chcieli jej podziękować, ale Henri ich uciszył.

– Drukarz naraża życie, powielając te odezwy, a ktoś inny je przepisując. My narażamy się, przywożąc je tutaj. Ale to ciebie złapią przy ich rozdawaniu – o ile dasz się złapać. Dobrze się więc zastanów. To coś innego niż malowanie V na plakacie. Za to grozi kara śmierci.

– Nie dam się złapać – odparła.

– Ile masz lat? – zapytał Henri, znowu się uśmiechając.

– Prawie dziewiętnaście.

– Hm… – powiedział. – Jak taka młoda osoba zdoła ukryć swoje działania przed rodziną?

– To żaden problem – odparła Isabelle z pozorną beztroską. – Moją rodzinę niewiele obchodzę. Tyle że… w moim domu

kwateruje niemiecki oficer. I będę musiała naruszać godzinę policyjną.

– To nie będzie łatwe. Zrozumiem, jeśli się przestraszysz i zechcesz wycofać – powiedział Henri, odwracając się od niej.

Pośpiesznie chwyciła plik ulotek.

– Powiedziałam, że to zrobię.

Isabelle rozpierała radość. Po raz pierwszy od zawarcia rozejmu nie była osamotniona w pragnieniu uczynienia czegoś ważnego dla Francji. Nowo poznani opowiedzieli jej o dziesiątkach grup takich jak ta, które organizowały się w ruch oporu na apel de Gaulle'a. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej radowała Isabelle perspektywa przyłączenia się do nich. Owszem, wiedziała, że powinna się bać. Powtarzali jej to dość często.

Niemniej przecież to śmieszne, kara śmierci za rozdawanie ulotek? Była pewna, że w razie przyłapania przez Niemców będzie umiała się zgrabnie wytłumaczyć. Zresztą dlaczego mieliby ją złapać? Ileż to razy wymykała się z zamkniętej na noc szkoły, wsiadała bez biletu do pociągu albo radziła sobie w podobnie trudnej sytuacji? Uroda ułatwiała bezkarne łamanie zasad.

– W jaki sposób się skontaktujemy, kiedy przyjdzie kolejny transport ulotek? – zapytał Henri, odprowadzając ją do drzwi.

– Czy mieszkanie nad sklepem z kapeluszami pani La Foy nadal jest puste? – odpowiedziała, rozglądając się w obie strony.

Henri potaknął.

– Rozsuńcie zasłony w oknie, kiedy przyjdzie nowa partia ulotek. Przyjdę najszybciej jak będę mogła.

– Zastukaj cztery razy. Jeśli nie będzie odpowiedzi, po prostu odejdź – powiedział Henri. – I uważaj na siebie – dodał, zamykając za nią drzwi.

Isabelle została sama. Zajrzała do koszyka. Pod płócienną serwetką w biało-czerwoną kratę leżały odezwy. Na wierzchu spoczywał pakunek od rzeźnika. Nieszczególnie udany kamuflaż. Będzie się musiała zastanowić nad czymś skuteczniejszym.

Z zaułka wyszła na gwarną ulicę. Ściemniało się. Spędziła ze spiskowcami prawie cały dzień. Sklepy powoli się zamykały, na ulicach widać było głównie Niemców i towarzyszące im kobiety. Kawiarniane stoliki okupowali oficerowie, zajadając się wybornymi daniami, popijając najlepsze wina.

Poruszanie się swobodnym krokiem wymagało od Isabelle wielkiego opanowania. Gdy tylko wyszła za Carriveau, puściła się biegiem. W pobliżu lotniska była już spocona i zdyszana, ale nie zwolniła kroku, biegła aż do bramy Le Jardin. Na terenie posesji zgięła się wpół i ciężko dysząc oraz uciskając kłujący bok, próbowała odzyskać oddech.

– Panno Rossignol, czy źle się pani czuje?

Wyprostowała się gwałtownie z walącym sercem.

Obok niej wyrósł jak duch kapitan Beck. Czy był tu już wcześniej?

– O, pan kapitan – wysapała, próbując się uśmiechnąć. – Mijał mnie konwój… Pobiegłam, żeby usunąć się z drogi.

– Konwój? Niczego takiego nie widziałem.

– To było jakiś czas temu… Czasami zdarza mi się postępować głupio. Rozmawiałam z przyjaciółką i kompletnie straciłam poczucie czasu, więc… – Obdarzyła go czarującym uśmiechem i powabnym gestem poprawiła krótko ostrzyżone włosy, jak rasowa kokietka.

– Czy były dzisiaj kolejki?

– O tak, ogromne.

– Pomogę pani zanieść to do domu.

Isabelle zajrzała do koszyka. W rogu wystawał maleńki rożek białego papieru.

– Nie, nie trzeba…

– Ależ nalegam. Tak każe dobre wychowanie.

Długie palce z wypielęgnowanymi paznokciami zacisnęły się na wiklinowym pałąku. Ruszyli w stronę domu; Isabelle trzymała się boku kapitana.

– Widziałam dzisiaj po południu dużą grupę mundurowych pod ratuszem. Co robi tu policja Vichy?

– Nic, co mogłoby panią interesować, panienko. – Zatrzymał się za nią, gdy otwierała drzwi. Drżącą ręką nacisnęła klamkę. Choć miał pełne prawo wejść do środka, uprzejmie zaczekał, aż zostanie zaproszony, jakby był gościem.

– Isabelle, czy to ty? Gdzie się podziewałaś? – Vianne stanęła w kręgu światła.

– Kolejki były dzisiaj nieznośnie długie.

– Co przyniosłaś? – Sophie przybiegła z salonu, gdzie bawiła się przy kominku.

– Nóżki wieprzowe – odrzekła Isabelle, z niepokojem zerkając na koszyk w ręce Becka.

– I to wszystko? – zapytała Vianne ostro. – A olej do smażenia?

Wyraźnie rozczarowana Sophie wróciła na dywan przed kominkiem.

– Zaniosę mięso do spiżarni – powiedziała Isabelle, sięgając po koszyk.

– Może ja to zrobię – ofiarował się Beck. Przewiercał dziewczynę uważnym spojrzeniem. A może tylko jej się tak wydawało.

– Pośpiesz się. – Vianne zapaliła świecę i podała ją siostrze. – Nie marnuj jej.

Beck z galanterią towarzyszył jej aż do piwnicy.

Isabelle zeszła pierwsza, oświetlając drogę. Drewniane stopnie trzeszczały pod jej stopami. Po chwili stanęła na ubitym klepisku i otoczył ją podziemny chłód. Drewniane półki zdawały się na nią napierać, kiedy Beck zbliżył się z koszykiem. Płomień świecy chybotał, kreśląc wzory na murze.

Z pozornym spokojem sięgnęła po pakunek z nóżkami. Położyła go na półce obok malejących zapasów żywności.

– Przynieś trzy ziemniaki i pasternak! – zawołała Vianne z kuchni. Isabelle wzdrygnęła się na dźwięk jej głosu.

– Bardzo pani nerwowa – zauważył Beck. – Czy to właściwe słowo?

– W mieście było dzisiaj wyjątkowo dużo psów – bąknęła niepewnie. Płomień chybotał niezmordowanie.

– To gestapo. Oni bardzo lubią owczarki. Ale pani nie ma się przecież czego obawiać.

– Boję się… dużych psów. Kiedyś jeden mnie ugryzł. Byłam wtedy jeszcze mała.

Beck uśmiechnął się do niej.

Tylko nie patrz na koszyk, napominała się w duchu. Na to było jednak za późno. Wzrok jej ponownie padł na wystające spod serwety papiery.

– Wie pan, jakie są dziewczyny. – Zmusiła się do uśmiechu. – Wszystkiego się boją.

– Nie powiedziałbym tego o panience.

Powoli sięgnęła po koszyk i wyjęła mu go z ręki. Nie spuszczając wzroku, postawiła koszyk na półce poza kręgiem płomienia świecy. Kiedy stał już w ciemnym miejscu, odważyła się odetchnąć swobodniej.

Patrzyli sobie w oczy. Panowało niezręczne milczenie.

– No, na mnie już czas. – Beck zatarł ręce. – Przyjechałem tu tylko po dokumenty na jutrzejszą naradę. – Odwrócił się i ruszył po schodach na górę.

Isabelle pośpieszyła za nim. Gdy wynurzyła się z otworu wiodącego do piwnicy, ujrzała w kuchni Vianne, która patrzyła nieprzyjaźnie.

– A gdzie ziemniaki i pasternak? – zapytała.

– Zapomniałam.

– To wróć tam i przynieś.

Isabelle zeszła ponownie do piwnicy. Najpierw znalazła warzywa, potem podeszła do koszyka i oświetliła go płomieniem świecy. Tak, w rogu wystawał skrawek białej kartki papieru. Pośpiesznie wyjęła plik ulotek i wsunęła je za pas do pończoch. Czując, jak papier ociera się o jej skórę, z uśmiechem wróciła do kuchni.

Na kolację była wodnista zupa i wczorajszy chleb. Isabelle starała się wymyśleć, co by tu powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Sophie, która zdawała się nie zauważać milczenia ciotki, paplała jak nakręcona. Isabelle nerwowo postukiwała stopą, nasłuchując warkotu motocykla przed domem, tupotu żołnierskich buciorów, mocnego, bezosobowego stukania do drzwi. Co rusz zerkała na kuchnię i drzwiczki do piwnicy.

– Jakoś dziwnie się dzisiaj zachowujesz – zauważyła Vianne.

Isabelle zbyła to milczeniem. Gdy kolacja wreszcie się skończyła, szybko wstała z krzesła i zaproponowała, że pozmywa i posprząta kuchnię.

– Może w tym czasie pograsz sobie w warcaby z Sophie?

– Chcesz pozmywać? – Vianne spojrzała podejrzliwie na siostrę.

– Daj spokój, nie raz już przecież zmywałam.

– Nie za mojej pamięci

Isabelle zebrała puste talerze i sztućce. Koniecznie musiała czymś zająć ręce.

Po sprzątaniu znów nie miała nic do roboty. Wieczór ciągnął się niemiłosiernie. Grała z Vianne i Sophie w belotkę, lecz nie mogła się skupić z podniecenia. W końcu niezgrabnie przeprosiła i wycofała się z gry pod pozorem zmęczenia i chęci wczesnego położenia się spać. W ubraniu padła na łóżko i czekała.

Krótko po północy usłyszała, że Beck wrócił do domu. Furtka zaskrzypiała, do pokoju wpadła woń papierosowego dymu i po chwili jego buty zastukały po podłodze. O pierwszej znów zapadła cisza. Isabelle nadal czekała. O czwartej nad ranem wstała z łóżka i naciągnęła gruby czarny sweter oraz tweedową spódnicę. Nadpruła podszewkę letniego płaszcza, wsunęła pod nią ulotki i założyła go na siebie, mocno ściskając się paskiem. Do kieszeni włożyła kartki żywnościowe.

Ostrożnie zeszła po schodach, krzywiąc się przy każdym skrzypnięciu. Droga do drzwi wejściowych zdawała się nie mieć końca, ale jakoś do nich dotarła, otworzyła i równie cicho zamknęła za sobą.

Przedświt był wyjątkowo chłodny. Opodal skrzeczał sennie ptak, prawdopodobnie obudzony skrzypieniem zawiasów. Wciągnęła w nozdrza aromat róż i lawendy, dziwiąc się, że wydaje jej się tak zwyczajny.

Jeśli postąpi krok dalej, nie będzie już odwrotu.

Podeszła do bramy, często oglądając się za siebie w obawie, że ujrzy w progu Becka stojącego na szeroko rozstawionych nogach i obserwującego ją beznamiętnie.

Nikogo nie zobaczyła. Była sama.

Najpierw zatrzymała się przy domu Rachel. Obecnie poczta praktycznie nie przychodziła, ale kobiety, których mężowie wyruszyli na front, i tak codziennie zaglądały do skrzynek, wierząc wbrew nadziei, że otrzymają jednak dobre wieści.

Sięgnęła pod płaszcz, wyczuła rozcięcie w jedwabnej podszewce i wyjęła jedną ulotkę. Błyskawicznie uchyliła wieko skrzynki i wrzuciła do niej kartkę papieru.

Rozejrzała się czujnie dokoła. Nie było nikogo.

Zrobiła! Dała radę!

Drugim przystankiem była farma starego Riveta. Był zdeklarowanym komunistą, zwolennikiem rewolucji, który stracił syna na froncie.

Pozbywszy się ostatniej ulotki, poczuła się niezwyciężona. Różowy blask jutrzenki opromieniał budynki z jasnego wapienia.

Tego ranka Isabelle jako pierwsza zajęła kolejkę przed sklepem, dzięki czemu otrzymała pełny miesięczny przydział masła. Sto pięćdziesiąt gramów. Dwie trzecie filiżanki.

Prawdziwy skarb.

11

Codziennie tamtego długiego, gorącego lata Vianne budziła się z listą obowiązków w głowie. Z pomocą Isabelle i Sophie przekopała i powiększyła ogród warzywny, z kilku starych półek na książki zbiła klatki dla królików. Gęstą siatką ogrodziła altanę i obecnie najbardziej romantyczne miejsce na posesji cuchnęło nawozem zbieranym w celu użyźnienia ziemi w ogrodzie. Dostawała go od starego Riveta w zamian za żywność. Jedyną porą, kiedy mogła nieco odpocząć i poczuć się sobą, były niedzielne poranki. Zabierała wtedy Sophie do kościoła – Isabelle odmawiała udziału we mszy – a potem piła kawę w towarzystwie Rachel, u której zasiadały w cieniu drzew rosnących na podwórku i gawędziły, śmiały się, żartowały. Niekiedy przyłączała się do nich Isabelle, częściej jednak wolała się bawić z dziewczynkami, co Vianne bardzo odpowiadało.

Te uciążliwe prace były niezbędnymi przygotowaniami do zimy, która zdawała się jeszcze daleko, lecz wiadomo było, że nadejdzie, i to z zaskoczenia jak nieproszony gość. Najważniejsze jednak, że dzięki nim Vianne miała zajęty umysł. Pracując w warzywniku, gotując truskawki na przetwory i marynując ogórki, przestawała myśleć o Antoinie i o tym, jak dawno nie miała już od niego żadnych wieści. Ta niepewność najbardziej dawała jej się we znaki. Czy dostał się do niewoli? Został ranny? Zginął? A może pewnego dnia stanie jednak uśmiechnięty w progu domu?

Tęskniła za nim, brakowało go jej. Martwiła się o niego. Te uczucia nieustannie nachodziły ją w snach.

Jedno dobre, że kapitan Beck był niemal ciągle nieobecny. Dzięki temu sprawy domowe toczyły się gładko. Isabelle bez szemrania wykonywała to, co do niej należało.

Nadszedł październik, a z nim większe chłody. Jak zwykle zamyślona Vianne wracała z Sophie ze szkoły. Jeden obcas był lekko naderwany i groził odpadnięciem, stawiała więc kroki ze szczególną ostrożnością. Czarne pantofle z cienkiej skórki, przeznaczone na szczególne okazje, z braku innego obuwia od paru miesięcy służyły jej na co dzień. Toteż podeszwa jednego odkleiła się na czubku, przez co Vianne czasami się potykała. Zdobycie nowych graniczyło z cudem. Posiadanie kartek jeszcze nie oznaczało, że da się na nie coś kupić – i dotyczyło to zarówno butów, jak i żywności.

Vianne szła, trzymając dłoń na ramieniu córki. Wszędzie było pełno niemieckich żołnierzy, ciężarówek, motocykli. Jakiś oddział maszerował przez plac, gromko śpiewając.

Wojskowa ciężarówka zatrąbiła na nie i Vianne razem z Sophie szybko uskoczyły na bok. Minął je jadący z dużą prędkością konwój.

– Czy to ciocia Isabelle? – zapytała nagle Sophie.

Vianne spojrzała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, z zaułka wyszła właśnie jej siostra z koszykiem w ręku. Wyglądała… podejrzanie, tylko takie określenie przyszło Vianne do głowy.

Podejrzanie. Nagle kilka innych elementów układanki znalazło się na swoim miejscu. Drobne sprzeczności utworzyły logiczny wzór. Isabelle często wychodziła z domu przed świtem, znacznie wcześniej, niż to było konieczne. Zawsze miała pod ręką dziesiątki usprawiedliwień przedłużającej się nieobecności, których Vianne praktycznie nie słuchała. Złamała

obcas, wiatr zerwał jej kapelusz i musiała za nim pobiec, przestraszył ją, zmuszając do nadłożenia drogi, groźny pies.

Czy wymykała się na spotkania z chłopakiem?

– Ciociu Isabelle! – zawołała Sophie.

Nie czekając na odpowiedź albo pozwolenie, wybiegła na ulicę. Przemknęła obok trzech Niemców, którzy kopali piłkę.

– Cholera – zaklęła Vianne pod nosem. – Przepraszam – zwróciła się uprzejmie do żołnierzy i pobiegła za córką.

– Co udało ci się dzisiaj dostać? – doleciało ją pytanie Sophie, która już sięgała do koszyka.

Isabelle trzepnęła ją po dłoni. Mocno.

Dziewczynka cofnęła rękę z okrzykiem bólu.

– Isabelle! – warknęła Vianne. – Co się z tobą dzieje?

Siostra zarumieniła się po nasadę włosów.

– Przepraszam… Jestem po prostu zmęczona. Przez cały dzień wystawałam w kolejkach. I to po co? Po gicz cielęcą ledwie pokrytą mięsem i puszkę mleka. To zniechęcające. Mimo to nie powinnam być tak brutalna. Przepraszam cię, Sophie.

– Może gdybyś nie wymykała się z domu przed świtem, to nie byłabyś taka niewyspana – mruknęła Vianne z przekąsem.

– Wcale się nie wymykam – zaprotestowała Isabelle. – Wystaję w kolejkach pod sklepami. Myślałam, że tego ode mnie oczekujesz. A przy okazji, przydałby się nam rower. Te wyprawy do miasteczka w kiepskich butach już mnie wykańczają.

Vianne żałowała, że nie zna siostry dostatecznie dobrze, by odczytać wyraz jej oczu. Czy było to poczucie winy? A może niepokój albo sprzeciw? Powiedziałaby, że to duma, gdyby nie było to całkiem niedorzeczne.

Udobruchana Sophie wzięła ciotkę za rękę i wszystkie trzy ruszyły w stronę domu.

Vianne świadomie nie zwracała uwagi na zmiany w Carriveau – kręcących się wszędzie okupantów, plakaty na murach (nowe antyżydowskie pamflety były obrzydliwe), wszechobecne czerwono-czarne flagi ze swastyką. Mieszkańcy zaczęli opuszczać miasteczko, zostawiając domy Niemcom. Ponoć przeprowadzali się do wolnej strefy, ale nikt nie wiedział tego na pewno. Kolejne sklepy zamykały się i pozostawały nieczynne.

– Chodźmy szybciej – powiedziała, słysząc kroki za plecami.

– Pani Mauriac, czy mogę zamienić z panią kilka słów?

– Dobry Boże, czy on za tobą łazi? – mruknęła Isabelle pod nosem.

– Pan kapitan – powiedziała Vianne, powoli się odwracając. Przechodnie obrzucali ją ukradkiem niechętnymi spojrzeniami.

– Chciałem uprzedzić, że wrócę dzisiaj bardzo późno i ku memu żalowi nie będę na kolacji – rzekł Beck.

– Och, to okropne – wtrąciła Isabelle tonem słodkim i zarazem gorzkim jak przypalony karmel.

Vianne próbowała się uśmiechać, ale zachodziła w głowę, dlaczego Niemiec ją zatrzymał.

– Może coś panu zostawię na później…

– Nie. Nie trzeba. Zbyt pani łaskawa. – Umilkł.

Vianne także milczała.

W końcu Isabelle straciła cierpliwość.

– Panie kapitanie, szłyśmy właśnie do domu…

– Czy ma pan do mnie jeszcze jakieś sprawy? – spytała, szykując się do odejścia, Vianne.

– Wiem, że martwi się pani o męża – powiedział Beck ściszonym głosem – więc posprawdzałem tu i tam.

– Ach tak…

– Nie mam dobrych wieści, bardzo mi przykro. Pani mąż, Antoine Mauriac, dostał się do niewoli wraz z grupą

mieszkańców Carriveau. Przebywa w obozie jenieckim. – Wręczył jej listę nazwisk i plik oficjalnych pocztówek. – Na razie nie wróci do domu.

Vianne niewiele pamiętała z drogi powrotnej. Wiedziała, że siostra jest przy niej, podtrzymując ją pod ramię i nakłaniając do stawiania kolejnych kroków, i że Sophie biegnie przodem, co chwila odwracając się i zadając pytania tnące jak brzytwa: Co to jest jeniec wojenny? Dlaczego pan kapitan powiedział, że tata nie wróci do domu? Już nigdy nie wróci?

Zorientowała się, że jest już na miejscu, po ciepłym zapachu ogrodu. Zamrugała, czując się jak ktoś świeżo wybudzony ze śpiączki, do kogo powoli dociera gorzka prawda, że świat wokół zmienił się na gorsze.

– Sophie – poleciła Isabelle stanowczym tonem. – Przygotuj mamie filiżankę kawy. Otwórz puszkę z mlekiem.

– Ale…

– Marsz. – Isabelle była nieugięta.

Kiedy dziewczynka wyszła z ociąganiem, Isabelle podeszła do Vianne, ujęła jej twarz w dłonie i szepnęła:

– Nic mu nie będzie, zobaczysz.

Vianne miała wrażenie, że tak stojąc, rozpada się na drobne cząstki, kawałek po kawałku, traci z wolna krew i kości, zastanawiając się nad tym, o czym świadomie nie chciała ostatnio myśleć: o życiu bez Antoine’a. Zaczęła się trząść, aż zęby się jej rozdzwoniły.

– Chodź, napijesz się kawy – powiedziała Isabelle.

Do domu? Do ich domu? Jego duch unosił się tam wszędzie, wszystko przypominało o nim: zagłębienie w kanapie, gdzie

siadywał, czytając, wieszak, na którym wisiała jego kurtka. No i łóżko.

Pokręciła głową, pragnąc zapłakać, ale zabrakło jej łez. Złe wieści zostawiły w niej pustkę. Czuła bolesny ucisk w piersi, nie mogła swobodnie oddychać.

Nagle przypomniała sobie, że jest w swetrze Antoine'a. Nie zwracając uwagi na krzyk Isabelle: „Nie!", zerwała z siebie płaszcz, zdarła kamizelkę, ściągnęła sweter przez głowę i zatopiła twarz w miękkiej wełnie, usiłując wywąchać ukochany zapach, leciutką woń jego ulubionego mydła, jego samego…

Poczuła jednak tylko własny. Odsunęła stłamszony w kłąb sweter od twarzy i wpatrzyła się w niego, usiłując sobie przypomnieć, kiedy Antoine miał go ostatnim razem na sobie. Pociągnęła za luźną nitkę koloru burgunda, która została jej w palcach. Odgryzła ją i resztę zawiązała na supeł, żeby nie spruć rękawa. W tych dniach włóczka była bardzo cenna.

W tych dniach…

Kiedy świat pogrążał się w wojnie, wszystko było trudno osiągalne, a mąż przebywał w obozie jenieckim.

– Nie umiem radzić sobie sama.

– Co ty opowiadasz? Latami musiałyśmy. Od śmierci mamy.

Vianne zamrugała. Niedokładnie rozumiała słowa siostry, jakby były wypowiadane w przyśpieszonym tempie.

– To ty byłaś sama – powiedziała. – Ja nigdy. Poznałam Antoine'a, kiedy miałam czternaście lat, dwa lata później zaszłam z nim w ciążę, a po kolejnym roku wyszłam za niego za mąż. Tata dał mi ten dom, żebym mu nie siedziała na głowie. Więc sama widzisz, że nigdy nie musiałam radzić sobie sama. To dlatego ty jesteś taka silna, a ja… nie.

– Będziesz musiała znaleźć w sobie siłę – odparła Isabelle. – Dla Sophie.

Vianne odetchnęła głęboko. To był powód, żeby nie nafaszerować się arszenikiem ani nie skoczyć z mostu. Wyjęła kawałek włóczki z kieszeni i zawiązała na gałązce jabłoni. Ciemnoczerwona nitka odznaczała się na tle zieleni i brązu. Odtąd codziennie przechodząc przez ogród albo zbierając jabłka, będzie patrzeć na włóczkę ze swetra Antoine'a i myśleć o nim. I za każdym razem będzie się modlić o jego szczęśliwy powrót do domu.

– Chodź – powiedziała cicho Isabelle, obejmując siostrę. W ścianach domu odbijał się echem głos nieobecnego mężczyzny.

Vianne stała przed domem Rachel. W to chłodne, późne popołudnie niebo miało barwę dymu. Liście na drzewach: szkarłatne, pomarańczowe i żółte, zaczynały już ciemnieć na brzegach. Niedługo opadną na ziemię.

Vianne wpatrywała się w drzwi, pragnąc, by nie musiała tu stać, ale w domu przeczytała listę nazwisk otrzymaną od kapitana Becka. Znajdował się na niej także Marc de Champlain.

Kiedy w końcu zebrała się na odwagę i zastukała, Rachel otworzyła niemal natychmiast, ubrana w wytartą podomkę i opadające wełniane pończochy. Narzucony na wierzch długi kardigan miała krzywo zapięty. Wyglądała na starą i zaniedbaną.

– Vianne! Chodź, chodź. Razem z Sarah przyrządzam pudding ryżowy, oczywiście jest w nim głównie woda z żelatyną, ale dodałam też odrobinę mleka.

Vianne z wysiłkiem przywołała uśmiech na twarz. Wraz z przyjaciółką poszła do kuchni i zgodziła się wypić filiżankę

gorzkiej namiastki kawy. Paplała właśnie coś o puddingu, czego z pewnością nie potrafiłaby powtórzyć, gdy nagle Rachel spojrzała jej prosto w oczy.

– Jakieś złe wieści?

Vianne umilkła. Pragnęła być silna, lecz nie mogła powstrzymać łez napływających do oczu.

– Zostań w kuchni – Rachel poleciła córce. – Jeśli braciszek się obudzi, to idź do niego. A ty – zwróciła się do Vianne – chodź ze mną. – Wzięła przyjaciółkę pod ramię i zaprowadziła do niewielkiej sypialni.

Vianne usiadła na brzegu łóżka i spojrzała Rachel w oczy. W milczeniu podała jej listę nazwisk jeńców wojennych.

– Trafili do niewoli, Rachel. Antoine, Marc i wielu innych. Nie wrócą szybko do domu.

Trzy dni później, w mroźny sobotni poranek, Vianne stała w klasie przed grupą kobiet siedzących w za ciasnych dla nich ławkach. Wyglądały na zmęczone i trochę wystraszone. Ostatnio nikt nie czuł się swobodnie w większych grupach. Nie było jasne, czy wolno rozmawiać o wojnie, a poza tym kobiety były wyczerpane wystawaniem od świtu w kolejkach. Wiecznie brakowało żywności, trzeba się było wyprawiać po nią na wieś, brakowało pieniędzy, więc trzeba było sprzedać porządne buty lub jedwabny szal, by móc kupić bochenek dobrego chleba. W kącie pod ścianą, z kolanami pod brodą, siedziały Sophie i Sarah, czytając wspólnie książkę.

Rachel z synkiem na ręku podeszła i zamknęła drzwi.

– Dziękuję za przybycie. Wiem, jakie to było trudne znaleźć czas na spotkanie z nami w nawale pilnych spraw – powiedziała.

Rozległ się przytakujący pomruk.

– Dlaczego tutaj jesteśmy? – zapytała pani Fournier.

Vianne wystąpiła naprzód. Nigdy nie pozbyła się uczucia zakłopotania w obecności niektórych z kobiet, gdyż wiele uważało ją za „obcą" i niezbyt lubiło. Zwłaszcza fakt, że Vianne „złapała" Antoine'a, najprzystojniejszego chłopaka w miasteczku, przysporzył jej licznych nieprzyjaciółek. Tamte czasy dawno minęły, Vianne uczyła dzieci tych kobiet i kupowała w ich sklepach, lecz uczucie skrępowania pozostało.

– Otrzymałam listę jeńców wojennych z naszego miasteczka. Bardzo mi przykro, ale muszę was zawiadomić, że wasi mężowie – a także mój i Rachel – znajdują się na niej. Powiedziano mi, że na razie nie wrócą do domów.

Urwała, czekając na reakcję zebranych. Na wpatrzonych w nią twarzach odmalowały się gniew i rozpacz. Wiedziała, że kobiety czują taki sam ból jak ona. Przykro było na to patrzeć. Poczuła, że oczy napełniają jej się łzami. Rachel wzięła ją za rękę i uścisnęła.

– Mam pocztówki – ciągnęła Vianne zmienionym głosem. – Oficjalnie zaaprobowane. Możemy napisać do naszych mężów.

– Skąd ma pani tyle pocztówek? – zdziwiła się madame Fournier.

– Poprosiła swojego Niemca o przysługę – wycedziła jadowicie żona piekarza.

– Nieprawda! To nie jest żaden mój Niemiec – żachnęła się Vianne. – To oficer, który został skierowany na kwaterę w moim domu. Mógł go zarekwirować w razie odmowy. Miałam pozwolić, żeby Niemcy zabrali mi Le Jardin? Po prostu odejść stamtąd i zostać z niczym? Zajęli przecież każdy hotel i wiele mieszkań w miasteczku. To, że ktoś kwateruje u mnie, nie jest niczym szczególnym.

Sykanie i pomruki. Część kobiet kiwała głowami, inne wydawały się nieprzekonane.

– Zabiłabym się raczej, niż wpuściła drania do domu – oznajmiła piekarzowa.

– Czyżby, Hélène? Czyżby? – odparła Vianne. – Czy najpierw zabiłabyś też swoje dzieci, a może wyrzuciłabyś je z domu na ulicę, żeby przeżyły jakoś na własną rękę?

Kobieta odwróciła wzrok.

– Zajęli cały mój hotel – przemówiła inna kobieta. – I na ogół zachowują się przyzwoicie. Są może trochę nieokrzesani. Dużo marnują.

– Przyzwoicie! – Piekarzowa wypluła to słowo. – Jesteśmy baranami przeznaczonymi na rzeź. Przekona się pani. Baranami, które pójdą pod nóż bez oporu, bez żadnej walki.

– Nie widziałam pani ostatnio w moim sklepie – pani Fournier zwróciła się z przyganą do Vianne.

– Siostra to za mnie załatwia – odparła Vianne. Wiedziała, dlaczego żona rzeźnika ją o to zagadnęła. Kobiety obawiały się, że Vianne może otrzymać i skorzystać ze szczególnych przywilejów, których one nie będą mieć. – Nie przyjęłabym żywności ani niczego od nieprzyjaciela. – Poczuła się raptem jak za dawnych szkolnych dni, kiedy musiała znosić ataki tak zwanych popularnych dziewczyn.

– Vianne stara się wam pomóc – odezwała się surowo Rachel, tocząc groźnym wzrokiem po zebranych. Wzięła pocztówki z rąk przyjaciółki i zaczęła rozdawać je kobietom.

Vianne usiadła i zapatrzyła się w pustą kartkę przed sobą.

Wokół rozlegało się skrobanie piór po papierze. Westchnęła i też zaczęła pisać.

Kochany Antoinie!

Czujemy się dobrze. Sophie tryska zdrowiem i choć mamy masę obowiązków, to jednak znalazłyśmy czas, by w lecie posiedzieć nad rzeką. Nie ma chwili, abym nie myślała o Tobie i nie modliła się o Twoje zdrowie. Nie martw się o nas i prędko wracaj do domu.

Kocham Cię, Antoinie.

Literki były tak drobne, że obawiała się, czy mąż zdoła je odczytać.

Czy w ogóle otrzyma tę kartkę.

Czy żyje.

Na litość boską, nie wolno się teraz rozpłakać.

Rachel podeszła do niej i położyła rękę na ramieniu.

– Wszystkie czujemy to samo – powiedziała cicho.

Po chwili kobiety zaczęły wstawać. Bez słowa podchodziły do Vianne i wręczały jej kartki pocztowe.

– Nie chciały cię obrazić – mruknęła Rachel. – Po prostu się boją.

– Ja też się boję – odparła Vianne.

Rachel przycisnęła pocztówkę do piersi, rozpostarła palce na niewielkim prostokącie, jakby chciała dotknąć każdego skrawka.

– Jak mogłoby być inaczej?

Gdy wróciły do Le Jardin, motocykl Becka stał zaparkowany na trawie przed bramą.

– Chcesz, żebyśmy weszły z tobą do domu? – zapytała Rachel.

Vianne ucieszyła się, że przyjaciółka się o nią troszczy, wiedziała, że gdyby poprosiła o pomoc, z pewnością by ją otrzymała, ale czy ktokolwiek mógł jej teraz pomóc?

– Nie, dzięki. Wszystko w porządku. Prawdopodobnie zapomniał czegoś i wkrótce zabierze się z powrotem. Ostatnio naprawdę rzadko tu bywa.

– Gdzie jest Isabelle?

– Dobre pytanie. Sama chciałabym wiedzieć. Wymyka się co piątek wcześnie rano, na długo przed świtem. – Nachyliła się do Rachel i szepnęła: – Przypuszczam, że spotyka się z jakimś chłopakiem.

– To dobrze.

Vianne nie znalazła na to odpowiedzi.

– Myślisz, że on zgodzi się wysłać dla nas te pocztówki? – zapytała Rachel.

– Mam nadzieję.

Vianne patrzyła chwilę przyjaciółce w oczy.

– Wkrótce wszystkiego się dowiemy – powiedziała w końcu i pożegnała się z Rachel. Weszła z Sophie do domu i poleciła córce pójść poczytać w pokoju na piętrze. Sophie przywykła do takich poleceń, więc nie protestowała. Vianne starała się jak tylko mogła separować dziewczynkę od Niemca.

Siedział przy stole w jadalni, mając przed sobą różne papiery. Kroki Vianne sprawiły, że podniósł wzrok. Wieczne pióro zawisło w powietrzu nad do połowy zapisaną kartką.

– O, jak miło. Cieszę się, że pani wróciła.

Podeszła nieśmiało, ściskając w dłoni plik związanych sznurkiem kartek pocztowych.

– Tu są pocztówki… napisane przez kobiety z miasteczka… do mężów… Nie wiemy, na jaki adres je wysłać, więc… miałam nadzieję, że pan mógłby nam pomóc.

Urwała skrępowana, przestępując z nogi na nogę.

– Oczywiście, z przyjemnością wyświadczę pani tę przysługę. Chociaż będzie to wymagało czasu i poszukiwań. – Wstał z miejsca, by okazać jej uprzejmość. – Tak się składa, że spisuję

właśnie pewną listę dla moich przełożonych w komendanturze. Potrzebne są im nazwiska niektórych nauczycieli ze szkoły, w której pani uczy.

– Ach tak – bąknęła, zastanawiając się gorączkowo, dlaczego Beck jej to mówi. Nigdy nie wspominał o pracy. Przecież praktycznie ze sobą nie rozmawiali.

– Żydzi. Komuniści. Homoseksualiści. Masoni. Świadkowie Jehowy. Czy zna pani takich ludzi?

– Jak pan wie, panie kapitanie, jestem katoliczką. W szkole nie poruszamy takich tematów. Nie mam pojęcia, czy ktoś jest masonem albo homoseksualistą.

– Aha. Ale zna pani inne osoby.

– Nie rozumiem…

– Wyrażam się niejasno. Proszę o wybaczenie. Bardzo mi zależy na tym, żeby podała mi pani nazwiska nauczycieli, którzy są Żydami albo komunistami.

– Do czego są panu potrzebne te nazwiska?

– Takie tam urzędnicze sprawy. Wie pani, Niemcy lubują się w układniu list. – Z uśmiechem przysunął jej krzesło.

Vianne popatrzyła na czystą kartkę papieru przed sobą, po czym przeniosła wzrok na trzymane w ręku pocztówki. Jeśli Antoine dostanie swoją, być może będzie jej mógł odpisać. Przynajmniej będzie wiedziała, że mąż żyje.

– To nie jest tajna informacja, panie kapitanie – powiedziała. – Każdy może panu podać te nazwiska.

– Przy pewnym wysiłku z mojej strony – Beck nachylił się do niej – będę prawdopodobnie mógł odszukać miejsce pobytu pani męża, a także wysłać mu paczkę od pani. Czy to pożądane?

– „Pożądane”, to niewłaściwe słowo. Chciał pan zapytać, czy tak będzie dobrze – poprawiła odruchowo, wyłamując palce. Wiedziała, że gra na zwłokę, a co gorsza, wiedziała także, że Beck też to wie.

– Dziękuję uprzejmie za lekcję pani pięknego języka. Proszę o wybaczenie. – Podał jej pióro. – Proszę się nie martwić, droga pani. To zwykła urzędnicza rutyna.

Vianne chciała odmówić, oświadczyć, że nie zamierza podawać żadnych nazwisk, ale co by przez to osiągnęła? Beck z łatwością mógłby uzyskać te informacje w miasteczku. Każdy wiedział, kto powinien się znaleźć na takiej liście. A za odmowę współpracy mógłby wyrzucić ją z domu i co by wtedy poczęła?

Wzięła pióro do ręki i zaczęła pisać. Gdy skończyła, spojrzała na kapitana.

– Gotowe – powiedziała cicho.

– Zapomniała pani o przyjaciółce.

– Tak?

– Z pewnością zależy pani na tym, żeby lista była kompletna.

Vianne nerwowo zagryzła wargi i spuściła wzrok. Raptem nabrała przekonania, że nie powinna tak łatwo się zgodzić na jego propozycję. Czy jednak miała wybór? Był panem w jej domu. Co mogłoby się stać, gdyby mu odmówiła? Powoli, czując mdłości, dopisała do listy ostatnie nazwisko.

Rachel de Champlain.

12

Pewnego szczególnie zimnego poranka pod koniec listopada Vianne obudziła się z twarzą mokrą od łez. Znowu śnił jej się Antoine.

Westchnęła i zwlokła się z łóżka, uważając, żeby nie obudzić Sophie. Vianne spała w ubraniu, w grubym swetrze, wełnianej kamizeli i pończochach oraz we flanelowych spodniach Antoine'a, w których skróciła nogawki. Na głowie miała włóczkową czapkę, na dłoniach rękawiczki bez palców. Nie było jeszcze nawet świąt Bożego Narodzenia, a ziąb stał się już tak przenikliwy, że musiała ubierać się na cebulkę. Założyła jeszcze ciepły kardigan, lecz i tak było jej zimno.

Wsunęła rękę w szczelinę pod materacem i wyciągnęła skórzany woreczek schowany tam przez Antoine'a. Nie zostało w nim wiele pieniędzy. Wkrótce będą żyły wyłącznie z jej nauczycielskiej pensyjki.

Ukryła woreczek z powrotem pod materacem (odkąd nadeszły chłody, przeliczanie banknotów stało się jej obsesją) i zeszła na parter.

Od pewnego czasu notorycznie brakowało wszystkiego. Nic nie działało jak dawniej. W nocy rury zamarzały i do południa nie było bieżącej wody. Vianne przywykła zostawiać w pobliżu kominka i piecyka wiadra z wodą do porannego mycia. W dostawach elektryczności, która wciąż drożała, zdarzały się dłuższe przerwy. Światło paliło się tylko w wyjątkowych

okolicznościach, więc często przesiadywały po ciemku. Coraz droższy i trudniej osiągalny był węgiel do palenia pod kuchnią

Vianne roznieciła ogień na kominku, owinęła się grubym pledem i usiadła na kanapie. Obok stał koszyk z robótką; jasnoniebieska włóczka pochodziła z jednego ze sprutych starych swetrów. Vianne dziergała szal na świąteczny prezent dla córki. Miała na to czas tylko wcześnie rano.

W ciszy zakłócanej jedynie trzaskaniem polan na kominku skupiła się na pracy, zwinnie i szybko migając drutami. Ta prosta czynność, tak bardzo uspokajająca, stała się dla niej ważnym porannym rytuałem. Jeśli uwolni myśli, będzie sobie mogła przypomnieć wskazówki matki, która siedziała przy niej i uczyła ją robić na drutach: „Jedno oczko prawe, dwa lewe… dobrze… bardzo ładnie…”.

Albo Antoine’a schodzącego na dół w samych skarpetkach i pytającego, co dziś na śniadanie.

Antoine…

Drzwi wejściowe uchyliły się powoli i do wnętrza domu wpadł lodowaty podmuch, niosąc zeschłe liście. Isabelle miała na głowie starą wełnianą czapkę Antoine’a, a dół twarzy owinęła grubym szalem, tak że widać było tylko oczy. Była w botach do kolan. Na widok Vianne zastygła w pół ruchu.

– O, już wstałaś… – Odwinęła z głowy szal i zdjęła gruby płaszcz. Wyraźnie unikała wzrokiem oczu siostry. – Poszłam sprawdzić, czy z kurami wszystko w porządku, bo strasznie gdakały.

Druty w rękach Vianne przestały migać.

– Równie dobrze możesz mi powiedzieć, jak się nazywa chłopak, z którym się potajemnie spotykasz.

– Kto łaziłby w taki ziąb na spotkanie z chłopakiem? – Isabelle podeszła do siostry, pociągnęła ją za ręce i zaprowadziła bliżej kominka.

Nagły powiew ciepłego powietrza sprawił, że Vianne zadrżała. Nie zdawała sobie sprawy, jak jest jej zimno.

– Ty – odparła zdziwiona, że się uśmiecha. – Ty wymknęłabyś się nawet w mróz, żeby się spotkać z chłopakiem.

– Musiałby być naprawdę przystojny. Co najmniej jak Clark Gable.

Do pokoju wpadła Sophie i przytuliła się do Vianne.

– Ale przyjemnie – zawołała, wyciągając ręce do ognia.

Na krótką, jakże miłą chwilę Vianne zapomniała o troskach.

– No, na mnie już czas. Chcę być pierwsza w kolejce do rzeźnika.

– Musisz coś zjeść przed wyjściem – zaprotestowała słabo Vianne.

– Oddaj moją porcję Sophie! – zawołała Isabelle, na powrót omotując głowę szalem.

Vianne odprowadziła ją do drzwi, a kiedy siostra rozpłynęła się w mroku, wróciła do kuchni, zapaliła lampę naftową i zeszła do piwnicy, gdzie na rzędach półek stały resztki zapasów. Dwa lata temu spiżarnia była przepełniona wszelkim dobrem: połciami boczku, wędzonymi szynkami, pętami suszonych kiełbas, glinianymi garnkami gęsiego smalcu i marynatami. Gdzie podziały się butelki winnego octu, puszki sardynek, słoje konfitur?

Obecnie nawet zapas kawy z cykorii był na wyczerpaniu. Na dnie szklanego słoja osiadła skamieniała resztka cukru, mąka była cenniejsza niż złoto. Dzięki Bogu z ogrodu warzywnego udało się zebrać dobre plony, pomimo obaw Vianne po zadeptaniu grządek przez uciekinierów wojennych. Zawekowała wszystkie owoce i warzywa, nawet te najmarniejsze.

Sięgnęła po resztkę bochenka żytniego chleba, który zaczynał już pleśnieć. Na śniadanie miało być gotowane jajko i kromka

pieczywa. Niewiele, ale mogło być gorzej.

– Jeszcze się nie najadłam – poskarżyła się Sophie.

– Nie mogę dać ci nic więcej – odparła Vianne z żalem.

– Niemcy zabierają nam wszystko – zawołała Sophie ze złością akurat w chwili, gdy Beck wyszedł z pokoju w swoim szarozielonym mundurze.

– Sophie – warknęła na córkę Vianne.

– Cóż, młoda damo, to prawda, że niemieccy żołnierze zabierają większość francuskiej żywności. Ale mężczyźni, którzy walczą, muszą się czymś żywić, nieprawdaż?

– Wszyscy muszą jeść – odparła kwaśno dziewczynka.

– Tak, panienko. Ale my, Niemcy, nie tylko zabieramy, lecz także dajemy przyjaciołom prezenty. – Z kieszeni spodni wyjął cienką tabliczkę czekolady.

– Czekolada!

– Sophie, nie – zaprotestowała Vianne, ale córka nie słyszała, pochłonięta zabawą z Beckiem, który udawał sztukmistrza, to chowając, to pokazując jej czekoladę. Na koniec wręczył ją Sophie, a ta z piskiem radości natychmiast rozerwała cynfolię.

– Wydaje się pani dzisiaj… smutna – powiedział cicho, podchodząc do Vianne.

Milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Uśmiechnął się i wyszedł. Doleciał ją odgłos uruchamianego silnika i warkot oddalającego się motocykla.

– Pycha – wybełkotała Sophie z ustami pełnymi lepkiej czekolady.

– Lepiej byłoby zjadać po kawałeczku co wieczór, zamiast pożerać całą na raz – rzekła pouczająco Vianne. – Że już nie wspomnę o podzieleniu się ze mną.

– Ciocia Isabelle powiada, że lepiej być dzielną niż słabą. I że jeśli się skoczy z wysokiego brzegu, to przed upadkiem przynajmniej się trochę polata.

– No tak, to całkiem do niej podobne. Może powinnaś ją zapytać o złamany nadgarstek, kiedy spadła z drzewa, na które nie powinna się wspinać. No chodź, idziemy do szkoły.

Na porytej zlodowaciałymi koleinami drodze gruntowej zaczekały na Rachel. Potem całą gromadką ruszyły w stronę miasteczka. Ziąb dawał się dotkliwie we znaki.

– Cztery dni temu skończyła mi się kawa – powiedziała Rachel. – Mówię to, żebyś wiedziała, dlaczego mam nastrój wiedźmy.

– Ja też mam ostatnio kiepski nastrój – odrzekła Vianne. Czekała na komentarz przyjaciółki, ale Rachel znała ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że to jeszcze nie wszystko, co Vianne ma do powiedzenia. – Jestem wiecznie zmęczona, to mnie przygnębia… Zresztą nie tylko to… – Przygnębiała ją zwłaszcza lista. Sporządziła ją już tydzień temu i nic dotąd się nie stało. Mimo to nie opuszczał jej ciągły niepokój.

– Martwisz się Antoine’em? Głodem? Tym, że zamarzniesz na śmierć? – Rachel posłała jej uśmiech. – Jakie to niewarte wzmianki drobnostki zaprzątają ostatnio twój umysł?

Rozległ się przenikliwy dźwięk szkolnego dzwonka.

– Pośpieszmy się, mamo, bo się spóźnimy – zawołała Sophie, łapiąc matkę za rękę.

Vianne pozwoliła się zaciągnąć po schodach na piętro. Z Sophie i Sarah weszła do swojej sali, gdzie uczniowie siedzieli już w ławkach.

– Spóźniła się pani – powiedział z żartobliwą przyganą Gilles. – To doprawdy niełądnie.

Klasa parsknęła śmiechem.

– Jak zwykle lubisz żartować, Gilles. – Vianne zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku. – Sprawdzimy, czy nadal będziesz się śmiał po klasówce z ortografii.

Uczniowie jęknęli zgodnym chórem i Vianne z trudem stłumiła uśmiech na widok ich posmutniałych twarzy. Zimna, zaciemniona sala, w dodatku słabo oświetlona, sama z siebie była przygnębiająca.

– Do licha, jaki tu ziąb! – zawołała. – Może lepiej pobawmy się w berka na boisku, to się rozgrzejemy.

W klasie rozległ się ryk entuzjazmu. Vianne ledwie zdążyła chwycić płaszcz z wieszaka, gdy porwała ją fala roześmianych dzieciaków.

Zaczęły się pościgi, lecz już po chwili Vianne usłyszała warkot samochodów zajeżdżających pod szkołę.

Dzieci nie zwróciły na to uwagi – ostatnio interesowały je chyba tylko samoloty – i kontynuowały zabawę.

Vianne podeszła do rogu budynku i wyjrzała zza węgła.

Na podjeździe stał szary opel, a za nim citroen francuskiej policji.

– Dzieci! – zawołała Vianne, biegnąc na boisko. – Chodźcie tutaj szybko! Stańcie przy mnie.

Zza rogu wyszło dwóch mężczyzn. Jednego nigdy dotąd nie widziała – wysokiego, eleganckiego blondyna o niemal zniewieściałej urodzie, w długim skórzanym płaszczu i lśniących oficerkach. Drugiego znała, od lat był policjantem w Carriveau. Nazywał się Paul Jeauelere. Antoine nieraz napomykał, że to podlec i w gruncie rzeczy tchórz.

– Madame Mauriac – powitał ją Francuz z krótkim, oficjalnym skinieniem.

Nie podobał jej się wyraz jego oczu. Tak czasem patrzyli na siebie chłopcy, kiedy zabierali się do dręczenia słabszego kolegi.

– Dzień dobry, Paul.

– Przyjechaliśmy po niektórych pani kolegów. Pani nie ma się czym przejmować, ta sprawa pani nie dotyczy. Nie ma pani na naszej liście.

Lista.

– Czego chcecie od moich kolegów? – wykrztusiła słabym głosem.

– Niektórzy nauczyciele zostaną dzisiaj zwolnieni.

– Zwolnieni? Ale dlaczego?

Niemiec machnął bladą dłonią, jakby odganiał natrętną muchę.

– Żydzi, komuniści i masoni – wyrzucił te słowa z pogardą. – Oraz inni – ciągnął – którym zabrania się uczyć w szkole, pracować w służbie cywilnej i sądownictwie.

– Ale…

Esesman skinął na policjanta, obaj zawrócili i równym krokiem pomaszerowali do szkoły.

– Proszę pani? – Czyjaś rączka pociągnęła ją za rękaw.

– Mamo? – Sophie zaczęła popłakiwać. – Dlaczego oni to robią?

– Bo są przeklętymi hitlerowskimi draniami – warknął Gilles. – Dlatego.

Vianne powinna go ofuknąć za używanie brzydkich słów, ale nie miała do tego głowy. Myślała tylko o liście, którą dała Beckowi.

Godzinami Vianne zmagała się ze swoim sumieniem. Przez większą część przedpołudnia prowadziła lekcje, ale niewiele z nich pamiętała. Przed oczami miała jeden obraz: spojrzenie, jakie posłała jej Rachel, kiedy wraz z innymi zwolnionymi nauczycielami opuszczała szkołę. W południe Vianne w końcu się poddała. Poprosiła kolegę o zastępstwo, a sama wybiegła do miasta.

Stała teraz na skraju głównego placu.

Przez całą drogę planowała, co powie, ale na widok flagi ze swastyką na merostwie jej determinacja osłabła. Gdzie spojrzała, widziała niemieckich żołnierzy maszerujących w patrolu lub jadących. Po drugiej stronie Niemiec kierujący ruchem ostro zagwizdał i kolbą karabinu powalił na kolana jakiegoś starca.

Rusz się, Vianne!

Z ociąganiem zaczęła wchodzić po kamiennych stopniach. Przed podwójnymi dębowymi drzwiami zatrzymał ją młody strażnik, pytając, w jakiej sprawie przychodzi.

– Mam się zobaczyć z kapitanem Beckiem – skłamała gładko.

Żołnierz kiwnął głową, wskazał drzwi i wystawił dwa palce. Drugie piętro.

Vianne znalazła się w głównym holu merostwa pełnym mężczyzn w mundurach. Spuściła głowę, starając się na nikogo nie patrzeć, i pośpieszyła na górę. Zaczęła wchodzić po schodach pod czujnym okiem führera, którego portret zajmował dobre pół ściany.

– Może mi pan wskazać drogę do kapitana Becka? – zaczepiła na drugim piętrze pierwszego napotkanego żołnierza.

Skinął głową, zaprowadził ją do drzwi na końcu długiego korytarza i krótko zastukał. Po usłyszeniu odpowiedzi otworzył je i gestem wskazał Vianne, by weszła.

Beck siedział za antycznym czarno-złotym biurkiem, zapewne zarekwirowanym z którejś z okolicznych rezydencji. Na ścianach wisiały mapy i portret Hitlera. Na biurku stała maszyna do pisania, a w kącie powielacz. W drugim piętrzyły się skonfiskowane radia, ale największe wrażenie zrobiła na Vianne żywność. Pod ścianami stały sterty pudeł z konserwami i wędzonkami, worki mąki i cukru, hermetyczne pudła ziarnistej kawy… Przełknęła głośno ślinę.

– O, pani Mauriac. – Beck zerwał się z krzesła. – Co za niespodzianka. – Podszedł do niej. – Czym mogę służyć?

– Chodzi o nauczycieli, których pan zwolnił ze szkoły.

– Nie ja, proszę pani.

Vianne zerknęła na otwarte drzwi do pokoju i nachyliła się do Becka, zniżając głos do szeptu.

– Zapewniał pan, że lista posłuży wyłącznie do celów ewidencyjnych.

– Przykro mi. Naprawdę tak mi mówiono.

– Szkoła ich potrzebuje.

– Pani wizyta tutaj… może być niebezpieczna. – Zbliżył się do niej jeszcze bardziej. – Nie chce pani ściągać na siebie uwagi. Nie tutaj. Jest pewien człowiek… – spojrzał na drzwi i urwał. – Proszę stąd iść, dobrze radzę.

– Żałuję, że mnie pan poprosił o tę listę.

– Ja także. – Spojrzał na nią ze współczuciem. – Proszę już iść. Nalegam. Nie powinna tu pani przychodzić.

Vianne odwróciła się od kapitana Becka, imponującej spiżarni oraz portretu führera i opuściła pokój. Schodząc, widziała, że żołnierze bez skrępowania obmacują ją spojrzeniami, wymieniając między sobą porozumiewawcze uśmiechy. Pewnie żartowali z kolejnej Francuzki, która w wiadomy sposób załatwiała sprawy z niemieckim oficerem. Lecz dopiero po wyjściu przed gmach merostwa w pełni zrozumiała swój błąd.

Po placu kręciło się kilka kobiet, które widziały, jak Vianne wychodzi z hitlerowskiego gniazda szerszeni.

Wśród nich znajdowała się Isabelle.

Vianne zbiegła ze schodów prosto na żonę piekarza Ruelle’a, który dostarczał chleb do komendantury.

– Nie chce pani porozmawiać, pani Mauriac? – zagadnęła drwiąco piekarzowa, gdy Vianne ją mijała.

Przez plac biegła do niej Isabelle. Vianne przystanęła z ociąganiem, nie chcąc bawić się w berka i zwracać na siebie uwagi. Po chwili siostra zrównała się z nią.

– Po co tam poszłaś? – zapytała oskarżycielskim tonem, a może Vianne tylko tak się wydawało.

– Zwolnili dzisiaj część nauczycieli. Na szczęście nie wszystkich, tylko komunistów i Żydów. – Na to okropne wspomnienie żółć podeszła jej do gardła. Opustoszały szkolny korytarz, zdezorientowanie pozostałych nauczycieli… Nikt nie wiedział, co robić, jak zaprotestować.

– Na szczęście nie wszystkich, co? – powtórzyła z przekąsem Isabelle.

– Nie miałam tego na myśli. Tak mi się niezręcznie powiedziało. – Nawet w jej uszach zabrzmiało to nieszczerze, więc umilkła.

– To nie tłumaczy twojej wizyty w komendanturze.

– Pomyślałam… że Beck będzie mógł nam pomóc. Pomóc Rachel.

– Poszłaś do Becka po przysługę?

– Musiałam.

– Francuzka nie prosi Niemca o pomoc, Vianne. Czy muszę ci to tłumaczyć?

– Wiem – mruknęła Vianne. – Ale…

– Ale co?

– To ja dałam mu listę nazwisk – wypaliła Vianne. Nie mogła tego dłużej ukrywać.

Isabelle zamarła. Wydawało się, że przestała oddychać. Spojrzenie, jakim obrzuciła siostrę, zabolało Vianne bardziej niż policzek.

– Jak mogłaś? Podałaś mu nazwisko Rachel?!

– N-nie wiedziałam – Vianne jąkała próżne usprawiedliwienia. – S-skąd niby miałam wiedzieć? Mówił, że to

do ewidencji. – Chwyciła siostrę za rękę. – Wybacz mi, Isabelle. Uwierz… Naprawdę nie wiedziałam.

– To nie mnie powinnaś prosić o przebaczenie.

Vianne poczuła gorące ukłucie wstydu. Jak mogła być taka głupia? Czy uda się jeszcze naprawić ten błąd? Spojrzała na zegarek. Lekcje niedługo się skończą.

– Pójdź do szkoły – poprosiła martwym głosem – i zabierz Sophie razem z Sarah do domu. Ja mam jeszcze coś do zrobienia.

– Mam nadzieję, że dobrze to sobie przemyślałaś.

– Idź już – odparła Vianne ze znużeniem w głosie.

Niewielka normańska kaplica pod wezwaniem św. Joanny stała na skraju miasteczka. Za nią wznosił się średniowieczny klasztor sióstr od św. Józefa, które prowadziły sierociniec i szkołę.

Vianne weszła do wnętrza. Jej kroki rozbudziły echo między starymi zimnymi murami, z ust ulatywały obłoczki pary. Zdjęła na chwilę rękawiczki, by czubkami palców dotknąć zamarzniętej wody święconej. Uczyniła znak krzyża i podeszła do rzędu ławek. Przyklękła, po czym padła na kolana. Zamknąwszy oczy, skłoniła głowę w modlitewnej pokorze.

Potrzebowała porady i przebaczenia, ale po raz pierwszy w życiu nie znajdowała słów, jakimi mogłaby się modlić. Popełniła niewybaczalny błąd, wykazała się bezbrzeżną głupotą.

Bóg zobaczy jej winę i lęk – i to On ją osądzi. Opuściła ręce złożone do modlitwy i podniosła się z klęczek, żeby usiąść na twardej ławie.

– Madame Mauriac?

Matka przełożona Marie-Thérèse usiadła obok. Czekała, żeby Vianne przemówiła pierwsza. Zawsze tak się zachowywała. Gdy Vianne po raz pierwszy przyszła do zakonnicy po radę, miała szesnaście lat i była w ciąży. To matka przełożona pocieszała ją po tym, gdy od ojca usłyszała, że jest bezwstydnicą, to ona zaplanowała szybki ślub i namówiła jej ojca, żeby przekazał córce i zięciowi Le Jardin. I co najważniejsze, zapewniała przestraszoną dziewczynę, że dziecko zawsze jest cudem, a miłość jest zdolna pokonać wszelkie przeszkody.

– Wiesz, matko, że w moim domu kwateruje pewien niemiecki oficer – zaczęła Vianne bez zbędnego wstępu.

– Tak jak w każdym większym domu i wszystkich hotelach w okolicy.

– Zapytał mnie, którzy nauczyciele są Żydami albo komunistami.

– Ach. A ty mu odpowiedziałaś.

– Isabelle słusznie nazwała mnie idiotką, prawda?

– Nie jesteś idiotką, Vianne. – Zakonnica uważnie jej się przyjrzała. – A twoja siostra jest skłonna do pochopnych ocen. Przynajmniej tak ją zapamiętałam.

– Zadaję sobie pytanie, czy Niemcy poznaliby te nazwiska bez mojej pomocy.

– Powyrzucali Żydów ze stanowisk w całym miasteczku. Nie wiedziałaś o tym? Pan Penoir nie jest już dłużej listonoszem, sędzia Braias został zdjęty ze stanowiska. Słyszałam wieści z Paryża, ponoć dyrektorka Collége Sévigné została zmuszona do rezygnacji, podobnie jak wszyscy żydowscy śpiewacy z Opery. Może twoja pomoc była im potrzebna, a może nie. Niewątpliwie znaleźliby te nazwiska i bez ciebie. – Zakonnica mówiła głosem łagodnym, a zarazem surowym. – Nie to jednak się liczy.

– Co matka ma na myśli?

– Wydaje mi się, że skoro trwa wojna, powinniśmy uważniej zajrzeć w głąb siebie. Tu chodzi nie tyle o nich, ile o nas.

Łzy napłynęły Vianne do oczu.

– Ja już nie wiem, co robić. Antoine zawsze się wszystkim zajmował. Wehrmacht i gestapo to więcej, niż mogę udźwignąć.

– Nie zastanawiaj się nad tym, kim oni są. Myśl raczej o tym, kim ty jesteś, co możesz bezpiecznie poświęcić, a co może cię złamać.

– To wszystko mnie załamuje. Muszę brać przykład z Isabelle. Ona jest taka pewna siebie i swoich wyborów. Wojna jest dla niej czarno-biała. Nic jej nie przeraża.

– Isabelle także będzie przeżywała kryzys wiary we własne siły. Tak będzie z nami wszystkimi. Przeżyłam Wielką Wojnę i wiem, że trudności dopiero się zaczynają. Pamiętaj, musisz być silna.

– Dzięki wierze w Boga.

– Tak, oczywiście, ale nie tylko dzięki temu. Obawiam się, że wiara i modlitwa nie wystarczą. Ścieżka prawości jest często niebezpieczna. Bądź gotowa, Vianne. To dopiero twoja pierwsza próba. Niech będzie dla ciebie nauczką na przyszłość. – Zakonnica objęła ją i lekko przytuliła.

Vianne przycisnęła twarz do szorstkiego habitu. Kiedy się wyprostowała, było jej odrobinę lepiej.

Matka przełożona wstała, ujęła Vianne za rękę i pociągnęła, dając tym znak, by ona też się podniosła.

– Może znajdziesz trochę czasu, żeby odwiedzić dzieci i dać im lekcję rysowania? One to bardzo lubią. Jak się domyślasz, trudno nam je ostatnio wyżywić i dzieciaki czasem się skarżą. Przydałoby im się trochę rozrywki. Dzięki bożej łasce mamy plony z ogrodu, kozie mleko i sery, mimo wszystko jednak…

– Tak – powiedziała Vianne. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak dzieci reagują na konieczność zaciskania pasa.

– Pamiętaj, nie jesteś sama i nie ty decydujesz – dodała łagodnie zakonnica. – Proś o pomoc, kiedy jej potrzebujesz, i pomagaj, kiedy możesz. Tak służymy Panu oraz innym ludziom i sobie w tych mrocznych, ponurych czasach.

„Nie ty decydujesz”.

Przez całą drogę do domu Vianne rozmyślała nad słowami matki przełożonej.

Wiara zawsze stanowiła dla niej wielką pociechę. Kiedy mama zaczęła najpierw kasłać, a potem ten kaszel przerodził się w męczące napady, po których zostawały ślady krwi na chusteczce, Vianne modliła się do Boga o wszystko. O pomoc. O radę. O sposób oszukania śmierci, której cień czaił się w pobliżu o każdej porze dnia i nocy. Mając czternaście lat, przyrzekłaby Bogu cokolwiek by zechciał, byle tylko oszczędził życie jej matki. Choć modlitwy nie zostały wysłuchane, nie przestała prosić Boga o siłę, by poradzić sobie z tragedią, jaka ją spotkała, i jej skutkami: dojmującym osamotnieniem, gniewnym milczeniem ojca i jego atakami furii po pijanemu, płaczliwym naprzykrzaniem się młodszej siostry.

Zawsze wracała do Boga, błagając Go o pomoc, przyrzekając wiarę. Pragnęła ufać, że nie jest sama i nie ona decyduje, a jej życie przebiega zgodnie z Jego boskim planem, nawet jeśli ona nie może tego zobaczyć ani pojąć.

Teraz jednak ta nadzieja wydała jej się słaba i żałośnie krucha.

Była sama, o wszystkim zaś decydowali hitlerowcy.

Popełniła straszliwy, pożałowania godny błąd. Nie mogła tego cofnąć, choćby jeszcze nie straciła na to nadziei, musiała ponieść konsekwencje swego czynu. Przyzwoita osoba

akceptuje odpowiedzialność – i potępienie – i prosi o wybaczenie. Zamierzała pozostać przyzwoitą osobą.

Już wiedziała, co musi zrobić.

Wiedziała, mimo to, gdy stanęła pod skromnym domkiem Rachel, nie mogła się zmusić do uczynienia najmniejszego ruchu. Stopy jej ciążyły, a serce jeszcze bardziej.

Wzięła głęboki oddech i zapukała do drzwi. Usłyszała szuranie stóp i drzwi się otworzyły. Oczom Vianne ukazała się Rachel z synkiem na ręku i swetrem przewieszonym przez ramię.

– Vianne – powiedziała z uśmiechem. – Wejdź, proszę.

Vianne omal nie stchórzyła. Już chciała powiedzieć, że przechodziła obok i wpadła tylko zapytać, co słychać, wzięła się jednak w garść i ruszyła za przyjaciółką w głąb domu. Zajęła ulubione miejsce w fotelu przy kominku.

– Potrzymaj Ariego, zaparzę nam kawy.

Vianne wzięła śpiące dziecko na ręce. Przez sen przytulił się do niej mocno, gdy pogłaskała go po pleckach i pocałowała w czubek głowy.

– Podobno Czerwony Krzyż dostarcza paczki jeńcom wojennym w obozach – powiedziała Rachel, wchodząc do pokoju z dwoma kubkami parującej kawy z cykorii. Postawiła jeden przed Vianne i usiadła. – Gdzie dziewczynki?

– U mnie w domu z Isabelle. Pewnie uczą się strzelać czy coś w tym rodzaju.

– Są gorsze zajęcia – roześmiała się Rachel, moszcząc się wygodniej.

Vianne wciągnęła głęboko słodycz dziecięcego zapachu. Gdy podniosła wzrok, spostrzegła, że Rachel uważnie jej się przygląda.

– Czy to jeden z tych dni? – zapytała cicho.

Vianne uśmiechnęła się blado. Rachel dobrze wiedziała, że czasem Vianne popada w przygnębienie, opłakując utracone dzieci i modląc się o nowe potomstwo. Kiedy Rachel zaszła w ciążę i urodziła synka, ich stosunki przejściowo trochę się popsuły. Radość ze szczęścia przyjaciółki podszyła zazdrość.

– Nie – odparła Vianne i spojrzała Rachel prosto w oczy. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Czy pamiętasz ten dzień, kiedy pisałyśmy kartki do naszych mężów? A w domu czekał na mnie Beck?

– Tak. Proponowałam, że wejdę tam z tobą.

– Szkoda, że tak się nie stało, chociaż wątpię, żeby to coś zmieniło. Pewnie zaczekałby, aż wyjdziesz.

– Czy on… – Rachel zaczęła podnosić się z miejsca.

– Nie, nie – zapewniła Vianne pośpiesznie. – Nie o to mi chodzi. Siedział wtedy w salonie nad jakimiś papierami. Poprosił mnie, żebym podała mu listę nazwisk. Chciał wiedzieć, którzy nauczyciele są Żydami lub komunistami. – Urwała. – Wspomniał też o masonach i homoseksualistach, jakby kogoś interesowały takie sprawy.

– Oczywiście odpowiedziałaś mu, że nie wiesz.

Wstyd kazał Vianne odwrócić spojrzenie, ale tylko na moment. Zmusiła się, żeby mówić dalej.

– Podałam mu twoje nazwisko, Rachel. Wraz z kilkoma innymi.

Rachel znieruchomiała, krew odpłynęła jej z twarzy. Ciemne oczy stały się czarne jak węgle.

– Dlatego nas wyrzucili.

Vianne skinęła głową, przełykając ślinę.

Rachel wstała chwiejnie i wyminęła Vianne, ignorując jej błagalne „proszę cię, Rachel” i odsuwając się gwałtownie, gdy

przyjaciółka chciała ją złapać za ramię. Weszła do sypialni i z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi.

Czas wlókł się, wypełniony nieskładnymi modlitwami, skrzypieniem fotela, wzdychaniem. Vianne wpatrywała się w czarne wskazówki zegara. W rytm ich przesuwania się głaskała plecy śpiącego dziecka.

W końcu drzwi od sypialni się otworzyły i Rachel wróciła do pokoju. Była rozczochrana, jakby wichrzyła sobie włosy palcami, na jej policzkach wykwitły czerwone plamy. Oczy miała zapuchnięte od płaczu.

– Tak mi przykro – powiedziała Vianne, wstając. – Wybacz mi, błagam.

Rachel stanęła przed nią, patrząc z góry. Jej gniew z wolna przechodził w rezygnację.

– Wszyscy w Carriveau wiedzą, że jestem Żydówką, Vianne. Zawsze byłam z tego dumna.

– Wiem. Tak właśnie sobie powtarzałam. Mimo to nie powinnam mu pomagać. Tak mi przykro. Za nic nie chciałabym cię skrzywdzić. Mam nadzieję, że to wiesz.

– Oczywiście – odrzekła cicho Rachel. – Ale musisz być bardziej ostrożna, Vi. Wiem, że Beck jest młody, przystojny i uprzejmy, ale to hitlerowiec, a oni są niebezpieczni.

Zima 1940 roku była najzimniejsza, odkąd ludzie sięgali pamięcią. Śnieg padał dzień po dniu, pokrywając pola i lasy bielą, na gałęziach drzew wisiały sople lodu.

Mimo to Isabelle pracowała w każdy piątkowy poranek przed świtem, roznosząc „terrorystyczne odezwy”, jak zaczęli je nazywać Niemcy. W ostatniej ulotce była mowa o operacji wojskowej w Afryce Północnej oraz o tym, że przyczyną braków

w zaopatrzeniu nie były wcale blokady stosowane przez Anglików, jak głosiła niemiecka propaganda, lecz rabunkowa gospodarka okupantów, którzy rekwirowali wszystko, co udało się wyprodukować we Francji.

Isabelle roznosiła ulotki już od wielu miesięcy i szczerze mówiąc, nie widziała, żeby robiły na mieszkańcach Carriveau jakiekolwiek wrażenie. Wielu z nich wciąż popierało Pétaina. Jeszcze innych niewiele to obchodziło. Niepokojąco dużo sąsiadów patrzyło na Niemców, myśląc, „jacy młodzi, to jeszcze chłopcy", po czym spuszczało głowy i wracało do swoich spraw, starając się nie narażać na niebezpieczeństwo.

Do okupantów za to szybko dotarło istnienie buntowniczych druków. Niektórzy Francuzi, mając nadzieję na nagrodę w postaci dodatkowych przydziałów żywności, skwapliwie zanosili wyjęte ze skrzynek odezwy do komendantury.

Isabelle wiedziała, że Niemcy wprawdzie poszukują osób drukujących i roznoszących ulotki, ale niezbyt gorliwie. Zwłaszcza w tych mroźnych dniach, kiedy trwały naloty Luftwaffe na Anglię, Niemcy uważali, że słowa na świstku papieru nie wystarczą, by odwrócić bieg wojny.

Isabelle leżała w łóżku przytulona do zwiniętej w kłębek Sophie, z drugiej strony dziewczynki pochrapywała przez sen Vianne. Wszystkie trzy sypiały teraz ciasno przytulone w jednym łóżku, nakrywając się kocami i narzutami, jakie zdołały znaleźć. Isabelle obserwowała unoszące się z jej ust obłoczki pary.

Wiedziała, jakie zimne będą deski podłogi, nawet przez grube wełniane skarpety, które wkładała do spania. Wiedziała, że te chwile pod kołdrą są ostatnimi w ciągu dnia, kiedy będzie jej względnie ciepło i przytulnie. Zebrała się w sobie i wygramoliła spod sterty kołder i koców. Sophie zajęczała przez sen i instynktownie przysunęła się do matki.

Gdy Isabelle postawiła stopy na podłodze, ból przeszył ją aż do łydek. Skrzywiła się i utykając, wyszła z pokoju.

Schody zdawały się nie mieć końca, tak bardzo bolały ją stopy. Przeklęte odmrożenia. Tej zimy wszyscy na nie cierpieli. Ponoć miało to związek z niedoborem masła i innych tłuszczów, ale Isabelle miała na ten temat swoje zdanie. Odmrożenia brały się z zimna, dziurawych skarpet i rozłażących się w szwach butów.

Chciała rozpalić ogień na kominku, by zaznać jeszcze odrobiny ciepła, ale brakowało opału. Pod koniec stycznia obie z Vianne zaczęły rozbierać wewnętrzne elementy stodoły i palić porąbanymi na mniejsze kawałki deskami, starymi krzesłami, skrzynkami na narzędzia i wszystkim, co nadawało się do spalenia. Isabelle zagotowała kubek wrzątku i wypiła, parząc sobie wargi. Gorący płyn miał oszukać żołądek i sprawić wrażenie, że jest pełny. Zjadła kromkę czerstwego chleba, ukryła na ciele plik nowych ulotek i założyła grubą kurtkę Antoine'a, rękawiczki i wysokie buty. Jak miała w zwyczaju, głowę w czapce owinęła grubym wełnianym szalem i wyszła. Było tak zimno, że nie mogła oddychać. Zamknęła drzwi i powlokła się, brnąc w sypkim śniegu i zagryzając z bólu wargi. Odmrożone stopy dawały jej się mocno we znaki, pomimo rękawiczek niemal od razu straciła czucie w palcach.

Na dworze było upiornie cicho. Przebrnęła w śniegu do bramy i wyszła na drogę.

Z powodu śniegu i mrozu rozniesienie ulotek zajęło jej trzy godziny (w tym tygodniu tematem był blitzkrieg – Niemcy tylko jednej nocy zrzucili na Londyn trzydzieści dwa tysiące bomb). Nadszedł świt, blady jak bezmięsny rosół. Isabelle była pierwsza w kolejce do rzeźnika, ale niebawem nadeszły inne kobiety. O siódmej rano żona właściciela sklepu podniosła żaluzje w oknach i otworzyła drzwi.

– Kalmary – oznajmiła zwięźle.

– Nie ma mięsa? – zapytała dziewczyna, czując ukłucie rozczarowania.

– Nie dla Francuzów, panienko.

Z tyłu doleciało gniewne mamrotanie kobiet, które także liczyły na jakiś kawałek. Te stojące na końcu wiedziały, że dla nich prawdopodobnie nic już nie zostanie.

Isabelle włożyła do koszyka pakunek z kalmarami. Przynajmniej zdobyła cokolwiek jadalnego. Mleko w puszkach się skończyło, nie można go było kupić na kartki ani nawet na czarnym rynku. Po dwóch godzinach czekania w innej kolejce uznała się za szczęściarę, gdy zdobyła kawałek camemberta. Nakryła cenną zdobycz ściereczką i utykając, ruszyła ulicą Victora Hugo.

Mijając kawiarnię pełną Niemców i francuskich policjantów, poczuła zapach świeżo zaparzonej kawy i ciepłych rogalików maślanych. Zaburczało jej w żołądku.

– Panienko.

Francuski policjant lekko zniecierpliwionym gestem nakazał jej się odsunąć. Cofnęła się więc i z boku obserwowała, jak w oknie wystawowym opuszczonego sklepu przedstawiciel władzy nakleja dwa obwieszczenia. Pierwsze informowało:

ZOSTALI ROZSTRZELANI ZA SZPIEGOSTWO: JACOB MANSARD – ŻYD, VIKTOR JABLONSKI – KOMUNISTA, LOUIS DEVRY – ŻYD.

Drugie zaś:

WSZYSCY OBYWATELE NARODOWOŚCI FRANCUSKIEJ ARESZTOWANI ZA JAKIEKOLWIEK PRZESTĘPSTWA LUB WYKROCZENIA BĘDĄ ODTĄD UWAŻANI ZA

ZAKŁADNIKÓW. W RAZIE WYKRYCIA NA TERENIE FRANCJI WROGIEGO DZIAŁANIA PRZECIWKO TRZECIEJ RZESZY ZAKŁADNICY ZOSTANĄ NATYCHMIAST ROZSTRZELANI.

– Zabijają zwykłych Francuzów za nic? – odważyła się zapytać.

– Cóż to panienka tak pobladła? Te ostrzeżenia nie dotyczą takich ładnych dziewczyn.

Isabelle spiorunowała go wzrokiem. Był gorszy od Niemców, bo współpracował z nimi na szkodę swoich ziomków. Marionetki w rękach hitlerowców.

– Dobrze się panienka czuje?

Jaki opiekuńczy. Jaki troskliwy. Ciekawe, co by zrobił, gdyby nazwała go zdrajcą i napluła mu w twarz? Zacisnęła pięści.

– Nic mi nie jest.

Patrzyła za nim, jak pewnym krokiem przechodzi przez ulicę, sztywno wyprostowany, z kepi równo nasadzonym na krótko ostrzyżone ciemne włosy. Kiedy otworzył drzwi kawiarni, dojrzała, że Niemcy przy stoliku przywitali go z sympatią, poklepując po plecach i robiąc miejsce w swym kręgu.

Isabelle z niesmakiem odwróciła wzrok.

Wtedy zobaczyła srebrzysty rower oparty o ścianę budynku. Przemknęło jej przez myśl, jak posiadanie go ułatwiłoby jej życie, jak łatwo i bezboleśnie mogłaby się co dzień dostawać do miasteczka.

W ten zimowy, mroźny poranek stoliki przed kawiarnią nie były rozstawione i nikt nie interesował się rowerem.

Nie rób tego, upomniała się w duchu.

Serce zabiło jej szybciej, w rękawiczkach zwilgotniały wnętrza dłoni. Nerwowo rozejrzała się na boki. Stojące w kolejce przed sklepem rzeźnika kobiety miały wzrok wbity

w ziemię. Okna kawiarni po przeciwnej stronie ulicy były zaparowane, ledwo można było dostrzec zamazane sylwetki Niemców siedzących w środku.

Tacy pewni siebie.

Pewni swojej władzy.

Ta myśl uwolniła Isabelle od wszelkich zahamowań. Przyciskając koszyk do boku, ruszyła śliską brukowaną uliczką. Świat wokół niej stał się rozmazany, czas zwolnił bieg. Słyszała świst swego oddechu, widziała obłoczki pary. Tańczące w powietrzu płatki śniegu utrudniały widoczność, aż w końcu Isabelle miała przed oczami jedynie matowy połysk ramy roweru i dwie czarne opony.

Był tylko jeden sposób dokonania tego. Szybki. Bez chwili wahania czy rozglądania się na boki.

Zaszczekał pies. Trzasnęły drzwi.

Isabelle szła, od roweru dzieliło ją jeszcze najwyżej pięć kroków.

Cztery.

Trzy.

Dwa.

Weszła na chodnik, chwyciła kierownicę i wskoczyła na siodełko. Ruszyła szybko ulicą, pobrzękując łańcuchem na wybojach. Skręciła za rogiem, omal nie upadła, i popedałowała w stronę ulicy La Grande.

Dojechawszy na miejsce, zeskoczyła z roweru i zastukała do drzwi. Cztery razy, mocno.

Drzwi uchyliły się powoli. Na jej widok Henri zmarszczył czoło.

Przepchnęła się obok niego do pokoju.

W środku panował półmrok. Na niedużym kwadratowym stole stała lampa naftowa, jedyne źródło światła. Nie było nikogo poza Henrim, który akurat napychał kiełbasy. Na

wieszakach po czapkach wisiały gotowe pęta. Cuchnęło mięsem, czosnkiem i papierosami. Isabelle pośpiesznie wprowadziła rower i zamknęła drzwi.

– Dzień dobry – powiedział, wycierając dłonie w ścierkę. – Czy zostało zwołane spotkanie, o którym nie wiem?

– Nie.

– To nie jest twój rower – zauważył po chwili.

– Ukradłam go – przyznała. – Prosto spod ich nosa.

– To jest, a raczej był, rower Alaina Deschampa. Na początku okupacji zostawił tu wszystko i wraz z rodziną uciekł do Lyonu. Jakiś czas temu widziałem, jak jechał na nim esesman.

– Esesman? – Radość Isabelle się ulotniła. O okrucieństwie i bezwzględności SS krążyło wiele nieprzyjemnych pogłosek. Może powinna była jednak dokładniej przemyśleć swój zamiar.

Henri podszedł tak blisko, że wyczuwała bijące od niego ciepło.

Nigdy dotąd nie była z nim sam na sam. Po raz pierwszy dostrzegła, że jego oczy nie są piwne ani zielone, lecz raczej fiołkowoszare jak osnuty mgłą gęsty las. Nad brwią miał bliznę, prawdopodobnie po źle zaszytej ranie. Ciekawe, jakie życie wiódł wcześniej i co sprowadziło go tutaj, do małego Carriveau? Skąd w ogóle wzięły się jego komunistyczne poglądy? Był co najmniej o dekadę starszy od niej, choć czasami wydawało się, że więcej, jakby życie ciężko go doświadczyło.

– Będziesz go musiała przemalować – powiedział.

– Nie mam farby.

– Ja mam.

– Czy mógłbyś…

– Za całusa.

– Całusa? – powtórzyła, chcąc zyskać na czasie. Przed wojną uważała za normalne, że mężczyźni czują na jej widok pożądanie. Pragnęła powrotu tych czasów, wtedy mogłaby

flirtować z Henrim, ale teraz ten pomysł wydawał się smutny i nieco niestosowny. Jak gdyby pocałunki i flirty przestały mieć obecnie znaczenie.

– Jeden całus, a przez noc pomaluję ci rower i będziesz go mogła rano odebrać.

Zbliżyła się i uniosła ku niemu twarz.

Przywarli ciasno do siebie mimo grubej warstwy odzieży. Henri otoczył ją ramionami i mocno pocałował. Przez jedną cudowną sekundę znów była sobą sprzed wojny, Isabelle Rossignol, śliczną dziewczyną, której pożądali mężczyźni.

Kiedy pocałunek się skończył i Henri wypuścił ją z objęć, poczuła się jak przekłuty balon. Zrobiło jej się bardzo smutno.

Powinna się odezwać, może zażartować albo udać, że ta krótka chwila była dla niej czymś więcej niż w rzeczywistości. Tak postępowała w przeszłości, gdy pocałunki znaczyły więcej, a może jednak mniej…

– Masz kogoś – rzekł Henri, patrząc jej w oczy.

– Nie.

– Bujasz. – Pogładził ją lekko po policzku.

Pomyślała o wszystkim, co Henri jej ofiarował. Wprowadził ją do francuskiego ruchu oporu, dał jej szansę działania i wierzył w nią. Mimo to, kiedy ją całował, myślała o Gaëtonie.

– Nie zależało mu na mnie – powiedziała. Po raz pierwszy wyznała to komuś. Ją samą to zaskoczyło.

– W innych okolicznościach postarałbym się, żebyś o nim zapomniała.

– A ja pozwoliłabym ci na to.

Uśmiechnął się do niej, ale bez wesołości.

– Niebieski – powiedział po chwili.

– Niebieski?

– Taką mam farbę.

– Bardzo dobrze – ucieszyła się.

Stojąc później w długich kolejkach po ochłapy żywności, zbierając chrust w lesie, porządkując piwnicę, myślała o tym pocałunku.

Gdyby tylko… – powtarzała sobie wciąż od nowa.

13

Pewnego pięknego dnia pod koniec kwietnia 1941 roku Isabelle leżała na kocu na skraju łąki za domem. Wokół roznosił się słodki zapach kwiatów. Gdy zamykała oczy, udawało jej się zapominać, że dolatujący z oddali warkot silników to niemieckie ciężarówki wożące żołnierzy i ładunki na dworzec kolejowy w Tours. Po katastrofalnie mroźnej zimie promienie słońca pieszczące jej skórę były prawdziwą rozkoszą, która z lekka oszałamiała.

– Tutaj jesteś.

Isabelle westchnęła i usiadła.

Vianne była ubrana w wytartą niebieską sukienkę z perkalu, wyszarzałą od prania w mydle domowej roboty. Po zimie wychudła, rysy jej się wyostrzyły, kości obojczyków sterczały, jakby była szkieletem. Na głowie miała turban ze starej chustki, pod którym skrywała matowe, pozbawione blasku włosy.

– To dla ciebie – powiedziała Vianne, podając siostrze kartkę papieru. – Przyniósł jakiś mężczyzna. Dla ciebie – powtórzyła niepotrzebnie.

Isabelle wstała nieco chwiejnie i wzięła kartkę z jej rąk. Było na niej krzywo nabazgrane: „Zasłony są odsłonięte”. Schyliła się i zaczęła składać koc. Co to miało znaczyć? Nigdy dotąd jej nie wzywali. Musiało się wydarzyć coś ważnego.

– Isabelle? Wytłumaczysz mi, o co chodzi?

– Nie.

– Przyniósł to Henri Navarre. Syn właściciela hotelu. Nie wiedziałam, że go znasz.

Isabelle podarła kartkę na drobniutkie strzępy i rzuciła je na trawę.

– To komunista, wiedziałaś o tym? – dodała szeptem siostra.

– Muszę już iść.

– Nie wierzę, że przez całą zimę wymykałaś się na randki z komunistą. – Vianne przytrzymała siostrę za rękę. – Przecież wiesz, jak Niemcy ich traktują. Niebezpiecznie jest być widzianą w towarzystwie takiego człowieka.

– Naprawdę sądzisz, że obchodzi mnie, co myślą Niemcy? – odparła Isabelle, wyrywając rękę. Boso pobiegła po trawie do domu, znalazła pantofle i wskoczyła na rower. Rzuciwszy oniemiałej Vianne – pa! – popedałowała szybko do miasteczka.

Przejechała obok nieczynnego sklepu modystki, gdzie zasłony rzeczywiście były odsunięte, skręciła w zaułek i zahamowała przed drzwiami.

Oparła rower o mur i zastukała mocno cztery razy. Dopiero przy ostatnim stuknięciu zaświtało jej, że to może być pułapka. Spłoszona rozejrzała się na boki, ale i tak było już za późno.

Drzwi otworzył Henri.

Isabelle wpadła do środka. W zadymionym pokoju śmierdziało przypaloną kawą z cykorii i przyprawami, pewnie po niedawnym wyrobie kiełbasy. Osiłek Didier, który przyłapał ją kiedyś na mazaniu kredą po plakacie, siedział na krześle tak mocno odchylonym do tyłu, że przednie nogi uniosły się do góry, a oparcie dotykało ściany.

– Nie powinieneś przynosić wiadomości do mnie do domu, Henri. Siostra nabrała podejrzeń.

– Musieliśmy natychmiast z tobą porozmawiać.

Isabelle poczuła przypływ radosnego podniecenia. Czy zaproponują jej wreszcie coś poważniejszego niż roznoszenie

ulotek?

– Słucham.

Henri zapalił papierosa. Widziała, że uważnie ją obserwuje. Wypuścił kłąb dymu i zapytał.

– Słyszałaś o prefekcie Chartres, którego aresztowano i torturowano za to, że jest komunistą?

– Nie.

– Wolał podciąć sobie gardło odłamkiem szkła, niż podać nazwiska swoich towarzyszy. – Henri przygasił papierosa na podeszwie buta i schował niedopałek na później. – Zbiera grupę ludzi podobną do naszej, takich, którzy chcą czynnie odpowiedzieć na apel de Gaulle'a. Planuje przedostać się do Londynu, żeby porozmawiać z generałem osobiście. Chce zorganizować siatkę ruchu oporu.

– Przeżył po podcięciu sobie gardła? – zdziwiła się Isabelle. – A co z jego strunami głosowymi?

– W porządku. Nazywają to cudem – wtrącił Didier.

– Mam list, bardzo ważny – ciągnął Henri, bacznie się jej przyglądając – który trzeba dostarczyć naszemu człowiekowi w Paryżu. Niestety, ostatnio bez przerwy za mną chodzą. Tak samo za Didierem.

– Więc pomyśleliśmy o tobie – powiedział osiłek.

– O mnie?

Henri wyjął z kieszeni pogniecioną kopertę.

– Zawieziesz to naszemu człowiekowi do Paryża? Spodziewa się wiadomości w ciągu tygodnia, licząc od dziś.

– Ale… ja nie mam ausweisu.

– Zgadza się – przyznał Henri. – A jeśli cię złapią… – urwał i wbił w nią ciężkie spojrzenie. – Nikt nie weźmie ci za złe, jeżeli odmówisz. To niebezpieczne zadanie.

Mało powiedziane. W całym Carriveau wisiały obwieszczenia o egzekucjach w strefie okupowanej. Niemcy rozstrzeliwali

Francuzów za najmniejsze wykroczenia. W razie wpadki Isabelle w najlepszym razie wylądowałaby w więzieniu. Mimo to wierzyła w wolną Francję tak silnie, jak jej siostra wierzyła w Boga.

– Chcecie, żebym zdobyła dokument, pojechała do Paryża, przekazała list i wróciła do domu. – Przedstawiony w ten sposób ciąg zdarzeń nie wydawał się wcale złowrogi i niebezpieczny.

– Niezupełnie – odparł Henri. – Jesteś nam potrzebna w Paryżu jako skrzynka kontaktowa. W nadchodzących miesiącach będzie jeszcze wiele takich przesyłek. Twój ojciec ma w stolicy mieszkanie, prawda?

Paryż.

Marzyła o tym od chwili, gdy ojciec wysłał ją na wieś do siostry. O wyjeździe z Carriveau, powrocie do Paryża i przyłączeniu się do ruchu oporu, o działaniu wspólnie z ludźmi, którzy nie chcieli łatwo się poddać, wybierając stawianie oporu nieprzyjacielowi.

– Nie będę mogła zamieszkać u ojca.

– Przekonaj go jakoś – rzucił niedbale Didier, obserwując ją i oceniając.

– To człowiek, którego niełatwo przekonać – odparła.

– Czyli to dla ciebie niewykonalne. Dobra. Mamy odpowiedź.

– Chwileczkę! – zawołała Isabelle.

Henri podszedł do niej. W jego oczach ujrzała wahanie i pojęła, że wolałby, aby odmówiła. Martwił się o nią. Podniosła hardo brodę i spojrzała mu w oczy.

– Zrobię to.

– Będziesz musiała okłamywać ludzi, których kochasz, i żyć w ciągłym strachu. Dasz sobie z tym radę? Będziesz mogła żyć w ten sposób? Nigdzie nie będziesz się czuła bezpieczna.

Isabelle roześmiała się ponuro. Nie różniło się to wcale aż tak bardzo od życia, jakie wiodła od wczesnego dzieciństwa.

– Będziesz miał oko na moją siostrę? – zwróciła się do Henriego. – Dopilnujesz, żeby była bezpieczna?

– Taka jest cena naszej roboty – odparł Henri. Posłał jej smutne spojrzenie, z którego wyzierała poznana przez nich szybko wojenna prawda: Bezpieczeństwo nie istnieje. – Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Isabelle widziała tylko swą szansę na dokonanie czegoś znaczącego.

– Kiedy mam jechać?

– Jak tylko będziesz miała ausweis, co wcale nie będzie łatwe.

Co, na litość boską, ona sobie myśli? – głowiła się Vianne.

Liściki jak w czasach licealnych? Od komunisty?

Odwinęła z papieru kawałek żylastej baraniny – rację tygodniową – i położyła na kuchennym blacie.

Isabelle zawsze była żywiołowa i impulsywna, lubiła się buntować i łamać zasady. I zakonnice, i nauczycielki szybko się przekonywały, że nie sposób nad nią zapanować.

Ale coś takiego… To nie całowanie się z chłopakiem w ustronnym miejscu, ucieczka ze szkoły, by obejrzeć cyrk, lub odmowa włożenia pasa do pończoch.

Trwała wojna, a kraj był okupowany. Jak Isabelle mogła nadal myśleć, że jej wybory nie będą miały konsekwencji?

Vianne zaczęła siekać baraninę. Dodała do niej bezcenne jajko i czerstwy chleb, przyprawiła solą i pieprzem. Z powstałej masy zaczęła formować podłużne kotleciki, gdy naraz do jej uszu doleciał warkot motocykla. Podeszła do drzwi, nieco je uchyliła i wyjrzała.

Zza muru wystawały ramiona i głowa kapitana Becka, który zsiadał z pojazdu. Po chwili zaparkowała za nim zielona wojskowa ciężarówka, z której zaczęli zeskakiwać żołnierze. Podwórze zaroiło się od krzepkich byczków z potężnymi młotami. Podeszli do obrośniętego pnącymi różami muru, który postawił pra-pra-pradziad Vianne, unieśli wysoko narzędzia i rozpoczęli dzieło zniszczenia. Walili w mur, aż kamienie pękały na kawałki; na trawę sypały się różane płatki i liście.

Vianne wybiegła na podwórze.

– Panie kapitanie!

Młot uderzył ponownie. Łuuup!

– Madame – przywitał się Beck. Miał zakłopotaną minę. – Otrzymaliśmy rozkaz zburzenia wszystkich murowanych ogrodzeń wzdłuż tej drogi.

Podczas gdy większość żołnierzy była zajęta rozwalaniem muru, dwóch ich kolegów ruszyło w stronę domu, śmiejąc się z jakiegoś dowcipu. Nie pytali o pozwolenie, tylko minęli Vianne, jakby była powietrzem, i weszli do środka.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – powiedział Beck, klucząc po rumowisku. – Wiem, jak pani kocha róże. I jeszcze jedno… Bardzo żałuję, ale moi ludzie mają rozkaz zarekwirowania pewnych sprzętów z pani domu.

– Pańscy ludzie? Mają coś rekwirować…?

Z domu wyłonili się akurat wspomniani ludzie. Jeden niósł obraz wiszący przedtem nad kominkiem, drugi zaś wyścielane krzesło z salonu.

– To ulubione krzesło mojej babki – szepnęła ze ściśniętym gardłem.

– Przykro mi – odparł Beck. – Nie mogłem tego powstrzymać.

Od strony miasteczka nadjechała Isabelle na rowerze. Zeskoczyła i oparła go o stertę gruzu. Między drogą a posesją Vianne nie było już muru.

Isabelle wyglądała ślicznie, mimo że zaczerwieniona z wysiłku i lekko spocona. Jej twarz okalały jasne, falujące włosy. Wypłowiała czerwona sukienka przykleiła się do ciała, uwydatniając apetyczne krągłości. Dwaj żołnierze zagapili się na nią, trzymając między sobą zrolowany dywan z Aubusson, przed chwilą leżący w salonie.

Beck poprawił wojskową czapkę i warknął coś do nich, a oni biegiem ruszyli do ciężarówki.

– Zburzyliście nasz mur? – wykrztusiła zaskoczona Isabelle.

– Sturmbannführer chce mieć możliwość obserwowania z drogi wszystkich domów. Ktoś rozprowadza antyniemiecką propagandę. Znajdziemy go i aresztujemy.

– Myśli pan, że nieszkodliwe ulotki są warte tego wszystkiego? – zapytała Isabelle.

– Nie nazwałbym ich nieszkodliwymi, panienko. Zachęcają do terroryzmu.

– Terroryzmu należy unikać – oświadczyła Isabelle, krzyżując ręce na piersi.

Vianne przyglądała jej się zafascynowana. Działo się tutaj coś dziwnego. Siostra powściągnęła emocje, zastygła jak kot gotujący się do skoku.

– Panie kapitanie – powiedziała po chwili.

– Słucham?

Żołnierze przeszli obok, dźwigając stół z kuchni.

– Mój ojciec jest ciężko chory.

– Tak? – zdumiała się Vianne. – A dlaczego ja nic o tym nie wiem? Co mu jest?

Isabelle zignorowała siostrę.

– Poprosił mnie, żebym przyjechała do Paryża i zajęła się nim. Ale…

– Ty miałabyś się opiekować ojcem? – zapytała Vianne z niedowierzaniem.

– Podróżni muszą posiadać stosowny dokument – powiedział Beck. – Wie pani o tym, prawda?

– Wiem. – Isabelle bała się oddychać. – Pomyślałam sobie, że może pan mógłby mi go załatwić. Ma pan przecież rodzinę. Z pewnością pan rozumie, jak ważne jest spełnienie prośby ojca?

Co dziwne, kapitan odpowiedział, zwracając się do Vianne, jakby tylko ona się tu liczyła.

– Owszem, mógłbym załatwić dla pani dokument podróżny. Ze względu na sytuację rodzinną.

– Jestem panu naprawdę wdzięczna – powiedziała Isabelle.

Vianne odjęło mowę. Czy Beck nie widział, że Isabelle nim manipuluje… I dlaczego patrzył na nią, Vianne, mówiąc o swej decyzji?

Otrzymawszy to, czego chciała, Isabelle wróciła po rower i zaprowadziła go do stodoły. Koła podskakiwały na nierównym gruncie.

– Tata jest chory? – Vianne pośpieszyła za nią, ciekawa wieści.

– Nie, nic mu nie dolega.

– Skłamałaś? Ale dlaczego?

Isabelle milczała, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie ma powodu dłużej tego ukrywać. Wszystko jest już jasne. Wymykałam się w piątki na spotkania z Henrim, a teraz on poprosił mnie, żebym z nim wyjechała do Paryża. Ponoć ma na Montmartrze przytulne małe mieszkanko.

– Zwariowałaś?

– Nie, chyba jestem w nim zakochana. Trochę. Może.

– Zamierzasz się przeprawić przez okupowaną Francję, żeby spędzić kilka nocy w Paryżu z człowiekiem, którego, jak ci się zdaje, kochasz? Może?

– Wiem – powiedziała Isabelle. – Jestem niepoprawną romantyczką.

– Chyba masz gorączkę. Może to jakaś choroba mózgu? – Vianne ujęła się pod boki, kręcąc głową.

– Jeśli miłość jest chorobą, to myślę, że jestem trochę chora.

– Dobry Boże… Co mam powiedzieć, żebyś oprzytomniała?

– Uwierzyłaś mi? – Isabelle popatrzyła na nią z politowaniem. – Uwierzyłaś, że narażałabym się dla takiej błahostki?

– To nie ucieczka po to, żeby obejrzeć cyrk, Isabelle.

– Ale… czy mi uwierzyłaś?

– No pewnie. To przecież takie szalone.

Isabelle wyglądała na trochę zawiedzioną.

– Tylko trzymaj się z dala od Becka, kiedy mnie nie będzie. Nie ufaj mu.

– Jakie to do ciebie podobne… Martwisz się o mnie, więc mnie ostrzegasz, ale nie na tyle, żeby tu ze mną zostać. Cała ty. Liczy się tylko to, co dobre dla ciebie. Sophie i ja możemy tutaj zgnić.

– Nieprawda.

– Nie? Jedź do Paryża. Zabaw się, ale nawet na minutę nie zapominaj, że porzucasz siostrzenicę i mnie. – Vianne skrzyżowała ręce na piersi i przeniosła wzrok na mężczyznę, który nadzorował wynoszenie mebli z jej domu. – Z nim.

14

27 kwietnia 1995 roku
Wybrzeże Oregonu

Jestem obwiązana tak ściśle jak kurczę przed włożeniem do piekarnika. Wiem, że nowoczesne pasy bezpieczeństwa to dobre rozwiązanie, ale przyprawiają mnie o klaustrofobię. Należę do pokolenia, które nie trzęsło się tak na każdym kroku o swoje życie.

Pamiętam, jak to było w czasach wymagających dokonywania inteligentnych wyborów. Wiedzieliśmy o istnieniu ryzyka, ale i tak je podejmowaliśmy. Pamiętam, jak ze zbyt dużą prędkością jechałam starym chevroletem, dociskając pedał gazu do podłogi, paląc papierosa i słuchając na cały regulator Price'a śpiewającego *Lawdy, Miss Clawdy*, podczas gdy dzieci taczały się jak piłki po tylnym siedzeniu.

Przypuszczam, że mój syn się obawia, iż się z tego wycofam, i słusznie. Zaledwie w miesiąc moje życie stanęło na głowie. Opuszczam mój dom, a przed bramą stoi tablica z napisem SPRZEDANY.

– To ładny podjazd, nie uważasz? – pyta syn. To jego metoda, wypełnia przestrzeń dobranymi starannie słowami. Właśnie to czyni z niego dobrego chirurga. Precyzja.

– Tak.

Skręca na parking. Tak samo jak podjazd jest obsadzony kwitnącymi drzewami. Białe płatki opadają na ziemię jak

strzępki koronki na podłogę w zakładzie krawieckim.

Gmeram przy pasie bezpieczeństwa. Ostatnio ręce odmawiają mi posłuszeństwa. Tak mnie to złości, że klnę głośno.

– Ja to zrobię – proponuje syn, nachylając się, żeby mi pomóc.

Wysiada z samochodu i otwiera drzwi od strony pasażera, zanim jeszcze sięgnę po torebkę.

Otwiera je szeroko, podaje mi rękę i pomaga wysiąść z auta. Na krótkim odcinku między parkingiem a wejściem do budynku muszę przystanąć dwa razy, żeby złapać dech.

– O tej porze roku drzewa wyglądają zjawiskowo – mówi syn, gdy powoli idziemy przez parking.

– Tak. – To śliwy ozdobne, bardzo piękne, ale mnie przypominają się nagle kasztany na Polach Elizejskich.

Syn mocniej ściska mnie za rękę. Ma to oznaczać, że rozumie ból związany z opuszczeniem domu, który od blisko pięćdziesięciu lat był moim sanktuarium. Niemniej teraz trzeba patrzeć w przyszłość, a nie oglądać się za siebie.

Na Osiedle Pogodnej Starości i Dom Opieki Bezkres Oceanu.

Po prawdzie nie wygląda to źle. Trochę może zbyt surowo prezentują się równe rzędy okien i doskonale utrzymane trawniki oraz amerykańska flaga nad drzwiami. Budynek jest długi i niski. Przypuszczam, że powstał w latach siedemdziesiątych, kiedy niemal wszystko było raczej brzydkie. Od niego odchodzą dwa skrzydła, okalając główny dziedziniec, i wyobrażam sobie, że siedzą w nich staruszkowie na wózkach inwalidzkich, z twarzami zwróconymi ku słońcu, czekając. Dzięki Bogu nie zamieszkam po wschodniej stronie budynku, czyli w domu opieki. Przynajmniej na razie. Nadal potrafię o siebie zadbać, bez obaw, i utrzymać mieszkanie w czystości.

Julien przepuszcza mnie w drzwiach i wchodzi za mną. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to obszerna recepcja i hol,

zaprojektowane tak, żeby przypominać lobby nadmorskiego hotelu, łącznie z siecią rybacką i muszlami zdobiącymi jedną ze ścian. Przypuszczam, że przed Bożym Narodzeniem wieszają przy kontuarze recepcji mikołajowe skarpety, a do sieci doczepiają ozdoby świąteczne. Nazajutrz po Dniu Dziękczynienia na ścianach wiszą zapewne jaskrawo błyszczące napisy „HO-HO-HO".

– Pozwól, mamo.

No tak. Nie wolno się ociągać.

Czym tu właściwie pachnie? Budyniem z tapioki i rosołem z makaronem.

Łatwostrawne jedzenie.

Mimo wszystko jakoś daję radę. Nie załamuję się, zawsze taka byłam.

– No, jesteśmy na miejscu – oznajmia syn z ożywieniem, otwierając drzwi do pokoju 317A.

Ładnie tu, bez wątpienia. Mały apartament z jedną sypialnią. Kuchnia w rogu obok drzwi, za nią blat śniadaniowy i stół jadalny z czterema krzesłami. W saloniku kanapa, niski stolik do kawy i dwa fotele przy gazowym kominku.

Telewizor w rogu pokoju jest nowoczesny, z wbudowanym odtwarzaczem kaset. Ktoś, pewnie syn, postawił przy nim pudełko z moimi ulubionymi filmami. *Jean de Florette*, *Do utraty tchu*, *Przeminęło z wiatrem*.

Dostrzegam swoje rzeczy: własnoręcznie wydzierganą na drutach narzutę na oparciu kanapy, książki na regale. W dość przestronnej sypialni stoi moja nocna szafka, na niej lekarstwa w słoiczkach i pudełkach. Szafka stoi po mojej stronie łóżka. Zabawne, jak niektóre zwyczaje nie zmieniają się wraz ze śmiercią małżonka, a to jeden z nich. Śpię zawsze po lewej stronie, mimo że leżę w łóżku sama. W nogach stoi mój kufer; specjalnie o niego prosiłam.

– Wciąż jeszcze możesz zmienić zdanie – mówi cicho syn – i pojechać ze mną do domu.

– Już to omówiliśmy, Julien. Jesteś zbyt zajętym człowiekiem. Nie będziesz się musiał o mnie martwić przez dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu.

– Myślisz, że będę się mniej martwił, kiedy zamieszkasz tutaj?

Patrzę na niego, moje ukochane dziecko, i wiem, że moja śmierć wprawi go w rozpacz. Nie chcę, żeby patrzył, jak powoli umieram. Nie chcę tego także dla jego córek. Dobrze wiem, jak to jest; niektórych obrazów, raz ujrzanych, nigdy się nie zapomina. Pragnę, żeby zapamiętano mnie taką, jaką jestem, a nie, jaka będę, gdy rak ostatecznie mną zawładnie.

Syn prowadzi mnie do saloniku i siada ze mną na kanapie. Trwamy tak chwilę, po czym on wstaje, nalewa po kieliszku wina i wraca do mnie na sofę.

Zastanawiam się, co poczuję, kiedy już stąd pojedzie, i jestem pewna, że on myśli o tym samym. Wzdychając, sięga do aktówki i wyjmuje plik kopert. Westchnienie ma zastąpić słowa. To moment przejścia z jednego życia do innego. Teraz syn będzie się mną opiekował, nie odwrotnie. To sytuacja krępująca dla nas obojga.

– Popłaciłem rachunki. Są tu rzeczy, z którymi nie wiedziałem, co zrobić. Głównie śmieci, tak mi się wydaje.

Biorę plik listów i przeglądam. Pismo od Komitetu Olimpiad Specjalnych… oferta kupna obligacji… przypomnienie od stomatologa, że od ostatniej wizyty upłynęło już sześć miesięcy.

List z Paryża.

Są na nim zapiski czerwonym atramentem, jakby poczta przesyłała go z miejsca na miejsce po błędnym dostarczeniu.

– Mamo? – pyta Julien. Jest bystry, nic mu nie umknie. – Co to za list?

Sięga po kopertę. Zamierzam ją zatrzymać, nie wypuszczając z palców, ale one odmawiają posłuszeństwa. Serce bije mi nierównym rytmem.

Julien rozrywa kopertę, wyjmuje z niej grubą kartkę barwy écru. Zaproszenie.

– Po francusku – mówi. – Coś o Krzyżu Wojennym. To z czasów drugiej wojny? Czy to list do taty?

No jasne. Mężczyźni zawsze sądzą, że wojna dotyczy tylko ich.

– W rogu jest odręczny dopisek. Co to takiego?

Guerre. To słowo rozpościera wokół mnie swoje czarne skrzydła, staje się tak ogromne, że nie mogę uciec wzrokiem. Wbrew woli biorę do ręki zaproszenie. Dotyczy spotkania *passeurs* w Paryżu.

Chcą, żebym wzięła w nim udział.

Jak mogłabym tam pojechać, nie przypomniawszy sobie zarazem wszystkiego – strasznych rzeczy, jakie robiłam, tajemnic, jakie mi powierzono, mężczyzny, który zginął z mojej ręki… i tego, którego także powinnam zabić?

– Mamo? Co to znaczy *passeur*?

– To osoba, która pomagała ludziom w czasie wojny – mamroczę przez ściśnięte gardło.

15

Zadaj sobie pytanie, tak zaczyna się opór.
A potem zadaj to pytanie komuś innemu.

REMCO CAMPERT

Maj 1941 roku
Francja

W sobotę, w którą Isabelle wyjechała do Paryża, Vianne wyszukiwała sobie rozmaite zajęcia. Wyprała ubrania i rozwiesiła je na sznurze, wypieliła ogród i zebrała trochę wcześnie dojrzewających warzyw. Pod koniec długiego, pracowitego dnia zrobiła sobie kąpiel i umyła głowę. Wycierała właśnie włosy ręcznikiem, gdy rozległo się stukanie do drzwi. Zaskoczona przybyciem niespodziewanego gościa, zapięła podomkę pod szyją i poszła otworzyć. Z mokrych strąków skapywały na ramiona krople wody.

W drzwiach stał kapitan Beck w mundurze polowym, z twarzą pokrytą kurzem.

– Pan kapitan – bąknęła, odgarniając z czoła mokre włosy.

– Madame – powiedział. – Pojechałem dzisiaj z kolegą na ryby. Przyniosłem pani nasz połów.

– Świeże ryby? Cudownie. Usmażę je dla pana.

– Dla nas, madame. Dla pani, dla mnie i dla Sophie.

Vianne nie mogła oderwać oczu od wiaderka z rybami. Wiedziała, że Isabelle nie przyjęłaby tego daru. Zresztą tak samo sąsiedzi i znajomi. Nie wolno przyjmować żywności od nieprzyjaciela. Należy odmówić z godnością. Każdy o tym wiedział.

– Nie ukradłem ich ani nie odebrałem nikomu siłą. Mam do nich takie samo prawo jak każdy Francuz. Nie splami pani honoru, przyjmując je ode mnie.

Beck miał rację. Ryby zostały złowione w pobliskiej rzece. Beck nikomu ich nie skonfiskował. Sięgając po wiaderko, Vianne czuła się jednak trochę nieswojo, że tak łatwo zracjonalizowała tę decyzję.

– Rzadko nas pan zaszczyca towarzystwem przy stole.

– Teraz jest inaczej – odparł. – Skoro pani siostra wyjechała.

Vianne cofnęła się trochę, by mógł wejść. Jak zwykle tuż za progiem zdjął czapkę i poszedł do swojego pokoju. Dopiero trzask zamykanych drzwi uświadomił Vianne, że nadal trzyma wiaderko z rybami, przykryte ostatnim wydaniem „Pariser Zeitung", niemieckiej gadzinówki.

Poszła do kuchni. Tam okazało się, że ryby zostały już oskrobane z łusek i oczyszczone. Rozniecіła ogień pod płytą i postawiła na niej żeliwną patelnię. Wlała łyżkę drogocennego oleju i podsmażyła pokrojone w kostkę ziemniaki i cebulę. Przyprawiła ryby pieprzem i solą i odstawiła na bok. Po chwili cały dom wypełnił kuszący aromat i do kuchni wpadła Sophie, ślizgając się po podłodze i hamując w miejscu, gdzie kiedyś stał stół.

– Ryby – powiedziała z nabożnym podziwem.

Vianne drewnianą łyżką rozgarnęła na boki przyrumienione ziemniaki oraz cebulę i na środku patelni położyła ryby. Smażenie nie trwało długo, wkrótce skórka zrobiła się chrupka.

Na koniec poddusiła w rondelku parę kawałków cytryny w zalewie i polała tym potrawę.

– Powiedz kapitanowi Beckowi, że kolacja gotowa.

– Będzie jadł z nami? Ciocia Isabelle nie byłaby z tego zadowolona. Zanim wyjechała, uprzedziła mnie, żeby nigdy nie patrzeć mu w oczy i starać się unikać przebywania z nim w jednym pokoju.

Vianne westchnęła. Duch siostry pozostał z nimi.

– Kapitan przyniósł nam ryby, a poza tym tu mieszka.

– Tak, mamo. Wiem. Ale ciocia mówiła…

– Idź i poproś kapitana na kolację. Isabelle wyjechała, a wraz z nią jej przesadne obawy. No, idź już.

Vianne odwróciła się do kuchni. Po chwili wniosła do jadalni ciężką ceramiczną tacę, na której stała patelnia z usmażoną rybą i wianuszkiem brązowych ziemniaków i cebuli, posypana świeżą natką pietruszki. Ostry sos cytrynowy na dnie patelni byłby lepszy z dodatkiem masła, ale i tak pachniał niebiańsko. Sophie siedziała już przy stole z kapitanem Beckiem, który zajął krzesło Antoine'a.

Vianne wzdrygnęła się na ten widok.

Beck wstał, uprzejmie odsunął dla niej krzesło i odebrał z jej rąk ciężką tacę.

– Wygląda nader twarzowo – pochwalił serdecznym tonem. Wciąż zdarzało mu się dobierać nieodpowiednie do sytuacji wyrażenia.

Vianne skuliła się na podsuniętym krześle. Zanim wymyśliła, jak zacząć konwersację, Beck nalał jej wina.

– Znakomite montrachet rocznik 37 – powiedział.

Vianne wiedziała, jak zareagowałaby na to Isabelle.

Beck siedział naprzeciw niej, Sophie po lewej stronie. Jak zwykle paplała o czymś, co przydarzyło się w szkole. Gdy na moment urwała, rzucił żartobliwą uwagę na temat łowienia ryb

i Sophie się roześmiała. Brak siostry przy stole był dla Vianne tak samo odczuwalny jak przedtem jej obecność.

„Trzymaj się z dala od Becka”.

Vianne usłyszała to ostrzeżenie równie wyraźnie, jakby zostało wypowiedziane przy stole. Wiedziała, że tu akurat Isabelle się nie myliła. Vianne nie mogła zapomnieć o liście nazwisk, o wyrzuconych z pracy kolegach, o Becku siedzącym w pokoju zawalonym po brzegi żywnością, pod wielkim portretem Hitlera.

– …żona wpadła w prawdziwą rozpacz, że taki ze mnie niezgraba… – mówił Beck z uśmiechem.

– Tata też kiedyś wpadł do rzeki podczas łowienia ryb – odrzekła Sophie z zachwytem. – Pamiętasz, mamo? Powiedział, że ryba była tak wielka, że go wciągnęła do wody. Pamiętasz?

Vianne zamrugała powiekami, z trudem powracając do rzeczywistości.

Czuła się co najmniej… dziwnie. Podczas rzadkich wspólnych posiłków z Beckiem przy stole prawie nie rozmawiali. Gniewna irytacja Isabelle uniemożliwiała jakikolwiek kontakt.

„Teraz jest inaczej. Skoro pani siostra wyjechała”.

Vianne zrozumiała, co Beck miał na myśli. Panujące w domu – i przy stole – napięcie gdzieś się ulotniło.

Jakie jeszcze zmiany przyniesie nieobecność młodszej siostry?

„Trzymaj się z dala od Becka”.

Jak Vianne miałaby tego dokonać? A poza tym kiedy ostatnio jadła tak smaczny posiłek… albo słyszała dźwięczny śmiech Sophie?

Na Gare du Lyon roiło się od Niemców. Isabelle wysiadła z pociągu, taszcząc rower i walizkę, boleśnie obijającą się o łydki. Śpieszący się pasażerowie popychali ją ze wszystkich stron, ale nie psuło jej to humoru. Od dawna marzyła o powrocie tutaj.

W jej wyobrażeniach Paryż jawił się taki jak dawniej, nietknięty przez wojnę.

Po całym dniu męczącej podróży Isabelle ujrzała prawdę. Kamienice nie zostały wprawdzie zburzone z powodu okupacji, nie widać było śladów bombardowań, ale nawet w pełnym świetle dnia rozpościerał się półmrok i unosił się przykry zapach rozpaczy i straty.

Ukochane miasto przypominało ongiś piękną, a teraz postarzałą kurtyzanę, zmęczoną i wychudłą, od której uciekli zalotnicy. W niespełna rok dumna stolica została odarta z godności przez tupot podkutych butów i wszechobecne swastyki.

Droga do księgarni ojca zajęła Isabelle więcej czasu, niż się spodziewała. Gdy w końcu przed wejściem zeskoczyła z roweru, była spięta i zdenerwowana. Oparła pojazd o drzewo i zapięła na łańcuch. Ściskając walizkę w spoconej ręce, podeszła do księgarni. W szybie wystawowej ujrzała swoje odbicie – krótko obcięte jasne włosy, karminowe wargi odcinające się na tle bladej twarzy (z kosmetyków pozostała jej jedynie szminka). Isabelle założyła na podróż swoje najlepsze ubranie: żakiet w kremowo-granatową kratę, kapelusik i granatową spódnicę. Do kompletu przydałyby się jeszcze rękawiczki, ale w obecnych czasach nikt nie zważał na takie szczegóły.

Chciała wyglądać elegancko, żeby wywrzeć jak najlepsze wrażenie na ojcu. Dorosłe.

Ileż to razy przed przyjazdem do domu na wakacje zastanawiała się nad wyborem stroju tylko po to, by szybko się

przekonać, że ojciec wyjechał, a Vianne jest „zbyt zajęta”, aby przyjechać ze wsi do Paryża i zaopiekować się młodszą siostrą, wobec czego zajmie się nią jedna z przyjaciółek ojca. Dość powiedzieć, że w wieku trzynastu lat Isabelle ostatecznie zrezygnowała z przyjazdów do domu, wybierając przesiadywanie w pustym internacie, a nie mękę z ludźmi, dla których jej wizyta była oczywistym kłopotem.

Tym razem było inaczej. Henri i Didier, a także ich tajemniczy przyjaciel z ruchu oporu potrzebowali jej obecności w Paryżu. Nie mogła ich zawieść.

Kraty w oknach wystawowych były zamknięte na kłódki. Isabelle nacisnęła klamkę, lecz drzwi ani drgnęły.

W poniedziałek o szesnastej? Odszukała szczelinę w murze, w której ojciec miał zwyczaj chować klucz, wymacała go i otworzyła zamek.

Wąskie wnętrze sklepu zdawało się wstrzymywać oddech w ciemności. Znikąd nie dochodził najlżejszy dźwięk. Ani szelest kartek czytanej przez ojca powieści, ani skrobanie wiecznego pióra po papierze, gdy pisał wiersz, czym lubił się zajmować jeszcze za życia mamy. Zamknęła za sobą drzwi i nacisnęła włącznik światła.

Suche kliknięcie i dalej ciemność.

Po omacku podeszła do biurka i znalazła świecę w mosiężnym lichtarzu. Przeszukanie szuflad pozwoliło trafić na zapałki i po chwili pełgał już jasny płomyk, rzucając na ścianę chybotliwe cienie.

Nawet w tak marnym oświetleniu widać było potężne zniszczenia. Połowa regałów stała pusta, wiele półek było połamanych. Książki leżały w nieporządnych stertach na podłodze. Plakaty zostały zerwane i pobazgrane. Można było odnieść wrażenie, że do księgarni włamali się rabusie, szukając

tylko cennych przedmiotów i niszcząc wszystko, co nie przedstawiało dla nich wartości.

Tata…

Isabelle pośpiesznie wybiegła z księgarni, nie troszcząc się o odłożenie klucza na miejsce. Wrzuciła go do kieszeni żakietu, odpięła łańcuch i wskoczyła na siodełko. Trzymając się bocznych ulic, dotarła do ulicy de Grenelle, skręciła i popedałowała prosto do domu.

Mieszkanie przy alei de La Bourdonnais od ponad stu lat było własnością rodziny ojca. Po obu stronach alei stały kamienice z jasnego piaskowca, z balkonami z kutego żelaza i spadzistymi dachami. Frontony domów zdobiły kamienne rzeźby cherubinów. O sześć przecznic dalej wznosiła się dumnie w niebo wieża Eiffla. Wzdłuż alei ciągnęły się kawiarnie i sklepy osłonięte eleganckimi markizami. Zazwyczaj Isabelle spacerowała pomału ulicą, oglądając wystawy i ciesząc się wielkomiejskim gwarem. Ale nie dzisiaj. Kawiarnie i bistra stały puste. Kobiety w zniszczonych ubraniach, z wyrazem znużenia na twarzach, wystawały w kolejkach po żywność.

Podniosła wzrok na zaciemnione okna i wyłuskała klucz z torebki. Przeszła przez chłodny hol, prowadząc rower jedną ręką, a potem przykuwając go łańcuchem do rury. Nie wsiadła do wąskiej jak trumna windy, która zapewne i tak nie działała z powodu ograniczeń w dostawach energii elektrycznej, lecz po wąskich, stromych schodach wspięła się na czwarte piętro, gdzie znajdowało się dwoje drzwi, po lewej i po prawej stronie. Isabelle otworzyła te po prawej i weszła do mieszkania. Zdawało jej się, że za plecami usłyszała cichy trzask zamka. Odwróciła się, żeby powiedzieć „dzień dobry” pani Leclerc, ale drzwi sąsiedniego mieszkania były już zamknięte. Wścibska staruszka sprawdzała zapewne, kto przyszedł do mieszkania 6B.

– Tato?! – zawołała, rozglądając się po mieszkaniu.

Nie było odpowiedzi.

Prawdę mówiąc, poczuła ulgę. Zaniosła walizkę do salonu. Panujący w nim mrok przywołał dawne wspomnienia. W mieszkaniu było ciemno i duszno, chrapliwy oddech urwał się raptownie, szybkie kroki zaszurały po podłodze.

„Ciii, Isabelle, nic nie mów. Twoja mama jest teraz z aniołkami".

Zapaliła światło w salonie. Kryształowy żyrandol ożył, szklane paciorki zamigotały jak perły z innego świata. Isabelle rozejrzała się dokoła i od razu spostrzegła, że ze ścian znikły niemal wszystkie cenne dzieła sztuki. Na szczęście kolekcja zabytkowych mebli i bibelotów się zachowała. Gdyby nie zaciemnienie, przez podwójne balkonowe okno byłoby widać wieżę Eiffla.

Zgasiła światło. Nie było sensu marnować cennego prądu, gdy miała jedynie czekać. Usiadła pod żyrandolem przy okrągłym, intarsjowanym stole, przy którym jadało się kiedyś posiłki. Z czułością przesunęła dłonią po gładkim blacie.

Pozwól mi zostać, tato, proszę. Nie sprawię ci kłopotu.

Ile miała wtedy lat? Jedenaście? Dwanaście? Nie pamiętała. Ubrana była w granatowy mundurek z przyklasztornej szkoły. Wydawało się, że od tamtej pory upłynęły wieki. A jednak znalazła się tu znowu, zamierzając błagać ojca, by pozwolił jej zostać (i kochał ją).

Nie wiedziała, jak długo siedzi w ciemności, rozpamiętując życie z mamą i okoliczności jej śmierci, kiedy wreszcie usłyszała kroki na klatce schodowej i zgrzyt klucza w zamku.

Wstała, słysząc otwieranie drzwi. Po chwili trzasnęły. Szuranie stóp po podłodze.

Napomniała się w duchu, że musi być silna i stanowcza, ale cechująca ją zazwyczaj odwaga zawsze znikała w konfrontacji

z ojcem. Tak stało się i teraz.

– Tato? – rzuciła w mrok. Wiedziała, że ojciec nie cierpi być zaskakiwany.

Wyczuła, że skamieniał.

Pstryknął włącznik światła i rozjarzył się żyrandol.

– Isabelle – rzekł z ciężkim westchnieniem. – Co tutaj robisz?

Pilnowała się, by nie okazać jakiegoś niezdecydowania. Miała przed sobą ważne zadanie.

– Przyjechałam zamieszkać z tobą w Paryżu. Znowu – dodała po namyśle.

– Zostawiłaś Vianne i Sophie same wśród hitlerowców?

– Beze mnie są bezpieczniejsze, możesz mi wierzyć. Prędzej czy później straciłabym cierpliwość.

– Straciłabyś cierpliwość? Co ci chodzi po głowie? Jutro rano masz wrócić do Carriveau. – Wyminął ją i podszedł do kredensu, w którym stały butelki alkoholu. Nalał szklaneczkę anyżówki, wychylił ją trzema haustami i ponownie napełnił. Dopiero uporawszy się z drugą porcją alkoholu, spojrzał na córkę.

– Nie – powiedziała krótko i poczuła szarpnięcie w trzewiach. Czy kiedykolwiek tak się do niego zwróciła? Wobec tego powtórzyła dla równego rachunku: – Nie.

– Słucham?

– Powiedziałam: nie. Tym razem nie zamierzam cię posłuchać. Nie wyjadę stąd. To mój dom. Dom. – Głos jej się załamał. – Patrzyłam, jak mama szyje na maszynie te zasłony. To stół, który odziedziczyła po stryju. Na ścianie w moim pokoju wydrapałam swoje inicjały. Pobazgrałam je też szminką mamy, którą jej podkradłam. Założę się, że pod łóżkiem i w mojej fortecy nadal siedzą w pudłach moje lalki.

– Isabelle…

– Nie. Tym razem mnie nie odeślesz, tato. Czyniłeś tak stanowczo zbyt wiele razy. Jesteś moim ojcem. To jest mój dom. Trwa wojna. Zostaję tutaj. – Schyliła się po walizkę.

W bladym świetle żyrandola ujrzała zmienioną, pooraną zmarszczkami twarz ojca i wiedziała, że odniosła zwycięstwo. Zwiesiwszy ramiona, nalał sobie trzecią porcję wódki i chciwie ją wypił. Widocznie nie mógł spojrzeć jej w oczy bez wsparcia alkoholu.

– Nie ma już przyjęć, na które mogłabyś chodzić – mruknął – i wszyscy twoi koledzy zniknęli.

– A więc takie masz o mnie zdanie – odparła z goryczą, lecz postanowiła nie drążyć tematu. – Zajrzałam do księgarni.

– Szwaby – wyjaśnił niepytany. – Wpadli tam pewnego dnia i wyrzucili wszystkie dzieła Freuda, Manna, Trockiego, Tołstoja, Maurois… Zwalili je na stos i spalili. Płyty i nuty też. Wolałem zamknąć sklep, niż sprzedawać tylko to, co mi wolno. Uważam, że tak jest lepiej.

– Z czego więc żyjesz? Z poezji?

Ojciec się zaśmiał. Gorzkim, skrzeczącym śmiechem.

– Czasy raczej nie sprzyjają inteligenckim zajęciom.

– No to jak płacisz za żywność i prąd?

– Dostałem dobrą pracę w hotelu de Crillon – odparł zmienionym głosem.

– Jako kelner? – Nie wyobrażała go sobie podającego piwo niemieckim prostakom.

Odwrócił wzrok. Poczuła żółć podchodzącą jej do gardła.

– Gdzie pracujesz, tato?

– W niemieckiej kwaterze głównej w Paryżu – odrzekł.

Isabelle zarumieniła się ze wstydu.

– Po tym, co ci zrobili na poprzedniej wojnie… – zaczęła.

– Isabelle…

– Dobrze pamiętam, jak mama opowiadała nam, jaki byłeś przed wojną i jak ciężkie przeżycia cię załamały. Marzyłam, że pewnego dnia mimo wszystko przypomnisz sobie, że wciąż jesteś ojcem, ale to było kłamstwo, prawda? W rzeczywistości jesteś zwykłym tchórzem. Jak tylko pokazali się tu Niemcy, od razu pobiegłeś im pomagać!

– Jak śmiesz osądzać mnie i to, przez co przeszedłem? Masz dopiero osiemnaście lat.

– Dziewiętnaście – poprawiła. – Powiedz mi, tato, czy przynosisz naszym okupantom kawę albo przywołujesz im taksówki, gdy wybierają się do Maxima? Czy zjadasz resztki z ich obiadów?

Zdawał się starzeć, flaczeć na jej oczach. Pożałowała ostrych słów, choć były prawdziwe i w pełni na nie zasługiwał. Ale nie mogła się teraz wycofać.

– Zatem ustalone? Wprowadzę się do mojego dawnego pokoju i zamieszkam z tobą. Jeżeli ci na tym zależy, możemy ze sobą nie rozmawiać.

– W mieście brakuje żywności, przynajmniej dla nas, Francuzów. Wszędzie wiszą plakaty ostrzegające przed zjadaniem szczurów, a wierz mi, że nie zostały rozwieszone bez powodu. Ludzie hodują na mięso świnki morskie. Na wsi łatwiej się wyżywić, mając ogród.

– Nie szukam łatwego życia ani bezpieczeństwa.

– W takim razie czego szukasz w Paryżu?

Za późno uświadomiła sobie swój błąd. Sama zastawiła na siebie pułapkę i gładko w nią weszła. Ojcu można było wiele zarzucić, ale nie brak bystrości.

– Mam się tu spotkać z przyjacielem.

– Powiedz, że nie mówimy o jakimś przystojnym chłopaku. Powiedz, że masz w głowie coś więcej niż to.

– Na wsi jest okropnie nudno. Przecież mnie znasz, nie cierpię się nudzić.

Westchnął i nalał sobie jeszcze anyżówki. Poznała wyraz jego zamglonych oczu. Wiedziała, że niebawem nieco chwiejnie pójdzie do swojego pokoju, by rozmyślać w samotności Bóg wie o czym.

– Jeśli masz tu zostać, to musimy ustalić zasady.

– Zasady?

– Będziesz wracała do domu przed godziną policyjną. Zawsze i bez wyjątku. Uszanujesz moją prywatność. Nie ścierpię, żeby ktoś stał mi nad głową. Codziennie rano będziesz chodziła do sklepów i kupowała żywność na kartki. I znajdziesz sobie pracę. – Popatrzył na nią i oczy mu się zwęziły. – A jeśli wpadniesz w kłopoty, jak kiedyś twoja siostra, to wyrzucę cię z domu. Koniec, kropka.

– Nie zamierzam…

– Nie obchodzi mnie to. Masz sobie znaleźć pracę, Isabelle. Koniecznie.

Chciał jeszcze coś dodać, ale Isabelle odwróciła się na pięcie i wyszła z salonu. Poszła do swego pokoju i z impetem zatrzasnęła drzwi.

Udało się! Choć raz postawiła na swoim. Kogo obchodziło, że ojciec jest krytyczny i zrzędliwy? Była tutaj, w Paryżu, w swoim dawnym pokoju. I zamierzała zostać.

Pomieszczenie było mniejsze, niż zapamiętała. Pomalowane na biało ściany, podwójne żelazne łóżko z baldachimem, parkiet przykryty starym wytartym dywanem i pamiętający lepsze czasy fotel w stylu Ludwika XV. Okno, obecnie zaciemnione, wychodziło na wewnętrzny dziedziniec kamienicy. Jako dziecko zawsze wiedziała, kiedy sąsiedzi wynoszą śmieci, słychać było bowiem trzaskanie klap pojemników na odpadki. Rzuciła walizkę na łóżko i zaczęła się rozpakowywać.

Nieliczne ubrania były znoszone i niewarte powieszenia w obszernej szafie obok strojów odziedziczonych po mamie – zwiewnych sukienek, koronkowych wieczorowych sukien, wełnianych kostiumików, ładnych wzorzystych podomek. Oprócz tego kolekcja kapeluszy i pantofli przeznaczonych do tańca w salach balowych i spacerów po Ogrodach Rodina z miłym, odpowiednim dla jej pozycji chłopcem u boku. Stroje pasujące do świata, który zniknął. W Paryżu nie było już żadnych „odpowiednich" chłopców. Poprawka – praktycznie nie było ich wcale. Ukrywali się lub siedzieli w obozach jenieckich na terenie Rzeszy.

Przesunęła w bok ubrania w mahoniowej szafie, uzyskując dostęp do tajemnych drzwiczek, które wyłożona w tyle mebla tapeta czyniła praktycznie niewidocznymi.

Jej forteca.

Schyliła się i otworzyła drzwiczki, nacisnąwszy ich prawy górny róg. Odskoczyły i zaskrzypiały, ukazując nieduży schowek ze skośnym sufitem. Pamiętała, że nawet jako dziesięciolatka musiała się garbić, żeby w nim stanąć. Tak jak przypuszczała, pudło z lalkami stało na zwykłym miejscu.

Isabelle zamknęła drzwi do wspomnień z dzieciństwa, szybko się rozebrała i włożyła różową nocną koszulę, która znów przypomniała jej o mamie. Wciąż leciutko pachniała wodą różaną, a przynajmniej Isabelle chciała w to wierzyć. Wyszła do łazienki umyć zęby i przystanęła na chwilę pod zamkniętymi drzwiami do pokoju ojca.

Słyszała, że pisze, wieczne pióro skrobało po szorstkim papierze. Co pewien czas klął cicho, po czym, zapewne popijając z butelki, milknął. Rozległ się stuk flaszki albo pięści o blat stołu.

Nakręciła włosy na wałki, umyła zęby i twarz. Wracając do łóżka, znów usłyszała przekleństwo, tym razem głośniejsze.

Wzruszyła ramionami i nie zatrzymując się, pobiegła do pokoju.

„Nie ścierpię, żeby ktoś stał mi nad głową”.

Prawdopodobnie ojciec chciał przez to powiedzieć, że nie zniesie przebywania w tym samym pokoju co ona.

Zabawne, że jakoś tego nie zauważyła, kiedy mieszkała tu ostatnim razem po wydaleniu ze szkoły.

To prawda, nie jadali wtedy wspólnych posiłków ani nie prowadzili żadnych głębszych rozmów. Ale jakoś nie dostrzegła tej niechęci. Przesiadywali razem w księgarni, pracowali. Czy była mu tak wdzięczna za pozwolenie zamieszkania z nim, że nie widziała jego odpychającego zachowania?

No cóż, zauważyła je teraz. Przebywała w Paryżu od trzech dni. Wypełnionych druzgoczącym milczeniem.

Zastukał do jej pokoju tak głośno, że krzyknęła z zaskoczenia.

– Wychodzę do pracy – powiedział przez drzwi. – Kartki leżą na stole w kuchni. Zostawiłem ci sto franków. Kup, co tam zdołasz.

Usłyszała echo jego kroków w korytarzu, tak ciężkich, że niemal tynk odpadał ze ścian. Potem trzaśnięcie drzwi.

– Życzę miłego dnia, do zobaczenia – wymamrotała kąśliwie, urażona tonem jego głosu.

Naraz sobie przypomniała.

To dziś wypadał ten dzień.

Odrzuciła cienką kołdrę, wyskoczyła z łóżka i ubrała się po ciemku. Zawczasu przygotowała ubranie: prostą szarą sukienkę, czarny beret, białe rękawiczki i czarne baleryny. Niestety, nie miała pończoch.

Przyjrzała się sobie krytycznie w lustrze w przedpokoju. Zobaczyła w nim zwykłą dziewczynę w nieciekawej sukience, z czarną torebką w ręku.

Po raz kolejny otworzyła torebkę i popatrzyła do środka. Wcześniej nadpruła podszewkę i wsunęła pod nią grubą kopertę, więc wyścielane atłasem wnętrze wydawało się puste. Nawet gdyby ją zatrzymali i kazali otworzyć torebkę (a nie zrobią tego, bo niby dlaczego mieliby sprawdzać młodą dziewczynę wybierającą się na późne śniadanie), niczego w niej nie wypatrzą poza dokumentami, kartkami żywnościowymi i puderniczką. Czyli tym, co powinno się tam znajdować.

O dziesiątej wyszła z mieszkania. Świeciło jasne słońce, już o tej porze zaczynało się robić gorąco. Isabelle wsiadła na rower i pojechała w stronę nabrzeża.

Na ulicy de Rivoli było pełno konnych dorożek i samochodów. Po chodnikach śpiesznie przemykali paryżanie, pedałowali na rowerach, stali w kolejkach do sklepów. Jak zwykle Francuzi unikali kontaktu wzrokowego z Niemcami. Pod słynną czerwoną markizą restauracji Maxim stała grupa wyższych oficerów niemieckich, gawędząc swobodnie. Ponoć najlepsze produkty z całej Francji trafiały prosto do Maxima, gdzie następnie podawano je wyższym szarżom.

Niebawem dostrzegła umówioną, metalową ławkę w pobliżu wejścia do Comédie Française.

Zahamowała zbyt mocno, aż zarzuciła tylnym kołem, i zeskoczyła z roweru. Po raz pierwszy oprócz zrozumiałego podniecenia poczuła nieprzyjemne ukłucie lęku.

Torebka wydała jej się nagle dziwnie ciężka, a przez to podejrzana. Dłonie się spociły, czoło pod kapeluszem zwilgotniało.

Opanuj się, nakazała sobie w duchu.

Jesteś kurierem, a nie przestraszoną uczennicą. Zaakceptowałaś ryzyko.

Gdy tak stała, do ławki podeszła jakaś kobieta i usiadła plecami do niej.

Kobieta. Spodziewała się raczej mężczyzny, ale poczuła dziwną ulgę.

Odetchnęła głęboko i poprowadziła rower po zatłoczonym chodniku, obok kiosków, w których sprzedawano napoje i nakrycia głowy. Gdy znalazła się obok siedzącej na ławce nieznajomej, zapytała zgodnie z instrukcją:

– Jak pani sądzi, czy będzie mi potrzebna parasolka?

– Dzień będzie raczej słoneczny. – Kobieta zwróciła się ku niej. Miała ciemne, przetłuszczone włosy, gładko sczesane do tyłu i wschodnioeuropejskie rysy. Mogła mieć około trzydziestki, ale spojrzenie wskazywało, że jest starsza.

Isabelle chciała otworzyć torebkę, ale nieznajoma powstrzymała ją gestem dłoni.

– Nie – powiedziała ostrym tonem – proszę za mną – i szybko wstała.

Isabelle trzymała się za nią, gdy pokonywały rozległy plac Napoleona z majestatycznym Luwrem, który jednak nie kojarzył się obecnie z siedzibą królów i cesarzy, nie z tymi wszechobecnymi flagami ze swastyką i niemieckimi żołnierzami okupującymi wszystkie ławki w ogrodzie Tuileries. Na bocznej ulicy kobieta skręciła do małej kawiarni. Isabelle przypięła rower do pnia drzewa, weszła do ciemnawego wnętrza i usiadła naprzeciw niej.

– Masz kopertę?

Isabelle skinęła głową. Otworzyła torebkę, trzymając ją na kolanach pod osłoną blatu, i wyjęła przesyłkę, którą pod stołem podała kobiecie.

Do kawiarni weszło dwóch niemieckich oficerów. Zajęli stolik w pobliżu.

Kobieta nachyliła się i poprawiła kapelusz Isabelle poufałym gestem, jakby były siostrami lub przyjaciółkami. Wciąż nachylona, zapytała cicho:

– Słyszałaś o *les collabos*?

– Nie.

– Kolaboranci. Francuzi współpracujący z Niemcami. Nie siedzą tylko w Vichy. Bądź czujna, zawsze. Kolaboranci lubią na nas donosić gestapo. A kiedy poznają twoje nazwisko, gestapo zacznie cię obserwować. Nikomu nie możesz ufać.

Isabelle kiwnęła głową.

– Nawet własnemu ojcu. – Kobieta odchyliła się na krześle i spojrzała Isabelle w oczy.

– Skąd pani wie o moim ojcu?

– Chcemy się z tobą spotkać.

– Właśnie się spotkałyśmy.

– My – wyjaśniła cierpliwie. – Jutro w południe czekaj na rogu bulwaru Saint-Germain i ulicy Saint-Simon. Nie spóźnij się, nie przyjeżdżaj rowerem i sprawdź, czy nikt cię nie śledzi.

Isabelle była zaskoczona szybkością, z jaką kobieta się zmyła. W jednej chwili siedziała, a w drugiej już jej nie było, Isabelle została sama przy stoliku, pod uważnym spojrzeniem siedzącego opodal Niemca. Zmusiła się do zamówienia *café au lait* (bez prawdziwej kawy, rzecz jasna, i bez mleka). Wypiła ją szybko, choć bez przyjemności, i opuściła kawiarnię.

W jednym z okien wystawowych na rogu ujrzała obwieszczenie informujące o surowych karach za łamanie prawa. Na żółtym plakacie obok widniał napis: INTERDIT AUX JUIF – Żydom wstęp wzbroniony.

Ruszyła dalej, nie zauważywszy, że obok niej pojawił się niemiecki żołnierz, i wpadła na niego.

Niemiec przeprosił i zapytał, czy nic jej się nie stało. Wspięła się na wyżyny aktorstwa i posłała mu olśniewający uśmiech.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. – Zarzuciła torebkę na ramię i wsiadła na rower. Nie oglądając się za siebie, popedałowała szybko ulicą.

Wykonała zadanie. Zdobyła ausweis, przyjechała do Paryża i nakłoniła ojca, żeby pozwolił jej zająć dawny pokój. A teraz przekazała pierwszą przesyłkę członkini ruchu oporu.

16

Isabelle wyjechała przed tygodniem. Vianne przyznawała w duchu, że życie bez siostry było jednak łatwiejsze. Skończyły się wybuchy gniewu, prowokacyjne uwagi pod adresem Becka, namawianie Vianne do toczenia jałowych bitew w dawno przegranej wojnie. Czasem jednak dom wydawał się okropnie cichy, a w tej ciszy myśli atakowały Vianne bez pardonu.

Tak jak teraz. Leżała bezsennie już od wielu godzin, wpatrując się w sufit i czekając na nadejście świtu.

W końcu wstała i zeszła na dół. Nalała sobie kubek ohydnie gorzkiej kawy z żołędzi i wyszła z nią na podwórze, gdzie usiadła na ulubionym krześle Antoine'a pod rozłożystym cisem, słuchając cichych odgłosów krzątania się kur grzebiących w ziemi.

Pieniądze praktycznie się skończyły. Odtąd obie z Sophie będą musiały żyć z jej skromnej nauczycielskiej pensji.

Jak zdoła wszystkiego nastarczyć? Sama jedna…

Dopiła wstrętną kawę. Niosąc pusty kubek do kuchni, zauważyła, że drzwi do pokoju Becka są uchylone. Wyszedł na służbę, kiedy ona siedziała na podwórzu. Dobrze.

Obudziła Sophie, wysłuchała nieskładnej opowieści o tym, co jej się śniło, i zrobiła małej śniadanie: suche grzanki posmarowane cienko marmoladą z brzoskwini. Potem obie ruszyły do miasteczka.

Vianne pośpieszała córkę, ale Sophie była w kiepskim nastroju, więc wlokła się noga za nogą i marudziła. Dopiero

około południa dotarły do sklepu rzeźnika. Od drzwi ciągnęła się długa, niknąca za rogiem kolejka. Vianne zajęła ostatnie miejsce, nerwowo zerkając na kręcących się po placu Niemców.

Kolejka wolno posuwała się do przodu. Dotarłszy do wystawy, Vianne spostrzegła na szybie plakat przedstawiający uśmiechniętego niemieckiego żołnierza rozdzielającego chleb wśród francuskich dzieci. Obok drukowany napis głosił: ŻYDOM WSTĘP WZBRONIONY.

– Co to znaczy, mamo? – zapytała Sophie, pokazując napis.

– Cicho bądź – ofuknęła ją ostro Vianne. – Już ci to tłumaczyłam. O pewnych rzeczach się teraz nie rozmawia.

– Ale ojciec Joseph mówi…

– Cicho – rzuciła Vianne niecierpliwie, szarpiąc Sophie za rękę.

Kiedy weszły do środka, ujrzały za ladą siwą kobietę o cerze barwy owsianki.

– A gdzie pani Fournier? – zdziwiła się Vianne, podając kartki żywnościowe. Miała nadzieję, że jeszcze coś dzisiaj dostanie.

– Już tu nie wróci – wyjaśniła nieznajoma. – Zostało nam trochę wędzonych gołębi.

– Ale to jest sklep Fournierów.

– Był. Teraz jest mój. Bierze pani gołębia czy nie?

Vianne włożyła zakup do koszyka i bez słowa opuściła sklep. Na przeciwnym rogu niemiecki wartownik pilnował wejścia do banku, jakby przypominając miejscowym, do kogo teraz należy ta instytucja.

– Mamo – odezwała się Sophie. – Nie wolno…

– Cicho. – Vianne mocniej chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą. Niebawem wyszły z miasteczka i ruszyły z powrotem do domu. Sophie całą sobą okazywała niezadowolenie. Nadąsana mamrotała pod nosem i prychała.

Vianne nie zwracała uwagi na te demonstracje.

Przed wciąż nienaprawioną furtką do Le Jardin mała wyrwała się matce i stanęła przed nią, ujmując się pod boki.

– Jak mogli zabrać sklep rzeźnikowi? Ciocia Isabelle na pewno by protestowała. A ty się tylko boisz!

– A co niby miałabym zrobić? Stanąć na placu i krzyczeć, że pani Fournier powinna odzyskać swój sklep? Co by mnie za to spotkało? Przecież widziałaś plakaty w całym miasteczku. – Zniżyła głos. – Niemcy rozstrzeliwują Francuzów, Sophie. Zabijają nas!

– Ale…

– Żadnych ale. Czasy są niebezpieczne, córeczko. Musisz to w końcu zrozumieć.

– Szkoda, że taty tu nie ma… – wymamrotała Sophie ze łzami w oczach.

Vianne objęła córkę i mocno przytuliła.

– Ja też za nim tęsknię.

Stały objęte i dopiero po dłuższej chwili powoli rozluźniły uścisk.

– A może byśmy zakisiły trochę ogórków? Co ty na to?

– O, fajnie!

– Wobec tego nazrywaj ich do koszyka, a ja przygotuję zalewę.

Sophie pobiegła do warzywnika, wymijając po drodze ciężkie od owoców jabłonie. Ledwie zniknęła, niepokój Vianne powrócił. Jak sobie poradzi bez pieniędzy? Z ogrodu miała wprawdzie dobre plony, zatem warzyw i owoców nie zabraknie, ale co będzie zimą? Czy córka może być zdrowa, nie jedząc mięsa i sera, nie pijąc mleka? Skąd wezmą na nowe buty? W dusznym wnętrzu domu Vianne zaczęła dygotać. Uchwyciła się kuchennego blatu i stała z nisko opuszczoną głową.

– Proszę pani?

Odwróciła się tak szybko, że omal nie upadła.

Siedział na kanapie w salonie z książką w dłoni.

– Pan kapitan – powiedziała cicho. Postąpiła krok w jego stronę, zaciskając drżące dłonie. – Nie widziałam pańskiego motocykla.

– Dzień jest tak piękny, że postanowiłem przejść się pieszo. – Wstał. Zauważyła, że jest świeżo ogolony i prawdopodobnie niedawno był u fryzjera. Na bladym policzku widniało maleńkie skaleczenie. – Wydaje się pani zdenerwowana. Być może dlatego, że od wyjazdu siostry źle pani sypia.

Podniosła na niego zaskoczony wzrok.

– Słyszę, jak nocą chodzi pani po pokoju.

– A więc i pan nie sypia – odparła głupawo.

– Zgadza się, ja także często nie mogę zasnąć. Rozmyślam o żonie i dzieciach. Mój synek urodził się pod moją nieobecność. Po powrocie z wojny będę dla niego obcą osobą.

– Myślę to samo o mężu – odrzekła ku swojemu zaskoczeniu. Wiedziała, że nie powinna się zwierzać temu człowiekowi, nieprzyjacielowi, ale w tej akurat chwili czuła się zbyt znużona i przestraszona, żeby znaleźć w sobie siłę i odejść.

Beck popatrzył jej w oczy; w jego wzroku ujrzała wspólnotę straty. Oboje znajdowali się daleko od bliskich, za którymi tęsknili, i czuli się przez to jeszcze bardziej samotni.

– Nie chcę przeszkadzać pani w obowiązkach, ale mam wiadomości. Moje poszukiwania przyniosły efekt. Dowiedziałem się, w którym oflagu w Niemczech przebywa pani mąż. Mój przyjaciel służy tam w komendanturze. Pani mąż ma stopień oficerski. Wiedziała pani o tym? Bez wątpienia odznaczył się męstwem na polu bitwy.

– Znalazł pan Antoine’a? On żyje?

– Oto list, jaki napisał do pani. – Beck podał jej wymiętą kopertę. – Może pani wysłać mu paczkę, jestem pewien, że się

ucieszy.

– Ojej… – Kolana się pod nią ugięły.

Beck podtrzymał ją i posadził na kanapie. Vianne skuliła się i spuściła głowę, czując łzy płynące strumieniem po policzkach.

– Okazał mi pan tyle dobroci – wyszeptała, tuląc kopertę do piersi.

– Przyjaciel przesłał mi ten list. Od tej pory korespondencja będzie się odbywała wyłącznie na kartkach pocztowych. Przykro mi, ale takie są przepisy.

Uśmiechnął się do niej znacząco, jakby wiedział, jak długie listy układała w głowie podczas bezsennych nocy.

– Dziękuję – szepnęła, pragnąc, by nie okazało się to zbyt zdawkowe.

– Opuszczę panią teraz. – Skłonił się i wyszedł, pozwalając jej pozostać samej z wytęsknionym listem.

Litery tańczyły przed jej załzawionymi oczami, gdy czytała pogniecioną kartkę.

Moja kochana Vianne!

Przede wszystkim nie martw się o mnie. Jestem bezpieczny i dobrze się odżywiam. Nie zostałem ranny. Naprawdę, nie trafiła mnie ani jedna kula.

W baraku poszczęściło mi się i zająłem górną pryczę, dzięki czemu mam trochę prywatności w tym zatłoczonym miejscu. Przez małe okienko mogę patrzeć na księżyc i wieże Norymbergi. Ale to księżyc sprawia, że często myślę o Tobie.

Jedzenia mi starcza. Przyzwyczaiłem się już do klusek z gotowanych ziemniaków i mąki. Kiedy wrócę do domu, z przyjemnością skosztuję Twoich potraw. Marzę o tym – o Tobie i o Sophie – przez cały czas.

Proszę Cię, nie martw się o mnie, ukochana. Bądź silna i czekaj na mnie, kiedyś w końcu opuszczę tę klatkę. Jesteś

moim promieniem w ciemności i jedynym oparciem. Dzięki Tobie zdołam przetrwać wszystko. Chciałbym, żebyś i Ty czerpała siłę z nadziei, że rychło się zobaczymy. Niech myśli o mnie uczynią Cię silną.

Przytul dziś wieczorem moją małą córeczkę i szepnij jej, że gdzieś daleko tata myśli o niej. Obiecaj jej w moim imieniu, że wrócę.

Kocham Cię, Vianne.

PS Czerwony Krzyż dostarcza nam paczki. Gdybyś mogła mi przysłać moje rękawice myśliwskie, byłoby świetnie.

Zimy są tu surowe.

Vianne dotarła do końca listu i natychmiast zaczęła czytać od początku.

Dokładnie po upływie tygodnia od przyjazdu do Paryża Isabelle miała poznać innych pragnących jak ona wolnej Francji. Nic więc dziwnego, że była zdenerwowana, gdy teraz, mijając Francuzów o ziemistych twarzach i dobrze odżywionych Niemców, zmierzała ku nieznanemu przeznaczeniu. Ubrała się starannie w dopasowaną niebiesko połyskującą sukienkę z czarnym paskiem. Na noc nawinęła włosy na wałki, a rano rozczesała je w piękne fale i odgarnęła do tyłu, przytrzymując spinkami. Nie umalowała się, założyła natomiast skromny niebieski beret i białe rękawiczki.

Jestem aktorką i odtwarzam rolę, powtarzała sobie w duchu, zmierzając na spotkanie. Jestem zakochaną uczennicą wymykającą się na randkę z chłopakiem.

Ubrała się stosownie do wymyślonej przez siebie historii. Była przekonana, że w razie czego zdoła oszukać niemiecki

patrol.

Ponieważ na ulicach zdarzały się posterunki kontrolne, które wolała omijać, droga zajęła jej dłużej, niż przewidywała, w końcu jednak dotarła na bulwar Saint-Germain.

Stanęła pod latarnią. Za jej plecami przetaczał się potok samochodów, trąbiąc i warkocząc, stukały końskie kopyta, dzwoniły dzwonki rowerów. Mimo ruchu słynna niegdyś ulica wydawała się pozbawiona życia i koloru.

Tuż za nią zatrzymała się policyjna furgonetka, z której wysiadł żandarm w krótkiej pelerynce, z białą pałką w dłoni.

– Jak pani sądzi, czy będzie mi potrzebny parasol?

Isabelle gwałtownie się wzdrygnęła, wydając cichy okrzyk. Tak się skupiła na żandarmie zmierzającym przez ulicę w stronę kobiety wychodzącej z kawiarni, że zapomniała o misji. Ofuknęła się za to w duchu.

– D-dzień będzie raczej słoneczny – wyjąkała w odpowiedzi.

Mężczyzna ścisnął ją za ramię tak mocno, że nawet gdyby chciała, nie zdołałaby się wyrwać, i poprowadził pustawym nagle bulwarem. Trudno uwierzyć, ale jedna policyjna buda sprawiła, że paryżanie znikli niczym duchy. Nikt nie chciał być świadkiem aresztowania, w którym i tak nie można było w żaden sposób przeszkodzić.

Isabelle starała się przyjrzeć nieznajomemu, lecz szli tak szybkim krokiem, że musiała patrzeć pod nogi. Zerknęła na jego obuwie – stara, popękana skóra, przetarte sznurowadła, początki dziury przy lewym palcu.

– Zamknij oczy – polecił, gdy przechodzili przez ulicę.

– Dlaczego?

– Rób, co każę.

Isabelle nie lubiła ślepo słuchać rozkazów (i powiedziałaby to otwarcie w innych okolicznościach), ale tak bardzo pragnęła

znaleźć się w podziemiu, że usłuchała. Zamknęła oczy i nieco chwiejnie stąpała obok mężczyzny, co rusz się potykając.

Wreszcie przystanęli. Usłyszała cztery stuknięcia, potem kroki i skrzypnięcie otwieranych drzwi. Owionął ją dym z papierosa.

Nagle przeszyła ją straszna myśl, że może być w niebezpieczeństwie.

Mężczyzna wepchnął ją do środka, a drzwi zatrzasnęły się za nimi. Isabelle otworzyła oczy, chociaż nikt jej nie pozwolił. Pomyślała jednak, że najlepiej będzie już na początku pokazać, że jest niepokorna.

Wzrok nie od razu się przyzwyczaił. W pokoju było dość ciemno i śmierdziało papierosami. Wszystkie okna były zaciemnione. Jedyne światło dawały dwie lampy naftowe.

Przy stole, na którym stała tylko przepełniona popielniczka, siedziało trzech mężczyzn. Dwaj byli młodzi, ubrani w połatane kurtki i wystrzępione przy mankietach spodnie. Miejsce pomiędzy nimi zajmował wychudły, wąsaty starzec. Wydał się jej znajomy. Pod ścianą stała kobieta, która pierwsza się z nią spotkała. Cała w czerni, jak wdowa na pogrzebie, paliła papierosa w długiej cygarniczce.

– M’sieur Lévy? – odważyła się zapytać Isabelle. – To pan?

Tamten ściągnął złachmaniony beret, ukazując lśniącą łysą czaszkę, i aż klasnął w dłonie.

– Isabelle Rossignol?

– Znasz tę małą? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Regularnie odwiedzałem księgarnię jej ojca – odrzekł Lévy. – Zawsze słyszałem, że jego młodsza córka jest impulsywna, niezdyscyplinowana i urocza. Z ilu szkół cię wywalili, Isabelle?

– Ze zbyt wielu, jak uważa mój ojciec. Na cóż mi jednak w tych czasach wiedza o sadzaniu gości przy stole? –

odpowiedziała. – Za to nadal jestem urocza.

– I nadal pyskata. Impulsywność i pochopne słowa mogłyby każdego tutaj narazić na śmierć – odparł Lévy.

Isabelle natychmiast zrozumiała swój błąd. Skinęła głową.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda – zauważyła kobieta, wydmuchując kłąb dymu.

– Wcale nie – zaprzeczyła Isabelle. – Dzisiaj specjalnie tak się ubrałam. Wydawało mi się, że w razie czego łatwiej wywinę się z kłopotów. Któż podejrzewałby o spiskowanie nastolatkę? Przecież pani dobrze wie, że kobieta jest zdolna do tych samych czynów co mężczyzna.

Lévy odchylił się na krześle i uważnie jej się przyjrzał.

– Pewien przyjaciel bardzo cię polecał.

Henri.

– Mówił, że od wielu miesięcy roznosisz nasze ulotki. Anouk natomiast twierdzi, że wczoraj byłaś całkiem opanowana.

Isabelle zerknęła na kobietę, a ta krótko kiwnęła głową.

– Zrobię wszystko, żeby wspomóc naszą sprawę – zapewniła Isabelle gorąco. Czuła ucisk w klatce piersiowej, entuzjazm wprost ją rozsadzał. Jakoś nie przyszło jej dotąd do głowy, że mogłaby zajść tak daleko, a mimo to nie zrealizować swojego marzenia o przystąpieniu do ruchu oporu. O współpracy z siatką ludzi, których poglądy były jej tak bliskie.

– Będziesz musiała zmienić tożsamość, więc potrzebujesz fałszywych papierów. – Lévy przerwał w końcu milczenie. – Załatwimy je, ale to potrwa.

Isabelle wciągnęła powietrze przez zęby. Przyjęli ją, zaakceptowali. Przeznaczenie zaczynało się ziszczać, tu i teraz. Wreszcie będzie robić coś ważnego, co będzie się liczyło; była o tym przekonana.

– Na razie hitlerowcy są tak pewni siebie, że nie wierzą, żebyśmy mogli stawić im opór – powiedział Lévy. – Niedługo

zmienią zdanie, a wtedy staną się dla nas niebezpieczni. Nie wolno ci nikomu wspomnieć o kontaktach z nami. Nikomu. Także twojej rodzinie. To dla twojego i ich bezpieczeństwa.

Isabelle nie przewidywała w tej kwestii żadnych trudności. Nikogo nie obchodziło, co robi i dokąd wychodzi.

– Dobrze – odrzekła. – Więc… co mam robić?

Anouk oderwała się od ściany i przestąpiła stos leżących na podłodze ulotek. Isabelle nie widziała dokładnie nagłówka, chyba coś o bombardowaniach Hamburga i Berlina przez RAF. Kobieta sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej niewielką paczuszkę rozmiarów talii kart owiniętą w jasnobrązowy papier i przewiązaną szpagatem.

– Dostarczysz to do trafiki w starej dzielnicy w Amboise, poniżej zamku. Musisz tam dotrzeć nie później niż jutro o czwartej po południu. – Wręczyła Isabelle paczuszkę i połówkę banknotu pięciofrankowego. – W kiosku pokaż ten banknot. Jeśli właściciel wyjmie drugą połowę, oddaj mu przesyłkę. Wyjdź od razu. Nie oglądaj się. Nie rozmawiaj z nim.

Isabelle wzięła paczuszkę i banknot. W tej samej chwili rozległo się krótkie, ostre pukanie do drzwi. W pokoju natychmiast dało się wyczuć wzrost napięcia. Obecni wymienili spojrzenia. Isabelle nagle w pełni zdała sobie sprawę, że to niebezpieczna robota. Po drugiej stronie drzwi mógł stać policjant albo Niemiec.

Trzy kolejne stuknięcia.

Lévy skinął powoli głową.

Ktoś otworzył drzwi i do środka wszedł grubas z okrągłą łysą czaszką i pomarszczoną, obwisłą twarzą.

– Znalazłem go błąkającego się po okolicy – oznajmił bez wstępu i odsunął się na bok. Za nim stał pilot RAF w lotniczym kombinezonie.

– Rany boskie – wyszeptała Isabelle.

Anouk pokiwała posępnie głową.

– Są wszędzie – rzekła półgłosem. – Sypią się z nieba. – Zażartowała, lecz niewesoło. – Uciekinierzy z obozów jenieckich, zestrzeleni piloci…

Isabelle gapiła się na mężczyznę. Wszyscy wiedzieli, jakie kary grożą za pomoc brytyjskim lotnikom. Obwieszczały to plakaty w całym mieście: więzienie albo kara śmierci.

– Dajcie mu jakieś ubranie – powiedział Lévy.

Następnie przemówił do Anglika. Pilot milczał, najwidoczniej nie znając francuskiego.

– Przyniosą panu ubranie – wyjaśniła po angielsku Isabelle.

W pokoju zaległa cisza. Oczy wszystkich zwróciły się na nią.

– Znasz angielski? – Anouk pierwsza przerwała milczenie.

– Trochę. Uczyłam się dwa lata w szkole dla panien w Szwajcarii.

Znów długa cisza, wreszcie zabrał głos Lévy:

– Powiedz Anglikowi, że ukryjemy go, dopóki nie znajdziemy bezpiecznego sposobu wywiezienia z Francji.

– Możecie to zrobić? – zdumiała się Isabelle.

– Nie teraz – ostudziła ją Anouk. – Oczywiście nie mów mu tego. Tylko tyle, że jesteśmy po jego stronie i że może czuć się w miarę bezpiecznie, więc niech robi to, co mu się mówi.

Isabelle podeszła do pilota. Z bliska dostrzegła zadrapania na twarzy i rozdarty rękaw kurtki lotniczej. Na czole widniała smuga krwi. Zrzucał bomby na Niemcy, pomyślała.

– Nie wszyscy Francuzi są bierni – zaczęła, uśmiechając się do młodego Anglika.

– Mówi pani po angielsku – z ulgą stwierdził oczywistość. – Dzięki Bogu. Mój samolot rozbił się przed czterema dniami. Od tamtej pory ukrywam się w ciemnych kątach. Nie wiedziałem, dokąd iść, póki ten mężczyzna nie chwycił mnie za kołnierz i nie przywlókł tutaj. Pomożecie mi?

Skinęła głową.

– W jaki sposób? Możecie mnie przerzucić z powrotem do kraju?

– Tego nie wiem. Niech pan robi to, co każą. I jeszcze jedno…

– Tak, proszę pani?

– Ryzykują życiem, żeby panu pomóc. Czy to jasne?

Pilot skinął głową.

– Rozumie i będzie wykonywał wasze polecenia – zwróciła się do nowych kolegów.

– Dzięki, Isabelle. A jak i gdzie się skontaktujemy po twoim powrocie z Amboise? – zapytał Lévy.

Odpowiedź pojawiła się jak na zawołanie.

– W księgarni – oświadczyła zdecydowanie. – Zamierzam ją znowu otworzyć.

– A co na to twój ojciec? – Lévy spojrzał na nią spod oka. – Wydawało mi się, że ją zamknął, gdy hitlerowcy chcieli mu dyktować, co ma sprzedawać.

– Ojciec pracuje u Niemców – odrzekła z goryczą. – Jego zdanie niewiele mnie obchodzi. Poprosił, żebym znalazła pracę. To będzie moja praca. Będziecie mogli tam przychodzić, kiedy tylko zechcecie. Uważam, że to najlepsze rozwiązanie.

– Być może. – Lévy nie wydawał się przekonany. – Dobrze więc. Anouk przyniesie ci nowe papiery najszybciej jak się da. Będzie nam potrzebne twoje zdjęcie do *carte d'identité*. – Zmrużył oczy, uważnie się jej przypatrując. – Isabelle, pozwól staremu człowiekowi powiedzieć sobie coś bardzo ważnego. Zawsze byłaś znana z impulsywności, ale teraz z tym koniec. Wiesz, że przyjaźniłem się z twoim ojcem, przynajmniej do czasu, zanim nie pokazał prawdziwej twarzy, i latami słuchałem różnych opowieści o tobie. Najwyższa pora dorosnąć i zacząć słuchać poleceń. Zawsze. Bez wyjątku. To ważne zarówno dla twojego, jak i naszego bezpieczeństwa.

Isabelle zawstydziło, że uznał za stosowne udzielić jej reprymendy, i to w obecności pozostałych.

– Tak, oczywiście.

– A jeśli cię złapią – wtrąciła Anouk – to jako kobietę… Rozumiesz, mam nadzieję? Mają dla nas specjalne… nieprzyjemności.

Isabelle przełknęła z trudem. Parę razy przemknęło jej przez myśl, że naraża się na więzienie lub egzekucję, ale nie myślała o tym… A przecież powinna.

– Wymagamy dla siebie dwóch dni… a przynajmniej na tyle liczymy. – Widząc oszołomienie na pobladłej twarzy Isabelle, dorzuciła wyjaśnienie: – Gdyby cię złapali i… przesłuchiwali, postaraj się nie puścić farby przez dwa dni. To da nam czas, żeby zniknąć.

– Dwa dni – powiedziała Isabelle. – To niezbyt długo.

– Jesteś jeszcze taka młoda – mruknęła Anouk, marszcząc brwi.

Przez ostatnie sześć dni Isabelle opuszczała Paryż czterokrotnie. Dostarczała przesyłki do Amboise, Blois i Lyonu. Więcej czasu spędzała na dworcach kolejowych niż w paryskim mieszkaniu ojca, co obojgu odpowiadało. Jeśli tylko wystawała w kolejkach po żywność i wracała przed godziną policyjną, ojciec nie miał do niej zastrzeżeń. Obecnie znajdowała się znowu w mieście i zamierzała przejść do drugiej fazy planu.

– Nie otworzysz ponownie księgarni.

Isabelle wpatrywała się w ojca, który stał przy zaciemnionym oknie. W półmroku mieszkanie wydawało się ogromne niczym sala muzeum, w której wystawiono kolekcję zabytkowych przedmiotów. Obrazy w ciężkich pozłacanych ramach

(niektórych brakowało, zapewne ojciec je sprzedał), antyczne meble. A gdyby można było wyjrzeć przez okno, ujrzałoby się zapierający dech widok na wieżę Eiffla.

– Powiedziałeś, że mam znaleźć pracę – odparła nadąsana. Paczuszka w torebce dodała jej energii i siły w konfrontacji z ojcem. Poza tym był już nieźle podpity. Niedługo zwali się na otomanę w salonie i zaśnie, pochrapując i jęcząc przez sen. Kiedy była mała, te przykre dźwięki sprawiały, że pragnęła go utulić. To się dawno skończyło.

– Miałem na myśli płatną pracę – odparł sucho, dolewając sobie wódki.

– Czemu nie weźmiesz bulionówki? – mruknęła jadowicie.

– Nie zgadzam się. Koniec, kropka. – Ojciec zignorował jej sarkazm. – Nie otworzysz księgarni.

– Już to zrobiłam. Dzisiaj. Sprzątałam tam przez całe popołudnie.

Ojciec znieruchomiał. Zdumiony uniósł siwe krzaczaste brwi.

– Posprzątałaś w księgarni?

– Owszem, posprzątałam – odrzekła z lekkim zniecierpliwieniem. – Wiem, że jesteś tym zaskoczony, ale pamiętaj, że nie mam już dwunastu lat. – Postąpiła krok w jego stronę. – Postanowiłam, że to zrobię, i nie zamierzam się teraz wycofać. Da mi to czas na stanie w kolejkach do sklepów i możliwość zarobienia choćby niedużych pieniędzy. Niemcy będą kupowali ode mnie książki. Przyrzekam ci, że tak będzie.

– Zamierzasz z nimi flirtować? – zapytał.

– I kto to mówi? Człowiek, który dla nich pracuje.

Wpatrywali się w siebie we wrogim milczeniu.

– Dobrze – odezwał się w końcu cierpkim tonem. – Zrobisz, jak zechcesz. Ale magazyn na tyłach sklepu należy do mnie. Do mnie, Isabelle. Zamknę go na klucz, a ty mi przyrzekniesz, że nie będziesz próbowała tam wchodzić.

– Ale dlaczego?

– To nie ma nic do rzeczy.

– Zrobiłeś sobie z niego garsonierę? Spotykasz się tam z kobietami?

– Jesteś taka głupia. – Ojciec pokręcił głową. – Dzięki Bogu, mama nie dożyła tego, by zobaczyć, co z ciebie wyrosło.

Zraniło ją to głębiej, niż chciałaby przyznać.

– Albo z ciebie, tato – warknęła. – Albo z ciebie.

17

W połowie czerwca, gdy do wakacji brakowało jeszcze tylko dwóch dni, Vianne stała w klasie przy tablicy, podając uczniom odmianę trudnego czasownika. Naraz doleciał jej uszu znajomy warkot niemieckiego motoru.

– Znowu żołnierze – mruknął z goryczą Gilles Fournier. Ostatnio chłopak był wiecznie rozzłoszczony, czemu trudno się było dziwić. Niemcy odebrali jego rodzinie sklep rzeźniczy i oddali kolaborantom.

– Zostańcie na miejscach – poleciła uczniom i wyszła na korytarz. Ujrzała na nim dwóch mężczyzn, gestapowca w długim skórzanym płaszczu i Paula, miejscowego policjanta, któremu służyła kolaboracja z Niemcami. Okrągły brzuch wylewał się nad paskiem spodni. Ileż to razy widywała go na ulicy Victora Hugo, objuczonego paczkami z żywnością, której jego rodzina z pewnością nie była w stanie przejeść, podczas gdy ona musiała wystawać w kolejkach po sprzedawane na kartki ochłapy.

Ściskając drżące dłonie, Vianne ruszyła przybyłym na spotkanie. Czuła się okropnie w znoszonej, wystrzępionej przy mankietach i kołnierzyku sukienczynie, w dodatku bez pończoch; wzorem innych kobiet w podobnej sytuacji, rysowała z tyłu na łydkach brązową linię mającą imitować szew. Kto jednak miałby się na to nabrać? Bez pończoch Vianne czuła się półnaga. Drzwi klas wzdłuż korytarza otwierały się jedne po

drugich i wyglądali z nich nauczyciele. Popatrywali na siebie, ale nic nie mówili.

Gestapowiec ruszył prosto do klasy pana Paretskiego na końcu korytarza. Gruby Paul z trudem dotrzymywał mu kroku.

Po chwili nauczyciel Paretsky został wyprowadzony przez policjanta na korytarz.

Vianne wrosła w ziemię. Stary Paretsky, który dawno temu uczył ją rachunków, a którego żona zajmowała się szkolnym ogrodem, rzucił jej przestraszone spojrzenie.

– Paul? – zapytała dźwięcznym głosem. – Co się dzieje?

– Został o coś oskarżony. – Policjant przystanął na moment.

– Ja nic nie zrobiłem! – krzyknął Paretsky, usiłując wyrwać się z uchwytu.

Niemiec dosłyszał wymianę zdań i szybkim krokiem doskoczył do Vianne. Zadrżała pod jego złowrogim spojrzeniem.

– Dlaczego pani przeszkadza nam w czynnościach służbowych? – wycedził.

– T-to mój przyjaciel.

– Ach tak…? – odparł przeciągle pytającym tonem. – Zatem wie pani, że ten człowiek rozpowszechnia antyniemiecką propagandę.

– To zwykła gazeta! – krzyknął Paretsky. – Mówię prawdę Francuzom, powiedz im, Vianne! Powiedz!

Uwaga wszystkich skupiła się na niej.

– Nazwisko? – zażądał gestapowiec, wyjmując notes i pióro.

– Vianne Mauriac. – Nerwowo oblizała wargi.

– Współpracuje pani z aresztowanym – ciągnął, zapisawszy jej dane – przy roznoszeniu ulotek?

– Nie! – krzyknęła. – To tylko kolega nauczyciel. Poza tym nic o nim nie wiem.

Gestapowiec z trzaskiem zamknął notes.

– Czy nikt pani nie powiedział, że kiedy się zjawiamy, najlepiej nie zadawać pytań?

– Nie chciałam – szepnęła przez ściśnięte gardło.

Uśmiechnął się drwiąco. Ten uśmiech był groźniejszy niż słowa i tak ją przeraził, że dopiero po chwili zorientowała się, że Niemiec jeszcze coś mówi.

– Jest pani zwolniona.

– S-słucham…? – Była pewna, że jej serce przestało bić.

– Zwolniona z posady nauczycielki. Proszę teraz wrócić do domu i nie pokazywać się tu więcej. Uczniowie nie potrzebują takiego przykładu.

Po lekcjach Vianne wracała z Sophie do domu i pamiętała nawet, aby od czasu do czasu odpowiadać na jej niekończące się pytania, choć zarazem w jej głowie tłukła się jedna straszna myśl: co teraz będzie?

Co będzie z nimi?

Kioski i sklepy były o tej porze zamknięte. W szybach wystawowych wisiały kartki informujące o braku towarów: BRAK JAJEK, BRAK MASŁA, BRAK OLEJU, BRAK CYTRYN, BUTÓW NIE MA, BRAK NICI I GUZIKÓW.

Vianne nader oszczędnie wydawała zostawione przez męża pieniądze. Wręcz skąpiła na wszystko, mimo że na początku suma w woreczku robiła na niej wrażenie. Wydawała jedynie na to, co najpotrzebniejsze – opał, prąd, żywność. W końcu pieniądze i tak stopniały. Jak obie z Sophie zdołają przeżyć bez nauczycielskiej pensji?

W domu poruszała się jak otumaniona. Ugotowała garnek kapuśniaku i dorzuciła do niego zestruganą na wstążki marchew imitującą makaron. Po ugotowaniu obiadu zabrała się

do prania, potem do zapadnięcia zmierzchu cerowała skarpetki. Wcześniej niż zwykle zapędziła protestującą córkę do łóżka.

Następnie usiadła przy stole w kuchni, wyjęła oficjalną kartkę pocztową, wieczne pióro i ze ściśniętym gardłem zaczęła pisać list.

Najdroższy Antoinie!
Kończą nam się pieniądze, a ja straciłam dziś posadę.
Co mam począć? Za kilka miesięcy nadejdzie zima.

Uniosła pióro znad papieru. Napisane niebieskim atramentem słowa zdawały się do niej krzyczeć.

Kończą nam się pieniądze.

Jak mogła choćby przez chwilę pomyśleć o wysłaniu tego listu do męża, jeńca wojennego?

Zgniotła pocztówkę w kulkę i wrzuciła ją do zimnego, pokrytego sadzą kominka, gdzie spoczęła samotnie na podściółce z szarego popiołu.

Nie.

Nie mogła jej tam zostawić. Co będzie, jeśli Sophie ją znajdzie i przeczyta? Vianne wyjęła zmiętą pocztówkę z paleniska, wyniosła na dwór i wyrzuciła w krzaki za altaną. Kury rozdrapią i rozdziobią papier na strzępki.

Przysiadła na ulubionym krześle Antoine'a, osłabła pod naporem nowego dla siebie lęku i obaw. Nagła zmiana w życiu była dla niej wstrząsem. Gdyby tylko mogła cofnąć czas. Wydawałaby jeszcze oszczędniej… odmówiłaby sobie tego i owego… pozwoliłaby im zabrać Paretskiego bez słowa protestu.

Za plecami skrzypnęły drzwi.

Kroki. Szmer oddechu.

Powinna szybko wstać i umknąć, ale czuła straszliwe znużenie.

Beck przystanął za jej krzesłem.

– Czy ma pani ochotę na kieliszek wina? To château margaux rocznik 28. Ponoć jeden z najlepszych.

Wino. Pragnęła zawołać: o tak, chętnie (być może nigdy dotąd łyk alkoholu nie był jej tak bardzo potrzebny jak dzisiaj), ale nie mogła przecież tego zrobić. Nie potrafiła także odmówić, więc milczała.

Usłyszała cmoknięcie korka wyciąganego z butelki i gulgot nalewanego wina. Beck postawił przed nią pełny kieliszek. Poczuła mocny, odurzająco słodkawy aromat.

Z kieliszkiem w ręku przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

– Wyjeżdżam – odezwał się po długiej chwili milczenia.

Odwróciła się i spojrzała na niego zaskoczona.

– Proszę się tak nie cieszyć. Tylko na kilka tygodni. Od dwóch lat nie byłem w domu. – Pociągnął długi łyk wina. – Być może żona siedzi teraz w ogrodzie i zastanawia się, kto do niej powróci. Niestety, nie jestem tym samym człowiekiem, który przed laty opuścił dom. Widziałem takie rzeczy… – umilkł. – Ta wojna jest inna, niż się spodziewałem. Podczas długiej nieobecności tak wiele się zmienia. Zgodzi się pani?

– Tak – bąknęła w odpowiedzi. Często myślała o tym w ten sam sposób.

W zapadłej ciszy rozległ się przeciągły żabi rechot, lekki wietrzyk zaszeleścił w gałązkach jaśminu. Słowik zawodził smutną, samotną pieśń.

– Wydaje mi się pani odmieniona, pozwolę sobie zauważyć – powiedział po chwili.

– Zostałam dzisiaj zwolniona z posady. – Po raz pierwszy wypowiedziała te słowa na głos i do oczu napłynęły jej gorące łzy. – Niepotrzebnie… ściągnęłam na siebie uwagę.

– To niebezpieczne.

– Wkrótce skończą mi się zostawione przez męża pieniądze. Nie mam pracy. Niedługo znów przyjdzie zima. Jak przeżyję? Jak sobie poradzę? Sophie musi jeść i mieć się w co ubrać, trzeba będzie ogrzać dom… – Spojrzała na niego, załamując ręce.

Zetknęli się spojrzeniami. Vianne chciała odwrócić wzrok, ale nie była w stanie.

Włożył jej kieliszek do ręki i lekko zacisnął na nim jej palce. Jego dłoń była bardzo ciepła w porównaniu z jej lodowatą, więc mimo woli Vianne zadrżała. Przypomniała sobie nagle jego gabinet po brzegi wypełniony pudłami z żywnością.

– To dobre wino – powiedział cicho.

Doleciał ją silny aromat wiśni, tłustej, żyznej ziemi i lawendy i przez chwilę pomyślała o życiu, jakie kiedyś wiodła, o wieczorach spędzanych z Antoine’em na delektowaniu się rubinowym trunkiem.

Upiła łyk i westchnęła z zadowoleniem. Już niemal zapomniała o tej prostej przyjemności.

– Jest pani bardzo piękna – szepnął głosem tak słodkim i kuszącym jak wino. – Jestem pewien, że zbyt dawno nie słyszała pani tego komplementu.

Vianne zerwała się tak gwałtownie, że zawadziła o stół i rozlała wino.

– Nie powinien pan tak mówić, panie kapitanie.

– Tak – zgodził się z nią i również się podniósł. Stał tuż przed nią, czuła jego oddech przesycony zapachem wina i miętowej pasty do zębów. – Nie powinienem.

– Proszę… – zaczęła i urwała.

– Pani córka nie będzie głodowała tej zimy – powiedział cicho, jakby dzielił z nią tajemnicę. – Może być pani pewna.

Mimo wszystko Vianne poczuła przypływ ulgi. Wymamrotała jakieś słowa – nie potrafiłaby ich powtórzyć za cenę życia – i śpiesznie pobiegła do domu. Wśliznęła się do łóżka i przytuliła do śpiącej Sophie, ale sen długo nie przychodził.

Księgarnia Mauriaca była kiedyś ulubionym miejscem spotkań pisarzy i poetów, miłośników literatury i akademików. To z tych suchych, przesyconych zapachem papieru pomieszczeń pochodziły najlepsze wspomnienia Isabelle z dzieciństwa. Podczas gdy ojciec w pokoiku na tyłach zajmował się rachunkami, mama czytała jej bajki i wiersze, a czasem inscenizowała razem z nią rozmaite ciekawe opowieści. Obie były tu przez pewien czas bardzo szczęśliwe, zanim mama ciężko zachorowała, a ojciec zaczął pić.

„Moja słodka Isabelle, chodź, usiądź na kolanach tatusia, razem napiszemy dla mamy poemat".

A może tylko wymyśliła sobie to wspomnienie, zbudowała je z okruchów swoich potrzeb i ukryła głęboko w zakamarkach pamięci. Nie umiała na to odpowiedzieć.

Obecnie między regałami tłoczyli się Niemcy.

W ciągu sześciu tygodni, odkąd Isabelle na nowo otworzyła księgarnię, musiało się rozejść wśród stacjonujących w Paryżu żołnierzy, że za ladą można spotkać śliczną młodą Francuzkę.

Przybywali po kilku, ubrani w swoje nienagannie wyprasowane mundury, nawołując się rubasznymi głosami. Isabelle flirtowała z nimi z pozorną przyjemnością, lecz zarazem bardzo się pilnowała. Zawsze czekała, aż w księgarni zrobi się pusto i dopiero wtedy wymykała się tylnym wyjściem

w czarnej pelerynie z kapturem, którą zakładała nawet w lecie. Żołnierze byli uśmiechnięci i mili, młodzi chłopcy kupujący klasyczne powieści w prezencie dla swych rodzin i opowiadający o czekających na nich w domu dziewczynach, lecz ona nigdy nie zapominała, że są wrogami.

– Panienko, jest pani taka piękna i tak nas ignoruje. Usychamy z tęsknoty – zagadnął młody niemiecki oficer, wyciągając do niej obie dłonie.

Isabelle roześmiała się perliście i okręciwszy na pięcie, zgrabnie wymknęła się z jego zasięgu.

– Och, dobrze pan wie, że nie wolno mi nikogo faworyzować. – Przysiadła na wysokim taborecie za kontuarem. – Widzę, że wybrał pan tomik poezji. Na pewno w domu czeka na pana dziewczyna, która z radością powita taki ładny prezent.

Koledzy tamtego roześmiali się, szwargocząc w rodzimym języku.

Isabelle przyjmowała pieniądze za książkę, gdy dzwonek nad drzwiami znów zadźwięczał.

Podniosła wzrok, spodziewając się ujrzeć nową grupę Niemców, ale była to Anouk. Jak zwykle ubrana na czarno, w obcisły sweter z dekoltem w szpic, prostą spódnicę, czarny beret i rękawiczki. W kąciku uszminkowanych warg tkwił niezapalony gauloises.

Przystanęła w progu, mając za plecami pusty zaułek i fragment zieleni.

Niemcy odwrócili się na dźwięk dzwonka.

Anouk pozwoliła, żeby drzwi się za nią zamknęły. Swobodnym gestem przypaliła papierosa i wydmuchnęła dym.

Isabelle spojrzała jej w oczy nad ramionami kręcących się po sklepie żołnierzy. Odkąd została kurierem (jeździła do Blois, Lyonu i Marsylii, do Amboise i Nicei, nie licząc przesyłek

dostarczanych pod różne adresy w Paryżu, na fałszywych dokumentach na nazwisko Juliette Gervaise; Anouk przyniosła je kiedyś do kawiarni i wręczyła jej pod stolikiem tuż pod nosem Niemców), najczęściej kontaktowała się właśnie z Anouk i zaprzyjaźniła się z nią mimo dzielącej je różnicy wieku. Prawdopodobnie zbliżyło je do siebie życie, jakie obie wiodły, choć niewiele na ten temat rozmawiały. Isabelle nauczyła się nie zwracać uwagi na milkliwość kobiety, biorącą się z dręczącego ją smutku. I gniewu, jak przypuszczała Isabelle.

Anouk postąpiła kilka kroków z wystudiowaną, wzgardliwą miną, nie rozglądając się na boki. Niemcy umilkli, przypatrując się jej z uwagą i ustępując z drogi. Któryś szepnął do kolegi „chyba wdowa…".

Anouk zdawała się ich nie zauważać. Stanęła przed kontuarem i głęboko zaciągnęła się papierosem. Dym zasłonił jej twarz i przez moment widać było tylko karminowe wargi. Sięgnęła do torebki i wyjęła niedużą książkę w płóciennej oprawie. Na grzbiecie okładki widniało nazwisko autora – Baudelaire – ale nie można było odczytać tytułu, bo książka była zniszczona i podrapana. Isabelle znała go. *Kwiaty zła.* Tom wierszy sygnalizował spotkanie.

– Szukam innego tytułu tego autora – odezwała się Anouk, wydmuchując kłąb dymu.

– Przykro mi, proszę pani, nie mamy więcej Baudelaire'a. Czy może być Verlaine? Albo Rimbaud?

– Niestety, nie. – Anouk opuściła księgarnię.

Dopiero kiedy cicho tym razem zabrzęczał dzwonek i czar prysł, żołnierze podjęli rozmowy. Kiedy nikt nie patrzył w jej stronę, Isabelle nieznacznie wsunęła tomik poezji pod kontuar. W środku znajdowała się wiadomość, którą miała dostarczyć, i karteczka podająca porę, o której należało to uczynić. Miejsce to samo co zwykle, na ławce przed teatrem. Wiadomość została

ukryta po wewnętrznej stronie okładki, którą już wielokrotnie odklejano i przyklejano.

Isabelle niecierpliwie spoglądała na zegar, pragnąc, by wskazówki przestały się wlec. Dostała nowe zadanie.

Punktualnie o 18.00 żartobliwie wyprosiła klientów ze sklepu i zamknęła frontowe drzwi. Kucharz i zarazem właściciel sąsiadującego z księgarnią bistra, monsieur Deparde, palił przed wejściem papierosa. Biedak wyglądał na zmęczonego tak jak ona. Gdy widywała go czasem pocącego się w kuchni nad patelnią, była ciekawa, czy odpowiada mu karmienie Niemców.

– Dobry wieczór panu – powiedziała uprzejmie.

– Dobry wieczór, panienko – odrzekł.

– Ciężki dzień?

– O tak…

Wręczyła mu nieco podniszczoną książeczkę dla dzieci.

– Dla Jacques'a i Gigi – powiedziała.

– Momencik. – Wbiegł do bistra i po chwili podał jej zatłuszczoną papierową torebkę. – Frytki.

Isabelle podziękowała z rozczuleniem. Ostatnio nie tylko zjadała resztki po wrogach, lecz w dodatku była za nie wdzięczna.

Zostawiła rower w księgarni i postanowiła wrócić do domu piechotą, pojadając po drodze frytki. Gdzie spojrzała, widziała Niemców zapełniających kawiarnie i bary. Bladzi, wychudzeni paryżanie śpieszyli do domów, żeby zdążyć przed godziną policyjną. Dwukrotnie podczas spaceru wydawało jej się, że jest śledzona, ale kiedy się odwracała, nikogo za nią nie było.

Nie wiedziała, czemu właściwie zatrzymała się na rogu w pobliżu parku, ale od razu się zorientowała, że dzieje się coś niedobrego. Było inaczej niż zwykle. Ulicę przed nią wypełniały pojazdy wściekle trąbiące klaksonami. Nieopodal ktoś przeraźliwie krzyknął.

Isabelle poczuła, że włosy stają jej dęba. Szybko spojrzała przez ramię, lecz nikogo za nią nie było. Ostatnio często miała takie uczucie, prawdopodobnie był to wynik ciągłego napięcia nerwów. Złocista kopuła kościoła Inwalidów lśniła w promieniach zachodzącego słońca. Serce biło jej mocno. Pociła się ze strachu. Kwaśny odór potu mieszał się z zapachem tłustych frytek; poczuła mdłości.

Wszystko w porządku. Przecież nikt jej nie śledzi. To tylko nerwy.

Skręciła w ulicę de Grenelle.

Coś przyciągnęło jej wzrok, sprawiając, że przystanęła.

Dostrzegła cień tam, gdzie nie powinno go być. Ruch, choć nic nie powinno się poruszać.

Z napiętymi nerwami przeszła przez ulicę, wymijając powoli stojące w korku pojazdy. Następnie przyśpieszyła kroku i niemal pobiegła w stronę narożnej kamienicy, omijając wzrokiem grupę Niemców, którzy raczyli się winem przy kawiarnianych stolikach.

Ukrywszy się za jednym z rozłożystych krzewów przed wejściem do kamienicy, wypatrzyła na terenie posesji mężczyznę ukrytego za ogromną donicą z ozdobnym drzewkiem.

Otworzyła bramę i weszła na podwórze. Usłyszała szuranie, gdy mężczyzna cofał się głębiej w cień.

Potem znieruchomiał.

Z kawiarni nieopodal dochodził głośny rechot Niemców i wołanie o więcej szampana.

Była pora kolacji. Jedna z niewielu godzin w ciągu dnia, gdy wróg troszczył się jedynie o swój brzuch i rozrywkę. Isabelle podkradła się do donicy.

Mężczyzna przywarł do ziemi, starając się stać jak najmniej widocznym. Miał twarz pobrudzoną ziemią i zapuchnięte oko,

a na sobie charakterystyczny kombinezon brytyjskiego pilota.

– Mój Boże – szepnęła Isabelle. – Anglik? – spytała po angielsku.

Nieznajomy milczał.

– RAF? – spróbowała jeszcze raz.

Oczy mu się rozszerzyły. Widziała, że próbuje ocenić, czy może jej zaufać. Powoli skinął głową.

– Jak długo pan się tu ukrywa?

– Przez cały dzień – odpowiedział po chwili wahania.

– Złapią pana – oznajmiła. – Prędzej czy później. – Wiedziała, że powinna go wypytać o szczegóły, ale nie było czasu. Każda sekunda tu z nim i rozmowa zwiększały grożące im obojgu niebezpieczeństwo. I tak było dziwne, że dotąd nie został schwytany.

Musiała podjąć decyzję, czy udzielić mu pomocy, czy jak najśpieszniej odejść w swoją stronę, zanim ktoś ich zauważy. Rzecz jasna, oddalenie się stąd i zajęcie własnymi sprawami było mądrzejszym posunięciem. Wobec tego zdecydowała inaczej.

– Aleja La Bourdonnais numer pięćdziesiąt siedem – szepnęła cicho po angielsku. – Tam właśnie się wybieram. O dziewiątej trzydzieści wyjdę przed dom na papierosa. Podejdzie pan wtedy pod drzwi. Jeśli uda się panu tam trafić, nie będąc widzianym przez nikogo, pomogę panu. Czy mnie pan zrozumiał?

– Skąd mam wiedzieć, czy mogę pani zaufać?

– Rozmawiając z panem, popełniam niewybaczalne głupstwo – odparła. – A obiecałam komuś, że nie będę impulsywna. No cóż… – Okręciła się na pięcie i wyszła z podwórza na ulicę, zamykając za sobą bramę. W drodze do domu czyniła sobie wyrzuty za zbyt pochopną decyzję, ale nic nie mogła już zmienić. Co się stało, to się nie odstanie. Nie oglądała się za siebie, nawet przed swoją kamienicą. Chwyciła

mosiężną gałkę przy drzwiach wejściowych, czując, że kręci jej się w głowie. Ogarnął ją strach.

Wygrzebała klucze z torebki, otworzyła drzwi i weszła do sieni. Ciemnawe, ciasne pomieszczenie było zastawione rowerami i ręcznymi wózkami. Podeszła do schodów, usiadła na ostatnim stopniu i czekała.

Chyba z tysiąc razy spoglądała na zegarek, powtarzając, że nie powinna tego robić, po czym w końcu o wpół do dziesiątej wyszła przed budynek. W tym czasie zrobiło się ciemno. Pogrążona w mroku ulica przypominała jaskinię. Nieliczne samochody przemykały w ciemności z zamalowanymi reflektorami, na których szkłach pozostawiono czystą tylko wąską poziomą szparę. Isabelle zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym ustami, starając się uspokoić.

– Jestem, proszę pani.

Po omacku otworzyła drzwi do sieni.

– Niech pan idzie za mną. Nie za blisko. Proszę zachować ciszę.

Poprowadziła go do schodów, oboje obijali się o wózki i rowery. Jeszcze nigdy nie pokonała szybciej czterech pięter. Wciągnęła lotnika do mieszkania i błyskawicznie zatrzasnęła drzwi.

– Teraz niech się pan rozbiera – poleciła.

– Co proszę?

Zapaliła światło.

Mężczyzna wyraźnie nad nią górował. Był chudy, ale barczysty, miał szczupłą twarz i nos, który musiał być kiedyś złamany, może nawet dwukrotnie. Włosy ostrzyżone tuż przy skórze.

– Kombinezon lotniczy. Proszę go zdjąć. Szybko.

Chyba oszalała, żeby się na to narażać. Ojciec mógł wrócić w każdej chwili. Gdyby zastał w domu brytyjskiego lotnika,

wydałby ich oboje Niemcom.

Gdzie by tu schować kombinezon? Buty również natychmiast by go zdradziły.

Schylony mężczyzna wyplątywał się z nogawek kombinezonu.

Isabelle nigdy dotąd nie widziała nikogo w gatkach i podkoszulku. Poczuła, że się rumieni.

– Nie ma powodu do wstydu, panienko – powiedział pilot z szerokim uśmiechem.

Zebrała kombinezon z podłogi i wyciągnęła rękę po identyfikatory. Zdjął z szyi dwie małe, owalne blaszki na mocnym łańcuszku i jej podał. Obie zawierały tę samą informację: porucznik Torrance MacLeish. Ponadto grupa krwi, wyznanie i numer wojskowy.

– Proszę za mną. Tylko cicho… Jak to się mówi po angielsku? Na czubkach…?

– Na palcach – odszepnął.

Zaprowadziła go do swojego pokoju i pokazała tajemny pokoik za szafą.

Lalki gapiły się na nich szklanymi paciorkami oczu.

– Można się przestraszyć, panienko – szepnął. – Trochę tu mało miejsca dla takiego chłopa jak ja.

– Niech pan tu wejdzie i zachowa absolutną ciszę. Każdy podejrzany dźwięk może ściągnąć nam na głowę policję. Moja sąsiadka jest szalenie wścibska i być może kolaboruje z Niemcami, rozumie pan? Ojciec wkrótce wróci do domu. Pracuje w dowództwie niemieckim.

– O rety…

Nie miała pojęcia, co to miało znaczyć. Pociła się tak obficie, że ubranie przylepiło jej się do ciała. Chyba zwariowała, usiłując mu pomóc!

– A co, jeśli będę musiał… rozumie panienka?

– Niech się pan wstrzymuje. – Podała mu poduszkę i koc. – Wrócę, kiedy będę mogła. Tylko cicho, jasne?

Kiwnął głową.

– Dziękuję.

– Co za idiotka ze mnie – wymamrotała do siebie, kręcąc głową. Musiała się pozbyć kombinezonu i identyfikatorów pilota, nim ojciec wróci do domu.

Poruszała się po mieszkaniu boso, starając się robić to bezszelestnie. Nie wiedziała, czy sąsiedzi z dołu mogli wcześniej zwrócić uwagę na kroki zbyt wielu stóp. Lepiej dmuchać na zimne. Włożyła kombinezon do płóciennej torby i przycisnęła ją do piersi.

Opuszczenie mieszkania wydało jej się nagle niebezpieczne. Podobnie jak pozostawanie w nim.

Przekradła się obok drzwi sąsiadki i zbiegła schodami na parter.

Drżąc cała, wciągnęła haust wieczornego powietrza.

Co teraz? Przecież nie mogła wyrzucić torby gdziekolwiek. Nie chciała wpędzić innych osób w kłopoty.

Po raz pierwszy cieszyła się z panujących w mieście egipskich ciemności. Przemykając w ciemnym stroju pod ścianami kamienic, była praktycznie niewidoczna dla postronnych. Zbliżała się godzina policyjna, na ulicach było niewielu przechodniów. Niemcy siedzieli w kawiarniach.

Odetchnęła pełną piersią, starając się uspokoić. Myśl, myśl! – napominała się w duchu. Ojciec zaraz wróci do domu.

Rzeka.

To tylko kilka przecznic, a nabrzeże jest obsadzone drzewami.

Wybrała jedną z bocznych ulic i przekradła się w stronę rzeki.

Poruszała się powoli i ostrożnie. Krok, oddech, stop. Ostatni odcinek do Sekwany zdawał się trwać w nieskończoność, jakby się potajemnie wydłużał. Na koniec zeszła jednak po schodach nad wodę. W ciemności skrzypiały łodzie, fale z pluskiem uderzały w drewniane kadłuby. Znów wydało jej się, że słyszy za sobą kroki. Zastygła, kroki ucichły. Czekała, aż ktoś wyłoni się zza jej pleców i zażąda okazania dokumentów.

Cisza. Ponosiła ją wyobraźnia.

Upłynęła minuta. Potem następna.

Wrzuciła torbę do rzeki, za nią identyfikatory. Czarny nurt natychmiast połknął zdobycz.

Mimo to, wracając do domu, drżała w niekontrolowany sposób.

Przystanęła przed drzwiami mieszkania, przygładziła wilgotne od potu włosy i poprawiła ubranie.

Paliło się tylko jedno światło, żyrandol w salonie. Ojciec garbił się nad papierami przy jadalnym stole. Wydał jej się nagle poczerniały i straszliwie wychudzony. Najwidoczniej fatalnie się odżywiał. Odkąd z nim zamieszkała, ani razu nie widziała, żeby jadł porządny posiłek. Jadali – i robili wszystko inne – osobno. Przypuszczała, że żywił się w pracy resztkami po Niemcach. Teraz nie była już tego taka pewna.

– Późno wróciłaś – mruknął z przyganą.

Na stole stała opróżniona do połowy butelka wódki. Wczoraj jeszcze była pełna. Jakim cudem nigdy nie brakowało mu alkoholu?

– Niemcy nie chcieli wyjść z księgarni – odrzekła i położyła na stole plik banknotów frankowych. – Dzisiaj był dobry dzień. Jak widzę, twoi koledzy z kwatery głównej dali ci więcej gorzały. – Nie odpowiedział, więc dodała złośliwie: – Na pewno sobie zasłużyłeś.

Rozległ się stuk, jakby coś upadło na podłogę.

– Co to było? – Ojciec z niepokojem uniósł głowę.

Kolejny odgłos, tym razem drapania drewna o drewno.

– Ktoś jest w mieszkaniu – powiedział ojciec.

– Bądź poważny, tato.

Zerwał się od stołu i wybiegł na korytarz. Isabelle za nim.

– Tato…

– Cicho – syknął.

Ruszył korytarzem do nieoświetlonej części mieszkania. Ze stojącej przy drzwiach komody wziął lichtarz i zapalił świecę.

– Nie sądzisz chyba, że ktoś się tu włamał – powiedziała.

Obrzucił ją ponurym spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

– Cicho bądź! Nie będę dwa razy powtarzał. – Chybotliwy płomień tańczył na ścianie.

– Ale o co…

– Zamknij się. – Ostrożnie ruszył wąskim korytarzem.

Przeszedł obok płytkiej szafy na płaszcze i zajrzał do dawnego pokoju Vianne. Nie było w nim innych mebli poza łóżkiem, nocną szafką i biurkiem. Ojciec rozejrzał się, ukląkł i zajrzał pod łóżko.

Uspokojony, że pokój okazał się pusty, skierował kroki do sypialni Isabelle.

Czy słyszał walenie jej serca?

– No widzisz? – zapytała głośno, zmuszając się, żeby nie patrzeć w stronę szafy. Miała nadzieje, że lotnik usłyszy jej głos i zachowa ostrożność. – Nikogo tu nie ma. Tato, praca dla Niemców przyprawia cię o paranoję.

Odwrócił się do niej. W blasku świecy jego twarz wydawała się jeszcze bardziej wymizerowana.

– Ty także powinnaś się bać, wiesz?

Czy była to groźba?

– Ciebie, tato, czy hitlerowców?

– Na jakim ty świecie żyjesz, dziewczyno? Powinnaś bać się wszystkiego i wszystkich. No, zejdź mi z drogi. Muszę się napić.

18

Isabelle nasłuchiwała, leżąc w łóżku. Upewniwszy się, że ojciec zapadł już w pijacki sen, wstała, odszukała porcelanowy nocnik po babce i stanęła przed drzwiczkami do tajemnego schowka.

W środku było cicho i ciemno. Dopiero natężywszy słuch, dosłyszała płytki oddech lotnika.

– Proszę pana? – szepnęła.

– Jestem – doleciała równie cicha odpowiedź.

Zapaliła lampę naftową i oświetliła nią schowek.

Siedział oparty o ścianę, podkuliwszy nogi przed sobą. W miękkim, żółtawym świetle wydawał się młodszy.

Podała mu nocnik i z satysfakcją obserwowała, jak na policzkach mężczyzny z wolna wykwita rumieniec.

– Dziękuję.

– Pozbyłam się kombinezonu i identyfikatorów – szepnęła, siadając na krześle przed szafą. – Cholewki butów trzeba będzie skrócić. Tu jest nóż. Jutro rano przyniosę panu ubranie ojca. Nie sądzę, żeby pasowało, ale…

– Jaki mamy dalszy plan? – zapytał.

– Sama nie wiem… – Uśmiechnęła się nerwowo. – Jest pan pilotem, prawda?

– Porucznik Torrance MacLeish. RAF. Mój samolot rozbił się nad Reims.

– I od tamtej pory był pan zdany tylko na siebie? W dodatku w takim ubraniu? W kombinezonie lotniczym?

– Na szczęście w dzieciństwie często bawiłem się z bratem w chowanego.

– Nie jest pan tutaj bezpieczny.

– Domyślam się. – Uśmiech złagodził jego rysy, pomyślała, że jest tylko młodym chłopakiem, który znalazł się daleko od domu. – Może sprawi to panience przyjemność, jeśli powiem, że zniszczyłem przy tym trzy szkopskie maszyny.

– Powinien pan wrócić do Anglii, żeby dalej walczyć z Niemcami.

– Pełna zgoda, ale jak tego dokonać? Wybrzeże na całej długości zagradza drut kolczasty i pilnują go patrole z psami. Nie mogę opuścić Francji powietrzem ani morzem.

– Mam… przyjaciół, którzy ewentualnie mogliby pomóc. Pójdziemy do nich jutro.

– Jest panienka bardzo dzielna – rzekł miękko.

– Albo głupia – mruknęła ponuro, nie wiedząc, które określenie jest bliższe prawdy. – Powtarzano mi często, że jestem impulsywna i buntownicza. Jutro pewnie też to usłyszę.

– Na pewno nie ode mnie.

Rankiem Isabelle usłyszała kroki ojca. Po chwili doleciał ją mocny zapach kawy, a jeszcze później trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Na palcach pośpieszyła do jego pokoju. Panował tam nieopisany bałagan. Niepościelone łóżko, ubrania walające się po podłodze, na biurku przewrócona pusta butelka. Podciągnęła żaluzję i wyjrzała na ulicę w dole, na której ukazał się właśnie ojciec. Przyciskając do piersi czarną aktówkę (jakby kogoś w ogóle obchodziły jego poezje), z kapeluszem nisko nasuniętym na czoło, zgarbiony pod niewidzialnym ciężarem

szedł w kierunku metra. Kiedy zniknął jej z oczu, podbiegła do szafy i zaczęła przeglądać jego stare ubrania. Wybrała bezkształtny, zmechacony sweter z golfem, wyświechtane sztruksowe spodnie z łatą na siedzeniu i szary beret.

Potem ostrożnie otworzyła drzwiczki. W tajemnym schowku śmierdziało potem i moczem tak okropnie, że odruchowo zakryła nos i usta.

– Przepraszam – bąknął nieśmiało MacLeish.

– Niech pan to założy. Proszę się obmyć w misce i przyjść do salonu. Nikt nie może nas usłyszeć. Sąsiedzi z dołu mogli zauważyć, że ojciec wyszedł i zostałam sama w mieszkaniu.

Niebawem lotnik wszedł do salonu, ubrany w otrzymane od niej rzeczy. Przypominał bohatera bajki, który urósł przez noc. Sweter trzeszczał na jego szerokim torsie, spodnie nie dopinały się w pasie. Prosto założony beret przypominał raczej jarmułkę niż francuskie nakrycie głowy.

To się nie mogło udać. W takim stroju nie zdołają przekraść się przez miasto.

– Dam radę – powiedział, widząc jej minę. – Będę szedł za panienką z tyłu. Proszę mi zaufać. Chodziłem w kombinezonie… To proste, naprawdę.

Było już za późno, żeby się teraz wycofać. Zabrała go i ukryła u siebie w mieszkaniu. Teraz należało mu zapewnić bezpieczniejsze schronienie.

– Niech pan się trzyma co najmniej przecznicę za mną. Jeżeli przystanę, proszę zrobić to samo.

– Jak mnie przyskrzynią, to proszę iść dalej i nie oglądać się za mną.

Przyskrzynią, czyli pewnie aresztują. Podeszła do niego i poprawiła mu beret, przekrzywiając go na francuską modłę. Zajrzała mu w oczy.

– Skąd pan pochodzi, poruczniku MacLeish?

– Z Ipswich. Powiadomi panienka moich rodziców… w razie czego?

– To nie będzie konieczne, poruczniku. – Odetchnęła głęboko. Jego prośba przypomniała jej o ryzyku i grożącym obojgu niebezpieczeństwie. Fałszywe dokumenty w torebce na nazwisko Juliette Gervaise z Nicei, ochrzczonej w Marsylii studentce Sorbony, były jedyną ochroną na wypadek najgorszego. Otworzyła drzwi na klatkę schodową i ostrożnie wyjrzała. Nikogo. – Proszę iść – ponagliła – i zaczekać na mnie pod nieczynnym sklepem modystki. Potem pójdzie pan za mną.

Wymknął się z mieszkania, a ona szybko zamknęła drzwi.

Raz. Dwa. Trzy…

Liczyła w myśli, wyobrażając sobie wszelkie możliwe kłopoty. Kiedy nie mogła już dłużej znieść niepewności, wyszła z mieszkania i zbiegła schodami na parter.

Cisza, spokój.

Stał pod nieczynnym sklepem, tak jak mu poleciła. Wyprostowała się i minęła go bez jednego spojrzenia.

Szła szybkim krokiem do bulwaru Saint-Germain, nie rozglądając się ani nie patrząc przez ramię. Kilka razy słyszała za sobą okrzyk „Halt!” i gwizdki. Dwukrotnie padły gdzieś strzały, ale nie zatrzymała się i nie zwolniła kroku.

Gdy dotarła do pomalowanych na czerwono drzwi mieszkania na ulicy Saint-Simona, była spocona i lekko kręciło jej się w głowie.

Zastukała szybko cztery razy.

Drzwi się uchyliły.

W szparze ukazała się twarz Anouk. Z jej oczu wyzierało zaskoczenie. Otworzyła drzwi szerzej i wpuściła Isabelle do mieszkania.

– Co tu robisz?

Przy kilku stołach siedzieli mężczyźni, z których część Isabelle już poznała. Mieli przed sobą rozłożone mapy Europy i Francji.

Anouk chciała zamknąć drzwi, ale Isabelle ją powstrzymała.

– Zostaw otwarte.

Natychmiast dało się wyczuć wzrost napięcia. Zebrani popatrywali to na nią, to na siebie. Lévy zaczął składać mapy.

Isabelle wyjrzała i dostrzegła zbliżającego się szybkim krokiem MacLeisha. Wszedł do środka, a wówczas zamknęła za nim drzwi na klucz. Nikt się nie odezwał.

– To porucznik Torrance MacLeish z RAF-u – powiedziała, wodząc wzrokiem po poważnych twarzach zebranych. – Pilot. Spotkałam go wczoraj wieczorem, ukrywał się na podwórzu domu stojącego w pobliżu mojej kamienicy.

– Więc przyprowadziłaś go tutaj – podsumowała Anouk, zaciągając się papierosem.

– Musi wrócić do Anglii – odparła Isabelle. – Pomyślałam…

– Nie – przerwała jej brutalnie Anouk. – Wcale nie myślałaś.

Lévy usiadł, wyjął z kieszeni na piersi paczkę gauloises'ów i przypalił jednego, nie spuszczając lotnika z oczu.

– W mieście są jeszcze inni, o których wiemy. Niektórzy uciekli z obozów niemieckich. Chcielibyśmy ich wywieźć z Francji, ale wybrzeże i lotniska są dobrze pilnowane, żywa dusza się nie prześlizgnie. – Zaciągnął się głęboko papierosem, którego koniuszek rozjarzył się i po sekundzie sczerniał. – Pracujemy nad tym.

– Wiem – powiedziała Isabelle. Czuła na sobie brzemię odpowiedzialności. Czy znów postąpiła pochopnie, nie oglądając się na konsekwencje? Czy sprawiła zawód kolegom? Nie wiedziała. Może powinna na tym podwórzu zostawić MacLeisha własnemu losowi? Już miała zadać pytanie, gdy z przyległego pomieszczenia dobiegł szmer rozmowy.

– Ktoś jeszcze tu jest? – zdziwiła się, marszcząc brwi.

– Owszem, są jeszcze inni – odparł Lévy. – Zawsze. To cię nie powinno obchodzić.

– Musimy mieć plan, co robić z lotnikami – odezwała się Anouk.

– Przypuszczamy, że udałoby się nam wywieźć ich z Hiszpanii – powiedział Lévy. – Pod warunkiem że najpierw byśmy ich tam przerzucili.

– Pireneje – mruknęła Anouk.

Isabelle widziała Pireneje, więc zrozumiała, co tamta ma na myśli. Poszarpane szczyty sterczały w niebo, zazwyczaj pokryte śniegiem lub zanurzone we mgle. Mama kochała Biarritz, niewielkie nadmorskie miasteczko, i rodzina spędziła tam dwukrotnie wakacje.

– Granica hiszpańska jest dobrze strzeżona przez niemieckie i hiszpańskie patrole – powiedziała Anouk.

– Na całej długości? – zdziwiła się Isabelle.

– Nie, oczywiście, że nie… Ale kto może wiedzieć, które odcinki są bezpieczne, a które nie? – odparł Lévy.

– Góry są niższe w okolicy Saint-Jean-de-Luz – podsunęła Isabelle.

– Owszem, ale co z tego? Nie da się tamtędy przedostać, a nieliczne drogi są pilnie strzeżone – powiedziała Anouk.

– Przyjaciółka mojej mamy była Baskijką, a jej ojciec hodował kozy. Wiele razy pokonywał pieszo górskie szlaki.

– Też na to wpadliśmy. Raz nawet próbowaliśmy – westchnął Lévy. – Nie usłyszeliśmy już więcej o uczestnikach tamtej ekspedycji. Uniknięcie kontaktu z patrolami pod Saint-Jean-de-Luz jest trudne dla jednego człowieka, a co dopiero dla kilku, no i potem trzeba jeszcze przejść pieszo przez góry. To prawie niewykonalne.

– Prawie niewykonalne i niewykonalne to dwie różne sprawy. Jeśli hodowcy kóz sobie radzą, to nie powinno to przekraczać możliwości pilotów – powiedziała Isabelle. Wtem coś jej przyszło do głowy. – Kobieta przeszłaby bez trudu przez punkty kontrolne. Zwłaszcza młoda. Nikt nie będzie podejrzewał ładnej dziewczyny.

Anouk i Lévy wymienili spojrzenia.

– Podejmę się tego! – zawołała Isabelle. – A przynajmniej spróbuję. Przeprowadzę bezpiecznie lotnika. Czy są jeszcze inni?

Lévy miał zaskoczoną minę. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Zaciągnął się papierosem.

– Wspinałaś się już kiedyś w górach?

– Jestem silna, poradzę sobie – brzmiała wymijająca odpowiedź.

– Jeśli zostaniesz złapana, zabiją cię albo wtrącą do więzienia – powiedział cicho. – Przemyśl to, Isabelle, nie działaj impulsywnie. To nie to samo, co dostarczenie przesyłki pod wskazany adres. Widziałaś rozlepione w całym mieście plakaty? Oferują nagrody za wskazanie ludzi pomagających wrogom Trzeciej Rzeszy.

Isabelle kiwnęła energicznie głową.

Anouk westchnęła ciężko, rozgniatając niedopałek w przepełnionej popielniczce. Bardzo długo przyglądała się Isabelle spod zmrużonych powiek, po czym podeszła do uchylonych drzwi za stołem. Otworzyła je trochę szerzej i skinęła na kogoś dłonią.

Isabelle znieruchomiała. Z sąsiedniego pomieszczenia doleciał szurgot odsuwanego krzesła, potem kroki.

Do pokoju wszedł Gaëton.

Był nędznie ubrany w przykrótkie sztruksowe spodnie, wystrzępione i z łatami na kolanach, i zbyt luźny, powyciągany

sweter, który wisiał na nim jak na strachu na wróble. Czarne, zaczesane gładko do tyłu włosy wymagały ostrzyżenia. W wychudłej twarzy płonęły wilcze oczy. Wpił się spojrzeniem w Isabelle, jakby w pokoju nie było nikogo poza nimi dwojgiem.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Uczucia, które próbowała ukryć, pogrzebać, zignorować, wróciły z jeszcze większą mocą. Jedno jego spojrzenie i odebrało jej mowę.

– Znasz Gaëta – stwierdziła Anouk.

Isabelle odchrząknęła. Od razu się domyśliła, że on wiedział o niej od początku i wolał się nie ujawniać. Po raz pierwszy od wstąpienia do ruchu oporu poczuła się bardzo młoda i niedoświadczona. Czy wszyscy o tym wiedzieli? Czy, kiedy nie słyszała, wyśmiewali się z jej naiwności?

– Tak.

– Isabelle ma plan – Lévy przerwał wreszcie przedłużającą się ciszę.

– Serio? – Gaëton się nie uśmiechał.

– Chce przeprowadzić tego lotnika i ewentualnie innych górskimi szlakami przez Pireneje na teren Hiszpanii. Do brytyjskiego konsulatu, jak rozumiem.

Gaëton zaklął pod nosem.

– Musimy coś zrobić, a przynajmniej spróbować – powiedział Lévy.

– Czy na pewno rozumiesz związane z tym ryzyko, Isabelle? – zapytała Anouk, wychodząc przed mężczyzn. – Jeżeli ci się uda, Niemcy się o tym dowiedzą. Zaczną na ciebie polować. A nagroda za wydanie im osób udzielających pomocy lotnikom RAF-u wynosi dziesięć tysięcy franków. Wielu się skusi.

Isabelle zawsze kierowała się w życiu jedną zasadą: należy reagować. Jeśli ktoś ją zostawiał, goniła za nim. Powiadano jej, że czegoś nie wolno, więc to właśnie robiła. Z każdej bariery tworzyła bramę.

Ale tym razem…

Pozwoliła, by strach lekko nią potrząsnął i nieomal mu się poddała. Ale potem pomyślała o flagach ze swastyką na wieży Eiffla, Vianne przymusowo dzielącej dom z wrogiem i Antoinie w obozie jenieckim. I o Edith Cavell. Ona także czasami się bała, Isabelle była tego pewna, ale nie pozwalała, żeby strach jej przeszkadzał. Anglia potrzebowała lotników, żeby zrzucali więcej bomb na Niemców. Prosty wybór.

– Poruczniku – zwróciła się do Anglika – czy jest pan w dobrej kondycji? Dotrzyma pan kroku dziewczynie na górskim szlaku?

– Chyba tak – odrzekł z uśmiechem. – Zwłaszcza tak ładnej jak panienka. Za nic nie spuszczę panienki z oka.

– Zaprowadzę go do konsulatu w San Sebastian – oznajmiła kolegom. – Potem niech się o niego martwią Brytyjczycy.

Zebrani wymienili spojrzenia, odbyła się krótka rozmowa bez słów. Decyzja została podjęta w milczeniu. Należało podjąć ryzyko, wiedzieli o tym wszyscy obecni.

– Zaplanowanie wszystkiego zajmie kilka tygodni, może nawet dłużej – powiedział Lévy. Spojrzał na Gaëtona. – Będziemy niezwłocznie potrzebowali pieniędzy. Pogadasz ze swoim kontaktem?

Gaëton skinął głową. Chwycił leżący na komodzie czarny beret i włożył go na głowę.

Isabelle nie odrywała od niego wzroku. Była na niego zła, czuła to, ale gdy tylko się do niej zbliżył, złość rozwiała się bez śladu. Krótką chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Gaëton wyminął ją bez słowa i wyszedł. Drzwi zamknęły się z głuchym trzaskiem.

– No to zabieramy się do planowania – rzekła Anouk.

Isabelle spędziła sześć godzin w mieszkaniu przy ulicy Saint-Simona. Rozdzielono zadania: zebranie odzieży dla pilotów, zapasów żywności. Przejrzano mapy, wytyczono najbezpieczniejsze trasy; teraz należało znaleźć pewne noclegi po drodze. W końcu plan zaczął nabierać kształtów, przestał być zarysem śmiałego pomysłu.

Isabelle podniosła się z krzesła dopiero wtedy, gdy Lévy wspomniał o godzinie policyjnej. Towarzysze próbowali ją namówić, by została, ale z pewnością wzbudziłoby to uzasadnione podejrzenia ojca. Zgodziła się jedynie pożyczyć od Anouk długi czarny płaszcz, mając nadzieję, że otulona w niego, przemknie się niezauważona w ciemnościach.

Na bulwarze Saint-Germain było wręcz upiornie pusto, gapiły się na nią czarne okna kamienic, zgaszone latarnie.

Isabelle trzymała się blisko ścian budynków, zadowolona, że zdarte podeszwy pantofli nie stukają o trotuar. Przemykała niespostrzeżenie obok barykad i niemieckich patroli.

Dotarła już prawie do domu, gdy za plecami usłyszała warkot silnika. Ulicą przejechała ciężarówka z zaciemnionymi reflektorami.

Isabelle przywarła plecami do muru, mając nadzieję, że ubrana w czerń, dokładnie wtopiła się w mrok. Warkot począł zanikać w oddali i znów zapadła złowroga cisza.

Ptak zagwizdał radośnie, wysoko. Znajomo.

Wtedy dotarło do niej, że czekała na to, wbrew wszelkiej nadziei…

Wyprostowała się powoli i oderwała od ściany. Z ozdobnej rośliny w donicy niosła się odurzająca woń kwiatów.

– Isabelle – odezwal się miękko Gaëton.

W mroku ledwie rozróżniała jego sylwetkę. Doleciał ją słaby zapach pomady do włosów, szarego mydła i dymu z papierosa, którego wypalił jeszcze tam, przy ulicy Saint-Simona.

– Skąd wiedziałeś, że współpracuję z Paulem? – zapytała.

– A jak myślisz, kto mu cię zarekomendował?

– Henri…

– A kto powiedział Henriemu o tobie? Od początku kazałem Didierowi cię śledzić i czuwać nad tobą. Wiedziałem, że prędzej czy później znajdziesz do nas drogę.

Sięgnął ręką i założył jej włosy za uszy. Poufałość tego prostego gestu napełniła jej serce nową nadzieją. Pamiętała dawne wyznanie „kocham cię” i poczuła, że skręca się ze wstydu. Nie chciała pamiętać, jak się nią opiekował, jak karmił ją upieczonym na ogniu królikiem, niósł ją na plecach, gdy obolałe nogi odmówiły jej posłuszeństwa… I pokazał, ile znaczy jeden pocałunek.

– Przykro mi, że cię zraniłem – powiedział.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Teraz to nie ma znaczenia. – Westchnął. – Powinienem był zostać w tamtym pokoju. Wolałbym się z tobą nie widzieć.

– A ja wprost przeciwnie.

– Zawsze mówisz, co masz na języku, prawda? – uśmiechnął się.

– Zawsze. Dlaczego mnie zostawiłeś?

Musnął jej twarz z czułością, od której zebrało jej się na płacz. To było jak pożegnanie, wyczuła to.

– Chciałem o tobie zapomnieć.

Pragnęła coś dodać, może „pocałuj mnie” albo „nie odchodź” czy „powiedz, że jestem dla ciebie ważna”, lecz było już na to za późno, ten moment – czymkolwiek był – minął. Odchodził od niej, roztapiał się w mroku. Usłyszała jeszcze ciche: „Uważaj na siebie”, lecz nie czekał na odpowiedź, zniknął. Poczuła jego nieobecność całą sobą.

Po chwili, gdy serce się uspokoiło, ruszyła do domu. Ledwie zdążyła włożyć klucz do zamka, drzwi otworzyły się

z gwałtownym szarpnięciem i została wciągnięta do mieszkania.

– Gdzieś ty była, do jasnej cholery?!

Owionął ją przesiąknięty alkoholem oddech ojca, ale poczuła też coś jeszcze, jakąś goryczkę, jakby ojciec ssał aspirynę. Chciała mu się wyrwać, ale trzymał ją tak mocno, że niemal ściskał. Wiedziała, że na przegubie zostanie siniak.

Nagle puścił ją równie szybko, jak przedtem chwycił. Poleciała chwiejnie do tyłu, gorączkowo macając ścianę w poszukiwaniu włącznika światła. Pstryknęła, ale bez rezultatu. W przedpokoju było nadal ciemno.

– Skończyły się pieniądze na prąd – oznajmił ojciec. Zapalił lampę naftową i uniósł w górę. W mdłym świetle jego twarz zdawała się z wosku – obwisłe policzki, napuchnięte powieki. Nos usiany czarnymi wągrami wielkości łebka od szpilki. Ale to nie żałosny wygląd ojca sprawił, że zadrżała, lecz wyraz jego posępnych oczu.

Coś było nie tak.

– Chodź ze mną – polecił ostrym tonem. Poprowadził ją do jej sypialni. Przystanął w progu i odwrócił się do niej, patrząc oskarżycielsko.

Zobaczyła otwarte drzwi do tajemnego schowka. Odór uryny gryzł w nozdrza. Dzięki Bogu, że lotnika już nie było.

Isabelle stała jak wryta, niezdolna wykrztusić słowa.

Ojciec przysiadł na krawędzi łóżka i zwiesił głowę.

– Jezu, dziewczyno. Jesteś jak wrzód na tyłku.

Nie była w stanie się ruszyć ani czegoś wymyślić. Patrzyła na drzwi sypialni. Czy zdoła dopaść wyjścia?

– To nic takiego, tato… Byłam z chłopakiem… – Tak, tak. To dobre usprawiedliwienie. Randka. – Mieliśmy randkę… Trochę się całowaliśmy… – jąkała.

– I wszyscy twoi znajomi sikają do szafy? W takim razie musisz być bardzo popularna. – Westchnął. – Starczy już tej zabawy w kotka i myszkę.

– Zabawy…?

– Wczoraj wieczorem znalazłaś na mieście lotnika, przechowałaś go za szafą, a dziś rano zaprowadziłaś do Lévy'ego.

Musiała się chyba przesłyszeć.

– Słucham?

– Zaprowadziłaś lotnika, tego, który nasikał w szafie i zostawił brudne ślady w korytarzu, do Lévy'ego.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– No to świetnie.

Milczał tak długo, że nie wytrzymała napięcia.

– Tato…?

– Wiem, że przyjechałaś do Paryża jako kurierka podziemia i działasz w grupie Paula Lévy'ego.

– A-ale jak…

– Lévy to mój stary przyjaciel. Kiedy hitlerowcy zajęli Paryż, zrobił wszystko, żeby odciągnąć mnie od flaszki, bo tylko to mnie wtedy interesowało. Dał mi robotę.

Isabelle zakręciło się tak w głowie, że aż klapnęła na dywan.

– Nie chciałem, żebyś się w to mieszała, Isabelle. To dlatego wysłałem cię na wieś. Nie chciałem cię narażać na ryzyko. Powinienem wiedzieć, że sama znajdziesz sposób, aby się narazić.

– A dlaczego wysyłałeś mnie przedtem, i to tyle razy? – Natychmiast pożałowała tego pytania, ale nie mogła go cofnąć.

– Nie jestem dobrym ojcem. Oboje to wiemy. Zwłaszcza od czasu śmierci mamy.

– A skąd niby wiemy? Nawet nie próbowałeś…

– Próbowałem, próbowałem. Po prostu nie pamiętasz. Ale to już minęło. Teraz mamy większe zmartwienia.

– To prawda – odrzekła. Jej przeszłość zdawała się stawać na głowie. Nie wiedziała, co o niej myśleć. Lepiej było zmienić temat. – Ja… coś planuję. Wyjadę na pewien czas.

Spojrzał na nią z góry.

– Wiem. Rozmawiałem z Paulem. – Milczał dłuższą chwilę. – Musisz zdać sobie sprawę, że twoje życie bardzo się zmieni. Będziesz musiała zejść do podziemia, nie możesz dalej mieszkać ze mną ani u kogo innego. Odtąd w jednym miejscu wolno ci spędzić najwyżej kilka nocy. Nie możesz nikomu ufać. Nazwisko Isabelle Rossignol przestaje istnieć, od tej pory jest tylko Juliette Gervaise. Niemcy i kolaboranci będą cię bez przerwy szukać, a jeśli znajdą…

Isabelle skinęła głową.

Wymienili spojrzenia. Isabelle poczuła nieznaną jej dotąd więź z ojcem.

– Wiesz, że jeńcy wojenni mogą liczyć na jakąś łaskę. Ty nie możesz spodziewać się żadnej.

Znów potaknęła.

– Czy jesteś na to gotowa, Isabelle?

– Tak, tato.

– Musisz znaleźć kobietę nazwiskiem Micheline Babineau – powiedział. – To przyjaciółka mamy z Urrugne. Jej mąż zginął w czasie Wielkiej Wojny. Myślę, że chętnie ci pomoże. Aha, powiadom Paula, że bezzwłocznie potrzebuję fotografii.

– Fotografii?

– Lotników. – Gdy jej milczenie się przedłużało, w końcu się uśmiechnął. – No co ty, Isabelle? Jeszcze nie dodałaś dwóch do dwóch?

– Ale…

– Wyrabiam lewe papiery, dziecko. To dlatego zatrudniłem się w kwaterze głównej. Zacząłem od ulotek, które roznosiłaś w Carriveau, ale wkrótce się okazało, że poeta ma rękę fałszerza. Jak sądzisz, kto nadał ci nazwisko Juliette Gervaise?

– A-ale…

– Uwierzyłaś, że kolaboruję z wrogiem. Nie mam ci tego za złe.

Nagle zobaczyła w ojcu kogoś obcego, złamanego człowieka, który zastąpił okrutnego, obojętnego mężczyznę, jakim jawił się jej dotąd. Podsunęła się do niego na klęczkach i podniosła załzawione oczy.

– Dlaczego odtrąciłeś mnie i Vianne?

– Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz, jaka jesteś krucha, Isabelle.

– Nie jestem krucha – zaperzyła się.

– Wszyscy jesteśmy, Isabelle – powiedział z cieniem uśmiechu. – Tego właśnie uczy nas wojna.

19

OSTRZEŻENIE

Mężczyźni, którzy pośrednio lub bezpośrednio udzielą jakiejkolwiek pomocy nieprzyjacielskim lotnikom skaczącym na spadochronach lub przymusowo lądującym, ukryją ich lub pomogą w ucieczce, zostaną rozstrzelani na miejscu.

Kobiety udzielające takiej samej pomocy zostaną zesłane do obozu koncentracyjnego na terenie Rzeszy.

– Chyba mam szczęście, że jestem kobietą – mruknęła Isabelle pod nosem. Jak to się stało, że Niemcy nie połapali się jeszcze, iż teraz – w październiku 1941 roku – Francja stała się krajem kobiet?

Wypowiadając te słowa, czuła ich sztuczną brawurę. Pragnęła być odważna jak Edith Cavell, która ryzykowała życie, ale na dworcu patrolowanym przez Niemców zwyczajnie się bała.

Nie mogła jednak zawrócić, przemyśleć swojej decyzji. Po wielu miesiącach przygotowań ona i czterech lotników miało wreszcie sprawdzić skuteczność planu.

Życie Isabelle miało się zmienić w ten chłodny październikowy poranek. Z chwilą wejścia do pociągu do Saint-Jean-de-Luz przestała być Isabelle Rossignol, dziewczyną z księgarni zamieszkałą przy alei La Bourdonnais.

Odtąd była Juliette Gervaise, pseudonim Słowik.

– Chodź. – Anouk wzięła ją pod ramię i odciągnęła od złowieszczego plakatu w stronę kas biletowych.

Plan był po tylekroć omawiany, że Isabelle znała każdy szczegół na pamięć. Jedna sprawa – kluczowa – nie dawała jej wszakże spokoju. Wszelkie próby nawiązania kontaktu z Micheline Babineau spełzły na niczym. W związku z tym Isabelle będzie musiała na własną rękę poszukać przewodnika, który przeprowadzi ich przez góry. Po lewej stronie czekał na sygnał porucznik MacLeish w stroju wieśniaka. Z własnych rzeczy zachował jedynie dwie tabletki benzedryny i maleńki, przyczepiony do kołnierza kompas, który wyglądał jak zwykły guzik. Jego fałszywe dokumenty głosiły, że jest robotnikiem rolnym z Flamandii. Miał dowód tożsamości i pozwolenie na pracę, lecz ojciec Isabelle nie dawał gwarancji, że fałszerstwo nie zostanie wykryte przy bliższym przyjrzeniu się papierom. Anglik zgolił wąsy i starał się maksymalnie upodobnić do prostego chłopa.

Isabelle i Anouk poświęciły niezliczone godziny, by nauczyć go zachowania właściwego dla tej legendy. Ubrały go w zbyt obszerną kapotę i wytarte, poplamione spodnie robocze. Wywabiły zażółcenia od nikotyny z palców wskazującego i środkowego prawej ręki i nauczyły go palić jak Francuz, czyli trzymając papierosa kciukiem i palcem wskazującym. Wbiły mu do głowy, że chcąc przejść przez ulicę, musi najpierw spojrzeć w lewo, potem w prawo, a nie odwrotnie. Ponadto nie wolno mu było podchodzić do Isabelle, lecz powinien czekać, aż ona podejdzie do niego. W pociągu miał udawać głuchego i przez całą podróż czytać gazetę. Miał też kupić własny bilet i usiąść z dala od niej. Tak samo pozostali. Po opuszczeniu pociągu na stacji w Saint-Jean-de-Luz mieli iść za nią, zachowując bezpieczną odległość.

Anouk spojrzała w oczy przyjaciółki, pytając bez słów: Jesteś gotowa?

Isabelle wolno skinęła głową.

– Kuzyn Étienne dosiądzie się w Poitiers, wuj Émile w Ruffec, a Jean-Claude w Bordeaux.

Pozostali lotnicy.

– Dobra.

Isabelle miała wysiąść z pociągu w miejscowości Saint-Jean-de-Luz i wraz z czterema lotnikami – dwoma Anglikami i dwoma Kanadyjczykami – przeprawić się górskim szlakiem do Hiszpanii. Po przybyciu na miejsce miała wysłać telegram o treści „Słowik zaśpiewał". Był to szyfr oznaczający, że misja się powiodła.

Ucałowała Anouk w oba policzki, szepnęła „do zobaczenia" i szybkim krokiem podeszła do kasy.

– Saint-Jean-de-Luz – powiedziała, podając kasjerce pieniądze. Z biletem w ręku udała się na peron C. Nie obejrzała się ani razu, choć miała na to ochotę.

Rozległ się gwizd parowozu.

Isabelle wsiadła do wagonu i zajęła miejsce po lewej stronie. Za nią tłoczyli się inni pasażerowie. Kilku żołnierzy niemieckich usiadło po prawej.

MacLeish wszedł jako ostatni. Pociągając nogami, przygarbiony, żeby wydać się niższy niż w rzeczywistości, minął ją, patrząc prosto przed siebie. Gdy drzwi do pociągu się zamknęły, zajął wolne miejsce na drugim końcu wagonu i od razu rozłożył gazetę.

Rozległ się ponowny gwizd i wielkie koła zaczęły się obracać, stopniowo nabierając prędkości. Wagon szarpnął, zakołysał się w obie strony i po krótkiej chwili zaczął jechać w miarę równo. Koła wystukiwały na szynach monotonny rytm.

Jeden z Niemców omiótł wzrokiem pasażerów i zatrzymał go na MacLeishu. Klepnął kolegę w ramię i obaj zaczęli wstawać.

– Dzień dobry – zagadnęła Isabelle z uśmiechem, nachylając się w stronę Niemców.

– Dzień dobry, panienko. – Niemiec raptownie usiadł.

– Dobrze pan mówi po francusku – skłamała miłym tonem.

Siedząca obok niej otyła kobieta obruszyła się na to, szepcząc:

– Wstydu pani nie ma.

– Dokąd, panowie, się wybieracie? – zapytała Isabelle, uśmiechając się zalotnie. Podróż potrwa kilka godzin, warto skupić uwagę Niemców na sobie, pomyślała.

– Tours – odpowiedział jeden.

– Onzaine – dodał drugi.

– A… Czy znacie panowie jakieś gry karciane? Mam przy sobie talię, podróż szybciej nam minie.

– Świetnie! – ucieszył się młodszy.

Isabelle wyjęła karty z torebki i rozpoczęła się gra. Tasowała je właśnie przed nowym rozdaniem, nie przestając żartować z Niemcami, gdy pociąg stanął na kolejnej stacji i do wagonu wsiadł następny lotnik.

Konduktor zaczął sprawdzać bilety. Isabelle podała mu kartonik. Konduktor przedziurkował go szczypcami i poszedł dalej.

Gdy stanął przy MacLeishu, Anglik postąpił dokładnie według instrukcji: podał bilet, nie przerywając czytania gazety. Jego kolega zachował się tak samo.

Isabelle zorientowała się, że wstrzymuje oddech. Wypuściła z ulgą powietrze i oparła się wygodniej na siedzeniu.

Cała piątka bez przeszkód dojechała do Saint-Jean-de-Luz. Dwukrotnie przeszli, rzecz jasna oddzielnie, przez niemieckie punkty kontrolne. Niemcy ledwie rzucili okiem na fałszywe papiery i podziękowali, nie patrząc na ich właścicieli. Najwidoczniej nie poszukiwali nieprzyjacielskich lotników i spadochroniarzy, nie spodziewając się po francuskim ruchu oporu wymyślenia tak śmiałego planu.

Grupka spiskowców dotarła zatem do podnóża gór. Isabelle poszła do parku nad brzegiem rzeki, usiadła na ławce i czekała. Lotnicy nadchodzili pojedynczo, tak jak zostało ustalone. MacLeish przyszedł pierwszy i usiadł obok niej.

Pozostali trzej zajęli ławki w zasięgu słuchu.

– Czy macie swoje tabliczki? – zapytała.

MacLeish wyjął z kieszeni kawałek kartonu. Widniał na nim napis: JESTEM GŁUCHY I NIEDOROZWINIĘTY. CZEKAM NA MATKĘ. Jego koledzy mieli tabliczki o podobnej treści.

– Jeśli Niemiec przyczepi się do któregoś z was, pokażcie mu tabliczkę i papiery. Nie odzywajcie się.

– Udawanie głupka przyjdzie mi bez trudu – zażartował MacLeish.

Isabelle była zbyt zdenerwowana, by docenić dowcip.

Podała lotnikowi płócienny plecak. Było w nim to co niezbędne: woda, prowiant, kilka par grubych wełnianych skarpet na zmianę.

– Znajdźcie sobie w Urrugne jakieś miejsce i poczekajcie na mnie. Oczywiście nie razem. Nie rozglądajcie się na boki, udawajcie, że jesteście zajęci czytaniem. Dopiero kiedy powiem: „A, tu jesteś, kuzynie, wszędzie cię szukaliśmy”, możecie podnieść głowę. Czy to jasne?

Mężczyźni pokiwali głowami.

– Jeśli nie wrócę do świtu, pojedźcie oddzielnie do Pau i zajrzyjcie do hotelu, o którym wam mówiłam. Zapytajcie tam

o Elianę, ona wam pomoże.

– Bądź ostrożna – powiedział MacLeish.

Kiwnęła im na pożegnanie i ruszyła do głównej drogi. Po przebyciu niemal dwóch kilometrów, gdy zaczęło się ściemniać, dotarła do starego mostka. Za nim zaczynała się droga gruntowa, coraz węższa i bardziej stroma. Księżyc przyszedł jej z pomocą, oświetlając szlak. Dokoła widać było setki białawych punkcików. Kozy. Na tej wysokości nie było ludzkich siedzib, a jedynie wiaty dla zwierząt.

W końcu go zobaczyła – piętrowy drewniany dom z kamienną podmurówką i czerwonym dachem, dokładnie taki, jak opisał ojciec. Nic dziwnego, że nie zdołali odnaleźć pani Babineau. Chata wydawała się specjalnie tak zaprojektowana, by zniechęcać natrętów, a prowadząca do niej wyjątkowo stroma ścieżka sprawiała wrażenie niedostępnej. Kozy zameczały nerwowo, tłocząc się i popychając. Z niedokładnie zaciemnionego okna sączyła się smużka światła, z komina leciał dym, który czuło się w powietrzu.

Isabelle zastukała. Ciężkie drewniane drzwi uchyliły się na tyle, by mogło przez nie wyjrzeć jedno oko. Gęsta siwa broda niemal całkiem zasłaniała usta mężczyzny.

– Dobry wieczór – przywitała się Isabelle. Na próżno czekała na odpowiedź. – Przyszłam się zobaczyć z madame Babineau.

– A po co? – zapytał obcesowo mężczyzna.

– Przysłał mnie Julien Rossignol.

Stary cmoknął językiem i szerzej otworzył drzwi.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Isabelle w oczy, był wiszący nad ogniem kominka wielki osmalony gar, w którym, sądząc po zapachu, dochodził zawiesisty gulasz.

Pod ścianą obszernej izby siedziała przy wielkim, porysowanym stole kobieta. W półmroku zdawało się, że ubrana jest w jednolicie czarne łachmany, ale kiedy starzec

zapalił lampę naftową, okazało się, że to męskie bryczesy z surowej wełny i płócienna, sznurowana rzemykiem koszula. Kobieta miała włosy barwy opiłków żelaza i paliła mocnego papierosa.

Isabelle rozpoznała ją od razu, nawet po upływie piętnastu lat. Pamiętała piękną plażę w Saint-Jean-de-Luz. W uszach wciąż brzmiał jej chrapliwy śmiech. I towarzyszące mu słowa: „Ta ślicznotka przysporzy ci mnóstwo kłopotów, Madeleine, kiedyś nie będzie mogła się opędzić od chłopców". I mamę mówiącą: „Jesteś za mądra na to, żeby marnować życie na chłopaków, prawda, Isabelle?".

– Masz buty ubrudzone ziemią.

– Szłam pieszo od stacji w Saint-Jean-de-Luz.

– Ciekawe… – Kobieta czubkiem buta podsunęła jej krzesło. – Nazywam się Micheline Babineau. Siadaj.

– Wiem, kim pani jest – odparła Isabelle, nie dodając nic więcej. Lepiej było nie wiedzieć zbyt dużo. Wiedza mogła się okazać niebezpieczna.

– Czyżby?

– Jestem Juliette Gervaise.

– Czemu miałoby mnie to obchodzić?

Isabelle zerknęła na starca, który nieufnie jej się przypatrywał. Nie podobało jej się, że będzie go mieć za plecami, ale nie miała wyboru. Usiadła naprzeciw kobiety.

– Chcesz papierosa? To niebieskie gauloises'y. Ostatnia dostawa kosztowała mnie trzy franki i kozę, ale są warte swojej ceny. – Kobieta zaciągnęła się głęboko, ze zmysłową przyjemnością, i wypuściła charakterystycznie pachnący niebieski dym. – Co cię tu sprowadza?

– Julien Rossignol uważa, że mogę pani zaufać.

Pani Babineau zaciągnęła się po raz ostatni, po czym przyhartowała papierosa o obcas i wrzuciła niedopałek do

kieszeni na piersi.

– Ponoć jego żona była pani bliską przyjaciółką. Jest pani matką chrzestną jego starszej córki. On jest ojcem chrzestnym pani najmłodszego syna.

– Był. Niemcy zabili obu moich synów na froncie. A męża w poprzedniej wojnie.

– Niedawno Rossignol napisał do pani list…

– Poczta to dziś wielki bajzel. Czego chciał?

To była najsłabsza część ich misternego planu. Jeżeli Babineau kolaboruje z Niemcami, to koniec. Isabelle setki razy wyobrażała sobie tę chwilę, rozgrywała ją na wiele sposobów. Wymyślała frazy, które mogłyby ją ochronić.

Teraz ujrzała głupotę i bezużyteczność tych pomysłów. Musiała mówić wprost albo wcale.

– W Urrugne czeka na mnie czterech alianckich lotników. Chcę doprowadzić ich do brytyjskiego konsulatu na terenie Hiszpanii. Mamy nadzieję, że Brytyjczykom uda się przerzucić ich z powrotem do Anglii, żeby mogli brać udział w dalszej walce.

W ciszy, jaka zapadła po jej słowach, Isabelle słyszała łomotanie swego serca, tykanie zegara na kominku, meczenie kóz w oddali.

– I? – ponagliła cicho Babineau.

– I… i potrzebuję baskijskiego przewodnika, który przeprowadziłby nas przez Pireneje. Julien sądzi, że pani mogłaby mi w tym pomóc.

Isabelle po raz pierwszy poczuła, że przyciągnęła uwagę kobiety.

– Sprowadź Eduarda – poleciła starcowi, który szybko podniósł się z miejsca. Drzwi zatrzasnęły się za nim z takim impetem, że zadrżał cały dom.

Wyjęła niedopałek z kieszeni i ponownie zapaliła, zaciągając się z widoczną przyjemnością. Paliła w milczeniu, chłodno taksując Isabelle.

– Co pani na… – zaczęła dziewczyna, ale kobieta uniosła zażółcony palec do ust.

Drzwi chaty otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł jakiś mężczyzna. Isabelle zdążyła jedynie odnotować szerokie bary okryte workowym płótnem i smród.

Przybyły szarpnął ją za ramię, obrócił i silnie pchnął na ścianę. Krzyknęła cicho, usiłując się wyswobodzić, ale przyparł ją do desek, brutalnie wbijając kolano między uda.

– Wiesz, co Niemcy robią z takimi jak ty? – wysyczał z twarzą tak blisko niej, że widziała jedynie oczy czarne jak węgle i gęste rzęsy. Cuchnął samogonem i papierosami. – Wiesz, ile nam zapłacą za ciebie i twoich lotników?

Isabelle odwróciła głowę, żeby nie zionął jej prosto w twarz.

– Gdzie ci twoi piloci?

Boleśnie wpił palce w zagłębienie jej obojczyka.

– No gdzie?

– Jacy piloci? – wycharczała.

– Ci, którym pomagasz w ucieczce!

– C-co? Nie wiem, o czym pan mówi!

Mężczyzna warknął i uderzył jej głową o ścianę.

– Prosiłaś o pomoc w przeprowadzeniu pilotów przez Pireneje.

– Ja, kobieta, miałabym się przedzierać przez góry? Pan chyba żartuje. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Chcesz powiedzieć, że Babineau kłamie?

– Nie znam żadnej Babineau. Wstąpiłam tu, żeby spytać o drogę, bo zabłądziłam.

Wyszczerzył pożółkłe od tytoniu, popsute zęby.

– Cwana mała – powiedział, cofając się nieco. – I twarda z niej sztuka.

– Bardzo dobrze. – Kobieta wstała z krzesła.

– Jestem Eduardo – przedstawił się mężczyzna. – Pogoda nam sprzyja – zwrócił się do kobiety – i chyba się utrzyma. Mężczyźni mogą tu dziś przenocować. Jeśli nie są słabeuszami, zabiorę ich jutro z samego rana.

– Zabierze nas pan? – wyjąkała Isabelle. – Do Hiszpanii?

Eduardo spojrzał na Babineau, a ta na Isabelle.

– Pomożemy ci z przyjemnością, Juliette. No to gdzie są ci twoi piloci?

Na długo przed świtaniem pani Babineau obudziła Isabelle i zaprowadziła na dół, gdzie pod kuchnią buzował już ogień.

– Kawy?

Dziewczyna przeczesała palcami włosy i zawiązała na głowie bawełnianą chustkę.

– Nie, dziękuję, kawa jest zbyt cenna.

Kobieta uśmiechnęła się przebiegle.

– Kobiety w moim wieku nikt o nic nie podejrzewa. Dzięki temu dobrze handluję. Proszę. – Podała Isabelle spękany porcelanowy kubek z parującą czarną kawą. Prawdziwą.

Isabelle otoczyła dłońmi gorące naczynie, z rozkoszą wdychając dobrze znany zapach, jakże teraz rzadki i niedostępny.

Babineau usiadła obok niej.

W jej ciemnych oczach dziewczyna ujrzała współczucie, które przypominało jej matkę.

– Boję się – wyznała. Po raz pierwszy powiedziała to komuś obcemu.

– Bo powinnaś się bać. Tak jak my wszyscy.

– Gdyby coś poszło źle, da pani znać Julienowi? Nadal mieszka w Paryżu. Jeśli nie uda się nam, proszę mu przekazać, że Słowik nie poleciał.

Kobieta skinęła głową.

Potem siedziały w milczeniu, czekając na lotników, którzy zaczęli nadchodzić jeden po drugim. Był niemal środek nocy, wszyscy wydawali się niewyspani. Zbliżała się ustalona godzina wymarszu.

Babineau podała im chleb, kremowy kozi ser i miód z lawendy, skromny posiłek, ale piloci rzucili się na niego, jedząc i gadając jednocześnie.

Drzwi otworzyły się z rozmachem, wpuszczając zimny podmuch nocnego powietrza, a wraz z nim zeschłe liście, które zawirowały na podłodze i jak malutkie czarne dłonie przywarły do kominka.

W niskim pomieszczeniu stanął Eduardo niczym niechlujny olbrzym. Był typowym Baskiem, z ramionami zdolnymi przenieść człowieka przez wartkie wody rzeki Bidasoa i twarzą, jakby była wyrzeźbiona w kamieniu tępym narzędziem. Połatana w wielu miejscach kurtka wydawała się zbyt cienka na tę pogodę.

Wręczył Isabelle parę baskijskich espadryli na podeszwie ze sznurka, ponoć najlepszego obuwia na nierówny teren.

– Jak z pogodą, Eduardo? – zapytała Babineau.

– Idzie ziąb. Nie mamy czasu do stracenia. – Zrzucił z ramienia obszarpany płócienny plecak i postawił go z trzaskiem na podłodze. – To espadryle dla was – zwrócił się do mężczyzn. – Przydadzą się. Dobierzcie sobie odpowiedni rozmiar.

Isabelle przetłumaczyła jego słowa lotnikom.

Podeszli posłusznie i przykucnęli wokół plecaka, podając sobie buty.

– Żadne na mnie nie pasują – oznajmił po chwili MacLeish.

– Trudno – odparła Babineau. – Tu nie sklep obuwniczy.

Po przydzieleniu każdemu mniej więcej odpowiadających rozmiarami espadryli Eduardo ustawił czterech mężczyzn w szeregu. Obejrzał uważnie każdego z nich, pomacał ubranie i plecak.

– Wyjmijcie wszystko z kieszeni i zostawcie tutaj. Hiszpanie mogą was aresztować za cokolwiek, a nie po to uciekacie od Niemców, żeby wylądować w hiszpańskim więzieniu. – Wręczył każdemu mocny kostur, a sam przerzucił sobie przez plecy ciężki bukłak z winem. Potem klepnął jednego po drugim w ramię tak silnie, że niemal się ugięli.

– Cisza – polecił surowo. – Zawsze.

Wyszli z chaty na nierówny teren pastwiska. Świecił blady, niebieskawy księżyc.

– Noc zapewnia nam ochronę – oznajmił Eduardo. – Noc, szybki marsz i całkowita cisza. – Zatrzymał się z podniesioną dłonią. – Juliette pójdzie ostatnia. Ja pójdę pierwszy. Idziecie wtedy, kiedy ja idę, jak przystanę, czekacie. Idziecie pojedynczo. Nie ma gadania. Ani pół słowa. Będzie wam zimno, to pewne w taką noc jak dzisiaj, będziecie głodni i szybko da się wam we znaki zmęczenie. Ale idziecie dalej, bez gadania. – Odwrócił się i ruszył pod górę stromym górskim szlakiem.

Ziąb niemal od razu zaczął kąsać w odsłonięte czoło i policzki, przenikać przez szwy wełnianego płaszcza. Przytrzymując kołnierz pod brodą, Isabelle ruszyła po trawiastym zboczu.

Około trzeciej nad ranem rozpoczęli wspinaczkę. Zbocze stawało się coraz bardziej strome, księżyc to krył się za niewidocznymi chmurami, pozostawiając ich w niemal

nieprzeniknionej ciemności, to znów się pojawiał. Idący przodem mężczyźni oddychali z coraz większym trudem. Isabelle wiedziała, że marzną bez odpowiedniego odzienia, w niezbyt dobrze dopasowanych espadrylach. Pod stopami co rusz trzaskały drobne gałązki, toczyły się potrącone skalne okruchy, spadając w dół zbocza z odgłosem podobnym do bębnienia kropli deszczu o dachówki. Pusty żołądek dziewczyny ścisnął pierwszy skurcz głodu.

Zaczęło padać. Z doliny dmuchnął porywisty wiatr, uderzając idących w plecy, deszcz zamienił się w lodowate igiełki boleśnie kłujące twarz. Isabelle zaczęła drżeć z zimna, dyszała ciężko i urywanie, ale nie ustawała we wspinaczce. W górę, wyżej i wyżej, ponad linię lasu.

Ktoś na przedzie wydał stłumiony okrzyk i upadł z głuchym łupnięciem. W ciemności Isabelle nie rozpoznała kto to. Idący przed nią mężczyzna przystanął, wpadła na niego, zatoczyła się i boleśnie uderzyła o głaz. Zaklęła pod nosem.

– Nie zatrzymujcie się, chłopcy – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to dziarsko.

Szli i szli, pięli się coraz wyżej, Isabelle dyszała ciężko jak kowalski miech, ale Eduardo nie pozwolił na odpoczynek. Przystanął tylko na moment, żeby sprawdzić, czy wszyscy idą za nim, a potem znowu ruszył, wspinając się zwinnie jak kozica nierównym kamienistym szlakiem.

Nogi Isabelle zdawały się płonąć żywym ogniem, pomimo espadryli na stopach zaczęły robić się pęcherze. Każdy krok przynosił ogromny ból i oznaczał sprawdzian woli.

Mijały godziny. Była tak zdyszana, że nie zdołałaby poprosić o łyk picia, a zresztą wiedziała, że Eduardo i tak by jej nie posłuchał. Idący przed nią MacLeish sapał i klął pod nosem za każdym razem, kiedy się potknął. Syczał przy tym i pojękiwał; prawdopodobnie też miał pęcherze na stopach.

Isabelle nie widziała już ścieżki. Wlokła się pod górę, starając się tylko mieć otwarte oczy. Zgięta wpół dla obrony przed wiatrem, osłoniła nos i usta szalem. Spazmatyczny oddech po chwili ogrzał materiał, który zrobił się wilgotny i szybko zlodowaciał.

– Stać. – Z ciemności dobiegł głos Eduarda.

Zaszli tak wysoko, że można się było nie obawiać niemieckich albo hiszpańskich patroli. Tu ich życiu zagrażały wyłącznie dzikie żywioły.

Isabelle padła na ziemię. Ostry kawałek skały wbił się jej boleśnie w ciało, ale była zbyt zmęczona, by poprawić pozycję.

– Jezu Chryste – wysapał MacLeish, który zwalił się obok niej tak bezwładnie, że potoczyłby się z powrotem w dół, gdyby nie chwyciła go za ramię i nie przytrzymała.

– Dzięki Bogu… Nareszcie… – mamrotali jego koledzy, padając wokół nich. Zbocze było jednak tak strome, że i oni zaczęli się staczać i musieli przytrzymywać się trawy.

– Nie tutaj – powiedział Eduardo. – Chodźcie do szałasu pasterza kóz. Tu obok.

Isabelle wstała z wysiłkiem. Czekała na końcu szeregu, objąwszy się ramionami w daremnej nadziei, że to ją trochę rozgrzeje. Czuła, że przemarzła do szpiku kości. Walczyła z ogarniającym ją otępieniem. Raz po raz kręciła głową, by sobie w niej przejaśnić.

Poczuła, że ktoś staje przy niej. Eduardo. Deszcz nadal siekł bezlitośnie.

– Trzymasz się? – zapytał.

– Zmarzłam na kość. I boję się obejrzeć stopy.

– Pęcherze?

– Wielkości spodków, jestem pewna. Już nie wiem, czy to deszcz przemoczył mi buty, czy są mokre od krwi.

Poczuła napływające do oczu łzy, które natychmiast zamarzały, sklejając rzęsy.

Eduardo wziął ją za rękę i zaprowadził do szałasu, w którym rozpalił ognisko. Lód we włosach Isabelle stopniał i woda zaczęła kapać na ziemię. Piloci porozsiadali się na ziemi i po chwili zaczęli gmerać w plecakach w poszukiwaniu prowiantu. MacLeish przywołał ją bliżej.

Wyminęła innych mężczyzn i usiadła przy nim. W milczeniu jadła kozi ser, przegryzając go chlebem. Nikt nie rozmawiał, słychać było jedynie odgłosy żucia, przełykania i przeciągłe westchnienia.

Nie wiedziała, kiedy zasnęła. W jednej chwili jadła skromny posiłek wędrowca, w następnej Eduardo budził ich, nakazując ruszać w dalszą drogę. Przez brudne okienko szałasu przesączało się szarawe światło. Było późne popołudnie, przespali cały dzień.

Eduardo podsycił ogień tlący się na palenisku, zaparzył kociołek namiastki kawy i obdzielił nią wszystkich. Śniadanie składało się z czerstwego chleba i kawałka twardego sera – nawet niezłe, tyle że nieuśmierzające głodu.

Bask ruszył pierwszy, wspinając się po zmrożonej trawie zwinnie jak kozica.

Isabelle opuściła szałas ostatnia. Podniosła głowę i spojrzała na niknący w oddali szlak. Szczyty ukryły się w pierzynie szarych chmur, wirujące płatki śniegu ograniczały widoczność. Ciszę zakłócał jedynie jej oddech. Idący przed nią lotnicy niknęli już niemal w kurzawie, byli ledwie czarnymi punkcikami na tle bezkresnej bieli. Ruszyła zdecydowanym krokiem, z oczami wbitymi w plecy mężczyzny przed sobą. Widoczność stawała się coraz słabsza.

A Eduardo przyśpieszał kroku. Parł pod górę jak maszyna, nie robiąc żadnych przerw, jakby nie czuł dotkliwego zimna

zamieniającego każdy oddech w bolesny płomień palący przełyk i płuca. Isabelle szła, dysząc, podtrzymując na duchu opadających z sił zmęczonych lotników, nie pozwalając, żeby zwątpili w siebie i w sens dalszego wysiłku.

Po zapadnięciu całkowitej ciemności zdwoiła wysiłki. Choć ze zmęczenia czuła skurcze w żołądku i gardło piekło ją z pragnienia, wytrwale podążała naprzód. Nikt nie mógł zostać w tyle. Zbyt łatwo było się zgubić w lodowatej ciemności. Nawet niewielkie zboczenie ze szlaku groziło śmiercią.

Potykała się i szła, nie myśląc o niczym.

Mężczyzna przed nią padł z jękiem na kolana. Podeszła i nachyliła się nad nim. Kanadyjczyk dyszał ze świstem, na wąsach osiadł mu szron.

– Wysiadam, laleczko – wysapał, próbując się uśmiechnąć.

– Jesteś Teddy, prawda?

– Uhm… Wiesz co, mam już dość. Idźcie dalej beze mnie.

– Masz żonę w Kanadzie, Teddy, albo dziewczynę?

Nie widziała jego twarzy, ale usłyszała, jak ze świstem wciągnął powietrze.

– To nie fair, laleczko.

– Sprawa jest prosta: życie albo śmierć, Teddy. Jak ona ma na imię?

– Alice.

– No to rusz tyłek. Zrób to dla niej, Teddy.

Mężczyzna dźwignął się chwiejnie. Podtrzymała go.

– No dobra, to idę – wymamrotał i gwałtownie się zatrząsł.

Chwilę nasłuchiwała jego kroków na śniegu.

Westchnęła ciężko i także zadrżała. Dręczył ją coraz dotkliwszy głód. Marząc, by przystanęli choć na chwilę, ruszyła dalej za mężczyznami. Umysł miała otępiały, mętne myśli koncentrowały się na ostrożnym stawianiu kolejnych kroków. Jeden, i jeszcze jeden, i następny…

Przed świtem śnieg przeszedł w deszcz, który szybko przemoczył im ubrania. Isabelle ledwie zauważyła, że zaczęli schodzić w dół. Lotnicy coraz częściej potykali się, upadali i staczali po zdradliwym zboczu. Można było tylko bezradnie obserwować ich wstawanie i mozolne wdrapywanie się z powrotem. Widoczność była tak kiepska, że istniało realne niebezpieczeństwo zejścia ze szlaku i zgubienia się we mgle.

O świcie Eduardo doprowadził ich do ziejącego czernią otworu wielkiej pieczary. Weszli tam i usiedli, rozprostowując obolałe nogi. Kiedy złapali oddech, zaraz sięgnęli do plecaków po resztki prowiantu. Gdzieś w głębi jaskini wierciło się jakieś małe zwierzę, było słychać jak skrobie w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Isabelle weszła za mężczyznami do groty. Po ścianach, skąd sterczały korzenie, ściekały krople wilgoci. Eduardo rozpalił nieduże ognisko, używając do tego mchu zebranego w poprzednim miejscu postoju, który upchał za pasem.

– Zjedzcie coś i się prześpijcie – powiedział, gdy zatańczyły płomienie, rzucając cienie na ściany. – Jutro przed nami ostatni odcinek. – Napił się z bukłaka i wyszedł na zewnątrz.

Wilgotne drewno trzaskało, jakby ktoś strzelał ze ślepaków, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Isabelle znów usiadła przy MacLeishu i oparła się o niego ze znużeniem.

– Jesteś niesamowita – mruknął.

– Mówiono mi wielokrotnie, że podejmuję głupie decyzje. Oto najlepszy dowód. – Zadrżała. Ze zmęczenia czy zimna? Nie wiedziała.

– Głupia, ale dzielna – rzekł z uśmiechem.

– To cała ja – zgodziła się Isabelle, wdzięczna za chwilę rozmowy.

– Chyba ci jeszcze nie podziękowałem… za ocalenie.

– Wydaje mi się, Torrance, że za wcześnie mówić o ocaleniu.

– Mów mi Torry – poprosił. – Jak wszyscy kumple.

Mówił coś jeszcze, chyba o czekającej na niego w Ipswich dziewczynie, ale była zbyt zmęczona, żeby słuchać, o co chodziło.

Kiedy się obudziła, na dworze lało jak z cebra.

– Kurde – zaklął jeden z lotników. – Ale ulewa.

Eduardo stał w wejściu do pieczary na szeroko rozstawionych nogach, przemoczony deszczem, którego zdawał się nie zauważać. Za plecami miał ciemność.

Lotnicy otworzyli plecaki. Nie trzeba im było powtarzać, żeby coś zjedli, każdy znał procedurę. Kiedy ogłaszano postój, piłeś, jadłeś i spałeś, dokładnie w tej kolejności. Po obudzeniu jadłeś, piłeś i wstawałeś, nie zważając na ból.

Potem podnieśli się przy akompaniamencie przeciągłych jęków i paru przekleństw. Noc była bezksiężycowa, padał deszcz. Ciemno, choć oko wykol.

Wcześniej sforsowali przełęcz na wysokości około tysiąca metrów, a teraz byli w połowie drogi w dół, lecz pogoda się pogarszała.

Gdy Isabelle wyszła na zewnątrz, mokre gałęzie smagnęły ją po twarzy. Odsunęła je i szła dalej, podpierając się kosturem. Ścieżka zrobiła się śliska jak lód, w dół zbocza płynęły małe strumyki. Z przodu dochodziło wysilone stękanie. Eduardo wybrał bardzo trudny szlak, lecz nie zwalniał kroku, więc lotnicy starali się utrzymać jego tempo.

– Patrzcie! – wysapał któryś.

W oddali ukazały się światła, pajęczyna jasnych kropek na tle nieprzeniknionej ciemności.

– Hiszpania – powiedział Eduardo.

Ten widok ożywił zmęczoną grupę. Szli, wymacując drogę kosturami, coraz pewniej stawiając stopy, bo ścieżka z wolna zaczęła robić się mniej stroma.

Ile godzin upłynęło im w ten sposób? Pięć? Sześć? Nie wiedziała. W każdym razie dość, by znów rozbolały ją plecy i nogi. Deszcz zalewał jej twarz i oczy, głód szalał w żołądku jak wściekłe zwierzę. Na horyzoncie pojawiła się blada jutrzenka, sierp lawendowego poblasku, potem róż, w końcu złoto, gdy chwiejnie pokonywali szlak. Stopy piekły ją tak strasznie, że zaciskała zęby, by nie krzyczeć z bólu.

Zmierzch zapadł po raz czwarty. Isabelle straciła poczucie miejsca i czasu. Nie wiedziała, gdzie się znajdują ani jak długo jeszcze potrwa ta męka. Myśli zlały się w jedno błaganie, monotonne jak stawiane kroki: byle do konsulatu, byle do konsulatu, byle do konsulatu.

– Zatrzymać się – powiedział Eduardo, podnosząc rękę.

Isabelle wpadła na MacLeisha. Był zaczerwieniony od chłodu, ze spękanych ust wydobywał się świszczący oddech.

W oddali ukazał się patrol żołnierzy w bladozielonych mundurach.

Zdążyła pomyśleć: „Jesteśmy w Hiszpanii”, nim Eduardo pchnął ją mocno w zarośla.

Kryli się w nich przez długi czas, po czym ruszyli w dalszą drogę.

Po kilku godzinach Isabelle usłyszała narastający plusk. Gdy zbliżyli się do rwącej rzeki, wszelkie inne odgłosy zostały skutecznie stłumione.

Eduardo zatrzymał się w końcu i poczekał, aż wszyscy zbiorą się przy nim. Stał niemal po kostki w błocie. Za sobą miał strzeliste szare klify, których uczepiły się wątłe drzewka, zaprzeczając prawu grawitacji. U podnóża skał rosły gęste kępy krzewów.

– Przeczekamy w ukryciu do zapadnięcia zmroku – oznajmił. – Za tym grzbietem jest rzeka Bidasoa. Jej drugi brzeg to Hiszpania. Jesteśmy już blisko, ale to ciągle za mało. Od

wolności dzieli was rzeka i patrole z psami. Strzelają do wszystkiego, co się rusza. Dlatego się nie ruszajcie.

Po tych słowach odszedł. Gdy zniknął im z oczu, ukryli się za olbrzymim głazem, wśród zwalonych pni drzew.

Deszcz padał nieprzerwanie, tworząc błotniste kałuże. Isabelle podciągnęła kolana i zamknęła oczy. Pewna, że nie zdoła zasnąć, zapadła w sen, który skończył się zbyt szybko, gdy Eduardo obudził ją o północy.

Pierwsze, co do niej dotarło, to to, że deszcz przestał padać. Niebo było usiane gwiazdami. Wstała z trudem i jęknęła z bólu. Mogła sobie jedynie wyobrażać, co czują lotnicy; jej espadryle przynajmniej były dopasowane.

Wyruszyli pod osłoną nocy. Huk rwącej rzeki tłumił wszelkie odgłosy.

Wkrótce stanęli wśród drzew na skraju ogromnego wąwozu. Pod nimi kłębiła się spieniona woda, z impetem uderzając o skały. Eduardo krótko ocenił sytuację:

– Nie damy rady się przeprawić. Po deszczach rzeka tak wezbrała, że załatwi każdego. Musimy spróbować inaczej. Chodźcie za mną.

Kilometr lub dwa wędrowali wzdłuż brzegu, po czym Eduardo znowu się zatrzymał. Isabelle usłyszała trzask, jakby fale targały cumą łodzi, i cichy brzęk.

Na początku nic nie było widać. Potem powierzchnię spienionej rzeki oświetlił silny szperacz, ukazując wąski most wiszący nad wąwozem. Niedaleko był hiszpański punkt graniczny, strażnicy krążyli w tym miejscu tam i z powrotem.

– O w mordę – wymamrotał jeden z lotników.

– A niech mnie. – Westchnął drugi.

Isabelle przykucnęła razem z nimi za kępą krzewów, czekając, aż promień reflektora przemieści się dalej.

Około drugiej w nocy Eduardo wreszcie dał sygnał. Po przeciwnej stronie wąwozu panował całkowity bezruch. Przy odrobinie szczęścia strażnicy będą na wartowni. To była ich szansa.

– Ruszajmy – szepnął Eduardo, ponaglając gestem. Zaprowadził ich na skraj wiszącego mostu, chybotliwej konstrukcji z luźno dopasowanych deszczułek i linowych poręczy. Niektóre szczeble odpadły, ukazując daleko w dole skłębiony nurt rzeki. Kołyszący się w podmuchach wiatru most wydawał skrzypiące, jękliwe odgłosy.

Isabelle powiodła wzrokiem po nagle pobladłych lotnikach.

– Idziemy krok po kroku – tłumaczył Eduardo. – Szczeble wyglądają na słabe, ale utrzymają wasz ciężar. Macie sześćdziesiąt sekund na przejście, przez taki czas oświetlenie reflektora pozostaje poza mostem. Kiedy tylko znajdziecie się po drugiej stronie, padnijcie na kolana i pełznijcie pod okno wartowni.

– Robiłaś to już wcześniej, prawda? – zapytał Teddy niezbyt pewnym głosem.

– Wiele razy, Teddy. – Isabelle skłamała gładko. – A skoro dziewczyna da radę to zrobić, to i pilot wojskowy może sobie z tym poradzić. Prawda?

– Załóż się o własną dupę – potwierdził burkliwie.

Isabelle patrzyła, jak Eduardo przekracza most. Gdy znalazł się po drugiej stronie, zebrała wokół siebie lotników. W sześćdziesięciosekundowych odstępach pojedynczo wypuszczała ich na przeprawę, wstrzymując oddech i zaciskając palce, dopóki bezpiecznie nie stanęli na drugim brzegu.

W końcu nadeszła jej kolej. Ściągnęła ciężki od wilgoci kaptur i odczekała, aż minie ją bezlitosny promień reflektora. Miała wrażenie, że most zaraz się zerwie i runie w przepaść, choć

tłumaczyła sobie, że skoro utrzymał cięższych od niej mężczyzn, to i ją utrzyma.

Chwyciła poręcz i postawiła stopę na pierwszym szczeblu. Most zakołysał się na boki. Zacisnęła zęby i starając się nie patrzeć w dół na rwącą rzekę, zaczęła ostrożnie kroczyć naprzód, stawiając stopy na kolejnych deszczułkach, dopóki nie dotarła na drugą stronę. Zgodnie z instrukcją natychmiast padła na kolana, i w samą porę, bo nad jej głową przemknął jasny promień reflektora. Szybko wdrapała się na stromy brzeg i zgięta wpół pobiegła w stronę kępy krzewów, gdzie czekali na nią Eduardo i lotnicy.

Bask poprowadził ich dalej przez pagórkowatą okolicę i po pewnym czasie pozwolił odpocząć w dobrze osłoniętym zagłębieniu terenu. Zasnęli, zanim jeszcze dotknęli ziemi.

Gdy znów wstało słońce, Isabelle zamrugała zaspana.

– Niezłe miejsce – szepnął obok niej Teddy.

Isabelle rozejrzała się, na wpół oślepiona słońcem. Oczy piekły ją i swędziały. Znajdowali się w niewielkiej kotlince osłoniętej zalesionym pagórkiem.

Eduardo podał im bukłak z winem. Z uśmiechem tak promiennym jak słońce, które świeciło jej w oczy.

– Patrzcie. – Wskazał im czekającą opodal młodą kobietę opartą o rower. Za nią w dolinie leżało miasto jak z bajki, o barwie kości słoniowej, najeżone wieżyczkami, wieżami i iglicami. – Almadora zaprowadzi was do konsulatu w San Sebastian. Witajcie w Hiszpanii.

Isabelle natychmiast zapomniała o trudach, jakie musiała znieść, żeby się tu znaleźć, i o strachu.

– Dziękujemy ci, Eduardo.

– Następnym razem nie pójdzie tak łatwo – odparł.

– Tym razem też łatwo nie było – zaprotestowała.

– Nie spodziewali się nas. Ale teraz będą.

Miał oczywiście rację. Nie musieli się przecież ukrywać przed niemieckimi patrolami, zacierać tropów w obawie przed psami, a hiszpańscy strażnicy nie otrzymali jeszcze rozkazów, by staranniej pilnować granicy.

– Kiedy wrócisz z nowymi pilotami, będę na was czekał – przyrzekł Eduardo.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i powiodła wzrokiem po towarzyszach, którzy wyglądali na równie wyczerpanych jak ona.

– Chodźmy, czas na nas – powiedziała.

Ruszyli w kierunku dziewczyny ze starym rowerem. Przywitali się krótko, po czym Almadora poprowadziła ich labiryntem gruntowych dróg i polnych dróżek, aż stanęli w końcu przed okazałym ciemnobrązowym budynkiem w Parte Vieja, zabytkowej części miasta. Wiatr szeleścił w gałęziach drzew, słychać było odległy szum morza.

– Dziękuję – zwróciła się Isabelle do dziewczyny.

– Nie ma za co.

– Idziemy – powiedziała do towarzyszy, wchodząc po kamiennych stopniach. Zastukała mocno trzy razy w wypolerowane czarne drzwi i dla pewności jeszcze zadzwoniła. Kiedy otworzył jej mężczyzna w eleganckim garniturze, zakomunikowała: – Chciałabym się widzieć z konsulem brytyjskim.

– Czy jest pani umówiona?

– Nie.

– Obawiam się, że pan konsul jest teraz zajęty…

– Przyprowadziłam ze sobą z Paryża czterech pilotów RAF-u.

Oczy mężczyzny niemal wyszły z orbit.

– Porucznik Torrance MacLeish, RAF.

MacLeish wystąpił naprzód. Reszta mężczyzn stanęła przy nim ramię w ramię, przedstawiając się po kolei.

Drzwi otworzyły się szeroko. Po chwili Isabelle siedziała już na twardym, obitym skórą krześle przed biurkiem człowieka o zmęczonym wyglądzie. Piloci stali za nią na baczność.

– Przyprowadziłam panu czterech pilotów zestrzelonych nad Paryżem – powiedziała z dumą. – Pojechaliśmy pociągiem na południe Francji, a potem przeszliśmy przez Pireneje…

– Przeszliście…?

– No tak, choć właściwie to się wspinaliśmy.

– Przez Pireneje, z Francji do Hiszpanii. – Konsul odchylił się na krześle. Spoważniał, z jego twarzy spełzły resztki zdawkowego uśmiechu.

– Możemy to powtórzyć z innymi. RAF zwiększa skalę bombardowań, czyli będzie więcej zestrzelonych samolotów, a więc i pilotów. Żeby móc im pomagać, będziemy potrzebowali wsparcia finansowego. Pieniędzy na opłacenie odzieży, fałszywych dokumentów i żywności. I niewielką rekompensatę dla osób, które będą nam udzielać schronienia po drodze.

– Proszę zadzwonić do MI9 – wtrącił MacLeish. – Przydzielą fundusze, o których wspomniała Juliette.

Konsul pokręcił głową ze zdumieniem.

– Dziewczyna przeprowadza pilotów przez Pireneje. A więc cuda wciąż się zdarzają.

– Tak, to był cud, sir. – MacLeish spojrzał z uśmiechem na Isabelle. – To samo jej powiedziałem.

20

Wydostanie się z okupowanej Francji było trudne i niebezpieczne. Natomiast powrót – przynajmniej dla dwudziestoletniej, skorej do uśmiechu dziewczyny – okazał się łatwizną.

Po dwóch dniach spędzonych w konsulacie brytyjskim w San Sebastian, zajętych głównie naradami i przesłuchaniami, Isabelle siedziała w pociągu do Paryża, na drewnianej ławce w wagonie trzeciej klasy (nawet z doskonale podrobioną przepustką, pozwalającą na tę podróż, zdobycie miejsca w wyższej klasie było niemożliwe), podziwiając widoki w Dolinie Loary. Było przeraźliwie zimno i tłoczyli się rozkrzyczani niemieccy szeregowcy wymieszani z obywatelami Francji, którzy z nisko pochylonymi głowami starali się nie rzucać w oczy. Isabelle miała w torebce jabłko i kawałek sera, ale choć konała z głodu, nie odważyła się po nie sięgnąć.

Nie mogła pozbyć się wrażenia, że w swych workowatych brązowych spodniach i wełnianym palcie zwraca na siebie uwagę. Spierzchłe, czerwone policzki i suche, popękane wargi również wyglądały podejrzanie. Niemniej prawdziwa zmiana dokonała się w jej wnętrzu. Duma z tego, czego dokonała w Pirenejach, uczyniła ją dojrzalszą. Po raz pierwszy w życiu wiedziała dokładnie, co chce robić.

Odbyła spotkanie z agentem wydziału MI9 i oficjalnie ustaliła z nim kanał przerzutu zestrzelonych nad Francją pilotów. Stała się dla Anglików ważnym kontaktem w Paryżu o pseudonimie

Słowik. Pod podszewką torebki wiozła wręczone jej sto czterdzieści tysięcy franków, sumę wystarczającą, żeby zorganizować bezpieczne kryjówki i kupić żywność oraz odzież dla pilotów. Dała słowo człowiekowi, z którym się skontaktowała (Ian, pseudonim konspiracyjny Wtorek), że niebawem zorganizuje kolejny przerzut lotników. Wysyłając tajnym kanałem wiadomość „Słowik zaśpiewał", czuła dumę, jak nigdy dotąd.

Gdy w Paryżu wysiadła z pociągu, zbliżała się godzina policyjna. Miasto drżało z chłodu pod jesiennym zachmurzonym niebem. Wiatr hulał po opustoszałych ulicach, przesuwał z brzękiem kosze na śmieci i łopotał markizami.

Mimo to nadłożyła drogi, żeby przejść obok dawnego mieszkania przy alei La Bourdonnais. Gdy mijała znajomą kamienicę, poczuła przypływ… tęsknoty? To miejsce mogła nazwać domem, a przecież od wielu miesięcy nie zachodziła tu ani nie widziała się z ojcem. Dokładnie od dnia, w którym zdecydowała się pomóc angielskim lotnikom. Zeszła do głębokiej konspiracji, zatem spotkania z rodziną nie wchodziły w grę jako zbyt niebezpieczne. Ruszyła dalej do ciemnawej, ciasnej nory, którą ostatnio podnajmowała. Kulawy stół z jednym krzesłem, materac rozłożony na podłodze, goła żarówka zwisająca u sufitu. Wytarty dywan cuchnący papierosami, farba odłażąca ze ścian.

Przed wejściem do budynku przystanęła i rozejrzała się dyskretnie na boki. Ulica była pusta i cicha. Isabelle włożyła klucz do zamka i lekko przekręciła. Nagle ogarnęło ją niemiłe przeczucie. Coś było inaczej niż zwykle… może cień tam, gdzie być go nie powinno, może brzęk metalu dochodzący z nieczynnego od miesięcy bistra.

Isabelle odwróciła się powoli i popatrzyła w mroczną perspektywę ulicy. Gdzieniegdzie parkowały przy krawężniku

ciężarówki, kilka smętnych kafejek jeszcze rzucało trójkąty światła na chodnik, nie było widać przechodniów. Gwarna niegdyś okolica wydawała się wyludniona.

Po przeciwnej stronie ulicy majaczyła w mroku zgaszona latarnia.

Stał tam. Wiedziała, chociaż nie mogła go dostrzec w ciemności.

Ruszyła powoli w tamtą stronę, mając nerwy napięte jak struny i ostrożnie stawiając kroki. Była pewna, że słyszy jego oddech. Obserwował ją. Instynktownie pojęła, że martwił się o nią, czekał na jej powrót.

– Gaëton – szepnęła miękkim, kuszącym tonem. – Łazisz za mną od miesięcy. Dlaczego?

Niezmącona cisza. Potem poświst wiatru kąsającego policzki.

– Chodź do mnie – poprosiła szeptem.

Żadnego ruchu ani odpowiedzi.

– I kto tu nie jest gotowy? – zadrwiła, ale ta cisza i bezruch sprawiały jej ból. Nawet go rozumiała. Zważywszy na podejmowane codziennie ryzyko, miłość była niedobrym, niebezpiecznym wyborem.

A może się pomyliła i wcale go tu nie było? Nigdy na nią nie czekał, nie obserwował ukradkiem, jak wraca po wykonaniu misji. Może była tylko głupią, samotną dziewczyną tęskniącą za mężczyzną, który wcale jej nie chciał?

Nie.

On tam stał.

Tegoroczna zima była jeszcze surowsza niż poprzednia. Gniewny Bóg nasyłał nad Europę ołowiane chmury, z których

dzień za dniem sypał gęsty śnieg. Okrutnym dodatkiem do już i tak nieprzyjaznego świata bieli był mróz.

Carriveau, tak jak inne małe miasteczka w strefie okupowanej, stało się odciętą wyspą rozpaczy. Mieszkańcy mieli ograniczony dostęp do informacji, co dzieje się w kraju i na świecie, a nikt nie miał ochoty przekopywać się przez stek propagandowych frazesów w poszukiwaniu okruchów prawdy, kiedy przeżycie kolejnego dnia wymagało tak wielkiego wysiłku i sprytu. Wiadomo było jedynie, że odkąd Amerykanie przystąpili do wojny, Niemcy stali się jeszcze bardziej podli i skorzy do agresji.

Pewnego ponurego lodowatego poranka na początku lutego 1942 roku, gdy mróz malował na szybach bajkowe wzory i rozsadzał z trzaskiem pnie drzew, Vianne obudziła się tuż przed świtem i leżała w łóżku, gapiąc się na belkowany sufit w sypialni. Czuła, że znowu nadciąga ból głowy. Była spocona i dziwnie obolała. Odetchnęła, a wówczas zapiekło ją w płucach żywym ogniem i musiała gwałtownie zakasłać.

Nie chciało jej się opuszczać ciepłego łóżka, ale umrzeć z głodu też nie zamierzała. Coraz częściej zdarzało się tej zimy, że brakowało żywności na kartki. Nie można było także dostać obuwia, tkanin, nie mówiąc o środkach czystości. Vianne nie miała już pieniędzy na prąd ani opału do kominka. Zwykła kąpiel stała się męczącym obowiązkiem. Obie z Sophie spały przytulone ciasno do siebie pod górą kołder, koców i kurtek. Vianne zaczęła palić czym popadnie i wyprzedawać cenne przedmioty.

Miała na sobie prawie wszystkie ubrania, jakie jej pozostały: zdobytą w lepszych czasach na czarnym rynku ciepłą bieliznę, flanelowe spodnie, zrobione własnoręcznie sweter i szalik, a mimo to, wstając z łóżka, drżała z chłodu. Podłoga była tak zimna, że nawet przez skarpety zdawała się parzyć odmrożone

stopy. Vianne założyła na spodnie starą wełnianą spódnicę. Ostatnio tak schudła, że musiała spinać ją w pasie agrafkami. Pokasłując, zeszła na dół. Z jej ust wydobywały się obłoczki pary. Minęła zamknięte drzwi do pokoju gościnnego.

Kapitan wyjechał już kilka tygodni temu. Choć Vianne nie przyznawała się do tego przed sobą, jego coraz częstsze wyjazdy martwiły ją bardziej niż obecność w domu. Kiedy przebywał w Carriveau, miała przynajmniej żywność i opał. Skoro u niej kwaterował, to naturalnie nie chciał przecież marznąć. Vianne starała się jeść bardzo niewiele z tego, co jej przymusowy gość przynosił do domu, powtarzając sobie, że jej obowiązkiem jest głodować jak reszta Francuzów, lecz przecież nie mogła pozwolić na cierpienie Sophie. Jaka matka dopuściłaby do tego, by dziecko chodziło głodne? Tylko po to, żeby okazać lojalność krajowi?

Założyła jeszcze dwie pary dziurawych skarpetek na te, które już miała na stopach. Opatuliła się kocem i wciągnęła wełniane rękawiczki, wydziergane z wełny ze sprutej narzuty na dziecinne łóżeczko Sophie.

W lodowatej kuchni zapaliła lampę naftową i wyszła z nią przed dom, poruszając się powoli, ociężale. Dyszała chrapliwie, brnąc do stodoły. Dwukrotnie pośliznęła się i upadła.

Skobel wydawał się zimny nawet przez rękawiczki. Vianne z całej siły pociągnęła wrota. Postawiła latarnię pośrodku klepiska. Słabła na samą myśl o przesunięciu samochodu.

Odetchnęła głęboko, czując palenie w gardle, i podeszła do samochodu. Przestawiła dźwignię zmiany biegów na luz i naparła z całej siły na bagażnik. Auto powolutku, niechętnie potoczyło się do przodu.

Kiedy klapa w podłodze została odsłonięta, Vianne przyniosła lampę i ostrożnie zeszła po drabinie. W czasie długich ponurych miesięcy, odkąd straciła pracę i skończyły się

pieniądze od Antoine'a, po kolei wyprzedawała rodzinne skarby: obraz za karmę dla kur i królików, serwis do herbaty z limuzyjskiej porcelany za worek mąki, srebrny komplet do soli i pieprzu za parę kur niosek.

W obce ręce poszły również te sztuki biżuterii, które miały jakąś wartość. Teraz w szkatułce został jedynie sznur pereł.

Vianne zdjęła rękawicę i wzięła do ręki ciężkie perły. Zalśniły w blasku lampy jak świeża dziewczęca skóra.

Były ostatnią pamiątką po matce, ostatnim rodowym dziedzictwem.

Sophie nie nałoży ich już w dniu swojego ślubu ani nie przekaże własnej córce.

– Lecz przynajmniej nie będzie głodowała tej zimy – powiedziała do siebie Vianne zdławionym głosem; z żalu, smutku czy ulgi? Nie wiedziała. Miała szczęście, że było jeszcze coś cennego na sprzedaż.

Spojrzała na perły, podrzuciła je lekko na dłoni, chcąc poczuć ich ciężar i sprawdzić, jak szybko nakarmią się ciepłem jej ciała. Przez chwilę lśniły matowo. Z ponurą miną założyła rękawiczkę i wspięła się z powrotem na górę.

Minęły kolejne trzy zimne tygodnie, a Beck nie wracał. Pod koniec lutego Vianne obudziła się z gorączką i bólem głowy. Kaszląc, zwlokła się z łóżka i owinęła kocem. Niewiele to pomogło, bo wciąż trzęsła się z zimna pomimo kilku warstw odzieży. Wiatr wył na dworze, szarpiąc okiennicami.

Vianne ociężale wykonywała poranne obowiązki, starając się nie oddychać zbyt głęboko, żeby nie prowokować kaszlu. Przestępując na odmrożonych stopach, przygotowała Sophie na

skromne śniadanie wodnistą kaszkę kukurydzianą. Potem obie wyszły z domu w zawieję.

W milczeniu wlokły się do miasteczka. Śnieg nie przestawał padać, tworząc coraz głębsze zaspy i czapy na konarach drzew.

Kościół stał na niedużym wzniesieniu na skraju Carriveau. Jedną stroną przylegał do rzeki, resztę terenu okalał wapienny mur.

– Mamo, dobrze się czujesz?

Vianne znowu się potknęła. Ścisnęła córkę za rękę w grubej rękawicy. Oddech palił ją w płucach.

– Tak, nic mi nie jest.

– Dlaczego nie zjadłaś śniadania?

– Bo nie byłam głodna.

– Phi – mruknęła Sophie, brnąc w kopnym śniegu.

Sophie pierwsza weszła do środka, gdzie było na tyle ciepło, że z ust przestały wydobywać się obłoczki pary. Strzelista nawa przypominała złożone do modlitwy dłonie podtrzymywane pięknie rzeźbionymi arkadami. Witrażowe okna jarzyły się kolorami. Większość ławek była zajęta, ale w taki mroźny dzień nikomu nie chciało się rozmawiać.

Rozległy się mszalne dzwonki, budząc w nawie dźwięczne echa. W powietrzu unosił się mocny zapach płonących świec. Gdy nadeszła pora kazania, na ambonę wspiął się ksiądz Joseph, miły starzec, proboszcz ich parafii, odkąd Vianne pamiętała.

– Pomodlimy się dzisiaj za naszych mężczyzn, którzy odeszli. O to, żeby wojna jak najszybciej się zakończyła. I o siłę, byśmy mogli stawić opór naszym nieprzyjaciołom i dochować sobie wierności.

Vianne nie chciała słuchać takiego kazania. Przyszła do kościoła w ten mróz i zawieję nie po to, by znaleźć pocieszenie w niedzielnym kazaniu pełnym takich słów, jak „honor”,

„wierność”, „obowiązek”. Dzisiejszego poranka te ideały wydawały jej się niesłychanie odległe. Jak można trwać przy ideałach, gdy jest się chorym, głodnym i zmarzniętym? I jak można spojrzeć w oczy sąsiadom, skoro przyjmuje się żywność od wroga, choćby w małych ilościach? Inni głodowali przecież znacznie dotkliwiej.

Zatopiona w tych ponurych rozmyślaniach nie spostrzegła, że msza się skończyła. Wstała i czując silny zawrót głowy, przytrzymała się oparcia ławki.

– Mamo?

– Nic mi nie jest.

Przejściem między ławkami przesuwały się parafianki, głównie starsze kobiety. Wszystkie były blade i wychudzone, okutane wieloma warstwami znoszonej odzieży.

Sophie wzięła matkę za rękę i pociągnęła w stronę podwójnych drzwi. Vianne zatrzymała się w progu, kaszląc i trzęsąc się z zimna. Nie chciała jeszcze wychodzić na ten okrutny ziąb.

Przestąpiła przez próg (przez który przeniósł ją Antoine w dniu zaślubin… nie, to był próg w Le Jardin… już nie pamiętała) i wyszła przed kościół, gdzie natychmiast zamieć uderzyła w nią ze zdwojoną siłą. Przytrzymała gruby szal przy szyi. Zgięta wpół dla osłony przed wiatrem, ruszyła przez zaspy kopnego śniegu.

Gdy dowlokła się wreszcie do bramy Le Jardin, była mokra od potu i zdyszana. Ciągle kasłała. Przeszła obok przysypanego śniegiem motocykla z koszem, myśląc smutno, że kapitan wrócił, więc Sophie będzie przynajmniej miała co jeść. Wiatr targał nagimi gałęziami jabłoni. Stała już niemal na progu, gdy poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

– Mamo!

W głosie Sophie był strach. Zdążyła jeszcze pomyśleć: „Straszę własną córkę”, i pożałować tego, ale nogi się pod nią ugięły i ogarnęło ją tak straszliwe znużenie… Nieprzeparte…

Jak z oddali usłyszała krzyk Sophie: „Panie kapitanie!”, trzaśnięcie drzwi i stukot twardych podeszew butów.

Zwaliła się ciężko na zaśnieżoną ziemię, uderzając przy tym głową o framugę. Leżała, myśląc: „Tylko trochę odpocznę i zaraz wstanę, przygotuję obiad dla Sophie… ale z czego?”.

Potem uniosła się lekko w powietrze. Nie mogła otworzyć oczu, była zbyt zmęczona i tak bardzo bolała ją głowa, ale czuła, że się porusza, chyba ktoś ją niósł? Antoine, czy to ty? Antoine, czy przebiegłeś mi na pomoc? – myślała otumaniona.

– Otwórz drzwi – powiedział czyjś głos. Potem kroki, tupot kroków… – Zdejmę z niej płaszcz. Pobiegnij po panią Champlain. Szybko.

Vianne poczuła, że jest układana na czymś miękkim. Chyba na łóżku…

Oblizała spierzchnięte wargi i spróbowała otworzyć oczy. Wymagało to znacznego wysiłku. Gdy jej się to w końcu udało, obraz był zamazany.

Kapitan Beck siedział przy niej na łóżku. Nachylał się nad nią nisko, trzymając za rękę.

– Madame?

Czuła jego ciepły oddech.

– Vianne! – Do pokoju wpadła Rachel.

Beck natychmiast zerwał się z łóżka.

– Zemdlała przed domem i uderzyła głową o framugę. Przyniosłem ją tu i położyłem.

– Jestem wdzięczna – odrzekła Rachel. – Teraz ja się nią zajmę, panie kapitanie.

– Ona nic nie je – bąknął sztywno. – Całe jedzenie oddaje Sophie. Nie raz widziałem.

– To macierzyństwo czasu wojny, panie kapitanie. A teraz, jeśli pan pozwoli… – Wyminęła go i usiadła przy Vianne. Beck postał jeszcze trochę z zakłopotaną miną, po czym opuścił pokój. – Jak słyszę, oddajesz jej wszystko – powiedziała cicho Rachel, głaszcząc przyjaciółkę po głowie.

– A mam jakiś wybór?

– Nie możesz umrzeć – skwitowała krótko Rachel. – Sophie cię potrzebuje.

Vianne westchnęła ciężko i zamknęła oczy. Zapadła w głęboki sen, w którym śniła, że spoczywa na otaczającym ją ze wszystkich stron bezkresnym czarnym polu, niespotykanie miękkim. Słyszała nawołujące z ciemności głosy i zbliżające się kroki, ale nie chciało jej się ruszać, wolała spać, spać i spać. Kiedy się w końcu ocknęła, zobaczyła, że leży na kanapie we własnym salonie, nieopodal kominka, na którym wesoło trzaskał ogień.

Usiadła powoli, czując ogarniającą słabość.

– Sophie?

Drzwi do pokoju gościnnego się uchyliły i wyjrzał z nich kapitan Beck. Miał na sobie ciepłą flanelową piżamę, wełniany kardigan i wysokie buty.

– Dobry wieczór – powiedział z lekkim uśmiechem. – To miło, że pani do nas wróciła.

Powiodła wzrokiem po sobie. Flanelowe spodnie, dwa swetry, skarpety i włóczkowa czapka. Kto ją tak ubrał?

– Jak długo spałam?

– Cały dzień.

Przeszedł obok niej i zniknął w kuchni. Po chwili zjawił się z kubkiem parującej mlecznej kawy i talerzykiem, na którym leżała kromka chleba z niebiesko pożyłkowanym serem i gruby plaster szynki. Bez słowa postawił talerzyk i kubek obok Vianne.

Na widok smakowitego jedzenia zaburczało jej głośno w żołądku. Spojrzała na kapitana.

– Uderzyła się pani w głowę i mogła umrzeć.

Vianne dotknęła czoła i pomacała bolesny guz.

– Co stałoby się z Sophie, gdyby pani umarła? – zapytał kapitan oskarżycielskim tonem. – Czy pomyślała pani o tym? – Postąpił krok w jej stronę.

– Tak długo pana nie było. Jedzenia nie starczało dla nas obu.

– Proszę jeść – powiedział, patrząc na nią z góry.

Nie była w stanie odwrócić od niego oczu. Ulga, z jaką przyjęła jego powrót, była dla niej powodem do wstydu, ale jakoś nie potrafiła się tym teraz przejąć. Wreszcie opuściła wzrok na talerzyk z jedzeniem.

Wzięła go w obie dłonie i podniosła do ust. Przydymiony zapach wędzonej szynki w połączeniu ze specyficzną wonią sera uderzał do głowy, oszałamiał, odbierał wolę. Był tak kuszący, że nie umiała mu się oprzeć.

Na początku marca wciąż jeszcze wydawało się, że do wiosny jest daleko. Ostatniej nocy alianci doszczętnie zbombardowali fabrykę Renault w Boulogne-Billancourt, zabijając przy tym setki osób na obrzeżach Paryża. To sprawiło, że mieszkańcy miasta, z Isabelle włącznie, stali się nerwowi i poirytowani. Amerykanie włączyli się do wojny ze ślepą mściwością, a ich naloty zaczynały być częścią miejscowej egzystencji.

Tego zimnego, deszczowego wieczoru Isabelle jechała rowerem we mgle błotnistą wiejską drogą. Deszcz moczył jej włosy i zalewał oczy, bo za jedyną ochronę miała wełniany kapturek. Gęsta mgła tłumiła odgłosy, a czasem nieoczekiwanie

je wzmacniała, jak ostry krzyk bażanta, warkot silników lotniczych nad głową, daleki ryk krowy na pastwisku.

Z wolna wyłoniła się przed nią granica między strefą okupowaną i państwem Vichy. Po obu stronach pomalowanej w biało-czarne pasy budki strażniczej ciągnęły się zwoje kolczastego drutu. Niemiec siedział pod daszkiem na taborecie, z karabinem na kolanach. Gdy Isabelle się zbliżyła, wstał i skierował broń w jej stronę.

– Halt!

Zahamowała. Koła ugrzęzły w błocie i omal nie spadła z roweru. Zsiadła niezgrabnie i przytrzymała kierownicę. W podszewce płaszcza miała zaszyte pięćset franków i komplet fałszywych dokumentów dla lotnika ukrywającego się w jednej z kryjówek w okolicy.

Człapiąc po błotnistej drodze, zbliżyła się do Niemca i posłała mu miły uśmiech.

– Dokumenty – warknął.

Podała mu fałszywe papiery na nazwisko Juliette Gervaise.

Przejrzał je pobieżnie, bez zainteresowania. Nie był uszczęśliwiony pilnowaniem spokojnej granicy przy takiej pogodzie.

– Przechodzić – warknął znudzonym tonem.

Schowała dokumenty, wsiadła na rower i odjechała czym prędzej, roztapiając się w mroku.

Półtorej godziny później dotarła na przedmieście miasteczka Brantôme. W wolnej strefie nie było Niemców, lecz miejscowa francuska policja wielokrotnie udowodniła, że potrafi być równie bezwzględna i groźna jak hitlerowcy, więc Isabelle miała się na baczności.

Przez wieki miasteczko Brantôme cieszyło się sławą świętego miejsca, które leczy ciało i duszę. Benedyktyni wznieśli tu z wapienia ogromne opactwo, z jednej strony przylegające do

dzikich, strzelających w niebo szarych klifów, z drugiej zaś do szerokiej rzeki Dronne.

Po przeciwnej stronie ulicy prowadzącej do jaskiń na obrzeżach miasteczka znajdowała się najnowsza kryjówka: pokoik w porzuconym młynie zajmującym trójkątną połać terenu między jaskiniami i rzeką. Ogromne koło tkwiło nieruchomo, okna już dawno zostały zabite deskami, a kamienne ściany pokrywały porosty.

Isabelle zatrzymała się na moment, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Dokoła była jedynie pustka. Postawiła rower pod drzewem, przeszła na drugą stronę ulicy i schyliła się nad klapą prowadzącą do piwnicy. Jako jedyna w całym młynie nie była zabita deskami. Otworzyła ją ostrożnie i zeszła do ciemnego, cuchnącego zgnilizną pomieszczenia.

W znanym sobie miejscu na półce namacała lampę naftową. Zapaliła ją i ruszyła tajemnym tunelem zbudowanym przez benedyktynów na wypadek ataku barbarzyńców. Po chwili wąskie strome schodki zaprowadziły ją do kuchni. Otworzyła drzwi i wśliznęła się do zakurzonego, obwieszonego pajęczynami pomieszczenia, po czym podążyła dalej, do kryjówki w jednym z dawnych magazynów.

– Przyszła! Perkins, wstawaj!

W małym, oświetlonym pojedynczą świecą pokoju dwóch mężczyzn zerwało się na równe nogi i przyjęło postawę na baczność. Obaj mieli na sobie niedopasowane stroje francuskich wieśniaków.

– Kapitan Ed Perkins, do usług – przedstawił się wyższy. – A ten tutaj to Ian Trufford czy jakoś tak. Walijczyk. Ja jestem jankesem. Cholernie się cieszymy, że panienka przyszła. Dostawaliśmy już szału w tej szczurzej norze.

– Serio? – Była tak przemoczona, że woda ściekająca z ubrania utworzyła u jej stóp małą kałużę. Pragnęła jedynie

wczołgać się do śpiwora i zasnąć, ale najpierw musiała załatwić ważniejsze sprawy. – Jankes, powiadasz?

– Tak, panienko.

– Skąd?

– Z Bend w stanie Oregon. Tata jest hydraulikiem, a mama piecze najlepszą szarlotkę w czterech hrabstwach.

– Jaka pogoda jest w Bend o tej porze roku?

– A co teraz mamy? Połowę marca? No to myślę, że jeszcze jest zimno. Śnieg już pewnie nie pada, ale słońca jest raczej mało.

Isabelle pokręciła głową na boki i rozmasowała obolały kark i ramiona. Całe to pedałowanie i spanie na podłodze kosztowało ją wiele zdrowia.

Wypytywała ich jeszcze długo, aż upewniła się, że są tymi, za których się podają: dwoma zestrzelonymi lotnikami, od tygodni wypatrującymi szansy wydostania się z Francji. Wtedy otworzyła plecak i wyjęła z niego kolację. Cała trójka siadła na wytartym, powygryzanym przez myszy chodniku ze świecą stojącą pośrodku. W milczeniu dzielili między siebie chleb i krążek camemberta, popijając czerwonym sikaczem.

Podczas posiłku Amerykanin gadał jak najęty, natomiast Walijczyk żuł w milczeniu, nie dziękując nawet za wino.

– Mąż pewnie się o ciebie martwi – zagadnął w pewnej chwili Perkins. Isabelle się do niego uśmiechnęła. Ileż to już razy słyszała to pytanie, zwłaszcza od mężczyzn w wieku zbliżonym do swojego.

– A twoja żona pewnie czeka na list, powinieneś jej go wysłać – odpowiedziała jak zwykle.

– E, nieee – odparł. – Taki ancymon jak ja niełatwo znajduje dziewczynę. A teraz…

– Co teraz? – Isabelle zmarszczyła brwi.

– Wiem, że to głupio tak myśleć, ale czuję się trochę nieswojo, bo gdybym teraz wyszedł z tej nory na ulicę w tej zafajdanej mieścinie, której nazwy nawet nie umiem wymówić, to mógłby mnie zastrzelić facet, do którego nic nie mam. Mógłbym zginąć, próbując przejechać rowerem przez te wasze wzgórza…

– Góry.

– Na granicy mogliby mnie zastrzelić szkopy albo hiszpańce. Mógłbym też pewnie zamarznąć na tych waszych wzgórzach.

– Górach – poprawiła odruchowo. – Ale tak się nie stanie.

– Widzisz, Perkins – odezwał się nieoczekiwanie Walijczyk. – To chucherko nas uratuje. – Posłał jej zmęczony uśmiech. – Bardzo się cieszę, że jesteś tu z nami, panienko. Już dostawałem kręćka od ględzenia tego byczka.

– Pozwól mu się teraz wygadać. Jutro o tej porze solidnie się zasapiecie.

– Idąc przez te pagórki? – Perkins wybałuszył na nią oczy.

– Tak – odrzekła. – Przez pagórki.

Amerykanie. Nigdy nie słuchali.

Pod koniec maja wiosna przywróciła Dolinie Loary życie, kolory i ciepło. Praca w ogrodzie przynosiła Vianne spokój. Sadziła akurat warzywa i pieliła grządki, gdy obok Le Jardin przejechał długi konwój wojskowych ciężarówek i mniejszych samochodów. Odkąd Amerykanie wypowiedzieli Rzeszy wojnę, hitlerowcy przestali udawać uprzejmych. Zresztą nie mieli na to czasu zaprzątnięci własną gorączkową aktywnością. Gestapo i SS były wszechobecne, poszukując sabotażystów i partyzantów. Można było zostać oskarżonym w każdej chwili bez żadnych dowodów. Naloty bombowe trwały niemal bez przerwy.

Ileż to razy tej wiosny ktoś nieznajomy przysuwał się do Vianne w kolejce do sklepu, na poczcie lub gdy szła przez miasteczko, pytając konspiracyjnie, co mówi BBC?

Za każdym razem odpowiadała, zgodnie z prawdą, że nie ma radia, bo ich posiadanie zostało zakazane. Zawsze też przechodził ją dreszcz strachu. Coraz częściej słyszało się wypowiadane szeptem słowo: *les collabos*. Kolaboranci. Obywatele Francji, którzy godzili się wykonywać za Niemców brudną robotę, szpiegować sąsiadów oraz znajomych i donosić na nich władzom, zdawać sprawę z każdego wykroczenia, prawdziwego albo zmyślonego. Zaczęły się bezpodstawne aresztowania, a wielu z tych, którzy trafili do komendantury, nigdy więcej nie ujrzano na oczy.

– Pani Mauriac! – Na podwórko wbiegła zziajana Sarah. Była bardzo chuda i tak bladziutka, że niebieskawe żyły przeświturywały przez skórę. – Musi pani pomóc mojej mamie!

Vianne przysiadła na piętach i zsunęła z czoła słomkowy kapelusz.

– Co się stało? Jakieś wieści od taty?

– Nie wiem, co się stało, proszę pani, mama nie chce rozmawiać. Kiedy jej powiedziałam, że Ari jest głodny i trzeba go wysadzić, wzruszyła tylko ramionami i mruknęła: „A jakie to ma znaczenie?”. Siedzi na ganku i gapi się na robótkę.

Vianne szybko wstała, zdjęła rękawice ogrodnicze i schowała je do kieszeni roboczych spodni.

– Zaraz do was przyjdę. Znajdź Sophie i poczekajcie na mnie przed bramą.

Sarah pobiegła szukać przyjaciółki, a Vianne obmyła pod pompą twarz i ręce i odłożyła kapelusz. W jego miejsce zawiązała na głowie kolorową chustkę. Odniosła narzędzia do szopy i śpiesznie ruszyła do bramy. Dziewczynki już na nią czekały.

Trzyletni Ari spał na dywanie. Vianne wzięła go na ręce i pocałowała w policzek.

– Może pobawicie się w pokoju Sarah? – zwróciła się do dziewczynek. Odsunęła skrawek zaciemnienia i zobaczyła Rachel siedzącą na ganku ze spuszczoną głową i robótką na kolanach.

– Czy mama dobrze się czuje? – zapytała Sarah z niepokojem.

Vianne spojrzała na nią niewidzącym wzrokiem i skinęła głową.

– No, biegnijcie już. – Gdy została sama, zaniosła chłopczyka do pokoju Rachel i położyła w jego łóżeczku. Nie przykryła go, bo dzień był wyjątkowo ciepły.

Rachel siedziała w ulubionym wiklinowym fotelu. Przy jej nogach stał koszyk z przyborami do szycia. Była ubrana w spodnie khaki i brązową bluzkę, na głowie miała chustkę zawiązaną jak turban. Paliła skręconego ręcznie papierosa w brązowej bibułce. Na stoliku stała butelka brandy i pusta szklanka.

– Rachel?

– Widzę, że Sarah pobiegła po wsparcie.

Vianne stanęła przy Rachel i położyła jej dłoń na ramieniu. Wyczuła, że przyjaciółka drży.

– Chodzi o Marca?

Rachel pokręciła głową.

– Dzięki Bogu.

Rachel sięgnęła po butelkę i nalała brandy do szklanki. Opróżniła ją jednym haustem i z trzaskiem odstawiła na stolik.

– Wydali nowe prawo – wycedziła przez zęby. Powoli rozprostowała palce lewej ręki i pokazała Vianne zmięte skrawki żółtego materiału w kształcie sześcioramiennej gwiazdy. Na każdym wypisano czarnym tuszem słowo ŻYD. – Musimy je nosić – ciągnęła Rachel. – Naszyte na ubranie –

wolno nam posiadać trzy sztuki wierzchnich okryć. Nie można się bez tego pokazać w miejscu publicznym. Musiałam je kupić na kartki. Może nie powinnam się rejestrować. Kto nie będzie ich nosił, poniesie „poważne konsekwencje". Cokolwiek to znaczy.

Vianne oniemiała.

– Widziałaś plakaty na mieście. Według nich Żydzi są jak robactwo, którego należy się pozbyć, to lichwiarze, którzy chcą zagarnąć aryjskie majątki… Ja sobie z tym radzę, ale pomyśl o Sarah. Ona się tak strasznie wstydzi. Ma jedenaście lat, to i bez tego trudny wiek.

– No to nie zgadzaj się na to.

– Jak cię złapią bez tej naszywki, od razu cię zamykają. Zarejestrowałam się, znają mnie. Poza tym jest Beck. On wie, że jestem Żydówką.

Nastało milczenie. Vianne wiedziała, że obie myślą o tym samym: o aresztowaniach w Carriveau i okolicy, o ludziach, którzy znikali bez wieści.

– Mogłabyś wyjechać do wolnej strefy – powiedziała cicho Vianne. – To tylko pięć kilometrów stąd.

– Żydzi nie dostają ausweisu, a gdyby mnie złapali…

Vianne pokiwała ponuro głową. Ucieczka, zwłaszcza z dziećmi, wiązała się z poważnym niebezpieczeństwem. Gdyby Rachel została przyłapana na przekraczaniu granicy bez papierów, trafiłaby do więzienia. Albo została rozstrzelana na miejscu.

– Boję się – wyznała Rachel.

Vianne ścisnęła jej rękę. Patrzyły na siebie w milczeniu, Vianne usiłowała wymyślić słowa pociechy i nadziei, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Będzie jeszcze gorzej – szepnęła Rachel z rozpaczą.

Vianne myślała to samo.

– Mamo?

Na podwórzu zjawiła się Sarah, ciągnąc Sophie za rękę. Obie dziewczynki miały niepewne, przestraszone miny. Zdawały sobie sprawę, że dzieje się coś złego. Vianne z bólem serca obserwowała zmiany, jakie wojna wywoływała w tych dzieciach. Ledwie przed trzema laty bawiły się i beztrosko śmiały, prowokując matki do żartów. Teraz stawiały stopy ostrożnie, jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć bomba. Były chude, ich naturalny proces dojrzewania został przyhamowany wskutek niedożywienia. Ciemne włosy Sarah wciąż były długie, ale cienkie, rzadkie i matowe. Sophie nie ruszała się nigdzie bez Bébé, różowej pluszowej maskotki, która od stałego przytulania zaczynała się pruć i świecić przetarciami.

– Chodźcie tu do nas – powiedziała Rachel.

Dziewczynki podeszły z ociąganiem, ściskając się za ręce tak mocno, jakby były ze sobą zrośnięte. W przenośnym sensie tak było, łączyły je bowiem – tak jak Rachel i Vianne – nierozerwalne więzy przyjaźni, być może ostatnia rzecz na świecie, w którą nadal mogły wierzyć. Sarah usiadła przy matce i puściła rękę Sophie, która stanęła przy Vianne.

Rachel spojrzała na przyjaciółkę. W jej oczach był głęboki smutek. Jak powiedzieć dziecku o czymś takim?

– Te żółte gwiazdy… – zaczęła Rachel, pokazując im brzydki, pognieciony materiał z czarnym napisem. – Odtąd będziemy je musiały nosić na rękawie.

– Ale… dlaczego? – wyszeptała Sarah bliska łez.

– Jesteśmy Żydówkami – odrzekła Rachel – i jesteśmy z tego dumne. Musisz pamiętać o tej dumie, nawet jeżeli ktoś…

– Hitlerowcy – wtrąciła Vianne ostrzej, niż zamierzała.

– Hitlerowcy – poprawiła się Rachel – będą chcieli, żebyśmy czuły się z tym… źle.

– Czy ludzie będą się ze mnie wyśmiewali? – zapytała Sarah łamiącym się głosem.

– Ja też będę taką nosić – oznajmiła Sophie.

Sarah spojrzała na przyjaciółkę z żałosną nadzieją. Rachel przytrzymała ją za rękę.

– Nie, kochanie. To jedyna rzecz, której ty i twoja najlepsza przyjaciółka nie możecie zrobić razem.

Vianne widziała strach, dezorientację i zmieszanie dziewczynki, która ze wszystkich sił starała się być dzielna i uśmiechnąć mimo łez napływających do oczu.

– Dobrze – szepnęła ledwo dosłyszalnie.

Był to najsmutniejszy dźwięk, jaki Vianne usłyszała po trzech latach smutku.

21

Lato w Dolinie Loary było równie gorące jak przedtem surowa była zima. Vianne uchyliła okno w sypialni, ale powietrze stało nieruchomo, czerwcowa noc była parna i duszna. Odgarnęła wilgotne włosy z czoła i ciężko padła na krzesło przy łóżku.

Sophie jęknęła przez sen. Vianne zmoczyła w misce z wodą czystą szmatkę. Woda była letnia, pokój na piętrze nagrzany jak piec. Vianne wyżęła szmatkę i położyła kompres na czole córki.

Sophie zamamrotała niewyraźnie i zaczęła rzucać się na łóżku.

Vianne delikatnie ją przytrzymała, czule szepcząc do ucha córki i czując przy tym bijące od niej gorąco.

– Kochanie – powtarzała szeptem. – Kochanie, jestem przy tobie. – W końcu Sophie się uspokoiła.

Gorączka rosła. Już poprzedniego dnia Sophie źle się czuła, stale się pokładała. Na początku Vianne sądziła, że córka chce się po prostu wymigać od pomocy w domowych obowiązkach: pracy w ogrodzie, praniu, sprzątaniu, cerowaniu. Vianne stale chciała zrobić więcej i zyskać więcej. Nawet teraz, w środku lata, już martwiła się nadejściem zimy.

Dzisiejszy poranek pokazał jej prawdę, przyprawiając o wyrzuty sumienia, że wcześniej tego nie zauważyła. Co z niej za matka? Sophie była chora, i to bardzo. Miała wysoką gorączkę, która stale rosła. Nie mogła niczego utrzymać w żołądku, nawet wody, tak rozpaczliwie potrzebnej jej organizmowi.

– Może chcesz lemoniady? – zapytała Vianne.

Brak odpowiedzi.

Nachyliła się i pocałowała rozpalony policzek córki.

Odłożyła szmatkę do miski i zeszła na dół. Na stole czekało na napełnienie kartonowe pudło – najnowsza paczka dla Antoine'a. Zaczęła ją przygotowywać wczoraj i dziś pewnie by skończyła, gdyby stan zdrowia Sophie się nie pogorszył.

Była już w progu kuchni, gdy doleciał ją krzyk córki.

Popędziła z powrotem na górę.

– Mamo – wychrypiała Sophie i zaniosła się kaszlem.

Vianne przeraziła się, słysząc ten okropny dźwięk. Zduszony charkot, rzężenie… Dziecko zaczęło szarpać pościel, usiłując ją z siebie zedrzeć. Daremnie próbowała uspokoić córkę, która zachowywała się jak zwierzę oszalałe ze strachu, rzucając się, krzycząc i kaszląc.

Gdyby miała choć parę tabletek chlorodyny doktora Collisa Browne'a. Był to niezwykle skuteczny i przed wojną powszechnie dostępny lek na kaszel, czynił prawdziwe cuda, ale oczywiście nie zostało po nim w aptekach śladu.

– Już dobrze, kochanie. Mama jest przy tobie – powtarzała łagodnie Vianne, lecz bez skutku.

Obok niej pojawił się Beck. Wiedziała, że powinna być oburzona tym wtargnięciem do jej sypialni, lecz była na to zbyt zmęczona i wystraszona.

– Nie wiem, jak jej pomóc. W aptece nie można dostać skutecznych leków ani nawet aspiryny, za żadną cenę.

– Nawet za sznur pereł?

– Skąd pan wie, że sprzedałam perły matki? – spytała zaskoczona.

– Mieszkam z panią. – Zrobił znaczącą pauzę. – Obchodzi mnie, jak pani postępuje.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Kaszlała przez całą noc – powiedział, przyglądając się Sophie. – Słyszałem.

Ku przerażeniu Vianne dziecko nagle znieruchomiało.

– Wyzdrowieje. – Beck sięgnął do kieszeni i wyjął fiolkę leku. – Proszę.

Vianne podniosła na niego wzrok. Nie było chyba przesadą twierdzenie, że ratował życie jej dziecka? A może Beck chciał, żeby tak myślała? Umiała wytłumaczyć, dlaczego korzysta z zapasów jego żywności. Ostatecznie musiał przecież jeść, a jej obowiązkiem było dla niego gotować. Jeśli więc coś zostawało na dnie garnka…

Natomiast to było przysługą, za którą trzeba będzie zapłacić słoną cenę.

– Proszę wziąć lekarstwo – powiedział łagodnym tonem.

Sięgnęła po fiolkę. Przez moment trzymali ją razem. Zetknęły się ich palce i spojrzenia, dokonując krótkiej, niemej wymiany zdań. Padło pytanie i odpowiedź.

– Dziękuję – wyszeptała.

– Ależ nie ma za co.

– Sir, jest już Słowik.

– Proszę ją tu przysłać – odrzekł krótko konsul brytyjski.

Isabelle weszła do ciemnego, wykończonego mahoniem gabinetu na końcu długiego korytarza. Nim zdążyła podejść do wielkiego biurka, siedzący za nim mężczyzna wstał na jej powitanie.

– Dobrze znów panią widzieć.

Usiadła na niewygodnym skórzanym krześle i przyjęła zaproponowaną szklaneczkę sherry. Ostatnia przeprawa przez Pireneje okazała się nadzwyczaj trudna pomimo dobrej

lipcowej pogody. Jeden z Amerykanów nie mógł się pogodzić ze słuchaniem „babskich” poleceń i odłączył się od grupy. Potem doszły ich słuchy, że został aresztowany przez Hiszpanów. Jankesi, skwitowała Isabelle, kręcąc głową. To mówiło wszystko. Ze swoim kontaktem Ianem, pseudonim Wtorek, pracowała od początku i teraz rozumieli się praktycznie bez słów. Z pomocą siatki Paula zorganizowali na terenie całej Francji wiele bezpiecznych kryjówek i mieszkań oraz armię ludzi, którzy za cenę życia gotowi byli pomagać pilotom alianckim w powrocie do domu. Gdy wypatrzyli na niebie opadające spadochrony lub obniżające lot uszkodzone samoloty, zaczynali przeczesywać ulice, szopy, stodoły, opuszczone domostwa, w których mogli się ukryć zestrzeleni alianccy lotnicy. Ci z kolei po powrocie do Anglii nie mogli już brać udziału w nalotach ze względu na wiedzę o rozgałęzionej francuskiej siatce ruchu oporu. Zamiast tego uczestniczyli w szkoleniach, podczas których informowali kolegów o czyhających na nich niebezpieczeństwach, uczyli technik przetrwania na terenie Francji i sposobów znajdowania pomocy. Nowe załogi zaopatrywano w banknoty frankowe, kompasy i fotografie na wypadek konieczności wyrobienia fałszywych dokumentów.

Isabelle wolno sączyła sherry. Doświadczenie nauczyło ją ostrożności. Po przeprawie przez góry była najczęściej odwodniona, czemu alkohol zdecydowanie nie służył. Podczas letnich upałów sytuacja była jeszcze gorsza.

Ian podsunął jej kopertę. Wzięła ją, przeliczyła banknoty frankowe i wsunęła je pod podszewkę torebki.

– Przez osiem miesięcy przyprowadziłaś do nas osiemdziesięciu siedmiu lotników, Isabelle – powiedział, zajmując miejsce. Tylko w tym pomieszczeniu, gdy byli we dwoje, bez świadków, używał czasem jej prawdziwego imienia. W oficjalnych kontaktach z wydziałem MI9 występowała

zawsze jako Słowik. Pracownicy konsulatu i agend brytyjskich znali ją pod nazwiskiem Juliette Gervaise. – Uważam, że powinnaś trochę zwolnić tempo.

– Zwolnić tempo?

– Niemcy intensywnie poszukują Słowika.

– To dla mnie nic nowego.

– Usiłują infiltrować twoją siatkę i kanały przerzutu. Ich agenci udają zestrzelonych pilotów. Jeżeli nieszczęśliwym trafem ktoś taki trafi do ciebie…

– Jesteśmy bardzo ostrożni, Ianie. Dobrze o tym wiesz. Osobiście przesłuchuję każdego człowieka. Siatka paryska działa bez zarzutu.

– Szukają Słowika. Jeżeli cię znajdą…

– Nie znajdą. – Podniosła się z krzesła.

– Bądź ostrożna, Isabelle, proszę. – On także wstał, patrząc jej w oczy.

– Jasne.

Obszedł biurko, podał jej ramię i odprowadził do wyjścia.

Odżałowała trochę czasu na podziwianie nadmorskiego piękna San Sebastian, spacer nad klifowym brzegiem, nacieszenie oczu widokiem budynków, których nie szpeciły hitlerowskie swastyki. Niemniej takie odświeżające chwile normalnego życia były luksusem niemogącym trwać zbyt długo. Przez kuriera wysłała wiadomość do Paula:

Drogi wuju!
Mam nadzieję, że cieszysz się dobrym zdrowiem.
Jestem w naszym ulubionym nadmorskim kurorcie.
Nasi przyjaciele mieli dobrą podróż.
Jutro o trzeciej odwiedzę babcię w Paryżu.

Zawsze kochająca,
Juliette

Wróciła do Paryża okrężną trasą, zatrzymując się w bezpiecznych kryjówkach w Carriveau, Brantôme, Pau i Poitiers, by zwrócić prowadzącym je ludziom wydatki na odzież i żywność przekazaną uratowanym lotnikom. Dla pomagających, którzy narażali przecież własne życie, było to bowiem spore obciążenie.

Za każdym razem, gdy w pelerynie z kapturem przemykała się nocą uliczkami Carriveau, myślała o siostrze. Ostatnio zaczęła tęsknić za Vianne i Sophie. Z przyjemnością wspominała spokojne wieczory, gdy we trójkę grały w belotkę albo warcaby, Vianne uczyła ją robić na drutach (z mizernym skutkiem), Sophie plotła trzy po trzy. Czasem zdarzało jej się nawet myśleć, że siostra mogłaby jej ofiarować prawdziwy dom.

Na to było już jednak za późno. Isabelle nie mogła narazić Vianne na niebezpieczeństwo swym nagłym pojawieniem się w Le Jardin. Beck na pewno zapytałby, co robiła tak długo w Paryżu. I kto wie, może spróbowałby sprawdzić…

W Paryżu wysiadła z pociągu z tłumem pochmurnych, ciemno ubranych ludzi, którzy wyglądali, jakby wyszli z obrazów Edwarda Muncha. Gdy mijała złotą kopułę kościoła Inwalidów, nieoczekiwanie opadła mgła, tłumiąc letnią zieleń listowia. Większość kafejek była nieczynna, ustawione jedno na drugim krzesła sterczały smętnie pod osłoną wyblakłych markiz. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowało się mieszkanie, które od dwóch miesięcy nazywała domem – ciemnawe poddasze nad opuszczoną masarnią. Ściany nadal zdawały się wydzielać słabą woń mięsa i ostrych przypraw.

Raptem ktoś krzyknął: „Halt!”. Rozległy się przenikliwe gwizdki, słychać było krzyki. Kilku niemieckich żandarmów i francuskich policjantów osaczyło grupę ludzi, którym kazali

paść na kolana i podnieść ręce do góry. Zatrzymani mieli żółte gwiazdy na rękawach.

Isabelle zwolniła.

U jej boku wyrosła Anouk i ścisnęła za ramię.

– Dzień dobry – rzekła z przesadnym ożywieniem, by zaalarmować Isabelle, że gapi się – co było surowo zabronione – na zajście. Albo sprawia takie wrażenie.

– Zjawiasz się jak taka postać z amerykańskiego komiksu. Cień, zdaje się.

– Jak twoja górska wycieczka? – uśmiechnęła się Anouk.

– Nic wyjątkowego.

– Doszły nas słuchy, że coś planują – powiedziała Anouk ściszonym głosem. – Szkopy rekrutują młode kobiety do pracy biurowej w niedzielę na noc. Za podwójną stawkę. Ale jakiej, nie bardzo wiadomo. Wygląda to dość mętnie.

Isabelle dyskretnie przekazała przyjaciółce kopertę z pieniędzmi.

– Praca biurowa? W nocy?

– Paul załatwił ci miejsce – ciągnęła Anouk. – Zaczynasz o dziewiątej. Kiedy skończysz, idź do mieszkania ojca. Będzie tam na ciebie czekał.

– Dobrze.

– To może być niebezpieczne.

– A co nie jest? – Isabelle wzruszyła ramionami.

Wieczorem Isabelle zmierzała do prefektury policji. Wyczuwała drżenie chodnika pod stopami. Gdzieś niedaleko przemieszczała się kolumna ciężkich pojazdów.

– Ej, ty!

Zatrzymała się. Uśmiechnęła.

Podszedł do niej Niemiec z bronią gotową do strzału. Obrzucił wzrokiem jej ubiór, wypatrując żółtej gwiazdy.

– Pracuję na noc. Tam. – Wskazała pobliski gmach prefektury.

Chociaż okna były zaciemnione, w środku panował ruch. Do budynku wchodzili i wychodzili hitlerowscy oficerowie i francuscy policjanci, co o tak późnej porze musiało budzić zdziwienie. Dziedziniec był zastawiony autobusami. Ich kierowcy stali razem, paląc i rozmawiając.

– Idź. – Niemiec kiwnął głową.

Isabelle ścisnęła kołnierz ciemnobrązowego płaszcza, który miała na sobie, choć wieczór był ciepły. Jednym ze sposobów niezwracania na siebie uwagi było upodobnienie się barwą do strzyżyka – im bardziej buro, tym lepiej. Jasne włosy przykryła czarnym szalem zawiązanym z przodu na duży węzeł. Nie nałożyła różu ani szminki.

Z pochyloną głową wyminęła kręcących się po dziedzińcu francuskich policjantów. Przystanęła dopiero wewnątrz budynku.

Ogromny hol ze schodami na piętro przypominał tej nocy zakład wyzyskujący siłę niewolniczą, taka liczba kobiet tłoczyła się w nim przy ciasno zestawionych biurkach i stołach. Telefony dzwoniły bez przerwy.

– Do pomocy w sortowaniu? – zapytał znudzony policjant siedzący za biurkiem przy wejściu.

– Tak.

– Proszę za mną, znajdę pani miejsce do pracy. – Poprowadził ją pod ścianami pomieszczenia.

Było tak ciasno, że Isabelle musiała przeciskać się bokiem do wskazanego przez mężczyznę miejsca. Usiadła między dwiema kobietami. Blat przydzielonego jej biurka był zastawiony pudłami na fiszki.

Otworzyła pierwsze z brzegu i ujrzała plik kart. Wyjęła jedną i przeczytała:

STERNHOLZ, ISAAC
Aleja Rast nr 12
Czwarta Dzielnica
Wytwórca sabotów

Poniżej widniały nazwiska żony i dzieci mężczyzny.

– Trzeba oddzielić Żydów urodzonych za granicą – wyjaśnił policjant. Nie zauważyła, że poszedł za nią.

– Słucham? – Wyjęła kolejną kartę z nazwiskiem „Berr, Simone".

– Do tego pudełka. Trzeba oddzielić Żydów urodzonych we Francji od tych, którzy urodzili się za granicą. Tylko ci nas interesują. Mężczyźni, kobiety i dzieci.

– Dlaczego?

– Bo są Żydami. Kogo to obchodzi? Proszę się brać do pracy.

Isabelle rozejrzała się po sali. Miała przed sobą górę pudeł z kartami, a w pomieszczeniu pracowała co najmniej setka kobiet, więc skala tej operacji była ogromna. O co tu mogło chodzić?

– Jak długo tu pani pracuje? – zapytała cicho sąsiadkę.

– Parę dni – rzekła tamta, otwierając kolejne pudło. – Po raz pierwszy od miesięcy moje dzieci nie były wczoraj głodne.

– Co my właściwie robimy?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Słyszałam, jak mówili coś o operacji „Wiosenny Wiatr".

– Co to właściwie znaczy?

– A po co mi to wiedzieć?

Isabelle przejrzała karty w pudełku. Jedna z ostatnich przykuła jej wzrok.

LÉVY, PAUL
Ulica Blandine nr 61, m. C
Siódma Dzielnica
Profesor literatury

Wstała tak gwałtownie, że potrąciła siedzącą obok kobietę, która syknęła i spojrzała na nią z oburzeniem. Karty spadły z biurka na podłogę i rozsypały się dookoła. Isabelle szybko uklękła i zaczęła je zbierać. Odważyła się ukryć kartę z nazwiskiem Paula w rękawie.

Ledwie wstała, a już ktoś szarpnął ją za ramię i pociągnął wąskim przejściem. Prawie biegła za nim, potrącając inne kobiety.

Kiedy znaleźli się pod ścianą, gdzie było trochę miejsca, policjant odwrócił ją szarpnięciem i popchnął na ścianę.

– Co pani wyprawia? – warknął, ściskając ją brutalnie za ramię.

Bała się, że wyczuje ukrytą w rękawie kartę.

– Przepraszam… Bardzo przepraszam… Potrzebuję pracy, ale jestem chora… Mam grypę… – Zakasłała tak głucho jak tylko mogła.

Wyprowadził ją na zewnątrz i tam zostawił. Nie przestawała kasłać, póki nie skręciła za róg. Wtedy zaczęła biec.

– Co to może oznaczać?

Isabelle wyglądała przez szparę w zasłonach na ulicę. Ojciec siedział przy stole, nerwowo postukując w blat palcami poplamionymi tuszem. Dobrze było odwiedzić go po wielu miesiącach rozłąki, ale była zbyt roztrzęsiona i zdenerwowana, żeby się tym cieszyć.

– Musiałaś się pomylić, Isabelle – powiedział ojciec znad drugiej szklaneczki anyżówki od powrotu z pracy. – Powiadasz, że tych kart są dziesiątki tysięcy. Tyle wynosi liczba Żydów w Paryżu. Z pewnością…

– Nie kwestionuj faktów, tato, tylko postaraj się wyjaśnić, co to może oznaczać – odparła. – Niemcy gromadzą nazwiska i adresy Żydów zamieszkałych w Paryżu, którzy urodzili się poza Francją. Mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Ale po co? Paul Lévy jest polskiego pochodzenia, to prawda, ale żyje tu od dziesięcioleci. Walczył za Francję w czasie Wielkiej Wojny, jego brat zginął na froncie. Rząd Vichy zapewnił, że weterani nie mają się czego obawiać ze strony hitlerowców.

– Vianne została wrobiona w tworzenie takiej listy – przypomniała Isabelle. – Poproszono ją o podanie nazwisk wszystkich Żydów i komunistów uczących w jej szkole. Później zostali oni zwolnieni.

– Nie mogą ich zwolnić dwa razy, to pewne. – Ojciec nalał sobie jeszcze porcję wódki. – To francuska policja zbiera te nazwiska. Gdyby to byli Niemcy, to co innego.

Isabelle nie miała na to odpowiedzi. Od blisko trzech godzin wałkowali w kółko to samo.

Zbliżała się druga nad ranem, a żadne z nich nie zdołało wymyślić sensownego powodu tej operacji.

Z ulicy dobiegł warkot silników. Odsunęła nieco zasłonę i wyjrzała.

Aleją jechał powoli konwój autobusów z zaciemnionymi reflektorami. Przypominał nadnaturalnych rozmiarów gąsienicę rozciągniętą na długość wielu przecznic.

Wcześniej widziała te autobusy na dziedzińcu prefektury.

– Tato… – zanim zdążyła dokończyć zdanie, z klatki schodowej doleciał odgłos cichych kroków.

Szparą pod drzwiami wejściowymi ktoś wsunął kartkę papieru.

Ojciec zerwał się od stołu i poszedł po nią. Wrócił do jadalni i rozłożył ją w świetle świecy.

Isabelle zajrzała mu przez ramię.

Ojciec spojrzał jej w oczy.

– To ostrzeżenie. Policja zamierza zgarnąć wszystkich Żydów urodzonych za granicą i wywieźć ich do obozów w Niemczech.

– Gadamy tu, zamiast działać. – Poderwała się Isabelle. – Musimy ukryć naszych przyjaciół z kamienicy.

– To tak niewiele – odparł ojciec. Ręce zaczęły mu drżeć. Znów zadała sobie pytanie, co takiego widział na wojnie, czego jej oszczędzono?

– Tyle możemy zrobić – powiedziała. – Zapewnić bezpieczeństwo chociaż niektórym. Choćby na dzisiejszą noc. Jutro dowiemy się więcej.

– Bezpieczeństwo? A niby gdzie? Jeśli robi to francuska policja, to jesteśmy załatwieni.

Nie znalazła na to odpowiedzi.

Bez słowa wyszli z mieszkania.

Skradanie się w tak starym budynku nie było proste, a idący przodem ojciec nigdy nie umiał stąpać lekko. Wypity alkohol także w tym nie pomagał. Zeszli piętro niżej. Ich kroki odbijały się echem od ścian klatki schodowej. Ojciec potknął się, zaklął pod nosem. Zastukał do drzwi mieszkania pod własnym.

Odczekał dłuższą chwilę i zastukał ponownie, tym razem mocniej.

Drzwi uchyliły się, najpierw trochę, potem nieco szerzej.

– Och, Julien, to ty – szepnęła Ruth Friedman. Na długiej do ziemi nocnej koszuli miała męski płaszcz i była boso. Zakręcone na wałki włosy przykryła chustką.

– Widziałaś ulotkę?

– Tak… Czy to prawda? – wyszeptała z przestrachem.

– Nie wiem – odparł ojciec. – Przez całą noc jeżdżą autobusy i ciężarówki. Stoją też pod naszą kamienicą. Isabelle była dziś w prefekturze policji, zbierają nazwiska Żydów urodzonych za granicą. Uważamy, że powinnaś przyjść do nas razem z dziećmi. Mamy w mieszkaniu kryjówkę.

– Ale przecież mój mąż jest jeńcem wojennym. Rząd Vichy obiecał nas chronić.

– Rząd Vichy nie ma tu władzy – przywołała ją do rzeczywistości Isabelle. – Proszę się u nas schronić.

Ruth stała przez chwilę nieruchomo. Żółta gwiazda na płaszczu była namacalnym dowodem, że świat bardzo się zmienił. W końcu podjęła decyzję. Odwróciła się na pięcie, pobiegła w głąb mieszkania i po chwili wróciła z dwiema córkami.

– Co mamy zabrać?

– Nic – odparła krótko Isabelle, popychając Friedmanową przed sobą. Przed mieszkaniem ojca przystanęła i porozumiała się z nim wzrokiem. – Przyprowadzę Vizniaków – powiedziała – a ty sprawdź, czy zmieszczą się w naszej kryjówce.

– Mieszkają na drugim piętrze. Nie zdążysz…

– Zamknij dobrze drzwi do mieszkania. Nie otwieraj, zanim nie usłyszysz mojego głosu.

– Isabelle, nie…

Zbiegła po schodach, po dwa, trzy stopnie naraz, prawie nie dotykając poręczy. Dotarła już prawie na podest drugiego piętra, gdy na dole usłyszała głosy.

Szli na górę.

Spóźniła się. Przykucnęła tam, gdzie stała, zasłonięta windą.

Zobaczyła dwóch policjantów. Młodszy zastukał dwa razy do drzwi Vizniaków, odczekał sekundę, po czym wyważył je kopniakiem. Rozległ się krzyk kobiety.

Isabelle podsunęła się bliżej, nasłuchując.

– …Vizniak? – zapytał drugi policjant. – Żona Émile'a, dzieci to Anton i Hélène?

Isabelle odważyła się wychylić.

Madame Vizniak była piękną kobietą o cerze jak świeża śmietana i lśniących kręconych włosach, teraz rozczochranych. Miała na sobie obszyty koronką jedwabny negliż, który musiał kosztować fortunę. Przestraszone dzieci tuliły się do niej, patrząc na policjantów szeroko otwartymi oczami.

– Proszę się spakować. Tylko niezbędne rzeczy. Zostajecie przeniesieni w inne miejsce – powiedział starszy policjant, przeglądając listę nazwisk.

– Mój mąż jest w obozie jenieckim w pobliżu Pithiviers… Jak nas później znajdzie?

– Po zakończeniu wojny tu wrócicie.

Vizniakowa umilkła, nerwowo przygładzając splątane włosy.

– Pani dzieci są urodzone we Francji – oznajmił policjant. – Może je pani tutaj zostawić. Nie mam ich na liście.

Isabelle nie mogła się dłużej chować. Wstała z kucek i zeszła na drugie piętro.

– Zabiorę je, Lily – powiedziała, siląc się na spokój.

– Nie! – krzyknęły dzieci chórem, jeszcze mocniej przywierając do matki.

– Nazwisko? – warknął do niej policjant. Obaj z kolegą mierzyli Isabelle groźnymi spojrzeniami.

Zamarła. Jakie nazwisko podać?

– Rossignol – mruknęła w końcu, choć nie był to bezpieczny wybór, zważywszy na brak dokumentów. Ale słysząc „Gervaise", mogliby się zacząć zastanawiać, co kobieta, której nie ma na liście lokatorów, robi niemal o trzeciej nad ranem w obcej kamienicy, w dodatku wtykając nos w nie swoje sprawy.

Policjant sprawdził listę i odprawił ją machnięciem ręki.

– Proszę iść. Póki co nie muszę się panią przejmować.

Isabelle przeniosła wzrok na Lily Vizniak.

– Zabiorę dzieci, Lily – powtórzyła.

– Miałabym je tutaj zostawić? – Kobieta była jak ogłuszona.

– Uważam…

– Dość tego – krzyknął starszy policjant, waląc obcasem w posadzkę. – Niech pani stąd idzie, zanim zmienię zdanie – zagroził Isabelle. – To nie pani sprawa!

– Lily, posłuchaj – Isabelle próbowała przemówić Vizniakowej do rozsądku. – Ze mną będą bezpieczne.

– Jak to bezpieczne? – zdziwiła się kobieta. – Przecież chroni nas francuska policja. Zapewniono nas… Matka nie może zostawić swoich dzieci. Pewnego dnia to zrozumiesz. – Pogłaskała synka i córkę po główkach. – Spakujcie kilka drobiazgów.

Policjant dotknął lekko ramienia Isabelle. Gdy na niego spojrzała, powtórzył:

– Proszę iść. – Miał w oczach ni to prośbę, ni pogróżkę. – Natychmiast.

Nie miała wyboru. Gdyby została, jej nazwisko stałoby się znane prefekturze, a może nawet Niemcom. Zważywszy na działalność jej i ojca, zwracanie na siebie uwagi byłoby igraniem z ogniem. Wolała nie wypytywać, dokąd zabierają sąsiadkę.

W milczeniu, z nisko schyloną głową odwróciła się i powoli ruszyła na górę.

22

Wróciwszy do mieszkania, poszła do salonu, gdzie znalazła ojca, który zasnął przy stole obok opróżnionej do połowy butelki z głową opartą na rękach. Wstawiła ją na wszelki wypadek do kredensu, bo „co z oczu…”.

Omal nie pogłaskała siwych włosów, nie musnęła siwiejących skroni. Chciałaby umieć dotknąć go w taki sposób, pocieszający, serdeczny, przyjacielski.

Zamiast tego poszła do kuchni i zaparzyła dzbanek gorzkiej kawy z żołędzi. Wyjęła z szafki mały bochenek gliniastego chleba, jakim ostatnio musieli się zadowalać paryżanie. Odłamała kawałek (co powiedziałaby na to madame Dufour? Jedzenie na stojąco?) i żuła bez przyjemności.

– Ta kawa cuchnie jak łajno – wybełkotał ojciec, obudziwszy się nieoczekiwanie, gdy Isabelle weszła do salonu. Podała mu kubek.

– I jeszcze gorzej smakuje.

Nalała drugi kubek dla siebie i usiadła naprzeciwko ojca. Matowy blask lampy uwidaczniał siatkę głębokich zmarszczek na jego postarzałej twarzy. Oczy miał mętne, podpuchnięte.

Czekała, aż coś powie, ale patrzył na nią z twarzą bez wyrazu. Pod jego czujnym spojrzeniem dopiła kawę, by czymś spłukać suchy chleb, i odstawiła pusty kubek. Kiedy ojciec znowu zapadł w pijacki sen, poszła do swojego pokoju. Ale w żaden sposób nie mogła zasnąć. Leżała godzinami,

zamartwiając się niewiadomym. W końcu, nie mogąc już tego znieść, wstała i przeszła do salonu.

– Wyjdę zobaczyć, co się dzieje – oznajmiła.

– Nie rób tego – wymamrotał. Nadal siedział przy stole.

– Będę ostrożna.

Wróciła do pokoju i przebrała się w letnią niebieską spódnicę i białą bluzkę z krótkim rękawem. Na głowie zawiązała spłowiały niebieski szal z jedwabiu i opuściła mieszkanie.

Mieszkanie Vizniaków było otwarte. Zajrzała do środka.

Pokoje były splądrowane. Zostały jedynie najcięższe meble, szuflady okazałej komody były wysunięte i puste. Na podłodze walały się ubrania i tanie drobiazgi. Na ścianach widniały ślady po zdjętych obrazach.

Zamknęła za sobą drzwi. Postała chwilę w sieni na dole, by się opanować, po czym wyszła na zewnątrz.

Ulicą toczyły się autobusy, jeden za drugim. Przez brudne szyby widziała tuziny dziecięcych twarzy z nosami przyciśniętymi do okien, a obok siedzące ich matki. Chodniki były nienaturalnie puste.

– Dokąd oni jadą? – zapytała stojącego na rogu policjanta.

– Na Welodrom Zimowy.

– Na stadion? Ale po co?

– To pani nie dotyczy. Proszę odejść albo wsadzę panią do autobusu i sama się pani przekona.

– Może powinnam. Może…

Policjant nachylił się ku niej i rzucił z cicha:

– Odejdź stąd. – Potem chwycił ją za ramię i pchnął na skraj chodnika. – Mamy rozkaz zastrzelić każdego, kto spróbuje ucieczki. Dociera do pani? – rzucił teraz służbiście

– Strzelacie do nich? Do kobiet i dzieci?

– Niech pani idzie. – Młody policjant miał nieszczęśliwą minę.

Isabelle wiedziała, że powinna wrócić do mieszkania. Tak nakazywał rozsądek. Skoro jednak posuwała się niemal w tym samym tempie co sznur autobusów, a do welodromu było zaledwie kilka przecznic, postanowiła sprawdzić, co się tam dzieje.

Po raz pierwszy od miesięcy nie było posterunków na rogach ulic. Isabelle pobiegła skulona w kierunku Sekwany, mijając nieczynne kawiarnie oraz sklepy, i wkrótce stanęła zdyszana naprzeciw stadionu. Niekończący się potok autobusów zajeżdżał pod ogromną budowlę. Gdy z jednego wysypali się ludzie, drzwi zamykały się z wizgiem i pusty pojazd odjeżdżał, a jego miejsce zajmował następny. Isabelle widziała morze żółtych gwiazd.

Tysiące Żydów, mężczyzn, kobiet i dzieci, tłoczyło się wokół stadionu. Brutalnie popychani, kierowali się w stronę wejścia, ogłuszeni rozpaczą i strachem. Większość miała na sobie kilka warstw ubrań, co kłóciło się z lipcowym upałem. Policja patrolowała teren, zachowując się jak amerykańscy kowboje zapędzający bydło do zagrody. Słychać było przenikliwe gwizdki i pokrzykiwania.

Całe rodziny.

Na oczach Isabelle policjant uderzył kobietę pałką tak mocno, że upadła na kolana. Kolejny cios trafił ją, kiedy próbowała się podnieść, sięgając na oślep do małego chłopca obok niej. Gdy oprawca odszedł, wstała chwiejnie i osłaniając dziecko ciałem, pokuśtykała do wejścia na stadion.

Isabelle zauważyła w tłumie młodego policjanta i przepchnęła się do niego.

– Co się tu dzieje? – zapytała.

– To nie pani interes. Proszę stąd iść.

Isabelle rozejrzała się gorączkowo. Widziała jedynie przestraszony, skłębiony tłum, poniżany i popychany przez

policję, rodziny próbujące trzymać się razem. Małe dzieci płakały, jakaś kobieta w zaawansowanej ciąży klęczała i kołysała się w przód i w tył, przytrzymując wydęty brzuch.

– Przecież tych ludzi jest za dużo… Nie pomieszczą się… – bąknęła Isabelle.

– Wkrótce zostaną deportowani.

– Dokąd?

– Nie wiem. – Policjant wzruszył ramionami.

– Coś przecież musi pan wiedzieć.

– Do obozów pracy – mruknął. – W Rzeszy. Tyle wiem.

– Ale… tam są kobiety i dzieci…

Znów wzruszył ramionami.

Isabelle nie mogła tego pojąć. Jak francuscy policjanci mogą tak postępować z paryżanami? Z kobietami i dziećmi?

– Dzieci nie mogą wydajnie pracować. A tam są tysiące dzieci, kobiety w ciąży… Jak…

– Widzi pani u mnie dystynkcje oficerskie? Czy wyglądam, jakbym ja to wymyślił? Robię to, co mi każą. Miałem aresztować paryskich Żydów urodzonych za granicą, i to zrobiłem. Chcieli, żeby ich rozdzielić: samotnych mężczyzn do Drancy, a rodziny na welodrom. Proszę bardzo! Zrobione. Rząd chce wysłać Żydów z całej Francji na wschód do obozów pracy, więc zaczęliśmy tutaj.

Z całej Francji? Isabelle zbrakło tchu. Operacja „Wiosenny Wiatr”.

– Czyli, że to nie tylko w Paryżu?

– Nie. To dopiero początek.

Vianne cały dręcząco upalny dzień przestała w kolejkach, a udało jej się dostać tylko ćwierć kilo wysuszonego sera

i bochenek gliniastego chleba.

– Mamo, czy możemy napocząć konfitury truskawkowe? Z nimi chleb da się zjeść.

Gdy wyszły ze sklepu, Vianne trzymała Sophie przy sobie, jakby córka była małym dzieckiem.

– Może troszkę, Ale nie możemy przesadzać. Pamiętasz, jaka straszna była zima? A przyjdzie następna.

Zobaczyła oddział żołnierzy zmierzający w ich kierunku. Karabiny połyskiwały w słońcu. Za nimi posuwały się czołgi, łomocząc na brukowanej ulicy.

– Straszny tu dziś ruch – zauważyła Sophie.

Vianne pomyślała o tym samym. Na drogach pełno było francuskiej policji, która tłumnie ściągała do miasta.

Odczuła ulgę, gdy weszły na dobrze utrzymane podwórko Rachel. Vianne zawsze cieszyła się na wizytę u przyjaciółki. Tylko przy tych okazjach znów czuła się dawną sobą.

Zastukała. Rachel wyjrzała podejrzliwie, ale na widok Vianne rozpromieniła się i szeroko otworzyła drzwi, wpuszczając strumień słońca do ogołoconego z mebli domu.

– Vianne! Sophie! Chodźcie, zapraszam!

– Sophie! – ucieszyła się Sarah.

Dziewczynki uściskały się, jakby nie widziały się od tygodni, a nie od paru dni. Ponieważ Sophie chorowała i nie mogła spotykać się z Sarah, więc teraz na pewno miały sobie mnóstwo do powiedzenia. Sarah pociągnęła przyjaciółkę w kąt ogrodu, gdzie usiadły na trawie w cieniu jabłoni.

Rachel nie zamknęła drzwi, żeby można było mieć je na oku. Vianne zdjęła z głowy kolorowy szal i schowała do koszyka.

– Coś ci przyniosłam.

– Nie, Vianne. Już o tym rozmawiałyśmy. – Rachel była ubrana w spodnie ogrodniczki uszyte ze starej zasłony kąpielowej. Niegdyś biały lekki kardigan, poszarzały od zbyt

wielu prań w zimnej wodzie i znoszony, wisiał na poręczy krzesła, odsłaniając fragment żółtej gwiazdy na rękawie.

Vianne podeszła do kuchnnego kredensu i wysunęła szufladę na sztućce. Prawie nic w niej nie zostało; w ciągu dwóch lat okupacji Niemcy wielokrotnie przeczesywali dom po domu, rekwirując wszystko, czego potrzebowali. Zrabowane dobra wywożono pociągami na wschód.

Obecnie większość skrzyń, szaf i komód w miasteczku stała pusta. Rachel miała w domu tylko parę widelców i łyżek oraz nóż do chleba. Vianne zaniosła go do stołu. Wyjęła z koszyka chleb i ser i podzieliła na pół. Swoją część włożyła z powrotem. Gdy podniosła wzrok, Rachel miała łzy w oczach.

– Nie możesz nam tego dawać. Musicie coś jeść.

– Wy także.

– Powinnam po prostu odpruć tę cholerną gwiazdę. Mogłabym przynajmniej wystać jakieś ochłapy w kolejkach. – Żydzi wciąż spotykali się z nowymi restrykcjami: nie wolno im było mieć rowerów ani przebywać w miejscach publicznych poza wyznaczonymi godzinami, czyli trzecią a czwartą po południu, kiedy wolno im było robić zakupy. Tyle że o tej porze półki w sklepach świeciły pustkami.

Vianne nie zdążyła odpowiedzieć, usłyszała bowiem znajomy warkot motoru. Poderwała się i stanęła w progu, patrząc w stronę traktu.

– Co on tutaj robi? – Rachel stanęła przy niej.

– Nie wiem, zobaczę.

– Pójdę z tobą.

Ruszyły przez ogród do furtki. Ukryty w gęstwinie różanych krzewów kos wyśpiewywał swoje trele. Wyszły przed bramę i stanęły zaintrygowane.

– Moje panie – przywitał się Beck, zdejmując czapkę i wkładając ją pod pachę. – Przykro mi, że przeszkadzam

w miłej pogawędce, ale mam pilną wiadomość dla pani Mauriac. – Zabrzmiało to tak, jakby dzielili ze sobą jakieś tajemnice.

– A cóż to takiego, panie kapitanie? – zdziwiła się Vianne.

Ku jej zaskoczeniu Beck spojrzał na boki, po czym nachylił się i rzekł ściszonym głosem:

– Madame de Champlain nie powinna jutro z rana przebywać w domu.

Vianne nie była pewna, czy dobrze zrozumiała tę wypowiedź.

– Słucham?

– Madame de Champlain nie powinna jutro przebywać w domu – powtórzył.

– Ja i mąż jesteśmy jego właścicielami – wtrąciła Rachel. – Dlaczego mam opuścić mój dom?

– Tytuł własności domu nie ma znaczenia. Na pewno nie jutro.

– Moje dzieci… – zaczęła Rachel i urwała.

Beck w końcu spojrzał prosto na nią.

– Pani dzieci nas nie interesują. Urodziły się we Francji. Ich nazwisk nie ma na liście.

Lista.

Słowo, które nabrało ostatnimi czasy złowieszczego znaczenia.

– Przed czym chce pan nas ostrzec? – spytała cicho Vianne.

– Powiadam tylko, że jeśli pani przyjaciółka będzie jutro w domu, to następnego dnia już jej tu nie będzie.

– Ale…

– Gdyby była moją przyjaciółką, na pewno znalazłbym sposób, żeby ukryć ją choć na jeden dzień.

– Tylko na jeden? – zapytała Vianne, nie spuszczając z niego wzroku.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia, drogie panie, i tak postąpiłem niewłaściwie. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, poniósłbym surową karę. Bardzo proszę w razie późniejszych pytań nie wspominać o mojej wizycie. – Stuknął obcasami, obrócił się na pięcie i odszedł.

Rachel popatrzyła na Vianne. Mieszkańców Carriveau doszły wprawdzie słuchy o wywózkach w Paryżu, deportacjach kobiet i dzieci, lecz nikt nie dawał temu wiary. Bo niby dlaczego? Pogłoski były niewiarygodne, oskarżenia wprost niesłychane – w ciągu jednej nocy tysiące osób miałoby zostać wyciągniętych z domów przez francuską policję? Wszyscy jednocześnie? Wydawało się to niewykonalne. Nie, to niemożliwe. Ludzie kręcili głowami.

– Ufasz mu?

Vianne rozważyła w duchu to pytanie. Ku swojemu zaskoczeniu potaknęła.

– Wobec tego, co mam robić?

– Zawieź dzieci do wolnej strefy. Dziś wieczorem. – Vianne nie mogła uwierzyć, że to pomyślała, a co dopiero powiedziała na głos.

– W zeszłym tygodniu pani Durant próbowała przejść przez granicę. Zastrzelili ją, a dzieci wywieźli.

Na miejscu Rachel Vianne odpowiedziałaby tak samo. Uciekać samotnie jako dorosła kobieta to jedno, ale ryzykować życie potomstwa, to zupełnie co innego. Jeśli jednak pozostanie w Carriveau narażało dzieci na niebezpieczeństwo?

– Masz rację, to zbyt ryzykowne. Uważam jednak, że powinnaś posłuchać Becka i się ukryć. Przynajmniej na jeden dzień. Potem może dowiemy się czegoś więcej.

– Ale gdzie miałabym się schować?

– Isabelle poczyniła pewne przygotowania, a ja wtedy uznałam ją za wariatkę. – Vianne westchnęła z żalem. –

W stodole mamy piwnicę.

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli to się wyda, jeżeli cię przyłapią na ukrywaniu mnie…

– Tak – przerwała ostro Vianne. Nie chciała usłyszeć „zostaniesz ukarana śmiercią” wypowiedzianego na głos. – Wiem.

Vianne wlała do lemoniady Sophie łyżeczkę mikstury nasennej i położyła ją wcześnie spać. Nie czuła się z tym jak dobra matka, nie mogła jednak narażać dziecka, zabierając je na nocną eskapadę. Niemniej byłoby równie fatalnie, gdyby przypadkiem się obudziła, stwierdziła, że jest sama, i zaczęła płakać. Tak źle i tak niedobrze. Ostatnio nie było dobrego wyboru. Czekając, aż Sophie zapadnie w sen, spacerowała nerwowo po pokoju. Słyszała szum wiatru w gałęziach, trzeszczenie belek starego domu. Tuż po szóstej ubrała się w stare drelichowe spodnie i zeszła na dół.

Beck z oprawionym w ramkę zdjęciem swojej rodziny siedział na kanapie w salonie. Powiedział jej kiedyś, że żona ma na imię Hilda, a dzieci Gisela i Wilhelm.

Na jej widok podniósł wzrok, ale nie wstał z kanapy.

Vianne nie wiedziała, jak się zachować. Pragnęłaby, by Niemiec zniknął, a przynajmniej schował się w swoim pokoju i szczelnie zamknął drzwi. Ale nie mogła ignorować tego, że narażając karierę, postanowił ostrzec Rachel. Postąpił szlachetnie, bez dwóch zdań.

– Dzieją się złe rzeczy, proszę pani. Niesłychane. Jestem żołnierzem, potrafię walczyć za mój kraj, rodzina jest ze mnie dumna. Służba w armii to był honorowy wybór. Ale teraz, po

tym wszystkim… Co będą myśleli o tych z nas, którzy wrócą. Co będą myśleli o mnie?

– Ja również się martwię, co pomyśli o mnie Antoine, kiedy wróci. – Usiadła obok niego na kanapie. – Wciąż się gryzę, że dałam panu wtedy listę nazwisk. Powinnam była się bardziej starać, żeby utrzymać posadę. Lepiej zarządzać pieniędzmi. Może powinnam bardziej słuchać Isabelle?

– Nie powinna się pani oskarżać. Jestem pewien, że mąż zgodziłby się ze mną. My, mężczyźni, zbyt szybko sięgamy po broń.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

Ubrana w drelichy i czarny sweter, z czarnym szalem przykrywającym włosy przypominała gospodynię domową w wersji szpiegowskiej.

– Ucieczka jest ryzykowna – powiedział.

– Pozostanie w domu prawdopodobnie też.

– Otóż to – zgodził się. – Straszny dylemat.

– Co jest bardziej niebezpieczne? – zapytała Vianne bez ogródek. – Nie spodziewała się odpowiedzi, ale ją usłyszała.

– Prawdopodobnie pozostanie w domu.

Vianne pokiwała głową.

– Pani nie powinna z nią iść.

– Nie mogę puścić jej samej.

Beck myślał przez chwilę. Skinął głową.

– Czy zna pani ziemie pana Frette, pastwiska, gdzie wypasa krowy?

– Tak, ale…

– Za oborą jest ścieżka dla krów. Prowadzi ona do najsłabiej strzeżonego punktu kontrolnego. To długa droga, powinno się jednak udać tam dotrzeć przed godziną policyjną. Gdyby ktoś się zastanawiał… Oczywiście nie znam nikogo takiego.

– Mój ojciec, Julien Rossignol, mieszka w Paryżu przy alei La Bourdonnais pod numerem 57. Gdybym… nie wróciła do domu…

– Dopilnuję, żeby pani córka znalazła się w Paryżu.

– Położę się już. – Wstał, zabierając ze sobą fotografię.

– Boję się panu zaufać – wypaliła.

– Bardziej na miejscu pani obawiałbym się nie zaufać.

Stali blisko siebie w bladym kręgu światła lampy naftowej.

– Czy jest pan dobrym człowiekiem, panie kapitanie?

– Chciałbym tak myśleć, proszę pani.

– Dziękuję za wszystko – powiedziała.

– Proszę mi jeszcze nie dziękować.

Zostawił ją w salonie i wrócił do pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Vianne usiadła i czekała. O siódmej trzydzieści wstała. Bądź dzielna, pomyślała. Chociaż ten jeden raz. I wyszła z domu.

Za stodołą czekała na nią Rachel z dziećmi. Obok stała taczka, w której ułożyła trochę drobiazgów i spiącego Ariego zawiniętego w koce.

– Masz fałszywe papiery? – zapytała Vianne.

Rachel kiwnęła głową.

– Nie wiem, czy są coś warte, ale kosztowały mnie ślubną obrączkę. – Zerknęła na Vianne. Rozumiały się bez słów.

„Jesteś pewna, że chcesz iść z nami?”.

„Jestem pewna”.

– Dlaczego musimy wyjeżdżać? – zapytała szeptem Sarah z przestraszoną miną.

– Córeczko, musisz być silna dla mnie i… – Rachel położyła córce rękę na głowie i spojrzała jej głęboko w oczy. – Pamiętasz naszą rozmowę?

– Dla Ariego i tatusia. – Sarah pociągnęła nosem.

Przeszły na drugą stronę drogi i przez pole ruszyły w kierunku widocznego w oddali rzadkiego zagajnika. Cienkie drzewka nie dawały praktycznie żadnej osłony, lecz Vianne i tak czuła się bezpieczniej. Gdy dotarły do gruntów Frette'a, zapadła już ciemność. Po omacku odszukały krowi trakt prowadzący w głąb lasu. Rachel z trudem pchała taczkę po ścieżce poprzerastanej grubymi, węźlastymi korzeniami. Co chwila koło najeżdżało na przeszkodę i prymitywny wózek omal się nie wywracał. Ari pojękiwał przez sen z kciukiem w buzi. Vianne czuła pot spływający po plecach.

– Przyda mi się trochę gimnastyki – wysapała w pewnej chwili Rachel.

– Uwielbiam wędrówkę po lesie – zawtórowała jej Vianne. – A ty, panno Sarah?

– Nie będę już nosiła tej głupiej gwiazdy – odmruknęła dziewczynka. – Dlaczego nie poszła z nami Sophie? Przecież kocha las. Pamiętacie nasze wyprawy na jagody i grzyby? Zawsze pierwsza je znajdowała.

W prześwicie między drzewami zamrugały światła, a po chwili kobiety ujrzały biało-czarne szlabany i budkę punktu granicznego.

Tylko nieprzyjaciel mógł sobie pozwolić na takie lekceważenie nakazów zaciemnienia. Przed budką stał tylko jeden niemiecki strażnik z pistoletem maszynowym. Sprawdzał dokumenty kilku osób, które czekały na przekroczenie granicy. Jeśli fałszywe papiery Rachel wzbudzą jego podejrzenia, kobieta z dziećmi zostanie aresztowana.

Wszystko działo się bardzo szybko. Vianne zatrzymała się w pewnej odległości od strażnicy.

– Napiszę, jak tylko będę mogła – obiecała Rachel.

Vianne czuła ściskanie w gardle. Gdyby nawet wszystko poszło doskonale, i tak mogły upłynąć lata, zanim dowie się

czegoś o Rachel. Nie wiadomo, co przyniesie życie. W nowym niebezpiecznym świecie nie było pewnego sposobu na utrzymywanie kontaktu z bliskimi.

– Nie patrz na mnie takim wzrokiem – powiedziała Rachel. – Niedługo znowu będziemy razem, popijając szampana i tańcząc przy muzyce jazzowej, którą tak lubisz.

– Uprzedzam – Vianne otarła oczy wierzchem dłoni – że jeśli zaczniesz tańczyć w miejscu publicznym, to się do ciebie nie przyznam.

Sarah pociągnęła ją za rękaw:

– P-proszę pożegnać ode mnie Sophie…

Vianne przyklękła i objęła ją serdecznie. Mogłaby trzymać ją tak w nieskończoność, a tymczasem musiała się zbierać.

Wyciągnęła ręce do Rachel, ale przyjaciółka szybko się cofnęła.

– Jeśli mnie uściszniesz, to się rozpłaczę, a teraz nie mogę.

Vianne opuściła ciężko ramiona.

Rachel ujęła rączki taczki. Razem z dziećmi ruszyła w ostatni etap drogi przez las ku strażnicy. Po chwili wyszła spod osłony drzew i ustawiła się w kolejce do przejścia. Niemiec przepuścił mężczyznę na rowerze i starszą kobietę z ręcznym wózkiem. Rachel stała już prawie na przedzie kolejki, gdy wtem rozległ się ostry gwizdek i krzyk po niemiecku. Strażnik skierował pistolet maszynowy na kolejkę i otworzył ogień.

Ciemność rozświetliły drobne czerwone rozbłyski.

Ra-ta-ta-ta.

Jakaś kobieta krzyknęła, gdy stojący obok niej mężczyzna zwalił się ciężko na ziemię. Kolejka błyskawicznie rozpierzchła się we wszystkie strony.

To stało się tak szybko, że Vianne nie miała czasu zareagować. Zobaczyła, że Rachel i Sarah biegną do niej,

wracając pod osłonę lasu, dziewczynka pierwsza, matka z taczką za nią.

– Tutaj! – Vianne zamachała rękami, jej głos zginął w terkocie broni maszynowej.

Nagle mała padła na kolana.

– Sarah! – krzyknęła Rachel z rozpaczą.

Vianne doskoczyła do dziewczynki, chwyciła ją na ręce, biegiem wróciła do lasu i położyła pod drzewem. Rozpięła guziki płaszczyka.

Pociski przeszyły klatkę piersiową Sarah w kilku miejscach. Krew lała się strumieniami, nie do zatamowania.

Vianne zerwała szal, przycisnęła do ran.

– Co z nią? – wysapała Rachel, dobiegając z taczką. – Czy to krew?! – Rzuciła się obok córki na kolana. Ari zaczął płakać.

Przy strażnicy wszczął się ruch, błyskały latarki, ujadały psy. Widać było nadbiegających żołnierzy.

– Rachel, musimy stąd iść – powiedziała Vianne z naciskiem. – Natychmiast. – Wstała, ślizgając się na mokrej od krwi trawie i wyjęła z taczki płaczącego chłopczyka. Podała go Rachel, która zdawała się nie rozumieć, co się wokół niej dzieje. Vianne wyrzuciła wszystkie rzeczy z taczki i najostrożniej jak mogła ułożyła w niej Sarah, podłożywszy jej kocyk Ariego pod głowę. Chwyciła rączki taczki w zakrwawione dłonie i popchnęła. – Chodź – ponagliła przyjaciółkę. – Możemy ją jeszcze uratować.

Rachel tępo skinęła głową.

Vianne mocno pchała taczkę podskakującą na korzeniach. Serce waliło jej w piersi, w ustach miała metaliczny smak strachu, lecz nie traciła czasu na oglądanie się za siebie. Wiedziała, że Rachel idzie za nią – słyszała donośny płacz Ariego – a jeśli ich śladami podążał ktoś jeszcze, wolała o tym nie wiedzieć.

Dotarły do Le Jardin. Vianne naparła na swój pojazd, pchając pod górę w kierunku stodoły. Kiedy znalazła się w końcu na płaskim skrawku terenu, zachwiała się, a wraz z nią taczka. Sarah jęknęła z bólu.

Rachel postawiła synka na ziemi. Ostrożnie wyjęła córkę z wózka i położyła na trawie. Ari płakał, wyciągając rączki. Chciał się znaleźć z powrotem w bezpiecznych ramionach mamy.

Rachel uklękła obok Sarah i po raz pierwszy zobaczyła straszne rany. Spojrzała na przyjaciółkę wzrokiem tak pełnym bólu i poczucia straty, że tej zamarł oddech. Rachel opuściła głowę i położyła dłoń na bladym policzku córki.

– Czy przeszłyśmy przez granicę? – wymamrotała z trudem Sarah. Strużka krwi wymknęła się z jej sinych ust, ściekając po policzku.

– Tak – zapewniła Rachel. – Tak. Jesteśmy już bezpieczni.

– Byłam dzielna – ciągnęła Sarah z wysiłkiem – prawda?

– Tak. – Rachel ledwo powstrzymywała się od płaczu. – Bardzo dzielna.

– Zimno mi – szepnęła Sarah, drżąc cała. Jej oddech zaczął się rwać.

– Pójdziemy teraz kupić sobie cukierków. I ciastek. Kocham cię, Sarah. I tata cię kocha. Jesteś naszą gwiazdką? – Głos jej się załamał. Zaczęła płakać. – Naszym sercem. Wiesz?

– Powiedz Sophie, że… – Powieki zadrżały leciutko i opadły. Wstrząsnął nią spazm, oddech ustał i znieruchomiała z rozchylonymi wargami.

Vianne uklękła obok ciała dziewczynki. Szukała pulsu, lecz na próżno. Cisza zdawała się ogłuszać. Vianne myślała o dziecięcym śmiechu, bez którego świat będzie taki pusty. Znała śmierć i rozpacz tak straszną, że rozrywała duszę i łamała człowieka na zawsze. Nie pojmowała, jak Rachel jest

w stanie oddychać. W innych okolicznościach usiadłaby przy niej, wzięła za rękę i pozwoliła płakać. Objęłaby ją. Pocieszała. Albo przeciwnie, siedziałaby w milczeniu. Poruszyłaby niebo i ziemię, by zaspokoić potrzeby przyjaciółki, ale nie teraz. Ponieważ – i był to dodatkowy cios – nie miały czasu na rozpacz.

Vianne musiała być silna, dla Rachel.

– Musimy ją pochować – powiedziała tak łagodnie jak zdołała.

– Ona boi się ciemności.

– Moja mama z nią będzie – odparła Vianne. – I twoja. Zabierz teraz Ariego do piwnicy. Musicie się natychmiast ukryć. Ja się zajmę Sarah.

– Co…

Vianne wiedziała, że Rachel nie pyta, co ma robić, tylko jak żyć dalej po niewyobrażalnej stracie, jak zabrać jedno dziecko i zostawić drugie, jak oddychać po zduszonych słowach pożegnania.

– Nie mogę jej opuścić.

– Musisz. Dla Ariego. – Vianne wstała powoli i czekała.

Rachel odetchnęła, tłumiąc szloch, i nachyliła się, by pocałować Sarah w czoło.

– Zawsze będę cię kochała – wyszeptała przez łzy.

Po chwili wstała chwiejnie i wzięła synka na ręce. Ścisnęła go tak mocno, że znowu zaczął płakać.

Vianne ujęła jej dłoń i zaprowadziła do stodoły.

– Przyjdę po ciebie, jak tylko zrobi się bezpiecznie.

– Bezpiecznie – powtórzyła Rachel głucho, oglądając się na otwarte wrota stodoły.

– Na dole jest latarnia. I żywność – powiedziała Vianne, przepchnęła samochód i otworzyła klapę.

Z Arim w objęciach Rachel zaczęła ostrożnie schodzić po drabinie. Po chwili znikła w ciemności. Vianne zatrzasnęła klapę i z wysiłkiem przemieściła renaulta na poprzednie miejsce. Potem poszła pod krzew bzu zasadzony trzydzieści lat temu przez mamę. Przez te wszystkie lata rozrósł się szeroko. W cieniu jego rozłożystych gałęzi kryły się niemal niewidoczne trzy małe, białe krzyże. Dwa dla poronień i jeden dla synka, który żył niespełna tydzień.

Rachel była tu z nią przy każdym pogrzebie. Teraz Vianne miała pochować jej córkę, najlepszą przyjaciółkę Sophie. Jakiż dobry Bóg mógł pozwolić na coś takiego?

23

Tuż przed świtem Vianne siedziała obok świeżo usypanego wzgórka ziemi. Pragnęła się modlić, ale wiara zdawała się dziwnie odległa, jak pozostałość po życiu całkiem innej kobiety.

Podniosła się ociężale.

Niebo zaróżowiło się i przybrało barwę lawendy. Widok był ironicznie piękny. Vianne weszła na tylne podwórko. Zdjęła pokrwawione ubranie i umyła się przy pompie. Ściągnęła ze sznurka lnianą nocną koszulę, założyła i weszła do domu.

Była tak straszliwie znużona i rozbita wewnętrznie, że wiedziała, iż nie ma sensu się kłaść. Zapaliła lampę naftową i usiadła na kanapie. Przymknęła oczy, usiłując wyobrazić sobie obok Antoine'a. Co powiedziałaby mu teraz? Nie wiem, co jest dobre, a co złe. Chcę chronić Sophie i zapewnić jej bezpieczeństwo, ale na co się to zda, jeśli będzie musiała dorastać w świecie, gdzie ludzie znikają bez śladu, ponieważ modlą się do innego Boga? A jeśli mnie aresztują…

Otworzyły się drzwi do pokoju gościnnego, Beck podszedł do niej. Był w mundurze, świeżo ogolony, i instynktownie pojęła, że czekał na jej powrót. Martwił się o nią.

– Wróciła pani – stwierdził.

Była pewna, że nie zdołała zmyć z siebie wszystkich śladów ziemi i krwi. Milczała, wyczuwając, że on czeka, by na niego spojrzała, powiedziała, co się stało, ale siedziała z opuszczoną głową. Bała się, że gdy otworzy usta, zacznie krzyczeć. Jeśli spojrzy na niego, to zaraz się rozpłacze i zapyta, jak to jest, że

można strzelać po ciemku do niewinnych dzieci, które nie zrobiły nic złego.

– Mamo? – Sophie weszła do pokoju, pocierając zaspane oczy. – Nie było cię w łóżku, kiedy się obudziłam – powiedziała. – Przestraszyłam się, że zostałam sama…

– Przepraszam cię, Sophie. – Klasnęła dłońmi o uda.

– Muszę już iść – ocknął się Beck. – Do widzenia.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Sophie podeszła do matki. Z podkrążonymi oczami sprawiała wrażenie niewyspanej.

– Boję się, mamusiu. Czy coś się stało?

Vianne na moment zamknęła oczy. Będzie musiała przekazać córce te okropne wieści i co potem? Przytuli ją, będzie głaskała po głowie i pozwoli jej płakać, a sama będzie musiała być silna. Była już bardzo zmęczona byciem silną.

– Chodź, kochanie – powiedziała, podnosząc się. – Pośpijmy trochę dłużej, skoro możemy?

Tego popołudnia Vianne spodziewała się zobaczyć w miasteczku oddziały wojska, esesmanów, na rynku policyjne budy, psy szarpiące się na smyczach, jednym słowem coś, co sygnalizowałoby kłopoty.

Tymczasem nie zauważyła niczego wyjątkowego. Carriveau wyglądało jak zwykle o tej porze dnia.

Obie z Sophie spędziły cały dzień, wystając w kolejkach, choć Vianne wiedziała, że to strata czasu, potem przechadzały się uliczkami. Początkowo Sophie nie przestawała mówić. Vianne nie zwracała uwagi na jej paplaninę. Jak mogłaby się skupić na rozmowie, skoro Rachel i Ari ukrywali się w jej piwnicy, a Sarah nie żyła?

– Czy możemy już wrócić do domu, mamo? – zapytała Sophie o trzeciej po południu. – Nic więcej nie dostaniemy. Tylko tracimy czas.

Beck musiał się pomylić. Albo po prostu był przesadnie ostrożny.

O tej godzinie nie zaczną chyba aresztować Żydów. Każdy wiedział, że aresztowań nie dokonywano w porze posiłków. Niemcy byli punktualni i skrupulatnie przestrzegali zwyczajów, zwłaszcza pory obiadu. Tak kochali przecież francuskie potrawy i wina.

– Dobrze, kochanie. Wracamy do domu.

Wyszły z miasteczka. Vianne nie traciła czujności, ale droga była dziś bardziej pusta niż zazwyczaj. Na lotnisku panował spokój.

– Czy mogę pobawić się z Sarah? – zapytała Sophie, podbiegając do furtki.

Sarah.

Vianne spojrzała na córkę.

– Jesteś smutna – stwierdziła Sophie.

– Tak, jestem – przyznała Vianne.

– Myślisz o tacie?

Vianne otworzyła usta i znów je zamknęła.

– Chodź ze mną – powiedziała w końcu i pociągnęła ostro Sophie za sobą pod jabłonkę. Usiadły na trawie.

– Wystraszyłaś mnie, mamo.

Vianne czuła, że fatalnie sobie poczyna i zamiast uspokajać, niepotrzebnie niepokoi małą, ale nie miała pojęcia, jak jej o wszystkim powiedzieć. Sophie była zbyt dorosła na kłamstwa i zbyt niedojrzała, żeby poznać brutalną prawdę. Vianne nie mogła powiedzieć jej bez ogródek, że Sarah została zastrzelona przy próbie przejścia przez granicę. Przecież córka mogła się przed kimś wygadać.

– Mamo?

– Sarah wczoraj umarła – powiedziała łagodnie, biorąc Sophie za rękę.

– Umarła?! Przecież nie chorowała…

– Czasami tak się dzieje. – Vianne pilnowała się, by mówić pewnym tonem. – Bóg powołuje nas do siebie nieoczekiwanie. Sarah poszła do nieba. Będzie tam ze swoją i twoją babcią.

– Myślisz, że jestem głupia? – Sophie wyrwała matce rękę, zerwała się z miejsca i odskoczyła o dwa kroki.

– Co ty mówisz?

– Sarah jest Żydówką.

W oczach Sophie nie było naiwności, niewinności, nadziei. Nie było też żalu. Płonął w nich czysty, gorący płomień gniewu.

Lepsza matka potrafiłaby premienić ten gniew w poczucie straty, z którego później mogłyby wyrosnąć dobre wspomnienia. Czuła jednak wewnątrz zbyt wielką pustkę, żeby stanąć na wysokości zadania. Przychodziły jej na myśl same banały, kłamliwe i bezużyteczne.

Oderwała od brzegu rękawa ozdobną lamówkę.

– Widzisz to czerwone pasemko na gałęzi nad naszymi głowami?

Sophie podniosła głowę. Wełna straciła już trochę koloru, spłowiała, ale nadal była dobrze widoczna wśród zieleni listowia.

Dziewczynka skinęła głową.

– Przywiązałam ją tam na pamiątkę po tacie. Ty także możesz zawiązać tę tasiemkę dla Sarah. Za każdym razem, gdy tu przyjdziemy, będziemy mogły ją wspomnieć.

– Ale tata żyje, prawda? – zaniepokoiła się Sophie. – A może mnie okłamałaś…

– Nie. Nie! Tych, za którymi tęsknimy, wspominamy równie często jak zmarłych, czyż nie?

Sophie wzięła lamówkę do ręki. Wspięła się na palce i zawiązała ją na tej samej gałęzi, trochę poniżej miejsca, gdzie wcześniej jej matka zawiesiła swoją wełnę.

Vianne pragnęła, by Sophie wróciła do niej, przytuliła się, szukając pociechy, ale córka stała nieruchomo, oczami pełnymi łez wpatrując się w skrawek tkaniny.

– Z czasem będzie ci łatwiej – wymamrotała Vianne jedyne słowa, jakie jej przyszły do głowy.

– Nie wierzę ci. – Sophie w końcu na nią spojrzała. – Idę się położyć.

Vianne skinęła głową. W zwykłych okolicznościach czułaby się nieswojo po takiej rozmowie z córką, uznałaby, że zawiodła jako matka, ale teraz tylko westchnęła i podniosła się z trawy. Otrzepała spódnicę i ruszyła do stodoły. Przepchnęła starego renaulta i otworzyła klapę do piwnicy.

– Rachel? To ja.

– Dzięki Bogu – doszedł ją szept z ciemności. Rachel wspięła się po chwiejnej drabince z synkiem na ręku.

– Co się stało? – zapytała bezbarwnym tonem.

– Nic.

– Nic?

– Byłam w miasteczku. Nie działo się nic niezwykłego. Może Beck przesadził z ostrożnością, mimo to uważam, że powinnaś przeczekać w piwnicy jeszcze jedną noc.

Twarz Rachel była mizerna i zmęczona.

– Potrzebuję pieluch. I muszę się umyć. Ja i Ari śmierdzimy. – Mały zaczął płakać. Rachel odgarnęła mu wilgotne włosy ze spoconego czoła i zamruczała uspokajająco.

Obie z Vianne wyszły ze stodoły i ruszyły do domu Rachel.

Były już prawie przy drzwiach, gdy pod dom zajechał wóz francuskiej policji. Wysiadł z niego Paul z karabinem w ręku.

– Czy pani Rachel de Champlain? – zapytał urzędowym tonem.

– Przecież mnie znasz – odparła zdziwiona.

– Będzie pani deportowana. Proszę ze mną.

– Nie zabierajcie mi syna… – zaczęła Rachel, mocniej przyciskając Ariego do piersi.

– Nie ma go na liście – powiedział policjant.

– Nie możesz tego zrobić, Paul – zawołała Vianne, szarpiąc mężczyznę za rękaw. – Ona jest Francuzką!

– Jest Żydówką – odparł zimno, kierując broń na Rachel. – Ruszać się.

Rachel zaczęła coś mówić, ale Paul ją uciszył i szarpnąwszy za ramię, zmusił, by usiadła na tylnym siedzeniu auta.

Vianne zamierzała zostać tam, gdzie stała – bezpieczna – ale zanim się obejrzała, biegła już obok samochodu, waląc pięściami w maskę i krzycząc, żeby Paul wpuścił ją do środka. Policjant zahamował, kazał jej usiąść z tyłu i wcisnął gaz.

– Wysiądź – powiedziała Rachel martwym głosem. – To nie miejsce dla ciebie.

– To nie jest miejsce dla nikogo – odpaliła Vianne.

Jeszcze przed tygodniem zapewne pozwoliłaby zabrać Rachel. Odwróciłaby się z żalem i poczuciem winy, to jasne, ale też z przekonaniem, że chronienie Sophie jest najważniejsze.

Wczorajsza noc ją zmieniła. Nadal czuła się krucha i wystraszona, może nawet bardziej, lecz teraz zapłonął w niej gniew.

Na uliczkach Carriveau stanęły blokady. Pod stację kolejową podjeżdżały policyjne budy, z których wysypywali się ludzie z żółtymi gwiazdami. Policjanci kierowali ich ku czekającym już bydlęcym wagonom. Na peronach tłoczyły się setki ludzi zwiezionych najwyraźniej ze wszystkich gmin w okolicy.

Paul zatrzymał wóz i otworzył drzwi. Vianne i Rachel z Arim znalazły się naraz w gęstym tłumie kobiet, starców i dzieci zmierzających na perony.

Lokomotywa sapała i wypuszczała kłęby dymu. Tuż obok niej stało dwóch niemieckich oficerów. Jednym z nich był Beck z pejczem w ręku. Vianne nie wierzyła własnym oczom. Niemiec naprawdę trzymał pejcz.

Ruchem kierowała francuska policja. Krzykiem i popychaniem mundurowi zmuszali ludzi do ustawiania się w szeregu i wsiadania do bydlęcych wagonów, kobiety i dzieci do jednych, mężczyźni do innych.

Na przedzie kolejki jakaś kobieta z dzieckiem rzuciła się do ucieczki. Policjant strzelił jej w plecy. Padła martwa na peron, niemowlę potoczyło się pod nogi oprawcy.

Rachel na ten widok stanęła jak wryta.

– Zabierz mojego syna – wyszeptała do Vianne. – Weź go. Ocal.

Tłum napierał.

Vianne nie wahała się ani chwili. Już wiedziała, że nikt nie może być obojętny, bo na to jest za późno. Obawiała się ryzykować życie Sophie, ale jeszcze bardziej bała się tego, że córka będzie wyrastała w świecie, w którym dobrzy ludzie nie kiwnęli palcem, by powstrzymać zło, a dobre kobiety odwróciły się plecami do przyjaciółki w potrzebie. Wzięła chłopczyka na ręce.

– Ej, ty! – Policjant pchnął Rachel w plecy lufą karabinu tak mocno, że zachwiała się i poleciała do przodu. – Rusz się!

Obejrzała się na Vianne, z jej oczu wyzierało całe niewypowiedziane uniwersum ich przyjaźni, wszystkie wspólne sekrety, obietnice i marzenia, które uczyniły je bliskimi sobie jak siostry.

– Idź już stąd! – krzyknęła ochryple. – Idź.

Vianne odwróciła się, nim jeszcze dotarło do niej, co robi, i zaczęła torować sobie drogę przez tłum, byle dalej od peronów, policjantów i psów, od smrodu strachu, lamentów kobiet i dzieci. Nie zwalniała kroku, póki nie wybiegła ze stacji. Dopiero wtedy, tuląc mocno Ariego, odwróciła się i spojrzała.

Rachel zatrzymała się w czarnym otworze wagonu, wciąż umazana krwią córki, walcząc z napierającym tłumem i rozglądając się gorączkowo. Gdy dojrzała Vianne, podniosła zakrwawioną rękę i znikła w mrocznym wnętrzu, wepchnięta tam przez kolejne kobiety. Drzwi wagonu zasunęły się z hukiem.

Vianne zwaliła się ciężko na kanapę. Ari zanosił się płaczem, miał mokrą pieluchę i cuchnął moczem. Powinna wstać, przewinąć go, coś zrobić, ale nie była w stanie. Czuła, że się dusi, przygniatało ją poczucie niewyobrażalnej straty.

– Co tu robi Ari? – zapytała Sophie, wchodząc do pokoju. Wydawała się przestraszona. – Gdzie jest pani Champlain?

– Wywieźli ją – odrzekła Vianne drewnianym głosem. Nie miała siły wymyślać kolejnych kłamstw, zresztą po co?

Nie była w stanie ochronić córki przed złem tego świata.

Nie było sposobu.

Sophie dorośnie, wiedząc stanowczo zbyt wiele. Pozna strach, śmierć, stratę i nienawiść.

– Rachel urodziła się w Rumunii – powiedziała. – I była Żydówką. To jej cała zbrodnia. Rządu Vichy nie interesuje, że mieszkała we Francji przez dwadzieścia pięć lat i była żoną Francuza, który walczył za swój kraj. Wywieźli ją.

– Nasz rząd? Myślałam, że to robią hitlerowcy.

– Dzisiaj robiła to francuska policja. – Vianne ciężko westchnęła. – Ale Niemcy też tam byli.

– Dokąd ją wywieźli?

– Nie wiem.

– A czy wróci po wojnie?

Tak. Nie. Mam nadzieję – jakiej odpowiedzi powinna udzielić dobra matka?

– Mam nadzieję.

– Co stanie się z Arim? – drążyła Sophie.

– Zostanie z nami. Nie było go na liście. Rząd zapewne uważa, że dzieci mogą się same wychować.

– Ale mamo, co my…

– Teraz zrobimy? – dokończyła Vianne. – Co będzie dalej? Nie mam pojęcia. – Znowu westchnęła. – Na razie popilnuj go, a ja pójdę do domu Rachel po kołyskę, ubranka i pieluchy.

– A co z kapitanem Beckiem? – zapytała Sophie, gdy Vianne była już przy drzwiach.

Vianne zamarła. Przypomniała sobie, że widziała go na peronie z pejczem w ręku, którym wymachiwał, zapędzając kobiety i dzieci do bydlęcych wagonów.

– Tak – powtórzyła jakby sobie. – Co z kapitanem Beckiem?

Vianne przeprała w balii poplamione ziemią i krwią ubrania i rozwiesiła je na sznurze w ogrodzie, starając się nie widzieć, jak czerwona była woda, gdy wylewała ją na trawę. Potem przygotowała kolację dla Ariego i Sophie, nawet nie pamiętając, co im dała, i położyła dzieci wcześnie spać. Kiedy w domu zrobiło się ciemno i cicho, rozpłakała się, nie mogąc dłużej kontrolować emocji. Była zdruzgotana, wściekła, zrozpaczona tak, że chciało jej się wyć.

Wyszła z domu, odrywając od kołnierzyka bluzki ozdobną lamówkę i ruszyła chwiejnie w stronę jabłonki. Pamiętała, kiedy dostała od Rachel tę bluzkę. Trzy lata temu.

W Paryżu wszyscy to noszą, powiedziała wtedy przyjaciółka.

Gałęzie jabłoni wyciągały się do niej jak ramiona. Drżącymi palcami zawiązała tasiemkę na tej samej gałęzi, na której wisiały już czerwona nitka dla Antoine'a i tasiemka dla Sarah. Potem cofnęła się o krok.

Sarah.

Rachel.

Antoine.

Kolory się rozmazały i Vianne stwierdziła, że płacze.

– Proszę Cię, Boże – zaczęła się modlić, patrząc na poruszane wiatrem skrawki materiału, ale urwała. Co znaczą modlitwy, kiedy bliscy odeszli?

Usłyszała warkot motocykla zatrzymującego się przy Le Jardin.

– Madame? – usłyszała po chwili.

– Gdzie pański pejcz, kapitanie? – obróciła się ku niemu.

– Była tam pani?

– Jakie to uczucie, smagnąć pejczem Francuzkę?

– Nie przypuszcza pani chyba, że mógłbym to zrobić? Sama myśl o tym wywołuje we mnie obrzydzenie.

– A jednak był pan tam.

– Tak jak i pani. Ta wojna nieraz pcha nas tam, gdzie nie chcemy być.

– Nie mówi pan chyba o Niemcach? – spytała ironicznie.

– Próbowałem jej pomóc – powiedział.

Gniew Vianne ustąpił miejsca żalowi. Rzeczywiście, Beck próbował ocalić Rachel. Gdyby go posłuchały, gdyby Rachel z synkiem nieco dłużej ukrywała się w piwnicy… Vianne zachwiała się i omal nie upadła. Beck podtrzymał ją za ramię.

– Powiedział pan, że powinna ukryć się rano… Cały dzień przesiedziała w stodole, w tej okropnej piwnicy… Po południu pomyślałam, że nic się już nie wydarzy… Byłam w Carriveau, wszystko wydawało się takie zwyczajne… – mówiła z przerwami.

– Von Richter zmienił godzinę wywózki. Nie podstawili na czas wagonów.

Wagony.

Uniesiona w geście pożegnania dłoń Rachel.

– Dokąd ich wywieźli? – zapytała cichym głosem.

– Do obozu pracy w Niemczech.

– Ukrywałam ją przez cały dzień – powtórzyła Vianne bezradnie.

– Wehrmacht nie sprawuje już kontroli, tylko gestapo i SS. A to nie są żołnierze.

– Co więc pan robił na stacji?

– Wykonywałem rozkazy. Gdzie są jej dzieci?

– Jeden z pańskich rodaków strzelił Sarah w plecy na granicy.

– O Boże – szepnął Beck.

– Jej syn jest ze mną. Dlaczego nie było go na liście?

– Urodził się we Francji i nie ma czternastu lat. Nie wywożą francuskich Żydów. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Na razie.

– Przyjdą po Ariego? – zapytała przestraszona.

– Jestem pewien, że niedługo zaczną wywozić wszystkich Żydów bez względu na wiek czy miejsce urodzenia. A kiedy do tego dojdzie, przechowywanie jakiegokolwiek Żyda w domu będzie niebezpieczne.

– Deportacje, dzieci zostawiane samym sobie… – wymamrotała ze zgrozą. Widziała to, a jednak nie potrafiła uwierzyć. – Przyrzekłam Rachel, że się nim zaopiekuję. Czy pan mnie wyda?

– Nie jestem potworem, Vianne.

Po raz pierwszy użył jej imienia.

– Pragnę panią chronić. – Postąpił krok bliżej.

Nie mógł powiedzieć niczego gorszego. Od lat czuła się samotna, a teraz naprawdę taka była.

Musnął niemal pieszczotliwie jej ramię, a ona poczuła to w całym ciele. Niezdolna sobie pomóc, podniosła na niego wzrok.

Stał tak blisko, że mógłby ją pocałować. Wystarczyło najlżejsze zaproszenie z jej strony – westchnienie, skinienie, dotyk – i porwałby ją w ramiona. Przez moment zapomniała, kim jest i co się dzisiaj stało, pragnęła jedynie pociechy, ukojenia. Przysunęła się do niego odrobinę, poczuła na wargach jego oddech i wtedy sobie przypomniała wszystko naraz, aż buchnął gniew i odepchnęła go tak mocno, że z trudem utrzymał równowagę.

Otarła wargi, jakby chcąc z nich zetrzeć wspomnienie jego oddechu.

– Nie możemy – szepnęła.

– Oczywiście.

Kiedy jednak spojrzeli na siebie, zrozumieli, że jest coś gorszego od pocałunku z niewłaściwą osobą.

To pragnienie tego pocałunku.

24

Lato się skończyło. Upalne dni ustąpiły miejsca chmurom i deszczowi. Isabelle, skupiona na kolejnym przerzucie pilotów, ledwie zauważyła zmianę pogody.

Pewnego chłodnego październikowego popołudnia wysiadła z zatłoczonego pociągu z bukietem jesiennych kwiatów w ręku.

Szła bulwarem, którym jechały głośno trąbiące niemieckie pojazdy. Żołnierze maszerowali sprężyście między wychudzonymi, przemykającymi ukradkiem paryżanami, trzepotały flagi ze swastyką. Isabelle zbiegła do metra.

Na peronie tłoczyli się ludzie. Ściany były oblepione plakatami demonizującymi Żydów i Anglików oraz zalecającymi führera jako lekarstwo na wszystko.

Raptem na górze zawyły syreny alarmowe. Nalot. Światła pogasły, pogrążając wszystko w ciemności. Ludzie wokół mamrotali, starzy kasłali, dzieci płakały. Z oddali dobiegły odgłosy wybuchów. Alianci pewnie znów bombardowali Boulogne-Billancourt, czemu trudno było się dziwić. Fabryka Renaulta produkowała ciężarówki dla Niemców.

Kiedy w końcu rozległ się sygnał oznajmiający koniec nalotu, nikt się nie poruszył, dopóki nie włączono prądu i nie zapłonęły światła.

Isabelle już miała wsiąść do wagonu metra, gdy zabrzmiał przeraźliwy gwizdek.

Zamarła. Po peronie ławą kroczyli Niemcy w towarzystwie francuskich policjantów, szwargocząc między sobą i wskazując

na ludzi, którym Francuzi kazali klękać na peronie.

Ujrzała otwór skierowanej ku niej lufy.

– Dokumenty – warknął Niemiec.

Ściskając kwiaty, Isabelle nerwowo gmerała w torebce. W bukiecie była ukryta wiadomość dla Anouk. Sprawdzenie nie było, rzecz jasna, niczym niezwykłym. Od rozpoczęcia zwycięskiej kampanii w Afryce Północnej Niemcy bezustannie kontrolowali przechodniów na ulicach, w sklepach i kościołach, na dworcach metra i kolei. Nikt nie mógł czuć się bezpieczny. W końcu podała Niemcowi fałszywe dokumenty.

– Spotykam się na obiedzie z przyjaciółką mojej matki – wyjaśniła.

Do Niemca dołączył Francuz i zerknął na dowód tożsamości. Pokręcił głową, Niemiec oddał jej dokumenty i kazał odejść.

Isabelle uśmiechnęła się miło, podziękowała i zdążyła wskoczyć do wagonu tuż przed zamknięciem drzwi.

Spokój powrócił, gdy wysiadła w Szesnastej Dzielnicy. Wilgotna mgła opadła na ulice, zacierając kontury budynków i żeglujących po Sekwanie barek. Dźwięki wydawały się głośniejsze, echa zwielokrotnione. Słychać było regularne głuche łupnięcia; pewnie chłopcy grali gdzieś na ulicy w piłkę. Zajęczała przeciągle syrena na którejś z barek.

Isabelle skręciła za róg i weszła do bistra, jednego z niewielu jeszcze czynnych w tej okolicy. Porywisty wiatr szarpał markizą nad wejściem. Minęła puste stoliki i podeszła do kontuaru w głębi pomieszczenia, gdzie zamówiła zwyczajową kawę z mlekiem, a otrzymała kawę z żołędzi z zabielaczem.

– Juliette? To ty?

Zobaczyła Anouk i powiedziała z uśmiechem:

– Gabrielle, jak miło cię widzieć.

Podała tamtej bukiet kwiatów.

Anouk także zamówiła kawę. Chwilę stały przy kontuarze, siorbiąc namiastkę kawy.

– Rozmawiałam wczoraj z wujem Henrim. Tęskni za tobą.

– Źle się czuje? – zapytała Isabelle z niepokojem.

– Nie, nie. Wprost przeciwnie. Planuje przyjęcie w następny wtorek wieczorem. Prosił mnie, żebym przekazała ci zaproszenie.

– Mam mu zanieść prezent od ciebie?

– Nie, ale przekaż mu ode mnie list. Proszę, mam już napisany.

Isabelle szybko wsunęła kopertę za podszewkę torebki.

Anouk patrzyła na nią w milczeniu. Przybyło jej zmarszczek na policzkach i czole, oczy miała podkrążone. Życie w podziemiu zaczynało coraz bardziej dawać się jej we znaki.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Isabelle.

– Tak. – Anouk uśmiechnęła się ze znużeniem, ale szczerze. – Wczoraj wieczorem widziałam Gaëtona. Będzie na spotkaniu w Carriveau.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Isabelle, jesteś osobą, która nie potrafi niczego ukryć. Każda myśl i uczucie są natychmiast widoczne w twoich oczach. Czy zdajesz sobie sprawę, ile razy mi o nim wspominałaś?

– Naprawdę? Wydawało mi się, że nie zdradzam się z niczym.

– Właściwie to miłe, bo przypomina mi, o co walczymy. O zwykłe sprawy, o dziewczynę i chłopaka i ich przyszłość. – Ucałowała Isabelle w oba policzki. Potem szepnęła: – On też cię często wspomina.

Szczęśliwie dla Isabelle tego październikowego dnia w Carriveau padało. Nikt więc nie zwracał na nikogo uwagi,

nawet Niemcy.

Isabelle nasunęła na głowę kaptur i dla osłony przed wiatrem przytrzymywała kołnierz płaszcza pod brodą. Mimo to deszcz siekł ją po twarzy i ściekał po szyi, gdy wyciągała z wagonu rower i prowadząc go za ramę, szybkim krokiem szła peronem.

Wskoczyła na siodełko i popedałowała do centrum miasteczka, trzymając się bocznych uliczek. Przy takiej pogodzie nie było na nich zbyt wielu przechodniów. Trochę kobiet z dziećmi stało w kolejkach, moknąc na ulewnym deszczu. Niemcy kryli się w suchych i ciepłych pomieszczeniach.

Jazda do hotelu Bellevue zmęczyła Isabelle. Zsiadła, przypięła rower do latarni i weszła do środka.

Brzęk dzwonka nad drzwiami zaanonsował jej przybycie głównie grupce niemieckich oficerów, którzy rozparci w skórzanych fotelach sączyli popołudniową kawę, przegryzając croissantami.

– Jest pani całkiem przemoczona, panienko – zagadnął jeden z nich, odkładając na talerzyk złotawy *pain au chocolat*.

– My, Francuzi, jesteśmy uodpornieni na wilgoć od jedzenia żab.

Roześmiali się na ten marny żart.

Nie przestając się miło uśmiechać, Isabelle minęła ich i podeszła do kontuaru. Kilkakrotnie nacisnęła dzwonek przywołujący obsługę.

Z pomieszczenia za recepcją wyszedł Henri z tacą filiżanek kawy. Na jej widok ukłonił się uprzejmie.

– Momencik, madame. – Szybkim krokiem podszedł do stolika w rogu, przy którym siedzieli dwaj esesmani. – Madame Gervaise – powiedział, wracając do Isabelle – witamy ponownie. Miło znów panią widzieć. Pokój jest oczywiście gotowy. Proszę za mną.

Skinęła głową i poszła za nim wąskim korytarzem na pierwsze piętro. Henri włożył klucz do zamka, przekręcił i otworzył drzwi prowadzące do małego pokoju z pojedynczym łóżkiem, nocną szafką i lampką. Isabelle weszła do środka, Henri obcasem zamknął drzwi i chwycił ją w objęcia.

– Isabelle, tak się cieszę – rzekł, ściskając ją serdecznie. – Odkąd stworzyli Romainville… wiecznie się zamartwiam.

Zsunęła kaptur i skinęła głową. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy hitlerowcy zaczęli ze zdwojoną zaciekłością polować na sabotażystów i buntowników, jak ich nazywali. Zaczęli też wreszcie dostrzegać rolę kobiet w ruchu oporu i osadzili dwieście z nich w obozie w Romainville.

Isabelle zdjęła płaszcz i położyła go w nogach łóżka. Zza nadprutej podszewki wyjęła kopertę i podała Henriemu.

– Proszę – powiedziała, wręczając też pieniądze otrzymane od MI9. Hotel Bellevue, którego był współwłaścicielem, należał do najlepszych kryjówek, jakie stworzyła grupa Isabelle. A ona miała frajdę, że Anglicy, Amerykanie i bojownicy ruchu oporu ukrywali się tuż pod nosem Niemców. Dziś wieczorem to ona miała być gościem tego malutkiego pokoiku.

Usiadła na łóżku przy wąskiej szafce.

– Spotkanie odbędzie się dzisiaj?

– O jedenastej wieczorem. W porzuconej stodole na farmie Angelera.

– Czego ma dotyczyć?

– Tego nie wiem. – Przysiadł na skraju łóżka. Po jego minie poznała, że zamierza powiedzieć coś poważnego i jęknęła w duchu.

– Słyszałem, że Niemcy koniecznie chcą znaleźć Słowika. Chodzą słuchy, że próbują przeniknąć do siatki organizującej przerzuty.

– Wiem o tym, Henri. – Uniosła jedną brew i spytała: – Nie zamierzasz, mam nadzieję, mówić mi, że to niebezpieczne.

– Chodzisz za często, Isabelle. Ile już grup przeprowadziłaś?

– Dwadzieścia cztery.

– Nic dziwnego, że tak wściekle chcą cię dostać. – Henri jeszcze bardziej się zasępił. – Ponoć jest nowy kanał przerzutowy przez Marsylię i Perpignan, też dobrze im idzie. Ale to oznacza kłopoty, zobaczysz.

Zdziwiła się, jak miło było jej usłyszeć wreszcie własne imię. Troska Henriego też była przyjemna. Miło, choćby na krótko, poczuć się znowu Isabelle Rossignol. Porozmawiać z kimś, kto ją znał. Tyle czasu spędzała w ukryciu, wśród obcych sobie ludzi.

Nie zamierzała jednak o tym rozmawiać. Kanał przerzutowy był bezcenny i wart ryzyka, co by nie mówić.

– Masz oko na moją siostrę, prawda?

– Tak.

– Szkop nadal u niej kwateruje?

Henri uciekł wzrokiem.

– O co chodzi?

– Vianne została wyrzucona z posady.

– Jak to? Dlaczego? Przecież dzieci ją lubią, jest dobrą nauczycielką.

– Słyszałem, że postawiła się gestapowcowi.

– To do niej niepodobne. Zatem nie pobiera pensji… Z czego żyje?

– Chodzą plotki… – Henri miał nieszczęśliwą minę.

– Plotki?

– O niej i tym szwabie.

Przez całe lato Vianne ukrywała w Le Jardin synka Rachel. Nigdzie z nim nie wychodziła, nawet do ogrodu. Nie miał żadnych dokumentów, nie potrafiłaby udowodnić, że jest kimś innym niż Arielem de Champlainem. Musiała zostawiać z malcem Sophie, gdy szła po zakupy, dlatego każda wyprawa do miasteczka kosztowała ją mnóstwo nerwów. Powtarzała każdemu, kto się nawinął – sklepikarzom, zakonnicom, znajomym – że Rachel została wywieziona z obojgiem swoich dzieci.

Tylko tyle mogła zrobić, by ochronić siebie i chłopca.

Po długim dniu przestanym w kolejkach po to, by usłyszeć, że wszystko już sprzedane, wracała do domu przygnębiona. Chodziły słuchy o kolejnych łapankach i deportacjach w całej Francji. Tysiące Żydów osadzono w obozach internowania.

Powiesiła mokrą pelerynę na zewnętrznym wieszaku przy drzwiach. Nie miała wielkiej nadziei, że wyschnie do jutra, ale przynajmniej nie zachlapie podłogi w całym mieszkaniu. Zdjęła zabłocone kalosze i boso weszła do domu. Sophie jak zwykle czekała na nią za progiem.

– Czuję się świetnie – uprzedziła Vianne zmęczonym głosem.

– To tak jak my – odrzekła córka z powagą.

– Wykąpiesz Ariego, gdy będę robiła kolację?

Sophie wzięła malucha na ręce i poszła do łazienki.

Vianne zdjęła z głowy chustkę i odwiesiła na oparcie krzesła. Odstawiła koszyk w kąt kuchni i zeszła do spiżarni po kiełbasę, kilka przywiędłych ziemniaków i cebulę.

Rozgrzała żeliwny rondel, nalała kilka kropel bezcennej oliwy i włożyła pokrojoną w plasterki kiełbasę.

Drewnianą łopatką przewracała ją na tłuszczu, by dobrze zrumieniła się z każdej strony. Następnie dodała pokrojone w kostkę ziemniaki, plastry cebuli i ząbek czosnku. Po chwili w powietrzu rozszedł się jego ostry zapach.

– Pachnie wyśmienicie.

– Pan kapitan – powiedziała cicho. – Nie słyszałam pańskiego motocykla.

– Panna Sophie wpuściła mnie do domu.

Vianne przykryła rondel i dopiero wtedy odwróciła się do Becka. Oboje zawarli milczącą umowę, że tamten wieczór w ogrodzie nigdy się nie wydarzył. Żadne z nich o nim nie wspominało, choć nieustannie im towarzyszył.

Od tamtej pory w ich kontaktach nastąpiła subtelna zmiana. Beck prawie co wieczór jadł z nimi kolację przyrządzaną głównie z produktów, które przynosił do domu. Nigdy nie było tego wiele, ot, pęto kiełbasy, woreczek mąki, gruby plaster szynki. Często wspominał o żonie i dzieciach, wypytując Vianne o Antoine'a. Wszystkie ich słowa miały na celu wzmocnienie nadpękniętego już muru, jaki powinien ich dzielić. Kapitan niekiedy proponował, że wyśle paczkę dla Antoine'a, na co się chętnie zgadzała, przygotowując mężowi wszystko, co mogło mu się przydać: trochę konfitur własnej roboty, papierosy zostawione przez Becka, zimowe rękawice.

Pilnowała się, żeby nigdy nie zostawać z kapitanem sam na sam. To było największym wyzwaniem. Wieczorami nie wychodziła do ogrodu ani nie przesiadywała na dole, gdy Sophie już położyła się spać. Nie ufała sobie i wolała nie sprawdzać siły swej woli.

– Przyniosłem pani prezent – powiedział.

Podał jej dokumenty. Świadectwo urodzenia dziecka, które przyszło na świat w czerwcu 1939 roku w rodzinie Étienne'a i Marii Mauriac. Chłopiec nazywał się Daniel Antoine Mauriac.

Vianne popatrzyła Beckowi w oczy. Czy wspominała mu, że oboje z Antoine'em pragnęli nadać synkowi imię Daniel? Prawdopodobnie tak, choć wcale tego nie pamiętała.

– Niebezpiecznie jest ukrywać żydowskie dzieci. A przynajmniej niedługo tak będzie.

– Tyle pan dla niego ryzykuje… Dla nas…

– Ryzykuję dla pani – odparł cicho. – To fałszywe dokumenty, proszę o tym pamiętać. I nauczyć się na pamięć historyjki o tym, jak adoptowała go pani od krewnych.

– Nigdy się nie przyznam, że to pan mi je dał.

– To nie o siebie się martwię, proszę pani. Ari musi niezwłocznie stać się Danielem. Jego przeszłość dłużej nie istnieje. Musi pani zachować najwyższą ostrożność. Gestapo i SS to… brutale. Alianckie zwycięstwa w Afryce mocno nas uderzyły. A to ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej jest złem nie do pojęcia. Ja… – spuścił wzrok – …chcę panią chronić.

– Chroni pan. – Podniosła na niego oczy.

Niezauważalnie zbliżyli się do siebie, choć wiedziała, że to niebezpieczne.

– Ari jest głodny, mamo. – Do kuchni wbiegła Sophie. – Płacze i płacze.

Beck zatrzymał się, sięgnął po leżący na blacie widelec, muskając przy tym ramię Vianne, i nadział plasterek rumianej kiełbasy, kostkę przypieczonego ziemniaka i brązowy krążek cebuli.

Żuł, patrząc jej w oczy. Stał tak blisko, że czuła ciepło bijące od jego ciała.

– Wspaniale pani gotuje – powiedział z uznaniem.

– Dziękuję – odparła oficjalnym tonem.

– Żałuję, ale nie będę mógł zostać na kolacji. Muszę jechać.

Vianne oderwała od niego spojrzenie i uśmiechnęła się do Sophie.

– Nakryj na trzy osoby – poprosiła.

Potem, gdy kolacja dochodziła w piecyku, posadziła dzieci na łóżku.

– Sophie, Ari, usiądźcie i posłuchajcie mnie uważnie.

– Co się stało, mamo? – Sophie od razu się zaniepokoiła.

– Niemcy wywożą francuskich Żydów – zaczęła Vianne. – Także dzieci.

Sophie stłumiła okrzyk, zakrywając dłonią usta, i przeniosła wzrok na Ariego, który radośnie podskakiwał na łóżku. Był za mały, żeby pojąć konieczność przybrania nowej tożsamości. Można by mu powiedzieć, że odtąd i na zawsze nazywa się Daniel Mauriac, a on by nie zrozumiał dlaczego. Skoro wierzył w powrót matki i na to czekał, prędzej czy później coś by palnął, skazując siebie i nie tylko na wywózkę, a może i śmierć. Vianne nie mogła tak ryzykować. Musiała złamać mu serce, by ochronić ich wszystkich.

Wybacz mi, Rachel, szepnęła w duchu.

Wymieniły z Sophie pełne smutku spojrzenia. Obie wiedziały, co nastąpi, lecz jak jedna matka mogła to zrobić dziecku innej?

– Ari – powiedziała łagodnie, ujmując jego twarz w dłonie. – Twoja mama jest teraz w niebie z aniołkami. Już do ciebie nie wróci.

– Co? – Chłopczyk przestał brykać.

– Mama odeszła już na zawsze – powtórzyła Vianne, czując łzy pod powiekami. Zamierzała to powtarzać dotąd, aż Ari jej uwierzy. – Teraz ja jestem twoją mamą. A ty będziesz nazywał się Daniel.

Zmarszczył brewki i zamlaskał, poruszając palcami, jakby na nich liczył.

– Mama wróci.

– Nie wróci – powiedziała Vianne, nienawidząc się za to. – Odeszła. Jak ten mały króliczek, którego pochowaliśmy

w zeszłym miesiącu, pamiętasz? – Urządziły wtedy całą ceremonię.

– Odesła jak królicek? – Usta Ariego wygięły się w podkówkę, przycisnął piąstki do załzawionych oczu.

Vianne objęła go i pogłaskała po plecach. Na nic się to jednak zdało, nie potrafiła go pocieszyć. Odsunęła się nieco, by na niego popatrzeć.

– Czy zrozumiałeś… Danielu?

– Będziesz moim braciszkiem – wtrąciła Sophie, ledwie powstrzymując płacz. – Takim prawdziwym.

Vianne pękało serce, ale nie było innego sposobu na ocalenie synka Rachel. Modliła się w duchu, żeby młody wiek pozwolił mu szybko zapomnieć, iż kiedyś miał na imię Ari. Ogarnął ją przeraźliwy smutek.

– Powiedz – poprosiła łagodnie – jak masz na imię?

– Daniel – wymamrotał niepewnie, bo tak mu powiedziała.

Vianne kazała mu to powtarzać jeszcze wiele razy w czasie kolacji i później, gdy wspólnie zmywali naczynia. I w łazience, gdy szykowała go do snu. Modliła się, aby to dźwięczne słowo go uratowało i papiery okazały się na tyle dobre, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Nigdy więcej nie zawoła go dawnym imieniem, nie będzie nawet tak o nim myślała. Jutro rano ostrzyże go na krótko, a potem pójdzie do Carriveau i zacznie rozpowiadać, że adoptowała dziecko po zmarłej kuzynce z Nicei.

I niech Bóg im dopomoże.

25

Isabelle przemykała ostrożnie ciemnymi uliczkami Carriveau, w czarnym stroju, z zakrytymi jasnymi włosami. Obowiązywała już godzina policyjna. Blady sierp księżyca rzucał niewiele światła na kocie łby, zwłaszcza że prawie w całości zakrywały go chmury.

Nadsłuchiwała warkotu motorów i ciężarówek i zastygała, gdy się do niej zbliżał. Na skraju miasteczka przeskoczyła przez obrośnięty pnącą różą murek i pobiegła dalej po gliniastym czarnym polu. Była w połowie drogi do miejsca zbiórki, gdy nad jej głową zaryczały trzy samoloty lecące tak nisko, że zatrzęsła się ziemia i rozkołysały drzewa. Zaraz potem rozszczekały się działka przeciwlotnicze, po ciemnym niebie pomknęły sznury rozświetlonych paciorków.

Skrajny samolot wszedł w ciasny skręt, ukazując w przechyle amerykańskie gwiazdy, wspiął się na wyższy pułap i po chwili powietrze rozdarł przenikliwy gwizd, a po nim wybuch.

Bombardowali lotnisko.

Znowu ryk silników nad głową i kolejne serie z działek. Tym razem jedna dosięgła celu, bo samolot dymił, resztką mocy silnika pomknął w górę, załamał lot i zaczął spadać na ziemię w powolnym korkociągu.

Zwalił się ciężko, ryjąc grunt i rozrzucając części ścinające wierzchołki drzew niczym łebki zapałek. Buchnął płomieniem i eksplodował.

Na tle nieba odcinała się czasza spadochronu, kołysząc się na wietrze. Wiszący pod nią pilot wydawał się mały jak przecinek.

Isabelle pobiegła wśród płonących drzew. Dym piekł ją w oczy.

Gdzie ten jankes wylądował?

Kątem oka dostrzegła coś białawego i rzuciła się w tamtą stronę.

Na ziemi kłębił się jedwab spadochronu, a leżący bezwładnie pilot nadal tkwił w uprzęży. Być może stracił przytomność.

Isabelle usłyszała głosy, całkiem niedaleko, i tupot biegnących nóg. Miała nadzieję, że to jej koledzy przybyli właśnie na spotkanie, lecz nie mogła tego sprawdzić. Na Niemców było jeszcze za wcześnie, ale przezornego…

Rzuciła się na kolana, odpięła spadochron, zwinęła go byle jak i odciągnęła najdalej jak się odważyła, narzucając na wierzch zeschłe liście. Potem biegiem wróciła do pilota, chwyciła go za przeguby i zawlokła głębiej w zarośla.

– Musisz być cicho. Rozumiesz? Wrócę do ciebie, ale musisz tu leżeć i być cicho.

– Na… mur – stęknął ku jej uldze.

Przykryła go gałązkami i liśćmi, rozejrzała się i zobaczyła ślady swoich butów w rozmiękłej ziemi oraz koleiny, jakie zostawiło ciało pilota. Ogarnął ją czarny dym, dławiąc w gardle; ogień z płonącego wraku rozszerzał się, płomienie przybliżały.

– Cholera – mruknęła.

Głosy. Nawoływania.

Próbowała oczyścić ręce, ale tylko rozmazywała czarne błoto.

Z lasu wybiegły trzy ciemne sylwetki i ruszyły w jej stronę.

– Isabelle! – zawołał ktoś półgłosem. – To ty?

Rozbłysła latarka i ukazali się Henri, Didier i Gaëton.

– Znalazłaś pilota? – zapytał Henri.

– Jest ranny – odrzekła.

Z oddali dobiegło szczekanie psów. Nadciągali hitlerowcy.

– Mamy mało czasu – mruknął Didier, oglądając się za siebie.

– Nie damy rady przetransportować go do miasteczka – uznał Henri.

Podjęcie decyzji zajęło Isabelle dwie sekundy.

– Znam miejsce, gdzie możemy go ukryć. Niedaleko.

– To kiepski pomysł – sprzeciwił się Gaëton.

– Pośpiesz się – warknęła Isabelle. Znajdowali się w stodole w Le Jardin, nieprzytomny pilot spoczywał na brudnym klepisku. Rękawice i ubranie Didiera były poplamione jego krwią. – Przepchnij auto.

Henri i Didier naparli na samochód, przetoczyli go i odchylili klapę w podłodze. Zaskrzypiała i oparła się o maskę.

Isabelle zapaliła lampę naftową i ostrożnie zeszła po drabinie. Od razu zauważyła, że część zapasów, które zostawiła, została zużyta. Podniosła wyżej lampę.

– Znieście go na dół.

Mężczyźni wymienili niepewne spojrzenia.

– Sam nie wiem… – zaczął Henri.

– A jaki mamy wybór? – warknęła Isabelle z irytacją. – Znieście go tutaj, szybciej!

Gaëton i Henri z trudem umieścili nieprzytomnego Amerykanina w dusznej, ciemnawej piwnicy i położyli na materacu. Henri posłał dziewczynie zaniepokojone spojrzenie, wspiął się na górę i kiwnął na towarzysza.

– Chodź, Gaët.

Tamten popatrzył na Isabelle i powiedział:

– Będziemy musieli postawić samochód na dawnym miejscu. Nie wydostaniesz się stąd, dopóki po ciebie nie przyjdziemy.

Jeżeli coś by się z nami stało, to nikt nie będzie wiedział, że tu jesteście. – Czuła, że chciałby ją przytulić, i wręcz boleśnie tego pragnęła, ale byli przecież towarzyszami broni, walczyli ramię w ramię. – Niemcy będą go wszędzie szukali. Jeśli cię złapią…

– No to nie pozwól, żeby mnie złapali – przerwała, mierząc go twardym spojrzeniem.

– Myślisz, że mi nie zależy na twoim bezpieczeństwie?

– Przecież wiem – rzuciła pojednawczo.

– Chodźże już, do cholery – niecierpliwił się Henri, zaglądając do piwnicy. – Musimy znaleźć lekarza i wykombinować, jak go stąd jutro wyciągnąć.

Gaëton postąpił ku drabinie. Dzieliła ich tak mała przestrzeń, a zdawało się, że to cały świat.

– Kiedy wrócimy, najpierw zastukamy trzy razy, a potem zagwiżdżemy, więc nas nie zastrzel.

– Postaram się – obiecała.

– Isabelle… – zaczął i urwał.

Czekała, ale nie dodał nic więcej. Jak zwykle wypowiedział jej imię z nutą żalu i smutku. Wzruszył lekko ramieniem, odwrócił się i zwinnie wydostał na zewnątrz.

Po chwili klapa została zatrzaśnięta. Deski nad głową zaskrzypiały, gdy mężczyźni przestawiali samochód na poprzednie miejsce.

Potem zaległa cisza.

Isabelle wpadła w panikę. Znowu była w zamkniętej sypialni, a Madame Zaraza z mściwym zgrzytem przekręcała klucz w zamku, rozkazując zimno, by Isabelle zamknęła w końcu jadaczkę i wyzbyła się nawyku pytania o wszystko.

Nie zdołałaby stąd wyjść, choćby groziło jej najgorsze.

Przestań, nakazała sobie w duchu. Uspokój się. Przecież wiesz, co masz robić. Podeszła do półek, odsunęła na bok strzelbę ojca i sięgnęła po pudełko pełniące funkcję apteczki.

Znalazła w nim nożyczki, igłę i nici, buteleczkę spirytusu, bandaże, chloroform, tabletki benzedryny i plaster.

Uklękła przy Amerykaninie i postawiła lampę na podłodze. Kombinezon w okolicy klatki piersiowej był mokry od krwi. Isabelle z trudem rozcięła gruby materiał. Jej oczom ukazała się spora rana na piersi i już wiedziała, że nie będzie mogła mu pomóc.

Siedziała przy nim, trzymając go za rękę, póki nie wydał ostatniego tchnienia i nie zastygł z na wpół otwartymi ustami.

Ostrożnie zdjęła mu z szyi identyfikatory. Trzeba je będzie dobrze schować. „Keith Johnson, porucznik", przeczytała.

Zdmuchnęła lampę, żeby oszczędzić naftę, i siedziała po ciemku z martwym pilotem.

Następnego ranka Vianne ubrała się w drelichowe ogrodniczki i kraciastą flanelową koszulę Antoine'a, którą jakiś czas temu dopasowała do swego rozmiaru, a teraz znów wisiała na niej jak na strachu na wróble. Pomyślała, że trzeba będzie ją zwęzić jeszcze raz. Na kuchennym blacie stała przygotowana do wysyłki paczka dla Antoine'a.

Sophie rzucała się w nocy, więc Vianne pozwoliła jej pospać dłużej. Zeszła na dół, żeby zaparzyć sobie kawy, i omal nie wpadła na Becka, który nerwowo spacerował po pokoju.

– Och, pan kapitan, przepraszam…

Wydawał się jej nie słyszeć. Jeszcze nigdy nie widziała go w stanie tak wielkiego podniecenia. Zazwyczaj starannie przyczesane włosy były w nieładzie, niesforny lok co rusz opadał mu na czoło, na co kapitan klął pod nosem i odsuwał go zniecierpliwiony. U pasa wisiała kabura z bronią, co w domu nigdy mu się nie zdarzyło.

Wyminął ją, zaciskając pięści. Gniew wykrzywił jego przystojną twarz, zmienił go nie do poznania.

– Wczoraj w nocy spadł w tej okolicy zestrzelony samolot – powiedział przez zaciśnięte zęby, zatrzymując się przed Vianne. – Amerykański. Nazywają je Mustangami.

– Wydawało mi się, że na tym wam właśnie zależy. Czy to nie dlatego do nich strzelacie?

– Poszukiwania pilota trwały całą noc i nie przyniosły rezultatu. Ktoś musiał go ukryć.

– Ukryć? O, szczerze wątpię. Prawdopodobnie umarł.

– Gdyby tak było, znaleźlibyśmy przynajmniej ciało. Natknęliśmy się na spadochron, ale ciała nie było.

– Ale kto byłby aż tak głupi, żeby… – zaczęła Vianne. – Przecież grozi za to kara śmierci.

– Nieodwołalnie.

Vianne jeszcze nigdy nie słyszała u Becka takiego tonu. Cofnęła się przestraszona. Przypomniał jej się pejcz, który trzymał w ręku, gdy wywożono Żydów z miasteczka.

– Proszę mi wybaczyć, droga pani, ale zachowujemy się wobec Francuzów więcej niż przyzwoicie, a co otrzymujemy w zamian? Kłamstwa, sabotaż i zdradę.

Vianne otworzyła usta ze zdziwienia.

Beck, ujrzawszy jej minę, zreflektował się i spróbował uśmiechnąć.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Nie miałem na myśli pani, oczywiście. Komendant oskarża mnie o nieudolność, bo nie potrafiłem znaleźć zestrzelonego pilota. Mam rozkaz zrobić to dzisiaj skuteczniej. – Ruszył do drzwi wejściowych i je otworzył. – Jeżeli mi się nie uda…

W otwartych drzwiach Vianne ujrzała szarozielone mundury na swoim podwórku. Niemcy.

– Do widzenia pani.

Podążyła za nim aż do progu.

– Proszę dobrze zamknąć dom. Ten pilot może być zdesperowany. Nie chciałaby pani, żeby włamał się do jej domu.

Vianne pokiwała głową.

Beck dołączył do czekających żołnierzy i wydał kilka rozkazów. Ich psy zaczęły głucho warczeć, szarpać się na smyczach, węszyć u podstawy zburzonego muru.

Vianne spojrzała w górę pochyłości i zobaczyła, że wrota stodoły są niedomknięte.

– Panie kapitanie! – zawołała.

Beck zatrzymał się, jego podkomendni też. Warczące psy rwały się do przodu.

I wtedy pomyślała o Rachel, że schroniłaby się właśnie tam, gdyby zdołała uciec z transportu.

– Nie, nic, przepraszam – powiedziała ze skruszoną miną.

Kiwnął krótko głową i poprowadził swych ludzi traktem.

Gdy Niemcy zniknęli jej z oczu, Vianne założyła kalosze i pobiegła do stodoły, potykając się po drodze. Pociągnęła ciężkie wrota i wślizgnęła się do środka.

Od razu zauważyła, że renault był przestawiany.

– Idę do ciebie, Rachel! – zawołała. Przestawiła dźwignię zmiany biegów na luz i pchnęła samochód. Ukazała się klapa w podłodze. Vianne uklękła, chwyciła metalowy pierścień i mocno szarpnęła. Ział przed nią czarny piwniczny otwór.

Zapaliła latarnię i zajrzała do ciemnej piwnicy.

– Rachel?

– Idź stąd, Vianne. Już!

– Isabelle? – Zdumiona Vianne zaczęła schodzić po drabinie, powtarzając: – Isabelle, co ty… Isabelle? – Zeskoczyła z ostatniego szczebla, odwróciła się i poświeciła.

Jej uśmiech zbladł. Ubranie siostry było poplamione krwią, w zmierzwionych włosach utkwiły suche liście i drobne gałązki,

twarz miała tak podrapaną, jakby tarzała się w jeżynach.

Ale nie to było najgorsze.

– Amerykanin – wyszeptała Vianne z niedowierzaniem, wpatrując się w leżącego nieruchomo mężczyznę. Przeraziła się tak bardzo, że cofając się gwałtownie, uderzyła plecami w półki pod ścianą. Jakiś przedmiot stoczył się z brzękiem na ziemię. – To jego szukają.

– Nie powinnaś tu przychodzić.

– Ja nie powinnam tu przychodzić? Ja?! Ty kretynko! Czy zdajesz sobie sprawę, co z nami zrobią, jak go tutaj znajdą? Jak śmiałaś narazić mój dom na takie niebezpieczeństwo?

– Przepraszam. Po prostu zamknij klapę i postaw na niej samochód. Kiedy się jutro obudzisz, już nas nie będzie.

– Przepraszasz – powiedziała Vianne zjadliwie. Czuła, jak rozpala się w niej płomień gniewu. Jak siostra mogła tak postąpić, narazić na niebezpieczeństwo ją i Sophie? A przecież był jeszcze Ari, który wciąż nie mógł zrozumieć, że musi być Danielem. – Przez ciebie nas zabiją. – Cofnęła się, wymacując drabinę. Chciała zwiększyć jak się dało dystans między nią i tym lotnikiem. I jej samolubną, lekkomyślną siostrą… – Jutro rano ma cię tu nie być, Isabelle. I nie wracaj tu więcej.

Isabelle miała czelność wyglądać na zranioną.

– Ale…

– Dość – ucięła Vianne. – Nie zamierzam się przed tobą usprawiedliwiać. Byłam dla ciebie niedobra, mama umarła, tata pił, madame Dumas źle cię traktowała. Wszystko to prawda i zawsze żałowałam, że nie byłam dla ciebie lepszą siostrą, ale teraz z tym koniec. Jesteś jak zwykle bezmyślna i szalona, tyle że teraz to może być zabójcze. Nie pozwolę, żebyś narażała Sophie. Nie wracaj tu, już nigdy. Nie chcę cię więcej widzieć. A jeśli znów się pojawisz, sama na ciebie doniosę. – To rzekłszy, weszła po drabinie na górę i z hukiem zatrzasnęła klapę.

Musiała czymś się zająć, by nie wpaść w panikę. Obudziła dzieci, dała im lekkie śniadanie i wzięła się do domowych prac.

Zebrała ostatnie jesienne warzywa, porobiła weki z ogórkami i cukinią, przyrządziła purée z dyni i również przełożyła je do słoików. Mimo to nie mogła przestać myśleć o siostrze i pilocie w stodole.

Jak należało postąpić? Prześladowało ją to przez cały dzień, przyprawiając o ból głowy. Każdy wybór był niebezpieczny. Ostatecznie uznała, że nie powinna mówić o lotniku w stodole. Milczenie było zawsze najbezpieczniejsze.

Ale co będzie, jeśli Beck, gestapo i esesmani z psami sami trafią do stodoły? Gdyby kapitan znalazł zbiega na terenie swojej kwatery, nie zyskałby uznania w oczach komendanta. Zostałby poniżony.

„Komendant oskarża mnie o nieudolność, bo nie potrafiłem znaleźć zestrzelonego pilota".

Upokorzeni mężczyźni mogą być niebezpieczni.

Może wobec tego powinna powiadomić Becka, jak się sprawy mają. Był przecież dobrym człowiekiem. Próbował ocalić Rachel. Załatwił fałszywe papiery dla Ariego. Osobiście pilnował, żeby paczki Vianne były wysyłane do adresata.

Być może udałoby się przekonać go, żeby zabrał sobie pilota, a Isabelle zostawił w spokoju. Amerykanin trafiłby najwyżej do obozu jenieckiego w Niemczech, co nie było przecież takim nieszczęściem.

Po kolacji i położeniu dzieci do łóżka Vianne nadal biła się z myślami. Nawet nie próbowała kłaść się spać, wiedząc, że i tak nie zaśnie. Jak mogłaby spać, skoro rodzina znalazła się w niebezpieczeństwie? Ta myśl sprawiła, że gniew na Isabelle

rozgorzał z nową siłą. O dziesiątej wieczorem usłyszała kroki na dworze, a po chwili mocne stukanie do drzwi.

Odłożyła robótkę, przygładziła włosy i poszła otworzyć. Ręce drżały jej tak mocno, że musiała zacisnąć je w pięści.

– Pan kapitan – szepnęła. – Tak późno… Chciałby pan coś zjeść?

– Nie, dziękuję – mruknął i wyminął ją z ponurą miną. Jeszcze nigdy się tak nie zachował, zawsze miał dla niej uśmiech i miłe słowo. Po chwili wyszedł ze swojego pokoju z butelką brandy. Nalał dużą miarkę do wyszczerbionej filiżanki do kawy, wypił jednym haustem i ponownie napełnił.

– Panie kapitanie…?

– Nie znaleźliśmy go – warknął. Wypił alkohol i od razu nalał trzecią miarkę.

– Hm… – nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Ci z gestapo… – zaczął i po raz pierwszy spojrzał na nią. – Oni mnie wykończą – poskarżył się cichym głosem.

– Nie, co pan…

– Nie znoszą niepowodzeń. – Beck wypił trzecią porcję brandy i z trzaskiem postawił naczynie na stole, omal nie tłukąc. – Szukałem go wszędzie – ciągnął. – W każdym zakamarku tej przeklętej dziury. Przeszukałem strychy, piwnice, kurniki. Przeczesałem zarośla i śmietniki. I co mi to dało? Mam spadochron poplamiony krwią, ale nie mam pilota.

– N-na pewno nie szukał pan wszędzie – wyjąkała, chcąc go pocieszyć. – Może zrobię panu jednak kolację? Specjalnie zostawiłam trochę w garnku…

Beck nagle zastygł, oczy mu się zwęziły. Wymamrotał: „To raczej niemożliwe, ale…”, sięgnął po latarkę i podbiegł do szafy w ścianie. Szarpnięciem otworzył drzwi.

– Co pan r-robi?

– Przeszukuję pani dom.

– Nie myśli pan chyba…

Stała w kuchni z bijącym sercem i nie śmiała się ruszyć, podczas gdy Beck biegał po pokojach, grzebał w szafach na ubrania i przesuwał meble.

– I co, zadowolony pan? – zapytała w końcu.

– Zadowolony? Tylko w tym tygodniu straciliśmy czternastu pilotów i Bóg jeden wie, ilu członków załóg. Dwa dni temu wyleciała w powietrze fabryka Mercedesa, wszyscy robotnicy ze zmiany zginęli na miejscu. Wuj tam pracuje. To znaczy pewnie, pracował.

– Przykro mi – bąknęła.

Odsapnęła, myśląc, że jest po wszystkim, i wtedy zauważyła, iż wychodzi na zewnątrz.

Czy wydała jakiś dźwięk ulgi? Obawiała się, że tak. Rzuciła się w jego stronę, chcąc złapać go za rękaw, ale za późno. Podążał za światłem swej latarki, zostawiwszy za sobą otwarte drzwi kuchni.

Vianne pognała za nim. Dopadła go przy gołębniku.

– Panie kapitanie. – Zwolniła, starając się uspokoić oddech. Otarła spocone dłonie o materiał ogrodniczek. – Nie znajdzie pan tu niczego ani nikogo. Przecież pan sam musi to wiedzieć.

– Czy jest pani kłamczynią? – Nie był zły. Bał się. O nią.

– Nie. I pan o tym wie. Wolfgang – po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu – przełożeni z pewnością nie obarczą pana winą …

– Na tym właśnie polega kłopot z wami, Francuzami – odparł. – Nie potraficie dostrzec prawdy, nawet jeśli się o nią potkniecie. – Wyminął ją i ruszył w kierunku stodoły.

Znajdzie Isabelle i pilota.

Co wtedy zrobi?

Wszyscy trafią do więzienia, jeśli nie gorzej.

Beck nigdy nie uwierzy, że Vianne o tym nie wiedziała. Nie da się przekonać, że nie maczała w tym palców. Za późno odwoływać się do jego honoru i próbować ocalić Isabelle. Vianne przecież skłamała.

Otworzył ciężkie wrota stodoły i stanął w progu. Rozglądał się, przyświecając sobie latarką. Po chwili ją zgasił, zapalił lampę naftową i zabrał się metodycznie do przeszukiwania każdego kąta.

– Widzi pan? – odważyła się szepnąć Vianne. – Nikogo tutaj nie ma. A teraz proszę już wracać do domu. Może napije się pan jeszcze brandy?

Beck wpatrywał się w podłogę. W kurzu widniały ślady opon.

– Powiedziała mi pani niedawno, że gdzieś tu, w piwnicy, ukrywała się pani Champlain.

Vianne otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Beck otworzył drzwiczki renaulta, przesunął dźwignię biegów i popchnął wóz do przodu. Odsłonił się fragment klapy w podłodze.

– Kapitanie, bardzo pana proszę…

Ukląkł i macał deski w poszukiwaniu szpary. Powoli przesuwał palce tu i tam. Jeśli namaca pierścień, będzie po wszystkim. Zastrzeli Isabelle albo wtrąci ją do obozu. Vianne z dziećmi zostanie aresztowana. Nie było sensu go dłużej przekonywać, odwodzić od dalszych poszukiwań.

Beck odpiął kaburę, wyjął pistolet, odbezpieczył.

Vianne rozglądała się rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiejkolwiek broni. Jej wzrok padł na oparty o ścianę szpadel.

Beck podniósł klapę i krzyknął niezrozumiale. Gdy uderzyła o maskę auta, cofnął się szybko i wycelował broń. Vianne chwyciła szpadel, zamachnęła się i z całej siły uderzyła go w głowę. Rozległo się głuche łupnięcie i trzask pękającej kości.

Ostrze szpadla głęboko utkwiło w czaszce. Fontanna krwi trysnęła na szarozielony mundur.

Dwa strzały rozległy się jednocześnie: jeden padł z pistoletu Becka, a drugi z piwnicy.

Niemiec zachwiał się i okręcił. W jego klatce piersiowej ział otwór wielkości cebuli, z którego obficie płynęła krew. Włosy opadły mu na twarz, zakrywając oczy.

– Pani… – stęknął i padł na kolana. Pistolet stuknął o podłogę, a za nim latarka.

Vianne odrzuciła szpadel i padła przy Becku na kolana. Leżał w kałuży krwi, twarzą do dołu. Vianne z wysiłkiem przewróciła go na plecy. Był już blady jak prześcieradło. Krew ciekła mu z nozdrzy, zlepiała włosy, wypływała z bulgotem przy każdym oddechu.

– Przepraszam – szepnęła Vianne.

Beck uchylił nieco powieki.

Chciała otrzeć krew z jego twarzy, lecz ciekła tak obficie, że tylko ją rozmazała. Dłonie miała czerwone i lepkie.

– Musiałam pana powstrzymać – wydusiła.

– Proszę zawiadomić moją rodzinę…

Widziała, jak uchodzi z niego życie, serce przestaje bić, a pierś się poruszać. Za plecami usłyszała kroki.

– Vianne!

Nie była w stanie się poruszyć.

– Co z tobą? Jesteś ranna? – pytała Isabelle z napięciem w głosie. Była blada i roztrzęsiona.

– Zabiłam go. Nie żyje – rzekła Vianne głucho.

– To nie ty. To ja strzeliłam mu w pierś – zaprotestowała Isabelle.

– Rąbnęłam go szpadlem w głowę. Szpadlem…

– Vianne… – Isabelle zbliżyła się do niej.

– Daj spokój – powiedziała ostro Vianne. – Nie chcę słuchać twoich usprawiedliwień. Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? W mojej stodole leży martwy niemiecki oficer!

Zanim Isabelle zdążyła odpowiedzieć, rozległ się przenikliwy gwizd i do stodoły wjechał wóz zaprzężony w muła.

Vianne rzuciła się po pistolet Becka, ślizgając się na mokrej od krwi podłodze. Utrzymała się na nogach i wycelowała broń w nieznajomych.

– Nie strzelaj – przestrzegła ją siostra. – To przyjaciele.

Vianne spojrzała przytomniej na obdartusów na wozie, po czym przeniosła wzrok na siostrę w czerni, bardzo bladą, z podkrążonymi oczami.

– To na pewno – mruknęła. Odsunęła się na bok, nie przestając celować w mężczyzn, którzy zeskoczyli z wozu. Jej oczom ukazała się sosnowa trumna.

Rozpoznała Henriego, właściciela hotelu z miasteczka. Z nim Isabelle uciekła rzekomo do Paryża. Komunistę, w którym się ponoć podkochiwała.

– No jasne, twój kochanek – wycedziła zimno.

Henri pośpiesznie zamknął wrota stodoły.

– Co tu się stało, do cholery?

– Vianne walnęła go szpadlem, a ja do niego strzeliłam – wyjaśniła zwięźle Isabelle. – Istnieje siostrzana różnica zdań, która z nas go zabiła, ale tak czy siak, jest trupem. Kapitan Beck. Niemiec, który kwaterował w Le Jardin.

Henri wymienił spojrzenia z jednym z mężczyzn, chudym, zarośniętym człowiekiem o zbyt długich włosach.

– To mamy problem – stwierdził nieznajomy.

– Możecie pozbyć się ciała? – zapytała Isabelle. Przyciskała dłoń do piersi, jakby jej serce biło zbyt szybko. – I jest jeszcze pilot. Też nie przeżył.

Z wozu zeskoczył korpulentny mężczyzna w połatanej kurtce i przykrótkich spodniach.

– Pozbycie się zwłok to najłatwiejsza część zadania.

Co to za ludzie? – zachodziła w głowę Vianne.

– Przyjdą tu szukać Becka. A moja siostra nie wytrzyma przesłuchania – powiedziała Isabelle. – Musimy ukryć ją razem z córką.

Vianne w końcu się otrząsnęła. Rozmawiali o niej, jakby jej tu nie było!

– Ucieczka tylko potwierdzi moją winę.

– Nie możesz tu zostać – upierała się Isabelle. – To niebezpieczne.

– Pomijając wszystko inne, to ciekawe, że martwisz się o mnie teraz, gdy już naraziłaś mnie oraz dzieci na niebezpieczeństwo i zmusiłaś do zabicia przyzwoitego człowieka! – wybuchła Vianne.

– Vianne, proszę cię…

Poczuła, że twardnieje w środku. Miała wrażenie, że za każdym razem, kiedy myślała, że już nic gorszego nie może się wydarzyć, spotykało ją coś jeszcze bardziej okropnego. Teraz stała się morderczynią z winy Isabelle. Nie zamierzała słuchać jej rady i opuścić Le Jardin.

– Powiem, że Beck wyszedł na poszukiwanie lotnika i więcej się nie pokazał. Zresztą co ja mogę o tym wiedzieć, jestem tylko głupią francuską kurą domową. Kwaterował tu, a potem dokądś sobie poszedł. Zdarza się.

– Odpowiedź równie dobra jak każda inna – uznał Henri.

– To moja wina – mruknęła Isabelle, podchodząc bliżej. Vianne widziała jej żal za to, co się stało, lecz to jej nie obeszło. Zanadto się bała o dzieci, żeby przejmować się uczuciami siostry.

– Tak, ale wciągnęłaś w to mnie – odparła z goryczą. – Zabiłyśmy dobrego człowieka, Isabelle.

– Vi, oni po ciebie przyjdą. – Isabelle zachwiała się lekko.

Vianne już zaczynała mówić: – A dzięki komu? – ale spojrzała na siostrę i głos jej zamarł.

Spomiędzy palców dziewczyny płynęła krew. Na ułamek sekundy świat zwolnił, zredukował się do dźwięków; mężczyźni rozmawiali, muł uderzał kopytem, ona sama oddychała głośno. Isabelle upadła nieprzytomna na ziemię.

Nim Vianne zdążyła otworzyć usta do krzyku, czyjaś ręka szarpnęła ją za ramię i odciągnęła w tył. Chciała się wyrwać, jednak trzymający ją mężczyzna był za silny.

Zobaczyła, że Henri klęka obok Isabelle i rozrywa materiał jej bluzki. Pod obojczykiem ziała rana od kuli. Henri zerwał z siebie koszulę, zwinął ją i przycisnął do rany.

Vianne dźgnęła łokciem przytrzymującego ją mężczyznę tak mocno, że stęknął, wyrwała mu się i podbiegła do siostry.

– W piwnicy jest apteczka.

Chudzielec o czarnych włosach, równie przestraszony jak Vianne, zsunął się po drabinie i po chwili wrócił z pudełkiem.

Ręce Vianne się trzęsły, gdy sięgała po buteleczkę ze spirytusem, żeby je obmyć.

Odebrała Henriemu koszulę i zaczęła ją przyciskać do rany. Wyraźnie wyczuwała pulsowanie.

Dwa razy odejmowała od rany przesiąknięty krwią kłąb materiału, żeby go wyżąć i przyłożyć ponownie. W końcu krwawienie ustało. Vianne ostrożnie przechyliła siostrę na bok i przyjrzała się ranie wylotowej.

Dzięki Bogu.

Położyła Isabelle z powrotem na plecach.

– To cię mocno zaboli – szepnęła. – Ale jesteś silna, prawda, siostrzyczko?

Zalała ranę spirytusem. Isabelle szarpnęła się, ale nie odzyskała przytomności.

– Bardzo dobrze – szeptała do siebie Vianne. Dźwięk własnego głosu niósł ukojenie, przypominał jej, że jest matką, a matki troszczą się o rodziny. – Brak przytomności jest dobry. – Wyjęła z apteczki igłę i nawlokła nitkę. Zamoczyła ją w spirytusie i nachyliła się nisko nad raną. Z wielką ostrożnością zaczęła zszywać jej brzegi. Nie trwało to długo. Rezultat pozostawiał sporo do życzenia, ale w tych warunkach nie można było zrobić tego lepiej.

Po założeniu szwów Vianne nabrała pewności siebie. Już nieco spokojniejsza obandażowała ranę.

Potem siadła wpatrzona w zakrwawione ręce i ubranie.

Isabelle była blada i krucha, zupełnie jak nie ona. Włosy miała brudne i splątane, ubranie przesiąknięte krwią jej i zmarłego pilota. Wydawała się taka młoda.

Taka młoda.

Vianne poczuła wstyd tak dojmujący, że ścisnęło ją w żołądku. Czy naprawdę wykrzyczała niedawno do siostry – własnej siostry – żeby stąd poszła i nigdy nie wracała?

Ile razy w życiu Isabelle słyszała te okrutne słowa, i to od rodziny, od której winna raczej spodziewać się miłości?

– Zabiorę ją do bezpiecznej kryjówki – odezwał się czarnowłosy.

– O nie – zapewniła Vianne. Uniosła głowę i zobaczyła, że trzech mężczyzn naradza się obok wozu. Zerwała się z klęczek. – Nie pozwolę jej nigdzie zabrać. To przez was się tutaj znalazła.

– To raczej my znaleźliśmy się tu przez nią – poprawił ją chłopak. – Zabieram Isabelle stąd. Natychmiast.

Vianne podeszła do niego. Miał w oczach coś takiego, czego zwykle się bała, ale teraz, po wszystkim, co przeżyła, nie czuła

już lęku i miała gdzieś ostrożność.

– Wiem, kim pan jest – powiedziała. – Opisała mi pana ze szczegółami. To pan zostawił ją z kartką przypiętą do piersi jak bezdomnego psa. Gaston, prawda?

– Gaëton – poprawił głosem tak cichym, że musiała się do niego nachylić. – Akurat pani ma do mnie pretensje… Pani, która nie chciała być dla niej siostrą, gdy najbardziej tego potrzebowała.

– Jeśli ją pan stąd zabierze, zabiję pana.

– Zabije mnie pani – uśmiechnął się z politowaniem.

Wskazała głową leżącego Becka i oświadczyła z niebezpiecznym spokojem:

– Zabiłam go szpadlem, a jego akurat lubiłam.

– Starczy – warknął Henri, stając między nimi. – Vianne, ona nie może tu zostać. Pomyśl. Niemcy będą szukali swojego kapitana. A znajdą kobietę z raną postrzałową i lewymi papierami. Dotarło?

Zwalisty wystąpił naprzód.

– Pochowamy szwaba i pilota – powiedział. – Dopilnujemy, żeby motocykl stąd zniknął. Gaëton, zawieziesz ją do bezpiecznej kryjówki w wolnej strefie.

– Do granicy jest sześć kilometrów. – Vianne wodziła wzrokiem po mężczyznach. – Obowiązuje już godzina policyjna, a ona jest ciężko ranna. Jak zamierzacie… – urwała, nie kończąc pytania, bo nagle poznała odpowiedź.

Trumna.

Aż się cofnęła. Pomysł był tak horrendalny, że pokręciła głową.

– Zadbam o nią – obiecał Gaëton.

Nie tylko jej nie uspokoił, lecz wręcz przeciwnie.

– Pojadę z wami. Przynajmniej do granicy. Kiedy zobaczę, że przeszliście bezpiecznie do wolnej strefy, wrócę do domu.

– Nie może pani tego zrobić – żachnął się Gaëton.

– Zdziwisz się, co mogę. – Łypnęła na niego wrogo. – A teraz zabierajmy ją stąd.

26

6 maja 1995 roku
Wybrzeże Oregonu

To przeklęte zaproszenie mnie prześladuje. Mogłabym przysiąc, że słyszę bicie jego serca.

Przez wiele dni próbowałam je ignorować, a tu nagle w ten słoneczny wiosenny poranek stwierdzam, że stoję przy komodzie i gapię się na nie. W ogóle nie pamiętam, żebym tu podchodziła, a jednak tu stoję.

To ręka jakiejś innej kobiety po nie sięga. Nie może być moja, nie ta opleciona żyłami potworność z rozdętymi kłykciami, która się trzęsie. To ona otwiera kopertę, ta należąca do innej kobiety.

Ręce drżą tak mocno, że omal jej nie upuszcza.

Prosimy o przyłączenie się do nas na obchodach pięćdziesiątej rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej w Paryżu dnia 7 maja 1995 roku.

Po raz pierwszy rodziny i przyjaciele ocalonych zbiorą się, by wspólnie wyrazić wdzięczność i oddać cześć bohaterskiemu „Słowikowi” znanemu także jako Juliette Gervaise.

Uroczystość odbędzie się w sali balowej hotelu Île de France w Paryżu o godzinie 19.00.

Dzwoni telefon. Gdy sięgam po słuchawkę, koperta wyślizguje mi się i spada na komodę.

– Halo?

Ktoś mówi po francusku. Czy tylko to sobie wyobrażam?

– Czy pan próbuje mi coś sprzedać? – pytam zbita z tropu.

– Nie. Bynajmniej! Chodzi o zaproszenie.

Zaskoczona, omal nie wypuszczam słuchawki z rąk.

– Szalenie trudno było panią odnaleźć, madame. Dzwonię w związku ze spotkaniem rodzin ocalonych jutro wieczorem. Spotykamy się dla uczczenia ludzi, dzięki którym kanał przerzutowy do Hiszpanii służył z takim powodzeniem. Czy otrzymała pani zaproszenie?

– Tak – mamroczę, ściskając słuchawkę.

– Przykro mi, ale pierwsze zaproszenie, które do pani wysłaliśmy, zostało zwrócone przez pocztę. Proszę wybaczyć opieszałość… Czy przyjedzie pani do Paryża?

– To nie mnie ludzie pragną zobaczyć, tylko Juliette. A ona już od dawna nie istnieje.

– Zapewniam, że pani się myli, madame. Spotkanie z panią jest bardzo ważne dla wielu osób.

Odkładam słuchawkę tak mocno, jakbym rozgniatała insekta.

Nieoczekiwanie jednak pomysł powrotu – powrotu do domu – zagnieżdża się w moim umyśle. Mogę myśleć tylko o tym.

Latami trzymałam wspomnienia z dala. Ukryłam je na zakurzonym strychu, z daleka od czujnych oczu. Mężowi, dzieciom, w końcu sobie samej wmówiłam, że nic mnie we Francji nie czeka. Byłam pewna, że uda mi się rozpocząć w Ameryce nowe życie i zapomnieć, co zrobiłam, żeby przeżyć.

A teraz nie mogłam zapomnieć.

Czy podejmuję decyzję? Świadomą, przemyślaną w szczegółach decyzję, najlepszą z możliwych?

Nie. Dzwonię do biura podróży i rezerwuję lot do Paryża przez Nowy Jork. Potem wyciągam małą walizkę na kółkach, dobrą na bagaż podręczny. Pakuję bieliznę, dwie pary spodni i swetry, kolczyki z pereł, które mąż kupił mi na czterdziestą rocznicę ślubu, i parę innych ważnych drobiazgów. Nie mam pojęcia, co będzie mi potrzebne, a zresztą nie myślę trzeźwo. W mojej głowie kłębią się myśli. Potem czekam. Bardzo niecierpliwie.

W ostatniej chwili, po zamówieniu taksówki, dzwonię do syna. Odzywa się automatyczna sekretarka. Bardzo mi to odpowiada, bo nie wiem, czy zebrałabym się na odwagę, żeby powiedzieć mu prawdę bezpośrednio.

– Cześć, Julien – mówię tak dziarsko jak potrafię. – Lecę na weekend do Paryża. Mam samolot o pierwszej dziesięć, a po przylocie zadzwonię, żebyś wiedział, że u mnie wszystko w porządku. Ucałuj ode mnie dziewczynki. – Milknę, wiedząc, jak będzie się czuł, kiedy ją odsłucha. W końcu przez te wszystkie lata pozwalałam mu myśleć, że jestem słaba i przy podejmowaniu decyzji zawsze zdaję się na ojca. Milion razy słyszał, jak mówię: „Skoro tak uważasz, mój drogi”. Obserwował, jak często się wycofuję, zamiast obstawać przy swoim. To mój błąd. Nic dziwnego, że syn kocha moją niepełną wersję. – Powinnam powiedzieć ci wszystko wcześniej.

Odkładam słuchawkę i widzę, że taksówka już czeka. Zatem wychodzę.

27

Październik 1942 roku
Francja

Vianne siedziała obok Gaëtona na koźle furgonu, mając za plecami łomoczącą o drewniane burty trumnę. W ciemności trudno było wypatrzyć leśny trakt; stale musieli przystawać, skręcać i zawracać. Na dobitkę zaczął padać deszcz. Jedynymi słowami, jakie wymienili w ciągu ostatniej półtorej godziny, były wskazania co do kierunku jazdy.

– Tutaj – oznajmiła na koniec Vianne, gdy osiągnęli skraj lasu. W oddali widać było światła, ich poblask sięgał aż do drzew, których pnie rzucały czarne cienie.

Granica.

– Prrr! – Gaëton ściągnął lejce.

Vianne nie mogła przestać myśleć o tym, co wydarzyło się tu tak niedawno.

– Jak ją przekroczysz? Jest już godzina policyjna – zaniepokoiła się, zaciskając wciąż drżące dłonie.

– Będę Laurence'em Olivierem. Facetem w żałobie wiozącym ukochaną siostrę do domu, żeby ją pochować.

– A jeśli zechcą sprawdzić i usłyszą jej oddech?

– Wtedy ktoś tam zginie – odparł ze spokojem.

Vianne tak to zaskoczyło, że nie umiała znaleźć odpowiedzi. Gaëton był gotów oddać życie, by chronić jej siostrę. Obrócił głowę i wpił się w nią wzrokiem. Wpił, a nie spojrzał. Znów

ujrzała w tych mrocznych oczach intensywną drapieżność, ale było tam coś jeszcze. Czekał – cierpliwie! – na to, co powie. W jakiś sposób mu na tym zależało.

– Mój ojciec wrócił z wojny odmieniony – powiedziała cicho, niespodziewanie dla samej siebie. To nie było coś, o czym by dotąd rozmawiała. – Gniewny. Złośliwy. Pijący zbyt wiele. Póki mama żyła, jeszcze się hamował. – Wzruszyła ramionami. – Po jej śmierci już nie musiał. Wysłał Isabelle i mnie z domu, pod opiekę obcej kobiety. Byłyśmy wtedy jeszcze dziećmi i bardzo to przeżyłyśmy. Różnica między nami polegała na tym, że ja pogodziłam się z odrzuceniem. Wykluczyłam ojca ze swojego życia i znalazłam kogoś, kto mnie pokochał. Ale Isabelle… nie umiała się z tym pogodzić. Latami odbijała się od zimnego muru jego obojętności, desperacko walcząc o miłość.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Isabelle wydaje się nie do złamania. Na zewnątrz to czysta stal, a w środku serce miękkie jak wosk. Nie zrań jej, to chcę powiedzieć. Jeżeli jej nie kochasz…

– Kocham.

Vianne przyjrzała mu się badawczo.

– A ona o tym wie?

– Mam nadzieję, że nie.

Jeszcze przed rokiem Vianne nie zrozumiałaby tej odpowiedzi. Nie miałaby pojęcia o istnieniu mrocznej strony miłości ani o tym, że ukrywanie uczuć bywa niekiedy aktem miłosierdzia.

– Nie pojmuję, dlaczego tak łatwo zapominam, jak bardzo ją kocham. Zaczynamy się kłócić i…

– Jak to siostry.

– Pewnie tak – westchnęła Vianne. – Choć byłam dla niej mało siostrzana.

– Dostaniesz drugą szansę.

– Naprawdę w to wierzysz?

Milczał dłuższą chwilę.

– Uważaj na siebie, Vianne – powiedział w końcu. – Będzie potrzebowała domu, do którego mogłaby wrócić, gdy to wszystko wreszcie się skończy.

– Jeśli rzeczywiście się skończy.

– Tak.

Vianne zsiadła z wozu. Podeszwy butów ugrzęzły głęboko w mokrym, gliniastym podłożu.

– Nie jestem pewna, czy Isabelle uważa mój dom za bezpieczne miejsce – powiedziała.

– Będziesz musiała być dzielna – przypomniał jej Gaëton – kiedy szwaby przyjdą szukać swojego człowieka. Znasz nasze prawdziwe nazwiska. To niebezpieczne dla nas wszystkich. Włącznie z tobą.

– Będę dzielna – powiedziała. – A ty uświadom mojej siostrze, że lepiej niech zacznie się bać.

Gaëton po raz pierwszy się uśmiechnął i Vianne zrozumiała, czym ten chudy oberwaniec w żebraczych łachmanach zwalił jej siostrę z nóg. Jego uśmiech ogarniał całą twarz – oczy, policzki, uroczy dołeczek w brodzie. Noszę serce na dłoni, mówił ten uśmiech, a żadna kobieta nie pozostawała obojętna wobec takiej otwartości.

– O tak – odparł sarkastycznie. – W końcu nakłonienie jej do czegokolwiek to bułka z masłem.

Ogień.

Otacza ją, chybocze się, tańczy. Ognisko. Rozmazane nieco przez pojawiające się, to znikające czerwone pasma. Płomień liże jej twarz, mocno parzy.

Jest wszędzie, po czym… znika.

Świat jest lodowaty, biały, przezroczysty i spękany. Ona drży z zimna, patrzy, jak palce stają się sine, pękają i odpadają. Osypują się jak kredowy pył na jej zlodowaciałe stopy.

– Isabelle.

Śpiewa ptak. Słowik. To smutna pieśń. Słowik przynosi stratę, czyż nie? Miłość, która odchodzi lub nie przetrwa albo wcale nie zaistniała. Jest o tym taki poemat. Oda.

Nie, to nie ptak.

Mężczyzna. Może król ognia. Książę ukrywający się w zamarzniętym lesie. Wilk.

Zaczyna wypatrywać śladów na śniegu.

– Isabelle. Obudź się.

Słyszała ten głos w sennym majaczeniu. Gaëton.

W rzeczywistości go tutaj nie było. Była sama – zawsze była sama – a cała reszta tylko jej się przyśniła. Była gorąca i zimna, obolała i zużyta.

Pamiętała coś – głośny huk. I głos Vianne: „Nie wracaj tu, już nigdy”.

– Jestem tutaj.

Zorientowała się, że usiadł przy niej, bo materac lekko się ugiął.

Poczuła na czole coś mokrego i zimnego, co sprawiło jej tak wielką ulgę, że na moment przestała myśleć o czymkolwiek innym. Nagle poczuła jego wargi na swoich; szepnął kilka niezrozumiałych dla niej słów i cofnął głowę. Pocałunek wydał jej się tak rzeczywisty…

Chciała wyszeptać: „Nie odchodź ode mnie”, ale nie była w stanie, nie po raz kolejny. Miała już dość błagania ludzi

o miłość.

A zresztą nie było go przy niej, więc czemu miałaby go o cokolwiek prosić?

Zamknęła oczy i odsunęła się od mężczyzny, którego tu nie było.

Vianne przysiadła na łóżku Becka.

To śmieszne, że tak o tym myślała, ale tak było. Siedziała w jego pokoju, mając nadzieję, że nie zawsze będzie tak myśleć. Trzymała fotografię jego rodziny.

„Polubiłaby pani Hildę. Proszę, przysłała pani struclę. Za znoszenie takiego gamonia jak ja".

Z trudem przełknęła ślinę. Nie chciała go znów opłakiwać, zabroniła sobie tego, lecz chciało jej się płakać nad sobą, nad tym, co zrobiła i czym się stała. Było jej żal człowieka, którego zabiła, i siostry, która mogła już nie żyć. Miała łatwy wybór – zabić Becka albo pozwolić zginąć Isabelle. Dlaczego więc przedtem tak prędko ją odprawiła? „Nie chcę cię więcej widzieć". Jak mogła powiedzieć coś takiego własnej siostrze? A jeśli to były ostatnie słowa, jakie między nimi padły?

Siedziała, wpatrując się w fotografię (proszę zawiadomić moją rodzinę) i czekając na łomotanie do drzwi. Od śmierci Becka upłynęło czterdzieści osiem godzin. Niemcy powinni się tu zjawić w każdej chwili.

Było pewne, że przyjdą, pytanie tylko kiedy. W nocy czy za dnia? Załomoczą w drzwi i brutalnie je wyważą, wpadając do środka. Godzinami łamała sobie głowę, co powinna zrobić. Pójść do komendantury i zgłosić zaginięcie Becka?

(Nie, to głupota, jaki Francuz zgłosiłby coś takiego?).

Czy zaczekać, aż sami do niej przyjdą?

(To nigdy nie jest dobre rozwiązanie).

A może spróbować ucieczki?

To tylko przypomniało jej Sarah w księżycową noc i krew płynącą z ran na dziecięcej piersi. Na nowo podjęła jałowe rozważania.

– Mamo? – zagadnęła Sophie, stając w drzwiach z malcem na biodrze. – Powinnaś coś zjeść.

Urosła, była już niemal wzrostu matki. Kiedy to się stało? I była taka wynędzniała. Vianne doskonale pamiętała rumiane, pulchne policzki córki i oczy, w których płonęły wesołe iskierki. Teraz Sophie wyglądała tak samo jak wszyscy, chuda jak szczapa i starsza nad swój wiek.

– Niedługo do nas przyjdą – powiedziała Vianne. Powtarzała to przez ostatnie dwa dni tak często, że jej słowa nie robiły na nikim wrażenia. – Pamiętasz, jak masz się zachować?

Sophie skinęła głową z poważną miną. Zdawała sobie sprawę, jakie to ważne, choć przecież nie wiedziała, co się stało z kapitanem. I, co ciekawe, wcale o to nie pytała.

– Jeżeli mnie zabiorą… – zaczęła Vianne.

– Nie zabiorą – przerwała Sophie.

– A gdyby jednak?

– Poczekamy przez trzy dni na twój powrót, a potem pójdziemy do klasztoru do matki Marie-Thérèse.

Rozległo się łomotanie do drzwi. Vianne zerwała się tak gwałtownie, że się zatoczyła i boleśnie uderzyła biodrem o kant stołu, upuszczając przy tym ramkę z fotografią. Szkło pękło.

– Na górę, Sophie. Biegiem!

Oczy Sophie zrobiły się okrągłe, lecz miała tyle rozumu, żeby milczeć. Mocniej chwyciła chłopczyka i pobiegła do pokoju na piętrze. Gdy Vianne usłyszała trzaśnięcie drzwi, poprawiła ubranie. Przezornie założyła znoszoną, po wielekroć reperowaną czarną spódnicę i szary rozpinany sweter. Ubiór

skromny, lecz szacowny. Włosy ułożyła w lekkie fale, mające nadać jej ściągniętej zgryzotą twarzy łagodniejszy wygląd.

Łomot rozległ się ponownie. Pozwoliła sobie na jeden głęboki, uspokajający wdech i ruszyła przez pokój. Kiedy otwierała drzwi, oddychała już prawie normalnie.

W progu stało dwóch esesmanów. Niższy bezceremonialnie odsunął Vianne na bok i wkroczył do sieni. Zaczął oglądać mieszkanie, otwierając drzwi do pomieszczeń i odsuwając meble; zrzucił przy tym lampkę i kilka drobiazgów, które rozbiły się z trzaskiem na podłodze. Przy drzwiach do pokoju gościnnego zatrzymał się i zwrócił do gospodyni:

– To pokój kapitana Becka?

Vianne skinęła głową.

Wyższy esesman doskoczył do niej i nachylił się, jakby silny wiatr uderzył go w plecy. Spojrzał na nią z góry groźnym wzrokiem, z czapką nisko nasuniętą na czoło.

– Gdzie on jest?

– S-skąd mam wiedzieć?

– Kto jest na górze? – burknął ostro esesman. – Słyszałem jakiś hałas.

– M-moje dzieci… – Kłamstwo sprawiło, że głos jej zadrżał, zabrzmiał zbyt niepewnie. Odchrząknęła i spróbowała ponownie. – Mogą panowie oczywiście tam pójść, tylko proszę, nie obudźcie młodszego dziecka. Jest… chore na grypę… Może nawet gruźlicę – dorzuciła, wiedząc, jak bardzo Niemcy boją się tej choroby.

Wyższy skinął na kolegę, który szybko wbiegł po schodach na górę. Słychać było, jak tupie buciorami, parę razy zatrzeszczał sufit. Po chwili zszedł na parter i powiedział coś krótko po niemiecku.

– Pójdzie pani z nami – oznajmił wyższy. – Jestem pewien, że nie ma pani nic do ukrycia – dorzucił łaskawie.

Chwycił Vianne za ramię i wyprowadził z domu do czekającego przed bramą samochodu. Pchnął ją na tylne siedzenie i z rozmachem zatrzasnął drzwi.

Miała ledwie pięć minut na rozważenie swojej sytuacji, gdyż mniej więcej tyle zajęła im droga do komendantury. Tam Niemiec wywlókł ją z auta i poprowadził do wejścia. Na placu panował ruch, kręcili się niemieccy żołnierze i mieszkańcy miasteczka. Na widok Vianne w towarzystwie esesmanów Francuzi błyskawicznie się rozpierzchli.

– To przecież Vianne Mauriac – usłyszała kobiecy głos.

Uchwyt Niemca był bolesny, ale się nie skarżyła, pozwalając się ciągnąć korytarzem i wąskimi schodkami na dół. Esesman wepchnął ją do jakiegoś pomieszczenia, które zamknął od zewnątrz, zostawiając samą.

Wzrok Vianne dopiero po chwili przyzwyczaił się do półmroku. Znajdowała się w małym pokoju bez okien. Pośrodku stało biurko, na nim zaś lampa rzucająca snop światła na porysowany drewniany blat. Za biurkiem i przed nim stały dwa twarde krzesła.

Drzwi za nią otworzyły się i zamknęły. Poczuła woń oddechu przesyconego zapachem kiełbasy i papierosów oraz piżmowy odór potu.

– Madame – odezwał się tak blisko jej ucha, że się wzdrygnęła. Ręce mężczyzny ujęły jej biodra z obu stron i ścisnęły.

– Czy ma pani przy sobie broń? – zapytał okropną francuszczyzną. Przesunął dłońmi wzdłuż jej boków, musnął piersi, po czym schylił się i obmacał jej nogi. – Nie ma broni. Dobrze. – Obszedł ją i zajął miejsce za biurkiem, świdrując jasnoniebieskimi oczami. – Siadać.

Usłuchała, składając ręce na kolanach.

– Jestem sturmbannführer von Richter. A pani to Vianne Mauriac, tak?

Potwierdziła skinieniem.

– Wie pani, dlaczego się tu znalazła – nie zapytał, lecz stwierdził, wyjmując papierosa i przypalając go lśniącą zapalniczką.

– Nie – odparła zdławionym głosem, czując, że trzęsą jej się ręce.

– Kapitan Beck zaginął.

– Zaginął? Jest pan pewien?

– Kiedy go pani ostatni raz widziała?

– Nie śledzę poczynań kapitana, lecz skoro pan nalega… Chyba dwa dni temu. Wydawał się czymś niezwykle zdenerwowany.

– Zdenerwowany?

– Chodziło, zdaje się, o zestrzelonego nieprzyjacielskiego pilota. Pan kapitan był bardzo niezadowolony, że nie zdołał go odnaleźć. Uważał, że ktoś prawdopodobnie go ukrywa…

– Ktoś?

Vianne zmusiła się, by nie uciekać wzrokiem, nie podrygiwać nerwowo stopą, nie podrapać się w swędzący kark.

– Przez cały dzień szukał tego pilota. Kiedy wrócił do domu, był… zdenerwowany, to jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy. Wypił całą butelkę brandy i w gniewie stłukł kilka przedmiotów. A potem… – urwała, marszcząc z namysłem czoło.

– A potem…? – przynaglił Niemiec.

– Jestem pewna, że to nie ma znaczenia…

Esesman rąbnął pięścią w blat biurka tak mocno, że lampa podskoczyła.

– Co?

– Pan kapitan krzyknął nagle: „Wiem, gdzie on się ukrywa!”, sprawdził broń i wybiegł z domu, trzaskając drzwiami. Wskoczył na motor i pognał z niebezpieczną szybkością. I tyle… Więcej się nie pokazał. Pomyślałam, że jest zajęty w komendanturze. Jak mówiłam, nie zwracałam uwagi na jego wyjścia i przyjścia.

Von Richter zaciągnął się głęboko papierosem. Jego koniuszek rozżarzył się na czerwono i sczerniał. Popiół spadł na blat biurka. Esesman obserwował ją zza zasłony dymu.

– Żaden mężczyzna nie opuściłby dobrowolnie takiej pięknej kobiety jak pani.

Vianne nie śmiała się poruszyć.

– No cóż – orzekł w końcu, gasząc niedopałek w popielniczce. – Podejrzewam, że młody kapitan nie umiał obchodzić się z bronią tak dobrze jak powinien. Wehrmacht – dodał, kręcąc głową z ubolewaniem. – Często bywają rozczarowujący… Zdyscyplinowani, ale niezbyt… chętni. – Wyszedł zza biurka i zbliżył się do Vianne, więc wstała, by okazać dobre maniery i takąż wolę. – Cóż, droga pani, pech kapitana to mój zysk.

– Tak?

Taksująco popatrzył na jej mlecznobiały dekolt.

– Potrzebuję nowej kwatery. Hotel Bellevue nie spełnia moich oczekiwań. Jestem pewien, że w pani domu będzie znacznie przyjemniej.

Kiedy Vianne wyszła z budynku, czuła się tak, jakby ją fale wyrzuciły na brzeg. Chwiała się i lekko drżała, dłonie miała spocone, czoło swędziało. Na placu pełno było Niemców, głównie w mundurach SS. Usłyszała okrzyk „Halt!”

i odwróciwszy się gwałtownie, zobaczyła esesmana, który kolbą karabinu zmusił dwie wylęknione Żydówki, by uklękły na chodniku. Następnie szarpnięciem poderwał młodszą z powrotem na nogi, starsza krzyknęła cienko. Była to pani Fournier.

Jej syn Gilles wrzasnął: – Nie możecie zabrać mojej mamy – i rzucił się szukać pomocy u dwóch stojących opodal francuskich policjantów.

Jeden z nich chwycił go za ramię i przytrzymał.

– Nie rób głupot, mały!

Vianne się nie namyślała. Jej były uczeń wpadł w tarapaty, zatem do niego podbiegła. Na Boga, był przecież jeszcze małym chłopcem, w wieku Sophie. Uczyła go czytać od elementarza.

– Co wy robicie? – zapytała ostro, o sekundę za późno zdając sobie sprawę, że powinna raczej złagodzić ton.

Drugi z policjantów odwrócił się do niej. To był Paul, jeszcze grubszy niż ostatnio. Nalana twarz błyszczała od tłuszczu.

– Proszę się nie wtrącać – powiedział.

– Madame Mauriac – zawołał chłopiec z rozpaczą – zabierają moją mamę do pociągu! Chcę jechać razem z nią!

Vianne spojrzała na matkę Gilles'a, żonę rzeźnika Fourniera, i zobaczyła w jej oczach rezygnację.

– Chodź ze mną, Gilles – powiedziała madame bez namysłu.

– Dziękuję – szepnęła stara Fournier.

Paul szarpnął chłopca z powrotem.

– Starczy tego. Szczeniak urządza sceny. Idzie z nami.

– Nie! – sprzeciwiła się Vianne. – Paul, proszę, przecież wszyscy jesteśmy Francuzami. – Użyła imienia mężczyzny, chcąc przypomnieć mu to, że w gruncie rzeczy stanowią wspólnotę. Uczyła obie jego córki! – Chłopiec jest obywatelem Francji. Urodził się tutaj!

– Nie obchodzi nas, gdzie się urodził. Jest na mojej liście. Idzie z nami. – Oczy mu się zwęziły jak szparki. – Czy może chce pani wnieść skargę?

Żona rzeźnika płakała, ściskając syna za rękę. Pierwszy z policjantów dmuchnął w gwizdek i trącił Gilles'a w plecy lufą karabinu.

Matka i syn chwiejnie powlekli się z tłumem w kierunku stacji.

„Nie obchodzi nas, gdzie się urodził".

Beck się nie mylił. Bycie Francuzem już nie uchroniłoby Ariego.

Vianne ścisnęła mocniej pod pachą torebkę i ruszyła do domu. Błoto na trakcie sprawiło, że zanim dotarła do bramy Le Jardin, pantofle miała całkiem przemoczone.

Dzieci czekały na nią w salonie. Z ulgi opadły jej ramiona. Uśmiechnęła się znużona, odkładając torebkę.

– Wszystko w porządku? – zapytała z troską Sophie.

Ari natychmiast ruszył do niej z szeroko otwartymi ramionami, powtarzając „mama" i śmiejąc się szeroko na znak, że zrozumiał zasady ich nowej zabawy. Vianne wzięła trzylatka na ręce i mocno przytuliła.

– Zostałam przesłuchana i zwolniona – zwróciła się do Sophie. – To dobre wieści.

– A złe?

Vianne popatrzyła na córkę bezradnie. Sophie dorastała w świecie, w którym koledzy z klasy byli przemocą wsadzani do bydlęcych wagonów i wywożeni w nieznane, by prawdopodobnie więcej nie powrócić.

– Będzie u nas kwaterował inny Niemiec.

– Czy będzie taki, jak kapitan Beck?

Vianne pomyślała o błysku zdziczenia w lodowato niebieskich oczach von Richtera i o sposobie, w jaki ją

przeszukał.

– Nie – odparła cicho. – Nie sądzę, żeby był taki. Nie rozmawiaj z nim, jeśli nie będziesz musiała. Nie patrz na niego, staraj się być niewidzialna, na ile zdołasz. I, Sophie, Niemcy deportują teraz Żydów urodzonych we Francji, dzieci też. Pakują ich do pociągów i wywożą do obozów pracy. – Mocniej przytuliła synka Rachel. – To jest teraz Daniel, twój brat. Zawsze. Nawet wtedy, kiedy jesteśmy sami. Mówimy, że adoptowaliśmy go po śmierci krewnej z Nicei. Nigdy nie możemy się pomylić, bo go – i nas – zabiorą i wywiozą. Rozumiesz? Nie chcę, żeby komukolwiek przyszło do głowy choćby zerknąć na jego dokumenty.

– Boję się, mamo – szepnęła Sophie.

– Tak jak ja, córeczko – to wszystko, co zdołała odpowiedzieć. Tkwiły w tym teraz wspólnie, biorąc na siebie straszliwe ryzyko.

Nie zdążyła dodać nic więcej, bo rozległo się stukanie do drzwi i do domu wkroczył sturmbannführer von Richter. Stanął wyprostowany jak struna i przyglądał się im z twarzą bez wyrazu. Do munduru miał przypięte różne odznaki, których nie znała.

– Madame Mauriac – powiedział. – Z przykrością widzę, że w taki deszcz wróciła pani do domu piechotą.

– No cóż – bąknęła, odgarniając z twarzy mokre kosmyki włosów.

– Trzeba było poprosić moich ludzi o podwiezienie. Taka piękna kobieta jak pani nie powinna człapać po błocie jak jałówka do wodopoju.

– Będę pamiętać, dziękuję. Następnym razem z pewnością się na to odważę.

Przeszedł w głąb domu, nie zdejmując czapki, na której otoku połyskiwała złowrogo trupia czaszka, i z uwagą się rozejrzał.

Była pewna, że spostrzegł jaśniejsze plamy na ścianach w miejscach, gdzie kiedyś wisiały cenne obrazy, a także pusty gzyms kominka i podłogę pozbawioną dywanu. W domu pozostały tylko zwykłe przedmioty codziennego użytku, bez szczególnej wartości.

– Tak… Podoba mi się tutaj. – Przeniósł wzrok na dzieci. – A kogóż my tu mamy? – zapytał w łamanym francuskim.

– To mój syn – odrzekła Vianne i zbliżyła się do córki, by położyć jej rękę na ramieniu. Celowo nie użyła imienia Daniel, obawiając się, że Ari bezwiednie ją poprawi. – I moja córka, Sophie.

– Nie przypominam sobie, żeby kapitan Beck wspominał o dwojgu dzieciach.

– Czemu miałby o tym wspominać, panie sturmbannführer? Dla niego to było niewarte uwagi.

– Dobrze – powiedział i uprzejmie skinął głową Sophie. – Ty, dziewczynko, idź po moje bagaże. A pani – zwrócił się do Vianne – pokaże mi pokoje. Wybiorę sobie ten, który mi się spodoba.

28

Isabelle ocknęła się nagle w całkowicie ciemnym pokoju. Z bólu.

– Obudziłaś się, tak? – powiedział czyjś głos obok niej.

Od razu go rozpoznała. Ileż to razy w ciągu minionych dwóch lat wyobrażała sobie, że leżą razem w łóżku?

– Gaëton – wyszeptała i z jego imieniem wróciły wspomnienia.

Stodoła. Beck.

Usiadła tak szybko, że zakręciło jej się w głowie i poczuła mdłości.

– Vianne – wymamrotała.

– Twoja siostra ma się dobrze. – Gaëton zapalił lampę naftową i postawił ją na odwróconej skrzynce na jabłka. Otoczyło ich kręgiem miękkie, jasnożółte światło, reszta pomieszczenia pozostała zatopiona w nieprzeniknionej ciemności. Isabelle dotknęła bolącego miejsca na ramieniu i skrzywiła się mimowolnie.

– Sukinsyn mnie postrzelił – powiedziała zaskoczona, że mogła zapomnieć coś takiego. Przypomniała sobie, że ukrywała amerykańskiego pilota i została przyłapana przez Vianne… że siedziała w piwnicy z martwym ciałem…

– A ty go zastrzeliłaś.

Przypomniała sobie, jak Beck raptownie podniósł klapę od piwnicy i wycelował w nią lufę pistoletu. Pamiętała dwa strzały… i wspinanie się na górę po drabinie, niemożność

utrzymania równowagi i zawroty głowy. Czy wiedziała, że została ranna?

Vianne ze szpadlem umazanym krwawą breją. Beck leżący obok w kałuży krwi.

Vianne blada jak kreda i drżąca jak osika. „Zabiłam go".

Poza tym niewiele pamiętała, oprócz gniewu siostry. „Nie wracaj tu, już nigdy… A jeśli znów się pojawisz, sama na ciebie doniosę…".

Padła powoli na posłanie. Wspomnienie bolało gorzej niż rana. Choć raz Vianne miała rację, chcąc wyrzucić ją z domu. Co ona sobie myślała, przyprowadzając zestrzelonego lotnika do piwnicy siostry, u której kwaterował niemiecki oficer? Musiała chyba upaść na głowę. Była całkiem szalona. Nic dziwnego, że ludzie jej nie ufali.

– Jak długo tu jestem?

– Od czterech dni. Rana dobrze się goi. Twoja siostra ładnie ją zaszyła. Wczoraj spadła ci gorączka.

– A… Vianne? Na pewno nie ma się dobrze, więc jak?

– Zamierzaliśmy jej pomóc, ale nie chciała opuścić domu. Henri i Didier zakopali zwłoki, posprzątali w stodole i rozebrali motocykl Becka na części.

– Będzie przesłuchiwana – powiedziała Isabelle. – A zabójstwo tamtego człowieka będzie ją prześladować. Nienawiść nie leży w jej naturze.

– Zanim wojna się skończy, to na pewno się zmieni.

Isabelle poczuła przypływ żalu i wstydu.

– Kocham moją siostrę, wiesz? A przynajmniej chcę. Jak to jest, że natychmiast o tym zapominam, kiedy tylko zaczynamy się kłócić?

– Na granicy powiedziała mi coś bardzo podobnego.

Isabelle chciała się przewrócić na bok i jęknęła, gdy poczuła szarpiący ból w ramieniu. Zacisnąwszy zęby, powoli zmieniła

pozycję. Mylnie oceniła wielkość łóżka, wydawało jej się znacznie szersze. Teraz leżeli blisko jak para kochanków, on ze wzrokiem utkwionym w sufit, ona na boku, wpatrzona w niego.

– Vianne pojechała z tobą do granicy?

– Leżałaś w trumnie na wozie. Vianne chciała mieć pewność, że bezpiecznie przeszliśmy. – Isabelle odniosła wrażenie, że Gaëton się uśmiecha. – Zagroziła, że mnie zabije, jeśli się tobą nie zaopiekuję.

– Moja siostra tak powiedziała? – zapytała Isabelle z niedowierzaniem. Ale Gaëton nie był typem człowieka, który by kłamał dla przywrócenia siostrzanej jedności. Patrzyła na jego ostry profil. Unikał jej spojrzenia, odsunąwszy się na samą krawędź łóżka.

– Bała się, że nie przeżyjesz. Oboje się baliśmy – wyznał cicho.

– Przypomina mi to dawne czasy – rzekła ostrożnie, w strachu, że za bardzo się odsłoni. Ale jeszcze bardziej obawiała się milczenia. A kto wie, czy w tych niepewnych czasach będą jeszcze mieli szansę? W tych niepewnych czasach szczerość popłacała. Któż mógł przewidzieć, ile im życia zostało? – Ty i ja sami w ciemności… Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Tours wydaje się odległe o całe życie… – ciągnęła ściszonym głosem. – Byłam wtedy taka młoda.

Nie odpowiedział.

– Popatrz na mnie, Gaëton

– Idź spać, Isabelle.

– Przecież wiesz, że nie dam ci spokoju, dopóki nie będziesz już mógł ze mną wytrzymać.

Westchnął i przetoczył się na bok.

– Często myślę o tobie – powiedziała.

– Niepotrzebnie – odparł szorstko.

– Pocałowałeś mnie – ciągnęła z uporem. – To nie był sen.

– Nie możesz tego pamiętać.

Te słowa sprawiły, że na moment zabrakło jej tchu.

– Pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie – powiedziała.

Pokręcił głową, ale słyszała, że jego oddech przyśpieszył.

– Uważasz, że jestem zbyt młoda, zbyt niewinna i zbyt nieopanowana. Zbyt jakaś pod każdym względem. Przyzwyczaiłam się. Ludzie zawsze tak o mnie mówili. Jestem niedojrzała.

– To nie tak.

– Ale się mylisz. Być może miałeś rację dwa lata temu. Faktycznie powiedziałam wtedy, że cię kocham, co musiało zabrzmieć jak wariactwo. – Wciągnęła ze świstem powietrze. – Ale teraz to nie jest wariactwo. Być może to jedyna sensowna rzecz na tym świecie, Gaëton. To znaczy miłość. Widzieliśmy wysadzane w powietrze budynki i naszych przyjaciół aresztowanych i wywożonych. Bóg jeden wie, czy jeszcze ich kiedyś zobaczymy. Mogłam umrzeć, wiesz? – wyszeptała. – Nie mówię tego, by brać cię na litość. Wiesz, że to prawda. Także jutro któreś z nas może już nie żyć. I wiesz, czego bym żałowała?

– Czego?

– Nas.

– Nie może być żadnych „nas”, Isabelle. Nie teraz. Właśnie to od samego początku próbuję ci powiedzieć.

– Jeżeli obiecam, że dam już temu spokój, to czy odpowiesz mi szczerze na jedno pytanie?

– Tylko jedno?

– Tak. A potem pójdę spać, obiecuję.

Gaëton skinął głową.

– Gdybyśmy się nie ukrywali, gdyby świat nie stał na głowie, gdyby to był zwykły dzień w zwyczajnym życiu, czy chciałbyś,

żebyśmy byli razem?

Zobaczyła, jak twarz mu się kurczy, jak ból wydobywa na jaw uczucie.

– To nie ma znaczenia, czy tego nie widzisz?

– To jedyna rzecz, która ma znaczenie. – W jego oczach zobaczyła miłość. Słowa przy tym bladły.

Isabelle była teraz mądrzejsza niż przedtem. Poznała już kruchość miłości i życia. Może będzie go kochała ledwie przez jeden dzień albo tydzień, a może do późnej starości. Może Gaëton będzie miłością jej życia… miłością czasu wojny… lub tylko pierwszą miłością. Jedno, co wiedziała, to to, że w tym strasznym, przerażającym świecie natrafiła na coś nieoczekiwanego.

I nie zamierzała pozwolić mu zniknąć.

– Wiedziałam – szepnęła do siebie z uśmiechem. Nachyliła się nad nim i spojrzała mu w oczy. Nie odwracając spojrzenia, wyciągnęła rękę i zgasiła lampę.

Przytuliła się do niego w ciemności, ciaśniej owinęła kocami. Na początku leżał nieruchomo, jakby bał się jej dotknąć, lecz stopniowo się rozluźnił. Ułożył się wygodniej i zaczął pochrapywać. W pewnym momencie – nie wiedziała kiedy – zamknęła oczy i położyła mu rękę płasko na brzuchu, czując, jak wznosi się i opada w rytm oddechu. Jakby pod dłonią miała kołyszące się lekko fale letniego morza.

Zasnęła z ręką na ciele Gaëtona.

Koszmary nie chciały jej opuścić. Gdzieś w zakamarkach mózgu słyszała swoje jęczenie i skargę Sophie: „Mama, zabierasz wszystkie koce”, ale nic z tego jej nie obudziło. Śniło jej się, że siedzi na twardym krześle i jest przesłuchiwana. „Ten chłopak,

Daniel… Przecież to Żyd. Oddaj mi go”, mówił von Richter, przystawiając jej pistolet do głowy. Nagle jego twarz się zmieniła, przybrała rysy Becka, który trzymał w ręku fotografię żony i kręcił głową, ale brakowało mu połowy twarzy… Na podłodze leżała zakrwawiona Isabelle, jęcząc słowa przeprosin, a Vianne wrzeszczała na nią: „Nie wracaj tu, już nigdy!”.

Ocknęła się z nieprzyjemnym wzdrygnięciem, oddychając z trudem. Te same koszmary dręczyły ją już od sześciu dni, budziła się z nich wyczerpana i przestraszona. Kończył się listopad, a nadal nie miała żadnych wieści o Isabelle. Wysunęła się spod warstwy koców. Podłoga była zimna, za parę tygodni zrobi się lodowata. Sięgnęła po ciepły szal i otuliła nim zmarznięte ramiona.

Von Richter wziął dla siebie pokój na górze. Vianne oddała mu w użytkowanie całe piętro i przeniosła się razem z dziećmi na parter do mniejszego pokoju gościnnego, w którym spali we troje na podwójnym łóżku.

Dawny pokój Becka. Nic dziwnego, że stale jej się śnił. Wciąż wyczuwała w nim ślad jego zapachu i nie mogła przestać myśleć, że nie żyje, że to ona pozbawiła go życia. Pragnęła odpokutować za swoją zbrodnię, ale jak miałaby to zrobić? Zabiła człowieka, i to przyzwoitego, który nie wyrządził jej żadnej krzywdy. Nie miało znaczenia, że był wrogiem i groził śmiercią jej siostrze. Wiedziała, że dokonała właściwego wyboru. Nie chodziło o dobro czy zło, ale o czyn, jaki popełniła. Morderstwo.

Wyszła z pokoju, starając się jak najciszej zamknąć za sobą drzwi.

Von Richter siedział na kanapie z gazetą w ręce, popijając z filiżanki najprawdziwszą kawę. Aromat był tak silny, że aż zachwiała się z tęsknoty. Niemiec kwaterował u niej już od wielu dni i co dzień rano w domu intensywnie pachniało

świeżo zaparzoną kawą. Von Richter starał się celowo wzbudzić w niej pragnienie. Zarazem pilnował, żeby nie skosztowała ani łyczka. Wczoraj rano na oczach Vianne wylał prawie pełny dzbanek do zlewu, uśmiechając się do niej wrednie.

Był człowiekiem, który dostał trochę władzy i korzystał z niej pełnymi garściami. Poznała to od chwili jego pojawienia się w domu, kiedy bez ceremonii wybrał sobie najlepszy pokój i zarekwirował najcieplejsze koce oraz wszystkie poduszki i świece, zostawiając Vianne jedną lampę naftową.

– Pan sturmbannführer – bąknęła, odruchowo wygładzając workowatą sukienkę i porozciągany rozpinany sweter.

– Jeszcze kawy – odparł, nie podnosząc wzroku znad gazety.

Vianne szybko chwyciła pustą filiżankę i pośpieszyła do kuchni, skąd po chwili wróciła z kawą.

– Alianci tracą tylko czas w Afryce Północnej – mruknął, odbierając filiżankę z jej rąk.

– Tak, panie sturmbannführer.

Nieoczekiwanie złapał ją za nadgarstek, tak mocno, że mimo woli się skrzywiła.

– Zaprosiłem dziś kolegów na kolację. Przygotuje nam pani coś dobrego. I niech pani trzyma chłopaka z dala ode mnie. Te jego piski doprowadzają mnie do szału. – Puścił jej rękę.

– Tak, panie sturmbannführer.

Szybko zeszła mu z oczu i zamknęła się w sypialni. Nachyliła się, obudziła Daniela i wzięła go na ręce, czując ciepło jego oddechu na szyi.

– Mamo – wymamrotał niewyraźnie, zapamiętale ssąc kciuk. – Sophie strasznie chrapie.

Vianne uśmiechnęła się i pieszczotliwie zmierzwiła włosy córki. Zdumiewające, że dziewczynka w tym wieku miała tak mocny sen pomimo wojny, głodu i chłodu.

– Chrapiesz jak traktor, Sophie – zażartowała.

– Bardzo śmieszne – mruknęła obudzona, siadając na łóżku. – Czy Herr Stonka już sobie poszedł? – zapytała.

– Sophie! – oburzyła się Vianne, zerkając z niepokojem na drzwi.

– Nie może nas usłyszeć – uspokoiła ją Sophie.

– Mimo to nie pojmuję – ciągnęła Vianne z udawaną powagą – dlaczego przyrównujesz naszego gościa do stonki. Czy to z powodu upodobania do ziemniaków?

Daniel objął Vianne mocniej za szyję i cmoknął ją soczyście w policzek.

Poklepała go czule po pleckach i pocałowała w czubek głowy. Z oddali dobiegł warkot silnika.

Dzięki Bogu, pomyślała.

– Pojechał – szepnęła z ustami na główce dziecka. – Chodź ze mną, Sophie. – Zaniosła Daniela do salonu, w którym nadal mocno pachniało świeżą kawą i wodą kolońską, po czym zabrała się do codziennych obowiązków.

Odkąd Isabelle pamiętała, ludzie nazywali ją porywczą. A potem nawet lekkomyślną. Przez ostatni rok dorosła na tyle, by umieć dostrzec, że to była prawda. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze najpierw działała, a potem myślała o konsekwencjach. Być może dlatego, że od tak dawna czuła się całkiem samotna. Nie miała bliskich przyjaciół ani znajomych. Nikogo, kto by jej pomógł uporać się z problemami.

Poza tym nigdy się zbytnio nie kontrolowała. Może dlatego, że nigdy nie miała wiele do stracenia.

Teraz dowiedziała się, jak to jest, kiedy człowiek się boi, pragnąc czegoś – lub kogoś – tak bardzo, że aż serce boli.

Dawna Isabelle powiedziałaby po prostu Gaëtonowi, że go kocha, i niech się dzieje co chce.

Nowa Isabelle chciała odejść, nawet nie spróbowawszy działania. Nie wiedziała, czy ma dość siły, aby znieść kolejne odrzucenie.

A jednak…

Byli na wojnie. Czas był luksusem, którego nikt nie miał w nadmiarze. Jutro wydawało się nierzeczywiste jak pocałunek w ciemności.

Stała w ciasnej komórce bez okien pełniącej funkcję łazienki. Gaëton naniósł jej wiadrem gorącej wody na kąpiel, więc pozwoliła sobie na rozkoszowanie się nią, póki woda nie wystygła w miedzianej wannie. Na ścianie wisiało przekrzywione, pęknięte lustro. Odbicie jej twarzy było przez to zniekształcone, jedna połowa znajdowała się niżej niż druga.

– Jak możesz się bać? – zapytała swoje odbicie. Sforsowała w zamieci przełęcz w Pirenejach, przekroczyła wartkie wody rzeki Bidasoa pod nosem hiszpańskich strażników, pewnego razu poprosiła gestapowca, żeby pomógł jej przenieść przez granicę walizkę pełną fałszywych papierów, ponieważ „pan jest taki silny, a ja taka zmęczona podróżą”, ale nigdy nie czuła się tak zdenerwowana jak teraz. Nagle się dowiedziała, że kobieta może jednym wyborem zmienić całe swe życie i wyrwać z korzeniami dotychczasową egzystencję.

Westchnęła ciężko, owinęła się wystrzępionym ręcznikiem i wyszła z łazienki. Przystanęła na moment przed drzwiami, żeby uspokoić bicie serca – nadaremnie – po czym je otworzyła.

Gaëton stał pod zaciemnionym oknem w swoim złachmanionym ubraniu, na którym widać było jeszcze ślady jej krwi. Uśmiechnęła się nerwowo i sięgnęła po róg ręcznika, który zatknęła na wysokości piersi.

Gaëton znieruchomiał, jakby przestał oddychać, jej oddech natomiast przyśpieszył.

– Nie rób tego, Isabelle – powiedział głucho. Oczy mu się zwęziły; kiedyś uznałaby to za oznakę gniewu, ale teraz była już mądrzejsza.

Odwinęła ręcznik i pozwoliła mu opaść na podłogę. Była naga, nie licząc bandaża, którym miała opatrzoną ranę.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał.

– Przecież wiesz.

– Jesteś dziewicą. Trwa wojna. Ja jestem przestępcą. Ilu jeszcze powodów potrzebujesz, żeby trzymać się ode mnie z daleka?

Były to argumenty wzięte żywcem z dawnego świata, który przeminął.

– Gdyby czasy były inne, sprawiłabym, że uganiałbyś się za mną – powiedziała, robiąc krok w jego stronę. – Skakałbyś przez obręcze, żeby ujrzeć mnie nagą. Ale nie mamy czasu, prawda?

Skinął głową w milczeniu, ona zaś poczuła przypływ smutku. Tak właśnie było z nimi od początku, nie mieli czasu na zaloty, oświadczyny, małżeństwo i dzieci. Mogli nawet nie mieć jutra. Isabelle przygnębiało, że jej pierwszy raz będzie skąpany w smutku i obarczony świadomością, że utracą to, co udało im się właśnie odnaleźć, ale taki był teraz świat.

Jednego była pewna, pragnęła, żeby był jej pierwszym mężczyzną. Chciała pamiętać go po kres swoich dni.

– Zakonnice zawsze mnie przestrzegały, że źle skończę. Sądzę, że miały na myśli ciebie.

– Przerażasz mnie, Isabelle – szepnął, podchodząc do niej i ujmując jej twarz w dłonie.

– Pocałuj mnie – wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Pod dotykiem jego warg wszystko się zmieniło, a może to ona się zmieniła? Przeszył ją dreszcz pożądania, pozbawiając tchu. Zatraciła się w jego objęciach i odnalazła na nowo, rozpadła na drobne cząstki i odtworzyła. Wyznanie „kocham cię” paliło jej krtań, domagało się wypowiedzenia. Jeszcze bardziej jednak pragnęła usłyszeć te słowa, skierowane do niej zapewnienie, że jest kochana.

– Będziesz tego żałowała, zobaczysz – szepnął Gaëton.

– Nigdy. – Jak mu to przyszło do głowy? – A ty będziesz żałował?

– Już żałuję – odparł cicho i znowu ją pocałował.

29

Następny tydzień był dla Isabelle szczęściem nieomal bolesnym. Przepełniały go rozmowy przy świecy, trzymanie się za ręce, głaskanie, budzenie nocą pod wpływem pożądania, kochanie się i ponowne zapadanie w sen.

Tego ranka, jak każdego innego, Isabelle obudziła się wciąż jeszcze zmęczona i trochę obolała. Rana w ramieniu już się goiła, ale wciąż swędziała i ciągnęła. Isabelle czuła obok siebie ciało Gaëtona, ciepłe i mocne. Wiedziała, że nie śpi, może rozpoznała to po jego oddechu albo sposobie, w jaki mimochodem pocierał swoją stopą o jej, albo po spokoju, z jakim leżał. W ciągu spędzonych razem dni zaczęła go dobrze poznawać. Zauważała najdrobniejsze szczegóły jego zachowania, powtarzając sobie w duchu: „zapamiętaj to na przyszłość".

Przeczytała w swym życiu niezliczoną ilość romansów i marzyła o dozgonnej miłości, ale nigdy nie myślała, że zwykły stary podwójny materac może stać się dla niej oazą, całym światem. Przytuliła się do Gaëtona i objęła go w pasie. Spod owłosienia na jego klatce piersiowej prześwitywała nieduża blizna. Isabelle powiodła po niej czubkiem palca.

– Brat rzucił we mnie kamieniem. Nie zdążyłem się uchylić – wyjaśnił. – Georges – dodał z czułością w głosie. Przypomniała sobie, że brat Gaëtona został jeńcem wojennym.

Tak mało wiedziała o jego dotychczasowym życiu. Matka była szwaczką, ojciec hodował świnie. Mieszkali gdzieś na odludziu,

w chałupie z jedną wspólną izbą, bez bieżącej wody. Gaëton odpowiadał na jej pytania, lecz dobrowolnie niewiele mówił. Twierdził, że woli słuchać opowieści o tym, dlaczego wyrzucano ją z tylu szkół. „To ciekawsze niż historie o biedakach usiłujących jakoś przeżyć", powiedział.

Wszystkie te rozmowy i historie nie mogły jednak przysłonić faktu, że ich wspólny czas się kończył. Nie mogli przebywać w kryjówce zbyt długo. Właściwie nadmiernie przeciągnęli swój pobyt tutaj. Isabelle czuła się wystarczająco dobrze, by móc podróżować. Nie przeszłaby jeszcze wprawdzie przez Pireneje, ale też nie miała powodu, by wylegiwać się w łóżku.

Jak jednak miała go zostawić? Przecież mogliby już nigdy więcej się nie zobaczyć.

Tego bała się najbardziej.

– Rozumiem to, wiesz? – odezwał się Gaëton.

Nie wiedziała, co miał na myśli, ale bezbrzeżnie smutny ton jego głosu powiedział jej, że to nic dobrego.

– Co rozumiesz? – zapytała, choć wcale nie pragnęła usłyszeć odpowiedzi.

– Że każdy pocałunek może oznaczać pożegnanie.

Zamknęła oczy.

– Tam trwa wojna, Isabelle. Muszę do tego wrócić

Wiedziała to i zgadzała się z nim, choć serce jej się ścisnęło. Wydusiła tylko: „wiem", by nie rozwodzić się nad tym, czego nie mogłaby znieść.

– W Urrugne zbiera się grupa bojowników – zmieniła temat. – Powinnam być tam w środę przed wieczorem, jeśli dopisze nam szczęście.

– Nie mamy szczęścia – osadził ją. – Tyle powinnaś już wiedzieć.

– Mylisz się, Gaëton. Spotkaliśmy się i już nigdy o sobie nie zapomnimy, a to już coś. – Przysunęła się w oczekiwaniu na

pocałunek.

Szepnął coś, jakby „to nie wystarczy”, z ustami na jej wargach, ale nie pytała, bo nie chciała tego słyszeć.

W listopadzie mieszkańcy Carriveau zaczęli przygotowania do kolejnej zimy. Wiedzieli już coś, co w ubiegłym roku jeszcze do nich nie dotarło, że może być jeszcze gorzej. Wojna rozlała się na cały świat, szalała w Afryce, w Związku Sowieckim, Japonii, na jakiejś wyspie Guadalcanal. Niemcy walczyli na tylu frontach, że żywność stała się dobrem jeszcze mniej dostępnym niż opał i prąd. Praktycznie brakowało wszystkiego.

Piątkowy poranek był szczególnie pochmurny i zimny. Niezbyt dobry dzień na spacery, ale Vianne postanowiła, że zrobi to właśnie dzisiaj. Wiele dni zajęło jej podjęcie decyzji, żeby pójść z Danielem do miasteczka, ale wiedziała, że trzeba to zrobić. Ostrzygła kręcone włosy chłopca tuż przy skórze i ubrała go w za duże ubranko, żeby wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości. Nie zaniedbała niczego, by go zamaskować.

Starała się wyglądać swobodnie, gdy szła z dziećmi po obu swych stronach – Sophie i Danielem.

Zajęła miejsce w kolejce przed piekarnią. Wstrzymując oddech, czekała, że ktoś zagadnie ją o chłopca, lecz stojące przed nią kobiety były tak wymęczone i głodne, że nic ich nie interesowało. Gdy dotarła do lady, Yvette podniosła na nią wzrok. Jeszcze dwa lata temu była piękną kobietą o gęstych ciemnych włosach i oczach czarnych jak węgiel. Obecnie wyglądała na przedwcześnie postarzałą i zmęczoną.

– Vianne Mauriac. Nie widziałam pani od jakiegoś czasu… Dzień dobry, Sophie, jak ty urosłaś! – Przechyliła się przez ladę,

by spojrzeć na Daniela. – A kim jest ten przystojny młodzieniec?

– Daniel – odparł z dumą malec.

– Adoptowałam go po śmierci kuzynki Antoine'a, mieszkała w Nicei… – Vianne położyła drżącą dłoń na główce dziecka.

Yvette odgarnęła włosy z czoła i z uwagą przyjrzała się chłopcu. Sama miała trzech synów, jednego w wieku Daniela.

Serce Vianne biło jak szalone.

Yvette podeszła do wąskich drzwi łączących sklep z piekarnią.

– Panie poruczniku – powiedziała. – Może pan tu przyjść?

Vianne kurczowo ścisnęła pałąk wiklinowego koszyka.

Z zaplecza wyszedł tęgi Niemiec niosący naręcze świeżo upieczonych bagietek. Na widok Vianne zatrzymał się i skinął głową. Miał krągłe policzki i mięsiste wargi.

– Madame.

Vianne odkłoniła się sztywno.

– Skończył mi się chleb na dziś, panie poruczniku – zwróciła się do niego Yvette. – Jeśli uda mi się jeszcze dzisiaj coś upiec, najlepsze zostawię oczywiście dla pana i pańskich ludzi. Ale dla tej biednej kobiety nie starczyło nawet byle jakiej bułki.

Niemiec zmrużył oczy i tupiąc podkutymi obcasami, podszedł do Vianne. Bez słowa wrzucił jej do koszyka na wpół zjedzoną bagietkę. Skinął głową i wyszedł ze sklepu przy akompaniamencie małego dzwonka nad drzwiami. Gdy zostały same, Yvette przysunęła się blisko do Vianne.

– Słyszałam, że kwateruje teraz u pani oficer SS. Co się stało z tamtym przystojnym kapitanem?

– Zniknął – odparła Vianne obojętnie. – Nikt nie wie gdzie.

– Nikt? To dlaczego panią przesłuchiwali? Wszyscy widzieli, jak prowadzili panią do merostwa.

– Jestem zwykłą gospodynią domową. Co ja tam mogę wiedzieć o tych sprawach?

Yvette w milczeniu otaksowała ją wzrokiem. Potem się cofnęła.

– Dobra z pani przyjaciółka, Vianne Mauriac – powiedziała cicho.

Vianne krótko kiwnęła głową i pchnęła dzieci do wyjścia. Od dawna już nikt nie przystawał na ulicach, by pogawędzić ze znajomymi. Niebezpieczne mogło się okazać nawet nawiązanie kontaktu wzrokowego, przyjacielskie rozmowy odeszły w przeszłość niczym masło, kawa i wieprzowina.

Vianne przystanęła na popękanym kamiennym schodku porośniętym przemarzniętymi chwastami. Była ubrana w zimowy płaszcz uszyty z pikowanej narzuty na łóżko. Skopiowała wzór z kolorowego czasopisma: dwurzędowe zapięcie, długość do kolan, szerokie klapy i guziki, odcięte od jednego z ulubionych tweedowych żakietów matki. Płaszcz był wystarczająco ciepły na obecną pogodę, wkrótce jednak potrzebne będą dodatkowe swetry i warstwa gazet pod nimi.

Poprawiła chustkę na głowie, zawiązując ją ciaśniej pod brodą, gdy zimny wiatr zawiał silniej, aż zeschłe liście zatańczyły na chodniku.

Wzięła Daniela za rękę i zeszła na ulicę. Po kilku krokach dotarło do niej, że dzieje się coś złego. Wszędzie pełno było Niemców i francuskich policjantów – w samochodach, na motocyklach, pieszo.

Cokolwiek się szykowało, najlepiej było trzymać się z dala od żołnierzy, zwłaszcza od czasu alianckich zwycięstw w północnej Afryce.

– Sophie, Daniel, pośpieszcie się. Wracamy do domu.

Chciała skręcić za najbliższy róg, lecz ulica okazała się przegrodzona blokadą. Sklepy były zamknięte, okna pozasłaniane żaluzjami. Zagrożenie wisiało w powietrzu.

Następna uliczka także była zablokowana i pilnowana przez niemieckich żołnierzy, którzy skierowali ku Vianne broń. Za ich plecami nadciągała kolumna w szyku marszowym.

Vianne mocniej chwyciła dzieci za ręce i ruszyła niemal biegiem, ale kolejne ulice również okazały się zablokowane i strzeżone. Niemcy ewidentnie zaplanowali jakąś akcję. W kierunku rynku zmierzały kolumny autobusów i ciężarówek.

Kiedy Vianne dotarła tam, zatrzymała się zdyszana i przyciągnęła dzieci do siebie.

Ujrzała pandemonium. Ustawione w rzędzie autobusy wypluwały pasażerów, wszystkich z żółtymi gwiazdami. Kobiety i dzieci zaganiano, pchano, spędzono w stado na rynku, który otaczali złowrogim kręgiem Niemcy, podczas gdy francuscy policjanci wyciągali przerażonych ludzi z autobusów.

– Ej, ty! – wrzasnął jeden z nich na wiekowego mężczyznę niedaleko Vianne. – Stać!

Siwowłosy brodaty starzec oparł się ciężko na lasce i odwrócił do policjanta.

Francuz chwycił go za spodnie. Zaatakowany chciał je przytrzymać, ale policjant pchnął go tak silnie, że tamten uderzył w wystawę i stłukł szybę. Wówczas policjant zdarł z niego odzież, pokazując wszystkim obrzezany członek. Potem uderzył go z całej siły kolbą w głowę.

– Mamo! – krzyknęła Sophie ze zgrozą.

Vianne szybko zakryła jej usta.

Inny policjant okręcił sobie wokół ręki długi warkocz młodej kobiety i tak pociągnął ulicą.

– Vianne?

Okręciła się przestraszona na pięcie i ujrzała panią Ruelle z małą skórzaną walizką w ręku. Kobieta trzymała za rękę małego chłopca, drugi, starszy, stał obok niej. Wszyscy mieli naszyte żółte gwiazdy.

– Zabierz moich synów – wyszeptała kobieta z rozpaczą.

– Tutaj? – Vianne rozejrzała się trwożliwie dokoła.

– Nie, mamo – zaprotestował starszy chłopak. – Tata kazał mi opiekować się tobą. Nie zostawię cię samej. Jeśli odejdziesz, po prostu pójdę za tobą. Lepiej trzymajmy się razem.

Z tyłu rozległ się przenikliwy gwizd.

Pani Ruelle pchnęła młodszego chłopca ku Vianne, wetknęła jej do ręki jego drobną dłoń.

– Ma na imię Jean-Georges, jak jego stryj. W czerwcu skończył cztery lata. Rodzina mojego męża mieszka w Burgundii – mówiła szybko, jednocześnie ukradkiem odpruwając od ubranka malca znaczącą go żółtą gwiazdę.

– Nie mam dla niego papierów… Zabiją mnie, jeżeli go wezmę!

– Ej, ty! – ryknął Niemiec w ich stronę. Doskoczył do kobiety i szarpnął ją za włosy tak silnie, że się zatoczyła. Wpadła na starszego syna, który pomógł jej ustać na nogach.

Po chwili oboje zniknęli porwani przez tłum. Młodszy stał obok Vianne, zanosząc się płaczem i wołając matkę.

– Musimy natychmiast stąd odejść – syknęła Vianne, popychając Sophie przed sobą.

Złapała małego Jeana-Georges'a za rękę tak mocno, że rozpłakał się jeszcze głośniej. Za każdym razem, gdy wołał matkę, ściskała go, błagając, żeby się uciszył. Przemykali ulicami, omijając blokady, nie zatrzymując się na widok żołnierzy, którzy kolbami wyważali drzwi domów, wyciągając z nich przerażonych Żydów. Dwukrotnie zostali zatrzymani i przepuszczeni po sprawdzeniu, czy nie mają żółtych gwiazd na ubraniu. Na błotnistym trakcie Vianne w końcu zwolniła kroku, ale nie zatrzymała się, mimo że obaj chłopcy płakali.

Przystanęła dopiero przed bramą Le Jardin.

Czarny samochód von Richtera parkował przed domem.

– O nie – jęknęła Sophie.

Vianne spojrzała na córkę i zobaczyła w jej oczach własny strach. Nieoczekiwanie zrozumiała, jak ma dalej postąpić.

– Musimy spróbować go ocalić, inaczej będziemy tak samo złe jak oni – szepnęła. Nie chciała narażać życia córki, lecz nie miała wyboru. – Trzeba go uratować.

– Ale jak?

– Jeszcze nie wiem – przyznała Vianne.

– Ale von Richter…

Jak gdyby zwabiony dźwiękiem swego nazwiska, Niemiec ukazał się w drzwiach w jak zwykle nienagannie wyglądającym mundurze.

– A, pani Mauriac – powiedział. – Tu pani jest.

– Musiałam zrobić zakupy w miasteczku… – bąknęła Vianne, siląc się na spokój.

– O, fatalnie wybrany dzień, doprawdy. Dziś odbywa się wywózka Żydów. – Podszedł bliżej, tupiąc podkutymi butami. Na stojącej opodal bezlistnej jabłonce trzepotały na wietrze skrawki materiału. Czerwony. Różowy. Żółty. Biały. I nowy, dla Becka – czarny.

– Co to za dzieciak? – zapytał Niemiec, muskając mokry od łez policzek chłopca palcem w skórzanej rękawiczce.

– Synek przyjaciółki… Jego matka zmarła w tym tygodniu na gruźlicę.

Von Richter odskoczył jak oparzony.

– Nie chcę go w domu, czy to jasne? Ma pani w tej chwili zaprowadzić go do sierocińca!

Sierociniec. Matka Marie-Thérèse pomoże.

– Oczywiście, panie sturmbannführer.

Machnął niecierpliwie ręką, jakby mówił: „no już, zabierajcie się stąd”, i odwrócił się do odejścia. Wtem zatrzymał się i spojrzał na Vianne zimnym wzrokiem.

– Dziś wieczorem ma pani zostać w domu, żeby przygotować kolację.

– Codziennie jestem w domu, panie sturmbannführer.

– Jutro wyjeżdżamy i przed wyjazdem ja i moi ludzie chcemy zjeść coś porządnego.

– Wyjeżdża pan? – zapytała, czując ukłucie nadziei.

– Od jutra zaczniemy okupować całą Francję. Koniec z podziałem na strefy. I najwyższy czas, do cholery. Pozwolić wam sobą rządzić to czysty absurd. Dobrego dnia pani życzę.

Vianne stała w miejscu, trzymając rękę Jeana-Georges'a. Ocknęła się dopiero na dźwięk skrzypnięcia furtki i warkot silnika. Chłopczyk znów się rozpłakał.

– Czy matka Marie-Thérèse zgodzi się go ukryć? – zapytała Sophie szeptem, choć samochód z von Richterem odjechał.

– Mam nadzieję. Zabierz Daniela do domu i dobrze zamknij drzwi. Nikomu poza mną nie otwieraj. Postaram się wrócić jak najprędzej.

– Powodzenia, mamo. – Oczy Sophie były nad wiek poważne i smutne.

– Zobaczymy. – Vianne mogła mieć tylko nadzieję, że sprawy się jakoś ułożą.

Gdy jej dzieci znalazły się bezpiecznie w domu, zwróciła się do chłopca u swego boku:

– Chodź, Jean-Georges, pójdziemy na spacer.

– Do mamusi? – zapytał z nadzieją.

– Chodźmy. – Nie mogła spojrzeć mu w oczy.

Kiedy Vianne z malcem szli z powrotem do miasteczka, rozpadał się ulewny deszcz. Jean-Georges na zmianę płakał

i skarżył się żałośnie, ale Vianne była zbyt zdenerwowana, by go słuchać.

Czy mogła prosić matkę przełożoną o podjęcie takiego ryzyka?

A czy miała inne wyjście?

Wśród takich rozterek dotarła do klasztoru. Zakon sióstr od św. Józefa został założony w roku 1650 przez sześć kobiet, które pragnęły służyć ubogim. Z biegiem lat w całej Francji powstało wiele podobnych zgromadzeń liczących w sumie tysiące członkiń, póki po rewolucji francuskiej państwo nie ogłosiło kasaty zakonów.

Vianne podeszła do drzwi i podniósłszy ciężką żelazną kołatkę, zastukała dwukrotnie.

– Dlaczego tu przyszliśmy? – płakał chłopczyk. – Czy mama tu jest?

Vianne uciszyła go szeptem.

Otworzyła im pogodna zakonnica w czarnym habicie.

– A, to ty, Vianne – przywitała ją z uśmiechem.

– Siostro Agatho, jeśli to możliwe, chciałabym porozmawiać z matką przełożoną.

– Zobaczę. – Zakonnica cofnęła się, wpuszczając oboje do środka. – Możecie zaczekać w ogrodzie.

Vianne podziękowała i udała się wraz z chłopczykiem we wskazanym kierunku. Minąwszy zimny korytarz, skręciła w lewo i wyszła na teren wewnętrznego ogrodu. Pośrodku kwadratowej połaci zeschłej teraz trawy stała marmurowa fontanna w kształcie lwiego łba. Tu i ówdzie rozstawiono marmurowe ławki. Vianne wybrała tę pod dachem i posadziła sobie chłopca na kolanach.

Nie czekali długo.

– Vianne! – zawołała matka przełożona, nadchodząc szybko przez trawnik. Długi habit ocierał się o ziemię, palce zaciskała

wokół dużego krucyfiksu na szyi. – Jak miło znów cię widzieć. A kim jest ten chłopiec?

– Czy jest tu moja mama? – zapytał natychmiast Jean-Georges.

Vianne spojrzała znacząco na zakonnicę.

– To Jean-Georges Ruelle, matko. Chciałabym porozmawiać na osobności, jeśli można.

Zakonnica zaklaskała w dłonie i po chwili zjawiła się przy nich młoda nowicjuszka, która odprowadziła chłopca na bok. Kiedy zostały same, matka przełożona usiadła obok Vianne.

Przez długą chwilę milczały, bo Vianne nie mogła zebrać myśli.

– Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki Rachel – rzekła w końcu zakonnica.

– I tylu innych nieszczęśliwych ludzi.

– Radio Londyn podało, że w obozach dzieją się straszne rzeczy – potaknęła tamta.

– Być może Ojciec Święty…

– Ojciec Święty milczy w tej sprawie – ucięła matka Marie-Thérèse tonem nabrzmiałym rozczarowaniem.

– Matka tego dziecka została dzisiaj deportowana razem ze starszym synem. Chłopiec został sam. Przed wywózką powierzyła go… mnie.

– Powierzyła go tobie? – powtórzyła zakonnica z niepokojem. – Ukrywanie żydowskiego dziecka w domu jest niebezpieczne, wiesz o tym.

– Chcę go ochronić – powiedziała Vianne z uporem.

Matka przełożona wbiła w nią wzrok. Milczała tak długo, że Vianne poczuła, jak jej strach zapuszcza korzenie i rośnie.

– A jak chcesz tego dokonać? – przerwała w końcu milczenie.

– Zamierzam go ukryć.

– Gdzie?

Vianne spojrzała na nią bez słowa. Zakonnica zbladła jak kreda.

– Tutaj?

– To sierociniec. Czy może być lepsze miejsce?

Matka Marie-Thérèse wstała, usiadła, znów wstała i przeszła kilka kroków, po czym wróciła do ławki. Złożyła dłonie na krucyfiksie, zwiesiła ramiona i nisko spuściła głowę. Potem wyprostowała się, podjąwszy decyzję.

– Dziecko pod naszą opieką musi mieć dokumenty. Świadectwo chrztu mogę oczywiście załatwić, ale dokument tożsamości…

– Zdobędę te papiery – obiecała Vianne, chociaż nie miała pojęcia, czy to w ogóle możliwe.

– Wiesz, że ukrywanie Żydów jest zabronione. Karą jest wywóz do obozu, i to jak ktoś ma szczęście, a ostatnio szczęścia we Francji zabrakło.

Vianne skinęła głową.

– Wezmę tego chłopca – powiedziała matka przełożona. – Mam miejsce także dla innych żydowskich dzieci – dodała z naciskiem.

– Dla innych?

– Oczywiście, Vianne. Przecież będzie ich coraz więcej. Porozmawiam z pewnym człowiekiem, którego znam w Girot. Też działa w takich sprawach. Przypuszczam, że zna wiele rodzin, które ukrywają osierocone dzieci. Powiem mu, żeby spodziewał się twojej wizyty.

– M-mojej wizyty…?

– Odtąd kierujesz tą akcją. Skoro narażamy życie dla jednego dziecka, to możemy równie dobrze uratować ich więcej. – Zakonnica wstała z ławki i pociągnęła Vianne za sobą. Wzięła ją pod rękę i zaczęły przechadzać się po ogrodzie. – Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Trzeba będzie pouczyć dzieci

o właściwym zachowaniu i załatwić im dobre dokumenty, takie, które przejdą każdą kontrolę. A ty powinnaś tu dostać jakąś posadę… powiedzmy jako nauczycielka, tak, na pół etatu. Będziemy ci wypłacać skromną pensję i dzięki temu unikniemy pytań, dlaczego kręcisz się tu z dziećmi.

– Tak – odrzekła Vianne, czując się roztrzęsiona.

– Nie miej takiej przerażonej miny, moja droga. Robisz dobrą rzecz.

Wiedziała, że to prawda, niemniej wciąż była wystraszona.

– Oto, co z nami zrobili. Boimy się własnego cienia. – Podniosła wzrok na matkę przełożoną. – Jak mam się do tego zabrać? Chodzić po tych głodnych, wystraszonych kobietach i prosić je, by oddały mi własne dzieci?

– Zapytasz, czy widziały swoje koleżanki siłą wsadzane do wagonów i wywożone w nieznane. Zapytasz, czy byłyby gotowe na ryzyko, by ochronić swoje dzieci przed tym losem. Ostateczną decyzję pozostawisz matkom.

– Nie sposób dokonać takiego wyboru. Sama nie wiem, czy byłabym do tego zdolna… Jak miałabym oddać Sophie i Daniela obcej kobiecie?

– Ponoć jeden z tych strasznych ludzi, esesman, kwateruje u ciebie w domu. Rozumiesz, że to działanie narazi ciebie i Sophie na wielkie niebezpieczeństwo?

– Tak, oczywiście. Ale jak mam pozwolić jej myśleć, że bierność w takich czasach jak te jest w porządku?

Matka przystanęła i z uśmiechem pogłaskała Vianne po policzku.

– Uważaj na siebie, dziecko. Byłam na pogrzebie twojej matki. Nie chcę brać udziału w twoim.

30

Pewnego przeraźliwie zimnego dnia w połowie listopada Isabelle i Gaëton wsiedli do pociągu do Bayonne. Wagon był przepełniony, głównie milczącymi niemieckimi żołnierzami, którym ostatnio nie było do śmiechu. Na peronie dworca w Bayonne tłoczyło się ich jeszcze więcej.

Trzymając się za ręce, para konspiratorów ostrożnie przepychała się przez tłum. Pragnęli sprawiać wrażenie zakochanych, którzy wybrali się na wycieczkę do uroczej nadmorskiej miejscowości.

– Moja mama uwielbiała wypady na plażę. Mówiłam ci już o tym? – zaszczebiotała Isabelle z ożywieniem, gdy mijali dwóch ponurych esesmanów.

– Bogate dzieciaki miały ciekawsze życie od mojego.

– Wcale nie byliśmy bogaci, Gaëton – zaprzeczyła z uśmiechem, rozglądając się po placyku przed dworcem.

– Ale jakoś wam się wiodło, nie byliście biedni – odparł. – Za to ja znam prawdziwą biedę. – Umilkł, pozwalając, by przetrawiła jego gorzkie słowa. – Myślę, że mógłbym być kiedyś bogaty – dorzucił po chwili. – W przyszłości. – Westchnął ze smutkiem.

Isabelle od razu się domyśliła, czemu Gaëton posmutniał. Było to przecież powszechne. Każdy się zastanawiał, czy Francja ma przed sobą dobrą przyszłość. Gaëton zwolnił kroku.

Natychmiast spostrzegła, co zwróciło jego uwagę.

– Nie przystawaj – ostrzegł cicho.

Mieli przed sobą blokadę, wokół której kręcili się uzbrojeni po zęby żołnierze.

– Co się tu dzieje? – zapytała szeptem.

– Widzieli nas, nie możemy się teraz wycofać – odparł, nie poruszając wargami. Wziął ją mocniej za rękę i nie zwalniając kroku, ruszył w stronę Niemców.

Zwalisty strażnik zastąpił im drogę i zażądał okazania dokumentów.

Isabelle i Gaëton pokazali mu fałszywe papiery, na które Niemiec ledwie rzucił okiem, bardziej zainteresowany tym, co działo się za jego plecami.

– Tylu tu dzisiaj żołnierzy… – zagadnęła go Isabelle z niewinnym uśmiechem.

– Koniec wolnej strefy – odrzekł Niemiec, pokazując, że mają iść dalej.

– Nie będzie strefy wolnej? Ale…

– Zajmujemy całą Francję – wyjaśnił szorstko strażnik. – Koniec udawania, że wasz rząd Vichy ma tu cokolwiek do gadania. No dalej, przechodzić.

Gaëton pociągnął ją bez słowa za sobą.

Szli przez kilka godzin, mijając po drodze kolumny trąbiących ciężarówek i pieszych żołnierzy.

Dopiero gdy dotarli do nadmorskiej miejscowości Saint-Jean-de-Luz, uwolnili się od widoku niemieckich oddziałów. Ruszyli pustą promenadą, spoglądając na kotłujące się w dole fale Atlantyku, gdzie wąski pas żółtawego piasku trzymał w ryzach potężny, szalejący ocean. W oddali widać było skąpany w zieleni półwysep poznaczony kropkami domów w stylu baskijskim, o białych ścianach, pomalowanych na czerwono drzwiach i jaskrawoczerwonych dachach. Niebo nad głową było sinoniebieskie, jakby wyblakłe, częściowo przesłonięte

chmurami. Byli sami, nikt inny nie spacerował po plaży ani promenadzie.

– Co to znaczy, że koniec wolnej strefy? – zapytała Isabelle, po raz pierwszy od wielu godzin oddychając swobodnie.

– Jedno pewne, to nic dobrego – odrzekł Gaëton. – Twoja działalność stanie się przez to bardziej niebezpieczna.

Dotarli do wysokiego muru i wspięli się na jego szczyt, by popatrzeć na spienione fale. Potem zeszli po pokruszonych kamiennych stopniach i ruszyli z powrotem do miasteczka.

– Kiedy byłam mała, przyjeżdżaliśmy tutaj na wakacje – powiedziała Isabelle. – Oczywiście, dopóki mama żyła. Tak przynajmniej słyszałam, bo sama niewiele pamiętam.

Chciała nawiązać rozmowę, ale jej słowa pozostały bez odpowiedzi. Poczuła narastającą nieuchronność utracenia go, choć trzymał ją za rękę. Dlaczego nie zadała mu więcej pytań podczas spędzonych razem dni, żeby dowiedzieć się o nim wszystkiego? Teraz nie pozostało im już wiele czasu i oboje o tym wiedzieli. Spacerowali, posępnie milcząc.

Wtedy w zapadającym z wolna zmierzchu Gaëton po raz pierwszy ujrzał Pireneje.

Poszarpane, oprószone śniegiem szczyty strzelały w ołowiane niebo, niknąc w chmurach.

– Cholera… Ile razy przebyłaś te góry?

– Dwadzieścia siedem.

– Jesteś niesamowita – uznał.

– Faktycznie – przyznała z uśmiechem.

Szli dalej pustymi uliczkami Urrugne, wspinając się coraz wyżej obok nieczynnych sklepów i kafejek, w których siedzieli starzy mężczyźni. Za miasteczkiem ciągnęła się ścieżka prowadząca do podnóża gór. Po pewnym czasie dotarli do ukrytej w cieniu skał chaty. Z komina unosił się dym.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, spostrzegłszy, że Isabelle zwolniła kroku.

– Będę za tobą tęskniła – odrzekła cicho. – Jak długo możesz zostać?

– Rano muszę ruszać.

Chciała wysunąć rękę z jego dłoni, lecz było to trudne. Ogarnęło ją straszne, irracjonalne przeczucie, że jeśli to zrobi, nie dotknie go już nigdy więcej. Ta myśl ją paraliżowała. Mimo wszystko musiała robić swoje. Uwolniła rękę i trzykrotnie mocno zastukała do drzwi.

Otworzyła jej gospodyni, jak zwykle ubrana w męską odzież, z nieodłącznym gauloises'em w ustach.

– Juliette, chodź, chodź! – ucieszyła się na widok Isabelle. Cofnęła się o krok, wpuszczając ich do izby, gdzie dokoła stołu jadalnego stało czterech lotników. Na kominku żywo płonął ogień, na którym pyrkotał zawieszony nad płomieniami żeliwny sagan, roztaczając kuszące zapachy. Isabelle rozpoznała kozie mięso, bekon, wino, gęsty wywar z warzyw i mięsa, grzyby i szałwię. Niebiański aromat przypomniał jej, że nie jadła od rana.

Gospodyni przedstawiła lotników: trzech pilotów RAF-u i Amerykanina. Brytyjczycy tkwili tu już od kilku dni, czekając na jankesa, który dołączył wczoraj. Jutrzejszego ranka Eduardo miał ich przeprowadzić przez góry do Hiszpanii.

– Miło panią poznać – powiedział jeden z pilotów, mocno potrząsając rękę Isabelle. – Jest pani naprawdę tak piękna, jak nam mówiono.

Piloci zaczęli gadać wszyscy naraz. Gaëton dołączył do nich, jakby należał do ich paczki, Isabelle zaś odeszła na bok z Babineau i wręczyła jej kopertę z pieniędzmi, którą powinna przekazać dwa tygodnie temu.

– Przepraszam za opóźnienie – powiedziała.

– Jesteś usprawiedliwiona. Jak się teraz czujesz?

– Lepiej. – Isabelle poruszyła na próbę ramieniem. – Za tydzień będę już gotowa do ruszenia na szlak.

Baskijka poczęstowała ją papierosem. Isabelle przyjęła gauloises'a i zaciągnęła się głęboko, ukradkiem obserwując pilotów.

– Jak się zachowują? – zapytała.

– Widzisz tego szczupłego, wysokiego… z nosem jak rzymski cesarz?

– Tak, widzę – odrzekła Isabelle z uśmiechem.

– Oznajmił, że jest jakimś lordem, diukiem czy innym dupkiem. W każdym razie Sarah z Pau twierdzi, że jest uciążliwy. Nie zamierza słuchać poleceń dziewczyny.

Isabelle zanotowała tę uwagę w pamięci. Piloci, którzy nie chcieli słuchać się kobiet, nie należeli bynajmniej do rzadkości, spotkała już takich wielu, ale to zawsze komplikowało sprawę.

– Jeden z nich przekazał mi dla ciebie ten list – powiedziała Babineau, podając Isabelle poplamioną, wymiętą kartkę.

Dziewczyna szybko przebiegła wzrokiem treść. Od razu rozpoznała nieporządne pismo Henriego.

Twoja przyjaciółka przetrwała niemieckie wakacje, ale nadal ma gości. Nie zatrzymuj się u niej. Będę miał na nią oko.

Zatem Vianne nic się nie stało, po przesłuchaniu została wypuszczona do domu, ale nadal kwaterował u niej jeden lub kilku Niemców. Isabelle zmięła kartkę i wrzuciła ją do ognia. Nie wiedziała, czy powinna poczuć ulgę, czy też raczej się zmartwić. Odruchowo poszukała wzrokiem Gaëtona, który obserwował ją, rozmawiając jednocześnie z pilotami.

– Widzę, jak na niego patrzysz, wiesz?

– Na diuka Wielkiego Nochala?

Babineau wybuchła ochrypłym śmiechem.

– Jestem wprawdzie stara, ale jeszcze nie oślepłam. Mam na myśli młodego przystojniaka z głodnym wzrokiem. On także nie spuszcza cię z oczu.

– Jutro rano wyjeżdża.

– Ach tak…

Isabelle spojrzała w oczy kobiety, z którą zdążyła się w ciągu dwóch lat zaprzyjaźnić.

– Boję się pozwolić mu odejść, co jest przecież głupie, zważywszy na to wszystko, co ja robię.

– W normalnych czasach ostrzegłabym cię, żebyś była ostrożna. – Spojrzenie starszej kobiety było mądre i współczujące. – Zwróciłabym ci uwagę, że on jest młody i działa w niebezpiecznym interesie, a tacy ludzie w zagrożeniu mogą być nieprzewidywalni. – Westchnęła. – Ale w dzisiejszych czasach wystrzegamy się niemal wszystkiego, więc po co dodawać do tej listy miłość?

– Miłość – powtórzyła Isabelle cichym głosem.

– Powiem ci coś jeszcze, bo sama mam córkę i muszę cię po matczynemu ostrzec: złamane serce boli tak samo podczas wojny i pokoju. Więc pożegnaj się porządnie ze swoim chłopcem.

Isabelle czekała, aż dom ucichnie, na ile było to oczywiście możliwe z czterema mężczyznami śpiącymi na podłodze w jednej izbie, chrapiącymi i przewracającymi się przez sen. Ostrożnie wygrzebała się spod warstwy koców i wyszła przed dom.

Gwiazdy świeciły na bezchmurnym niebie, powietrze było rześkie. Blask księżyca oświetlał korony drzew i sprawiał, że leżące na trawiastym zboczu kozy przypominały srebrzystobiałe punkciki.

Przystanęła pod płotem i zapatrzyła się w dal. Nie czekała długo.

Gaëton zjawił się za nią jak duch i otoczył ją ramionami. Oparła się o niego.

– W twoich objęciach czuję się taka bezpieczna – szepnęła.

Gdy nie odpowiedział, poczuła, że dzieje się coś niedobrego. Jej serce na moment zgubiło rytm. Obróciła się powoli i zajrzała mu w oczy.

– Co jest?

– Isabelle – powiedział tonem, który ją przeraził.

Nie, nie mów mi, pomyślała, cokolwiek to jest, nie mów. W panującej ciszy dźwięki stawały się wyraźniejsze: pomekiwanie kóz, bicie serca, szmer staczającego się w dół odłamka skały.

– Pamiętasz spotkanie w Carriveau, na które szliśmy, a ty znalazłaś lotnika?

– Tak…? – odrzekła ostrożnie. W minionych dniach przyglądała mu się ukradkiem, odnotowując emocjonalne zmiany na jego twarzy, więc teraz wiedziała, że cokolwiek zamierza jej powiedzieć, nie będzie to nic dobrego.

– Odchodzę z grupy Paula. Walczyć… w inny sposób.

– Czyli jaki?

– Bronią – odparł spokojnie. – Podkładaniem bomb. Wszystkim, czym się da. Dołączę do grupy partyzantów, którzy żyją w lesie. Moim zadaniem będzie konstruowanie ładunków wybuchowych. – Uśmiechnął się pod nosem. – I kradzież niezbędnych do tego składników.

– Twoja przeszłość powinna ci w tym pomóc. – Próba obrócenia wszystkiego w żart niezbyt się powiodła. Uśmiech spełzł z twarzy Gaëtona.

– Dostarczanie fałszywych papierów już wychodzi mi bokiem. Potrzebuję czegoś więcej. Dlatego… myślę, że długo się nie zobaczymy.

Skinęła głową, w której huczało: – Jak? Jak mam odejść i zostawić go teraz? – i pojęła, czego bała się od samego początku.

Spojrzał na nią tak czule, jakby ją pocałował. W jego oczach ujrzała odbicie własnego strachu. Być może już nigdy się nie zobaczą.

– Kochaj się ze mną, Gaëton – szepnęła.

Jakby to był ostatni raz, dodała w duchu.

Vianne stała w ulewnym deszczu przed hotelem Bellevue. Szyby były zaparowane, mimo to można było dostrzec w środku szarozielone mundury.

No, dalej, Vianne, nie masz wyboru, napomniała się w duchu.

Ściągnęła ramiona i chwyciła za klamkę. Nad jej głową zabrzęczał cicho dzwonek, a mężczyźni siedzący w skórzanych fotelach jednocześnie spojrzeli w jej stronę. Wehrmacht, SS, gestapo. Poczuła się jak jagnię prowadzone na rzeź.

Henri stał za kontuarem i coś pisał. Podniósł wzrok i zobaczywszy Vianne, szybko ruszył między obecnymi w jej stronę.

– Uśmiech – syknął, ujmując ją pod ramię. Usłuchała, choć wątpiła, by ktokolwiek uwierzył, że jest rozbawiona.

Dopiero przy kontuarze Henri puścił jej łokieć. Mówił coś, śmiejąc się jak z dobrego dowcipu, gdy z powrotem zajmował

miejsce przy kasie i czarnym bakelitowym aparacie telefonicznym.

– Chodzi o pani ojca, prawda? – zapytał głośno. – Pokój na dwie noce, zgadza się?

Skinęła tępo głową.

– Proszę za mną, pokażę pani pokój – powiedział w końcu.

Poszła za nim wąskim korytarzem. Przeszli obok zestawu wypoczynkowego, gdzie na niskim stoliku stała patera z owocami (tylko Niemcy mogli sobie pozwolić na taką ekstrawagancję), i pustej łazienki. Na końcu korytarza znajdowały się wąskie schodki prowadzące na piętro, gdzie znajdował się pojedynczy pokoik, tak ciasny, że mieściło się w nim tylko łóżko i szafka nocna. Jedyne okno było zaciemnione.

– Nie powinna pani tu przychodzić – powiedział Henri, gdy tylko zamknął starannie drzwi. – Przecież wysłałem wiadomość, że z Isabelle wszystko w porządku.

– Tak, tak, dziękuję. – Vianne odetchnęła i spojrzała mu w oczy. – Potrzebuję fałszywych dokumentów. Nie znam nikogo poza panem, kto mógłby mi w tym pomóc.

– To niebezpieczna prośba, madame. – Henri zmarszczył czoło. – Dla kogo te papiery?

– Dla ukrywającego się żydowskiego dziecka.

– Gdzie się ukrywa?

– Nie wydaje mi się, by chciał pan to wiedzieć.

– Nie, nie, chodziło mi o to, czy to bezpieczne miejsce.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami. Kto mógł wiedzieć, czy coś w ogóle jest bezpieczne?

– Słyszałem, że sturmbannführer von Richter kwateruje w pani domu. Przedtem miał pokój w hotelu. To niebezpieczny człowiek. Okrutny i mściwy. Gdyby panią przyłapał…

– Nie można biernie stać i się przyglądać, nie uważa pan?

– Przypomina mi pani siostrę – zauważył.

– Proszę mi wierzyć, nie jestem odważna.

– Postaram się załatwić niewypełnione blankiety – powiedział Henri po długiej chwili milczenia. – Musi się pani nauczyć je fałszować. Jestem zanadto zajęty, żeby się tym zajmować. To niezbyt trudne, wystarczy poćwiczyć, biorąc za wzór własne dokumenty.

– Dziękuję.

Przyglądała mu się przez chwilę, wspominając, jak wiele miesięcy temu przyniósł wiadomość dla Isabelle, Vianne zaś pomyślała, że to kochanek siostry. Teraz wiedziała już, że Isabelle od początku działała w ruchu oporu. Jej praca była ważna i niebezpieczna. Isabelle chciała uchronić siostrę przed tą wiedzą, nawet za cenę wyglądania w jej oczach na głupiego podlotka. Stawiała na to, że Vianne bez oporów uwierzy w najgorszą rzecz o niej.

Vianne wstydziła się za siebie, że tak łatwo dała wiarę kłamstwom siostry.

– Proszę nie mówić Isabelle, że się tym zajmuję. Chciałabym ją chronić – poprosiła.

Henri skinął głową.

– Do widzenia – powiedziała i odwróciła się do drzwi.

– Siostra byłaby z pani dumna – usłyszała za plecami.

Nie odpowiedziała ani nie zwolniła kroku. Ignorując zaczepki żołnierzy na dole, wyszła z hotelu i ruszyła do domu.

Zajęcie przez Niemców całego terenu Francji praktycznie nie wpłynęło na codzienne życie Vianne. Nadal spędzała większość czasu w kolejkach po żywność i artykuły pierwszej potrzeby. Jej największym problemem był Daniel. Wydawało się, że lepiej

ukrywać go w domu, choć nikt ze znajomych nie powątpiewał w jej wyjaśnienia o adopcji chłopczyka po zmarłej kuzynce Antoine'a. (Rozpowiadała o tym wszem wobec i każdemu z osobna, ale ludzie byli zbyt zajęci swoimi sprawami, by zwracać uwagę na jej wyjaśnienia, a może domyślali się prawdy i pochwalali jej decyzję, kto to wie?).

Trzymała teraz dzieci w domu za starannie zamkniętymi na klucz drzwiami. Oznaczało to, że w mieście będzie roztrzęsiona i nerwowa, tak jak dziś. Zgarnęła to, co dostała na kartki, poprawiła chustkę i opuściła sklep rzeźniczy. Była tak zmęczona stawianiem czoła zimnu i własnym nerwom, że dopiero po chwili spostrzegła, iż zrównał się z nią Henri.

Rozejrzał się, lecz na takim zimnie i wietrze ulica była pusta. Żaluzje trzaskały, kawiarniane stoliki były puste. Wręczył Vianne bagietkę.

– Nadzienie jest niezwykłe. To przepis mojej mamy.

Zrozumiała – w środku były papiery. Kiwnęła głową.

– Ostatnio bardzo trudno dostać pieczywo ze specjalnym nadzieniem. Proszę jeść rozumnie – przestrzegł.

– A gdybym potrzebowała… więcej pieczywa?

– Więcej?

– Tyle jest głodnych dzieci.

Przystanął, odwrócił się do niej i ucałował ją ceremonialnie w oba policzki.

– Wówczas proszę mnie znowu odwiedzić.

– Niech pan powie mojej siostrze, że o nią pytałam. Rozstałyśmy się w gniewie.

– Wciąż kłócę się z bratem, nawet podczas wojny. – Henri uśmiechnął się smutno. – W końcu jesteśmy braćmi.

Kiwnęła głową z nadzieją, że taka jest norma. Włożyła bagietkę do koszyka i przykryła ją lnianą ściereczką, na wierzch zaś położyła torebkę płatków owsianych i paczkę okrawków od

rzeźnika. Popatrzyła za oddalającym się mężczyzną. Z każdym jego krokiem jej koszyk sprawiał wrażenie cięższego. Chwyciła mocniej pałąk i ruszyła w dół ulicy.

Już prawie opuszczała plac, gdy usłyszała:

– Pani Mauriac. Co za niespodzianka!

Jego głos był jak kałuża oleju pod jej stopami, śliskiego i lepkiego. Zwilżyła wargi i ściągnęła ramiona, starając się wyglądać na pewną siebie i rozluźnioną. Wczoraj przez cały wieczór tokował, jak łatwe okazało się zajęcie całej Francji. Vianne podała kolację jemu i jego kolegom, obficie dolewała im wina – a on na koniec rzucił resztki kurom. Vianne i dzieci musiały obejść się smakiem.

Był w swym wymuskanym mundurze, z czerwoną opaską ze swastyką i trupią czaszką grożącą z otoku czapki.

– Zakończyła pani na dzisiaj zakupy?

– Tak, panie sturmbannführer. Niewiele można dziś było dostać na kartki.

– Może gdyby wasi mężczyźni nie byli takimi tchórzami, wy, kobiety, nie byłybyście takie głodne – rzekł pogardliwie.

Zagryzła zęby, próbując się uśmiechnąć. Niemiec obserwował ją uważnie. Wiedziała, że jest blada jak ściana.

– Dobrze się pani czuje?

– Świetnie, panie sturmbannführer.

– Proszę pozwolić mi ponieść zakupy. Odprowadzę panią do domu.

– Nie, nie trzeba, naprawdę… – W panice ścisnęła wiklinowy pałąk.

Wyciągnął ku niej dłoń w skórzanej rękawiczce. Nie miała wyboru, musiała oddać mu koszyk.

Wziął go i ruszył żwawym krokiem. Szła o krok za nim, skręcając się wewnętrznie z zażenowania, że afiszuje się z esesmanem na ulicach miasteczka.

Po drodze von Richter mile z nią gawędził – o nieuniknionej klęsce aliantów w Afryce Północnej, o wrodzonym tchórzostwie Francuzów i chciwości Żydów, o ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej, a wszystko takim tonem, jakim wymienia się z przyjaciółmi przepisy kulinarne.

Vianne tak huczało w głowie, że ledwie go słyszała. Raz odważyła się zerknąć w stronę koszyka z wiktuałami. Koniec bagietki wystawał spod ściereczki w biało-czerwoną kratę.

– Dyszy pani jak koń wyścigowy. Źle się pani czuje?

O, właśnie. Doskonały pretekst.

Zakasłała ostentacyjnie, zakrywając usta dłonią.

– Przepraszam, panie sturmbannführer. Miałam nadzieję, że nic mi nie będzie, ale chyba zaraziłam się grypą od mojego synka.

– Czy nie prosiłem, żeby trzymać wasze zarazki z dala ode mnie? – uniósł się von Richter. Oddał jej koszyk z takim impetem, że niemal walnął ją w brzuch. Vianne chwyciła go obiema rękami w strachu, że bagietka mogłaby wypaść i połamać się, rozsypując fałszywe papiery na chodniku.

– B-bardzo pana przepraszam… Jestem taka bezmyślna – jąkała zdenerwowana.

– Nie będzie mnie dzisiaj na kolacji – oznajmił zimno i odwrócił się na pięcie.

Vianne stała jeszcze przez chwilę, na wypadek gdyby Niemiec się obejrzał, po czym pognała do domu.

Von Richter wrócił późno i od razu zamknął się w pokoju. Vianne odczekała do północy, a potem jeszcze godzinę. Cichutko wysunęła się spod kołdry i poszła do kuchni. Wzięła krzesło i zaniosła je do sypialni, po czym dokładnie zamknęła drzwi.

Przystawiła krzesło do nocnej szafki i usiadła. Przyświecając sobie pojedynczą świecą, wyjęła ze skrytki blankiety dowodów tożsamości.

Wzięła do ręki własne dokumenty i długo im się przyglądała, zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Potem wyjęła Biblię i otworzyła. Na niezadrukowanych fragmentach stronic zaczęła ćwiczyć podpisy. Początkowo ręka tak bardzo jej drżała, że pismo wychodziło chwiejne i krzywe, ale z czasem zaczęła nabierać wprawy. Kiedy ręce i oddech się uspokoiły, Vianne sfałszowała świadectwo urodzenia Jeana-Georges'a, nadając mu nowe nazwisko: Émile Duvall.

Ale nowe dokumenty to jeszcze nie wszystko. Co się stanie, kiedy wojna wreszcie się skończy i Hélène Ruelle wróci do Carriveau? Gdyby Vianne już tu nie było (zważywszy na ryzyko, jakie wzięła na siebie, trzeba było brać pod uwagę tę straszną możliwość), prawdziwa matka Émile'a nie miałaby pojęcia, gdzie szukać syna i pod jakim nazwiskiem.

Vianne musiała sporządzić dla każdego dziecka fiszkę z informacjami, jak się naprawdę nazywało, kim byli jego rodzice, czy żyli jacyś krewni. Wszelkie przydatne szczegóły, jakie znała i mogła zanotować.

Wyrwała z Biblii trzy stronice i na każdej z nich sporządziła listę.

Na pierwszej napisała czarnym atramentem:

Ari de Champlain 1
Jean-Georges Ruelle 2

Na drugiej:

1. Daniel Mauriac
2. Émile Duvall

Na trzeciej zaś:

1. Carriveau. Mauriac
2. Klasztor św. Józefa

Starannie zwinęła każdą stronicę w ciasny rulonik. Jutro ukryje je w trzech różnych miejscach. Jeden schowa w szopie w brudnym słoju z gwoździami, drugi w pustej puszce po farbie w stodole, a trzeci w pudełku, które zakopie pod kurnikiem. Fiszki z informacjami zaniesie do klasztoru i odda matce przełożonej.

Po wojnie fiszki i listy, zestawione razem, pozwolą ustalić tożsamość dzieci i ułatwią im powrót do rodzin. Przechowywanie tych danych było oczywiście niebezpieczne, ale jak inaczej można by tego dokonać? Nie było innego sposobu.

Vianne długo wpatrywała się w swoje dzieło. Płomień świecy zaczął pełgać niespokojnie, dzieci wierciły się w łóżku i mamrotały przez sen. Nachyliła się i położyła dłoń na rozgrzanych plecach Daniela, który natychmiast się uspokoił. Potem ostrożnie wśliznęła się pod kołdrę, ale sen nie przychodził. Zasnęła dopiero nad ranem.

31

6 maja 1995 roku
Portland, Oregon

– Uciekłam z domu – powiadam do siedzącej obok młodej kobiety, właściwie jeszcze dziewczyny.

Ma włosy barwy waty cukrowej i więcej tatuaży niż motocyklista z Aniołów Piekieł, ale na ogromnym, pełnym śpieszących się ludzi lotnisku jest sama, zupełnie jak ja. Powiedziała mi, że ma na imię Felicia. Od dwóch godzin jesteśmy towarzyszkami podróży. Zbliżyło nas do siebie ogłoszenie, że nasz lot jest opóźniony. Zbliżenie nastąpiło całkiem naturalnie. Zobaczyła, jak z niechęcią dziobię widelcem ohydne, tłuste frytki, za którymi przepadają Amerykanie, ja zaś zauważyłam, że mi się przygląda. Od razu się domyśliłam, że jest głodna. Naturalnie przywołałam ją do siebie i zaproponowałam, że kupię jej posiłek. Kto raz został matką, będzie nią już zawsze.

– Albo inaczej, być może w końcu wracam do domu po latach uciekania. Czasami trudno poznać prawdę.

– Ja na pewno uciekam – powiada, głośno siorbiąc napój gazowany z kartonowego kubka wielkości wiadra, który jej kupiłam. – Jeśli Paryż okaże się za blisko, to następnym przystankiem będzie Antarktyda.

Zza mnóstwa kolczyków w nosie i w uszach, z gąszczu tatuaży wyłania się dziwnie bliska mi osoba, rodaczka,

pokrewna dusza. Obie jesteśmy uciekinierkami.

– Jestem chora – wyznaję nieoczekiwanie.

– Na co, może na półpasiec? Moja ciotka to miała. Obrzydlistwo.

– Nie, mam raka.

– Aha. – Siorb. Siorb. – No to dlaczego leci pani do Paryża? Nie potrzebuje pani, nie wiem, chemii czy coś?

Zaczynam jej tłumaczyć, że mam dość nieskutecznego leczenia, dawno z tego zrezygnowałam, gdy raptem dociera do mnie sens jej pytania: „Dlaczego leci pani do Paryża?", i milknę.

– A, rozumiem. Pani umiera. – Potrząsa mocno kubkiem, kostki lodu grzechoczą w środku. – Ma pani dość leczenia. Nie ma nadziei i tak dalej, rozumiem.

– Co to ma znaczyć, na litość boską?

Jestem tak głęboko pogrążona w myślach (i nieoczekiwanej brutalności stwierdzenia dziewczyny „pani umiera"), że dopiero po chwili uświadamiam sobie, kto to powiedział: Julien. Podnoszę wzrok na syna. Jest ubrany w granatową marynarkę sportową, prezent ode mnie na tegoroczną Gwiazdkę, i modne sprane dżinsy. Ma włosy w nieładzie (to do niego niepodobne), przez ramię przewiesił skórzaną torbę podróżną. Nie wygląda na zbyt szczęśliwego.

– Paryż, mamo?

– Z głośnika rozlega się: „Lot Air France numer 605. Za pięć minut rozpoczniemy przyjmowanie pasażerów".

– To nasz lot – mówi Felicia.

Wiem, co myśli mój syn. Jako chłopak nie raz błagał mnie, bym go zabrała do Paryża. Chciał na własne oczy zobaczyć miejsca, o których opowiadałam mu przed zaśnięciem, przekonać się, jak to jest spacerować wieczorem nad brzegiem Sekwany, kupować dzieła sztuki na placu Wogezów i siedzieć na ławce w ogrodzie Tuileries, jedząc makaroniki z cukierni

Ladurée. Odmawiałam, za każdym razem podając ten sam argument: „jestem teraz Amerykanką, moje miejsce jest tutaj”.

„Zapraszamy najpierw osoby podróżujące z małymi dziećmi poniżej drugiego roku życia, pasażerów niepełnosprawnych i pierwszej klasy…”.

– To ja – mówię, wstając, i wysuwam uchwyt walizki na kółkach.

Julien zatrzymuje się na wprost mnie, jakby chciał zastawić mi drogę do bramki.

– Tak nagle, całkiem sama, wyjeżdżasz do Paryża?

– Podjęłam decyzję pod wpływem impulsu. Last minute, rozumiesz. Zrób dziś, co masz zrobić jutro. – Posyłam mu najmilszy uśmiech, na jaki mogę się zdobyć w tych okolicznościach. Uraziłam jego uczucia, co nie było moim zamiarem.

– To przez to zaproszenie – mamrocze Julien. – I tę jakąś prawdę, której mi nigdy nie wyjawiłaś.

Po co wspomniałam mu o tym przez telefon?

– Robisz z tego niepotrzebny dramat – powiadam, machając ręką. – Daj spokój. No, muszę już iść do bramki. Zadzwonię…

– Nie ma potrzeby. Lecę z tobą.

Raptem dostrzegam w nim chirurga, człowieka, który przywykł sprawdzać pod warstwą mięsa i krwi, co zostało złamane.

Felicia podnosi plecak, zarzuca go na ramię i ciska pusty kubek do pojemnika na śmieci.

– No i koniec uciekania, koleżanko.

Nie wiem, co czuję – ulgę czy rozczarowanie.

– Masz miejsce obok mnie?

– Nie, no skąd? Załatwiałem lot w ostatniej chwili.

Ściskając rączkę walizki, ruszam w kierunku ładnej dziewczyny w biało-niebieskim mundurku. Zabiera kartę

pokładową, życzy mi miłego lotu, ja zaś kiwam głową i odchodzę.

Posuwam się rękawem. Nagle ogarnia mnie uczucie klaustrofobii, oddycham z trudem, nie mam siły dźwignąć i przenieść walizki przez metalowy próg do samolotu.

– Jestem tu, mamo – mówi cicho syn i robi za mnie tę prostą czynność. Jego głos przypomina mi, że jestem matką, matki zaś nie mają prawa rozklejać się na oczach dzieci, nawet kiedy się boją, a dzieci są całkiem dorosłe.

Stewardesa tylko rzuca na mnie okiem i już przybiera ten zatroskany wyraz twarzy. „Staruszka potrzebuje pomocy". Znam dobrze tę minę, mieszkając tam, gdzie obecnie mieszkam, w domu pełnym samych starych ludzi. Zazwyczaj tak mnie to drażni, że odruchowo prostuję plecy i niecierpliwie odsuwam na bok młodzika, który próbuje mi usłużyć, pewien, że sama sobie nie poradzę, ale teraz jestem zmęczona i trochę przestraszona, więc nie odmawiam przyjęcia pomocnej dłoni. Pozwalam się zaprowadzić do miejsca przy oknie w drugim rzędzie. Wykosztowałam się na bilet pierwszej klasy. Dlaczego by nie? Nie widzę powodu, by dłużej oszczędzać.

– Dziękuję pani – mówię do stewardesy i zajmuję miejsce. Syn wchodzi za mną do samolotu. Uśmiecha się do dziewczyny, która cichutko wzdycha, i myślę: no pewnie. Kobiety wzdychają do Juliena, odkąd przeszedł mutację.

– Czy państwo podróżują razem? – pyta stewardesa i domyślam się, że Julien zyskuje w jej oczach jako troskliwy syn.

– Tak, ale nie było już foteli obok siebie – odpowiada Julien, posyłając jej zniewalający uśmiech. – Siedzę trzy rzędy za matką. – Podaje swoją kartę pokładową.

– O, jestem pewna, że da się coś zrobić – mówi dziewczyna, podczas gdy Julien wkłada do schowka na bagaż podręczny

swoją torbę i moją walizkę.

Wyglądam przez okno, spodziewając się ujrzeć na płycie lotniska mężczyzn w pomarańczowych kamizelkach, którzy ładują bagaże i wymachują chorągiewkami sygnałowymi, ale widzę jedynie szyby zalane deszczem i własne odbicie. Moje oczy uważnie mnie obserwują.

– Bardzo pani dziękuję – słyszę głos Juliena, który siada na sąsiednim fotelu i od razu zapina pas, mocno dociągając na biodrach. – No, dobrze – powiada po dłuższej chwili, gdy tłum przechodzących pasażerów i ślicznych stewardes już nieco zrzedniał, a „nasza" dziewczyna (widzę, że ma świeży makijaż i poprawioną fryzurę) zaproponowała nam po kieliszku szampana. – Zatem to zaproszenie…

– No tak – odpowiadam, wzdychając – zaproszenie. – To początek wszystkiego. Albo koniec, w zależności od punktu widzenia. – Ma się odbyć spotkanie po latach. W Paryżu.

– Nie rozumiem – mówi Julien.

– Bo też nigdy byś nie zrozumiał.

Sięga po moją rękę. Jego dotyk uzdrawia, nie mam co do tego wątpliwości.

W jego twarzy widzę całe moje życie. Widzę dziecko, które było mi dane po długim oczekiwaniu… ślady mojej dawnej urody. W jego oczach widzę całą mnie.

– Wiem, że jest coś, o czym chcesz mi powiedzieć, ale to dla ciebie trudne. Zacznij więc po prostu od początku.

Uśmiecham się mimo woli. Ten mój syn jest stuprocentowym Amerykaninem. Myśli, że każde życie da się sprowadzić do uporządkowanej opowieści, która ma początek, środek i koniec. Nie ma pojęcia o ofierze, która kiedyś złożona nie może zostać całkowicie odwołana ani zapomniana. Zresztą skąd mógłby o tym wiedzieć? Chroniłam go przed tym przez całe długie życie.

A jednak siedzę teraz w samolocie do domu i mam okazję dokonać innego wyboru niż ten, który uczyniłam, gdy mój ból był jeszcze świeży, a przyszłość niemożliwa.

– Później – mówię, tym razem całkiem szczerze. Opowiem mu historię mojej wojny i mojej siostry. Oczywiście bez niepotrzebnych szczegółów, oszczędzę mu najbardziej przykrych fragmentów. Powiem mu w każdym razie dość, by mógł poznać prawdziwszą wersję mnie. – I nie tutaj. Jestem piekielnie zmęczona. – Opieram się wygodnie w wygodnym fotelu i zamykam oczy.

Jak mogę zacząć od początku, skoro myślę wyłącznie o końcu tej opowieści?

32

Jeżeli idziesz przez piekło, nie ustawaj.

WINSTON CHURCHILL

Maj 1944 roku
Francja

W ciągu półtora roku okupacji całej Francji życie jej mieszkańców stało się, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze trudniejsze i bardziej niebezpieczne. Więźniów politycznych internowano w Drancy i uwięziono we Fresnes, a setki tysięcy francuskich Żydów wywieziono do obozów koncentracyjnych na terenie Rzeszy. Sierocińce w Neuilly-sur-Seine i Montreuil zostały opróżnione, a dzieci umieszczone w obozach, podobnie jak te, które przetrzymywano na welodromie, a było ich ponad cztery tysiące. Rozdzielone z rodzicami, znalazły się same w specjalnych obozach. Alianci dzień i noc bombardowali Francję. Codziennie miały miejsce aresztowania, ludzie byli wyciągani z domów i sklepów za najbłahsze przewinienia i wtrącani do więzień lub deportowani. Niewinni zakładnicy byli rozstrzeliwani za niepopełnione czyny, wszyscy mężczyźni w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu lat podlegali wywózce do obozów pracy na terenie Rzeszy. Nikt nie czuł się bezpieczny. Żółte gwiazdy na rękawach przestały być potrzebne. Przechodnie przemykali ze spuszczonymi głowami, nie

nawiązując rozmów z nieznajomymi, jak to dawniej było w zwyczaju. Dostawy prądu wstrzymano.

Isabelle stała na ruchliwym skrzyżowaniu w Paryżu, szykując się do przejścia na drugą stronę ulicy, ale nim zdążyła zrobić krok do przodu, rozległ się dźwięk gwizdka. Odruchowo cofnęła się w cień rozłożystego kasztana.

Ostatnimi czasy Paryż przypominał rozhisteryzowaną kobietę. Ciągłe krzyki, wrzaski, niecichnący zgiełk. Gwizdki, wystrzały, warkot pędzących ciężarówek, wściekłe niemieckie nawoływania. Losy wojny zostały odwrócone. Alianci wkroczyli do Włoch, a Niemcom nie udało się ich odeprzeć. Ponosili dotkliwe straty, co prowokowało ich do coraz większej agresji i aktów terroru. W marcu rozstrzelali w Rzymie ponad trzystu ludzi w odwecie za zamach bombowy partyzantów, w którym zginęło dwudziestu ośmiu Niemców. A wreszcie Charles de Gaulle przejął kontrolę nad wszystkimi oddziałami Wolnych Francuzów i w najbliższym tygodniu szykowało się coś dużego.

Kolumna niemieckich żołnierzy, dowodzona przez oficera na potężnym białym ogierze, maszerowała bulwarem Saint-Germain w kierunku Pól Elizejskich.

Gdy tylko Niemcy przeszli, Isabelle przebiegła przez ulicę i szybko wtopiła się w tłum, idąc ze spuszczoną głową i ściskając w ręku torebkę. Jej ubranie było znoszone jak u większości paryżan, drewniaki głośno stukały o trotuar. Nikt nie nosił już butów na skórzanej podeszwie, bo brakowało skóry. Isabelle mijała długie kolejki kobiet i dzieci, stojące przed piekarniami i masarniami. Od dwóch lat niemal ciągle władze zmniejszały racje żywnościowe i obecnie każdy Francuz musiał przeżyć, spożywając jedynie osiemset kalorii dziennie. Na ulicach nie widywało się psów, kotów ani szczurów. W tym tygodniu w sklepach można było kupić tylko tapiokę i fasolę, nic innego. Na przydworcowym bulwarze piętrzyły się stosy

wartościowych rzeczy odebranych ostatnio wywiezionym Żydom, czekając na transport do magazynów, skąd posortowane i popakowane w skrzynie były wywożone do Rzeszy.

Isabelle weszła do kawiarni Les Deux Magots na bulwarze Saint-Germain i zajęła miejsce z tyłu na czerwonej kanapce z moleskinu. Czekała, postukując niecierpliwie w blat stolika, obserwowana przez posążki chińskich mandarynów. Przy stoliku od frontu siedziała kobieta, która mogła być Simone de Beauvoir. Schylona nad kartką papieru, pisała zapamiętale. Isabelle usiadła wygodniej, była straszliwie znużona. W ostatnim miesiącu trzykrotnie przebyła Pireneje, odwiedzając bezpieczne kryjówki i płacąc swoim przewodnikom. Po zajęciu całej Francji wszelkie tajne operacje stały się znacznie bardziej niebezpieczne.

– Juliette.

Podniosła wzrok i zobaczyła ojca. Postarzał się przez te kilka lat, zresztą nie on jeden. Głód, rozpacz i strach odcisnęły na nim swoje piętno. Skórę barwy piasku głęboko poorały zmarszczki.

Był tak wychudzony, że jego głowa zdawała się nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty ciała.

Wsunął się na małą kanapę naprzeciw Isabelle i złożył pomarszczone dłonie na mahoniowym blacie.

Isabelle serdecznie uścisnęła jego ręce i przytrzymała. Gdy cofnęła palce, miała w nich zwinięty w ciasny rulonik plik fałszywych papierów, które zwinnie wyjęła z rękawa ojca. Ukradkiem wsunęła je za bieliznę i posłała olśniewający uśmiech kelnerowi, który podszedł akurat do stolika.

– Proszę kawę – powiedział ojciec zmęczonym głosem.

Isabelle pokręciła głową.

Kelner wrócił po chwili z filiżanką kawy zbożowej, ukłonił się i odszedł.

– Mieli dzisiaj naradę – szepnął ojciec. – Sami oficerowie wysokiej rangi. Byli też esesmani. Dosłyszałem, że mówili o Słowiku.

– Jesteśmy bardzo ostrożni – odparła szeptem. – A ty, kradnąc blankiety dokumentów, podejmujesz większe ryzyko ode mnie.

– Jestem już stary. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Uważam, że powinnaś zrobić sobie przerwę. Niech ktoś inny pobiega za ciebie po górach.

Spojrzała na niego twardo. Czy ludzie mówią takie rzeczy mężczyznom? A kobiety są przecież integralną częścią ruchu oporu. Dlaczego więc faceci nie potrafią tego dostrzec?

Westchnął, widząc odpowiedź w jej wyzywającym spojrzeniu.

– Masz się gdzie zatrzymać?

Isabelle doceniła tę niewypowiedzianą wprost propozycję. Przypominała jej, jak wiele się między nimi zmieniło. Nadal nie byli sobie bliscy, ale działali razem, a to już coś. Ojciec przestał ją odtrącać, mało tego, proponował jej kryjówkę. Napełniło ją to nadzieją, że pewnego dnia, kiedy wojna się skończy, zdołają ze sobą naprawdę porozmawiać.

– Nie mogę nocować u ciebie. To zbyt duże ryzyko.

Od ponad półtora roku nie odwiedzała dawnego mieszkania. Nie jeździła też do Carriveau i nie utrzymywała kontaktu z Vianne. Niemal nigdy nie przebywała w jednym miejscu dłużej niż trzy dni. W jej życiu nieustannie przewijały się obce pokoje, obskurne kryjówki, zakurzone materace i podejrzliwi nieznajomi.

– Wiesz coś o siostrze?

– Przyjaciele mają na nią oko. Jak słyszę, nie podejmuje zbędnego ryzyka, dba o siebie i bezpieczeństwo córki. Da sobie radę – powiedziała ze szczerą nadzieją.

– Tęsknisz za nią – orzekł ojciec.

Myśli Isabelle pobiegły do przeszłości, choć wcale tego nie pragnęła. Owszem, tęskniła za siostrą, zresztą tak samo jak wcześniej, jak przez całe życie. Zawsze tęskniła za Vianne.

– Czas na mnie. – Ojciec uniósł się z miejsca.

– Ręce ci drżą – zauważyła raptem Isabelle.

– Skończyłem z piciem. Nie najlepsze na to czasy.

– Trudno powiedzieć – odparła z uśmiechem. – Mnie tam picie wydaje się dobrym pomysłem.

– Uważaj na siebie, Juliette.

Jej uśmiech zbladł. Trudno było żegnać się z ludźmi, gdy nie było pewności, czy się ich jeszcze kiedyś zobaczy.

– Ty także.

Północ.

Isabelle kucała w ciemności za popękanym kamiennym murkiem. Znajdowała się w środku lasu, mając na sobie strój wieśniaczki – wytarte ogrodniczki z drelichu, drewniaki i koszulową bluzkę uszytą ze starej zasłonki. Dolatywał do niej zapach dymu z ogniska, ale nie widziała ani odrobiny żaru.

Za jej plecami trzasnęła cienka gałązka.

Isabelle przywarła do ziemi i wstrzymała oddech.

Cichy gwizd naśladujący słowicze trele, zresztą niezbyt udatnie. Odgwizdała zgodnie z umową. Szelest kroków, szmer oddechu.

– Isabelle?

Podniosła się i odwróciła. Padł na nią wątły promień światła ze ślepej latarki i zaraz zgasł. Przestąpiła przez zwalony pień, wpadając prosto w ramiona Gaëtona.

– Stęskniłem się za tobą – wyszeptał, gdy już skończył ją całować i, jak wyczuła, niechętnie cofnął usta. Nie widzieli się

od ponad ośmiu miesięcy. Odczuwała niepokój za każdym razem, gdy docierały do niej wieści o potyczce oddziałów niemieckich z partyzantami, wysadzonym w powietrze pociągu lub bombie podłożonej w zajmowanym przez Niemców hotelu.

Wziął ją za rękę i poprowadził przez las. Było tak ciemno, że nie widziała idącego obok mężczyzny ani ścieżki pod nogami. Gaëton nie włączył latarki. Doskonale znał leśne ostępy, ukrywając się w nich od ponad roku.

Po chwili wyszli na dużą podłużną polanę, na której w szeregu stali mężczyźni z latarkami, poruszając nimi w przód i w tył, jakby dawali sygnały.

Podskoczyła, słysząc nagły ryk silników samolotu. Wydawał się lecieć tuż nad koronami drzew. Potem na niebie pojawił się spadochron. Zaczął opadać, kołysząc podwieszonym pod nim wielkim zasobnikiem.

– Zrzut broni – wyjaśnił Gaëton.

Wziął ją za rękę i zaprowadził z powrotem w głąb lasu, na niewielkie wzniesienie, gdzie partyzanci rozłożyli obóz. Pośrodku obozowiska płonęło ognisko osłonięte leśną gęstwiną. Otaczała je grupka mężczyzn palących i rozmawiających ściszonymi głosami. Większość z nich uciekła do lasu, żeby uniknąć wywózki do pracy przymusowej. Następnie zorganizowali partyzantkę i zaczęli walczyć z wrogiem pod osłoną nocy. Wysadzali niemieckie pociągi i składy amunicji, niszczyli tamy oraz robili wszystko, co mogli, by zakłócić przepływ towarów i ludzi między Francją a Rzeszą. Zaopatrzenie i informacje dostawali od aliantów. Ci, których schwytano, byli rozstrzeliwani na miejscu, jeśli mieli szczęście, toteż wielu nosiło przy sobie cyjanek.

Byli chudzi, zarośnięci i brudni, ubrani najczęściej w ciemne sztruksowe spodnie i obszarpane, połatane kurtki. Na głowach

mieli czarne berety. Choć Isabelle szczerze ich podziwiała, cieszyła się, że nie jest tutaj sama.

– Chodź – powiedział Gaëton. Zaprowadził ją do małego, brudnego namiotu, w którym leżały porozrzucane ubrania, śpiwór i zabłocone wysokie buty. Cuchnęło zastarzałym potem i dawno niepranymi skarpetami.

Isabelle schyliła się i wpełzła do środka. Gaëton wlazł za nią i opuścił płócienną klapę. Nie zapalił świecy ani latarki, by nie ściągać na nich uwagi innych mężczyzn.

– Isabelle – powiedział – tak za tobą tęskniłem.

Przysunęła się do niego bliżej i pozwoliła, by wziął ją w ramiona i pocałował. Gdy pocałunek się skończył – zbyt szybko – zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Mam wiadomość dla twojej grupy, z Londynu. Paul dostał ją dzisiaj przez radio, o piątej po południu. Szyfrem. „Długie łkanie jesiennych skrzypiec”.

Usłyszała jego gwałtowny wdech. To musiało być coś niezwykle istotnego.

– To ważne? – zapytała.

Ujął jej twarz w dłonie, przytrzymał przez chwilę i znowu mocno pocałował. Wyczuła w tym tkliwym geście wielki smutek. Kolejne pożegnanie.

– Na tyle ważne, że muszę cię natychmiast opuścić.

– Nigdy nie mamy czasu dla siebie – szepnęła.

Musieli wyrywać, wykradać każdą spędzoną razem chwilę. Spotykali się i kryli po ciemnych kątach, w brudnych namiotach, dusznych pokoikach i kochali ukradkiem, po ciemku, po czym równie szybko rozstawali. Nigdy nie mogli poleżeć przytuleni jak zwykli kochankowie. Nieodmiennie któreś z nich bardzo się śpieszyło. Przy każdym pożegnalnym uścisku Isabelle myślała, że to koniec, to już ostatni raz, więcej

się nie zobaczą. I daremnie czekała na zapewnienie Gaëtona, że ją kocha.

Wmawiała sobie, że Gaëton darzy ją uczuciem, lecz obawia się ją stracić, a gdyby wyznał jej miłość, jego ból byłby nieporównanie silniejszy. Czasami udawało jej się nawet w to uwierzyć.

– Czy to, co zamierzasz zrobić, jest niebezpieczne?

Milczenie. Jak zwykle.

– Znajdę cię – powiedział cicho. – Być może przyjadę na jeden dzień do Paryża i pójdziemy do kina albo pospacerujemy po parku.

– Jak zakochani – dorzuciła, starając się uśmiechnąć. Zawsze to sobie mówili, o powrocie do normalnego życia, które wydawało się już tylko dawno prześnionym snem, jaki nigdy się nie powtórzy.

– Jak zakochani – powtórzył, muskając jej twarz tak czule, że poczuła łzy pod powiekami.

W ciągu półtora roku narastającej niemieckiej brutalności Vianne udało się zapewnić schronienie trzynaściorgu dzieciom, które ukryła w przyklasztornym sierocińcu. Na początku rozpytywała się w najbliższej okolicy, ale z biegiem czasu matka przełożona skontaktowała się z działającym w Stanach Zjednoczonych Amerykańsko-Żydowskim Komitetem Rozdziału Pomocy, będącym przykrywką dla działań zmierzających do ratowania żydowskich dzieci na ogarniętych wojną terenach. Przedstawiciele owego komitetu skierowali do Vianne więcej dzieci znajdujących się w potrzebie, którym mogła udzielić pomocy. Zdarzało się, że przychodziły do niej zapłakane, nieszczęśliwe kobiety, błagając o pomoc dla swojego

potomstwa. Vianne nigdy nikomu nie odmówiła, ale takie wizyty napełniały ją strachem.

Pewnego gorącego dnia w czerwcu 1944 roku, tydzień po udanej inwazji aliantów w Normandii, gdzie wylądowało ponad sto pięćdziesiąt tysięcy alianckich żołnierzy, Vianne stała w klasie w sierocińcu, patrząc na smutne, skulone w ławkach dzieci. Wydawały się bardzo zmęczone, czemu trudno było się dziwić.

Przez ostatni rok bombardowania trwały niemal nieprzerwanie. Naloty były tak częste, że Vianne przestała sprowadzać dzieci do spiżarni pod kuchnią, gdy alarm odzywał się w nocy. Leżała w łóżku, tuląc przestraszone dzieciaki, dopóki alarm nie został odwołany lub nie ucichły odgłosy bombardowania.

Przerwa w nalotach nigdy nie trwała długo.

Vianne klasnęła w dłonie, by zwrócić uwagę. Może zabawa ożywi nieco smutnych podopiecznych.

– Czy to znowu nalot, proszę pani? – zapytał Émile. Miał już sześć lat i nigdy nie wspominał o mamie. Zapytany odpowiadał, że „zachorowała i zaraz potem umarła”, na tym kończąc wszelkie wyjaśnienia. Już nie pamiętał, że kiedyś nazywał się Jean-Georges Ruelle.

Pięcioletni Daniel też nie pamiętał dawnej tożsamości.

– Nie, to nie nalot – uspokoiła go Vianne. – Po prostu przyszło mi na myśl, że bardzo tutaj gorąco. – Poluzowała zapięcie kołnierzyka.

– To przez te zaciemnione okna, proszę pani – wtrąciła Claudine (dawniej Bernadette). – Matka przełożona mówi, że w wełnianym habicie czuje się jak uwędzona szynka.

Dzieci parsknęły śmiechem.

– To lepsze niż zimowe chłody – rzekła Sophie pouczająco, na co dzieci pokiwały głowami.

– Pomyślałam, że dzisiaj jest dobry dzień na… – zaczęła Vianne, ale nie dokończyła.

Rozległ się warkot motoru, a potem stukot podkutych butów na kamiennej posadzce korytarza.

Klasa zamarła.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Do klasy wszedł von Richter. Na widok Vianne zdjął czapkę i wsunął pod pachę.

– Pozwoli pani ze mną – powiedział.

– Oczywiście, panie sturmbannführer. Dzieci, muszę na chwilę wyjść – zwróciła się do klasy. – Poczytajcie sobie, kiedy mnie nie będzie, tylko proszę o spokój.

Von Richter chwycił ją brutalnie za ramię i pociągnął za sobą na korytarz. Ich kroki odbijały się echem od surowych ścian z kamienia. W ogrodzie szumiała fontanna.

– Przyszedłem zapytać panią o jednego z pani znajomych, niejakiego Henriego Navarre’a.

– Przepraszam, o kogo, panie sturmbannführer? – Vianne modliła się, żeby zachować spokój.

– Henri Navarre.

– Ach, ten hotelarz… Tak. – Zacisnęła dłonie w pięści, by powstrzymać drżenie.

– To pani przyjaciel?

– Nie, panie sturmbannführer – zaprzeczyła. – Znam go, rzecz jasna, to małe miasto…

– Skoro nie mówi pani prawdy w tak prostej sprawie, to zaczynam się zastanawiać, jakie jeszcze kłamstwa mi pani opowiada! – Von Richter posłał jej wściekłe spojrzenie.

– Ależ panie sturmbannführer…

– Widziano panią w jego towarzystwie. – Wzrok von Richtera zapłonął.

On mnie zabije, pomyślała w panice. Tak długo miała się na baczności, starała się schodzić mu z drogi, nie odzywać się, aby go nie rozzłościć, nie patrzeć mu w oczy… Ostatnimi czasy jednak esesman zachowywał w sposób nieprzewidywalny.

– To małe miasto, ale…

– Navarre został aresztowany za pomaganie wrogowi.

Vianne przełknęła głośno ślinę.

– Porozmawiam o tym z panią, ale nie tutaj. W małym pokoju bez okien. Może mi pani wierzyć, że wydobędę z pani prawdę. Dowiem się, czy pani z nim współpracuje.

– Ja?

Ścisnął jej ramię tak mocno, że niemal słyszała jak trzeszczy kość.

– Jeśli się okaże, że pani coś o tym wiedziała – wycedził – zabiorę się do pani bachorów… i to porządnie… a panią wyślę do więzienia we Fresnes.

– Błagam pana, niech pan nie robi im krzywdy.

Po raz pierwszy ośmieliła się go o coś poprosić. Ton desperacji w jej głosie sprawił, że Niemiec znieruchomiał. Jego oddech przyśpieszył. W lodowato niebieskich oczach zapłonęło podniecenie. Przez ponad półtora roku Vianne zachowywała się z nienaganną skromnością, ubierając się jak uboga wieśniaczka, nie ściągając na siebie uwagi, mówiąc tylko „tak” i „nie, panie sturmbannführer”. W jednej chwili wszystko się zmieniło. Obnażyła przed nim swoją słabość, a on natychmiast to wychwycił. Już wiedział, jak dobrać jej się do skóry.

Kilka godzin później Vianne siedziała w ciasnym pokoju bez okien w podziemiach merostwa. Tkwiła sztywno

wyprostowana na niewygodnym krześle, zaciskając ręce na kolanach tak mocno, że zbielały jej kostki.

Przebywała tu już od dłuższego czasu, usiłując wymyślić sensowne odpowiedzi na pytania, które jeszcze nie padły. Ile wiedzieli Niemcy? W co uwierzą? Czy Henri wymienił jej nazwisko?

Nie… Gdyby wiedzieli, że fałszowała dokumenty i ukrywała żydowskie dzieci, nie bawiliby się w żadne przesłuchania, tylko od razu by ją aresztowali.

Drzwi za jej plecami otworzyły się i cicho zamknęły.

– Pani Mauriac.

Zerwała się z miejsca.

Von Richter okrążył ją powoli, nieśpiesznie, macając wzrokiem jej ciało. Miała na sobie pocerowaną, spłowiałą sukienkę i ciężkie drewniaki. Nie nosiła pończoch. Niemyte od dwóch dni włosy przykryła turbanem z cienkiej chustki, wiążąc go nad czołem w duży węzeł. Szminka już dawno jej się skończyła, podobnie jak inne kosmetyki. Zagryzła blade wargi.

Przystanął tuż przed nią i założył ręce z tyłu.

Podniesienie wzroku i spojrzenie prosto w lodowate oczy Niemca wymagało nie lada odwagi. Wyczytała z nich, że znalazła się w poważnych tarapatach.

– Widziano panią na rynku w towarzystwie Henriego Navarre’a. Jest podejrzany o współpracę z bandytami z Limousin, ukrywającą się w lesie jak zwierzęta bandą tchórzy, którzy pomogli aliantom w Normandii.

Vianne słyszała, że podczas inwazji w Normandii grupy partyzanckie w całym kraju dokonywały aktów dywersji, wysadzając w powietrze tory kolejowe, mosty i przełazy. Niemcy pragnęli za wszelką cenę dopaść ich i zniszczyć.

– Ledwie znam tego człowieka, panie sturmbannführer. Nic nie wiem o ludziach, którzy pomagają wrogowi.

– Czy pani ze mnie kpi?

Pokręciła głową.

Zamierzał ją uderzyć. Widziała to w jego oczach, tę chorą, ohydną żądzę. Zalęgła się tam, gdy poprosiła, by nie krzywdził dzieci, a teraz nie wiedziała, jak ją stamtąd wymazać.

Powiódł czubkiem palca wzdłuż linii jej szczęki. Odruchowo cofnęła głowę.

– Naprawdę jest pani taka niewinna?

– Panie sturmbannführer, półtora roku mieszka pan w moim domu. Codziennie mnie pan ogląda. Karmię dzieci, pracuję w ogródku i uczę w sierocińcu. Zapewniam, że nie pomagam aliantom.

Przesunął palce na jej wargi, zmusił, by je rozchyliła.

– Jeśli się okaże, że pani mnie okłamała, zrobię pani krzywdę, dotkliwą. I sprawi mi to przyjemność. – Opuścił rękę. – Jeśli jednak powie pani prawdę tu i teraz, oszczędzę panią i dzieci.

Zadrżała na myśl o tym, co uczyniłby von Richter, gdyby się dowiedział, że przez cały czas mieszkał pod jednym dachem z żydowskim chłopcem.

– Nigdy bym pana nie okłamała, panie sturmbannführer. Proszę mi uwierzyć.

– Coś pani powiem, madame – rzekł cicho, nachylając się do niej. – Mam nadzieję, że pani mnie okłamuje. – Cofnął się raptownie. – Boi się pani – stwierdził z uśmiechem.

– Nie mam się czego bać – odparła słabym głosem.

– Przekonamy się, czy to prawda. Na razie proszę iść do domu. I modlić się, żebym nie odkrył, że zostałem przez panią oszukany.

Tego samego dnia Isabelle pięła się wąską uliczką podgórskiej wioski Urrugne. Za plecami słyszała echo kroków. Podczas jazdy z Paryża jej dwa ostatnie „trele” – major Foley i sierżant Smythe – skrupulatnie wykonywali wszystkie instrukcje, dzięki czemu udało im się przekroczyć kilka punktów kontrolnych. Od pewnego czasu Isabelle nie oglądała się za siebie, ale nie miała wątpliwości, że lotnicy podążają za nią wedle wskazówek, jakich im udzieliła, czyli w odległości około stu metrów.

Na szczycie wzniesienia zobaczyła mężczyznę siedzącego na ławce przed zamkniętym lokalem poczty. Miał przy sobie tabliczkę oznajmiającą, że jest głuchy i niedorozwinięty i czeka na matkę. Rzecz zdumiewająca, ale ten prosty zabieg się sprawdzał.

– Mam parasol – powiedziała Isabelle, podchodząc do niego. Mówiła wprawdzie po angielsku, ale z silnym francuskim akcentem.

– Chyba będzie padać – odrzekł zgodnie z planem.

– Idź co najmniej pięćdziesiąt metrów za mną – poleciła.

Ruszyła samotnie dalej.

Tuż przed wieczorem dobrnęła do chaty Babineau. Na ostatnim zakręcie przystanęła, czekając, aż lotnicy ją dogonią.

Pierwszy nadszedł ten, który czekał na ławce.

– Jeszcze raz dzień dobry szanownej pani – przywitał się, zdejmując pożyczony beret. – Major John Dowd, do usług. Mam przekazać szanownej pani serdeczne pozdrowienia od Sarah z Pau. Pierwszorzędna z niej gospodyni.

Isabelle przywołała na twarz zmęczony uśmiech. Jankesi nieodmiennie wprawiali ją w podziw, byli zawsze radośni i zadowoleni. I tacy wdzięczni za pomoc. Inaczej niż Brytyjczycy, którzy dziękowali z chłodną uprzejmością, ściskając sztywno dłoń. Amerykanie za to zamykali ją

w niedźwiedzim uścisku, jakby była ich najbliższą krewną. Doświadczyła tego niezliczoną ilość razy.

– Mam na imię Juliette – powiedziała.

Jako następny dotarł major Jack Foley. Uśmiechnął się do niej szeroko i rzekł:

– Fajne górki.

– Z ust mi to wyjąłeś – zgodził się Dowd, podając mu rękę. – Dowd. Z Chicago.

– Foley. Z Bostonu. Miło cię poznać.

Pochód zamykał sierżant Smythe. Zjawił się dopiero po kilku minutach.

– Witam panów – powiedział sztywno. – Niezła wspinaczka.

– No to się jeszcze zdziwicie – roześmiała się Isabelle.

Poprowadziła ich do chaty i jak zwykle trzykrotnie zastukała do drzwi.

Ostrożna Babineau najpierw ich obejrzała, dopiero potem wpuściła do środka. Na kominku jak zwykle płonął ogień, a w żeliwnym garze dusiła się pachnąca potrawka z mięsem i ziołami. Stół był już nakryty, przy każdej misce czekała szklanka świeżego koziego mleka.

– Gdzie jest Eduardo? – zapytała Isabelle, rozglądając się po izbie.

– W stodole, z dwoma innymi lotnikami. Mamy kłopoty z żywnością. Wszystko przez te przeklęte naloty. – Czule musnęła policzek Isabelle. – Wyglądasz na zmęczoną. Dobrze się czujesz?

Dotyk był tak przyjemny, że Isabelle przylgnęła na moment policzkiem do ręki kobiety. Zapragnęła zwierzyć się jej z kłopotów, zrzucić na chwilę ciężar, ale i ten luksus pochłonęła wojna. Kłopoty nosiło się samemu. Isabelle nie wspomniała więc, że gestapo zintensyfikowało poszukiwania Słowika i że martwi się o ojca, siostrę i małą siostrzenicę. Bo niby czemu?

Każdy miał krewnych i przyjaciół, o których się martwił. Na mapie wojny widniała niezliczona ilość takich punktów.

Uścisnęła dłonie starszej kobiety. Życie stało się niewyobrażalnie ciężkie, lecz zarazem istniały chwile pocieszenia, jak choćby w tej chwili, gdy Isabelle miała pewność, że wykuta w ogniu przyjaźń jest równie silna jak żelazo. Osamotniona przez większą część życia, nie przestawała doceniać wartości przyjaźni i obecności w swoim życiu ludzi, którym na niej zależało.

– Znakomicie, moja droga.

– A jak tam ten twój przystojniak?

– Nadal podkłada bomby i wysadza wszystko w powietrze. Widziałam się z nim tuż przed inwazją w Normandii. Szykowało się coś dużego, a on tkwił w samym środku wydarzeń. Martwię się…

Usłyszała odległy warkot silnika. Odwróciła się do Babineau.

– Spodziewasz się gości?

– Nikt tutaj nie przyjeżdża.

Lotnicy również to usłyszeli. Rozmowy ucichły. Smythe uniósł wzrok, Foley wyjął zza pasa nóż.

Kozy zaczęły meczeć jedna przez drugą. Za oknem przemknął jakiś cień.

Zanim Isabelle zdążyła ostrzegawczo krzyknąć, drzwi rozwarły się z impetem i do izby wpadli esesmani, wrzeszcząc:

– Ręce do góry!

Isabelle dostała cios w tył głowy kolbą karabinu. Krzyknęła i zatoczyła się w przód.

Nogi się pod nią ugięły i upadła ciężko, uderzając głową o posadzkę.

– Jesteście aresztowani! – usłyszała, nim straciła przytomność.

33

Isabelle ocknęła się na krześle, przywiązana do niego za przeguby i kostki u nóg. Sznur boleśnie wrzynał się w ciało przy najmniejszym ruchu. Z sufitu nad głową zwisała goła żarówka rzucająca jaskrawe światło. Pomieszczenie cuchnęło pleśnią i moczem, ze szczelin w kamiennej ścianie sączyła się woda.

Tuż przed jej twarzą zapłonęła zapałka.

Chciała odsunąć głowę, ale poczuła przeszywający ból i mimo woli jęknęła.

– Dobrze – powiedział ktoś z zadowoleniem. – Ma boleć.

Gestapo.

Oprawca wychynął z mroku, przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw niej.

– Ból – powiedział krótko. – Albo brak bólu. Wybór należy do ciebie.

– Wobec tego brak bólu.

Rąbnął ją z całej siły pięścią. Krew zalała usta, ciepła, o metalicznym posmaku. Poczuła, jak spływa i skapuje po brodzie.

Dwa dni, pomyślała. Byle wytrzymać dwa dni.

Pamiętała, że musi wytrwać przynajmniej tyle, czterdzieści osiem godzin, nie podając Niemcom żadnych nazwisk. Jeśli da radę i nie pęknie, jej ojciec, jej towarzysze: Gaëton i Henri, Didier, Paul i Anouk, zyskają cenny czas, żeby się ukryć i uratować życie. Dowiedzą się niebawem, że została

aresztowana, o ile już nie wiedzieli. Eduardo przekaże wiadomość, a potem sam się ukryje. Taki był plan.

– Nazwisko – warknął Niemiec.

– Juliette Gervaise. – Krew płynęła ciurkiem po brodzie, ściekała po szyi na kolana. – Ale przecież pan to wie. Widział pan moje dokumenty.

– Mamy dokumenty mówiące, że nazywasz się Juliette Gervaise, zgadza się.

– Więc po co mnie o to pytacie?

– Prawdziwe nazwisko!

– Juliette Gervaise.

– Miejsce urodzenia? – zapytał, oglądając swe wypielęgnowane paznokcie.

– Nicea.

– Po co przyjechałaś do Urrugne?

– A byłam w Urrugne? – zapytała niewinnym tonem.

Wyprostował się i spojrzał na nią z błyskiem zainteresowania.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia dwa, tak mi się zdaje. Dawno nie obchodziłam urodzin.

– Wyglądasz na młodszą.

– Ale czuję się starsza.

Podniósł się powoli i stanął, górując nad nią.

– Pracujesz dla Słowika. Chcę znać jego nazwisko.

Zatem nie wiedzieli, kim była!

– Nie znam się na ptakach.

Cios przyszedł niespodziewanie, szybki i tak silny, że cudem nie urwał jej głowy. Piekielny ból rozsadził czaszkę.

– Mów, co wiesz o Słowiku!

– Już powiedziałam…

Tym razem smagnął ją metalową linijką w policzek. Skóra pękła, polała się krew.

– Słowik – warknął z zimnym uśmiechem.

Plunęła z całej siły, ale zyskała tyle, że bańka krwawej śliny wylądowała na jej kolanach. Pokręciła głową, żeby rozgonić mroczki w oczach, i od razu tego pożałowała.

Podszedł do niej powoli, miarowo uderzając zakrwawioną linijką w otwartą dłoń.

– Jestem obersturmführer Schmidt z posterunku gestapo w Amboise. A ty jesteś…?

On mnie zabije, pomyślała Isabelle, oddychając z trudem. Oblizała zakrwawione wargi, czując metaliczny posmak na języku.

– Juliette Gervaise – wyszeptała, modląc się, żeby jej uwierzył.

Nie wytrzyma dwóch dni przesłuchania.

Przed takim ryzykiem wszyscy ją ostrzegali, tak wyglądała okropna prawda, której nie chciała przyjąć do wiadomości. Wydawało jej się, że bierze udział w znakomitej przygodzie, a tymczasem… Jeśli się załamie, to zginie, pociągając za sobą ludzi, których kochała.

– Mamy większość twoich wspólników. Nie ma sensu umierać po to, żeby chronić trupy.

Jak poznać, czy to prawda?

Nie. Gdyby to była prawda, ona też byłaby trupem.

– Nazywam się Juliette Gervaise – powtórzyła z trudem.

Walnął ją linijką na odlew tak mocno, że krzesło przewróciło się bokiem na podłogę. Isabelle uderzyła głową o kamienną posadzkę i w tej samej chwili oprawca wymierzył jej kopniaka w brzuch czubkiem wysokiego buta. Ból był nie do zniesienia, czuła, że za chwilę zemdleje. Zdążyła jeszcze usłyszeć: „Podaj mi nazwisko Słowika”, ale nie była w stanie odpowiedzieć, nawet gdyby tego chciała.

Kopnął ją ponownie, wkładając w to całą siłę.

Wraz ze świadomością powrócił ból.

Był wszędzie. W głowie, twarzy, brzuchu, w całym ciele. Uniesienie głowy wymagało wielkiego wysiłku, a zarazem odwagi. Była nadal skrępowana, więzy wpijały się w ciało tak samo jak przedtem. Miała od nich rany na przegubach i kostkach u nóg.

Gdzie jestem? – zadała sobie pytanie.

Otaczała ją ciemność, ale inna niż zwykle, inna niż w nieoświetlonym pokoju. To było coś innego, nieprzenikniona, atramentowa czerń napierająca na jej poobijaną twarz. O kilka centymetrów od twarzy wyczuła ścianę. Spróbowała leciutko poruszyć stopą, by wymacać cokolwiek przed sobą, lecz wtedy ból z triumfalnym rykiem wpił zęby w poranioną kostkę.

Zamknęli ją w jakiejś skrzyni.

Było jej straszliwie zimno. Czuła, że z ust wydobywają się obłoczki pary. Włoski w nozdrzach zamarzły. Trzęsła się w niekontrolowany sposób.

Wrzasnęła ze strachu. Krzyk odbił się głuchym echem i zamarł.

Zamarzała.

Dygotoła jak szalona i szczękała zębami. Wilgotny oddech parował, marzł na jej wargach. Rzęsy miała sztywne od lodu.

Myśl, Isabelle, myśl… Nie poddawaj się.

Poruszyła się odrobinę, walcząc z bólem i zimnem.

Siedziała, mając skrępowane ręce i nogi.

Naga.

Zamknęła oczy, czując obrzydzenie na myśl, że ją rozbierał, dotykał, kiedy była nieprzytomna.

W nieprzeniknionej ciemności zdała sobie nagle sprawę z cichego, ale wyraźnego szumu. Na początku myślała, że to krew pulsuje jej w skroniach albo wali serce, desperacko próbując pozostać przy życiu, ale nie, to było coś innego.

Silnik. Szumiał gdzieś blisko. Rozpoznała dźwięk, ale nie wiedziała, co to było.

Zadrżała, usiłując poruszać zdrętwiałymi palcami stóp i rąk, by pobudzić krążenie w kończynach. Przedtem bolały ją stopy, potem czuła mrowienie, a teraz… nic. Poruszyła głową i mocno o coś uderzyła. Była naga, przywiązana do krzesła wewnątrz…

Lodowate zimno. Ciemność. Regularny szum. Ciasnota…

Lodówka.

Wpadła w panikę, zaczęła gorączkowo szarpać więzy, próbowała przewrócić się razem ze swoim więzieniem, ale nic nie wskórała. Osłabła jedynie i zabrakło jej tchu. Nie mogła zmienić pozycji, palce stóp i rąk odmówiły posłuszeństwa, bo z zimna straciła w nich czucie. Błagam, tylko nie tak, nie w ten sposób…

Zamarznie na śmierć. Albo udusi się z braku powietrza.

Szmer jej drżącego oddechu powracał do niej echem, otaczał jak kłąb wilgotnej waty. Zaczęła płakać, ale łzy zamarzały, zamieniały się w sople na policzkach. Pomyślała o ludziach, których kochała – o Vianne, Sophie, Gaëtonie, ojcu… Dlaczego, kiedy miała sposobność, nie powtarzała im codziennie, jak bardzo ich kocha? A teraz umrze bez przebaczenia Vianne i nie poprosiwszy jej o wybaczenie.

Vianne, myślała gorączkowo. Tylko tyle. Jedno słowo. Imię. Po części modlitwa, po części żal i pożegnanie.

Na każdej latarni na rynku wisiał trup.

Vianne stanęła jak wryta, nie wierząc własnym oczom. Pod jednym z powieszonych stała stara kobieta, unosząc ręce w geście rozpaczy. Słychać było skrzypienie naprężonych sznurów. Vianne ruszyła powoli przez rynek, pilnując się, by nie podejść zbytnio do latarń.

Sine, napuchłe, kołysane wiatrem zwłoki.

Wisielców było dziesięciu; Vianne odruchowo ich policzyła. Sądząc po ubiorze, byli Francuzami, partyzantami z lasu, którzy ostatnio dawali się Niemcom we znaki. Mieli sztruksowe spodnie i trójkolorowe opaski na rękawach.

Vianne podeszła do starej kobiety i ujęła ją stanowczo pod łokieć.

– Nie powinna pani tu stać – wyszeptała.

– Mój syn – odparł kobieta ochryple. – On nie może tu zostać…

– Proszę. – Vianne zdecydowanie pociągnęła ją za sobą i wyprowadziła z rynku. Na ulicy La Grande nieznajoma wyrwała jej się i śpiesznie oddaliła, mamrocząc pod nosem i łkając.

Po drodze do rzeźnika Vianne minęła jeszcze trzy latarnie z wisielcami. Carriveau jakby wstrzymało oddech. Przez kilka miesięcy alianci regularnie bombardowali miasteczko i okolicę, wiele domów zostało zburzonych, zamieniło się w stosy gruzu. Trzeba było zachowywać czujność, gdyż w każdej chwili kawał muru mógł się oberwać i spaść na głowę.

W powietrzu dawał się wyczuć odór śmierci, panowała przeraźliwa cisza, w każdym zakamarku czaiło się niebezpieczeństwo.

Kobiety w kolejce do rzeźnika rozmawiały ściszonymi głosami.

– Odwet…

– W Tulle było gorzej…

– Słyszała pani o Oradour-sur-Glane?

Mimo trwających już od tak dawna aresztowań, wywózek i egzekucji Vianne nie była w stanie uwierzyć w najświeższe pogłoski. Ponoć poprzedniego ranka Niemcy wkroczyli do malowniczo położonego miasteczka Oradour-sur-Glane, niezbyt oddalonego od Carriveau, i spędzili mieszkańców do kościoła rzekomo w celu sprawdzenia dokumentów.

– Wszystkich, co do jednego – szepnęła zagadnięta przez Vianne starsza kobieta. – Mężczyzn, kobiety i dzieci. Hitlerowcy najpierw wszystkich wymordowali, potem zabili na głucho drzwi do kościoła i go podpalili. Spłonął doszczętnie, z ludźmi w środku. – Oczy kobiety napełniły się łzami. – Tak było, to prawda.

– To niemożliwe – zaoponowała Vianne zduszonym głosem.

– Moja Dedee widziała, jak Niemiec strzelił ciężarnej kobiecie w brzuch.

– Jak to: widziała? – zdumiała się Vianne.

– Dedee wiele godzin przesiedziała ukryta w kurniku, widziała miasto w płomieniach. Mówiła mi, że nigdy nie zapomni tych krzyków. Nie wszyscy byli martwi, kiedy tamci podłożyli ogień.

Prawdopodobnie był to odwet za pojmanie przez partyzantów wyższego rangą niemieckiego oficera.

Czy taka sama rzeź mogłaby wydarzyć się tutaj? Czy jeśli wojna przybierze dla Niemców zły obrót, gestapo i SS spędzą mieszkańców Carriveau do merostwa i otworzą ogień?

Wyszła ze sklepu z małą puszką oliwy, którą w tym tygodniu można było dostać na kartkowy przydział, i naciągnęła kaptur

na oczy.

Ktoś chwycił ją za ramię i mocno pociągnął w lewo. Vianne potknęła się, straciła równowagę i omal nie upadła.

W mrocznym zaułku mężczyzna odsłonił twarz.

– Tata! – wyjąkała Vianne, zbyt zaskoczona, by powiedzieć coś więcej.

Natychmiast zauważyła, jak bardzo się postarzał. Miał twarz pooraną zmarszczkami, pod oczami obwisłe worki, był chorobliwie blady i niemal całkiem siwy. Do tego straszliwie wychudzony, dosłownie skóra i kości, na zwiotczałych policzkach i pomarszczonych dłoniach widniały starcze plamy wątrobowe. Przypomniało jej się, że po powrocie z Wielkiej Wojny też wyglądał na wyniszczonego.

– Czy jest jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać w spokoju? – zapytał. – Wolałbym się nie spotkać z tym twoim szwabem.

– Nie jest moim szwabem, ale tak, znam takie miejsce. – Nie była zbytnio zdziwiona, że nie chciał się nadziać na von Richtera.

– Dom w sąsiedztwie mojego, od wschodniej strony, od dawna stoi pusty. Niemcy uważają go za zbyt mało komfortowy i ciasny na swoją kwaterę. Możemy się tam spotkać.

– Za dwadzieścia minut – rzekł i odszedł szybkim krokiem.

Vianne poprawiła kaptur, rozejrzała się na boki i wyszła z zaułka, ruszając w stronę domu. Idąc szybkim krokiem jak zwykle błotnistą drogą, starała się domyślić, dlaczego ojciec postanowił ją raptem odwiedzić. Przypuszczała, że Isabelle mieszka z nim w Paryżu, choć od dawna nie miała wieści od siostry. Równie dobrze mogli oboje wieść oddzielne życie w tym samym mieście. Wprawdzie Henri donosił jej czasem, że Isabelle ma się dobrze, ale siostra nie odezwała się do niej od tamtej strasznej nocy w stodole.

Przemknęła obok terenu lotniska, na którym wciąż jeszcze stały dymiące po ostatnim bombardowaniu wraki samolotów.

Przystanęła pod furtką domu Rachel i ostrożnie rozejrzała się dokoła. Nikt za nią nie szedł ani jej nie obserwował. Wemknęła się na podwórko i pobiegła do opuszczonego domu. Drzwi wejściowe wisiały na jedynym ocalałym zawiasie. Vianne na palcach weszła do środka.

W domu było ciemno i pełno kurzu. Prawie wszystkie meble zostały już wcześniej zarekwirowane lub padły łupem szabrowników, została jedynie stara, poplamiona kanapa ze złamaną nogą w największym pokoju. Vianne miała ochotę na niej usiąść, ale wklęśnięte poduchy pokrywała gruba warstwa kurzu, zatem zrezygnowała. Stała pośrodku pokoju, postukując obcasem w brudną podłogę.

Ze zdenerwowania zaczęła obgryzać paznokcie. Wreszcie usłyszała kroki, podbiegła do okna i uniosła żaluzję.

Ojciec stanął pod drzwiami. Z trudem przychodziło jej pogodzić się z tym, że ten schorowany starzec naprawdę jest jej ojcem.

Wpuściła go do domu. Spojrzał na nią i zmarszczki mu się pogłębiły, fałdy skóry wyglądały jak kieszenie topiącego się wosku. Przejechał ręką po przerzedzonych włosach. Przydługie siwe kosmyki podniosły się jak naelektryzowane.

Podszedł do niej powoli, lekko utykając. Ten charakterystyczny dla niego sposób szurania stopami przeniósł ją jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w odległą przeszłość. Mama prosząca żałośnie: „Daruj mu, Vianne, on nie jest już dawnym sobą i nie może przebaczyć sam sobie… To my musimy udzielić mu przebaczenia…”.

– Vianne – wypowiedział jej imię miękko, nieco przeciągle. To z kolei przypomniało jej czasy, kiedy ojciec jeszcze był sobą. Ta myśl była już zresztą dawno zapomniana. Po powrocie ojca

z wojny Vianne pogrzebała głęboko wszystkie wspomnienia, a z biegiem lat o nich zapomniała. Nieoczekiwanie do niej powróciły. Przeraziły ją własne uczucia. Przecież ojciec tyle razy ją zranił.

– Tato.

Podszedł do kanapy i usiadł, nie przejmując się kurzem. Wygnieciona poducha ledwie się ugięła pod jego niewielkim ciężarem.

– Byłem dla was okropnym ojcem.

Zaskakujące i jakże prawdziwe wyznanie… Vianne nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Już za późno, żeby to naprawić – ciągnął, wzdychając.

Usiadła jednak obok niego na kanapie.

– Nigdy nie jest za późno – rzekła ostrożnie. Czy była z nim szczera? Czy umiałaby mu wybaczyć?

Tak. Ta odpowiedź pojawiła się naturalnie, choć zarazem nieoczekiwanie, zupełnie jak on sam.

– Chciałbym ci tyle powiedzieć – ojciec zwrócił się do niej – ale nie mam na to czasu.

– Możesz tutaj zostać – zaczęła – zajmę się tobą i…

– Isabelle została aresztowana za udzielanie pomocy wrogowi. Siedzi w więzieniu w Girot.

Vianne wydała zdławiony okrzyk. Zalało ją tak silne poczucie żalu i straty, zmieszane z poczuciem winy, że zabrakło jej tchu. Jak brzmiały jej ostatnie słowa do siostry? „Nie wracaj tu, już nigdy!”.

– Co możemy dla niej zrobić?

– My? – zapytał. – To uroczo beztrosko postawione pytanie. Oczywiście tobie nie wolno nic robić. Masz zostać tu, w Carriveau, i jak zwykle trzymać się z dala od kłopotów. Dbać o bezpieczeństwo mojej wnuczki i czekać na powrót męża.

Vianne ugryzła się w język, by nie zaprzeczyć gorąco: „Tato, jestem teraz zupełnie inną osobą! Pomagam ukrywać żydowskie dzieci”. Tak bardzo pragnęła ujrzeć w jego zmęczonych oczach dumę ze starszej córki.

No dalej, powiedz mu o wszystkim…

Nie mogła tego zrobić. Siedział przygarbiony jak starzec, złamany i zagubiony. Z trudem rozpoznawała w nim mężczyznę, jakim był kiedyś. Nie potrzebował wiedzieć, że Vianne ryzykuje życie jak młodsza córka, lepiej, by się nie trapił, że może stracić je obie. Niech myśli, że Vianne jest bezpieczna w cichym Carriveau. Że z tchórzostwa niczego nie ryzykuje, dbając tylko o własne bezpieczeństwo.

– Kiedy wojna się skończy, Isabelle będzie chciała od ciebie usłyszeć, że postąpiła słusznie. Bo wiem, że będzie się tym gryzła. Zacznie myśleć, że powinna zostać tu z tobą i Sophie i opiekować się wami. Będzie miała wyrzuty sumienia, że zostawiła cię tu z tym Niemcem, co do tego nie mam wątpliwości.

Vianne wychwyciła wyznanie, jakie ojciec uczynił między wierszami. W jedyny możliwy sposób opowiadał jej własną historię, choć mówił rzekomo o Isabelle. Chciał rzec, że niejednokrotnie zadawał sobie pytanie, czy postąpił słusznie, wstępując do wojska w czasie Wielkiej Wojny, i zamartwiał się, że ucierpiało na tym dobro jego rodziny. Zdawał sobie sprawę, że wrócił z frontu jako człowiek odmieniony, a straszne przeżycia i ból, jakich doświadczył, oddaliły go od żony i córek, zamiast zbliżyć. Żałował, że odtrącił od siebie rodzinę, zwłaszcza córki, i odesłał je pod opiekę obcej kobiety.

Taki wybór musi być niesłychanym ciężarem. Po raz pierwszy Vianne spojrzała na swoje dzieciństwo okiem dorosłej osoby, i to doświadczonej przez wojnę. Wojaczka złamała ojca,

zawsze to wiedziała. Mama powtarzała jej wielokrotnie to, co Vianne zrozumiała dopiero teraz.

To go złamało.

– Ty i Isabelle będziecie częścią pokolenia, które przeżyje ten czas i go zapamięta – ciągnął ojciec. – Niektóre sprawy trudno będzie wspominać, ale nie da się ich zapomnieć. Będzie wam potrzebna bliskość, powinnyście być razem. Okaż Isabelle, że jest kochana. To smutne, lecz ja nigdy tego nie umiałem. A teraz jest za późno.

– Mówisz tak, jakbyś się żegnał…

Dostrzegła w jego oczach smutek i zagubienie i nagle pojęła, dlaczego tu przyjechał i co chciał jej powiedzieć. Zamierzał się poświęcić dla młodszej córki. Nie wiedziała, jak chce tego dokonać, lecz nie miała wątpliwości co do jego zamiaru. To był jego sposób zadośćuczynienia za te wszystkie odtrącenia.

– Tato – szepnęła – co ty chcesz zrobić?

Dotknął jej policzka ciepłym, pocieszającym ojcowskim gestem. Nie uświadamiała sobie lub nie chciała się do tego przyznać, jak bardzo za nim tęskniła. Chwila pełna nadziei, odkupienia win była jednak taka ulotna.

– Co zrobiłabyś, żeby uratować Sophie?

– Wszystko – odrzekła bez wahania.

Vianne patrzyła na starego człowieka, który, zanim wojna go odmieniła, uczył ją pisać, czytać, kochać książki i podziwiać zachody słońca. Tak dawno nie myślała o nim w ten sposób…

– Muszę iść – powiedział, wręczając jej kopertę, na której chwiejnie napisał „Isabelle i Vianne”. – Przeczytajcie to razem.

Wstał i odwrócił się do wyjścia.

Nie była jeszcze gotowa na rozstanie. Chwyciła go za rękaw, odrywając przy tym fragment wystrzępionego mankietu. Spuściła wzrok na biało-brązowy kraciasty kawałek bawełnianego materiału. Kolejna wstążka do zawiązania obok

innych na gałęzi jabłoni. Pamiątka po utraconych ukochanych, za którymi tak tęskniła.

– Kocham cię, tato – powiedziała cicho i nagle uświadomiła sobie, jak prawdziwe były te słowa, teraz i zawsze. Miłość zamieniła się w stratę, więc ją odepchnęła, ale jakimś trudnym do wyobrażenia sposobem jej okruch pozostał. Miłość córki do ojca. Niezmienna. Trudna, ale niewzruszona.

– Jak możesz mnie kochać? – zapytał.

– A jak mogłabym nie?

Popatrzył jej głęboko w oczy i pocałował w oba policzki.

– Ja też cię kocham – szepnął ledwie dosłyszalnie i wyszedł.

Vianne długo za nim patrzyła. Kiedy przygarbiona sylwetka znikła już w oddali, wróciła do domu. Zatrzymała się pod jabłonką, na której wisiały kolorowe skrawki materiałów. Odkąd Vianne zaczęła je tam wiązać, drzewo skarlało i praktycznie przestało rodzić, a nieliczne owoce były brzydkie i gorzkie w smaku. Inne jabłonie nadal rodziły obficie, lecz ta jedna, drzewo pamięci, częściowo uschła i sczerniała.

Vianne przywiązała kraciasty kawałek mankietu obok wstążki Rachel.

Potem weszła do domu.

Na kominku płonął ogień, w domu było ciepło i pachniało dymem. Co za marnotrawstwo… Vianne zamknęła drzwi, rozglądając się niepewnie po pokoju.

– Dzieci! – zawołała.

– Są na górze w moim pokoju. Dałem im po czekoladzie i grę do zabawy.

Von Richter. Co tu robił w środku dnia?

Czy widział ją razem z ojcem?

Czy wiedział o aresztowaniu Isabelle?

– Córka podziękowała mi za czekoladę. Jest taka urocza.

Vianne starała się nie okazać lęku. Stała nieruchoma i milcząca, usiłując opanować bicie serca.

– Za to pani syn. – Położył nacisk na tym słowie. – Zupełnie nie jest do pani podobny.

– Mój m-mąż, An…

Doskoczył do niej tak prędko, że się nie spostrzegła, i mocno chwycił za ramię, wpijając boleśnie palce w miękkie ciało. Popchnął ją brutalnie na ścianę i przycisnął gardło ramieniem. Uderzyła głową o mur i jęknęła cicho.

– Chce mnie pani znowu okłamać?

Zwolnił nacisk na szyję, chwycił jedną ręką jej przeguby, uniósł i unieruchomił nad głową Vianne.

– Proszę – wyjęczała – proszę…

Poniewczasie zrozumiała, że nie należało go o nic prosić.

– Sprawdziłem rejestry. Antoine Mauriac i pani macie tylko jedno dziecko, dziewczynkę o imieniu Sophie. Inne dzieci zmarły i zostały pochowane. Kim wobec tego jest ten dzieciak?

Vianne była tak przerażona, że nie potrafiła zebrać myśli. Wiedziała jedno – nie wolno jej wyznać prawdy, bo Daniel zostanie jej odebrany i wywieziony w nieznane. Nie wiadomo też, jak Niemcy zechcą się zemścić na Vianne… i na Sophie.

– Kuzynka Antoine’a zmarła przy porodzie… Adoptowaliśmy Daniela tuż przed początkiem wojny. Mam jego metrykę i świadectwo chrztu. Chłopiec jest oficjalnie naszym synem.

– Zatem to pani krewny. Siostrzeniec, bratanek, nie znam się na tym. Spokrewniony, ale to nie pani krew. Kto może powiedzieć, czy jego ojciec nie był komunistą? Albo Żydem?

Vianne zorientowała się, że von Richter nie domyśla się prawdy.

– Jesteśmy katolikami. Przecież pan wie.

– Co jest pani gotowa zrobić, żeby tu został?

– Wszystko.

Zaczął rozpinać jej bluzkę, powoli, nieśpiesznie przeciskając guziki przez wystrzępione dziurki. Rozchylił ją i przejechał dłonią w rękawiczce po piersiach Vianne, po czym uszczypnął ją w sutek tak mocno, że krzyknęła z bólu.

– Wszystko…? – powtórzył przeciągle.

Czuła suchość w gardle i daremnie próbowała przełknąć.

– Chodźmy do sypialni – szepnęła. – Dzieci…

– Pani przodem – powiedział, cofając się o krok.

– Pozwoli mi pan zatrzymać tu Daniela?

– Próbuje pani ze mną negocjować?

– Tak.

Chwycił jej włosy, szarpnął i powlókł Vianne do sypialni. Kopniakiem otworzył drzwi i pchnął ją mocno na ścianę, w którą uderzyła z głuchym łupnięciem. Przytrzymał ją, zadarł jej spódnicę i ściągnął z niej majtki.

Odwróciła głowę i zamknęła oczy, mając w uszach brzęk rozpinanej klamry u pasa i odgłos szarpnięć materiału.

– Patrz na mnie – polecił.

Nie poruszyła się, prawie nie oddychała.

Uderzył ją w twarz, lecz nie drgnęła ani nie otworzyła oczu.

– Jeśli na mnie popatrzysz, Daniel zostanie z tobą.

Wtedy powoli odwróciła głowę i uniosła powieki.

– Tak lepiej – pochwalił.

Zagryzła wargi, gdy brutalnie rozsunął jej uda, spuścił spodnie i zbrukał jej ciało i duszę. Nie wydała najlżejszego dźwięku.

Ani nie odwróciła spojrzenia.

34

Isabelle usiłowała na czworakach odpełznąć… od czego? Czy została skopana, czy raczej przypalona ogniem? A może zamknięta w lodówce? Nie mogła sobie przypomnieć. Ciągnęła obolałe, zakrwawione stopy po podłodze, centymetr po wypełnionym cierpieniem centymetrze. Bolało ją całe ciało. Głowa, czoło, szczęki, przeguby i kostki u nóg.

Czyjaś ręka chwyciła ją za włosy i szarpnęła w tył. Brutalne palce zmusiły ją do otwarcia ust i poczuła w nich palący smak wódki. Zakrztusiła się i wypluła alkohol z powrotem.

Zesztywniałe od lodu włosy tajały, zimna woda spływała jej po twarzy.

Powoli otworzyła oczy.

Przed nią stał mężczyzna i palił papierosa. Zapach dymu przyprawił ją o mdłości.

Jak długo tu była?

Myśl, Isabelle, myśl…!

Została przeniesiona do tej dusznej, śmierdzącej celi. Oglądała dwa wschody słońca, prawda? Dwa? Czy tylko jeden?

Czy dała swojej grupie dość czasu, by ludzie zdążyli się ukryć? Nie była w stanie jasno myśleć.

Stojący przed nią mężczyzna coś do niej mówił, zadawał pytania. Jego usta otwierały się i zamykały, wypuszczając papierosowy dym.

Skuliła się odruchowo, przypadła do podłogi, chowając głowę w ramionach. Dostała kopniaka w plecy i znieruchomiała.

A więc było ich dwóch. Jeden przed nią, a drugi z tyłu. Poświęć uwagę temu, który mówi, nakazała sobie w duchu.

Ale co powiedział?

– Siadaj.

Chciała się sprzeciwić, lecz nie miała siły. Z wysiłkiem wgramoliła się na twarde krzesło. Z krwawych ran na nadgarstkach sączyła się ropa. Instynktownie zakrywała swoją nagość, wiedząc zarazem, że nie zda się to na nic. Oprawca i tak rozłoży jej nogi i przywiąże je do nóg krzesła.

Siedziała skulona, gdy raptem coś wiotkiego uderzyło ją w twarz i opadło miękko na kolana. Oszołomiona spojrzała w dół.

Sukienka. Nie należała do niej.

Przycisnęła ją do nagich piersi i podniosła wzrok.

– Załóż to – polecił mężczyzna.

Ręce jej się trzęsły, gdy wstała chwiejnie i zaczęła nakładać niebieską kretonową sukienkę, co najmniej trzy rozmiary za dużą. Palce nie chciały jej słuchać, więc zapinanie guziczków na karczku ciągnęło się w nieskończoność.

– Słowik – warknął mężczyzna, zaciągając się papierosem. Koniuszek rozżarzył się na pomarańczowo, a Isabelle instynktownie wtuliła głowę w ramiona.

Schmidt. Tak się nazywał.

– Nie znam się na ptakach – wymamrotała w odpowiedzi.

– Nazywasz się Juliette Gervaise – powiedział.

– Mówiłam to już ze sto razy.

– I nic nie wiesz o Słowiku.

– To też mówiłam.

Skinął głową i usłyszała kroki za plecami. Drzwi do celi otworzyły się ze skrzypieniem.

To nie boli, powtarzała w duchu, to tylko moje ciało. Nie mogą tknąć mojej duszy. Te słowa stały się jej mantrą.

– Skończyliśmy z tobą.

Uśmiechnął się do niej w taki sposób, że przeszył ją dreszcz.

– Dawajcie go tu.

Potykając się, wszedł mężczyzna w kajdankach.

Tata.

Ujrzała w jego oczach nieme przerażenie i domyśliła się, jak sama wygląda: podbite oczy, popękane, zakrwawione wargi, głęboka rana na policzku… ślady po przypalaniu papierosem na ramionach, krew w rozczochranych włosach. Powinna była zostać tam, gdzie stała, ale musiała do niego podejść. Zaciskając z bólu zęby, powlokła się ku ojcu.

Wyglądał zwyczajnie, nie był pobity ani pokrwawiony. Nikt nie miażdżył mu ramienia w żelaznym uścisku.

Skoro nie był torturowany, to znaczyło, że jeszcze go nie przesłuchiwali.

– To ja jestem Słowikiem – powiedział ojciec do jej oprawcy. – Czy to chcieliście usłyszeć?

Pokręciła głową, szepcząc „nie” tak cicho, że nikt nie usłyszał.

– To ja jestem Słowikiem – zwróciła się do Niemca łamiącym się głosem. Poranione stopy piekły i bolały.

– Ty, dziewczyna? – zarechotał Schmidt. – Ty miałabyś być cholernym Słowikiem?

Ojciec powiedział do Niemca coś po angielsku, czego ten ewidentnie nie zrozumiał. Isabelle załapała. Mogli rozmawiać w tym języku.

Stała tak blisko ojca, że mogłaby go dotknąć, ale tego nie zrobiła.

– Nie poświęcaj się dla mnie – poprosiła.

– To już się stało. – Posłał jej wątły uśmiech, od którego serce jej się ścisnęło. Napłynęły falami wspomnienia, przedzierając się przez falochron, jaki zbudowała w swojej świadomości przez samotne lata. Tata podnoszący ją po upadku, otrzepujący

kolana z piasku, szepczący prosto do ucha: „Nie tak głośno, maleńka, bo obudzisz mamę”. Tańczący z nią na rękach, oboje się zaśmiewają…

Wzięła płytki oddech i otarła załzawione oczy. Próbował zadośćuczynić za wszystkie złe lata, prosił ją o przebaczenie i szukał odkupienia, poświęcając dla niej własne życie. W nagłym przebłysku świadomości zobaczyła człowieka, jakim kiedyś był, poetę, dla którego mama straciła głowę. Tamten człowiek, nim wojna bezpowrotnie go odmieniła, mógłby znaleźć całkiem inny sposób, inne, doskonalsze słowa, by zaleczyć rany przeszłości. Ale tamten człowiek już nie istniał. Zbyt wiele utracił, zbyt wiele odrzucił. Widział tylko tę jedną możliwość przekonania córki, że ją kocha.

– Nie w ten sposób – wyszeptała.

– Nie ma innego. Wybacz mi – odparł miękko.

Gestapowiec brutalnie wkroczył między nich. Szarpnął ojca za ramię i pociągnął do drzwi. Isabelle chwiejnie postąpiła za nimi.

– Ja jestem Słowikiem! – wychrypiała.

Niemiec zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Kuśtykając, podeszła do małego okienka celi i złapała się rdzewiejących krat.

– Ja jestem Słowikiem! – krzyczała raz za razem.

Blade poranne słońce obojętnie patrzyło, jak Niemcy wloką ojca na plac, gdzie już czekał pluton egzekucyjny.

Ojciec zachwiał się w pewnej chwili i omal nie upadł. Zatoczył się na kamienne obramowanie fontanny i z trudem odzyskał równowagę. Bladozłoty blask słońca opromienił jego siwą głowę.

– Mieliśmy mieć więcej czasu – wyszeptała, czując gorące łzy pod powiekami. Ileż to razy wyobrażała sobie pojednanie, nowy początek między nią a ojcem? Po wojnie mieli się spotkać, ona,

ojciec i Vianne, być może zamieszkać razem, nauczyć się beztrosko śmiać i rozmawiać, i znowu tworzyć rodzinę.

Nigdy już tak się nie stanie, nigdy nie pozna naprawdę ojca, nie poczuje ciepłego uścisku jego dłoni, nie zaśnie obok niego na kanapie, nie powie mu tego, co powinno było zostać powiedziane. Te ważne słowa zostały utracone, zamieniły się w zjawy, które rozwieją się bezpowrotnie. Pozostaną niewypowiedziane. Nigdy już nie będą rodziną, jak obiecywała mama.

– Tato – szepnęła, a to proste słowo zdawało się zawierać w sobie niezmierzoną głębię.

Odwrócił się i stanął przodem do plutonu egzekucyjnego. Na jej oczach wyprostował się i ściągnął ramiona. Odgarnął z czoła kosmyk siwych włosów, oczy miał suche, patrzył dumnym wzrokiem. Nagle ich spojrzenia się spotkały. Mocniej ścisnęła kraty, uwiesiła się na nich, by nie upaść.

– Kocham cię – powiedział ojciec samymi wargami.

Huknęła salwa.

Vianne była cała obolała.

Leżała w łóżku między śpiącymi Sophie i Danielem, daremnie próbując nie myśleć o wczorajszym brutalnym gwałcie.

W końcu wstała powoli i poszła umyć się pod pompą, krzywiąc się z bólu za każdym razem, gdy zimna woda lała się na otartą, pokaleczoną skórę.

Włożyła lekką, przewiewną sukienkę z dopasowaną, zapinaną na guziczki górą i marszczonym dołem.

Spędziła bezsenną noc, tuląc śpiące dzieci, na przemian wybuchając bezgłośnym szlochem lub gotując się z bezsilnej

wściekłości. Skrzywdził ją, odebrał jej godność, a ona nie mogła uczynić nic, żeby go powstrzymać.

Pragnęła go zabić.

Pragnęła zabić siebie.

Co pomyśli o niej Antoine, kiedy wróci z obozu?

Miała ochotę zwinąć się w kłębek w najciemniejszym kącie i już nigdy nie pokazać światu swojej twarzy.

Niemniej w obecnych czasach nawet wstyd był luksusem, na który niewielu mogło sobie pozwolić. Jak mogła litować się nad sobą, kiedy Isabelle siedziała w więzieniu, a ojciec zamierzał się poświęcić, aby ją uratować?

– Sophie – powiedziała, gdy skończyły śniadanie składające się z suchej grzanki i jajka w koszulce. – Mam dziś do załatwienia pewną ważną sprawę. Zostaniesz z Danielem w domu. Dobrze zamknij drzwi.

– A von Richter?

– Wyjechał i wróci dopiero jutro. – Poczuła, że się rumieni. Skąd właściwie się o tym dowiedziała? Lokator nie zwierzał jej się przecież ze swoich poczynań. – Powiedział mi o tym wczoraj… wieczorem. – Głos załamał się na ostatnim słowie.

– Mamo? – Sophie spojrzała na nią z niepokojem.

– Nic mi nie jest. – Vianne ukradkiem otarła łzę. – Ale śpieszy mi się, muszę już iść. Bądź grzeczna. – Pocałowała dzieci na pożegnanie i wybiegła z domu, wiedząc, że może zacząć naprędce wymyślać ważne powody, dla których powinna w nim jednak zostać.

Na przykład opieka nad dziećmi.

Albo von Richter. Powiedział jej wprawdzie, że wyjeżdża i wróci dopiero jutro, ale czy można było mu wierzyć? Mógł na przykład kazać ją śledzić. Uznała, że jeśli będzie sobie nad tym łamać głowę, niczego nie osiągnie. Pomagając ukrywać

żydowskie dzieci, nauczyła się zwalczać strach i działać, pomimo że się bała.

Musiała koniecznie pomóc Isabelle…

(Nie wracaj tu, już nigdy)

(Sama na ciebie doniosę)

… i ojcu, jeśli tylko zdoła.

Wsiadła do pociągu, zajmując miejsce na twardej ławce w wagonie trzeciej klasy. Pasażerkami były głównie kobiety siedzące z nisko pospuszczanymi głowami i rękami złożonymi na kolanach. W drugim końcu siedzieli mundurowi – funkcjonariusze posępnej, znanej z brutalności policji Vichy.

Vianne także spuściła wzrok, nie przyglądając się współpasażerkom. Od jednej z nich zalatywało silnie cebulą i czosnkiem. Vianne zemdliło nieco od tego zapachu, zwłaszcza że w rozgrzanym wagonie panował okropny zaduch. Na szczęście nie jechała daleko i tuż po dziesiątej rano wysiadła na niewielkiej stacji kolejowej na przedmieściach Girot.

I co teraz? – zadała sobie pytanie.

Słońce stało już wysoko na niebie, prażąc niemiłosiernie. Vianne czuła pot spływający po plecach i skroniach. Ruszyła powoli, ściskając torebkę pod pachą. Wiele niewysokich budynków z piaskowca zostało zniszczonych w wyniku nalotów bombowych, wszędzie widniały sterty gruzu. Na bocznej ścianie nieczynnej szkoły ktoś namalował niebieski krzyż lotaryński, symbol wolnej Francji.

Na brukowanych uliczkach Vianne spotkała niewielu przechodniów. Niekiedy mijali ją chłopak z taczką lub dziewczynka na rowerze, przerywając panującą dokoła ciszę i pustkę.

Wtem rozległ się przenikliwy kobiecy krzyk.

Vianne wybiegła zza węgła na miejski rynek. Na obramowaniu fontanny leżały zwłoki mężczyzny. Jego krew

zabarwiła na czerwono wodę. Gdyby nie to, można by sądzić, że człowiek ten położył się na chwilę w słońcu, rozłożywszy szeroko ramiona. Otwarte oczy patrzyły w górę, nie widząc nieba. Kule rozerwały mu pierś, poszarpały sweter, krew pokryła nogawki spodni ciemnordzawymi plamami.

Jej ojciec.

Isabelle spędziła wieczór i noc skulona w wilgotnym, ciemnym kącie celi. W jej umyśle nieustannie wirowały sceny okrutnej śmierci ojca.

Wkrótce ją także zabiją. Nie miała co do tego wątpliwości.

Mijały godziny mierzone oddechami i biciem serca, ona zaś pisała w myślach pożegnalne listy do taty, do Gaëtona, do Vianne. Ubierała wspomnienia w ładne frazy, które starała się zapamiętać, ale wszystkie kończyły się nieodmiennie jednym słowem: przepraszam. Gdy zazgrzytał klucz w zamku i drzwi z masywnych desek zaszurały na nierównej podłodze, chciała krzyczeć NIE! i protestować, szarpać się i walczyć ze strażnikami, ale zabrakło jej sił choćby do wydobycia głosu.

Kobieta zbudowana jak czołg szarpnięciem postawiła ją na nogi i rzuciła jej w twarz skarpetki i buty. Warknęła coś nieprzyjaźnie po niemiecku i podała dokumenty na nazwisko Juliette Gervaise, teraz pogniecione i brudne.

Buty były za ciasne i piły ją w palce, ale i tak była za nie wdzięczna. Strażniczka wywlokła ją z celi i popychając przed sobą, wskazała gestem, że ma się wspiąć po nierównych kamiennych stopniach. Po krótkiej chwili Isabelle stanęła na zalanym słońcem rynku. Po przeciwnej stronie stali w grupie żołnierze z karabinami, paląc i pogadując. Isabelle dostrzegła

poszarpane kulami zwłoki ojca na obramowaniu fontanny i przeraźliwie krzyknęła.

Wszyscy ludzie spojrzeli w jej stronę. Niemcy zarechotali, pokazując ją sobie palcami.

– Spokój – syknęła olbrzymia strażniczka.

Isabelle zamierzała odpowiedzieć, gdy ujrzała idącą przez plac Vianne.

Siostra poruszała się jakoś dziwnie, jakby nie w pełni panowała nad ciałem. Była ubrana w wytartą sukienczynę, którą Isabelle zapamiętała jako elegancką. Złotorude włosy były matowe i przylizane, założone za uszy. Blada twarz sprawiała wrażenie kruchej jak chińska porcelana.

– Przyjechałam ci pomóc! – zawołała w jej stronę Vianne.

Isabelle była gotowa się rozpłakać. Najbardziej na świecie pragnęła podbiec do starszej siostry, paść przed nią na kolana i błagać o przebaczenie, a potem przytulić się do niej z wdzięcznością. Szeptać „przepraszam” i „kocham cię”, i inne stosowne słowa. Ale nie mogła tego uczynić. Przeciwnie, musiała zranić Vianne do żywego.

– On także – odparła, ruchem głowy wskazując na ojca. – Odejdź. Proszę cię. Zapomnij o mnie.

Niemka szarpnęła ją za ramię. Isabelle ruszyła chwiejnie na obolałych stopach, siłą woli powstrzymując chęć odwrócenia się i spojrzenia przez ramię. Wydawało jej się, że strażniczka prowadzi ją na rozstrzelanie, ale przeszły obok ciała ojca, przecięły rynek i skręciły w boczny zaułek, gdzie czekała wojskowa ciężarówka.

Niemka kazała Isabelle wspiąć się na pakę. Dziewczyna skuliła się w kącie, była sama. Strażniczka opuściła plandekę i w środku zrobiło się mroczno. Zawarczał silnik i pojazd ruszył. Isabelle oparła brodę na kościstych kolanach i zamknęła oczy.

Obudziła ją cisza. Ciężarówka stała nieruchomo, skądś z oddali doleciał wysoki głos gwizdka.

Plandeka została podniesiona i wnętrze pojazdu zalało jaskrawe światło, tak silne, że nic nie widziała, wyczuła jedynie, że jacyś ludzie podbiegają do wozu z ponaglającym wrzaskiem: „Schnelle! Schnelle!”.

Została wywleczona z ciężarówki i rzucona na bruk jak worek cementu. Wzdłuż peronu stały cztery bydlęce wagony. Trzy pierwsze już szczelnie zamknięto. Drzwi czwartego były otwarte, w środku kłębił się tłum kobiet i dzieci. Panował ogłuszający hałas – krzyki, wrzaski, płacz, ujadanie psów, gardłowe niemieckie komendy, przeszywające gwizdki, sapanie lokomotywy.

Niemiec kolbą karabinu wpędził Isabelle w tłum, waląc ją w plecy za każdym razem, gdy zwalniała kroku. W ten sposób doszli do ostatniego wagonu,

Niemiec poderwał ją w górę bez wysiłku i wrzucił do środka; zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie oparła się o ciasno upakowane ciała współtowarzyszek niedoli. Wciąż przybywały inne kobiety, płacząc i głośno zawodząc, ściskając dzieci za ręce, próbując znaleźć dla siebie trochę wolnej przestrzeni.

Okna były zadrutowane. W rogu wagonu stała żelazna beczka.

Podróżna toaleta.

W innym rogu piętrzyły się walizki.

Nie bacząc na ból, Isabelle przecisnęła się przez tłum kobiet i dzieci na tyły wagonu. W ciemnym kącie tkwiła kobieta, buntowniczym gestem skrzyżowawszy ramiona na piersi. Strzechę niechlujnych siwiejących włosów przykryła ciemną chustką.

Na twarzy Babineau z wolna pojawił się uśmiech, błysnęła pożółkłymi od tytoniu zębami. Isabelle poczuła na jej widok tak

wielką ulgę, że łzy same napłynęły jej do oczu.

– Babineau – szepnęła, ściskając serdecznie starszą przyjaciółkę.

– Myślę, że już najwyższa pora, żebyś mówiła do mnie Micheline – odrzekła ciepło Baskijka. Jak zwykle miała na sobie męski strój – przydługie drelichowe spodnie i kraciastą flanelową koszulę. Ostrożnie dotknęła poranionej twarzy Isabelle.

– Co oni ci zrobili?

– To, co mogli najgorszego. – Isabelle starała się nie tracić animuszu.

– Nie wydaje mi się. – Micheline pozwoliła jej przez chwilę zastanawiać się nad sensem swoich słów, po czym skinęła głową w stronę stojącego obok wiadra. Było pełne mętnawej wody, chlapiącej przez krawędź na brudną, uginającą się pod wieloma stopami podłogę. Na brzegu wiadra leżała popękana drewniana chochla.

– Napij się, póki jeszcze jest – poradziła Isabelle przyjaciółka.

Dziewczyna zaczerpnęła nieświeżej wody i starając się nie wdychać odoru zgnilizny, zmusiła się do jej przełknięcia. Podała chochlę Micheline, która wypiła do dna i otarła usta rękawem.

– Będzie piekło – mruknęła, wzdychając.

– Tak mi przykro, że cię w to wciągnęłam – rzekła Isabelle ze skruchą.

– W nic mnie nie wciągnęłaś, Juliette – sprzeciwiła się tamta. – Sama chciałam pomagać.

Rozległ się gwizd i drzwi wagonu zostały zasunięte, pogrążając wnętrze w nieprzeniknionej ciemności. Zgrzytnęły zasuwy, opadły bolce i pociąg szarpnął. Kobiety przewracały się na siebie, upadały, niemowlęta wybuchały płaczem, starsze dzieci piszczały przestraszone. Ktoś zaczął sikać do beczki

i przykry, kwaśny odór moczu szybko przykrył woń potu i strachu.

Micheline objęła Isabelle ramieniem i szepnęła jej na ucho, żeby wspięła się razem z nią na bele siana, gdzie skulone usiadły.

– Nazywam się Isabelle Rossignol – szepnęła w ciemność, która szybko pochłonęła te słowa. Gdyby przyszło jej umrzeć w tym pociągu, to chciała, żeby ktoś znał jej prawdziwe nazwisko.

– Jesteś córką Juliena i Madeleine – odszepnęła Micheline, wzdychając.

– Wiedziałaś o tym od początku?

– Jasne. Masz oczy po matce i charakter po ojcu.

– Został dziś rozstrzelany – powiedziała Isabelle szeptem. – Przyznał się, że to on jest Słowikiem.

– Nie dziwi mnie to. – Kobieta uścisnęła jej rękę. – Pewnego dnia to zrozumiesz, kiedy sama zostaniesz matką. Pamiętam, jak wydawało mi się, że twoi rodzice nie pasują do siebie: Julien, spokojny mól książkowy, a matka, żywe srebro. Wyglądało, że niewiele ich łączy, ale teraz już wiem, że w miłości często tak bywa. To wojna go złamała, wiesz, jak papierosa. Nie do naprawienia. Twoja matka próbowała go ratować. Bardzo się starała.

– Kiedy umarła…

– Tak… Wtedy było z nim jeszcze gorzej. Zaczął pić, całkiem zapadł się w siebie, zmienił się nie do poznania. Niektóre opowieści po prostu źle się kończą. – Micheline znowu westchnęła. – Nawet historie miłosne. A może zwłaszcza one.

Mijały godziny. Pociąg od czasu do czasu zatrzymywał się na stacjach, by zabrać więcej nieszczęśliwych kobiet i dzieci, albo stawał w szczerym polu. Kobiety na przemian stały i siedziały, wspierając się i w miarę możliwości starając się sobie pomagać.

Wody w wiadrze szybko zabrakło, za to ekskrementy zaczęły przelewać się z beczki na podłogę. Ilekroć pociąg zwalniał, Isabelle próbowała wypatrzyć przez szpary w ścianach wagonu, gdzie się znajdują, ale widziała jedynie Niemców z pejczami i ich groźne psy oraz kobiety z dziećmi, zapędzane jak bydło do wagonów. Pasażerki pisały swoje nazwiska na skrawkach papieru albo materiału i wsuwały je w szczeliny między deskami, wierząc wbrew wszelkiej nadziei, że dzięki temu zostaną zapamiętane.

Drugiego dnia wszystkie były głodne, wyczerpane i spragnione, więc milczały, oszczędzając cenną ślinę. Upał i nieznośny smród dawały się wszystkim we znaki.

„Lepiej zacznij się bać".

Czy nie to powiedział jej Gaëton? Ponoć było to ostrzeżenie, jakie przekazała mu Vianne po tamtej strasznej nocy w stodole.

Isabelle niezupełnie je wtedy zrozumiała. Obecnie wiedziała lepiej, co siostra miała na myśli. Wydawało jej się, że jest niezniszczalna, niepokonana.

Czy jednak postąpiłaby inaczej? Czy coś by zmieniła?

– Nic – wyszeptała w mrok.

Zachowałaby się dokładnie tak samo.

Koniec jeszcze nie nadszedł, musiała o tym pamiętać. Każdy dzień był szansą na ocalenie. Nie wolno jej się poddać. Ani teraz, ani nigdy.

Pociąg stanął. Isabelle usiadła, trąc zaspane oczy. Po torturach w czasie przesłuchania bolało ją całe ciało. Dosłyszała warkliwe komendy i ujadanie psów. I świdrujące w uszach gwizdki.

– Obudź się, Micheline – szepnęła, trącając śpiącą przyjaciółkę.

Kobieta wyprostowała się z trudem.

Siedemdziesiąt kobiet i dzieci z wolna otrząsało się z niespokojnego snu. Osoby siedzące wstawały, instynktownie tuliły się do siebie, niepewne dalszego losu.

Isabelle jęknęła przez zęby, stając na obolałych stopach w zbyt ciasnym obuwiu, i wzięła Micheline za rękę.

Ciężkie drzwi odsunęły się powoli ze zgrzytaniem. Do środka wpadł słoneczny blask, oślepiając nieszczęsne kobiety i dzieci. Isabelle ujrzała esesmanów z nieodłącznymi owczarkami, które szarpały się, pokazując zęby i warcząc. Niemcy wywrzaskiwali rozkazy w swoim języku, których sens był wszakże jasny: wysiadać, szybciej, ruszać się, ustawić w szeregu!

Kobiety pomagały sobie przy wysiadaniu. Nie wypuszczając ręki przyjaciółki, Isabelle niezgrabnie zsunęła się z wagonu na peron.

Dostała silny cios pałką w głowę, zatoczyła się i padła na kolana.

– Wstawaj – ponagliła ją jakaś kobieta. – Szybciej. Musisz wstać.

Isabelle pozwoliła sobie pomóc. Oszołomiona, wsparła się na nieznajomej. Micheline podtrzymała ją z drugiej strony, objąwszy w pasie.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch, usłyszała świst i pejcz smagnął w twarz inną kobietę, rozrywając jej skórę na policzku. Biedaczka krzyknęła przeraźliwie, zakrywając dłonią uderzone miejsce. Krew spływała spomiędzy palców, ale kobieta szła, nie zwalniając kroku.

Uformowana, niezbyt równa kolumna ruszyła, potykając się, do otwartej bramy z kolczastego drutu, przy której stała wieżyczka strażnicza.

Znalazłszy się w środku, Isabelle ujrzała setki, nie, tysiące kobiet, które niczym zjawy snuły się po szarym pustkowiu,

wychudzone i poszarzałe na twarzach, z chorobliwie płonącymi oczami. Były ubrane w workowate pasiaste łachmany, niektóre chodziły boso. Same kobiety i dzieci. Żadnych mężczyzn.

W oddali widniały rzędy jednakowych baraków.

W błocie leżał trup kobiety. Isabelle przestąpiła nad nią, zbyt otępiała z bólu, żeby myśleć o czymkolwiek poza „ruszaj się, idź naprzód". Ostatnia, która odważyła się przystanąć, dostała tak silny cios, że padła bez życia i więcej się nie podniosła.

Najpierw skonfiskowano im walizki, kolczyki, pierścionki, obrączki ślubne. Gdy żadnej nie zostało już nic cennego, zaprowadzono je do dużego pomieszczenia, gdzie stały w ścisku, pocąc się i cierpiąc z pragnienia. Strażniczka szarpnęła Isabelle za rękę i odciągnęła na bok. Zanim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, zdarto z niej ubranie. Nie była jedyna, tak samo postąpiono z resztą kobiet. Isabelle została ogolona – głowa, pachy, włosy łonowe – tak szybko i nieuważnie, że krew ciekła po całym ciele.

– Ruszać się!

Stała z innymi ostrzyżonymi na zero, drżącymi ze strachu i upokorzenia nagimi kobietami, bolały ją stopy i głowa. Strażniczki krzykami popędziły je do innego budynku.

Przypomniała sobie nagle nieprawdopodobne historie zasłyszane w MI9 i radiu BBC o Żydach zagazowywanych w obozach koncentracyjnych.

Szurając stopami, z nisko zwieszoną głową podążała razem z tłumem. Znalazłszy się w ogromnej łaźni z mnóstwem pryszniców pod sufitem poczuła, że ogarnia ją panika.

Stała, trzęsąc się i nasłuchując. Mimo ogłuszającego zgiełku dosłyszała szum przestarzałego systemu wentylacyjnego. W rurach syczało i popiskiwało.

To koniec, pomyślała.

Drzwi do łaźni zostały zamknięte na głucho.

Z pryszniców trysnęły strumienie lodowato zimnej wody, wprawiając Isabelle w stan szoku. W sekundę przemarzła do kości. Po chwili tortura się skończyła i wypędzono je z łaźni na dwór. Drżąc, posuwała się chwiejnie razem z tłumem, nie troszcząc się o zakrycie nagości. Następnie kobiety poddano dezynsekcji i rozdano odzież. Isabelle dostała pasiak, męską wytartą bieliznę i dwa lewe buciory bez sznurowadeł.

Przyciskając dobytek do mokrych piersi, pozwoliła się wepchnąć do baraku, w którym stały rzędami drewniane kilkuosobowe prycze. Usiadła na pierwszej z brzegu razem z dziewięcioma współtowarzyszkami niedoli, ubrała się niezgrabnie i położyła na plecach ze wzrokiem wbitym w nieoheblowane deski nad głową.

– Micheline? – odważyła się szepnąć.

– Jestem tutaj. – Przyjaciółka wychyliła się do niej z górnej pryczy.

Isabelle była zbyt znużona, by rozmawiać. Z zewnątrz dochodził świst pejczów, odgłosy uderzeń, krzyki bitych kobiet, które zdaniem oprawców nie dość szybko się ruszały.

– Witaj w Ravensbrück – szepnęła leżąca na sąsiedniej pryczy więźniarka. Isabelle poczuła uścisk jej kościstej ręki.

Zamknęła oczy, ze wszystkich sił starając się odgrodzić od dźwięków, smrodu, strachu i bólu.

Musisz przeżyć, myślała.

Musisz. Przeżyć.

35

Sierpień.

Vianne starała się oddychać jak najciszej. W dusznym upale ciemnej sypialni na górze – jej, którą dzieliła dawniej z Antoine’em, każdy dźwięk zdawał się głośny. Sprężyny łóżka zaskrzypiały, gdy von Richter przetoczył się na bok. Nasłuchiwała szmeru jego coraz bardziej miarowego oddechu. Gdy zaczął pochrapywać, odsunęła się powolutku i ściągnęła z nagich piersi wilgotne prześcieradło.

Ostatnie miesiące pokazały jej, co to jest ból, wstyd, poniżenie. Nauczyła się także wielu metod przetrwania w ekstremalnych sytuacjach, na przykład błyskawicznej oceny kapryśnych nastrojów von Richtera i umiejętności zmilczenia lub trzymania się od niego z daleka. Niekiedy udawało jej się postępować „właściwie”, a wtedy prawie jej nie zauważał. Tylko wówczas, gdy miał zły dzień i wracał do domu poirytowany, lubił się na niej wyżywać. Tak jak wczoraj.

Wrócił w podłym nastroju, warcząc o starciach w Paryżu, gdzie ruch oporu wszczął walki uliczne. Vianne natychmiast się domyśliła, czego będzie chciał tej nocy.

Zadawać jej ból.

Po kolacji szybko przegoniła dzieci z kuchni i położyła je do łóżka w pokoju na dole, sama zaś powlokła się na górę.

To, że kazał jej przychodzić do siebie, a ona się na to zgadzała, stanowiło dodatkowe upokorzenie. Podobnie jak to,

że zawczasu zdejmowała ubranie, nie chcąc, by zdzierał przemocą.

Ubierała się, czując dotkliwy ból przy każdym uniesieniu ramion. Stanęła przy zaciemnionym oknie, za którym rozciągał się apokaliptyczny krajobraz zoranej bombami ziemi, połamanych, nadpalonych drzew, zwalonych bram i kominów. Z lotniska pozostały gruzy, wśród których sterczały wypalone szkielety samolotów i ciężarówek. Odkąd generał de Gaulle objął przywództwo nad oddziałami Wolnych Francuzów, alianci zaś wylądowali w Normandii, bombardowania stały się codziennością.

Gdzie podziewał się teraz Antoine? Czy nadal przebywał w obozie jenieckim, spoglądając na księżyc, który niegdyś świecił nad domem pełnym miłości? A Isabelle? Przepadła dwa miesiące temu, lecz Vianne wydawało się to wiecznością. Bez ustanku myślała i martwiła się o siostrę, ale nie mogła jej pomóc.

Na palcach zeszła na dół i zapaliła świecę. Od dawna nie było już prądu. W łazience postawiła świecę na obramowaniu umywalki i przyjrzała się sobie w zmatowiałym lustrze. Nawet w ciepłym blasku świecy wyglądała blado i mizernie. Jej niegdyś rudoblond, a teraz wyblakłe i wiotkie włosy zwisały po bokach wychudłej twarzy z ostro zarysowanym nosem i wystającymi kośćmi policzkowymi. Na skroni straszył żółtofioletowy siniak. Niedługo ściemnieje, wiedziała o tym z doświadczenia. Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że ma posiniaczone ramiona i głębokie zadrapanie na lewej piersi.

Stawał się coraz bardziej nieprzewidywalny i brutalny. Wojska alianckie zajęły południe Francji i po kolei wyzwalały miasta i wioski. Niemcy przegrywali wojnę, a von Richter był zdecydowany wziąć rewanż za to na Vianne.

Zaczęła się myć w letniej wodzie. Szorowała ciało, aż skóra zaczerwieniła się i zapiekła, lecz nie poczuła się czysta. Od jakiegoś czasu nigdy nie czuła się czysta.

Wytarła się do sucha, włożyła koszulę nocną, a na nią ciepły szlafrok. Zawiązała go mocno w pasie, wzięła świecę i wyszła na korytarz.

Sophie czekała na nią w salonie. Siedziała z podciągniętymi nogami na kanapie, ostatnim w miarę porządnym meblu w mieszkaniu. Reszta umeblowania została zarekwirowana albo spalona w kominku z braku innego opału.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie, ale nie muszę, prawda?

Vianne jeszcze ciaśniej zaciągnęła pasek; niepotrzebny gest, byle czymś zająć ręce.

– Chodźmy spać.

Sophie spojrzała jej w oczy. Miała prawie czternaście lat, jej twarz zaczęła się zmieniać. Czarne oczy świeciły na tle bladości, ocienione długimi, gęstymi rzęsami. Przez brak odpowiedniego odżywiania miała włosy rzadsze niż przedtem, ale nadal falujące. Wydęła pełne wargi.

– Naprawdę, mamo? Jak długo jeszcze będziemy grały tę komedię?

Smutek i gniew w jej błyszczących oczach sprawiły Vianne niewysłowiony ból. Przed dzieckiem pozbawionym przez wojnę dzieciństwa niewiele dało się ukryć.

Co matka mogła powiedzieć dorastającej córce na temat podłości i brzydoty świata? Jak mogła być z nią szczera? Córka miała prawo ją osądzać, choćby i surowo. Vianne nie mogła jej tego zabronić.

Usiadła obok Sophie na kanapie. Przypomniało jej się dawne życie – śmiech, rodzinne kolacje, świąteczne poranki, pierwsze

słowa dziecka, mleczne ząbki…

– Nie jestem głupia, wiesz? – mruknęła Sophie.

– Nigdy tak nie myślałam. Ani przez chwilę. – Westchnęła głęboko. – Chciałam cię tylko ochronić.

– Przed prawdą?

– Przed wszystkim.

– Nie ma czegoś takiego – odparła Sophie z goryczą. – Jeszcze tego nie wiesz? Rachel zabrali, Sarah nie żyje, dziadek nie żyje. Ciocia Isabelle… – jej oczy napełniły się łzami. – A tata… Kiedy miałyśmy od niego ostatnią wiadomość? Rok temu? Osiem miesięcy? On też pewnie nie żyje.

– Twój ojciec żyje i ciocia również. Gdyby umarli, poczułabym to w sercu. – Położyła dłoń płasko na piersi. – Wiedziałabym o tym od razu…

– Poczułabyś to w sercu? W twoim sercu?

Vianne wiedziała, że to wojna tak ukształtowała Sophie, strachem i desperacją czyniąc z niej opryskliwą, bardziej cyniczną wersją jej samej, lecz przekonanie się o tym w tak brutalny sposób sprawiło jej ból.

– Jak możesz tak… do niego chodzić? Przecież widzę te wszystkie siniaki…

– To moja wojna – odparła szeptem Vianne, czując palący wstyd.

– Ciocia Isabelle udusiłaby go w czasie snu – powiedziała Sophie z nienawiścią.

– Tak – zgodziła się Vianne. – Isabelle jest silną kobietą. Ja nie. Jestem… tylko matką, która stara się chronić swoje dzieci.

– I myślisz, że chcemy, byś chroniła nas w taki sposób?

– Jesteś jeszcze młoda – odparła Vianne, kuląc ramiona w obronnym geście. – Kiedy sama zostaniesz matką…

– Nie chcę być matką – przerwała jej Sophie.

– Przepraszam, że cię zawiodłam.

– Pragnę go zabić – rzekła dziewczynka po chwili.

– Ja też.

– Mogłybyśmy przycisnąć mu głowę poduszką, kiedy będzie spał, i…

– Myślisz, że o tym nie myślałam? Mnóstwo razy. Ale to zbyt niebezpieczne. Beck kwaterował u nas, a potem nagle zniknął. Teraz miałoby stać się tak z drugim? Zwróciłoby to na nas uwagę, a przecież tego nie chcemy.

Sophie pokiwała ponuro głową.

– Potrafię znieść to, co von Richter ze mną wyprawia, Sophie. Ale nie utratę ciebie lub Daniela ani rozstania z wami, gdyby wywieźli mnie do obozu. Tego bym nie przeżyła.

– Nienawidzę go – oznajmiła Sophie, nie podnosząc wzroku.

– I ja – przyznała cicho Vianne. – Nienawidzę go z całego serca.

– Dzisiaj jest bardzo gorąco, więc pomyślałam, że to dobry dzień na kąpiel w stawie – oświadczyła Vianne z uśmiechem.

Odpowiedział jej chóralny krzyk entuzjazmu.

Vianne ustawiła dzieci parami i wyprowadziła z klasy na teren klasztoru. Kiedy przechodzili obok gabinetu matki przełożonej, drzwi się otworzyły i stanęła w nich uśmiechnięta zakonnica.

– Pani Mauriac – powiedziała – pani trzódka wydaje się tak radosna, że chyba zacznie śpiewać hymny.

– Na to jest zbyt upalnie, matko – roześmiała się Vianne, obejmując ją ramieniem. – Proszę iść z nami nad staw.

– Świetny pomysł w taki dzień – zgodziła się zakonnica.

– W szeregu zbiórka – zakomenderowała Vianne, gdy doszli do szosy. Dzieci posłuchały bez szemrania. Vianne

zaintonowała wesołą piosenkę, którą dzieci podjęły gorliwie, klaszcząc w ręce i podskakując jak piłki.

Czy zwracały w ogóle uwagę na zniszczone przez bomby budynki? Na dymiące sterty gruzu, które kiedyś były domami? Czy wszechobecne zniszczenia stały się tak integralną częścią krajobrazu ich dzieciństwa, że wręcz niezauważalną?

Daniel nie odstępował Vianne na krok, uczepiony jej ręki. Od niedawna zaczął być lękliwy, nie lubił się od niej oddalać. Czasami było jej go bardzo żal. Zastanawiała się, czy malec pamięta jeszcze dawne czasy i to wszystko, co stracił: matkę, ojca, siostrę, rodzinny dom? Bała się, że w snach, kiedy leżał skulony przy niej, znów był Arim, porzuconym dzieckiem.

– Dzieci – Vianne zaklaskała w ręce – uważajcie przy przechodzeniu przez szosę. Sophie, ty prowadzisz.

Podopieczni uważnie przeszli na drugą stronę, po czym pognali na łeb na szyję do pobliskiego stawu, jednego z ulubionych miejsc Vianne. To tutaj w gęstych zaroślach Antoine po raz pierwszy ją pocałował.

Na brzegu dzieci zrzuciły ubrania i w mig były w wodzie. Popatrzyła na Daniela.

– Chcesz pobawić się z siostrą? – zapytała.

Daniel ssał dolną wargę, ukradkiem obserwując chlapiących się wodą kolegów.

– Nie wiem…

– Jeżeli nie chcesz się kąpać, to nie musisz. Możesz tylko zamoczyć nogi.

Namyślał się, wydymając policzki. Potem puścił jej rękę i z ociąganiem podreptał do Sophie.

– Wciąż do ciebie lgnie – zauważyła matka przełożona.

– I wciąż ma koszmarne sny. – Vianne zamierzała dodać: „Bóg świadkiem, że ja też”, gdy poczuła atak mdłości. Wymamrotała słowa przeprosin i odbiegła na bok, gdzie zwymiotowała pod

krzakiem. Nie miała prawie nic w żołądku, mimo to wielokrotnie podchodził jej do gardła. Gdy w końcu przestały nią szarpać wymioty, czuła się osłabiona i rozbolała ją głowa.

Matka przełożona podeszła i pogłaskała ją po plecach. Vianne wyprostowała się i próbowała uśmiechnąć.

– Przepraszam… Sama nie wiem… – urwała w pół zdania. Niejasne podejrzenie omal nie pozbawiło jej tchu. Spojrzała na zakonnicę wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. – Wczoraj rano też wymiotowałam.

– Święci pańscy, Vianne… Jesteś w ciąży?

Vianne nie wiedziała: śmiać się, płakać czy wołać do Boga? Tyle razy modliła się o dziecko.

Ale nie teraz.

Nie o jego dziecko…

Vianne nie sypiała już praktycznie od tygodnia. Czuła się fatalnie, była ciągle rozdrażniona i przemęczona. Do tego regularnie dręczyły ją poranne nudności.

Przysiadła na brzegu łóżka, patrząc na małego Daniela. Miał już pięć lat i znowu wyrósł z piżamy; chudziutkie przeguby wystawały z wystrzępionych rękawów i nogawek. W przeciwieństwie do Sophie nigdy nie skarżył się, że jest głodny, że musi jeść szary, gliniasty chleb na kartki i bawić się niemal po ciemku, jedynie przy blasku świecy. Niczego innego bowiem nie pamiętał.

– Hej, kapitanie Danie – szepnęła żartobliwie, mierzwiąc jego czarne loczki. Przewrócił się na plecy i uśmiechnął do niej szeroko, pokazując szparę między przednimi zębami.

– Mamo, śniły mi się cukierki.

Drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła zadyszana Sophie.

– Mamo, chodź szybko!

– Sophie, ja właśnie…

– Teraz!

– Chodź, Danielu. Sophie nie żartuje.

Natychmiast się do niej przytulił. Był już za duży, żeby go nosić na rękach, więc przytrzymała go tylko przez chwilę, po czym się odsunęła. Szybko znalazła jedyne pasujące na niego ubranie – spodenki uszyte z kawałka malarskiego płótna, jakie odkryła w stodole, i sweterek zrobiony z niebieskiej wełny. Kiedy Daniel był już ubrany, wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież.

Od miasta niosło się bicie kościelnych dzwonów. Vianne rozpoznała znajome dźwięki. *Marsylianka*? Tak otwarcie, o dziewiątej rano?

Sophie stała pod jabłonką. Przed domem maszerowała właśnie kolumna niemieckich żołnierzy. Za nimi nadjechały pojazdy mechaniczne: czołgi, ciężarówki i zwykłe samochody, wzbijając tumany kurzu. Vianne patrzyła oniemiała.

Przed bramę zajechał czarny citroen, z którego wysiadł von Richter w zakurzonych butach, ciemnych okularach na nosie, z ustami zaciśniętymi w cienką, gniewną linię.

– Opuszczamy tę żałosną, brudną dziurę – warknął.

– Tak, panie sturmbannführer.

Nie dodała nic więcej w obawie, że powie coś niewłaściwego i von Richter uderzy ją na oczach dzieci.

– Ta wojna jeszcze się nie skończyła – rzucił z pogróżką w głosie, choć trudno było orzec, czy chciał przekonać ją, czy może raczej siebie.

Jego wzrok ominął Sophie i spoczął na małym Danielu.

Vianne stała nieruchomo, z twarzą bez wyrazu.

Niemiec spojrzał jej w oczy. Na widok sińca na policzku uśmiechnął się z satysfakcją.

– Von Richter! – krzyknął ktoś z wnętrza samochodu. – Zostaw już tę francuską kurwę i chodź!

– Tym właśnie byłaś, chyba wiesz? – zapytał wzgardliwie.

Zacisnęła usta, by nie odpowiedzieć.

– Ja o tobie zapomnę. – Odwrócił się, by odejść. – Zdziwię się, jeśli tobie się to uda ze mną.

Wszedł do domu i po chwili wyłonił się stamtąd z walizką. Nie patrząc na nią, wsiadł do auta i szybko odjechał, niknąc w tumanie kurzu.

Vianne oparła się ciężko o bramę, by ustać na nogach.

– Wyjeżdżają – stwierdziła Sophie.

Nogi ugięły się pod Vianne i padła na kolana.

– Odszedł… – wyszeptała.

Sophie uklękła przy niej i mocno ją objęła. Daniel rzucił się do nich, wołając:

– Ja też! Ja też chcę się przytulić! – Skoczył na matkę i siostrę z takim impetem, że wszyscy troje przewrócili się na wilgotną trawę.

Po wyjeździe Niemców z Carriveau zewsząd docierały wieści o zwycięstwach aliantów, lecz wojna naprawdę jeszcze się nie skończyła, a wojska niemieckie nie skapitulowały. Nie przestrzegano już tak surowo reguł zaciemnienia, co było miłą odmianą; okna wreszcie przepuszczały światło i słońce. Vianne nadal jednak miała powody do zmartwienia. Mimo że von Richter dał jej spokój (postanowiła póki życia nigdy więcej nie wymawiać głośno jego nazwiska, ale nie mogła przestać myśleć o krzywdzie, jaką jej wyrządził), obsesyjnie rozmyślała

o Isabelle, Antoinie i Rachel. Pisała do męża codziennie, wystając w długiej kolejce, żeby wysłać list pomimo raportów Czerwonego Krzyża, że poczta nie jest dostarczana. Od ponad roku nie miała od niego żadnych wieści.

– Znowu krążysz, mamo – odezwała się Sophie. Siedziała razem z Danielem na kanapie, czytając mu książeczkę. Na gzymsie kominka stało kilka fotografii, które Vianne przyniosła ze skrytki w stodole. Była to jedna z kilku rzeczy, jakie wymyśliła, żeby uczynić Le Jardin na powrót domem. – Mamo?

Głos córki wyrwał Vianne z głębokiego zamyślenia.

– Tata do nas wróci – powiedziała Sophie z przekonaniem. – I ciocia Isabelle także.

– Z pewnością.

– Co powiemy tacie? – zapytała Sophie i Vianne zdała sobie sprawę, że córka od dawna chciała zadać to pytanie.

Vianne odruchowo położyła rękę na wciąż płaskim brzuchu. Nie było po niej widać, że jest w ciąży, ale znając dobrze swój organizm, wiedziała, że rozwija się w niej nowe życie. Opuściła salon, podeszła do drzwi, otworzyła je i boso wyszła przed dom, czując pod stopami miękki, nagrzany od słońca mech, który obrósł stopnie schodów. Uważając, by nie nastąpić na kamień, wyszła na trakt i ruszyła w kierunku miasteczka.

Wkrótce po prawej ręce ukazał się cmentarz. Dwa miesiące temu uderzyła w niego bomba. Omszałe kamienie nagrobne leżały poprzewracane, pokawałkowane. Teren cmentarza był zryty i pełen lejów, w gałęziach drzew utknęły nagie kości.

W oddali ujrzała idącego drogą mężczyznę.

Latami zadawała sobie później pytanie, co spowodowało, że wyszła z domu w ten gorący jesienny dzień akurat o tej porze.

Antoine.

Zaczęła biec, nie bacząc na bose stopy. Była już prawie przy nim, wyciągając ramiona, gdy wtem zatrzymała się jak wryta.

Mąż tylko na nią spojrzy i domyśli się, że została sponiewierana przez innego mężczyznę.

– Vianne – powiedział głosem, który ledwie mogła rozpoznać – uciekłem!

Był tak odmieniony, straszliwie chudy, z bladą, zapadniętą twarzą i siwizną we włosach. Wklęsłe policzki i szczękę pokrywał szpakowaty zarost. Lewe ramię sterczało pod dziwnym kątem, jakby zostało złamane i źle się zrosło.

Tak samo Antoine myślał o niej. Widziała to w jego spojrzeniu.

– Antoine – wyszeptała samymi wargami. Łzy napłynęły jej do oczu i ujrzała, że on także płacze. Podeszła i pocałowała go, lecz kiedy się cofnęła, odniosła wrażenie, że patrzy na obcego człowieka.

– Potrafię lepiej – spróbował zażartować.

Wzięła go za rękę. Pragnęła poczuć jego bliskość, mocną więź, ale wstyd z powodu tego, co musiała przejść, zbudował mur między nimi.

– Co noc o tobie myślałem – powiedział, gdy trzymając się za ręce, ruszyli w stronę domu. – Wyobrażałem sobie ciebie w naszym łóżku, jak wyglądasz w tej ślicznej białej koszuli… Wiedziałem, że jesteś równie samotna jak ja.

Głos uwiązł jej w gardle.

– Twoje listy i paczki dawały mi nadzieję – ciągnął.

Przed popsutą furtką do Le Jardin przystanął.

Spojrzała na dom jego oczami. Urwana furtka, wisząca na jednym zardzewiałym zawiasie, zburzony mur, uschnięta jabłoń z brudnymi skrawkami materiałów zamiast rumianych owoców.

Antoine poruszył raz i drugi skrzypiącą bramką i wszedł na posesję.

– Zaczekaj – powiedziała ochryple.

Musiała wyznać mu to teraz, potem będzie za późno. Całe miasteczko wiedziało, że kwaterowali u niej niemieccy oficerowie. To pewne, że mąż usłyszy różne plotki. Jeśli za osiem miesięcy urodzi się dziecko, Antoine nabierze podejrzeń.

– Trudno mi było bez ciebie – zaczęła początkowo niepewnie, potem coraz śmielej. – Le Jardin leży tak blisko lotniska… Niemcy zwrócili uwagę na nasz dom. Kwaterowali u mnie dwaj oficerowie.

– Tata! – Drzwi otworzyły się gwałtownie i wypadła przez nie rozpromieniona Sophie. Rzuciła się biegiem do ojca. Antoine otworzył szeroko ramiona. Sophie wpadła na niego z impetem.

Vianne czuła coraz silniejszy niepokój i ból. Antoine wrócił do domu, modliła się o to, ale teraz już wiedziała, że nic nie będzie tak samo jak przedtem, bo nie może być. On się zmienił, ona też. Położyła rękę na wciąż płaskim brzuchu.

– Ależ ty urosłaś – rzekł Antoine do córki. – Zostawiłem małą dziewczynkę, a wróciłem do dużej pannicy! Będziesz mi musiała opowiedzieć o wszystkim, co mnie ominęło.

Sophie spojrzała ponad jego ramieniem na matkę.

– Myślę, że nie trzeba rozmawiać o wojnie. O niczym, co się podczas niej zdarzyło. Nigdy. Skończyła się.

Sophie chciała, żeby Vianne zataiła prawdę.

W drzwiach stanął Daniel ubrany w krótkie spodenki, czerwony sweterek z golfem i rozczłapane buciki, na które opadały obwarzankami zbyt duże skarpetki. Przyciskając książeczkę z obrazkami do małej piersi, zeskoczył z ostatniego schodka i z niepewną miną zbliżył się do nich.

– A kim jest ten śliczny chłopiec? – zapytał Antoine.

– Ja jestem Daniel – odrzekł chłopiec. – A ty?

– Jestem tatą Sophie.

Oczy dziecka zrobiły się okrągłe jak spodki. Upuścił książeczkę i rzucił się na Antoine’a, krzycząc:

– Tato! Wróciłeś!

Antoine wziął malca na ręce i uniósł go w górę.

– Potem ci wszystko opowiem – obiecała Vianne. – A teraz wejdźmy do domu i świętujmy.

Vianne tysiące razy wyobrażała sobie powrót męża z wojny. Początkowo fantazjowała, że Antoine rzuci walizkę i porwie ją w swoje silne ramiona.

Potem w jej domu pojawił się Beck i sprawił, że coś poczuła do tego mężczyzny, do wroga, choć nie chciała tego nazwać. Kiedy dowiedziała się od niego, że Antoine przebywa w obozie, nieco obniżyła oczekiwania. Niemniej wciąż wyobrażała sobie, że mąż, aczkolwiek chudszy i wynędzniały, nadal będzie tym sprzed wojny.

Siedzący z nią przy stole mężczyzna był całkiem obcy. Przygarbił się i otoczył talerz ramieniem, pochłaniając wywar na kościach tak zachłannie i prędko, jakby się obawiał, że posiłek zaraz zniknie. Kiedy połapał się, co robi, zarumienił się w poczuciu winy, mamrocząc słowa przeprosin.

Daniel paplał jak najęty, podczas gdy Sophie i Vianne nie odrywały wzroku od cienia dawnego ojca i męża. Podskakiwał na każdy dźwięk, kulił się pod wpływem dotyku i nie sposób było przeoczyć czającego się w jego wzroku bólu.

Po kolacji położył dzieci spać, a Vianne zajęła się zmywaniem. Ucieszyła się, że na chwilę zniknął jej z oczu, lecz jednocześnie napełniło ją to poczuciem winy. Był jej mężem, miłością jej życia, a mimo to, kiedy jej dotykał, z trudem hamowała się, by nie umknąć spod jego rąk. Stojąc przy oknie w sypialni, oczekiwała go z uczuciem niepokoju.

Podszedł do niej od tyłu. Poczuła jego ręce na ramionach, kark owionął jego ciepły oddech. Pragnęła oprzeć się o niego całym ciałem, intymnym, znajomym ruchem, przećwiczonym przez wiele wspólnych lat, ale była jak skamieniała. Pieścił jej kark, ramiona, zsunął ręce na biodra i delikatnie odwrócił ją w swoją stronę.

Odsunął kołnierzyk nocnej koszuli i pocałował w zagłębienie obojczyka.

– Jesteś taka chuda – szepnął głosem zmienionym przez pożądanie, ale wyczuła w nim też coś więcej, być może żal, że zaszła w ich stosunkach nieodwracalna zmiana spowodowana długotrwałą rozłąką. I poczucie straty.

– Od zimy trochę przytyłam – odparła.

– Aha – powiedział. – Ja też.

– Jak udało ci się uciec?

– Kiedy zaczęli przegrywać wojnę, zaczęło być naprawdę… źle. Dowiedzieli się, że nawołuję innych do buntu i pobili mnie tak strasznie, że straciłem czucie w lewej ręce. Uznałem, że wolę zostać zastrzelony podczas ucieczki, niż zginąć w wyniku tortur. A gdy człowiek jest gotów umrzeć, to reszta idzie łatwo.

Przyszła pora, żeby wyznać mu prawdę. Antoine chyba zrozumie, że gwałt jest rodzajem tortury i ona również była jeńcem, we własnym domu. To, co jej zrobiono, nie było jej winą. Wierzyła w to, choć w głębi ducha wiedziała, że wina ma tu najmniejsze znaczenie.

Ujął jej twarz w dłonie i zmusił, żeby na niego spojrzała.

Pocałunek był przepojony smutkiem, niemal prośbą o przebaczenie, bladym wspomnieniem tego, co ich kiedyś łączyło. Drżała, gdy Antoine zdjął z niej koszulę i sam zaczął się rozbierać. Ujrzała czerwone pręgi znaczące jego plecy i tors i brzydkie, poszarpane blizny wzdłuż całego lewego ramienia.

Była pewna, że mąż nie uderzy jej ani nie skrzywdzi, a jednak się bała.

– O co chodzi, Vianne? – zapytał, zaglądając jej w oczy.

Mimowolnie przeniosła wzrok na małżeńskie łóżko, lecz mogła myśleć jedynie o nim, o znienawidzonym von Richterze.

– K-kiedy cię nie było…

– Czy musimy teraz o tym mówić?

Chciała wyznać mu prawdę, wypłakać się w jego ramionach, usłyszeć słowa pociechy i zapewnienie, że wszystko się ułoży. Jak jednak miała to uczynić? Antoine przeszedł przez piekło, widziała to w jego oczach. Czerwone pręgi na ciele z pewnością pochodziły od razów pejczem.

Kochał ją. To także widziała, czuła całym sercem.

Był mężczyzną. Gdyby mu powiedziała, że została zgwałcona, a w jej łonie rozwija się dziecko innego mężczyzny, zagryzłby się tym. Z biegiem czasu zacząłby się zastanawiać, dlaczego nie broniła się przed oprawcą, nie starała się go powstrzymać. A jeszcze później może przyszłoby mu do głowy pytanie, czy nie sprawiało jej to aby przyjemności.

Na tym polegał problem. Mogła mu wyznać, że zabiła Becka, ale nie wolno jej się było przyznać do tego, że została brutalnie zgwałcona. Dziecko w jej łonie urodzi się przedwcześnie. Wszystkie dzieci tak się ostatnio rodziły.

Najgorsza była obawa, że ten sekret, nawet zatajony, wzniesie między nimi nieprzebyty mur. Bezpowrotnie zniszczy ich związek.

– Mogłabym ci o wszystkim opowiedzieć – szepnęła z przejęciem. Z jej oczu popłynęły łzy wstydu, utraty, miłości. Głównie miłości. – Mogłabym opowiedzieć o kwaterujących u mnie niemieckich oficerach, o tym, jak ciężkie było wtedy życie, jak ledwo udało nam się przeżyć, jak Sarah zginęła zastrzelona na moich oczach i jak silna okazała się Rachel, gdy

wepchnęli ją do bydlęcego wagonu, ja zaś przyrzekłam zaopiekować się Arim. Mogłabym opowiedzieć, jak zginął mój ojciec, a Isabelle została aresztowana i wywieziona… ale wydaje mi się, że ty o tym wszystkim wiesz. – Boże, przebacz mi, pomyślała. – Prawdopodobnie nie ma sensu tego roztrząsać. Być może… – Powiodła czubkiem palca wzdłuż głębokiej blizny biegnącej po lewym ramieniu Antoine'a niczym błyskawica. – Może najlepiej zapomnieć o przeszłości i zacząć nowe życie.

Antoine ją pocałował. Wciąż przytulony do niej, szepnął z ustami na jej wargach:

– Kocham cię, Vianne.

Zamknęła oczy i z żarem oddała pocałunek, czekając, aż ciało ożyje pod jego dotykiem, ale kiedy wsunęła się pod niego, jak czyniła to niezliczoną ilość razy w przeszłości, nie poczuła niczego, nawet iskry.

– Ja też cię kocham, Antoine – odrzekła, z trudem powstrzymując się od płaczu.

Zimna listopadowa noc. Antoine był w domu od prawie dwóch miesięcy. Od Isabelle nie było żadnych wieści.

Vianne nie mogła spać. Leżała w łóżku obok męża, słuchając jego cichego pochrapywania. Nigdy wcześniej jej to nie przeszkadzało, zasypiała przy nim jak dziecko, teraz się zmieniło.

Nie.

To nieprawda.

Obróciła się na bok i patrzyła na niego. Ciemność rozświetlał jedynie sączący się przez okno blask księżyca. W tym blasku Antoine wydawał się obcy, chudy i stary mimo swoich

trzydziestu pięciu lat. Ostrożnie wysunęła się z łóżka i nakryła go grubą narzutą po babce.

Nałożyła szlafrok. Zeszła na parter i zaczęła chodzić po domu, zaglądając do pokoi w poszukiwaniu – czego? Może dawnego życia albo utraconej miłości do mężczyzny.

Nic nie wydawało się takie jak dawniej. Byli sobie obcy. On także to czuł. Wiedziała, że tak jest. W nocy wojna kładła się do łóżka razem z nimi.

Vianne owinęła się ciepłym kocem i wyszła przed dom.

Nad zrytymi, leżącymi odłogiem polami świecił księżyc w pełni. Bezlistne gałęzie jabłoni sterczały groźnie na tle czarnego nieba. Vianne podeszła do jednej z nich, stanęła tuż obok pnia. Spojrzała w górę, na powiewające na wietrze kawałki wełnianej włóczki, lamówki i kraciastej bawełny.

Zawiązując je na tej gałęzi, myślała naiwnie, że liczy się jedynie pozostanie przy życiu. Uśmiechnęła się gorzko do siebie. Drzwi do domu otworzyły się cicho i zamknęły. Wyczuła obecność męża, zawsze to potrafiła.

– Vianne – szepnął, zbliżając się do niej. Objął ją, stając za nią. Nie oparła się o niego, tak jak miała w zwyczaju. Wpatrywała się w burgundową nitkę wełny, którą pierwszą zawiązała na gałęzi. Pamiątka po Antoinie. Wypłowiała i zmieniła kolor jak oni oboje.

Przyszła pora. Nie mogła już dłużej czekać. Brzuch stawał się coraz wydatniejszy. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Antoine – głos uwiązł jej w gardle.

– Kocham cię, Vianne.

– Będę miała dziecko – wypaliła.

Znieruchomiał. Milczał długą chwilę.

– Jak to? Kiedy? – wykrztusił w końcu.

Wspomniała poprzednie ciąże, którymi cieszyli się wspólnie i wspólnie płakali, gdy dzieci rodziły się martwe.

– Wydaje mi się, że to drugi miesiąc. Musiało się to stać… pierwszej nocy, kiedy wróciłeś do domu.

Obserwowała ukazujące się w jego oczach zmienne uczucia: zaskoczenie, niepokój, troskę, zdziwienie i na końcu radość. Pogłaskał ją i przytulił.

– Wiem, dlaczego masz taką przestraszoną minę, ale nie musisz się martwić, Vianne. Tym razem go nie stracimy – powiedział. – Nie po tym, co przeszliśmy. To naprawdę cud.

Poczuła pieczenie pod powiekami. Próbowała się uśmiechnąć, lecz dławiło ją gorzkie poczucie winy.

– Tyle przeżyłaś…

– Jak my wszyscy.

– Dlatego wolimy wierzyć w cuda.

Czy chciał jej dać do zrozumienia, że zna prawdę? Czy swoim wyznaniem zasiała w nim ziarno podejrzenia? Co powie, kiedy dziecko urodzi się za wcześnie?

– Naprawdę chcę zapomnieć o przeszłości, Vianne. – Antoine miał łzy w oczach. – Liczy się tylko to, co jest teraz. Zawsze będziemy się kochać. Przysięgliśmy to sobie, gdy mieliśmy parenaście lat. Nad stawem, gdzie cię pierwszy raz pocałowałem, pamiętasz?

– Pamiętam. – Jakież miała szczęście, znajdując tak wspaniałego mężczyznę. Nic dziwnego, że zakochała się w nim na zabój. Była pewna, że wkrótce odnajdzie drogę do niego, tak jak on znalazł drogę do jej serca.

– To dziecko będzie naszym nowym początkiem.

– Pocałuj mnie – wyszeptała. – Spraw, żebym zapomniała wszystko, co złe.

– To nie zapomnienia potrzebujemy, Vianne – odparł, muskając jej wargi pocałunkami – lecz pamiętania.

36

W lutym 1945 roku śnieg przykrył nagie zwłoki zwalone na stertę przed nowo wzniesionym budynkiem krematorium. Z kominów wydobywał się cuchnący czarny dym.

Trzęsąc się z zimna, Isabelle stała na porannym apelu. Przenikliwy, wilgotny ziąb paraliżował, skuwał lodem płuca, palce u rąk i nóg, rzęsy i powieki. Było jej tak zimno, że bała się, iż straci czucie i upadnie, a wtedy…

Z rozpaczą w sercu czekała na koniec apelu, ale nie było gwizdka.

Śnieg nie przestawał padać. Kilka więźniarek zaczęło gwałtownie kasłać. Jakaś kobieta padła twarzą w mokrą śniegową breję i już nie wstała. Porywisty wicher dął nieubłaganie.

Pojawił się esesman i powoli przeszedł między rzędami więźniarek, świdrując jedną po drugiej groźnym wzrokiem. Wydawało się, że prześwietla je oczami na wylot, widzi pod warstwami szmat ogolone czaszki, czerwone ukąszenia wszy, sine, odmrożone palce, wyłuskuje z tłumu specjalne trójkątne naszywki na obozowych drelichach Żydówek, lesbijek, więźniarek politycznych. Z oddali dochodził głuchy huk eksplozji.

Niemiec pokazywał palcem poszczególne więźniarki, które następnie brutalnie wyciągano przed szereg.

Także Isabelle. Szarpnięta za ramię, z ledwością ustała na nogach.

Pluton esesmanów otoczył wybrane kobiety. Kazano im stanąć parami. Rozległ się przeraźliwy gwizd.

– Ruszać się! Raz-dwa, raz-dwa!

Isabelle pomaszerowała naprzód na zesztywniałych z zimna nogach, czując pieczenie w płucach. Micheline zrównała z nią krok.

Zdążyły przejść około półtora kilometra, gdy z warkotem minęła je wyładowana nagimi trupami ciężarówka.

Micheline sapnęła ze zgrozy, potykając się o własne nogi. Isabelle podtrzymała przyjaciółkę za łokieć.

Maszerowały dalej.

Na koniec kolumna więźniarek dotarła do zaśnieżonego pola, gdzie niemieccy strażnicy znów podzielili kobiety na dwie grupy. Isabelle została odciągnięta od przyjaciółki i przydzielona do oddziału młodziej wyglądających politycznych.

Niemcy wrzaskiem i popychaniem kazali im zbić się w ciasną gromadkę, pokazując gestami, o co im chodzi, tak długo, aż Isabelle w końcu zrozumiała.

Stojąca obok niej kobieta nie zdołała powstrzymać się od jęku, pojąwszy, do czego została wybrana. Stanowiły ekipę drogową.

– Cicho – syknęła Isabelle, ale pałka już trafiła nieszczęsną z taką siłą, że upadła na ziemię.

Isabelle stała nieruchomo jak roboczy wół, gdy Niemiec zakładał jej na ramiona skórzaną uprząż i mocno ściągał w pasie. Jedenaście innych kobiet zostało w ten sam sposób połączonych w zaprzęg, który miał pociągnąć kamienny krąg wielkości samochodu. Isabelle wraz z innymi spróbowała zrobić krok naprzód, lecz pozostała w miejscu, nie mogąc uciągnąć ciężaru.

Pejcz smagnął ją po plecach; poczuła piekący ból. Kurczowo ścisnęła pasy uprzęży i natężyła wszystkie siły, znów próbując ruszyć kamień z miejsca. Kobiety były słabe i wyczerpane. Nie miały dość sił, odmrożone stopy niemal przymarzały do gruntu, musiały jednak przemieścić ciężar, bo inaczej zostałyby zatłuczone na śmierć. Isabelle zgięła się wpół i ciężko dysząc, naparła na uprząż, byle wprawić kamienny krąg w ruch. Skórzane pasy boleśnie wpijały się w ciało. Jedna z kobiet potknęła się i upadła, ale inne ciągnęły. Ich uprzęże zaskrzypiały, gdy krąg wreszcie się poruszył.

Ciągnęły krok po kroku, niezmordowanie prąc naprzód i ryjąc drogę w kopnym śniegu. Reszta więźniarek poszerzała ją szuflami i łopatami.

Strażnicy grzali się przy ogniskach, śmiejąc się i rozmawiając.

Krok.

Krok.

Krok.

Isabelle mogła myśleć tylko o tym. Nie o zimnie, głodzie czy pragnieniu, o bolesnych ukąszeniach pluskiew i wszy. Nie o prawdziwym życiu. To właśnie było najgorsze. Nie wolno było myśleć o tym, przez co mogłaby zgubić krok, ściągnąć na siebie uwagę i zarobić cios pejczem.

Krok.

Myśl o parciu naprzód.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i zwaliła się ciężko w śnieg. Sąsiadka wyciągnęła do niej rękę. Isabelle chwyciła sine, zgrabiałe palce i podniosła się z wysiłkiem. Zaciskając zęby, zrobiła kolejny, przepełniony bólem krok. A potem jeszcze jeden. I jeszcze.

Syrena zawyła o 3.30 nad ranem, jak co dzień, zwołując więźniarki na apel. Tak jak reszta kobiet, Isabelle spała we wszystkim, co miała, ściągając na noc jedynie niedopasowane buciory. Workowaty pasiasty łachman z naszytym numerem obozowym i kapota dawały jednak niewiele ciepła. Isabelle starała się dodawać odwagi współtowarzyszkom niedoli, niemniej czuła, że sama ją traci i słabnie. Surowa zima mocno dała im się we znaki. Więźniarki umierały, niektóre szybko wskutek tyfusu lub okrucieństwa strażników, inne powoli, z zimna i głodu, lecz śmierć regularnie zbierała swoje żniwo.

Isabelle przez kilka tygodni miała gorączkę, nie tak jednak wysoką, by móc zgłosić się do baraku szpitalnego, a przed kilkoma dniami została pobita tak ciężko, że straciła przytomność w czasie pracy, narażając się na kolejne ciosy za to, że upadła. Straszliwie wychudzone, pokryte wrzodami ciało opanowały wszy i inne robactwo.

Obóz dla kobiet w Ravensbrück od początku był przerażającym miejscem, ale w końcu marca 1945 roku stał się jeszcze gorszym. W ciągu miesiąca setki kobiet straciło życie w komorach gazowych lub wskutek pobicia. Dotyczyło to zwłaszcza starych, chorych, zbyt słabych, by mogły pracować. Oszczędzono tak zwane *Verfügbaren*, dyspozycyjne, które miały jeszcze siły do pracy, i te z *Nacht und Nebel*, „Nocy i Mgły”, jak Niemcy nazywali członkinie ruchu oporu uwięzione na podstawie dekretu o tej nazwie. Więźniarki polityczne, jak Isabelle i Micheline. Plotka głosiła, że hitlerowcy obawiali się je zagazować, ponieważ przebieg wojny przybrał niekorzystny dla nich obrót.

– Dasz radę, pamiętaj.

Isabelle uświadomiła sobie, że chwieje się i za moment upadnie.

Micheline Babineau posłała jej zmęczony, mający dodać otuchy uśmiech.

– Nie płacz.

– Nie płaczę – odparła Isabelle.

Obie dobrze wiedziały, że te kobiety, które w nocy płakały, rano umierały. Smutek i rozpacz wsączały się z każdym oddechem. Ale nigdy nie były ujawniane. Nie wolno było się poddać ani na sekundę.

Isabelle zawsze o tym pamiętała. W obozie walczyła o życie w jedyny znany sobie sposób – troszcząc się o inne kobiety i pomagając im przetrwać, nie tracić ducha. W piekle, w jakim się wszystkie znalazły, mogły liczyć jedynie na siebie. Wieczorami kuliły się w ciemności na pryczach, prowadząc szeptem rozmowy, nucąc piosenki, starając się przywołać wspomnienia z czasów, kiedy jeszcze były szczęśliwe. W ciągu dziewięciu miesięcy pobytu tutaj Isabelle zyskała – i straciła – zbyt wiele przyjaciółek, by je policzyć.

Teraz sama czuła się zmęczona i chora.

Była prawie pewna, że ma zapalenie płuc. Prawdopodobnie także tyfus. Zakasłała w rękaw i dalej pracowała, usiłując nie zwracać na siebie uwagi. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było trafienie do „namiotu”, niedużego pomieszczenia na podmurówce z cegły, ze ścianami z grubego brezentu, gdzie Niemcy umieszczali nieuleczalnie chore więźniarki. Czyli do umieralni.

– Przeżyję – powiedziała cicho Isabelle.

Micheline skinęła aprobująco głową.

Wszystkie musiały przeżyć, to było najważniejsze, zwłaszcza teraz, gdy wojna miała się ku końcowi. W ubiegłym tygodniu do obozu trafiły nowe więźniarki, przynosząc budzące nadzieję wieści o Rosjanach nacierających przez tereny Rzeszy i rozbijających wojska niemieckie w puch. Obóz zagłady

Auschwitz został wyzwolony. Na zachodzie alianci odnosili kolejne zwycięstwa.

Zaczął się wyścig o przeżycie, wiedziała to każda. Wojna się kończyła. Isabelle mówiła sobie, że musi przetrwać, bo chce zobaczyć ostateczne zwycięstwo aliantów i wolną Francję.

Rozległ się przenikliwy gwizd.

W tłumie zapanowała cisza. Przed jego frontem przechadzało się trzech esesmanów z psami na smyczach.

Ukazał się w końcu komendant obozu. Stanął na szeroko rozstawionych nogach i założył ręce do tyłu. Warknął coś po niemiecku i esesmani ruszyli naprzód. Isabelle rozróżniła znaną już jej nazwę. „Noc i Mgła".

Esesman pokazał na nią palcem, a wtedy drugi przedarł się brutalnie przez tłum, rozpychając więźniarki, chwycił chudą rękę Isabelle i mocno szarpnął. Ruszyła, potykając się, za nim, modląc się, żeby buty nie spadły jej z nóg. Zgubienie buta narażało na dotkliwą chłostę pejczem, a ponadto nie dostałaby drugiego i przez resztę zimy musiałaby chodzić boso po śniegu i błocie.

Micheline również została wyciągnięta z tłumu.

Isabelle myślała tylko o tym, by nie zgubić butów.

Esesman wykrzyknął coś, co zrozumiała.

Wysyłali je do innego obozu.

Poczuła przypływ bezsilnej wściekłości. Nie zdoła przetrwać forsownego marszu przez śnieżne zaspy.

– Tylko nie to – wymamrotała pod nosem.

Mówienie do siebie stało się sposobem na przetrwanie. Od miesięcy, stojąc w karnym szeregu lub wykonując ciężką, odpychającą pracę, szeptała sobie słowa pociechy. Kucając nad dołem kloacznym w otoczeniu kobiet cierpiących na dyzenterię, mając naprzeciw siebie inne przykucnięte kobiety, daremnie starając się powstrzymać mdłości wywołane straszliwym

smrodem odchodów, tymi szeptanymi opowieściami niosła sobie pocieszenie. Na początku były to różne historie o przyszłości, potem wspomnienia.

Teraz były to już pojedyncze słowa. Czasem nieskładne, mające jej jednak przypominać, że wciąż żyje i jest człowiekiem.

Raptem potknęła się i upadła twarzą w mokry śnieg.

– Wstawaj! – usłyszała głos. – Naprzód!

Isabelle nie mogła się poruszyć, ale jeśli nie wstanie, czeka ją smagnięcie pejczem. Albo coś gorszego.

– Wstawaj – powtórzyła Micheline.

– Nie mogę…

– Możesz. No już. Zanim zobaczą, że upadłaś. – Przyjaciółka pomogła jej wstać.

Podtrzymując się, ruszyły w tłumie obszarpanych, wlokących się z trudem kobiet i wyszły za bramę obozu pod bacznym spojrzeniem esesmana na wieży strażniczej.

Szły tak przez dwa dni i przebyły pięćdziesiąt strasznych kilometrów, wieczorem padając na zmarzniętą ziemię i tuląc się do siebie, by chociaż odrobinę się rozgrzać, modląc się o ujrzenie świtu, by nad ranem ocknąć się na odgłos gwizdków oraz krzyków i powlec się dalej.

Ile zmarło w czasie tej piekielnej drogi? Isabelle chciałaby zapamiętać ich imiona, lecz były zbyt liczne, a ona tak zziębnięta i głodna, że jej mózg ledwie pracował.

W końcu dotarły do celu wędrówki, na stację kolejową, gdzie wepchnięto je do bydlęcych wagonów cuchnących śmiercią i ekskrementami. W pochmurne niebo unosił się czarny dym. Nagie drzewa stały nieruchomo. Trwała przejmująca cisza, nie odzywał się żaden ptak.

Isabelle zdobyła miejsce w kącie wagonu, gdzie usiadła skulona. Podciągnęła zakrwawione, podrapane kolana

i otoczyła je ciasno rękami, by zachować jak najwięcej ciepła.

Ból w klatce piersiowej był nie do zniesienia. Zakryła usta, by powstrzymać rwący, suchy kaszel, od którego zgięła się wpół.

– Tutaj jesteś – odezwała się w ciemności Micheline, padając na podłogę obok niej.

Isabelle westchnęła z ulgą i natychmiast się rozkasłała. Zakryła usta dłonią i poczuła, że płynie z nich krew. Tak było już od tygodni.

Przyjaciółka położyła jej rękę na czole. Isabelle znów zaniosła się kaszlem.

– Cała płoniesz.

Drzwi do wagonu zostały zasunięte. Pociąg szarpnął, zadrżał i ruszył. Wagon kołysał się i grzechotał, więźniarki, obijając się o siebie, szukały w miarę wygodnego miejsca. Jedno dobre, że w tym zimnie mocz w beczce zamarznie i nie będzie cuchnął ani się przelewał, pomyślała tępo Isabelle.

Oparła się ciężko o przyjaciółkę i zamknęła zmęczone oczy.

Z daleka dobiegł wysoki, świszczący dźwięk spadającej bomby. Pociąg zahamował ze zgrzytem, gdzieś niedaleko rozległ się wybuch i silny wstrząs zachybotał wagonem. Powietrze zapachniało dymem i kordytem. Jeśli następna bomba będzie celniejsza, wszystkie zginą.

Po czterech dniach, podczas których pociąg nieraz przystawał, by przeczekać naloty bombowe, dotarły do celu podróży. Drzwi rozsunęły się ze zgrzytem, ukazując połać bezkresnej bieli, na której tle ostro odcinały się ciemne płaszcze esesmanów.

Isabelle usiadła wyprostowana, dziwiąc się nieco, że nie czuje chłodu. Przeciwnie, było jej tak gorąco, że aż się spociła.

W ciągu nocy zmarło wiele kobiet, ale reszta nie miała czasami sił ich opłakać, odmówić krótkiej modlitwy czy choćby szepnąć słowa pożegnania. Esesmani czekający na peronie skoczyli naprzód, dmuchając w gwizdki i wrzeszcząc: „Szybko! Szybko!”.

Isabelle trąciła śpiącą Micheline, obudziła ją i poprosiła przyjaciółkę, by wzięła ją za rękę.

Obie niezdarnie wstały i przestąpiły nad zwłokami, z których ktoś zdążył już ściągnąć cenne obuwie.

Na peronie formowała się kolumna więźniarek.

Przełamując słabość, Isabelle ruszyła do szeregu. Stojąca przed nią kobieta potknęła się i padła na kolana. Esesman walnął ją pałką tak silnie, że słychać było trzask pękającej czaszki.

Isabelle nawet nie zwolniła kroku. Było jej na przemian okropnie zimno i przeraźliwie gorąco, chwiała się na nogach, ale nieustępliwie parła naprzód przez zaśnieżony las, za którym rozciągał się teren nowego obozu.

– Prędzej!

Posłusznie przyśpieszyła. Kolumna więźniarek przeszła przez obozową bramę, mijając rzędy szkieletów w pasiakach przyglądających się im zza ogrodzenia z kolczastego drutu.

– Juliette!

Usłyszała to wołanie. Na początku był to nic nieznaczący dźwięk, lecz po chwili sobie przypomniała.

Kiedyś była Juliette. A jeszcze wcześniej Isabelle. A także Słowikiem. Nie tylko numerem A-845491.

Podniosła wzrok na szkielety za ogrodzeniem.

Ktoś do niej machał. Jakaś kobieta o szarawej cerze, wydatnym, zakrzywionym nosie i zapadniętych czarnych oczach.

Oczy.

Isabelle rozpoznała to mądre, zmęczone spojrzenie.

Anouk.

Chwiejnie podeszła do ogrodzenia. Tamta również. Splotły zziębnięte palce przez lodowato zimny drut.

– Anouk – wychrypiała Isabelle łamiącym się głosem i natychmiast zaniosła się kaszlem.

Smutek w udręczonych oczach przyjaciółki był nie do zniesienia. Jej spojrzenie przeniosło się na budynek z wysokim kominem, z którego unosił się gryzący czarny dym.

– Zabijają nas, żebyśmy nie mogli ich oskarżyć o to, co tu robią.

– Co z Henrim? Z Paulem?… Gaëtonem?

– Wszystkich aresztowali, Juliette. Henriego powiesili na placu na latarni. Reszta… – Wzruszyła ramionami.

Isabelle usłyszała wrzask Niemca i pośpiesznie odskoczyła od ogrodzenia. Pragnęła pożegnać się z Anouk, powiedzieć jej kilka słów, które miałyby jakieś znaczenie, ale dławił ją kaszel. Zakrywając usta, posłała jej ostatnie spojrzenie i wróciła do szeregu.

– Żegnaj – wyszeptała przyjaciółka, lecz Isabelle nie mogła nawet odpowiedzieć. Była już straszliwie zmęczona pożegnaniami.

37

Marcowy dzień był słoneczny i jasny, lecz mieszkanie przy alei La Bourdonnais przypominało mauzoleum. Na podłodze i meblach leżała gruba warstwa kurzu. Vianne podeszła do okna i zerwała żaluzje zaciemniające, po raz pierwszy od lat wpuszczając do wnętrza trochę światła.

Od dawna nikt nie odwiedzał starego mieszkania. Najprawdopodobniej od dnia, w którym tata wyruszył Isabelle na ratunek.

Wszystkie meble stały na swoich miejscach, na ścianach wisiały obrazy. Brakowało zaledwie kilku; Vianne domyśliła się, że zostały spalone na kominku. Kawałki ram walały się w kącie salonu. Na stole w jadalni stała miska z zaschniętą resztką jedzenia, obok leżała łyżka. Na gzymsie kominka piętrzył się stosik poezji ojca.

– Nie wydaje mi się, żeby tutaj była. Musimy spróbować w hotelu Lutetia.

Vianne zamierzała spakować rodzinny dobytek i przewieźć go do swego domu, ale jeszcze nie teraz. Później. Na razie miała ważniejsze sprawy na głowie.

Opuściła mieszkanie razem z Antoine’em i Sophie i przystanęła na chwilę przed bramą kamienicy. Wszędzie widać było oznaki powracania miasta do dawnego życia. Po latach kulenia się w półmroku paryżanie wylegli tłumnie na rozsłonecznione ulice. Oczywiście nadal brakowało żywności, którą jak dawniej trzeba było kupować na kartki. Wojna

kończyła się wprawdzie, bo Niemcy przegrywali na całej linii, ale wciąż jeszcze trwała.

Udali się do hotelu Lutetia, który podczas okupacji był siedzibą Abwehry, a obecnie pełnił funkcję tymczasowego domu dla więźniów powracających z obozów.

Vianne przystanęła w eleganckim, zatłoczonym lobby, rozglądając się dokoła. Ogarnęły ją mdłości i podziękowała sobie w duchu za pomysł zostawienia Daniela z matką Marie-Thérèse. W recepcji roiło się od szkieletów w łachmanach, ostrzyżonych do gołej skóry, patrzących niewidzącym wzrokiem. Przypominali żywe trupy. Pomiędzy ocalonymi z zagłady kręcili się lekarze, pracownicy Czerwonego Krzyża i spora grupa dziennikarzy.

Do Vianne zbliżył się jakiś mężczyzna i podsunął jej pod nos wyblakłą czarno-białą fotografię.

– Widziała ją pani? Ostatnie wieści o niej przyszły z Auschwitz.

Fotografia ukazywała promiennie uśmiechniętą, ładną dziewczynę z rowerem. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat.

– Nie – odparła Vianne – przykro mi.

Tymczasem mężczyzna już odszedł, nie czekając na odpowiedź. Miał nieobecną minę, jak większość przybyłych w to miejsce.

Wszędzie kręcili się przejęci ludzie z fotografiami w drżących dłoniach, błagając o wieści w sprawie krewnych. Na ścianie po prawej stronie widniały dziesiątki zdjęć oraz karteczek z nazwiskami i adresami. Żywi poszukiwali zaginionych. Antoine podszedł do niej i położył dłoń na ramieniu.

– Znajdziemy ją, Vianne.

– Mamo? – zapytała Sophie. – Dobrze się czujesz?

Vianne spojrzała na córkę.

– Żałuję, że nie zostawiłam cię w domu – powiedziała.

– Już za późno, żeby mnie chronić – odparła Sophie. – Przecież wiesz.

Vianne nie cierpiała słuchać tej prawdy, podobnie jak wielu innych. Wzięła córkę za rękę i zaczęła przeciskać się przez tłum, Antoine podążał za nimi. W kącie lobby stała grupa chudych jak szkielety mężczyzn w brudnych pasiakach. Jakim cudem jeszcze żyli?

– Proszę pani? – zagadnęła ją łagodnie pracownica Czerwonego Krzyża.

Vianne z trudem oderwała wzrok od grupki ocalałych.

– Poszukuję kilku osób… Mojej siostry Isabelle Rossignol. Została aresztowana za udział w ruchu oporu i wywieziona do obozu. A także przyjaciółki, Rachel de Champlain, która również trafiła do obozu. Jej mąż, Marc, był jeńcem wojennym. Nie wiem, co się z nimi stało… ani jak ich odnaleźć. Mam także listę żydowskich dzieci, które ukrywały się u zakonnic w Carriveau. Muszę spróbować odszukać ich rodziców, jeżeli żyją…

Pracownica Czerwonego Krzyża, chuda, siwa kobieta, wzięła kartkę papieru i zanotowała podane przez Vianne nazwiska.

– Trzeba sprawdzić te dane w naszych rejestrach. Proszę ze mną, wyjaśnimy sprawę tych dzieci. – Poprowadziła Vianne wraz z rodziną do osobnego pomieszczenia na końcu holu, gdzie przy biurku zarzuconym papierami siedział starzec z długą siwą brodą i przeglądał stosy dokumentów. – Panie Montand – powiedziała pracownica Czerwonego Krzyża – ta pani ma informacje o jakichś żydowskich dzieciach.

Starzec podniósł na Vianne przekrwione oczy i gestem wskazał jej, by usiadła naprzeciw niego na krześle.

– Słucham.

Kobieta, która ją tu przyprowadziła, opuściła pokój. Po panującym w lobby zgiełku nagła cisza aż dzwoniła w uszach.

Vianne zajęła miejsce i ukradkiem wytarła o sukienkę zwilgotniałe dłonie.

– Nazywam się Vianne Mauriac. Mieszkam w Carriveau. – Otworzyła torebkę i wyjęła z niej listę sporządzoną wczoraj wieczorem na podstawie zapisków, jakie skrupulatnie prowadziła w czasie wojny. Rozłożyła ją i podała mężczyźnie za biurkiem. – To nazwiska żydowskich dzieci, które ukrywały się u zakonnic w klasztorze. Przebywają tam do tej pory w sierocińcu prowadzonym przez siostry od św. Józefa pod opieką matki przełożonej. Nie wiem, jak mam znaleźć ich rodziców. Pierwszy chłopiec na liście, Ari de Champlain, jest pod moją opieką. Sama zajmę się poszukiwaniem jego ojca i matki.

– Dziewiętnaścioro – powiedział cicho starzec.

– Wiem, że to niewiele, ale…

Spojrzał na nią jak na bohaterkę, którą się wcale nie czuła.

– Gdyby nie pani, wszystkie te dzieci umarłyby w obozach zagłady razem z rodzicami.

– Czy będzie pan mógł sprawić, żeby wróciły do swoich rodzin? – zapytała z nadzieją.

– Zrobię, co w mojej mocy. Niestety, o ile wiem, większość z nich została sierotami. Rejestry przychodzące z obozów są niemal jednakowe: matka nie żyje, ojciec nie żyje, brak żyjących krewnych we Francji. I tak mało dzieci przeżyło wojnę. – Przymknął na moment oczy, jakby się modlił. – Przekażę pani listę komitetowi poszukiwań w Nicei. Próbują łączyć rodziny rozdzielone przez wojnę. Dziękuję pani.

Vianne czekała na dalsze słowa, ale starzec milczał z nisko opuszczoną głową. Wobec tego wstała i wyszła, dołączając do

męża i córki. Po chwili znów znaleźli się w tłumie uciekinierów i ocalonych z obozów oraz ich rodzin.

– I co teraz? – zapytała Sophie.

– Zaczekamy na wiadomość z Czerwonego Krzyża – odrzekła Vianne.

Antoine wskazał ścianę z umieszczonymi na niej fotografiami i karteczkami.

– Powinniśmy poszukać jej tutaj.

Wymienili spojrzenia, wiedząc, jak przykre będzie stanie tu i przeglądanie zdjęć zaginionych. Mimo to podeszli bliżej i zaczęli systematycznie przepatrywać każdą kartkę z adresem, każde zdjęcie i informację.

Zanim pracownica Czerwonego Krzyża znowu się nimi zajęła, upłynęły dwie długie godziny.

– Proszę pani?

Vianne okręciła się na pięcie.

– Bardzo mi przykro, ale Rachel i Marc de Champlain nie żyją. I nigdzie nie ma śladu po Isabelle Rossignol.

Usłyszawszy „nie żyją”, Vianne poczuła, że zapada się w otchłań. Przez rozsądek odsunęła od siebie uczucia żalu i straty. Później pomyśli o Rachel, kiedy znajdzie się sama. Naleje sobie szklankę czegoś mocnego, stanie pod rozłożystym cisem i porozmawia z najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miała.

– Jak to, nie rozumiem? Isabelle nie ma w rejestrach? Przecież na własne oczy widziałam, jak ją zabierali.

– Proszę wrócić do domu i tam czekać na powrót siostry – poradziła kobieta. – I proszę nie tracić nadziei – dodała. – Jeszcze nie wszystkie obozy zostały wyzwolone.

– Może ciocia stała się niewidzialna – odezwała się nagle Sophie.

Vianne pogłaskała córkę po głowie, obdarzając ją smutnym uśmiechem.

– Jesteś już taka duża i mądra. To napawa mnie dumą, a zarazem łamie mi serce.

– Chodźmy – powiedziała Sophie, ciągnąc matkę za rękę.

Vianne nie stawiła oporu, czując się bardziej jak dziecko niż rodzic, gdy przecisnęły się przez zatłoczone lobby i wyszły przed hotel.

Kilka godzin później wszyscy troje siedzieli już w wagonie trzeciej klasy w pociągu, który wiózł ich z powrotem do domu. Vianne patrzyła przez brudne okno na ciągnące się po horyzont, zryte bombami pola. Antoine drzemał z głową na jej ramieniu, Sophie siedziała naprzeciw matki.

– Jak się czujesz? – zapytała.

Vianne położyła dłoń na zaokrąglonym brzuchu. Poczuła lekkie drgnięcie pod palcami i sięgnęła po rękę córki. Sophie próbowała się wyrwać, ale Vianne łagodnie nakłoniła ją do dotknięcia swego brzucha.

Sophie wyczuła kopnięcie płodu i oczy jej się rozszerzyły. Spojrzała ze zgrozą na matkę.

– Jak możesz…

– Wojna zmieniła nas wszystkich, Sophie. Daniel jest twoim bratem, zwłaszcza że Rachel… odeszła. Prawdziwym bratem. A to dziecko… nie jest niczemu winne, a w szczególności temu, jak zostało… poczęte.

– Trudno o tym zapomnieć – odparła Sophie cicho. – Ja nigdy nie wybaczę.

– Miłość powinna być silniejsza od nienawiści, inaczej nie ma dla nas przyszłości.

– Tak sądzę – zgodziła się Sophie z westchnieniem. Zabrzmiało zbyt dorośle jak na jej wiek.

– Będziemy sobie o tym przypominać, dobrze? – szepnęła Vianne, kładąc jej dłoń na głowie. – Gdy nadejdą ponure dni. Będziemy się wzajemnie wspierać.

Apel trwał od wielu godzin. Isabelle padła na kolana, lecz gdy tylko poczuła twardy jak kamień grunt, natychmiast przypomniała sobie swoją mantrę: „musisz przeżyć”, i z wysiłkiem wstała.

Strażnicy z psami krążyli po placu apelowym, wybierając ofiary do komory gazowej. Krążyły słuchy, że szykuje się kolejny marsz, tym razem do obozu w Mauthausen, gdzie straciły już życie tysiące więźniów, wśród nich rosyjscy jeńcy wojenni, Żydzi, zestrzeleni alianccy lotnicy, więźniowie polityczni. Ponoć nikt, kto przekroczył tamtą bramę, już żywy nie wychodził.

Isabelle zakasłała, krztusząc się krwią. Szybko wytarła rękę o pasiak, żeby strażnik tego nie zauważył.

Głowa pulsowała boleśnie, czuła pieczenie w gardle i niżej, w oskrzelach. Była tak skupiona na wytrwaniu pomimo okropnego bólu, że dopiero po dłuższej chwili zwróciła uwagę na narastający warkot silników.

– Ty też to słyszysz? – zagadnęła szeptem Micheline.

Wśród więźniów wszczęło się poruszenie. Isabelle czuła się tak słaba i chora, że nie była w stanie jasno myśleć. Obawiała się, że zemdleje.

– Uciekają – usłyszała nagle czyjś zaskoczony głos.

– Isabelle, patrz!

Na początku widziała tylko błękitne niebo, drzewa i współtowarzyszki niedoli. Dopiero potem to zauważyła.

– Nie ma strażników – wypowiedziała na głos myśl, która jej zaświtała, i zaniosła się kaszlem.

Bramy otworzyły się ze zgrzytaniem, przepuszczając strumień amerykańskich ciężarówek wojskowych. Żołnierze z karabinami przewieszonymi przez pierś siedzieli na maskach lub zwieszali nogi z tylnych klap.

Amerykanie.

Pod Isabelle ugięły się kolana.

– Mi…che…line – wychrypiała z wysiłkiem. – U…dało nam… się… u…dało.

Nadeszła wiosna, a wraz z nią ostateczny koniec krwawej wojny. Generał Eisenhower zażądał kapitulacji Niemiec. Amerykanie przekroczyli Ren i zajęli dużą część Rzeszy, wojska alianckie wygrywały na wszystkich frontach i zaczęły wyzwalać kolejne obozy. Hitler zamknął się w swoim bunkrze, skąd nadal usiłował dowodzić.

A Isabelle wciąż nie wracała.

– Jakby zupełnie znikła – mruknęła Vianne, zatrzaskując skrzynkę pocztową.

Antoine nic nie powiedział. Od tygodni poszukiwali zaginionej Isabelle, która przepadła bez wieści. Vianne godzinami wystawała w kolejkach do telefonu, wysyłała listy z pytaniem do niezliczonych szpitali i organizacji. Oboje z Antoine’em jeździli po obozach przejściowych dla byłych więźniów, ale bez rezultatu. Nigdzie nie natrafili na ślad Isabelle Rossignol. Jak gdyby nigdy nie istniała, przepadła wraz z tysiącami innych osób.

Może została zastrzelona tuż przed wyzwoleniem go przez aliantów? Ponoć w jednym z obozów, Bergen-Belsen,

wyzwoliciele natrafili na stosy jeszcze ciepłych zwłok więźniów.

Dlaczego?

Żeby nie mogli nic powiedzieć.

– Chodź ze mną – rzekł Antoine, biorąc ją za rękę.

Przestała już sztywnieć i wzdrygać się, gdy jej dotykał, lecz wciąż jeszcze nie była dawną sobą. Po jego powrocie oboje udawali uczucie i oboje o tym wiedzieli. Nieustannie zapewniali się o miłości, niemniej on powiedział, że nie będzie się z nią kochał z powodu ciąży, ona zgodziła się, że tak będzie najlepiej, a oboje wiedzieli, jak jest naprawdę.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedział, prowadząc ją na podwórze.

Niebo było jasnobłękitne, rozłożysta korona cisu zapewniała miły cień. Opodal altany kilka kur grzebało w ziemi, gdacząc i trzepocząc skrzydłami.

Między konarem cisu a wieszakiem na kapelusze, który Antoine musiał znaleźć w stodole, zostało rozciągnięte stare prześcieradło. Antoine zaprowadził ją do krzesła ustawionego na wyłożonym kamiennymi płytami tarasie. Przez lata jego nieobecności kamień poprzerastał trawą i mchem, więc krzesło nie stało zbyt pewnie. Vianne usiadła ostrożnie, ostatnio czuła się niezgrabna i ociężała. Mąż obdarzył ją szerokim, radosnym uśmiechem.

– Dzieciaki i ja harowaliśmy przy tym cały dzień. To dla ciebie.

„Dzieciaki i ja”.

Antoine stanął przed prowizoryczną kurtyną i zatoczył zamaszysty łuk zdrowym ramieniem.

– Panie i panowie, dzieci i wyliniałe króliki oraz kury cokolwiek śmierdzące…

Zza kurtyny dobiegł chichot Daniela i uciszające go sykanie Sophie.

– Szanując tradycję rodzinną, a wszyscy pamiętamy pierwszą rolę panny Mauriac w „Madelaine w Paryżu”, przedstawiam wam śpiewaków z Le Jardin. – Teatralnym gestem odsunął prześcieradło na bok i oczom Vianne ukazała się scena rozłożona na nierównym trawniku, wykonana z naprędce zbitych desek. Stali na niej Sophie i Daniel. Oboje owinęli się kocami udającymi peleryny, w dłoniach trzymali gałązki jabłoni, a na głowach mieli błyszczące korony z blachy z przyklejonymi kolorowymi kamykami i kawałkami szkiełek.

– Cześć, mamo! – zawołał Daniel, machając do niej gorączkowo.

– Ciii – uciszyła go Sophie. – Pamiętasz?

Chłopiec skinął głową z przejęciem.

Potem postawili ostrożnie parę kroków, scena bowiem trzeszczała pod nimi, ujęli się za ręce i zwrócili do Vianne.

Antoine przytknął do warg harmonijkę i wydobył z niej żałośliwy dźwięk, który zawisł w powietrzu i wibrował dłuższą chwilę, i zaczął grać melodię.

Wysokim, czystym głosem Sophie zaśpiewała: „Panie Janie, panie Janie…”.

Przykucnęła, a wówczas Daniel podskoczył do góry i zabrzmiały słowa: „Wstawać czas, wstawać czas…”.

Vianne zakryła dłonią usta, lecz nie dość szybko, by zahamować cichy śmiech.

Piosenka nie milkła. Vianne widziała, że Sophie jest szczęśliwa, mogąc zająć się czymś tak zwyczajnym jak przedstawienie dla rodziców, i jak stara się Daniel, żeby dobrze wypaść.

Chwila była zarazem magiczna i cudownie zwyczajna. Jakby wzięta prosto z dawnego życia. Vianne poczuła, że ogarnia ją czysta radość.

Wszystko będzie dobrze, pomyślała, zerkając na Antoine'a. W cieniu rzucanym przez drzewo zasadzone przez jej pradziadka, mając w uszach czyste głosy dzieci i melodię wygrywaną przez męża, swoją drugą połowę, pomyślała z nadzieją: wszystko będzie dobrze.

– …bim… bam… bom…

Gdy wybrzmiały ostatnie nuty piosenki, Vianne zaklaskała w dłonie ze szczerym entuzjazmem. Dzieci ukłoniły się w pas, przy czym Daniel zaplątał się w koc, potoczył po trawie i się roześmiał. Vianne podeszła do sceny, rozdzielając między dzieci komplementy i pocałunki.

– Cudowny pomysł, naprawdę – powiedziała do Sophie z oczami lśniącymi radością i dumą.

– Byłem bardzo skupiony, mamo – pochwalił się Daniel.

Vianne nie wypuszczała ich z objęć. Przyszłość rysowała się jasno, czuła to całym sercem.

– Zaplanowałam to z tatą – oznajmiła Sophie. – Zupełnie tak jak wcześniej, pamiętasz?

– Ja też planowałem – wtrącił Daniel, wypinając pierś.

– Oboje byliście znakomici – roześmiała się Vianne po raz setny. – Jak zawodowi śpiewacy. A…

– Vianne? – rzekł Antoine za jej plecami.

Nie usłyszała, zapatrzona w promieniejącego Daniela.

– Jak długo uczyłeś się swojej części piosenki?

– Mamo – powiedziała Sophie z cicha. – Ktoś przyszedł.

Vianne odwróciła się gwałtownie.

Antoine stał w tylnych drzwiach z dwoma mężczyznami ubranymi w jednakowe czarne stroje i czarne nakrycia głowy. Jeden trzymał porysowaną skórzaną aktówkę.

– Sophie, zajmij się przez chwilę bratem – zwrócił się do córki Antoine. – Ja i mama musimy porozmawiać z tymi panami. – Podszedł do Vianne i ujął ją pod łokieć, pomagając przejść

z tarasu do wnętrza domu. Mężczyźni w milczeniu podążyli za nimi.

Kiedy drzwi były już zamknięte, Vianne usłyszała:

– Nazywam się Nathan Lerner – powiedział starszy. Był całkiem siwy i miał cerę barwy płótna poplamionego herbatą. Na twarzy i rękach widać było starcze plamy.

– Ja jestem rabbi Horowitz – przedstawił się drugi z mężczyzn.

– Co panów sprowadza?

– Przyjechaliśmy po Ariego de Champlaina – rzekł rabbi łagodnym głosem. – Chłopiec ma krewnych w Ameryce, konkretnie w Bostonie, którzy niedawno skontaktowali się z nami.

Vianne upadłaby, gdyby Antoine jej nie podtrzymał.

– Dowiedzieliśmy się, że uratowała pani dziewiętnaścioro żydowskich dzieci, działając praktycznie bez wsparcia. Odważyła się pani na to, mimo że w pani domu kwaterowali podczas wojny niemieccy oficerowie. To imponujące, proszę pani.

– Heroiczne – dodał rabbi.

Antoine położył jej dłoń na ramieniu i ów gest uświadomił Vianne, że milczy od dłuższego czasu.

– Rachel była moją najlepszą przyjaciółką – powiedziała cicho. – Pomagałam jej przedostać się do strefy nieokupowanej, krótko przed deportacją, ale…

– Jej córka wtedy zginęła – dopowiedział Lerner.

– Skąd pan wie?

– Nasza praca polega na spisywaniu takich historii i łączeniu rodzin – odrzekł. – Rozmawialiśmy z wieloma więźniarkami, które siedziały w Auschwitz z Rachel de Champlain. Niestety, przeżyła tam tylko miesiąc. Jej mąż Marc zginął w stalagu XIIIA. Nie miał tyle szczęścia co pani małżonek.

Vianne milczała. Wiedziała, że dają jej czas, lecz nie zamierzała im niczego ułatwiać.

– Daniel – Ari – urodził się tuż przed pójściem Marca na wojnę, niecały tydzień przedtem. Nie pamięta swoich rodziców. Uznałam, że najlepiej będzie mu powiedzieć, że jest moim prawdziwym synem.

– Tyle że on nie jest pani synem. – Lerner wypowiedział to łagodnym tonem, ale jego słowa smagnęły Vianne niczym bat.

– Obiecałam Rachel, że zapewnię mu bezpieczeństwo – oświadczyła zaczepnie.

– I zapewniła pani. Teraz nadszedł czas, żeby Ari wrócił do rodziny. Do swego ludu.

– Przecież on tego nie zrozumie – upierała się Vianne.

– Możliwe, że nie – odparł Lerner. – Na razie.

– Kochamy go jak syna. – Vianne spojrzała błagalnie na Antoine'a. – Chłopiec należy do rodziny. Powinien zostać z nami. Ty też chcesz, żeby został u nas, prawda, Antoine?

Jej mąż zdecydowanie skinął głową.

– Możemy go formalnie adoptować – zwróciła się błagalnie do przybyszy. – Wychować go jak własne dziecko. W tradycji żydowskiej, oczywiście… Gdy dorośnie, powiemy mu, kim jest i zaprowadzimy go do synagogi, i…

– Proszę pani – przerwał Lerner z westchnieniem.

Rabbi zbliżył się do Vianne i ujął jej rękę w dłonie.

– Wiemy, że pani go kocha, a on kocha panią. Wiemy też, że Ari jest zbyt mały, żeby to zrozumieć, więc będzie płakał i tęsknił, być może przez lata…

– Mimo to chcecie mi go odebrać.

– Pani widzi jedno złamane dziecięce serce. Ja przyjechałem tu z powodu złamanego serca mojego ludu. Rozumie pani? – Twarz mu obwisła, wargi się skrzywiły. – Proszę pani, podczas tej wojny zginęły miliony Żydów. Miliony – umilkł, by to do niej

dotarło. – Przepadło całe pokolenie. Musimy się teraz zjednoczyć, odbudować to, co z nas zostało. Jeden mały chłopiec, który nie pamięta, kim był, wydaje się niewielką stratą, ale dla nas jest przyszłością. Nie możemy dopuścić, żeby wychowała go pani w religii, której pani nie zna, i zabierała go do synagogi, kiedy pani sobie przypomni. Ari musi być tym, kim się urodził, musi żyć z własnym ludem. Jego matka na pewno tego by chciała.

Vianne pomyślała o ludziach widzianych w hotelu Lutetia, chodzących szkieletach o mrocznym, nawiedzonym spojrzeniu, o ścianie zakrytej fotografiami.

Zginęły miliony ludzi.

Przepadło całe pokolenie.

Zabrakło jej argumentów. Rabbi miał przecież rację. Kto dał jej prawo decydowania o życiu Ariego z dala od swoich? Walczyłaby o swe dzieci do ostatniego tchu, ale nie miała przed sobą przeciwnika, bo obie strony były przegrane.

– Kto go weźmie? – zapytała, nie dbając, że głos się jej łamie.

– Bliska kuzynka ze strony matki chłopca. Ma jedenastoletnią córkę i sześcioletniego synka. Pokochają go jak swojego.

– Chciałabym, żeby czasem przysłali mi jego zdjęcie – poprosiła z płaczem, wcale się tego nie wstydząc.

Rabbi popatrzył na nią.

– On będzie musiał o pani zapomnieć, jeśli ma zacząć nowe życie.

Była to niezaprzeczalnie prawda, nikt nie wiedział tego lepiej od niej samej.

– Kiedy go zabierzecie?

– Teraz – rzekł krótko Lerner.

Teraz. Zabrzmiało to jak wyrok.

– Czy nie możemy tego zmienić? – wtrącił szorstko Antoine.

– Nie, proszę pana – odparł rabbi. – Ari ma prawo wrócić do swoich. Jest jednym ze szczęściarzy, bo wciąż ma żyjącą rodzinę.

Antoine wziął Vianne za rękę i uścisnął. Pociągnął ją do schodów, parę razy pokonując jej opór. Vianne weszła na górę na drewnianych nogach.

W pokoju syna – nie, nie był jej synem – poruszała się jak lunatyczka, pakując kilka ubrań i zabawek. Wyliniałą pluszową małpkę, której brakowało oka, kawałek gładkiego drewienka znalezionego w lecie nad rzeką, kołderkę, którą uszyła ze starych, już dawno za małych ubranek. Wyhaftowała na niej napis: Dla naszego Daniela od kochających Mamy, Taty i Sophie.

Pamiętała, że kiedy przeczytała ten napis chłopcu, zapytał, czy tata niedługo wróci? Potaknęła, mówiąc, że rodziny mają sposób, by się połączyć.

– Nie oddam go. Nie mogę… Nie dam rady…

Antoine przytulił ją i pozwolił płakać. Kiedy przestała wreszcie szlochać, szepnął jej do ucha:

– Jesteś silna. Oboje musimy być silni. Kochamy go, ale on nie jest nasz.

Miała już dość okazywania siły. Była tym straszliwie znużona. Ile jeszcze będzie musiała znieść?

– Chcesz, żebym ja mu powiedział? – zapytał Antoine.

Tak, chciała tego bardziej niż czegokolwiek innego, ale to była powinność matki.

Ręce jej się trzęsły, gdy pakowała rzeczy Daniela-Ariego do płóciennego plecaka. Wyszła z pokoju, nie oglądając się na Antoine’a, co uświadomiła sobie dopiero po chwili. Oddychanie, poruszanie się wymagało ogromnego wysiłku. Udała się do sypialni i poszukała w komodzie fotografii w ramce, na której stała razem z Rachel. Było to jedyne zdjęcie przyjaciółki, jakie miała. Zostało zrobione dziesięć, może dwanaście lat temu.

Zapisała na odwrocie ich imiona, włożyła ramkę do plecaka i wyszła na korytarz. Nie zwracając uwagi na przybyszów, udała się na podwórko, gdzie dzieci bawiły się na zaimprowizowanej scenie, nadal ubrane w korony i peleryny z koców.

Trzej mężczyźni podążyli za nią do ogrodu.

– Mamo? – zapytała Sophie, patrząc na nich i czując, że coś jest nie tak.

Daniel roześmiał się beztrosko. Ile czasu będzie pamiętała ten cudowny dźwięk? Zapewne niezbyt długo. Niestety, zdołała się już o tym przekonać. Wspomnienia, nawet te najpiękniejsze, nieodmiennie blakły.

– Danielu? – wychrypiała niewyraźnie i musiała odchrząknąć. – Danielu? Możesz tu podejść?

– Co się stało, mamo? Wyglądasz, jakbyś płakała… – zapytała Sophie.

– Danielu? – Vianne podeszła bliżej, przyciskając plecak do piersi.

Malec uśmiechnął się szeroko.

– Chcesz, żeby ci jeszcze raz zaśpiewać, mamo? – zapytał, poprawiając przekrzywioną koronę.

– Możesz tu podejść? – powtórzyła na wszelki wypadek, obawiając się, że w stanie najwyższego wzburzenia, w jakim się znajdowała, część wydarzeń ma miejsce jedynie w jej głowie.

Posłusznie podreptał do niej, unosząc koc, żeby się nie potknąć.

Vianne uklękła w trawie i wzięła go za rączki.

– Nie ma sposobu, żebyś zrozumiał to, co chcę ci teraz powiedzieć. – Głos odmówił jej posłuszeństwa, musiała wziąć się w garść. – Za jakiś czas mogłabym wszystko ci wytłumaczyć. Kiedy byłbyś starszy. Poszlibyśmy do twojego dawnego domu… Ale nasz czas się skończył, kapitanie Danie.

– Co to znaczy? – zapytał, marszcząc czoło.

– Wiesz, jak bardzo cię kochamy, prawda?

– Tak, mamo.

– Kochamy cię, Danielu, pokochaliśmy od razu, gdy zjawiłeś się w naszym życiu, ale przedtem miałeś inną rodzinę. Inną mamę i innego tatę i oni też cię kochali.

– Miałem inną mamę? – zdziwił się Daniel.

– O, nie… – Vianne usłyszała za plecami cichy jęk Sophie.

– Twoja mama nazywała się Rachel de Champlain i kochała cię najbardziej na świecie. A twój tata był bardzo dzielny i miał na imię Marc. Chciałabym opowiedzieć ci o nich, ale nie mogę, nie mamy teraz czasu – znów głos uwiązł jej w gardle i musiała chwilę odczekać, ocierając łzy – bo kuzynka twojej mamy też cię kocha i chce, żebyś przyjechał do niej i mieszkał razem z nią w Ameryce, gdzie ludzie mają mnóstwo jedzenia i zabawek.

Oczy malca napełniły się łzami.

– Ale to ty jesteś moją mamą. Nie chcę nigdzie jechać.

Pragnęła powiedzieć, że ona także nie chce, żeby jechał, lecz to by go jeszcze bardziej przestraszyło, a jej ostatnim obowiązkiem jako jego matki było sprawienie, aby poczuł się bezpiecznie.

– Wiem – powiedziała cicho – ale będzie ci się tam podobało, kapitanie Danie, a twoja nowa rodzina będzie cię bardzo kochała, zobaczysz. Może nawet będą mieli szczeniaczka, którego zawsze chciałeś mieć?

Daniel wybuchnął płaczem, więc mocno go przytuliła i kołysała się lekko wraz z nim. Oderwanie się od niego wymagało nie lada męstwa. Vianne podniosła się z kucek. Obaj przybysze natychmiast wyrośli u jej boku.

– Witaj, młodzieńcze – zwrócił się do chłopca rabbi z zachęcającym uśmiechem.

Daniel rozpłakał się jeszcze bardziej.

Wzięła opierające się dziecko za rękę i zaprowadziła przed dom, idąc obok uschłej jabłoni z powiewającymi na wietrze skrawkami materiałów. Przez nadal nienaprawioną bramę wyszli do niebieskiego peugeota, który parkował na poboczu drogi.

Lerner usiadł za kierownicą, natomiast rabbi stanął przy tylnych drzwiach. Silnik odpalił, wyrzucając z rury wydechowej chmurę spalin.

Rabbi otworzył drzwi, posłał Vianne ostatnie spojrzenie, po czym wsiadł i przesunął się, robiąc miejsce dla chłopca.

Do Vianne dołączyli Sophie i Antoine. Wszyscy troje ukucnęli przy płaczącym dziecku i objęli się mocno, jak rodzina.

– Zawsze będziemy cię kochali, Danielu – powiedziała Sophie zdławionym głosem. – Mam nadzieję, że o nas nie zapomnisz.

Vianne wiedziała, że tylko ona może sprawić, aby malec zgodził się wsiąść do samochodu. Zaufa tylko jej, nikomu więcej.

W życiu Vianne było wiele rzeczy przykrych i okropnych, ale żadna nie mogła równać się z tym, co właśnie miała uczynić. Wzięła Daniela za rączkę i zaprowadziła do auta, do którego posłusznie wsiadł.

– Mamo…? – powiedział, patrząc na nią przez łzy.

Widziała, że niewiele rozumie z tego, co się wokół niego działo.

– Chwileczkę! – krzyknęła nagle Sophie i pognała do domu, skąd po chwili wróciła ze swoim ukochanym pluszowym króliczkiem. Wetknęła go Danielowi do ręki.

Vianne nachyliła się nisko, żeby spojrzeć chłopczykowi w oczy.

– Teraz musisz jechać z panami, Danielu. Zaufaj mamie.

Broda mu zadrżała, gdy przycisnął wytartego królika do piersi i szepnął:

– Dobrze, mamo.

– Bądź grzecznym chłopcem.

Rabbi przechylił się przez Daniela i zatrząsnął drzwi auta.

Chłopiec rzucił się na szybę, przycisnął do niej twarz i obie dłonie, krzycząc z płaczem: „Mamo! Mamo!”. Vianne, Antoine i Sophie mieli w uszach te krzyki jeszcze długo po tym, jak samochód zniknął za zakrętem.

– Niech ci się wiedzie, Ari de Champlain – szepnęła cicho Vianne.

38

Isabelle stała na baczność. Musiała stać sztywno wyprostowana, bo to był apel. Jeżeli zachwieje się i upadnie z powodu zawrotów głowy, oberwie pejczem albo stanie się coś jeszcze gorszego.

Nie, to nie był apel. Była teraz w Paryżu, w sali szpitalnej.

Czekała na coś. Czy może na kogoś?

Micheline poszła porozmawiać z zebranymi w holu pracownikami Czerwonego Krzyża i dziennikarzami, Isabelle natomiast miała zaczekać tutaj.

Drzwi się otworzyły.

– Isabelle – powiedziała Micheline z przyganą. – Nie powinnaś tak ciągle stać.

– Boję się, że jak się położę, to umrę – odparła Isabelle. A może tylko pomyślała sobie te słowa.

Podobnie jak Isabelle, Micheline była chuda jak szczapa, jej kości biodrowe sterczały niczym guzy pod bezkształtną sukienką. Niemal całkiem wyłysiała, jedynie tu i ówdzie sterczały kępki stalowoszarych włosów, i nie miała brwi. Na szyi i ramionach widniały brzydkie, ropiejące liszaje.

– Chodź – powiedziała. Wyprowadziła Isabelle z pokoju i powiodła przez milczący tłum ocaleńców w brudnych łachmanach i wzruszonych, płaczących rodzin, między którymi kręcili się gorączkowo reporterzy, zadając pytania. Zaprowadziła przyjaciółkę do znacznie cichszego

pomieszczenia, gdzie siedzieli na krzesłach byli więźniowie obozu.

Isabelle usiadła posłusznie na wolnym krzesełku i złożyła dłonie na kolanach. Płuca piekły ją i paliły przy każdym oddechu, czuła narastające pulsowanie w skroniach.

– Już pora, żebyś wróciła do domu – powiedziała Micheline.

Spojrzała na nią oczami bez wyrazu.

– Chcesz, żebym ci towarzyszyła w podróży?

Zamrugała powoli, usiłując pojąć sens pytania. Ból głowy niemalże ją oślepiał.

– Dokąd mam jechać?

– Do Carriveau. Zobaczyć się z siostrą. Czeka na ciebie.

– Ona?

– Za czterdzieści minut masz pociąg. Mój odjeżdża za niecałą godzinę.

– Jak to jest, że wracamy? – odważyła się zapytać Isabelle. Mówiła tak cicho, że niemal szeptem.

– Jesteśmy szczęściarami – wyjaśniła Micheline, a Isabelle skinęła głową.

Micheline pomogła jej wstać.

Razem powlokły się do tylnych drzwi szpitala, gdzie parkowały samochody i ciężarówki Czerwonego Krzyża, które miały przewieźć ocalonych na dworzec kolejowy. Czekając na swoją kolej, obie przyjaciółki stanęły ciasno przytulone, jak czyniły to często podczas ostatnich strasznych miesięcy, na apelach, w wagonach bydlęcych, w kolejkach po żywność.

Młoda kobieta w fartuchu Czerwonego Krzyża podeszła do nich z twardą podkładką w ręku.

– Rossignol?

Isabelle objęła mocno Micheline, a potem spojrzała w jej poznaczoną zmarszczkami, poszarzałą twarz.

– Kochałam cię, Micheline – powiedziała ciepło i ucałowała przyjaciółkę spierzchniętymi wargami.

– Nie mów o sobie w czasie przeszłym, Isabelle.

– Ale ja jestem przeszłością. Dziewczyna, którą byłam…

– Ona nie odeszła, Isabelle. Jest chora i była okropnie traktowana, ale istnieje. Miała lwie serce.

– Teraz ty używasz czasu przeszłego. – Prawdę mówiąc, Isabelle zupełnie nie pamiętała tamtej dziewczyny, która bez zastanowienia wstąpiła do francuskiego ruchu oporu. I lekkomyślnie sprowadziła jednego zestrzelonego pilota do paryskiego mieszkania ojca, drugiego zaś ukryła w stodole siostry. Która po wielekroć przemierzała Pireneje i zakochała się bez pamięci podczas ucieczki z okupowanego Paryża.

– Udało nam się – powiedziała Micheline.

W minionym tygodniu Isabelle niezliczoną ilość razy słyszała te słowa. „Udało nam się”. Gdy Amerykanie wyzwalali obóz, to zaklęcie – udało nam się – było na ustach każdego więźnia. Isabelle poczuła wówczas ulgę; przeżyła pomimo bicia, zimna, chorób i głodu, mimo skrajnego wycieńczenia przetrwała nawet piekielny marsz przez zamieć i śnieg.

Teraz jednak zastanawiała się, jak dalej żyć, czym mogłoby być to darowane przez los życie? Nie mogła stać się dawną sobą, to jasne, jak jednak miała pójść naprzód? Z tą myślą po raz ostatni pomachała Micheline i wspięła się na pakę ciężarówki.

W pociągu starała się udawać, że nie dostrzega współczujących lub ciekawskich spojrzeń pasażerów. Usiłowała siedzieć wyprostowana, ale nie była w stanie. Wreszcie dała za wygraną i skronią dotknęła okna.

Zamknęła oczy i natychmiast zasnęła, śniąc gorączkowe sny o jeździe w bydlęcym wagonie, o płaczących dzieciach

i matkach desperacko próbujących je uciszyć… O odsuwanych drzwiach i esesmanach z psami na peronie…

Obudziła się z niemiłym szarpnięciem. Zdezorientowana, dopiero po chwili zrozumiała, gdzie się znajduje i że jest całkiem bezpieczna. Otarła rękawem spocone czoło. Wysoka gorączka wróciła.

Po dwóch godzinach jazdy pociąg stanął na stacji w Carriveau.

Udało mi się, pomyślała. Więc dlaczego niczego nie czuła?

Wstała i szurając stopami, powlokła się do wyjścia. Kiedy stanęła na peronie, chwycił ją atak kaszlu. Zgięta wpół kasłała, plując krwią w nastawioną dłoń. Gdy znowu mogła złapać oddech, wyprostowała się powoli, czując się pusta w środku i wyczerpana. Stara.

Na skraju peronu czekała na nią siostra. Była w zaawansowanej ciąży, ubrana w spłowiałą i połataną letnią sukienkę. Falujące rudoblond włosy były teraz dłuższe, sięgały poniżej ramion. Przeszukując wzrokiem tłumek pasażerów, przesunęła nim po Isabelle, nie rozpoznając siostry.

Isabelle uniosła kościste ramię. Vianne zobaczyła ją i pobladła.

– Isabelle! – krzyknęła, rzucając się do niej niezdarnym truchtem. Ujęła w dłonie wymizerowaną twarz siostry.

– Nie podchodź zbyt blisko. Mój oddech może zabić.

– Witaj w domu, siostro – szepnęła Vianne, całując ją w suche, popękane usta.

– Dom – powtórzyła Isabelle dawno niesłyszane słowo. Nie towarzyszyły mu żadne obrazy, ból głowy dokuczał jej coraz bardziej, rozpędzając myśli.

Vianne ostrożnie objęła siostrę i przyciągnęła bliżej. Isabelle poczuła bijący od niej świeży cytrynowy zapach. Vianne zaczęła

tkliwie głaskać ją po plecach, tak jak wtedy, gdy Isabelle była małą dziewczynką. Udało mi się, pomyślała.

Była w domu.

Cała płoniesz – powiedziała Vianne, gdy znalazły się już w Le Jardin, gdzie Isabelle wzięła długą gorącą kąpiel i ubrana w czystą koszulę nocną leżała w świeżej pościeli.

– Uhm… Nie mogę się pozbyć gorączki.

– Zaparzę ci herbaty lipowej. – Vianne zaczęła się podnosić.

– Nie. Nie zostawiaj mnie – poprosiła Isabelle. – Proszę, połóż się przy mnie.

Vianne wgramoliła się na wąskie łóżko. Przygarnęła siostrę z przesadną ostrożnością, jakby się obawiała, że dotyk zostawi na jej ciele siniaki.

– Przykro mi z powodu Becka. Wybacz mi… – szepnęła Isabelle i zaniosła się kaszlem, a przecież tak długo czekała, by móc wypowiedzieć te słowa, setki razy wyobrażała sobie tę rozmowę – …że naraziłam ciebie i Sophie na niebezpieczeństwo.

– Nie, Isabelle – odparła miękko Vianne – to ty mi wybacz. Tyle razy sprawiłam ci zawód, poczynając od dnia, w którym tata odesłał nas do madame Dumas. A kiedy wyjechałaś do Paryża, jak mogłam uwierzyć w twoją głupią historyjkę o gorącym romansie z Henrim. Tyle lat mnie to prześladowało. – Vianne oparła się na łokciu. – Jak myślisz, czy możemy zacząć od nowa? Wreszcie stać się dla siebie prawdziwymi siostrami, tak jak pragnęła mama?

– Chciałabym… – Isabelle walczyła z ogarniającą ją sennością.

– Jestem taka dumna z twojego bohaterstwa, Isabelle. Dokonałaś niezwykłych czynów!

Oczy dziewczyny napełniły się łzami.

– A ty, Vianne?

– Po Becku – odparła niechętnie, odwracając wzrok – kwaterował tutaj inny Niemiec. Zły człowiek.

Mówiąc to, odruchowo dotknęła sterczącego brzucha i lekko się zarumieniła. Isabelle instynktownie się domyśliła, przez co musiała przejść siostra. Słyszała przecież masę opowieści o kobietach gwałconych przez kwaterujących u nich żołnierzy.

– Czy wiesz, czego się nauczyłam w obozach?

– Czego?

– Nie mogli tknąć mojego serca. Nie mogli zmienić tego, kim naprawdę byłam. Ciało… złamali je w ciągu kilku dni, ale nie dostali się do mojego serca, Vianne. Krzywda spotkała twoje ciało, a ono da się uleczyć. – Chciała jeszcze coś dodać, zapewnić, że kocha siostrę, ale przeszkodził jej w tym atak kaszlu. Kiedy minął, wyczerpana padła na poduszki, oddychając płytko, z wysiłkiem.

Vianne położyła jej na czole chłodny kompres.

Isabelle popatrzyła na plamy krwi na pościeli i przypomniała sobie końcowe dni życia matki. Ona także pluła wtedy krwią. Zerknęła na Vianne i zorientowała się, że siostra myśli o tym samym.

Isabelle ocknęła się na podłodze. Zmarzła na kość, a zarazem płonęła z gorąca, pocąc się obficie i drżąc z zimna.

Nie słyszała najmniejszego dźwięku, szelestu przemykających przez pokój karaluchów i szczurów, wody sączącej się przez szpary w ścianach i zamarzającej w grube sople, kasłania i płaczu. Usiadła powoli, krzywiąc się przy każdym ruchu. Bolało ją całe ciało, kości, skóra, głowa, klatka

piersiowa, każdy mięsień, który jeszcze pozostał, więzadła i stawy.

Naraz usłyszała głośne „ra-ta-ta-ta”. Strzały z karabinu. Zakryła głowę rękami i skuliła się w najciemniejszym kącie pokoju.

Nie.

Była przecież w Le Jardin, a nie w Ravensbrück.

To krople deszczu bębniły o dach.

Otumaniona, powoli podniosła się z klęczek. Od jak dawna tutaj przebywała?

Cztery dni? Pięć?

Powlokła się w stronę komody, na której stała miska letniej wody i porcelanowy dzbanek. Umyła ręce i ochlapała wodą twarz, po czym ubrała się w rzeczy pozostawione przez Vianne – sukienkę, która należała do Sophie, gdy siostrzenica miała dziesięć lat, i cienki sweterek. Następnie rozpoczęła powolne schodzenie na parter.

Drzwi wejściowe były otwarte. Ulewny deszcz zamazywał widok na ogród z jabłoniami. Isabelle przystanęła w progu i z rozkoszą wdychała świeże, wilgotne powietrze.

– Isabelle? – zagadnęła Vianne, zbliżając się do niej. – Chodź, napijesz się trochę rosołu. Lekarz powiada, że dobrze ci zrobi.

Skinęła głową, pozwalając siostrze wierzyć, że te kilka łyżek rosołu, jakie była w stanie utrzymać w żołądku, poprawią stan jej zdrowia.

Wyszła na deszcz. Świat był pełen cudownych dźwięków, ptaki śpiewały, dzwoniły kościelne dzwony, deszcz bębnił o dach, szeleścił w gałęziach drzew, pluskał w kałużach. Wąską drogą do miasteczka toczyły się samochody, ciężarówki i rowery, prowadzący je trąbili, dzwonili, machali do siebie jak ludzie wracający do domów. Przemknęła ciężarówka

z roześmianymi amerykańskimi żołnierzami, którzy machali do mijanych pojazdów.

Na ten widok Isabelle przypomniała sobie, co mówiła Vianne, że Hitler popełnił samobójstwo w Berlinie, a stolica Rzeszy skapitulowała.

Czy to była prawda? Że wojna się skończyła? Nie wiedziała, nie mogła sobie przypomnieć. W jej umyśle panował ostatnio taki bałagan…

Utykając, wyszła na drogę i zbyt późno zorientowała się, że jest boso – Boże, pobiją ją, że zgubiła buty… – mimo to szła dalej przed siebie. Trzęsąc się z zimna, pokasłując, w ulewnym deszczu kierowała się w stronę zbombardowanego lotniska zajętego obecnie przez wojska aliantów.

– Isabelle!

Odwróciła się, kaszląc i plując krwią. Było jej zimno, trzęsła się i kuliła. Sukienkę miała zupełnie przemoczoną.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała Vianne, która przybiegła za nią. – I gdzie podziałaś buty? Masz tyfus i zapalenie płuc, a wyszłaś na taki deszcz. – Zdjęła płaszcz i okryła ramiona Isabelle.

– Czy wojna już się skończyła?

– Mówiłam ci wczoraj wieczorem, nie pamiętasz?

Deszcz zalewał im oczy, ściekał z włosów i ramion. Isabelle odetchnęła urywanie i poczuła ukłucie łez pod powiekami.

Tylko nie płacz, napomniała się w duchu. Wiedziała, że to bardzo ważne, ale nie pamiętała dlaczego.

– Isabelle, jesteś chora…

– Gaëton przyrzekł mnie odnaleźć, kiedy wojna się skończy – szepnęła. – Muszę pojechać do Paryża, żeby mógł mnie znaleźć.

– Jeśli będzie cię szukał, to na pewno zajrzy tu do nas, do Carriveau.

Isabelle pokręciła głową. Była przeciwnego zdania.

– Przecież on tutaj był, pamiętasz? Po nalocie na Tours. Przyprowadził cię do nas.

„Mój słowiku, przyprowadziłem cię prosto do domu”.

– Już nie powie, że jestem ładna. – Isabelle próbowała się uśmiechnąć, ale czuła, że jej nie wyszło.

Vianne objęła siostrę i łagodnie pociągnęła ją w stronę domu.

– Chodź, napiszemy do niego list.

– Nie wiem, dokąd go wysłać – powiedziała Isabelle, wspierając się na siostrze i dygocząc z gorączki.

Jak doszła do Le Jardin? Nie pamiętała. Mgliście przypominała sobie, że Antoine wniósł ją na rękach do pokoju i położył do łóżka, a Sophie przyniosła jej kubek gorącego rosołu, potem jednak musiała zasnąć, bo gdy się ocknęła, za oknem było już ciemno.

Vianne drzemała w fotelu w kącie pokoju.

Isabelle zakasłała.

Vianne zerwała się natychmiast i poprawiła jej poduszki, pomagając zmienić pozycję. Zanurzyła ściereczkę w chłodnej wodzie, wyżęła i położyła siostrze na czole.

– Chcesz trochę rosołu?

– Boże, nie…

– Nic nie jesz, Isabelle.

– Bo nie mogę niczego utrzymać w żołądku.

Vianne przysunęła fotel bliżej łóżka. Musnęła rozgrzany, spocony policzek siostry i zajrzała w jej zapadnięte oczy.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała, wstając z fotela i opuszczając pokój. Po chwili wróciła z pożółkłą kopertą, którą wręczyła Isabelle. – Właściwie to dla nas obu. List od taty. Wstąpił tutaj po drodze do Girot, kiedy pojechał się z tobą zobaczyć.

– Naprawdę? Czy powiedział ci, że zamierza wziąć winę na siebie, żeby mnie uratować?

Zapytana skinęła głową. Gestem ponagliła siostrę, by otworzyła kopertę.

Litery skakały Isabelle przed oczami. Z niedożywienia wzrok bardzo jej się pogorszył. Pokręciła ze smutkiem głową.

– Musisz przeczytać mi na głos.

Vianne rozłożyła kartkę i zaczęła czytać.

Isabelle i Vianne!

To, co chcę zrobić, uczynię bez żalu. Przykro mi nie z powodu śmierci, lecz życia, jakie wiodłem. Przepraszam, że nie byłem Wam ojcem.

Mógłbym szukać usprawiedliwień – że zniszczyła mnie wojna, za dużo piłem, nie poradziłem sobie ze śmiercią Waszej mamy – ale nic z tego nie ma teraz znaczenia.

Isabelle, pamiętam jak pierwszy raz uciekłaś, żeby być ze mną. Samodzielnie dojechałaś aż do Paryża, mówiąc całą sobą: kochaj mnie. A ja, widząc Cię tak bardzo mnie potrzebującą, odwróciłem się od Ciebie.

Jak mogłem nie widzieć, że Ty i Vianne byłyście dla mnie darem, wystarczyło jedynie po niego sięgnąć?

Wybaczcie mi to wszystko, moje córki, i wiedzcie, że gdy teraz żegnam się z Wami, pragnę zapewnić, że kochałem Was z całego kalekiego serca.

Isabelle zamknęła oczy i ciężko padła na poduszki. Całe życie czekała na te słowa – o jego miłości – a teraz czuła jedynie stratę. Kiedy jeszcze mieli siebie, nie kochali się wystarczająco, a potem ich wspólny czas się skończył.

– Trzymaj Sophie, Antoine’a i twoje nowe dziecko blisko przy sobie, Vianne. Miłość to taka śliska rzecz.

– Nie rób tego – powiedziała Vianne.

– Czego?

– Nie żegnaj się ze mną. Wyzdrowiejesz i odzyskasz siły, a potem odnajdziesz Gaëtona, wyjdziesz za niego za mąż i będziecie tu z nami, kiedy dziecko się urodzi.

– Jakaż to będzie piękna przyszłość – mruknęła z ironią Isabelle, zamykając oczy.

Tydzień później siedziała w ogrodzie na fotelu, owinięta dwoma kocami i przykryta ciepłą narzutą. Była wiosna w pełni, słońce mocno już przygrzewało, a mimo to drżała z zimna. Sophie siedziała przy niej na trawie i czytała jej książkę, starając się dopasowywać głos do różnych postaci i czasami było to szczerze zabawne, więc zdarzało się, że pomimo kiepskiego samopoczucia Isabelle się uśmiechała, a nawet w głos śmiała.

Antoine próbował skleić z ocalałych kawałków drewna kołyskę dla dziecka. Było jasne, że wkrótce nastąpi poród, gdyż Vianne poruszała się coraz bardziej ociężale i stale przykładała dłonie do bolącego kręgosłupa.

Przymknąwszy powieki, Isabelle napawała się zwykłością dnia. Z oddali doleciał głos dzwonów. Biły niemal ciągle, oznajmiając, że krwawa wojna się zakończyła.

Sophie przerwała lekturę w połowie zdania.

Isabelle wydało się, że powiedziała „czytaj dalej”, ale nie była pewna.

Usłyszała, że siostra mówi „Isabelle” takim tonem, jakby coś się wydarzyło.

Otworzyła oczy. Stała przed nią Vianne ze śladami mąki na twarzy, wycierając ręce w pasiasty fartuch. Chustka na włosach nieco się przekrzywiła.

– Ktoś chce się z tobą widzieć.

– Powiedz doktorowi, że czuję się świetnie.

– To nie doktor – odparła Vianne z uśmiechem. – To Gaëton.

Serce Isabelle omal nie wyskoczyło z piersi. Chciała zerwać się z fotela i ciężko padła z powrotem. Vianne pomogła jej się podnieść, ale kiedy stanęła już na nogach, nie była w stanie zrobić kroku. Jak mogła mu się tak pokazać? Była wyłysiałym, pozbawionym brwi cieniem człowieka, brakowało jej kilku zębów i paznokci. Uniosła dłoń do ucha, uświadamiając sobie zbyt późno, że nie ma włosów, które mogłaby za nie założyć.

– Wyglądasz pięknie – szepnęła Vianne, całując ją w policzek.

Isabelle obróciła się powoli i ujrzała stojącego w drzwiach Gaëtona. Widziała, jak źle wyglądał – chudy jak szkielet, bez włosów, bez swej wibrującej energii, ale to się nie liczyło. Był tutaj.

Przykuśtykał do niej i wziął ją w ramiona.

Uniosła drżące ręce i też go objęła. Po raz pierwszy od wielu dni, tygodni, miesięcy jej serce stało się użyteczne, pompując w nią życie. Gdy cofnął się i spojrzał na nią, miłość w jego oczach wypaliła wszystko, co złe, i znów byli tylko oni dwoje: Gaëton i Isabelle, którzy jakoś zakochali się w sobie w świecie ogarniętym wojną.

– Jesteś tak piękna, jak zapamiętałem – powiedział, ona zaś roześmiała się, a potem rozpłakała. Otarła oczy, czując się głupio, ale łzy nadal płynęły. Opłakiwała wszystko naraz – ból i stratę, gniew i strach, wojnę i to, co z nimi uczyniła, potworność obozu i wiedzę o złu, z której nigdy nie zdoła się otrząsnąć.

– Nie płacz.

Jak mogła nie płakać? Powinni mieć całe życie na to, żeby dzielić sekrety i prawdy, poznawać się wzajemnie.

– Kocham cię – wyszeptała, przypominając sobie tę tak odległą chwilę, kiedy powiedziała mu to pierwszy raz. Była

wtedy taka młoda i lśniąca…

– Ja też cię kocham – odrzekł i głos mu się załamał. – Od pierwszej minuty, w której cię ujrzałem. Ale pomyślałem, że lepiej ci tego nie mówić, dla twojego dobra. Gdybym wiedział…

Jak kruche było życie i oni sami…

Miłość.

Była początkiem i końcem wszystkiego, fundamentem, sufitem i powietrzem pomiędzy nimi. Nie liczyło się, że Isabelle była schorowana i brzydka. Kochał ją, a ona kochała jego. Przez całe życie czekała, tęskniła za ludźmi, którzy by ją pokochali, a teraz przekonała się, co naprawdę ma znaczenie. Dane jej było poznać błogosławieństwo miłości.

Tata. Mama. Sophie.

Antoine. Micheline. Anouk. Henri.

Gaëton.

Vianne.

Ponad jego ramieniem spojrzała na siostrę, swoją drugą połowę. Przypomniała sobie raptem, jak mama zawsze twierdziła, że pewnego dnia zostaną najlepszymi przyjaciółkami, że czas zespoli ich życia w jedno.

Vianne skinęła głową, płacząc i przytrzymując wydatny brzuch.

Pamiętaj o mnie, pomyślała Isabelle. Żałowała, że brak jej odwagi, aby powiedzieć to głośno.

39

7 maja 1995 roku
Gdzieś nad Francją

Światła w kabinie samolotu nagle się zapalają.

Słyszę „ding-dong” poprzedzające komunikat z kabiny pilotów. Rozpoczynamy podchodzenie do lądowania w Paryżu.

Julien przechyla się i zapina mi pasy, upewnia się, czy mój fotel znajduje się w pozycji wyprostowanej. Pilnuje, żebym była bezpieczna.

– Jakie to uczucie, mamo, znów znaleźć się w Paryżu?

Nie wiem, co na to odpowiedzieć.

Wiele godzin później dzwoni mój telefon. Odbieram praktycznie przez sen.

– Halo?

– Cześć, mamo. Spałaś?

– Tak.

– Jest trzecia. O której chcesz wyruszyć na uroczystość?

– Przejdźmy się najpierw po Paryżu. Mogę być gotowa za godzinę.

– Wobec tego przyjdę po ciebie.

Wysuwam się z łoża wielkości Nebraski i idę do wyłożonej marmurem łazienki. Długi gorący prysznic działa ożywczo, ale dopiero kiedy siadam przy toaletce i spoglądam na swoje odbicie w owalnym lustrze, uderza mnie myśl.

Jestem w domu.

Nie ma znaczenia, że jestem obywatelką amerykańską i większą część życia spędziłam w Stanach, mieszkając tam o wiele dłużej niż we Francji. To się zupełnie nie liczy. Znów jestem w domu.

Starannie nakładam makijaż. Potem sczesuję do tyłu białe jak śnieg włosy i drżącymi rękami (ani na moment nie chcą przestać się trząść!) układam w zgrabny koczek na karku. W lustrze widzę elegancką wiekową kobietę o aksamitnej, pomarszczonej cerze i błyszczących bladoróżowych ustach. Z jej bystrych oczu wyziera niepokój.

Cóż, lepiej nie będzie.

Wstaję od toaletki i wyjmuję z szafy parę białych zimowych spodni oraz biały sweter z golfem. Dopiero wtedy mi świta, że kolorowy strój byłby lepszym wyborem, ale nie pomyślałam o tym podczas pakowania.

Jestem gotowa na przybycie Juliena.

Syn prowadzi mnie korytarzem, podtrzymując pod łokieć, jakbym była kaleka i niewidoma, ja zaś pozwalam mu na to bez komentarza. Przemierzamy eleganckie lobby i wychodzimy na magiczne światło wiosennej paryskiej ulicy.

Julien prosi portiera, by wezwał taksówkę, lecz ja protestuję.

– Pójdziemy pieszo.

Julien robi zaniepokojoną minę:

– Ale to w Île de la Cité.

Mimowolnie krzywię się na jego fatalną wymowę, ale cóż, to wyłącznie moja wina.

Portier uśmiecha się pod nosem.

– Mój syn uwielbia przeglądać mapy miast – powiadam. – A jeszcze nigdy nie był w Paryżu.

Tamten kiwa głową ze zrozumieniem.

– To daleko stąd, mamo – upiera się Julien, stając naprzeciw mnie. – A ty jesteś…

– Stara? – Uśmiecham się, nic na to nie poradzę. – Jestem także Francuzką.

– Masz pantofle na obcasach.

– Jestem Francuzką – powtarzam z uporem.

Julien spogląda bezradnie na portiera, który rozkłada dłonie w rękawiczkach i mówi rzecz oczywistą dla każdego Francuza:

– Takie jest życie, proszę pana.

– No dobrze. – Syn się poddaje. – To się przejdźmy.

Biorę go pod rękę i przez jedną cudowną chwilę, gdy zstępujemy na zatłoczony chodnik, idąc tak blisko siebie, ramię w ramię, znowu czuję się młodą dziewczyną. Ulicą śmigają samochody, ubliżając klaksonami sobie i pieszym, obok nas przemyka ciemnoskóry chłopak na deskorolce, zaraz za nim drugi, zwinnie wymijając przechodniów, snują się tłumy turystów, kawiarnie pękają w szwach. W łagodnym powietrzu unosi się zapach kwitnących kasztanów, zmieszany z wonią cynamonu, świeżo upieczonego chleba, spalin, benzyny i rozgrzanych kamieni. Ta mieszanina już zawsze będzie mi przypominać Paryż.

Po prawej stronie dostrzegam jedną z ulubionych cukierni mojej matki i nagle przypominam sobie chwilę, gdy wręczyła mi marcepanowy makaronik.

– Mamo?

– Wejdźmy tu – mówię władczo, lecz z uśmiechem, ciągnąc Juliena do niewielkiego sklepiku. Przed ladą stoi kolejka, ustawiam się więc na końcu.

– Wydawało mi się, że nie przepadasz za ciastkami.

Nie odpowiadam, z zachwytem gapiąc się na oszkloną ladę z tacami wymyślnie ozdobionych makaroników i *pain au chocolat*.

Gdy przychodzi moja kolej, kupuję dwa makaroniki: kokosowy i malinowy. Sprzedawczyni pakuje mi je do papierowej torebki, na ulicy sięgam do niej i podaję Julienowi ten kokosowy.

Ruszamy spacerowym krokiem, syn odgryza kawałek ciastka i zastyga w miejscu.

– Mniam… – mówi po chwili. I zaraz znowu: – Mniam…

Uśmiecham się do siebie. Każdy pamięta swój pierwszy smak Paryża. Ten będzie jego.

Oblizawszy starannie palce i wyrzuciwszy torebkę do kosza, Julien ponownie ujmuje mnie pod ramię.

– Napijmy się po kieliszku wina – mówię, zauważywszy przytulne bistro z widokiem na Sekwanę.

Właśnie minęła piąta. W wyższych sferach odpowiednia pora na koktajl. Siadamy na tarasie pod baldachimem kwitnących kasztanów. Po przeciwnej stronie ulicy handlarze rozstawili na nabrzeżu swoje kramy, jednakowe zielone stoiska, w których sprzedają wszystko, poczynając od obrazów olejnych przez stare okładki „Vogue'a" po breloczki z wieżą Eiffla.

Sączymy wino, zagryzając frytkami z przetłuszczonego papierowego rożka. Z jednego kieliszka robią się dwa, a w tym czasie złotawy blask popołudnia ustępuje z wolna zmierzchowi.

Zapomniałam już, jak cudownie płynie czas w Paryżu. Miasto jest gwarne, a jednocześnie ma w sobie jakiś wabiący spokój. W Paryżu z kieliszkiem wina w ręku możesz po prostu być.

Wzdłuż nabrzeża Sekwany zapalają się uliczne latarnie, okna mieszkań złocieją.

– Już siódma – mówi Julien, ja zaś uświadamiam sobie, że przez cały czas pilnował zegarka, czekał. To Amerykanin

w każdym calu. On nie siedziałby bezczynnie, nie pogrążyłby się w zapomnieniu, nie ten mój młody człowiek. On tylko pozwalał mi odzyskać równowagę.

Kiwam głową i czekam, aż zapłaci rachunek. Kiedy wstajemy, nasz stolik od razu zajmuje dobrze ubrana para paląca papierosy.

Idziemy pod rękę do Pont Neuf, najstarszego mostu przerzuconego przez Sekwanę. Po drugiej stronie leży Île de la Cité, wyspa, która była niegdyś sercem Paryża. Katedra Notre Dame o strzelających w niebo kredowych murach przypomina siadającego z szeroko rozpostartymi skrzydłami drapieżnego ptaka. W nurcie rzeki odbijają się punkciki świateł i zniekształcone przez fale złociste kopuły.

– Magia – mruczy Julien, trafiając w samo sedno.

Idziemy powoli przez ten piękny most, zbudowany ponad cztery wieki temu. Stajemy na drugim brzegu i spoglądamy na strzeliste wieże katedry. Opodal handlarz zamyka swój przenośny kramik.

Julien zatrzymuje się przy nim i bierze do ręki zabytkową śnieżną kulę. Gdy nią potrząsa, sztuczny śnieg w jej wnętrzu wiruje i opada, zasłaniając maleńką wieżę Eiffla.

Spoglądam na białe drobinki i wiem, że to sztuczny twór, mimo to przypominają mi się te straszliwe zimy, które trzeba było przetrwać w dziurawych butach i podartych łachmanach, z warstwą gazet pod spodem, aby zyskać chociaż trochę więcej ciepła.

– Mamo? Ty drżysz.

– Spóźnimy się – mówię. Julien odkłada bibelot i ruszamy nieco szybszym krokiem, mijając długą kolejkę chętnych do zwiedzenia katedry.

Hotel znajduje się przy bocznej ulicy na tyłach Notre Dame. Tuż obok stoi Hôtel-Dieu, najstarszy szpital w Paryżu.

– Boję się – szepczę, zaskakując samą siebie tym wyznaniem. Nie pamiętam już, kiedy przyznałam się do strachu, choć odczuwałam go przecież wiele razy. Ostatnio przed czterema miesiącami, gdy powiedziano mi, że rak powrócił, ze strachu płakałam pod prysznicem tak długo, aż zmarzłam na kość.

– Nie musimy tam wchodzić – mówi łagodnie Julien.

– Owszem, musimy – odpowiadam.

Stawiam jedną stopę przed drugą i w końcu staję w lobby, gdzie strzałka kieruje nas do sali balowej na czwartym piętrze.

Wychodzimy z windy i natychmiast dolatuje do nas głos mężczyzny, wzmocniony i zarazem zniekształcony przez mikrofon. W holu stoi długi stół, na którym leżą w porządku alfabetycznym identyfikatory z nazwiskami zaproszonych gości. Przypomina mi się stary program telewizyjny. „Koncentracja". Niewiele ich już zostało, w tym moja.

Rozpoznaję nazwisko na plakietce poniżej mojej. Serce mi się ściska. Sięgam po własną plakietkę, którą przypinam do swetra, ale wciąż patrzę na tę drugą. Biorę ją do ręki.

– Madame! – zagaduje siedząca za stołem młoda kobieta i wstaje, wyraźnie poruszona. – Czekaliśmy na panią… Przygotowaliśmy miejsce…

– Nie trzeba, stanę gdzieś z tyłu…

– Ależ to wykluczone. – Kobieta bierze mnie pod ramię. Rozważam stawienie oporu, ale braknie mi siły woli. Przewodniczka prowadzi mnie przez gęsty tłum ludzi siedzących na rozkładanych krzesełkach w całej ogromnej sali balowej, w kierunku podwyższenia, na którym siedzą trzy stare kobiety. Obok nich stoi z mikrofonem młodzieniec w wygniecionej sportowej marynarce i spodniach khaki, niewątpliwie Amerykanin. Na mój widok przestaje mówić.

Sala zastyga w oczekiwaniu. Czuję, że wszyscy na mnie patrzą.

Przesuwam się za plecami tych trzech kobiet na swoje miejsce na podwyższeniu i siadam na wolnym krześle.

– Dzisiaj jest tutaj z nami ktoś bardzo szczególny – mówi młodzieniec do mikrofonu.

Dostrzegam na drugim końcu sali opartego o ścianę Juliena. Stoi z założonymi rękami i lekko zakłopotaną miną; wyraźnie nie ma pojęcia, dlaczego zostałam wyróżniona zaproszeniem na podwyższenie.

– Czy chciałaby pani coś powiedzieć?

Wydaje mi się, że pytanie padło dwukrotnie, zanim się spostrzegłam, że to do mnie.

W sali panuje cisza jak makiem zasiał, słyszę skrzypienie krzesełek, szuranie stóp po parkiecie, wachlowanie się kobiet. Pragnę odrzec: „nie, nie, tylko nie ja”, ale jak mogłabym być takim tchórzem?

Powoli wstaję z krzesła i podchodzę do mównicy. Zbierając myśli, spoglądam na trzy siedzące na podwyższeniu stare kobiety i czytam ich imiona: Almadora, Eliane, Anouk.

Kurczowo ściskam drewnianą krawędź mównicy.

– Moja siostra Isabelle była osobą bardzo żywiołową – zaczynam niezbyt głośno. – Do wszystkiego, co zamierzyła, ruszała z pełną prędkością i bez hamulców. Kiedy była mała, nieustannie się o nią zamartwialiśmy. Ciągle uciekała ze szkół z internatem, wychodziła przez okna, wskakiwała do pociągów, albo z tych szkół ją wyrzucano. Uważałam wtedy, że jest lekkomyślna i nieodpowiedzialna, bo piękna, co automatycznie tak ją klasyfikowało w moich oczach. W czasie wojny wykorzystała to błędne mniemanie przeciwko mnie. Nagadała mi, że ucieka z ukochanym do Paryża, a ja uwierzyłam jej bez zastrzeżeń.

Uwierzyłam jej… I po tylu latach wciąż mi to doskwiera. Powinnam się domyślić, że Isabelle jedzie do Paryża nie za

chłopakiem, lecz za swymi przekonaniami, by robić coś ważnego. – Na moment przymykam powieki i przypominam sobie ją w objęciach Gaëtona, jak patrzy na mnie załzawionym wzrokiem, z ogromną miłością. Potem zamyka oczy, szepcze coś, czego żadne z nas nie dosłyszało, i wydaje ostatnie tchnienie w ramionach mężczyzny, który ją kochał.

Wówczas widziałam w tym straszną tragedię, lecz teraz widzę czyste piękno.

Pamiętam każdą sekundę tamtego popołudnia na moim podwórzu, rozłożyste konary cisu nad naszymi głowami i woń jaśminu w powietrzu.

Spoglądam na identyfikator, który trzymam w dłoni.

„Sophie Mauriac".

Moja śliczna córeczka wyrosła na mądrą, poważną kobietę, która spędziła przy mnie całe życie, zawsze troszcząc się o mnie i trzymając się blisko jak kwoka kurczęcia. Zalękniona. Zawsze nieco bała się świata po tym, co razem przeszłyśmy, a mnie było przez to tak przykro… Ale umiała kochać, ta moja Sophie, a kiedy rak przyszedł po nią, by ją zabrać, nie czuła lęku. Gdy u kresu życia trzymałam ją za rękę, zamknęła oczy i wyszeptała:

– Ciociu… jesteś…

Niedługo spotkam się z nimi, z siostrą i córką.

Odrywam spojrzenie od nazwiska na plakietce i przenoszę wzrok na publiczność. Nikt się nie dziwi, że nie ukrywam łez.

– Isabelle i mój ojciec Julien Rossignol wraz z grupą przyjaciół stworzyli kanał przerzutowy pod kryptonimem Słowik. Wspólnie ocalili życie stu siedemnastu pilotom. – Przełykam z trudem. – Podczas wojny nie miałam częstego kontaktu z Isabelle, niewiele rozmawiałyśmy. Trzymała się z dala ode mnie, żeby nie narażać mnie na niebezpieczeństwo, z jakim wiązała się jej działalność. Tak więc o wszystkim, czego

dokonała, dowiedziałam się dopiero po jej powrocie z Ravensbrück. – Ocieram łzy z oczu. Nie słychać skrzypienia krzesełek ani szurania stóp. Publiczność siedzi nieruchomo, wpatrzona we mnie. Przystojna twarz Juliena jest studium zaskoczenia. Po raz pierwszy o tym wszystkim słyszy. Po raz pierwszy w życiu dostrzega między nami bardziej zatokę niż most. Teraz nie jestem po prostu jego matką, jego przedłużeniem. Jestem pełną kobietą, on zaś nie wie, co ma z tym fantem zrobić. – Isabelle, która powróciła z obozu koncentracyjnego, nie była tą samą kobietą, która przeżyła bombardowanie Tours i wielokrotnie przeszła przez Pireneje. Isabelle, która wróciła do domu, była złamana i ciężko chora. Wielu rzeczy w życiu nie była pewna, ale akurat nie tego, czego dokonała. – Wodzę wzrokiem po obecnych. – W przeddzień śmierci siedziała razem ze mną w ogrodzie. W pewnym momencie wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Wiesz, Vianne, już mi wystarczy". „Ale czego?", zapytałam. „Mojego życia", odparła. „Już mi go wystarczy".

Tak też się stało. Wiem, że Isabelle ocaliła niektórych z tutaj obecnych, ale wiem także, że i wy byliście dla niej ocaleniem. Isabelle Rossignol umarła jako bohaterka i zakochana dziewczyna. Nie mogłaby dokonać innego wyboru. Pragnęła tylko jednego: by o niej pamiętano. Dziękuję wam wszystkim, że nadaliście jej życiu znaczenie, wydobywając z niej to, co miała w sobie najlepszego, i pamiętacie o niej nadal, po tych wszystkich latach. – Po wypowiedzeniu tych słów, przestaję zaciskać palce na krawędzi mównicy i wracam na swoje miejsce.

Zebrani wstają z krzeseł i klaszczą zapamiętale. Widzę, że wiele starszych osób płacze, i nagle pojmuję – to rodziny ocalonych pilotów. Każdy z tych mężczyzn powrócił do kraju,

gdzie stworzył rodzinę, a zatem o wiele więcej osób zawdzięcza życie tej dzielnej dziewczynie, jej ojcu i przyjaciołom.

Potem wciąga mnie wir wdzięczności, wspomnień, fotografii… Wszyscy chcą mi podziękować osobiście i wyrazić, ile znaczyli dla nich moja siostra i ojciec. W pewnym momencie Julien staje przy moim boku i zaczyna pełnić rolę ochroniarza.

– Wygląda na to, że musimy ze sobą szczerze porozmawiać – mówi półgłosem, na co kiwam głową i wsparta na jego ramieniu, przesuwam się po sali. Staram się, jak mogę, odgrywać rolę ambasadorki mojej siostry, przyjmując za nią wyrazy wdzięczności.

Już niemal przecisnęliśmy się przez tłum, teraz rzadszy, część gości bowiem udała się do baru na wino, gdy wtem słyszę znajomy głos.

– Cześć, Vianne.

Nawet po tylu latach natychmiast rozpoznaję jego oczy. Gaëton. Jest niższy, niż zapamiętałam, i mocno przygarbiony, opaloną twarz ma pooraną zmarszczkami. Długie, białe jak śnieg włosy sięgają prawie do ramion, lecz i tak rozpoznałabym go wszędzie.

– Vianne – powiada – chcę, żebyś poznała moją córkę. – Odwraca się i daje znak pięknej dziewczynie o klasycznej urodzie, w szykownej czarnej sukni, bardzo obcisłej, z jaskraworóżową apaszką na szyi. Dziewczyna podchodzi do mnie i uśmiecha się, jakbyśmy były przyjaciółkami.

– Jestem Isabelle – przedstawia się uprzejmie.

Wspieram się ciężko na ramieniu Juliena. Ciekawi mnie, czy Gaëton zdaje sobie sprawę, ile znaczyłaby dla mojej siostry ta drobna oznaka pamięci.

Jasne, że tak.

Gaëton nachyla się do mnie, całuje w oba policzki, szepcze: „Kochałem ją przez całe życie”, i znów się prostuje.

Przez kilka chwil prowadzimy niezobowiązującą pogawędkę praktycznie o niczym, po czym Gaëton odchodzi.

Naraz ogarnia mnie zmęczenie. Straszliwe wyczerpanie. Dość stanowczym ruchem wysuwam rękę spod opiekuńczego ramienia Juliena i przeciskam się przez tłum na pusty balkon. Wychodzę w ciemność i ciszę. Katedra obok jest wspaniale podświetlona, jej odblask barwi czarne wody Sekwany. Dolatuje mnie plusk nurtu o kamienne nabrzeże i skrzypienie olinowania łodzi.

Julien staje obok mnie.

– A zatem – odzywa się cicho – twoja siostra, a moja ciotka, siedziała w obozie koncentracyjnym na terenie Niemiec, bo pomogła stworzyć trasę przerzutową dla zestrzelonych pilotów, sama wielokrotnie przeprowadzając ich przez Pireneje? – Ton jego głosu nie pozostawia wątpliwości, że uważa to za bohaterstwo. – Dlaczego nigdy o tym nie słyszałem, i to nie tylko od ciebie? Sophie też nigdy się o tym nie zająknęła. Do diabła, nie miałem nawet pojęcia, że ludzie uciekali przez góry i że istniał obóz koncentracyjny dla kobiet, które walczyły z hitlerowcami.

– Opowiadanie historyjek to działka mężczyzn – mówię. To najprawdziwsza i najprostsza odpowiedź na jego pytanie. – Kobiety żyją dalej. Dla nas ta wojna była czym innym niż dla nich. Kiedy się skończyła, nie brałyśmy udziału w paradach, nie dostawałyśmy medali, nie wspominano o nas w książkach historycznych. W czasie wojny robiłyśmy to, co do nas należało, a gdy się skończyła, pozbierałyśmy kawałki i zaczęłyśmy życie od nowa. Twoja siostra równie rozpaczliwie jak ja pragnęła o tym zapomnieć. Być może popełniłam błąd, pozwalając jej na to. Może jednak powinniśmy o tym rozmawiać.

– Czyli Isabelle ratowała lotników, tata był jeńcem wojennym, a ty zostałaś w domu razem z Sophie. – Wiedziałam, że syn

patrzy na mnie już innymi oczami, zastanawiając się, czego jeszcze nie wie. – Co robiłaś w czasie wojny, mamo?

– Starałam się przetrwać – odpowiadam cicho. To proste wyznanie sprawia, że zalewa mnie nieznośna tęsknota za córką, bo prawda jest taka, że starałyśmy się przetrwać razem. Wbrew wszelkim przeszkodom.

– Pewnie nie było to łatwe…

– Nie było. – Zaskakują mnie moje słowa.

Patrzymy na siebie, matka i syn. On przewierca mnie na wylot oczyma chirurga, którym nic nie umknie, żaden szczegół, ani najnowsze zmarszczki, ani serce bijące trochę za szybko czy pulsowanie w zagłębieniu szyi.

Muska mój policzek, uśmiechając się ciepło. Mój synek.

– Myślałaś, że przeszłość może wpłynąć na to, co do ciebie czuję? Naprawdę tak myślałaś, mamo?

– Pani Mauriac?

Jak dobrze, że ktoś nam przerwał. Nie chcę odpowiadać na pytanie Juliena.

Odwracam się i widzę przystojnego mężczyznę w średnim wieku, który czeka, żeby ze mną porozmawiać. Amerykanin, chociaż nie taki ostentacyjny. Może nowojorczyk; krótko ostrzyżone siwiejące włosy, okulary w designerskich oprawkach. Jest ubrany w zgrabny czarny blezer, drogą białą koszulę i wypłowiałe dżinsy. Zbliżam się o krok w jego stronę i wyciągam rękę. On robi to samo, dokładnie w tej samej chwili. Nasze oczy się spotykają i zastygam w pół gestu. To drobiazg, ale Julien natychmiast jest przy mnie.

– Mamo?

Wpatruję się w mężczyznę przed sobą. Rozpoznaję w nim chłopca, którego tak mocno kochałam, i kobietę, która była moją najlepszą przyjaciółką.

– Ariel de Champlain – szepczę cicho jak słowa modlitwy.

On obejmuje mnie i ściska, bardzo mocno, a wtedy wspomnienia wracają. Gdy w końcu wypuszcza mnie z objęć, oboje nie kryjemy łez.

– Nigdy o was nie zapomniałem, o tobie i Sophie – mówi. – Kazali mi zapomnieć i nawet próbowałem, ale nie mogłem. Od lat was szukałem.

Serce ściska mi znajomy ból.

– Sophie zmarła piętnaście lat temu.

Ari odwraca na moment wzrok. Potem szepcze:

– Przez wiele lat spałem z jej pluszowym królikiem.

– Pamiętam go – odpowiadam.

Ari sięga do kieszeni i wyjmuje z niej fotografię w ramce, na której stoję razem z Rachel.

– Mama dała mi to zdjęcie, kiedy skończyłem college.

Łzy skapują na fotografię, gdy biorę ją do ręki.

– Obie z Sophie ocaliłyście mi życie – mówi Ari tonem stwierdzenia.

Słyszę ciche sapnięcie Juliena i wiem, co ono oznacza. Będzie miał do mnie jeszcze więcej pytań.

– Ari jest synem mojej najlepszej przyjaciółki – mówię. – Kiedy Rachel została wywieziona do Auschwitz, ukryłam go w naszym domu, mimo że kwaterował w nim niemiecki oficer. Ta sytuacja była… bardzo trudna. Baliśmy się wszyscy o życie.

– Pańska matka jest wzorem skromności – odzywa się Ariel. – W czasie wojny z narażeniem życia uratowała dziewiętnaścioro żydowskich dzieci.

Uśmiecham się na widok niedowierzania w oczach syna. Nasze dzieci uważają nas za istoty tak niedoskonałe…

– Nazywam się Rossignol – mówię cicho. – Więc na swój sposób także byłam Słowikiem.

– Pomagałaś przetrwać – dorzuca Ari.

– Czy tata o tym wiedział? – pyta Julien.

– Twój ojciec… – urywam z westchnieniem. „Twój ojciec”. Oto sekret, który kazał mi pogrzebać wspomnienia i nigdy do nich nie wracać.

Przez całe życie od nich uciekałam, starałam się zapomnieć, ale teraz widzę, że było to całkiem niepotrzebne. Po prostu strata czasu.

Antoine był ojcem dla Juliena w każdym liczącym się aspekcie. To nie biologia bowiem determinuje ojcostwo, lecz miłość.

– Przywróciłeś mnie do życia, Julien – mówię, głaszcząc syna po policzku. – Kiedy wzięłam cię na ręce po piekle, jakie przeszłam, znowu mogłam swobodnie oddychać. I pokochać twego ojca jak dawniej.

Nigdy wcześniej tak o tym nie myślałam. O tej prawdzie, że to Julien przywrócił mnie do życia. Jego narodziny były cudem w morzu rozpaczy. Dzięki niemu Antoine, Sophie i ja znowu byliśmy rodziną. Dostał imię po moim ojcu, którego nauczyłam się kochać stanowczo zbyt późno, bo dopiero po jego śmierci. A Sophie stała się starszą siostrą, tak jak zawsze tego pragnęła.

Wreszcie opowiem memu synowi całą historię. Wspomnienia będą bolesne, ale znajdzie się w nich także radość.

– Opowiesz mi o wszystkim?

– Prawie o wszystkim – odpowiadam z uśmiechem. – Pamiętaj, że rodowita Francuzka musi mieć swoje tajemnice. – Tak będzie. Jedno z pewnością zachowam w tajemnicy.

Uśmiecham się do moich dwóch synów, którzy powinni byli mnie złamać, a zamiast tego ocalili, każdy na swój sposób. Dzięki nim wiem teraz, co w życiu ważne; wcale nie to, co straciłam, lecz moje wspomnienia. Rany się zabliźniają. Miłość trwa.

My także trwamy.

Podziękowania

Ta powieść zrodziła się z miłości i jak to często bywa u rodzących kobiet, nieraz ogarniały mnie zwątpienie i rozpacz. „Błagam, pomóżcie, na to się nie pisałam, dajcie mi znieczulenie”. Znacie? No właśnie. Jednak cudownym zrządzeniem losu na końcu wszystko się ułożyło.

Potrzeba wielkiej, w dosłownym sensie, rzeszy oddanych, niezmordowanych w wysiłkach ludzi, aby książka zaistniała na rynku i znalazła czytelników. W ciągu dwudziestu lat mojej kariery pisarskiej natrafiłam na swojej drodze na wiele niezwykłych osób. Chciałabym poświęcić kilka akapitów – nareszcie – na podziękowanie tym, którzy najbardziej przyczynili się do jej rozwoju. Susan Peterson, Leona Nevler, Linda Grey, Elisa Wares, Rob Cohen, Chip Gibson, Andrew Martin, Jane Berkey, Meg Ruley, Gina Centrello, Linda Marrow i Kim Hovey – dziękuję wam wszystkim za to, że uwierzyliście we mnie, zanim ja uwierzyłam w siebie. Szczególne podziękowania należą się Ann Patty, która zmieniła bieg mojej kariery i pomogła mi odnaleźć własny głos.

Dziękuję pracownikom wydawnictwa St. Martin i Macmillan. Wasze wsparcie i entuzjazm miały szczególny wpływ na moje pisarstwo. Dziękuję Sally Richardson za niezmordowany entuzjazm i trwałą przyjaźń oraz Jennifer Enderlin, mojej wspaniałej redaktorce, za stawiane mi wymagania. Jesteś świetna. Podziękowania dla Alison Lazarus, Anne Marie Talberg, Lisy Senz, Dori Weintraub, Johna Murphy’ego, Tracey

Guest, Martina Quinna, Jeffa Capshew, Lisy Tomasello, Elizabeth Catalano, Kathryn Parise, Astry Berzinskas i bajecznego, niebywale utalentowanego Michaela Storringsa.

Często się mówi, że pisarstwo to zawód samotników, i zgadzam się z tym, niemniej może to być także cudowne przyjęcie pełne ciekawych gości, którzy mówią czasem kodem nie dla wszystkich zrozumiałym. Mam kilka takich osób, które podtrzymują mnie na duchu, gdy tego potrzebuję, nie boją się nalać mi tequili, gdy jest to uzasadnione, i pomagają mi świętować najmniejsze zwycięstwa. Dziękuję przede wszystkim mojemu długoletniemu agentowi literackiemu Andrei Cirillo. Naprawdę nie poradziłabym sobie bez ciebie, a co ważniejsze, wcale bym tego nie chciała. Z głębi serca dziękuję Megan Chance, mojej pierwszej i ostatniej czytelniczce, czerwonemu flamastrowi zagłady. Jill Marie Landis, udzieliłaś mi w tym roku bezcennej lekcji pisarstwa, dzięki czemu *Słowik* jest tym, czym jest.

Chciałabym także podziękować koleżance pisarce Tatianie de Rosnay, której wspaniałomyślność jest nie do przecenienia. Odrywając się od własnych obowiązków, pomogła mi w pracy nad *Słowikiem*, za co jestem jej dozgonnie wdzięczna. Rzecz jasna, wszelkie błędy (oraz licentia poetica) są wyłącznie moją winą.

Ostatnie, ale nie najmniej ważne, podziękowania należą się mojej rodzinie. Benjamin, Tucker, Kaylee, Sara, Laurence, Debbie, Kent, Julie, Mackenzie, Laura, Lucas, Logan, Frank, Toni, Jacqui, Dana, Doug, Katie i Leslie to gawędziarze co do jednego. Kocham was wszystkich.